

Zabójcza kuracja

Cook Robin



calibre 0.9.43

Robin Cook

ZABÓJCZA

KURACJA

Przełożyła Magda Pietrzak- Merta

Opowieść ta jest całkowicie fikcyjna.

Opisane tutaj wydarzenia, jak również
miejsca i postaci, zostały wymyślone.

Jeśli nawet autor użył jakiejś prawdziwej
nazwy, to nie w celu przedstawiania
konkretnych miast czy osób. Nie chciał
też sugerować, że opisane tu zdarzenia
rzeczywiście miały miejsce.

Książkę tę dedykuję

duchowi reform w służbie zdrowia

oraz świętości, jaką są stosunki

między pacjentem a lekarzem.

Żywię gorącą nadzieję, że obie te sprawy

nie muszą się wzajemnie wykluczać.

Prolog

Siedemnasty lutego był pechowym dniem dla Sama Flemminga.

Sam uważał siebie za człowieka, któremu zawsze dopisywało

szczęście. Jako broker jednej z głównych firm przy Wall Street już w

wieku lat czterdziestu sześciu stał się bardzo zamożny. Wówczas, jak

hazardzista, który wie, kiedy należy wycofać się z gry, zabrał zarobione

przez siebie pieniądze i uciekł z betonowych kanionów Nowego Jorku na

północ, do idyllicznego Bartlet w Vermont. Tam zaczął wreszcie robić to, o czym marzył przez całe życie: malować.

Jedną z podstaw wiary, że sprzyja mu szczęście, stanowiło dla Sama dobre zdrowie, dopóki siedemnastego lutego, o godzinie wpół do piątej, nie stało się coś dziwnego. Liczne molekuly wody w jego komórkach zaczęły rozpadać się na dwie części: stosunkowo nieszkodliwy atom wodoru oraz wysoce reaktywny, niszczycielski wolny rodnik hydroksylowy.

W odpowiedzi na owe molekularne reakcje u Sama uruchomił się system obrony komórkowej. Jednak tego szczególnego dnia mechanizmy obronne zwalczające wolne rodniki szybko się wyczerpały i nawet takie przeciwutleniacze jak witaminy E, C oraz beta-karoten, które codziennie skrupulatnie łykał, nie zdołały powstrzymać tej nagłej, druzgoczącej nawałnicy.

Wolne rodniki hydroksylowe zaczęły atakować jego ciało i wkrótce w błonie dotkniętych chorobą komórek zabrakło płynu i elektrolitów. W tym samym czasie niektóre z komórkowych enzymów proteinowych zaczęły się rozszczepiać i inaktywować. Zaatakowanych zostało także wiele molekul DNA, co spowodowało zniszczenie pewnych genów.

Leżąc w łóżku w Bartlet Community Hospital, Sam nie był świadomy toczącej się wewnątrz jego komórek walki na śmierć i życie, odczuwał jedynie jej następstwa: podwyższoną temperaturę, burczenie w brzuchu i początki zastoju krwi w klatce piersiowej.

Kiedy tego samego popołudnia lekarz Sama, doktor Portland, przyjechał go odwiedzić, zaniepokoił się wysoką gorączką pacjenta. Osluchawszy go, próbował powiedzieć mu, że wystąpiły pewne komplikacje i szybki powrót do zdrowia po operacji złamanego biodra został niespodziewanie zakłócony przez zapalenie płuc. Najwyraźniej jednak słowa lekarza wcale do Sama nie docierały. Nie zareagował na wiadomość o przepisaniu antybiotyku, apatycznie też przyjął zapewnienia o rychłym wyzdrowieniu. Co gorsza, prognozy doktora nie sprawdziły się. Antybiotyk nie zdołał powstrzymać rozwijającej się infekcji. Stan Sama nigdy nie polepszył się na tyle, by mógł uświadomić sobie ironię losu: uszedł z życiem dwóm rabusiom, którzy napadli go w Nowym Jorku, przeżył rozbicie się samolotu czarterowego w hrabstwie Westchester i wyszedł cało z karambolu czterech samochodów na New Jersey Turnpike - wszystko po to, by umrzeć na skutek komplikacji wynikłych po upadku na oblodzonej ścieżce przed sklepem żelaznym Staleya w Bartlet w Vermont.

Czwartek, 18 marca

Stojąc przed najważniejszymi pracownikami Bartlet Community Hospital, Harold Traynor milczał dostatecznie długo, by rozkoszować się tą chwilą. Właśnie przywołał zebranych do porządku. Zgromadzeni posłusznie ucichli i wszystkie spojrzenia skierowały się w jego stronę. Poświęcenie, z jakim wypełniał obowiązki prezesa zarządu szpitala, stanowiło dlań prawdziwy powód do dumy, dlatego też napawał się

podobnymi momentami dotąd, aż poczuł, iż jego osoba budzi lęk.

- Dziękuję wam wszystkim za przybycie w ten śnieżny wieczór -

powiedział. - Zwołałem to zebranie, by udowodnić wam, jak poważnie

zarząd szpitala traktuje tę okropną napaść na siostrę Prudence

Huntington na dolnym parkingu w zeszłym tygodniu. Fakt, że gwałt został

na szczęście udaremniony dzięki przypadkowemu pojawieniu się jednego

ze strażników, w żaden sposób nie zmniejsza powagi sytuacji.

Traynor umilkł, patrząc znacząco na Patricka Sweglera. Dowódca

straży szpitalnej odwrócił wzrok, unikając oskarżycielskiego spojrzenia

szefa. Napad na pannę Huntington był trzecim tego rodzaju wypadkiem w

ciągu ostatniego roku i ze zrozumiałych względów Swegler czuł się za to

odpowiedzialny.

- Trzeba położyć temu kres! - stwierdził dramatycznie Traynor,

zerkając na Nancy Widner, przełożoną pielęgniarek. Wszystkie trzy

ofiary były jej podwładnymi. - Bezpieczeństwo personelu jest naszą

największą troską - dodał, przenosząc wzrok z Geraldine Polcari,

kierowniczką kuchni, na Glorię Suarez, szefową intendentów. - Zarząd

zapropozował więc, aby na terenie niższego parkingu powstał

wielopoziomowy garaż, połączony bezpośrednio z głównym budynkiem

szpitala. Byłby on porządnie oświetlony i wyposażony w kamery.

Traynor skinął głową w stronę Helen Beaton, dyrektora

administracyjnego szpitala. Na dany znak kobieta zdjęła tkaninę

okrywającą stół konferencyjny. Oczom zebranych ukazał się szczegółowy

architektoniczny model już istniejącego kompleksu szpitalnego wraz z

proponowanym, dwupiętrowym, obszernym garażem, usytuowanym na tyłach głównego budynku.

Wśród licznych pomruków aprobaty Traynor obszedł stół dookoła i stanął tuż obok modelu. Stół konferencyjny często służył do prezentowania sprzętu medycznego, którego zakup rozważano, dlatego też Traynor musiał najpierw usunąć stos lejkowatych sond, żeby wszyscy mogli lepiej zobaczyć makietę. Powiódł wzrokiem po zebranych.

Wszystkie oczy utkwione były w modelu; wszyscy też - oprócz Wenera Van Slyke'a - wstali z miejsc.

Parkowanie zawsze stanowiło problem w Bartlet Community

Hospital - szczególnie przy brzydkiej pogodzie. Traynor wiedział, że jego projekt zyskałby poparcie nawet bez serii napadów na dolnym parkingu.

Tak jak przewidywał, wszystko potoczyło się po jego myśli. Zgromadzeni odnieśli się do pomysłu entuzjastycznie. Tylko ponury Van Slyke, odpowiadający za aparaturę i konserwację budynków, pozostał niewzruszony.

- O co chodzi? - zapytał Traynor. - Czyżby nie podobał ci się ten projekt?

Van Slyke popatrzył na Traynora z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- No więc? - powtórzył z napięciem prezes zarządu. Van Slyke irytował go. Nigdy nie lubił tego zamkniętego w sobie, mrukliwego człowieka.

- Jest w porządku - odparł ponuro Van Slyke.

Niespodziewanie

drzwi

sali

konferencyjnej

otworzyły

się

gwałtownie, z hałasem uderzając o przykręconego do podłogi odboja.

Wszyscy, włącznie z Traynorem, podskoczyli.

W

progu

stanął

Dennis

Hodges,

energiczny,

krępy,

siedemdziesięcioletni mężczyzna o grubo ciosanych rysach twarzy i

wyblakłej cerze. Nos miał różowy, kartoflowaty, oczy zaś paciorkowate i

kaprawe. Ubrany był w ciemnozieloną, wełnianą marynarkę i

pogniecione sztruksowe spodnie. Na głowie miał oproszoną śniegiem

czapkę myśliwską w czerwoną kratę.

Nie ulegało wątpliwości, że Hodges jest wściekły. Z daleka czuć było

od niego alkohol. Zimnymi jak lufy rewolwerów oczyma wodził przez

chwilę po zebranych, po czym utkwił wzrok w prezesie zarządu.

- Chciałbym porozmawiać z tobą na temat kilku moich byłych

pacjentów, Traynor. Z tobą także, Beaton - powiedział, rzucając kobiecie

przelotne, niechętnie spojrzenie. - Nie wiem, jakiego rodzaju szpital

chcecie tu stworzyć, ale mogę wam powiedzieć, że ani trochę mi się to nie

podoba!

- Och, nie! - jęknął prezes, ochłonawszy nieco po nieoczekiwanym

wtargnięciu Hodgesa. Zaskoczenie szybko Ustąpiło miejsca irytacji.

Pośpieszne rozejście się po sali upewniło go, że inni dzielają jego

uczucia.

- Doktorze Hodges... - zaczął, za wszelką cenę starając się, by zabrzmiało to uprzejmie. - Sądzę, że łatwo spostrzec, iż odbywa się tu zebranie. Gdyby był pan tak dobry i opuścił tę salę...

- Nie obchodzi mnie, do diabła, co tutaj robicie - warknął Hodges. -

Cokolwiek by to było, jest nieważne w porównaniu z tym, jak ty i cały zarząd postępujecie z moimi pacjentami. - Sztywnym krokiem podszedł do Traynora, który instynktownie odchylił się do tyłu. Bijący od przybysza zapach whisky stał się jeszcze bardziej intensywny.

- Doktorze Hodges! - powiedział z nie skrywaną złością prezes zarządu. - Nie czas teraz na awantury. Będę szczęśliwy, mogąc spotkać się z panem rano i wysłuchać wszystkich zażaleń. A teraz proszę być tak miłym i opuścić nas. Musimy zająć się innymi sprawami...

- Chcę porozmawiać teraz! - wrzasnął Hodges. - Nie podoba mi się to, co ty i twój zarząd tutaj wyprawiacie!

- Posłuchaj, stary głupcze - przerwał mu Traynor. - Ścisz głos! Nie mam zielonego pojęcia, o co ci chodzi. Ale powiem ci, co robimy: nadstawiamy karku, walcząc, by ten szpital nadal mógł działać. A to nie jest w tych czasach łatwe zadanie. Dlatego czuję się dotknięty, kiedy ktoś postępuje odmiennie. A teraz bądź rozsądny i zostaw nas w spokoju.

Mamy jeszcze trochę pracy.

- Nie mam zamiaru czekać - upierał się Hodges. - Porozmawiam z tobą i Beaton teraz! Pielęgniarki, kuchnię, intendentów oraz inne nonsensy możesz odłożyć na później. To, z czym przyszedłem, jest

ważniejsze.

- Ha! - wykrzyknęła Nancy Widner. - To doprawdy iście w pańskim stylu, doktorze Hodges, wdzierać się tutaj i twierdzić, że sprawy pielęgniarek nie są ważne. Uświadomię więc panu...

- Dajcie spokój! - powiedział Traynor, unosząc rękę w pojednawczym geście. - Nie urządźmy awantur. Prawdę mówiąc, doktorze Hodges, właśnie rozmawialiśmy o napadzie, który miał miejsce w zeszłym tygodniu. Mężczyzna w narciarskich goglach znowu usiłował zgwałcić pielęgniarkę. Jestem pewien, iż nie uważa pan gwałtu oraz dwóch prób jego dokonania za rzecz nieważną.

- To jest ważne - zgodził się Hodges. - Ale nie aż tak. Poza tym problem gwałtów to sprawa wewnętrz szpitalna.

- Chwileczkę! - przerwał mu Traynor. - Sugeruje pan, że wie, kto jest gwałcicielem?

- Można to tak nazwać - odrzekł Hodges. - Mam pewne podejrzenia. Ale w tej chwili nie będę o nich dyskutował. Teraz interesują mnie wyłącznie moi pacjenci. - Ze wzburzeniem pomachał trzymanymi w dłoni papierami.

- Nie pojmuję, jak ma pan czelność wdzierać się tutaj, jakby był pan właścicielem tego miejsca, i decydować, co jest ważne, a co nie! - skrzywiła się z pogardą Helen Beaton. - Proszę pamiętać, że nie jest pan już administratorem szpitala.

- Dzięki, że zwróciła mi pani na to uwagę - odparł Hodges.

- Dobrze, już dobrze - westchnął z rezygnacją Traynor. Jego

zebranie przerodziło się w kłótnię między pracownikami. Podniósł rzucone przez Hodgesa na stół papiery, i wsunąwszy mu je z powrotem do ręki, poprowadził lekarza w stronę drzwi. Doktor z początku opierał się, ale w końcu pozwolił wyprowadzić się z sali.

- Musimy porozmawiać, Haroldzie - powiedział, kiedy obaj znaleźli się już w holu. - To poważna sprawa.

- Jestem tego pewien - oświadczył Traynor, starając się, by zabrzmiało to szczerze. Wiedział, że będzie musiał wysłuchać narzekań.

Hodges administrował szpitalem już w czasach, gdy Traynor był jeszcze w szkole średniej. Przyjął tę funkcję, mimo że większość lekarzy wolała wówczas nie brać na siebie takiej odpowiedzialności. W ciągu trzydziestu lat pełnienia swych obowiązków przeobraził Bartlet Community Hospital z małego szpitalika w prawdziwe centrum medyczne. Kiedy trzy lata temu ustąpił ze stanowiska, przekazując je Traynorowi, była to już ogromna placówka.

- Cokolwiek masz na myśli - rzekł Traynor - z pewnością może to poczekać do jutra. Porozmawiamy o tym w czasie lunchu. Zaproszę także Bartona Sherwooda i doktora Delberta Cantora. Jeśli to, co masz mi do powiedzenia, dotyczy podjętych przez nas ostatnio decyzji, a sądzę, że tak właśnie jest, najlepiej będzie, gdy pomówisz także z wiceprezesem zarządu i szefem personelu. Zgodzisz się ze mną?

- Chyba tak - odparł niechętnie Hodges.

- A więc umowa stoi - powiedział pogodnie Traynor, kierując się z powrotem w stronę sali konferencyjnej, w nadziei, że uda mu się jeszcze

uratować zebranie, skoro Hodges przystał na inny termin rozmowy. -

Skontaktuję się z nimi jeszcze dziś wieczorem.

- Nie kieruję już szpitalem - dodał Hodges - ale wciąż czuję się odpowiedzialny za to, co się w nim dzieje. Pamiętaj też, że gdyby nie ja, nie zostałbyś członkiem zarządu, a tym bardziej jego prezesem.

- Wiem o tym - odparł Traynor. - Ale czasem zastanawiam się - zażartował - czy dziękować ci, czy też przeklinać cię za ten podwójny honor.

- Obawiam się, że władza uderzyła ci do głowy - stwierdził Hodges.

- Och, daj spokój! - obruszył się Traynor. - Co masz na myśli, mówiąc: „władza?” To zajęcie nie oznacza niczego prócz jednego bólu głowy za drugim.

- Ale bądź co bądź zawiadujesz budżetem wynoszącym sto milionów dolarów - przypomniał mu Hodges. - Poza tym szpital jest instytucją zatrudniającą w tej części stanu najwięcej ludzi. A to wszystko oznacza władzę.

- Oznacza raczej ciągly miecz nad głową - zaśmiał się nerwowo Traynor. - Ale i tak powinniśmy być szczęśliwi, że w ogóle mamy pracę. W przeciwieństwie do dwóch naszych konkurentów, o czym zapewne nie muszę ci mówić. Valley Hospital został zamknięty, a Mary Sackler zamieniono na dom opieki społecznej.

- Co z tego, że szpital nadal istnieje, skoro widzę, iż ci, od których dostajesz pieniądze, zapominają o podstawowych zadaniach tej placówki.

- Och, co za bzdury! - zachnął się Traynor, tracąc panowanie nad

sobą. - Wy, starzy lekarze, musicie uświadomić sobie, że żyjemy już w innej rzeczywistości. Nie jest łatwo ciągle ograniczać wydatki, borykać się z kłopotami finansowymi i znosić wtrącanie się we wszystko rządu.

Utrzymanie szpitala nie kosztuje już tak mało jak za twoich czasów. Świat się zmienił i musimy przystosować się do nowych warunków, obmyślić nową strategię, by przeżyć. Waszyngton to popiera.

- Waszyngton z pewnością nie popiera tego, co ty i twoja klika tu wyprawiacie - zaśmiał się ironicznie Hodges.

- Ale tam: nie popiera! - skrzywił się Traynor. - To się nazywa konkurencja, Dennisie. Przeżywają tylko najlepiej przystosowani i giętki. Żadnego żonglowania kosztami, jak to było za twoich czasów.

Traynor umilkł, uświadomiwszy sobie, że mówi za dużo. Otarł pot, który zrosił mu czoło, i westchnął głęboko.

- Muszę wracać do sali konferencyjnej, Dennisie, ty zaś jedź do domu. Uspokój się, zrelaksuj, trochę się prześpij. Spotkamy się jutro i porozmawiamy o wszystkim, co cię gryzie. W porządku?

- Rzeczywiście jestem trochę zmęczony - przyznał Hodges.

- Jasne, że jesteś - zgodził się Traynor.

- Jutro w porze lunchu? Obiecujesz? Żadnych wykrętów?

- Absolutnie żadnych - zapewnił prezes, poklepując Hodgesa po plecach. - W stolówce, dokładnie o dwunastej.

Z ulgą popatrzył za swym dawnym przełożonym, który charakterystycznym, ociężałym krokiem powlókł się w stronę szpitalnego holu. Zdumiewał go niebywały talent tego człowieka do robienia

zamieszania. Co gorsza, Hodges nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest niezdolny. Stał się doprawdy kłopotliwy.

- Czy można prosić o ciszę? - zawołał Traynor do zebranych, przekrzykując gwar rozmów. - Przepraszam za tę przerwę. Stary Hodges ma szczególny dar pojawiania się w najmniej odpowiednim momencie,

- I tak jeszcze nie pokazał, co potrafi - stwierdziła Beaton. - Ciągłe przychodzi do mojego biura i narzeka na sposób traktowania przez personel szpitala jego dawnych pacjentów. Zachowuje się tak, jakby wciąż był tu szefem.

- I nigdy nie obchodziły go sprawy kuchni - poskarżyła się Geraldine Polcari.

- Ani środki czystości - dodała Gloria Suarez.

- W moim biurze także pojawia się co najmniej raz w tygodniu - oświadczyła Nancy Widner. - Również słyszę bez przerwy te same skargi, że pielęgniarki nie odpowiadają dostatecznie szybko na wezwania jego byłych pacjentów.

- Też mi się znalazł obrońca - stwierdziła Beaton.

- To chyba jedyni ludzie, którzy jeszcze mogą z nim wytrzymać - westchnęła Nancy. - Wszyscy inni uważają go za kapryśnego, starego bałwana.

- Czy sądzicie, że faktycznie wie, kto jest gwałcicielem? - zapytał Patrick Swegler.

- Skądże - wzruszyła ramionami Nancy. - To zwykły krzykacz.

- A co pan o tym myśli, panie Traynor? - dopytywał się Swegler.

Prezes zarządu wzruszył ramionami.

- Wątpię, by wiedział cokolwiek, ale z pewnością zapytam go o to, kiedy się jutro spotkamy.

- Nie zazdroszczę ci tego lunchu - oświadczyła Beaton.

- To prawda, że niezbyt się cieszę na tę rozmowę - przyznał Traynor.

- Zawsze uważałem, iż Dennis zasługuje na pewien szacunek, ale - jeśli mam być szczery - moja cierpliwość jest już na wyczerpaniu. A teraz wracajmy do naszych spraw - zarządził, choć radość, którą wcześniej odczuwał, bezpowrotnie zniknęła.

Hodges włókł się powoli środkiem jezdni opustoszałej Main Street.

Plugi śnieżne jeszcze się tu nie pojawiły: całe miasto spowijała dwucalowa warstwa świeżego śniegu, a z nieba wciąż spadały nowe płatki.

Lekarz zaklął pod nosem, dając w ten sposób upust ogarniającej go bezsilnej złości. Teraz, wracając do domu, żałował, że pozwolił się tak łatwo splawić Traynorowi.

Przechodząc obok miejskiego parku, w którym stały puste, przyprószone śniegiem ławki, popatrzył na północ, ku kościółowi metodystów. Za nim, w oddali, wznosił się główny budynek szpitala.

Hodges zadrzał. Poświęcił temu szpitalowi całe życie, pragnąc, by jak najlepiej służył miastu, teraz zaś obawiał się, iż przestał on już pełnić swą podstawową rolę.

Ponownie ruszył zaśnieżoną Main Street. Zgrabiałymi z zimna dłońmi dotknął ukrytych w kieszeni marynarki kartek maszynopisu.

Przecznice dalej zatrzymał się znowu. Tym razem jego spojrzenie

powędrowało ku ozdobionym kolumnkami oknom Iron Horse Inn. Na

pokryty śniegiem trawnik padało przez nie łagodne, ciepłe światło.

Tylko sekundę zabrało Hodgesowi podjęcie decyzji, że wypije

jeszcze jednego drinka. Teraz, gdy jego żona, Clara, spędzała więcej czasu

u swojej rodziny w Bostonie niż z nim w Bartlet, mógł robić, co chciał. Co

innego, gdyby była w domu i zaniepokojona wypatrywała jego powrotu.

Ostatnimi czasy stali się sobie niemal obcy. Hodges czuł, że przed

dwudziestopięciominutowym spacerem, jaki miał przed sobą, dodatkowy

łyk czegoś mocniejszego na rozgrzewkę dobrze mu zrobi.

Wszedł do sieni i otrzepał buty ze śniegu. Powiesił płaszcz na

drewnianym kolku i umieścił nad nim kapelusz. Minął niewielki hol oraz

pustą szatnię, której używano tylko podczas organizowanych tu

bankietów, i dotarł do drzwi baru.

Sala, w której się znalazł, wyłożona była surowym sosnowym

drewnem, miejscami mocno szerniałym w ciągu dwóch stuleci. Na

jednej ze ścian pysznił się ogromny kominek z polnych kamieni. Płonął na

nim ogień.

Hodges uważnie zlustrował wnętrze. Jego zdaniem zebrano się tu

niezbyt mile towarzystwo. Zobaczył Bartona Sherwooda, prezesa Green

Mountain National Bank, a teraz - dzięki Traynorowi - także wiceprezesa

zarządu szpitala. Siedział przy stoliku z Nedom Banksem, antypatycznym

właścicielem New England Coat Hanger Company. Nieco dalej dostrzegł

Delberta Cantora i doktora Paula Darnella. Na stoliku przed nimi stały

liczne butelki piwa, koszyczek z ziemniaczanymi chipsami i półmisek

serów. Według Hodgesa wyglądali jak pochylone nad korytem świnie.

Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie wyjąć z kieszeni papierów i nie poprosić Sherwooda i Cantora o chwilę rozmowy, szybko jednak porzucił ten pomysł. Nie miał już dzisiaj na to siły, a przy tym wiedział, że radiolog Cantor i patolog Darnell nienawidzą jego zwyczaju mówienia tego, co myśli. Obaj byli głęboko nieszczęśliwi, kiedy pięć lat temu za sprawą Hodgesa ich wydziały znalazły się pod zarządem szpitala - irytowało ich ciągle wysłuchiwanie narzekań ówczesnego prezesa.

Przy barze siedział John MacKenzie, jeszcze jeden stały bywalec, z którym Hodges wolałby uniknąć spotkania. Pomiędzy oboma mężczyznami trwał ciągnący się od dawna spór. John miał na przedmieściach warsztat samochodowy, z którego usług Hodges przez wiele lat korzystał. Za którymś jednak razem MacKenzie nie zdołał naprawić jego auta i doktor musiał udać się aż do autoryzowanej stacji obsługi w Rutland, w związku z czym nie zapłacił Johnowi ani grosza.

Oddalony o kilka barowych stołków od MacKenziego siedział, jęcząc pod nosem, Pete Bergan, dziecię- kwiat, który nie ukończył nawet sześciu klas. W wieku osiemnastu lat porzucił naukę i zarabiał na życie, mając się najdziwniejszych zajęć. Hodges załatwił mu pracę sprzątacza w szpitalu, ale został zwolniony, gdyż nie wywiązywał się z obowiązków. Od tamtej pory Pete żywił do niego głęboką niechęć.

Za plecami Petera ciągnął się rząd pustych barowych stołków, w głębi sali zaś stały dwa stoły do gry w bilard. Ze znajdującej się pod ścianą staromodnej, pochodzącej z lat pięćdziesiątych szafy grającej sączyła się

muzyka. Wokół stołów bilardowych tłoczyła się grupka młodzieży z

Bartlet College, niewielkiej liberalnej uczelni, która ostatnimi czasy stała się koedukacyjna.

Hodges zatrzymał się w progu, rozważając, czy wypicie drinka warte jest zetknięcia się z tymi ludźmi. W końcu jednak wspomnienie panującego na zewnątrz przenikliwego mrozu oraz pragnienie posmakowania szkockiej whisky popchnęły go w głąb sali.

Ignorując wszystkich obecnych, podszedł do odległego końca baru i wspiął się na jeden z pustych stolików. Promieniujące od kominka ciepło ogrzewało mu plecy. Postawiono przed nim szklaneczkę i otyły barman, Carleton Harris, nalał mu dewara bez lodu. Carleton i Hodges znali się od bardzo dawna.

- Lepiej żebyś wybrał sobie jakieś inne miejsce - poradził barman.

- A to czemu? - zdziwił się Hodges, szczęśliwy, że nikt nie zauważył jego wejścia.

Carleton skinieniem głowy wskazał na wpół opróżnioną szklaneczkę stojącą na ladzie baru dwa stolki dalej.

- Nasz nieustraszony szef policji, pan Wayne Robertson, wpadł dziś do nas na jednego. Przed chwilą poszedł do ubikacji.

- Do diabła z nim! - skrzywił się Hodges.

- Pamiętaj, że cię ostrzegałem - powiedział Carleton, kierując się w stronę kilku studentów, którzy właśnie weszli do baru.

- Do licha, to już sześciu na jednego. Pół tuzina - mruknął do siebie Hodges. Gdyby chciał przenieść się w przeciwległy koniec baru, musiałby

stanać twarzą w twarz z Johnem MacKenzie, niechętnie postanowił więc zostać tu, gdzie był. Uniósł szklankę do ust.

Zanim jednak zdołał wypić choć łyk, poczuł klepnięcie w plecy. Na szczęście zdażył odsunąć szklaneczkę na tyle, by szkło nie zadzwoniło mu o zęby i whisky się nie rozlała.

- Kogóż my tu widzimy? Ależ to nasz znachorek!

Obrócił się i ujrzał przed sobą pijacką twarz Wayne'a Robertsona.

Policjant miał czterdzieści dwa lata i był otyły. Swego czasu należał do wyjątkowo muskularnych mężczyzn, ale teraz skryte pod warstwą tłuszczu mięśnie już zwiotczały. Najbardziej rzucający się w oczy szczegół jego sylwetki stanowił wydatny brzuch - sprzączka służbowego paska niemal ginęła w fałdach sadła. Robertson był w mundurze i miał broń.

- Jesteś pijany, Wayne - powiedział Hodges. - Czemu nie pójdziesz do domu i nie prześpisz się trochę? - Odwrócił się w stronę baru i ponownie spróbował napić się whisky.

- Nie mam po co wracać do domu. I to dzięki tobie.

Hodges ponownie obrócił się na stolku i popatrzył na Robertsona.

Policjant miał przekrwione oczy - niemal równie czerwone co nalane policzki - i krótkie, niemodnie uczesane włosy.

- Nie zaczynaj wszystkiego od nowa, Wayne - powiedział Hodges. -

Twoja żona, Panie świeć nad jej duszą, nie była moją pacjentką. Jesteś pijany. Idź do domu.

- Zarządzałeś tym przeklętym szpitalem - stwierdził Robertson.

- Co nie znaczy, że odpowiadam za wszystko, co się w nim działo, ty

idioto - warknął Hodges. - Poza tym to było dziesięć lat temu. - Po raz

kolejny spróbował obrócić się do policjanta plecami.

- Ty sukinsynu! - wrzasnął Robertson, chwytając Hodgesa za klapy marynarki i próbując ściągnąć go z barowego stolka.

Carleton Harris wybiegł zza kontuaru i z zaskakującą jak na kogoś o takiej tuszy zręcznością rzucił się pomiędzy obu mężczyzn. Palec po palcu rozluźnił zaciśniętą na marynarce Hodgesa dłoń policjanta.

- No dobrze, wy dwaj - powiedział. - Wynście się, każdy do własnego kąta. W Iron Horse nie pozwalamy na żadne bójki.

Hodges z oburzeniem obciągnął poły marynarki, sięgnął po swego drinka i ruszył w głąb baru. Przechodząc obok Johna MacKenziego, usłyszał, jak ten mruknął: „pasożyt”, nie dał się jednak sprowokować do kłótni.

- Nie powinieneś się wtrącać, Carleton - zawołał do barmana doktor Cantor. - Co najmniej pół miasta byłoby zachwycone, gdyby Robertson dał po gębie staremu Hodgesowi.

Cantor i Damell wybuchnęli śmiechem. Trącając się łokciami, chichotali, uderzając dłońmi w kolana i krztusząc się piwem. Carleton zignorował ich. Wrócił za kontuar i napelnił podsunętą mu szklaneczkę Bartona Sherwooda.

- Doktor Cantor ma rację - stwierdził prezes banku, dostatecznie głośno, by wszyscy go usłyszeli. - Następnym razem, kiedy Hodges i Robertson wezmą się za lby, nie wtrącaj się.

- Ty także tego nie rób - odrzekł Carleton, zręcznie mieszając

drinka.

- Pozwól, że powiem ci coś o doktorze Hodgesie - powiedział

Sherwood, tym razem także na tyle głośno, by usłyszano go nawet w najdalszych kątach sali. - Nie zalicza się on do zbyt dobrych sąsiadów.

Dzięki splotowi historycznych okoliczności jest właścicielem małego skrawka ziemi, oddzielającego od siebie dwa moje place. I wiesz, co zrobił w tej sytuacji nasz doktor? Wybudował gigantyczne ogrodzenie!

- Oczywiście, że ogrodziłem swoją działkę - wybuchnął Hodges. - Był to jedyny sposób, aby powstrzymać twoje przeklęte konie przed zasrywaniem mojej posesji.

- Czemu więc nie sprzedasz mi tego kawałka ziemi? - zapytał

Sherwood, stając twarzą w twarz z lekarzem. - Nie masz z niego żadnego pożytku.

- Nie mogę tego uczynić, ponieważ ta ziemia należy do mojej żony - odrzekł Hodges.

- Nonsens - stwierdził Sherwood. - To, że dom i ziemia zapisane są na żonę, to zwykły prawniczy wybieg, by uchronić twój majątek przed zbytnią dociekliwością urzędu skarbowego. Sam mi to powiedziałeś.

- No cóż, chyba powinieneś domyślić się prawdy - odrzekł Hodges. -

Próbowałem być delikatny, ale na próżno. Nie sprzedam ci ziemi, ponieważ pogardzam tobą. Czy teraz dotarło to wreszcie do twego ptasiego mózdzku?

Sherwood obrócił się i potoczył wzrokiem po zebranych w barze.

- Wszyscy jesteście świadkami - ogłosił. - Jedynym powodem, dla

którego doktor Hodges nie chce sprzedać ziemi, jest chęć zrobienia mi na złość. To żadna niespodzianka. Nigdy nie postępował po chrześcijańsku.

- Zamknij się! - warknął lekarz. - To czysta hipokryzja, kiedy prezes banku żąda od kogoś chrześcijańskiej postawy, podczas gdy sam nie ma czystego sumienia. Bądź co bądź wyrzuciłeś już z domu niejedną rodzinę.

- To co innego - obruszył się Sherwood. - Interes jest interesem.

Muszę przecież z czegoś płacić dywidendy moim udziałowcom.

- Gówno tam! - zachnął się Hodges, pogardliwie wzruszając ramionami.

Jego uwagę zwróciło nagle zamieszanie przy drzwiach. Odwrócił się i ujrzał wchodzącego do baru Traynora i innych uczestników szpitalnego zebrania. Zauważył, że prezes zarządu niezbyt ucieszył się na jego widok.

Hodges skrzywił się obojętnie i ponownie ujął swoją szklaneczkę. Nie mógł jednak przegapić tak dobrej okazji - w barze znalazło się równocześnie aż trzech członków zarządu: Traynor, Sherwood i Cantor.

Wziąwszy ze sobą drinka, ruszył za Traynorem ku stolikowi zajmowanemu przez Sherwooda i Banksa.

- Co sądzisz o tym, żebyśmy pogadali teraz, skoro jesteśmy tu wszyscy czterej? - zapytał, kładąc prezesowi rękę na ramieniu.

- Do diabła, Hodges! - zirytował się Traynor. - Ile razy mam ci powtarzać, że nie chcę rozmawiać dziś na ten temat. Spotkamy się jutro.

- O czym on chce mówić? - zapytał Sherwood.

- Ma coś do powiedzenia na temat kilku swych dawnych pacjentów - odparł Traynor. - Umówiłem się z nim jutro w porze lunchu.

- O co chodzi? - usiłował dowiedzieć się doktor Cantor. Zachowywał się jak rekin, który poczuwszy krew, rzuca się na swoją ofiarę.

- Doktorowi Hodgesowi nie podoba się sposób, w jaki zarządzamy szpitalem - wyjaśnił Traynor. - Wysłuchamy jednak tego, co ma nam do powiedzenia, dopiero jutro.

- Bez wątpienia będzie o tym co zawsze - Sherwood skrzywił się z niesmakiem. - Że nie traktujemy jego byłych pacjentów z należąną czcią.

- Oto i wdzięczność! - westchnął doktor Cantor, nie dopuszczając do głosu usiłującego coś powiedzieć Hodgesa. - Wypruwamy sobie żyły dla dobra szpitala i co nas za to spotyka? Nic prócz krytyki.

- Raczej dla dobra własnej dupy - przerwał mu drwiąco Hodges. -

Nie nabierzecie mnie. Wasze postępowanie nie wynika ze szlachetnych pobudek. Ty, Traynor, wykorzystujesz swoje stanowisko, by rozkoszować się władzą. Twoje interesy, Sherwood, nie są zaś nawet tak subtelne.

Chodzi ci tylko o pieniądze: wszak szpital jest największym klientem banku. Twoją postawę, Cantor, można wyjaśnić równie łatwo. Wszystkim wam tak naprawdę idzie jedynie o Imaging Center, na założenie którego w chwili słabości pozwoliłem. Ze wszystkich decyzji, jakie podjąłem, administrując szpitalem, tej żałuję najbardziej.

- Kiedyś uważałeś to za dobry pomysł - przypomniał doktor Cantor.

- Tylko dlatego, że nie widziałem innego sposobu na unowocześnienie szpitalnego wyposażenia - zaperzył się Hodges. - Ale wtedy jeszcze sobie nie uświadomiłem, że pieniądze wydane przez nas na zakup aparatury zwrócą się w ciągu niecałego roku, co oznacza, iż ty i

pozostali prywatni radiolodzy ograbiliście szpital z pieniędzy, jakie mógł w ten sposób zarobić.

- Nie chcę wracać do tego starego sporu - oświadczył doktor Cantor.

- Ani ja - zgodził się Hodges. - Chciałem tylko powiedzieć, że w waszym działaniu nie ma ani krzty szlachetności. Obchodzą was jedynie pieniądze, a nie pacjenci.

- A kimże ty jesteś, by oceniać nasze pobudki - rozgniewał się Traynor. - Sam zarządzałeś szpitalem tak, jakby był twoją własnością.

Może powiesz nam, kto przez te wszystkie lata zajmował się twoim domem?

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Hodges, wodząc oczyma od jednego swego rozmówcy do drugiego.

- Czyżby moje pytanie było zbyt skomplikowane? - warknął mocno już rozzłoszczony Traynor. Przyparł Hodgesa do muru i teraz miał ochotę zmiażdżyć go do końca.

- Nie rozumiem, co z tym wszystkim ma wspólnego mój dom - powiedział Hodges.

Traynor rozejrzał się po sali.

- Jest tu Van Slyke? - zapytał. - Przed chwilą widziałem, jak się gdzieś tutaj kręcił.

- Siedzi przy kominku - odparł Sherwood, wskazując mężczyznę palcem i starając się ukryć wypelzający mu na wargi pełen satysfakcji uśmiezek. Od pewnego czasu sprawa domu Hodgesa mocno go irytowała. Jedyńm powodem, dla którego nigdy nie wyciągnął jej na

światło dzienne, był surowy zakaz Traynora.

Prezes zarządu zawołał Van Slyke'a, ale mężczyzna zdawał się go nie słyszeć. Krzyknął jeszcze raz, tym razem dostatecznie głośno, by usłyszeli go wszyscy ludzie w barze. W jednej chwili umilkły wszelkie rozmowy i gdyby nie płynąca z szafy grającej muzyka, w sali zapanowałaby całkowita cisza.

Van Slyke podszedł do nich wolnym krokiem, skrępowany tym, że wszyscy na niego patrzą. Zgromadzeni w barze ludzie szybko jednak przestali się nim interesować i powrócili do swoich rozmów.

- Dobry Boże, człowieku - zwrócił się do Van Slyke'a Traynor. -

Idziesz tak, jakbyś brodził po kolana w gęstym błocie. Czasem sprawiasz wrażenie, jakbyś miał osiemdziesiąt, a nie trzydzieści lat.

- Przepraszam - powiedział mężczyzna, ani na chwilę nie tracąc swego nieobecnego wyrazu twarzy.

- Chcę zadać ci pewne pytanie - ciągnął Traynor. - Kto dba o dom i posiadłość doktora Hodgesa?

Van Slyke przeniósł wzrok z Traynora na Hodgesa i na jego wargach pojawił się ironiczny uśmiech. Lekarz odwrócił wzrok.

- No więc? - ponaglił Traynor.

- My - odparł Van Slyke.

- Czy mógłbyś wyrażać się jaśniej? - poprosił prezes zarządu. - Co znaczy „my”?

- Służby techniczne szpitala - powiedział Van Slyke, nie odrywając oczu od Hodgesa i nie przestając się uśmiechać.

- Jak długo to trwa? - indagował go dalej Traynor.

- Zaczęło się, zanim jeszcze podjąłem pracę w szpitalu. I do dziś się nie skończyło.

- A więc teraz się zmieni - oświadczył Traynor. - Jasne?

- Oczywiście - powiedział Van Slyke.

- Dziękuję, Wernerze. Skoro skończyliśmy z doktorem Hodgesem, możesz wracać do stolika i wypić swoje piwo.

Van Slyke skinął lekko głową i oddalił się w stronę kominka.

- Znacie to stare porzekadło? - zaczął Traynor. - O ludziach żyjących w cieplarnianych warunkach...

- Zamknij się! - warknął Hodges. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale się powstrzymał. Zamiast tego szybkim krokiem przeszedł przez salę i niedbale narzuciwszy na siebie płaszcz, wyszedł w śnieżną noc.

- Stary głupiec - mruknął, kierując się ku południowej części miasta.

Był zły na siebie, że pozwolił tamtym zbić się z tropu i nie powiedział im, jak bardzo jest oburzony sposobem traktowania swoich pacjentów. To prawda, że służby szpitalne zajmowały się jego posesją. Zaczęło się to wiele lat temu. Pewnego dnia pracownicy szpitala pojawili się po prostu w jego domu. Hodges nigdy nie prosił o tę pomoc, ale też nie uczynił nic, by położyć jej kres.

Długi spacer wśród mroźnej nocy sprawił, że ochłonął nieco i pozbył się wyrzutów sumienia z powodu korzystania z pomocy służb szpitalnych. W każdym razie nie miało to nic wspólnego z opieką nad pacjentami. Skręcając na nie odśnieżony podjazd swego domu,

postanowił, że zaproponuje pracującym u niego ludziom godziwe wynagrodzenie za ich trud. Nie może pozwolić, by ta sprawa osłabiła wymowę jego protestu przeciw znacznie poważniejszym nieprawidłowościom.

Doszedłszy do połowy podjazdu, Hodges mógł już dostrzec położoną w dole za jego willą łąkę. Padające płatki śniegu sprawiały, że prawie nie widać było owego wysokiego ogrodzenia, które wznosił, by powstrzymać konie Sherwooda od wchodzenia na teren jego posesji. Nigdy nie sprzeda sukinsynowi tego skrawka ziemi. Sherwood wszedł w posiadanie drugiego placu, odbierając go rodzinie, której ojciec był pacjentem Hodgesa - jednym z tych nieszczęśników, których karty przyjęcia do szpitala lekarz miał teraz w kieszeni.

Hodges zszedł z podjazdu i ruszył na skróty, ścieżką biegnącą obok małego stawu przed domem. Dzieci sąsiadów musiały jeździć po nim na łyżwach, ponieważ lód był oczyszczony ze śniegu, a na przeciwległych końcach zamrożonej sadzawki ustawiono bramki. Nad stawem, wśród śnieżnej ciemności, wznosił się dom Hodgesa.

Okrążywszy budynek, lekarz podszedł do bocznych drzwi - prowadziły one do sieni łączącej dom ze stajnią. Otrzepał oblepiający buty

śnieg i wszedł do środka. Nie zapalając światła, zdjął płaszcz oraz kapelusz. Sięgnął do kieszeni i wyjął schowane w niej papiery, po czym wszedł do kuchni, położył je na stole i skierował się ku bibliotece - chciał nalać sobie drinka w zamian za tego, którego nie dopił w barze.

Niecierpliwe pukanie do drzwi zatrzymało go w połowie drogi.

Ze zdumieniem spojrzął na zegarek. Któż mógł przyjść tu o tej porze w taką noc? Zawrócił, przeszedł przez kuchnię i skierował się do sieni.

Rękawem koszuli otarł szron z jednej z wprawionych w drzwi szybek, ale dostrzegł przez nią tylko niewyraźne kontury stojącej na zewnątrz postaci.

- Ciekawe, któż to taki - mruknął pod nosem, przekręcając klucz i otwierając drzwi na oścież. - O! - zdumiał się. - Zważywszy na wszystko, co się stało, to nieco dziwne, że postanowiłeś złożyć mi wizytę. Szczególnie o tej porze.

Popatrzył pytająco na gościa, lecz ten nie odezwał się ani słowem.

Przez otwarte drzwi do sieni wpadały płatki śniegu.

- Do diabła! - westchnął Hodges, wzruszając ramionami. -

Czegokolwiek chcesz, wejdź. - Odsunął się od drzwi i ruszył w stronę kuchni. - Nie oczekuj jednak, że będę odgrywał rolę gościnnego gospodarza.

Wstępując na pojedynczy stopień wiodący do kuchni, odwrócił się, by sprawdzić, czy gościowi udało się porządnie zatrzasnąć za sobą drzwi, i w tym samym momencie kątem oka dostrzegł coś, co z wielką szybkością zbliżało się do jego głowy. Odruchowo zrobił unik.

Ten nagły ruch ocalił mu życie. Płaski metalowy pręt błysnął tuż obok jego głowy i utkwiał w ramieniu, łamiąc kość barkową. Siła uderzenia popchnęła Hodgesa w głąb kuchni.

Zatrzymał się dopiero, gdy wpadł na kuchenny stół. Musiał chwycić się krawędzi, by nie upaść. Z rany wąskim, pulsującym strumyczkiem ciekła krew, zraszając leżące na blacie papiery. Hodges odwrócił się akurat w chwili, gdy napastnik podchodził doń, zamierzając się trzymanym w dłoni prętem, przypominającym wyglądem krótki, płaski łom.

Zanim jednak zdołał zadać kolejny cios, Hodges chwycił go za uniesione ramię, osłabiając siłę uderzenia. Mimo to metal przeciął mu skórę na czole; z tętnicy skroniowej chlusnęła krew.

Desperacko wbił paznokcie w ramię atakującego, instynktownie czując, że nie powinien go puszczać, bo wtedy otrzyma kolejny cios.

Przez chwilę obaj mężczyźni walczyli ze sobą, miotając się po kuchni w śmiertelnym tańcu, objijając się o ściany, przewracając krzesła i tłukąc naczynia. Z poranionego ciała Hodgesa na wszystkie strony tryskała krew.

Napastnik krzyknął z bólu, udało mu się jednak uwolnić ramię z uścisku przeciwnika. Stalowy pręt raz jeszcze uniósł się w górę w przerażającym geście, po czym uderzył w uniesione ramię doktora.

Rozległ się trzask łamanych kości.

Atakujący zamierzył się po raz kolejny, zadając bezbronnemu już Hodgesowi następny cios. Tym razem lekarz nie mógł zasłonić się przed

uderzeniem i metalowy drąg ugodził go prosto w czubek głowy, miażdżąc mu czaszkę i zagłębiając się w mózg.

Hodges ciężko opadł na podłogę. Na szczęście nic już nie czuł.

Rozdział 1

Sobota, 24 kwietnia

- Zbliżamy się do rzeki - powiedział David Wilson do swej córki,

Nikki, siedzącej obok na miejscu dla pasażera. - Czy wiesz, jak się nazywa?

Nikki popatrzyła na ojca swymi mahoniowymi oczyma i odgarnęła z czoła kosmyk włosów. David także obrzucił ją przelotnym spojrzeniem. W jej oczach odbijały się promienie słońca; między źrenicami a tęczówkami pojawiały się chwilami ledwie zauważalne żółte ogniki, doskonale harmonizujące barwą z miodowozłotymi pasemkami w jej włosach.

- Jedyne rzeki, jakie znam - odparła dziewczynka - to Missisipi, Nil i Amazonka. A ponieważ żadna z nich nie płynie przez Nową Anglię, znaczy to, że nie wiem, jaka rzeka znajduje się przed nami.

Ani David, ani jego żona Angela nie potrafili powstrzymać się od śmiechu.

- Co w tym takiego zabawnego? - zapytała z oburzeniem Nikki.

David zerknął we wsteczne lusterko i wymienił z żoną porozumiewawcze spojrzenie. Obojgu przyszła do głowy ta sama myśl -

spostrzeżenie, które poczynili już dawno: Nikki bardzo często

formułowała swe sądy o wiele dojrzalej, niż należałoby oczekiwać od

dziewczynki w jej wieku - miała przecież zaledwie osiem lat. Uważali, że

jest to wyjątkowo urocze i świadczy o jej nieprzeciętnej inteligencji. W

**tym samym czasie uświadomili sobie, że ich córka rośnie znacznie
szybciej, niż powinna, zważywszy na jej problemy ze zdrowiem.**

- Dlaczego się śmialiście? - dopytywała się Nikki.

- Zapytaj o to mamę - odparł David.

- Nie, nie. Uważam, że tata powinien ci to wyjaśnić.

**- Dajcie spokój! - rozzłościła się dziewczynka. - To nie fair. Zresztą
możecie się śmiać, ile chcecie. Nic mnie to nie obchodzi, ponieważ sama
mogę znaleźć nazwę tej rzeki - oświadczyła, sięgając po ukrytą w schowku
na rękawiczki mapę.**

- Jedziemy autostradą numer 89 - przypomniał jej David.

**- Wiem! - obruszyła się Nikki. - Nie potrzebuję od ciebie żadnej
pomocy.**

- Przepraszam - uśmiechnął się Wilson.

**- Mam! - wykrzyknęła po chwili z triumfem. Złożyła mapę tak, by
móc odczytać drobne literki. - To rzeka Connecticut. Nazywa się tak samo
jak stan.**

- Masz rację - powiedział David. - Czego jest granicą?

Nikki ponownie spojrzała na mapę.

- Oddziela stan Vermont od New Hampshire.

**- Znowu masz rację - pochwalił ją ojciec i wskazując przed siebie,
dodał: - Oto i ona.**

**Oboje umilkli, kiedy ich jedenastoletnie błękitne volvo combi
przejeżdżało przez most nad zmierną na południe mętną wodą.**

- Sądzę, że w górach wciąż jeszcze topnieje śnieg - powiedział David.

- Zobaczymy stąd góry? - ucieszyła się dziewczynka.

- O, z pewnością - odrzekł. - Green Mountains. Dojechali do końca mostu. Autostrada skręcała tu nieco na północ.

- Czy teraz jesteśmy już w Vermont? - zapytała Angela.

- Owszem, mamusiu - przytaknęła ze zniecierpliwieniem Nikki.

- Jak daleko jeszcze do Bartlet?

- Nie jestem pewien - odrzekł David. - Chyba około godziny drogi.

W godzinę i kwadrans później volvo Wilsonów przejechało obok

tablicy z napisem: „Witamy w Bartlet, siedzibie Bartlet College”.

David zdjął nogę z pedału gazu i samochód zwolnił. Jechali szeroką

aleją, trafnie nazwaną Main Street*. Ulica wysadzona była wielkimi

dębami, za którymi ciągnęły się białe domki o licowanych drewnem

ścianach. Ich architektura stanowiła mieszanię stylów kolonialnego i

wiktoriańskiego.

- Jak dotąd wygląda tu wprost bajkowo - zauważyła Angela.

- Niektóre z tych miasteczek w Nowej Anglii rzeczywiście sprawiają

wrażenie żywcem przeniesionych z Disneylandu - zgodził się David.

* Main Street (ang.) - ulica Główna.

Stojące wzdłuż ulicy domy stopniowo zaczęły ustępować miejsca

pawilonom handlowym oraz wiktoriańskim budynkom urzędów, w

większości wzniesionym z cegły. Centrum miasta zabudowane było dwu-,

trzy- i czteropiętrowymi ceglanykami kamienicami. Wmurowane w ściany kamienne

tabliczki informowały, kiedy każda z nich powstała. Większość dat

wskazywała na koniec dziewiętnastego i początek dwudziestego wieku.

- Popatrzcie! - zawołała nagle Nikki. - Tu jest kino. - Wskazała na zniszczoną tablicę, na której wielkimi literami wypisano tytuł najnowszego filmu. Obok kina znajdowała się poczta z powiewającą na wietrze postrzępioną amerykańską flagą przy drzwiach.

- Mamy sporo szczęścia, jeśli idzie o pogodę - zauważyła Angela.

Niebo nad ich głowami było błękitne, popstrzone jedynie białymi, pierzastymi obłoczkami. Temperatura przekraczała dwadzieścia stopni.

- Widzicie to? - zapytała Nikki. - Wygląda jak pozbawiony kół trolejbus.

- To wagon restauracyjny - roześmiał się David. - Były bardzo popularne w latach pięćdziesiątych.

Nikki wyprostowała się na swoim siedzeniu i wychylona przez okno w podnieceniu przyglądała się wszystkiemu.

W samym środku miasta odkryli liczne gmachy wzniesione z szarego granitu, o wiele bardziej imponujące od poprzednio oglądanych ceglanych domów. Największe wrażenie zrobił na nich budynek banku ze zwieńczoną blankami wieżą z zegarem.

- To rzeczywiście wygląda jak zamek z Disneylandu - stwierdziła Nikki.

- Jaki ojciec, taka córka - westchnęła Angela. Skierowali się w stronę miejskiego parku, gdzie trawniki przybrały już kolor soczystej zieleni. Na rabatach kwitły krokusy i hiacynty. David zjechał na pobocze i zatrzymał samochód.

- W porównaniu z otoczeniem szpitala miejskiego w Bostonie -
powiedział - jest to wprost rajska widok.

W północnej części parku wznosił się wielki biały kościół, który
uznać by można za brzydki, gdyby nie jego strzeliste, neogotyckie,
ozdobione maswerkami wieże. Dzwonnicę otaczały wspierające łukowe
sklepienie kolumny.

- Przyjechaliśmy kilka godzin przed czasem - stwierdził David. - Jak
sądzisz, co powinniśmy teraz zrobić?

- Czemu nie mielibyśmy pojeździć jeszcze trochę po mieście? -
zapropozowała Angela. - A potem zjemy lunch.

- Świetny pomysł - pochwalił David, wrzucając bieg i ruszając przez
Main Street.

Po zachodniej stronie miejskiego parku znajdowała się biblioteka,
zbudowana, podobnie jak bank, z popielatego granitu. W przeciwieństwie
do tamtego gmachu wyglądała jednak bardziej na włoski pałacyk niż na
zamek. Tuż obok biblioteki mieściła się szkoła podstawowa. David zjechał
na pobocze, aby Nikki mogła ją sobie obejrzeć. Był to okazały,
dwupiętrowy, ceglany budynek z przełomu wieków, przylegający do
wzniesionej całkiem niedawno, nieokreślonej w stylu winiarni.

- Co o tym sądzisz? - zwrócił się do Nikki David.

- Czy tu właśnie będę chodziła do szkoły, jeśli zamieszkamy w tym
mieście? - odpowiedziała pytaniem dziewczynka.

- Prawdopodobnie. Nie sądzę, by w tak małej miejscowości była
więcej niż jedna szkoła podstawowa.

- Jest bardzo ładna - powiedziała wymijająco Nikki.

Jadąc dalej, wkrótce opuścili dzielnicę handlową i znaleźli się pośrodku kampusu Bartlet College. Jego gmachy w większości wybudowano z takiego samego szarego granitu, jaki widzieli już w innych częściach miasta. Wiele z nich obrośniętych było bluszczem.

- Zupełnie tu inaczej niż na Brown University - stwierdziła Angela. -

Co za urocze miejsce.

- Często zastanawiałem się, jak bym się czuł, studiując w takim małym college'u jak ten - wyznał David.

- Nie poznałbyś wtedy mamy - powiedziała Nikki. - No i nie byłoby na świecie mnie.

- Masz rację - roześmiał się Wilson. - W takim razie dobrze zrobiłem, że pojechałem do Brown.

Okrążywszy college, wrócili do centrum miasta. Przejechali przez rzekę Roaring, odkrywając przy tej okazji dwa stare młyny wodne, i David wyjaśnił córce, w jaki sposób wykorzystywano dawniej siłę płynącej wody. W jednym z młynów mieściła się obecnie firma komputerowa, ale jego koło nadal się obracało. Szyld nad wejściem drugiego głosił, iż służy on teraz przedsiębiorstwu o nazwie New England Coat Hanger Company. Zostawili samochód w pobliżu parku i ruszyli pieszo w stronę Main Street.

- To zdumiewające: żadnych napisów, żadnych graffiti i ani jednego bezdomnego - stwierdziła Angela. - Mam wrażenie, jakbyśmy nagle znaleźli się w innym kraju.

- A co sądzisz o mieszkańcach tego miasta? - zapytał David. - Wydają się zachowywać rezerwę wobec przybyszów. Ale nie są nieżyczliwi.

- Wejdę do środka i zapytam, gdzie moglibyśmy coś zjeść - powiedział Wilson, przystając przed sklepem żelaznym Staleya.

Angela skinęła głową. Obie z Nikki poszły w tym czasie obejrzeć wystawę sąsiedniego sklepu z obuwem. Po chwili dołączył do nich David.

- Dowiedziałem się, że wagon restauracyjny jest najlepszym miejscem na szybki lunch, ale najsmaczniejsze jedzenie podają w Iron Horse Inn. Ja głosowałbym za wagonem.

- Ja także - powiedziała Nikki.

- Wobec tego postanowione - stwierdziła Angela

Wszyscy troje zamówili klasyczne hamburgery: z opiekaną bułką, prażoną cebulą i dużą ilością ketchupu. Kiedy skończyli jeść, Angela zostawiła na chwilę męża i córkę samych.

- Nie mogę udać się na rozmowę w sprawie pracy, nie umywszy wcześniej zębów - oświadczyła.

David zapłacił rachunek i zgarnął do kieszeni garść monet, które mu wydano.

Wracając do samochodu, spotkali kobietę, która prowadziła na smyczy jasnożółte szczenię labradora.

- Och, jaki on piękny! - wykrzyknęła Nikki.

Kobieta zatrzymała się uprzejmie, by dziewczynka mogła pogłaskać psa.

- Ile ma tygodni? - zapytała Angela.

- Dwanaście - odparła właścicielka labradora.

- Czy mogłaby nam pani powiedzieć, jak dojechać do Bartlet

Community Hospital? - zapytał David.

- Oczywiście - odparła kobieta. - Musicie państwo minąć park i

skręcić w prawo we Front Street. Dojedziecie nią prosto do bramy szpitala.

Podziękowali kobiecie i ruszyli do samochodu. Nikki szła w taki

sposób, by jak najdłużej nie tracić z oczu szczeniaka.

- Jest taki słodki - westchnęła. - Czy będę mogła mieć psa, jeśli tu zamieszkamy?

David i Angela wymienili spojrzenia. Oboje byli bardzo poruszeni.

Skromna prośba Nikki po wszystkich jej kłopotach ze zdrowiem sprawiła, że serca ścisnęły się im ze wzruszenia.

- Oczywiście, że będziesz mogła mieć psa - odparła Angela.

- I nawet będziesz mogła sama go sobie wybrać - dodał David.

- Och, w takim razie bardzo chcę, byśmy tu zamieszkali -

oświadczyła z przekonaniem dziewczynka. - Czy przeprowadzimy się do tego miasta?

Angela zerknęła na Davida w nadziei, że to on udzieli córce

odpowiedzi, ale mąż pokręcił tylko głową, dając jej do zrozumienia, że nic

nie powie. Musiała więc sama rozmawiać z Nikki, a zupełnie nie

wiedziała, co jej odrzec.

- Osiedlenie się tutaj nie jest łatwą decyzją - stwierdziła w końcu. -

Jest wiele rzeczy, od których to zależy.

- Co na przykład?

- Na przykład to, czy mnie i twego ojca tu zechcą - odparła szczęśliwa, że może poprzestać na tym prostym wyjaśnieniu.

Bartlet Community Hospital był większy i bardziej imponujący, niż David i Angela się spodziewali, choć wiedzieli, że stanowi on centrum medyczne, do którego kierowano chorych z prawie całego stanu.

Pomimo napisu informującego, że parking znajduje się na tyłach budynku. David wjechał na podjazd od frontu i nie gasząc silnika, zatrzymał samochód przed głównym wejściem.

- Jest naprawdę piękny - oświadczył. - Nigdy nie sądziłem, że powiem coś takiego o jakimkolwiek szpitalu.

- Co za widok! - zawtórowała mu Angela.

Szpital wybudowano na stoku wzgórza; budynek zwrócony był frontem na południe. Stał skąpany w promieniach słońca, poniżej zaś, u stóp wzniesienia, rozciągał się widok na całe miasto. Najokazalszym elementem tej panoramy była strzelista wieża kościoła metodystów. W oddali, aż po horyzont, ciągnęły się Green Mountains.

- Lepiej wejdźmy do środka - powiedziała Angela, poklepując męża po ramieniu. - Moja rozmowa kwalifikacyjna ma zacząć się za dziesięć minut.

David wrzucił bieg i okrążył szpital. Na tyłach budynku znajdowały się dwa parkingi, zbudowane jakby na dwóch tworzonych przez zbcze tarasach, jeden wyżej, drugi nieco niżej. Oddzielał je od siebie rząd drzew. Na niższym parkingu, obok tylnego wyjścia, znaleźli miejsca

przeznaczone na samochody gości.

Starannie rozmieszczone wewnątrz budynku tablice informacyjne

czyniły odszukanie biur administracji szpitala rzeczą nad wyraz łatwą.

Życzliwa sekretarka wskazała im gabinet Michaela Caldwella, ordynatora szpitala.

Angela zapukała we framugę otwartych drzwi. Caldwell podniósł

wzrok znad biurka i wstał, by się z nią przywitać. Swą krępa, atletyczną

budową i oliwkową cerą przypominał Angeli Davida. Był też chyba jego

rówieśnikiem - miał około trzydziestu lat - i podobnie jak jej mąż liczył

sobie jakieś sześć stóp wzrostu. Jego włosy również cechowała naturalna

skłonność do układania się w przedziałek na środku głowy, ale na tym

podobieństwo się kończyło. Caldwell miał o wiele twardsze od jej męża

rysy twarzy, a orli nos o wiele węższy.

- Wejdźcie! - zawołał z entuzjazmem. - Proszę! Chodźcie tu wszyscy.

- Szybko ustawił dla nich przed swoim biurkiem dodatkowe krzesła.

David popatrzył na Angelę, czekając na jej decyzję, żona jednak

wzruszyła tylko ramionami. Skoro Caldwell chciał rozmawiać od razu z

całą rodziną, było jej to na rękę.

Przedstawiwszy się, ordynator wrócił za biurko, trzymając w dłoni

teczkę z aktami Angeli.

- Czytałem pani podanie - oświadczył - i doprawdy jestem pod

wrażeniem.

- Dziękuję - odrzekła Angela.

- Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że kobieta może być

patologiem - powiedział. - Ale dowiedziałem się, że coraz więcej pań

wybiera ostatnimi czasy tę specjalność.

- To było do przewidzenia - odparła Angela. - Ten zawód pozwala

pogodzić praktykę medyczną z posiadaniem rodziny. - Popatrzyła

uważnie na Caldwell. Jego ostatnia wypowiedź sprawiła, że poczuła się

niewiele niezręcznie, ale postanowiła przetrwać tę próbę.

- Z udzielonych pani rekomendacji wynika, iż oddział patologii w

Boston City Hospital uważał panią za jednego z najlepszych

pracowników.

- Staralam się, jak mogłam.

- Pani świadectwo ukończenia szkoły medycznej w Columbiu także

robi imponujące wrażenie - uśmiechnął się Caldwell. - Z przyjemnością

zatem zatrudnimy panią w Bartlet Community Hospital. Czy ma pani

jakieś pytania?

- David również stara się o pracę w Bartlet - powiedziała. - W jednej

z głównych organizacji medycznych w tej okolicy: Comprehensive

Medical Vermont.

- Nazywamy tę instytucję po prostu CMV - oświadczył Caldwell. - To

jedyna tego rodzaju placówka w tej części stanu.

- Napisałam w podaniu, że podjęcie przeze mnie pracy jest

uzależnione od tego, czy zatrudnią oni mojego męża. I *vice versa*.

- Wiem o tym - odrzekł Caldwell. - Prawdę mówiąc, pozwoliłem

sobie skontaktować się z CMV i rozmawiałem o podaniu Davida z

dyrektorem Charlesem Kelleyem. Oczywiście, nie była to rozmowa

oficjalna, ale - jak zrozumiałem - pani mąż nie będzie miał kłopotów z podjęciem tam pracy.

- Mam zobaczyć się z panem Kelleyem, gdy tylko skończymy to spotkanie - powiedział David.

- Doskonale - ucieszył się Caldwell. - A więc, doktor Wilson, szpital proponuje pani stanowisko asystentki patologa. Dołączy pani do dwóch innych patologów. Pani wynagrodzenie za pierwszy rok pracy wynosić będzie osiemdziesiąt dwa tysiące dolarów.

Caldwell spuścił wzrok na leżące przed nim papiery, Angela zaś zerknęła na Davida. Osiemdziesiąt dwa tysiące dolarów wydało się jej niemal fortuną po tylu chudych latach. David uśmiechnął się w odpowiedzi, dając do zrozumienia, że podziela jej opinię.

- Zdobyłem także informacje, o które prosiła pani w swoim liście - dodał Caldwell. - Być może jest to coś, o czym powinniśmy porozmawiać w cztery oczy? - powiedział z wahaniem.

- Nie ma takiej potrzeby - odparła Angela. - Jak sądzę, chodzi panu o mukowiscydozę naszej córki. Nikki jest aktywną uczestniczką procesu swego leczenia i nie mamy przed nią żadnych tajemnic.

- To bardzo dobrze - ucieszył się Caldwell, uśmiechając się do dziewczynki. - Dowiedziałem się - ciągnął - iż tu, w Bartlet, jest pacjentka cierpiąca na tę samą chorobę. Nazywa się Caroline Helmsford. Ma dziewięć lat. Umówiłem was na spotkanie z jej lekarzem, doktorem Bertrandem Pilsnerem. Jest jednym z pediatrów CMV.

- Dziękuję, że zadał pan sobie aż tyle trudu - powiedziała Angela.

- Żaden problem - odrzekł Caldwell. - Bardzo nam zależy, żebyście sprowadzili się do naszego uroczego miasta. Muszę jednak wyznać, że wcześniej nie zetknąłem się z żadnym przypadkiem takiej choroby. Być może jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć, abym mógł być w pełni pomocny.

Angela zerknęła na Nikki.

- Może wyjaśnisz panu Caldwellowi, na czym polega mukowiscydoza - zaproponowała.

- To choroba dziedziczna - odrzekła poważnie i fachowo dziewczynka. - Jeśli oboje rodzice są nosicielami genu tego zwyrodnienia, dziecko ma dwadzieścia pięć procent szansy na jego odziedziczenie. Co dwudziestotysięczne dziecko rodzi się chore.

Caldwell skinął głową i próbował zdobyć się na uśmiech. Było coś denerwującego w słuchaniu wykładu wygłaszanego przez ośmiolatkę.

- Główny problem tkwi w układzie oddechowym - ciągnęła Nikki. -

Śluz w płucach jest gęstszy niż u zdrowych ludzi, oczyszczają się więc one z trudem, co sprzyja przekrwieniu i infekcjom. Chroniczny bronchit i zapalenie płuc stanowią najpoważniejsze zagrożenia. Choroba objawia się różnie: niektórzy ludzie przechodzą ją bardzo ciężko, inni, tacy jak ja, muszą tylko uważać, by nie złapać przeziębienia, i prowadzić terapię oddechową.

- To bardzo interesujące - stwierdził Caldwell. - Mówisz o tym jak prawdziwy fachowiec. Gdy dorośniesz, może zostaniesz lekarką, co?

- Mam taki zamiar - odparła Nikki. - Chciałabym specjalizować się w

leczeniu chorób układu oddechowego.

Caldwell wstał i wskazał na drzwi.

- W takim razie, nasi doktorzy i młoda lekarka *in spe* udadzą się teraz do biurowca na rozmowę z doktorem Pilsnerem.

Tylko kilka minut spaceru dzieliło pokoje administracji szpitalnej w starym budynku od nowego biurowca. Przeszli przez drzwi przeciwpożarowe i znaleźli się w długim holu, którego posadzkę - w przeciwieństwie do drugiej części szpitala, gdzie pokrywały ją winylowe płytki - wyłożono puszystym dywanem.

Doktor Pilsner kończył już urzędowanie, ale mimo to uprzejmie zgodził się przyjąć Wilsonów. Gęsta biała broda upodabniała go do Świętego Mikołaja. Nikki natychmiast polubiła tego lekarza, szczególnie że przy powitaniu potraktował ją bardziej jak osobę dorosłą niż dziecko.

- Mamy tu wybitnego terapeuta oddechowego - powiedział lekarz. -

Szpital jest także doskonale wyposażony w sprzęt medyczny, uważam więc, że zajmiemy się Nikki tak dobrze, jak to tylko możliwe. A gdybyśmy

- mówię to na wszelki wypadek - nie potrafili sobie jednak poradzić z jakimś problemem, to mam przyjaciół na oddziale chorób układu oddechowego w Klinice Dziecięcej w Bostonie.

- Świetnie! - ucieszyła się Angela, oddychając z ulgą. - To dla nas bardzo ważne. Odkąd ujawniła się choroba Nikki, przy podejmowaniu wszelkich decyzji mamy na uwadze stan córki.

- To zupełnie zrozumiałe - powiedział doktor Pilsner. - Myślę, że Bartlet będzie dla was doskonałym miejscem ze względu na niskie

zanieczyszczenie środowiska i krystalicznie czyste powietrze. Jeśli tylko wasza córka nie ma uczulenia na pyłki traw i drzew, tutejsze otoczenie z pewnością okaże się dla niej nadzwyczaj zdrowe.

Caldwell odprowadził Wilsonów do biura CMV. Zanim odszedł, musieli mu obiecać, że po rozmowie kwalifikacyjnej Davida wrócą jeszcze do niego.

Recepcjonista CMV wskazał im niewielką poczekalnię, ledwie jednak zdążyli sięgnąć po leżące na stoliku magazyny, w drzwiach pojawił się Charles Kelley, który zaprosił ich do gabinetu.

Kelley był potężnie zbudowanym mężczyzną, wyższym od Davida o całe osiem cali. Twarz miał opaloną, a jasnopolielate włosy przetykały żółtozłote pasemka. Ubrany był w dobrze skrojony, szyty na miarę garnitur. Swym impulsywnym zachowaniem przypominał raczej doskonałego, odnoszącego wielkie sukcesy handlowca niż dyrektora instytucji medycznej.

Uścisknąwszy dłoń Davida, Kelley, podobnie jak Caldwell, zaprosił do siebie całą rodzinę Wilsonów. I tak samo jak tamten przyjął ich ciepło i serdecznie.

- Szczerze mówiąc, potrzebujemy cię tu, Davidzie - oświadczył, składając na biurku zaciśnięte dłonie. - Chcemy, byś stał się członkiem naszego zespołu. Cieszy nas bardzo, że masz doświadczenie w pracy w szpitalu, szczególnie że praktykowałeś w miejscu takim jak Boston City Hospital. Nie wątpię, że naszej placówce bardzo przyda się twoja wiedza i umiejętności.

- Ogromnie miło mi to słyszeć - odparł z zakłopotaniem David.

- CMV szybko się rozwija w tej części Vermont, a szczególnie w samym Bartlet - pochwalił się Kelley. - Mamy udziały w tutejszej walcowni, komputerowej firmie softwarowej oraz wielu innych miejskich przedsiębiorstwach w całym stanie.

- To brzmi tak, jakbyście byli monopolistami - zażartował David.

- Cóż, uważamy, że służy to podnoszeniu jakości świadczeń medycznych i ogranicza ich koszty - odrzekł Kelley.

- Oczywiście - zgodził się David.

- Twoje wynagrodzenie wynosić będzie czterdzieści jeden tysięcy za pierwszy rok - dodał Kelley.

David skinął głową. Wiedział, że żona będzie sobie z niego kpić, pomimo iż spodziewali się, że jej płaca przewyższy jego dochody. Z drugiej strony nie sądzili, że Angela będzie zarabiała aż dwa razy tyle.

- Pokażę ci twój gabinet - oświadczył z ożywieniem Kelley. - To pozwoli ci lepiej zorientować się, w jaki sposób działamy i co będzie należało do twoich obowiązków, kiedy zaczniesz u nas pracować.

David

zerknął

na

żonę.

Kelley

robił

wrażenie

jeszcze

wytrawniejszego kupca niż Caldwell.

Gabinet wydał się Wilsonowi wprost bajeczny. Widok z wychodzącego na południe okna był tak olśniewający, że wyglądał na malarskie arcydzieło.

W poczekalni siedziało czworo pacjentów czytających pisma ilustrowane. David zerknął na Kelleya, czekając na wyjaśnienie.

- Będziesz dzielił ten apartament z doktorem Randallem

Portlandem - poinformował dyrektor. - To chirurg ortopeda. Świetny facet. Stwierdziliśmy, że utrzymywanie wspólnego dla kilku lekarzy zespołu pielęgniarek i rejestratorek pozwala na duże oszczędności.

Zobaczę, czy doktor Portland nie jest zbyt zajęty, by się z nami przywitać.

Kelley podszedł do drzwi, które dotąd wydawały się Davidowi zwykłym lustrem, i zapukał. Drzwi rozsunęły się. Kelley rozmawiał chwilę z recepcjonistką, po czym lustrzana tafla zamknęła się z powrotem.

- Doktor Portland przyjdzie do nas za sekundę - powiedział Kelley, na powrót dołączając do Wilsonów. Czekając na chirurga, zapoznał ich z rozkładem biura: pokazał im pustą, świeżo wyremontowaną salę badań oraz pokój mający stanowić prywatny gabinet Davida. Wszystko wyglądało równie wspaniale jak poczekalnia.

- Witam wszystkich - odezwał się za nimi jakiś głos.

David, Angela i Nikki gwałtownie się odwrócili. Do pokoju wszedł młody, choć poważnie wyglądający mężczyzna, którego Kelley przedstawił im jako doktora Randalla Portlanda. Lekarz przywitał się ze

wszystkimi, nawet z Nikki, z którą - podobnie jak Pilsner - wymienił uścisk dłoni.

- Mów do mnie Randy - powiedział Portland, uśmiechając się do

David, co ten potraktował jako pewnego rodzaju wyróżnienie. - Grywasz w koszykówkę?

- Z rzadka. Ostatnio nie miałem zbyt wiele czasu.

- Mam nadzieję, że zamieszkas w Bartlet. Potrzebujemy kilku nowych graczy. A przynajmniej jednego, który zająłby moje miejsce.

David jedynie uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Miło mi było was poznać, ale teraz niestety muszę wracać do pracy

- powiedział Portland.

- To bardzo zajęty człowiek - wyjaśnił Kelley, kiedy Randy odszedł. -

Mamy w tej chwili tylko dwóch ortopedów, a potrzebujemy trzech.

David odwrócił się i zapatrzył w malowniczy widok rozciągający się za oknem.

- No i co pan na to? - zapytał Kelley.

- Jestem doprawdy pod wrażeniem - odparł David, zerkając na Angelę.

- Musimy to wszystko jeszcze dokładnie przemyśleć - powiedziała.

Pożegnawszy się z Charlesem Kelleyem, cała trójka wróciła do biura

Caldwella, który nalegał, by David i jego żona wybrali się z nim na mały

spacer po szpitalu. Nikki zajęli się ubrani w różowe fartuchy

wolontariusze z oddziału opieki dziennej.

Na początek skierowali się do laboratorium. Angela nie była

zaskoczona, gdy okazało się ono niemal dziełem sztuki. Po zwiedzeniu oddziału patologii, który miał być jej głównym miejscem pracy, Caldwell zabrał ich do szefa oddziału, doktora Benjamin Wadleya.

Był to dystyngowany, siwowłosy, liczący sobie ponad pięćdziesiąt lat dżentelmen. Angeli zdumiewająco przypominał jej ojca.

Po wzajemnej prezentacji doktor Wadley oświadczył, iż doszły go słuchy, że Wilsonowie mają małą córeczkę. Zanim zdążyli odpowiedzieć, poinformował ich ze szczegółami o miejscowym systemie szkolnym.

- Moim dzieciakom nauka tutaj naprawdę dużo dała. Jedno z nich uczy się teraz w Wesleyan w Connecticut, a drugie jest jeszcze w szkole średniej, ale przeszło już przez wstępne egzaminy do Smith College.

Pięć minut później, kiedy ruszyli dalej za oprowadzającym ich Caldwellem, Angela odciągnęła na chwilę męża na bok.

- Czy zauważyłeś podobieństwo między doktorem Wadleyem a moim ojcem? - zapytała szeptem.

- Teraz, kiedy o tym powiedziałaś, tak - odparł David po chwili zastanowienia. - Obaj są tak samo zrównoważeni i budzą zaufanie.

- Sądziłam, że to się bardziej rzuca w oczy.

Następnym miejscem, które zwiedzili, był oddział intensywnej terapii, a zaraz po nim Imaging Center. Na Davidzie szczególne wrażenie zrobił nowy aparat MRI.

- Jest znacznie lepszy od tego, który mieliśmy w Boston City Hospital - stwierdził. - Skąd wzięliście na to pieniądze?

- Imaging Center utworzyło *joint venture* z jednym z tutejszych

lekarzy, doktorem Cantorem - wyjaśnił Caldwell. - Dzięki temu wciąż unowocześniamy nasze wyposażenie.

Potem udali się jeszcze do nowego budynku radioterapeutycznego, który mógł pochwalić się posiadaniem najnowszego akceleratora linearnego, po czym wrócili do głównego budynku szpitalnego, gdzie obejrzeliby nowy oddział intensywnej opieki nad noworodkami.

- Sam nie wiem, co mam powiedzieć - stwierdził David, mocno poruszony tym, co zobaczył, kiedy spacer po szpitalu dobiegł już końca. - Słyszeliśmy, że ta placówka jest świetnie wyposażona, ale to, co ujrzeliśmy, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania.

- Jesteśmy z tego bardzo dumni - odrzekł Caldwell, prowadząc ich z powrotem do swego biura. - Musieliśmy w sposób znaczący wyróżnić się spośród innych szpitali, skoro wygraliśmy konkurs ogłoszony przez CMV. Rywalizowaliśmy z Valley Hospital i Mary Sackler Hospital i na szczęście udało się nam zwyciężyć. Dzięki temu przetrwaliśmy.

- Ale wyposażenie, jakie tu macie, musiało kosztować fortunę - stwierdził David.

- Owszem - zgodził się Caldwell. - Nielatwo jest w dzisiejszych czasach kierować szpitalem, szczególnie że rząd ma obecnie tak wiele do powiedzenia w sprawach służby zdrowia. Dotacje zmniejszają się, a koszty rosną. Doprawdy trudno prowadzić ten interes - powtórzył, wręczając Davidowi lotniczą kopertę. - Znajdziecie tutaj pełny zestaw informacji na temat szpitala. Może to was przekona do podjęcia u nas pracy.

- A co z mieszkaniem? - zapytała po krótkim namyśle Angela.

- Cieszę się, że pani o to pyta - odrzekł Caldwell. - Chciałem właśnie poprosić was o udanie się do Green Mountain National Bank na spotkanie z Bartonem Sherwoodem. Jest on wiceprezesem zarządu szpitala, a także dyrektorem banku. Od niego dowiedcie się, jak miasto wspiera nasz szpital.

Zabrawszy z oddziału opieki dziennej niechętną opuszczeniu tego miejsca Nikki, która doskonale się tam bawiła, Wilsonowie pojechali do banku. I tutaj zostali natychmiast przyjęci.

- Wasze podanie było rozpatrywane w trybie przyśpieszonym podczas ostatniego zebrania zarządu - powiedział Barton Sherwood, odchylając się do tyłu w fotelu i zaczepiając kciukami o kieszonki kamizelki. Był drobnym, sześćdziesięcioletnim mężczyzną o rzadkich włosach i cienkim wąsiku. - Mamy szczerą nadzieję, że dołączycie do naszej bartleckiej rodziny. Aby zachęcić was do tego, pragnę zakomunikować, że Green Mountain National Bank proponuje wam pożyczkę hipoteczną, gdybyście chcieli kupić tutaj dom.

David i Angela słuchali tego z wytrzeszczonymi ze zdumienia oczyma, ledwie oddychając z podniecenia. W najśmielszych marzeniach nie sądzili, że będą mogli pozwolić sobie na kupno domu już w pierwszym roku pracy w Bartlet. Dysponowali niewielką gotówką, mieli za to całą górę uczelnianych długów: ponad sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Sherwood podszedł, by podać im wzór umowy, ale ani Angela, ani

David nie byli w stanie skupić się na szczegółach. Aż do chwili, kiedy na

powrót znaleźli się w samochodzie, nie ośmielili się zamienić ze sobą słowa.

- Nie mogę w to wprost uwierzyć - oświadczył David.

- Zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe - zgodziła się Angela.

- Czy to znaczy, że przeprowadzimy się do tego miasta? - zapytała Nikki.

- Zobaczymy - odrzekła wymijająco Angela.

Ponieważ David prowadził samochód, gdy jechali z Bostonu, Angela

zapropnowała, że w drodze powrotnej ona siądzie za kierownicą.

Podczas podróży David zaczął przeglądać ofiarowany im przez Caldwell'a plik kartek z informacjami o szpitalu.

- To bardzo ciekawe - stwierdził. - Mam tu wycinek z lokalnej gazety, dotyczący podpisania kontraktu pomiędzy Bartlet Community Hospital a CMV. Piszą, że do zawarcia tej umowy doszło, kiedy zarząd szpitala, pod przewodnictwem niejakiego Harolda Traynora, zgodził się w końcu z żądaniem CMV, by wprowadzić comiesięczne, bliżej nieokreślone składki na rzecz szpitala - popieraną przez HMO metodę redukcji wydatków, do której zachęcał także rząd.

- Jest to doskonały przykład, jak szpitale i lekarze bywają zmuszani do kapitulacji - orzekła Angela.

- Masz rację - zgodził się David. - Akceptując składki, szpital przekształcił się niejako w towarzystwo ubezpieczeniowe. Przyjął tym samym częściową odpowiedzialność za leczenie członków CMV.

- Co to są te składki? - dopytywała się Nikki.

- Pewna organizacja wpłaca szpitalowi określoną kwotę pieniężną za każdego swego członka - wyjaśnił David, oglądając się przez ramię. - To gwarantuje mu, jeśli zajdzie taka potrzeba, bezpłatne leczenie w tej placówce.

Zdumione spojrzenie Nikki świadczyło o tym, że dziewczynka nadal nie rozumie.

- Pozwól, że objaśnię ci to na przykładzie - spróbował jeszcze raz David. - Dajmy na to, że CMV płaci co miesiąc Bartlet Hospital tysiąc dolarów za każdego swego członka. Za to, jeśli któraś z osób, obojętnie z jakiego powodu, wymaga leczenia, może przebywać w szpitalu całkiem za darmo - CMV nie musi już dopłacać ani centa. Jeżeli zaś nikt w ciągu jakiegoś miesiąca nie zachoruje, szpital zgarnia ogromną sumę. Jak jednak myślisz, co się stanie, jeśli wszyscy, za których płacone są składki, zachorują równocześnie?

- Sądzę, że to jest dla niej za trudne - wtrąciła się Angela.

- Rozumiem - przerwała jej Nikki. - Gdyby wszyscy zachorowali, szpital musiałby zbankrutować.

David uśmiechnął się z satysfakcją, wymierzając Angeli żartobliwego kuksańca w zebro.

- Słyszałaś? - zapytał z triumfem. - Moja krew.

Kilka godzin później byli już z powrotem w Bostonie. Angela miała szczęście, udało jej się bowiem zaparkować zaledwie o jedną przecznicę od ich domu. David delikatnie obudził Nikki, która po drodze zasnęła.

Wszyscy troje ruszyli do domu i wspięli się po schodach do mieszkania na

trzecim piętrze.

- Och, nie! - wykrzyknęła Angela, która pierwsza zbliżyła się do drzwi.

- Co się stało? - zapytał David, zerkając jej przez ramię.

Angela wskazała na szczelinę przy framudze. David pchnął lekko klamkę i drzwi otworzyły się, nie stawiając żadnego oporu. Wszystkie trzy zamki były wylamane.

Zapalili światło. W mieszkaniu panował straszliwy bałagan: meble były przewracane, a podłogę zaścielały wyrzucone ze ściennych szaf i szuflad ubrania.

- Och, nie! - jeszcze raz krzyknęła Angela, zalewając się łzami.

- Daj spokój - próbował pocieszyć ją David. - Co się stało, to się nie odstanie. Nie wpadaj w histerię.

- Co to znaczy „nie wpadaj w histerię”? - zapytała ze łzami Angela. -

Włamano się do naszego mieszkania. Skradziono nam telewizor...

- Kupimy sobie nowy - odparł spokojnie David.

Nikki wróciła ze swego pokoju i oświadczyła, że nic w nim nie ruszono.

- Dzięki Bogu choć za to - mruknął ojciec.

Angela zniknęła w drzwiach sypialni, podczas gdy on udał się do kuchni. Oprócz stojącego na stole częściowo opróżnionego pojemnika z rozmiękłymi lodami nie zastał w kuchni żadnych zmian.

Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer 911. Kiedy czekał na połączenie, w drzwiach ukazała się zapłakana Angela, trzymając w dłoni

niewielką szkatułkę na kosztowności.

- Proszę cię, nie mów nic rozsądnego - wyjąkała przez lzy. - Nie

pocieszaj mnie, że mogę kupić sobie nową biżuterię.

- W porządku - zgodził się David. Angela otarła mokrą twarz o jego rękaw.

- To włamanie jeszcze mocniej utwierdza mnie w przekonaniu, że powinniśmy przenieść się do Bartlet - oświadczyła. - W tej chwili jestem bardziej niż kiedykolwiek gotowa porzucić duże miasto ze wszystkimi jego wadami.

- Osobiście nie mam nic przeciwko niemu - powiedział doktor

Randall Portland do swej żony, Arlene, kiedy wstali od kolacji. Dwaj ich synowie, Mark i Allen, pomagali sprzątać ze stołu. - Po prostu nie chcę dzielić gabinetu z internistą.

- Dlaczego? - zapytała Arlene, odbierając naczynia z rąk synów i zgarniając resztki jedzenia do kosza na śmieci.

- Ponieważ nie życzę sobie, aby moi pacjenci po ortopedycznych operacjach stykali się w poczekalni z tłumem chorych ludzi - oświadczył gniewnie Randy, zakorkowując z powrotem napoczętą butelkę wina i chowając ją do lodówki.

- Rozumiem - kiwnęła głową Arlene. - W pierwszej chwili obawiałam się, że chodzi o jakąś dziecianną rywalizację pomiędzy chirurgiem a internistą...

- Nie kpij sobie - mruknął przygnębiony lekarz.

- No cóż, chyba pamiętasz te wszystkie złośliwe dowcipy o

internistach, które powtarzałeś, kiedy byłeś jeszcze na stażu? -

przypomniała mu żona.

- To było tylko takie gadanie - odparł Randy. - Teraz jednak to co innego. Nie chcę, żeby moi pacjenci mieli kontakt z zainfekowanymi pacjentami innego lekarza. Możesz to nazwać egoizmem, wszystko mi jedno, ale obawiam się nieprzewidzianych komplikacji u leczonych przeze mnie ludzi i to wprawia mnie w przygnębienie.

- Czy możemy pooglądać telewizję? - zapytał Mark.

Za jego plecami stał Allen, wpatrując się w rodziców swymi anielskimi, ogromnymi oczyma. Starszy z chłopców miał siedem lat, młodszy o rok mniej.

- Uzgodniliśmy już... - zaczęła Arlene, umilkła jednak w pół zdania.

Nie potrafiła oprzeć się błagalnemu spojrzeniu dzieci. Prócz tego miała ochotę pobyć jeszcze przez chwilę sam na sam z Randym. - W porządku. Ale nie dłużej niż pół godziny.

- Hurra! - wykrzyknął Mark. Allen zawtórował mu jak echo i obaj zniknęli w bawialni.

Arlene ujęła Randy'ego pod ramię i powiodła do salonu. Wskazała mu miejsce na kanapie, sama zaś usadowiła się na krześle naprzeciwko niego.

- Nie lubię, kiedy mówisz takim tonem- oświadczyła. - Czy wciąż jeszcze jesteś przygnębiony śmiercią Sama Flemminga?

- Oczywiście, że jestem przygnębiony śmiercią Sama - przytaknął poirytowany Randy. - W ciągu całej mojej praktyki nie umarł żaden z

moich pacjentów. A teraz straciłem aż trzech.

- To są rzeczy od ciebie niezależne - próbowała pocieszyć go Arlene.

- Żaden z nich nie powinien był umrzeć, skoro znajdowali się pod moją opieką - zachnął się Randy. - Jestem chirurgiem i powinienem wziąć pod uwagę niebezpieczeństwo pogorszenia się ich stanu zdrowia.

- Sądzę, że znowu popadasz w depresję - stwierdziła Arlene.

- Rzeczywiście, mam kłopoty z zasypianiem - zgodził się z nią mąż, wzdychając ciężko.

- Może powinniśmy zadzwonić do doktora Fletchera?

Zanim Randy zdążył odpowiedzieć, rozległ się dzwonek telefonu.

Arlene wzdrygnęła się. Nauczyła się nienawidzić tego dźwięku, szczególnie wówczas, kiedy któryś z pacjentów męża był tuż po operacji.

Podniosła słuchawkę dopiero po drugim dzwonku, mając nadzieję, że dzwoni po prostu ktoś znajomy. Niestety, tak nie było. Usłyszała głos dyżurnej pielęgniarki z Bartlet Community Hospital, która chciała rozmawiać z doktorem Portlandem.

Arlene z lękiem podała słuchawkę mężowi. Randy wziął ją niechętnie do ręki i zbliżył do ucha. Przez moment słuchał w milczeniu, po czym z pobladłą twarzą powoli odłożył słuchawkę na widelki i popatrzył żonie prosto w oczy.

- Chodzi o kolano, które operowałem dziś rano - powiedział. -

William Shapiro. Jest z nim źle. Nie mogę wprost w to uwierzyć.

Wystąpiły

te

same

objawy:

gorączka

i

utrata

świadomości.

Prawdopodobnie świadczy to o zapaleniu płuc.

Arlene podeszła do męża i objąwszy go ramieniem, przytuliła się doń.

- Tak mi przykro - szepnęła, nie wiedząc, co powiedzieć. Randy nie odpowiedział ani nie poruszył się. Przez kilka minut trwali tak w milczeniu, po czym delikatnie uwolnił się z objęć żony i ruszył ku tylnym drzwiom domu. Przez kuchenne okno Arlene patrzyła, jak zjeżdża samochodem z podjazdu przed garażem i włącza się w ruch uliczny. Westchnęła i bezradnie potrząsnęła głową. Martwiła się o męża, ale zupełnie nie wiedziała, jak mogłaby mu pomóc.

Rozdział 2

Poniedziałek, 3 maja

Harold

Traynor

przesunął

palcami

po

mahoniowym,

inkrystowanym złotem młotku licytatorskim, który kupił sobie w Bostonie. Stał u szczytu stołu w szpitalnej sali konferencyjnej. Przed nim znajdował się osobiście przez niego kupiony pulpit, na którym leżały w nieładzie notatki. Rankiem tego dnia polecił je przepisać na maszynie swej sekretarce. Prostując się, zerknął na środek stołu, gdzie jak zwykle ułożono najróżniejszy sprzęt medyczny, który miał zostać poddany ocenie przez zarząd szpitala. Ponad zgromadzonymi tu narzędziami i aparatami górował model wielopoziomowego garażu.

Traynor spojrział na zegarek. Była dokładnie szósta po południu.

Ująwszy młotek, uderzył nim kilka razy w podstawkę. Zwracanie uwagi na drobiazgi oraz punktualność to zalety, które szczególnie cenił.

- Niniejszym witam na zebraniu zarządu Bartlet Community

Hospital - zaczął tak pompatycznie, jak tylko potrafił. Za wszelką cenę pragnął robić wrażenie osoby dostojnej. Z tego powodu włożył nawet swój najlepszy, prążkowany garnitur i lakierki. Liczył sobie zaledwie pięć stóp i siedem cali wzrostu i jeśli chodziło o sylwetkę, czuł się oszukany przez naturę. Jego ciemne, rzędzące włosy były starannie ostrzyżone i zaczesane tak, by skrywały łysinę na czubku głowy. Traynor poświęcał wiele czasu i wysiłku na przygotowanie zebrań zarządu szpitala, aby prowadzenie ich dawało mu jak największe zadowolenie. Tego dnia miał za sobą całodniową podróż do Montpelier, po której udał się prosto do domu, by wziąć prysznic i zmienić ubranie. Nie starczyło mu czasu nawet na wstąpienie do biura. Poza prezesowaniem zarządowi szpitala Harold Traynor pełnił funkcję radnego Bartlet i specjalizował się w planach

zagospodarowywania terenu oraz sprawach podatkowych. Był również biznesmenem, mającym udziały w wielu dochodowych przedsiębiorstwach w mieście.

Przy stole siedzieli Barton Sherwood, wiceprezes zarządu, Helen Beaton, dyrektor administracyjny szpitala, Michael Caldwell, ordynator, Richard Arnsworth, skarbnik, Clyde Robeson, sekretarz, oraz doktor Delbert Cantor, szef personelu medycznego.

Ściśle przestrzegając parlamentarnej procedury opisanej w *Zasadach zarządzania*, którą to książkę nabył zaraz po wybraniu go na stanowisko prezesa zarządu, Traynor poprosił Clyde'a Robesona o przeczytanie protokołu z poprzedniego zebrania.

Gdy tylko protokół został przyjęty, Traynor odchrząknął, przygotowując się do złożenia swego comiesięcznego raportu. Powiódł wzrokiem po członkach komitetu wykonawczego, by upewnić się, czy wszyscy słuchają go uważnie. Oprócz doktora Cantora, który w typowy dla siebie sposób, ze znudzoną miną, czyścił sobie paznokcie, wszyscy wpatrywali się weń w skupieniu.

- Bartlet Community Hospital stoi przed poważnym wyzwaniem - zaczął Traynor. - Jako duże centrum medyczne zdołaliśmy uniknąć pewnych finansowych problemów, z jakimi borykają się mniejsze szpitale, niestety, nie wszystkie kłopoty zostały nam oszczędzone.

Musimy pracować jeszcze ciężiej, niż czyniliśmy to w przeszłości, by nasza placówka zdołała przetrwać te ciężkie dni. I w tym ciemnym okresie zdarzają się jednak jaśniejsze punkty. Jak niektórzy z was bez wątpienia

słyszeli, pewien nasz znamienity pacjent, William Shapiro, zmarł w zeszłym tygodniu na zapalenie płuc, które wywiązało się po operacji kolana. Wyrażając żal z powodu przedwczesnej śmierci pana Shapiro, mam mimo to przyjemność oficjalnie poinformować państwa, że pacjent ów z nadzwyczajną hojnością zapisał szpitalowi w spadku swą wartą trzy miliony dolarów polisę ubezpieczeniową.

Wśród zgromadzonych rozległ się pomruk aprobaty. Traynor uniósł dłoń, prosząc o ciszę.

- Nie mogliśmy dostać owych pieniędzy w lepszym czasie. Dzięki nim spłacimy nasze zobowiązania, choć oczywiście musimy mieć świadomość, że suma ta nie na długo nam wystarczy. Niestety, muszę zakomunikować także złą wiadomość: wszystko wskazuje na to, że z wciąż malejącego funduszu przeznaczonego na obsługę naszego głównego kontraktu nie da się pokryć wszystkich planowanych wydatków.

Traynor popatrzył na Sherwooda, który nerwowo potarł dłonią wąsy.

- Fundusz zatem musi zostać zasilony - ciągnął Traynor. - Spora część owej trzymilionowej darowizny zostanie przeznaczona właśnie na ten cel.

- To nie jest tylko moja wina - wybuchnął Sherwood. - Nalegano, bym podniósł do maksimum wpłaty na fundusz. A to wiązało się z ryzykiem.

- Nie udzielono panu głosu - przerwał mu z naganą Traynor. Przez chwilę Sherwood sprawiał wrażenie, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć,

zachował jednak milczenie.

Traynor popatrzył w swoje notatki, starając się na powrót zebrać myśli po wybuchu Sherwooda. Nienawidził bałaganu.

- Dzięki darowiźnie pana Shapiro - powiedział, wracając do przerwanego wątku - znaczne uszczuplenie funduszu ostatnimi czasy zostanie zrekompensowane. Problemem pozostanie nadal to, by żadna kontrola z zewnątrz nie zwęszyła, że mamy kłopoty. Nie możemy sobie pozwolić na niewywiązywanie się ze zobowiązań. Wynika z tego, że będziemy zmuszeni odłożyć sprawę budowy wielopoziomowego parkingu aż do chwili, gdy zdobędziemy nowe fundusze. Aby zaś tymczasowo zmniejszyć niebezpieczeństwo grożące naszym pielęgniarkom, poleciłem Helen Beaton, by dopilnowała założenia oświetlenia na dolnym parkingu. Traynor powiódł wzrokiem po sali. Zgodnie z tym, co napisano w *Zasadach zarządzania*, sprawa ta powinna zostać zaprezentowana jako propozycja, przedyskutowana i przegłosowana, wyglądało jednak na to, że nikt nie ma ochoty zabierać głosu.

- Ostatni punkt naszego spotkania dotyczy doktora Dennisa Hodgesa - oświadczył Traynor. - Jak wszyscy wiecie, doktor Hodges zniknął w marcu tego roku. W zeszłym tygodniu spotkałem się z szefem tutejszej policji, Wayne'em Robertsonem, żeby o tym porozmawiać. Nie znaleziono żadnego śladu, który wskazywałby na miejsce pobytu Hodgesa. Nie ma też najmniejszej poszlaki, że przytrafiło mu się coś złego, chociaż szeryf Robertson przyznaje, że im dłużej pozostaje on zaginiony, tym większe jest prawdopodobieństwo, że już nie żyje.

- A ja sędzę, że jest wręcz przeciwnie - stwierdził doktor Cantor. -

Znając tego sukinsyna, najprawdopodobniej siedzi sobie teraz na Florydzie, śmiejąc się do rozpuku za każdym razem, ilekroć pomyśli, jak grzęzniemy tutaj w całym tym biurokratycznym gównie.

Traynor zastukał swym licytatorskim młotkiem.

- Proszę o spokój! - krzyknął. - Musimy zachować porządek. Cantor skrzywił się z pogardą, ale nie powiedział już ani słowa. Traynor popatrzył nań z dezaprobatą.

- Niezależnie od tego, jakie osobiste uczucia żywimy wobec doktora Hodgesa, pozostaje faktem, iż odegrał on znaczącą rolę w historii szpitala. Gdyby nie on, ta placówka byłaby do dziś małym wiejskim ośrodkiem. Jego praca zasługuje na nasz szacunek. Chciałbym też poinformować zarząd, że żona doktora Hodgesa zdecydowała się sprzedać dom - już kilka lat wcześniej przeniosła się wszak do swego rodzinnego stanu. Do niedawna żywiła jeszcze nadzieję, że jej zaginiony mąż odnajdzie się, ale po rozmowie z szeryfem Robertsonem postanowiła ostatecznie zerwać swoje związki z Bartlet. Wspomniałem o tej sprawie dlatego, iż sędzę, że w najbliższej przyszłości zarząd podejmie jakieś kroki, by upamiętnić ogromny wkład doktora Hodgesa w rozwój Bartlet Community Hospital.

Skończywszy, Traynor zebrał ze stołu notatki i formalnie przekazał głos Helen Beaton, która miała przedstawić swoje miesięczne sprawozdanie. Kobieta wstała z miejsca. Miała koło trzydziestu pięciu lat. Jej krótko przyszczyżone, rudo-brązowe włosy okalały szeroką, nieco

podobną do oblicza Traynora twarz. Nosiła przypominającą jej służbowy strój jasnoniebieską garsonkę, ozdobioną jedwabną apaszką.

- Rozmawiałam w tym miesiącu z kilkoma organizacjami obywatelskimi - powiedziała. - Przy każdej okazji mówiłam o finansowym położeniu szpitala. Stwierdziłam, że większość ludzi nie ma pojęcia o naszych kłopotach, pomimo iż sprawy służby zdrowia są prawie codziennie poruszane na łamach gazet i w telewizji. Tym, na co najczęściej zwracałam uwagę swoich rozmówców, było ekonomiczne znaczenie, jakie szpital ma dla miasta i jego okolic. Jasno wykazywałam, że jeśli ta placówka zostałaby zamknięta, straciliby na tym wszyscy - bądź co bądź w tej części stanu zatrudnia ona największą liczbę osób.

Przypominałam również, że na szpital nie idą żadne pieniądze z podatków, zatem fundusz, o którym mówił pan prezes, był i pozostanie jedyną drogą uchronienia przed zamknięciem.

Beaton zamilkła na chwilę, przewracając stronę w swoim notesie.

- Przejdę teraz do złych wieści - westchnęła, spoglądając na kilka leżących przed nią wielkich wykresów, które miały ilustrować jej słowa.

Podniosła je do góry, tak by wszyscy mogli się im przyjrzeć. - Limit wydatków w kwietniu został przekroczony o dwanaście procent. W stosunku do marcaienne koszty wzrosły o osiem procent, a średnia długość pobytu pacjenta w szpitalu zwiększyła się o sześć procent.

Wyraźnie widać, że jest to stała tendencja, i zapewne nasz skarbnik, Richard Arnsworth, także zwrócił na to uwagę. Na koniec muszę powiedzieć - oświadczyła, pokazując kolejny wykres - że ostatnimi czasy

znacznie spadł wskaźnik wykorzystania oddziału intensywnej terapii, który to, jak zapewne wiecie, nie jest objęty naszą umową z CMV. Co gorsza, zarząd tej instytucji odmówił pokrywania kosztów utrzymania oddziału, twierdząc, że byłoby to wbrew ich wewnętrznym przepisom.

- Do diabła, przecież to nie wina szpitala! - zachnął się doktor

Cantor.

- CMV nie dba o takie szczegóły - odparła Beaton. - W rezultacie byliśmy zmuszeni wystawiać rachunki bezpośrednio pacjentom, co ze zrozumiałych względów budziło ich sprzeciw. Większość z nich odmówiła zapłaty, mówiąc, byśmy zwrócili się o pieniądze do CMV.

- Służba zdrowia przeradza się w koszmar - westchnął Sherwood.

- Powiedz to swemu reprezentantowi w Waszyngtonie - poradziła Beaton.

- Nie zbaczajmy z tematu - przywołał ich do porządku Traynor.

- Jakość świadczonych w kwietniu usług nie odbiega od oczekiwań - ciągnęła Beaton, zerkając w swoje notatki. - Mieliśmy znacznie mniej sygnałów o kłopotach niż w marcu, nikt też nie skarżył się na niewłaściwe leczenie.

- Oby ten cud trwał nadal - szepnął Cantor.

- Inna niepokojąca rzecz, jaka miała miejsce w kwietniu, dotyczy agitacji związków zawodowych - powiedziała Beaton. - Doniesiono nam, że jej obiektem stał się zarówno wydział zaopatrzenia, jak i szpitalna kuchnia. Nie muszę chyba mówić, że może się to w dużym stopniu przyczynić do powstania kolejnych problemów finansowych.

- Jeden kłopot za drugim - westchnął Sherwood.

- Pozostaje jeszcze sprawa nie do końca wykorzystanego

akceleratora linearnego oraz oddziału intensywnej opieki nad

noworodkami. Ponieważ koszty ich utrzymania są nadzwyczaj wysokie, w

kwietniu rozmawiałam o tym z CMV. Podkreśliłam, iż to właśnie władze

CMV życzyły sobie, by nie likwidować tych oddziałów. Obiecano mi, że do

Bartlet będą kierowani pacjenci z rejonów, w których szpitale nie

świadczą takich usług, a koszty ich leczenia zostaną nam oczywiście

zwrócone.

- To mi przypomina - wtrącił się Traynor, który jako

przewodniczący uzurpował sobie prawo wchodzenia każdemu w słowo -

że trzeba dowiedzieć się, jaki status ma nasz stary aparat kobaltowy,

który zastąpiliśmy akceleratorem linearnym. Czy stanowe biuro

licencyjne lub komisja ds. badań nuklearnych wysuwały jakieś żądania co

do tego sprzętu?

- Ani słowa - odpowiedziała Beaton. - Poinformowaliśmy ich, że

zamierzamy sprzedać go rządowemu szpitalowi w Paragwaju.

- Nie życzę sobie żadnego biurokratycznego zamieszania wokół tego

aparatu - ostrzegł Traynor.

Beaton skinęła głową i sięgnęła po ostatnią stronę swoich notatek.

- Obawiam się, że na koniec również mam dla państwa niewesołą

wiadomość. Ostatniej nocy, tuż przed północą, na szpitalnym parkingu po

raz kolejny usiłowano dokonać gwałtu.

- Co?! - wykrzyknął Traynor. - Dlaczego nie zostałem o tym

poinformowany?

- Dowiedziałam się o napadzie dopiero rano - wyjaśniła Beaton. -

Próbowałam natychmiast do ciebie zadzwonić, ale cię nie było.

Zostawiłam wiadomość, żebyś do mnie oddzwonił, nie uczyniłeś tego jednak.

- Przez cały dzień byłem w Montpellier - wyjaśnił Traynor, z

niedowierzaniem potrząsając głową. - Do licha, musimy położyć temu kres. To po prostu koszmar. Włos mi się jeży na myśl, co powie o tym wszystkim CMV.

- Bardzo potrzebujemy tego wielopoziomowego parkingu -

stwierdziła Beaton.

- Ta sprawa musi poczekać, aż będziemy mogli pokryć zobowiązania wynikające z kontraktu - odparł Traynor. - Mam jednak nadzieję, że

światła na parkingu zostaną szybko zainstalowane, rozumiemy się?

- Rozmawiałam już o tym z Wernerem Van Slyke'em - powiedziała

Beaton. - Mówi, że skontaktował się w tej sprawie z jedną z firm

elektrycznych. Mogę obiecać, że osobiście dopilnuję sprawy oświetlenia.

Traynor opadł ciężko na krzesło i przygryzł wargi.

- Człowiek dostaje białej gorączki, prowadząc szpital w tych

warunkach. Dlaczego się na to zgodziłem? - Zerknął na kartkę, gdzie

zapisany miał porządek obrad, i oddał głos skarbnikowi, Richardowi

Arnsworthowi, który miał przedstawić miesięczne sprawozdanie.

Arnsworth wstał z miejsca. Miał wygląd typowego księgowego:

schludny, w okularach i o tak cichym głosie, że wszyscy musieli wyęczać

sluch, by go uslyszec. Zaczal od omowienia bilansu, ktorego wyniki

wszyscy otrzymali rano na rozdanych przez personel kartkach.

**- Wyraznie widać - powiedzial Arnsworth - ze miesieczne wydatki
ciagle znacząco przekraczaja skladki wplacane przez CMV. Różnica
między tymi dwiema kwotami wciąż rośnie - wprost proporcjonalnie do
zwiększania się liczby pacjentów i wydłużania się czasu ich pobytu w
szpitalu. Tracimy również mnóstwo pieniędzy na wszystkich pacjentów
nie figurujących w rejestrze CMV oraz biedotę nie ujętą w żadnym spisie.
Procent pacjentów placących rachunki lub tych, którzy mają standardowe
polisy ubezpieczeniowe, jest tak niewielki, że w żaden sposób wpływy
pochodzące z tego źródła nie są w stanie pokryć naszych nakładów.
Rezultatem przedłużania się tego stanu jest coraz to gorsza sytuacja
finansowa szpitala. W związku z tym proponuję zmianę częstotliwości
zbierania składek półrocznych na miesięczne.**

- Już się tym zająłem - odezwał się Sherwood.

**Arnsworth usiadł i Traynor zarządził głosowanie nad przyjęciem
jego raportu. Zaakceptowano go jednogłośnie. Następnie przewodniczący
poprosił doktora Cantora o złożenie sprawozdania z pracy personelu
medycznego.**

**Cantor powoli wstał z miejsca i oparł dłonie na stole. Był wysokim,
potężnie zbudowanym mężczyzną o ziemistej cerze. W przeciwieństwie
do przedmówców nie korzystał z żadnych notatek.**

**- Chcę dziś omówić tylko kilka spraw - zaczął. Traynor zerknął na
Beaton i uchwyciwszy jej spojrzenie, z niesmakiem potrząsnął głową.**

Nienawidził obcesowego zachowania Cantora na ich spotkaniach. -

Wszyscy anestezjolodzy są gotowi do pracy - mówił Cantor - ale właściwe byłoby oficjalne poinformowanie ich teraz, że szpital przejmuje kontrolę nad ich oddziałem i że będą otrzymywać za pracę normalne pensje.

Wiem, jak się czują, ponieważ znalazłem się w tej samej sytuacji za kadencji Hodgesa.

- Uważasz, że będą narzekać? - zapytała Beaton.

- Oczywiście - odrzekł Cantor.

- A niech narzekają - zachnął się Traynor. - Takie rozwiązanie świetnie zdało już egzamin w wypadku patologii i radiologii. Nie mogą nadal pozostawać na prywatnym rozrachunku, kiedy my utrzymujemy się ze składek. To nie miałyby sensu.

- Wybrano już nowego menedżera, który ma się zająć wykorzystaniem sprzętu szpitalnego - zmienił temat Cantor. - Nazywa się Peter Chou.

- Czy doktor Chou może rozwiązać nasze problemy? - zapytał Traynor.

- Wątpię - odrzekł Cantor. - Nie chciał nawet przyjąć tego stanowiska.

- Porozmawiam z nim - obiecała Beaton. Traynor skinął głową.

- Ostatnia sprawa dotyczy personelu medycznego - oświadczył Cantor. - Mam tu na myśli M. D. 91. Powiedziano mi, że przez ostatni miesiąc nie upił się ani razu.

- Zostawmy go więc na próbę na tych samych warunkach -

zdecydował Traynor. - Nie dajmy się zwieść. Zdarzało mu się już przecież na nowo popadać w nałóg.

Doktor Cantor usiadł.

Prezes zarządu zapytał, czy są jeszcze jakieś sprawy, a ponieważ nikt się nie zgłosił, poprosił o pozwolenie na zakończenie zebrania. Po entuzjastycznym „nareszcie” Cantora oraz chóralnym „tak” pozostałych uczestników zastukał młotkiem w stół, kończąc w ten sposób naradę.

Traynor i Beaton powoli zbierali ze stołu swoje notatki. Wszyscy inni opuścili już szpital, kierując się wprost do Iron Horse Inn. Kiedy za wychodzącą grupą zamknęły się zewnętrzne drzwi budynku, Traynor popatrzył na Beaton, po czym podszedł do niej i zamknął ją w namiętym uścisku.

Ramię w ramię pośpiesznie wyszli z sali konferencyjnej i skierowali się ku stojącej w biurze Helen kanapie. Podobnie jak po każdym zebraniu komitetu wykonawczego gorączkowo kochali się w półmroku. Ich romans trwał już prawie od roku, a schadzki nigdy nie zabierały im zbyt wiele czasu. Nie zawracali sobie nawet głowy zdejmowaniem ubrań.

- Uważam, że to było dobre zebranie - powiedział Traynor, kiedy szykując się do wyjścia, poprawiali stroje.

- Owszem - zgodziła się Beaton, zapalając światło i podchodząc do wiszącego na ścianie lustra. - Podobał mi się sposób, w jaki podjąłeś decyzję o założeniu oświetlenia na parkingu. Uniknąłeś niepotrzebnej dyskusji.

- Dziękuję - uśmiechnął się z zadowoleniem prezes.

- Martwię się jednak finansową sytuacją szpitala - dodała kobieta, poprawiając makijaż. - Stoimy u progu bankructwa.
- Masz rację - przyznał z westchnieniem Traynor. - Ja także się tym martwię. Z przyjemnością skręciłbym karki paru facetom z CMV. Co za ironia losu, że owa tak zwana „zdrowa konkurencja” popycha nas w stronę bankructwa. Przez cały rok negocjacji z CMV balansowaliśmy nad przepaścią. Gdybyśmy nie zgodzili się na składki i nie podpisali z nimi umowy, musielibyśmy zamknąć interes, podobnie jak to uczynił Valley Hospital. Ale mimo zgody na ich warunki wciąż grozi nam likwidacja.
- Wszystkie szpitale borykają się z kłopotami - stwierdziła Beaton. - Powinniśmy o tym pamiętać, choć to oczywiście żadne pocieszenie.
- Czy sądzisz, że jest jakakolwiek szansa na renegotjowanie kontraktu z CMV? - zapytał Traynor.
- Nie ma żadnej - uśmiechnęła się gorzko Helen.
- Nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić - zastanawiał się prezes. - Tracimy pieniądze, pomimo planu DNO, zaproponowanego przez doktora Cantora.
- Beaton zaśmiała się perliście.
- Musimy zmienić ten akronim. Brzmi okropnie. Co byś powiedział na zmianę Drastycznego Nakazu Oszczędzania na Drastyczne Ograniczenie Kosztów? DOK brzmi o wiele lepiej niż DNO.
- Mnie się podoba DNO - stwierdził Traynor. - Przypomina mi to, jak głupio postąpiliśmy, godząc się na tak niskie składki.
- Caldwell i ja wpadliśmy na pewien pomysł, który mógłby

rozwiązać nasze problemy - powiedziała Beaton, przysuwając sobie krzesło.

- Czy nie powinniśmy już pojechać do Iron Horse? - zaniepokoił się Traynor. - Musimy dbać, by nikt nie nabrał podejrzeń. To małe miasto.

- Zajmie nam to tylko chwilę - obiecała Beaton. - Caldwell i ja zastanawialiśmy się ostatnio nad konsultantami, wynajętymi po to, by ustalili stawkę składek, które teraz okazały się zbyt niskie.

Uświadomiliśmy sobie, iż dostarczyliśmy im wtedy szpitalne statystyki udostępnione nam przez CMV. Nikt nie pamiętał, że były one oparte na doświadczeniach, jakie CMV miało z własnym szpitalem w Rutland.

- Sądzisz, że CMV przekazała nam nieprawdziwe liczby?

- Nie - zaprzeczyła Beaton. - Ale ponieważ chodziło o ich własny szpital, lekarze mieli ekonomiczny bodziec do ograniczania liczby pacjentów, o czym oczywiście nikt nie miał pojęcia.

- Sądzisz, że od tego zależały zarobki lekarzy? - zdziwił się Traynor.

- Dokładnie. To był szantaż za pomocą premii. Im bardziej lekarz ograniczał przyjmowanie pacjentów do szpitala, tym większą otrzymywał premię. Ten system okazał się bardzo efektywny. Oboje z Caldwellem uważamy, że powinno się wprowadzić podobne zasady u nas. Jedyne problemy stanowią znalezienie kapitału zakładowego. Kiedy system zacznie działać,

poniesione

wydatki

zwrócić

się

dzięki

zredukowaniu

hospitalizacji.

- Brzmi wspaniale - stwierdził z entuzjazmem Traynor. - Koniecznie wprowadźmy to w życie. Być może ów projekt połączony z DNO sprawi, że przestaniemy ponosić straty.

- Umówię nas na spotkanie z Charlesem Kelleyem, byśmy mogli to przedyskutować - powiedziała Beaton, wkładając płaszcz. - A skoro już mówimy o oszczędzaniu - dodała, kiedy szli przez długi hol, kierując się do wyjścia - modłę się do Boga, byśmy nie musieli przygotowywać szpitala do operacji na otwartym sercu. To by nas już ostatecznie zniszczyło.

Musimy przekonać CMV, by pacjentów wymagających wykonania połączeń omijających nadal wysyłano do Bostonu.

- Zgadzam się z tym całym sercem - powiedział Traynor, otwierając drzwi.

Wyszli ze szpitala i skierowali się ku niższemu parkingowi.

- To właśnie jedna z przyczyn, dla których byłem dzisiaj w Montpelier. Zacząłem organizować zakulisowe lobby, które będzie w stanie przeciwstawić się CMV.

- Jeśli przyjdzie nam przeprowadzać te operacje, poniesiemy jeszcze większe straty - ostrzegła Beaton, kiedy zbliżyli się do zaparkowanych obok siebie służbowych samochodów.

Traynor powiódl wzrokiem po ciemnym placu. Szczególnie uważnie

przyjrzał się kępie drzew oddzielającej dwa poziomy parkingu.

- Jest tu ciemniej, niż sądziłem - powiedział do swej towarzyszki. -

Takie miejsce samo prosi się o kłopoty. Stanowczo potrzeba tu kilku latarni.

- Zajmę się tym - obiecała Beaton.

- Co za parszywy pech! - jęknął prezes. - Jakby mało nam było

innych kłopotów, musimy się jeszcze martwić tym przeklętym

gwałcicielem. Czy możesz mi zdradzić jakieś szczegóły tego ostatniego wypadku?

- Napastnik zaatakował koło północy - odparła Beaton. - I tym

razem nie była to pielęgniarka, lecz wolontariuszka, Marjorie Kleber.

- Ta nauczycielka? - upewnił się Traynor.

- Tak, właśnie ona. Nawet teraz, kiedy sama jest chora, stara się jak najwięcej pracować tu podczas weekendów.

- A co może powiedzieć o gwałcicielu?

- Ten sam rysopis: około sześciu stóp wzrostu, twarz przesłonięta narciarskimi goglami. Pani Kleber twierdzi ponadto, że miał kajdanki.

- No, no, mile urozmaicenie, nie ma co - stwierdził Traynor. - W jaki sposób zdołała uciec?

- Miała szczęście. Nocny stróż robił akurat obchód... - Być może powinniśmy wzmocnić strażę - zasugerował Traynor.

- Nie mamy na to pieniędzy.

- Chyba porozmawiam o tym z Wayne'em Robertsonem i zobaczę, czy policja nie mogłaby jakoś nam pomóc.

- Już to zrobiłam - westchnęła Beaton. - Ale Robertson nie ma dostatecznie wielu ludzi, by któryś z nich mógł co noc trzymać tutaj wartę.

- Ciekaw jestem, czy Hodges rzeczywiście znał tożsamość tego gwałciciela.

- Czy sądzisz, że jego zniknięcie może mieć cokolwiek wspólnego z podejrzeniami, jakie żywił? - zapytała Beaton.

Traynor wzruszył ramionami.

- Nie myślałem o tym. Przypuszczam jednak, że to możliwe. Nie należał do ludzi, którzy zatrzymują swoje opinie dla siebie.

- To byłoby przerażające - stwierdziła Beaton.

- Owszem - zgodził się Traynor. - Tak czy owak, chcę być natychmiast informowany, jeśli próby gwałtów znów będą się powtarzać. To może mieć katastrofalne skutki dla szpitala. Szczególnie zaś nie chcę żadnych niespodzianek na zebraniach zarządu. To stawia mnie w złym świetle.

- Bardzo przepraszam - powiedziała Beaton. - Wierz mi jednak, że próbowałam się do ciebie dodzwonić. Na przyszłość upewnię się, że odebrałam informację.

- Do zobaczenia w Iron Horse - pożegnał ją Traynor, wsiadając do samochodu i zapalając silnik.

Rozdział 3

Czwartek, 20 maja

- Muszę odebrać dziecko z zajęć pozalekcyjnych - powiedziała

Angela do jednego ze swych kolegów, Marka Danfortha.

- A co z tymi wszystkimi preparatami?

- A cóż mogę z nimi zrobić? - syknęła Angela. - Powiedziałam już, że muszę odebrać ze szkoły córkę.

- W porządku - powiedział obronnym tonem Mark. - Nie napadaj na mnie. Tak tylko pytam. Pomyślałem, że mógłbym ci pomóc.

- Przepraszam - Angela popatrzyła nań ze skruchą. - Strasznie jestem napięta. Jeśli dokończysz za mnie tę robotę, będę ci wdzięczna do końca życia - powiedziała, biorąc do ręki pięć ostatnich preparatów umieszczonych na szkiełkach mikroskopowych.

- Nie ma problemu - odparł Mark, kładąc próbki Angeli obok własnych.

Angela przykryła mikroskop, zebrała swoje rzeczy i wybiegła ze szpitala. Tak szybko, jak tylko mogła, wydostała się z parkingu i włączyła w znacznie nasilony w godzinach szczytu ruch uliczny Bostonu.

Kiedy w końcu dotarła pod szkołę, Nikki siedziała smutna na frontowych schodach. Nie było tu zbyt pięknie. Mury szkoły pokryte były brzydkimi graffiti. Nie licząc grupy sześćio i siedmioletnich dzieci grających w koszykówkę za wysokim siatkowym ogrodzeniem, nie było tu w tej chwili żadnych rówieśników Nikki. Wokół budynku wałęsało się kilkoro apatycznych nastolatków ubranych w zdumiewająco luźne stroje. Na wprost szkoły, po drugiej stronie ulicy stały tekturowe szalasy, w których nocowali bezdomni.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała Angela, kiedy Nikki

wsiadła do samochodu i zapięła pasy.

- W porządku - mruknęła dziewczynka. - Po prostu trochę się bałam. W szkole była dzisiaj policja i w ogóle...

- A co takiego się stało?

- Chłopak z szóstej klasy przyszedł na boisko z bronią - odparła spokojnie Nikki. - Wystrzelił i został aresztowany.

- Zranił kogoś? - zapytała z niepokojem Angela.

- Nie - potrząsnęła głową Nikki.

- A skąd w ogóle miał broń? - zdziwiła się matka.

- Handlował narkotykami.

- Rozumiem - skinęła głową Angela, starając się zachować spokój. -

Jak się o tym dowiedziałaś? Inne dzieci opowiedziały ci o wszystkim?

- Nie. Byłam przy tym - powiedziała Nikki znużonym głosem.

Angela mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy. Posłanie córki do szkoły publicznej było pomysłem Davida. Włożyli sporo wysiłku, by umieścić Nikki właśnie tutaj, i jak dotąd ani razu nie żalowali swojej decyzji. Ale teraz Angelę ogarnęły wątpliwości - przede wszystkim dlatego, iż córka opowiadała o tym, co się stało w szkole, tak beznamietnym głosem, traktując całą rzecz jak coś najzwyczajszego pod słońcem. Angeli wydało się to przerażające.

- Znowu mieliśmy dziś zastępstwo - powiedziała Nikki. - I ta nauczycielka nie pozwoliła mi zrobić inhalacji po lunchu.

- Przykro mi, kochanie - zmartwiła się Angela. - Czy czułaś jakieś zatory w płucach?

- Trochę. Staralam się oddychać głęboko i kiedy wyszłam ze szkoły, to uczucie minęło.

- Gdy tylko wrócimy do domu, wykonasz swoje ćwiczenie - obiecała matka. – A jutro ponownie zadzwonię do sekretariatu szkoły. Nie rozumiem, skąd te wszystkie problemy.

W istocie rzeczy jednak Angela doskonale rozumiała mechanizm tego zjawiska: zbyt wiele dzieci i zbyt mało personelu, który w dodatku ciągle się zmieniał. Regularnie co kilka miesięcy dzwoniła do szkoły i tłumaczyła, że Nikki ze względu na stan zdrowia wymaga terapii oddechowej.

Zostawiwszy córkę w samochodzie, Angela zatrzymała się na chwilę „na drugiego” przed sklepem spożywczym i poszła kupić coś do jedzenia. Kiedy wróciła, za wycieraczką tkwił mandat za niewłaściwe parkowanie.

- Powiedziałam tej kobiecie, że zaraz stąd odjedziemy - wyjaśniła Nikki. - Ale ona burknęła tylko: „Ja myślę” i wypisała mandat. Angela zaklęła pod nosem.

Przez następne pół godziny krążyły po znajdujących się w sąsiedztwie ich bloku ulicach, szukając miejsca do parkowania. Kiedy Angela była już gotowa się poddać, nieoczekiwanie znalazły kawałek wolnej przestrzeni.

Umieściwszy mrożonki w lodówce, Angela pomogła Nikki zrobić inhalację. Zwykle wykonywały ją tylko rano, ale w dni, kiedy zanieczyszczenie powietrza było bardzo duże, musiały powtarzać zabieg częściej.

Zacząły od tego, że Angela osłuchiwała córkę stetoskopem, by upewnić się, że dziewczynka nie potrzebuje leków przeciwko bronchitowi. Później, posługując się wielkim samochodowym fotelem kupionym na jakiejś wyprzedaży, Nikki układała się kolejno w dziewięciu różnych pozycjach, które dzięki wykorzystaniu siły grawitacji pomagały osuszyć określone miejsca w jej płucach. Podczas gdy dziewczynka wykonywała ćwiczenia, Angela opukiwała jej plecy zwiniętą dłonią. Zajęło im to dwadzieścia minut.

Potem Angela udała się do kuchni, by przyrządzić obiad, Nikki zaś zajęła się odrabianiem lekcji. Pół godziny później wrócił David. Był bardzo zmęczony - poprzedniej nocy miał dyżur, podczas którego przyjął wielu chorych.

- Co za noc! - westchnął. Próbował pocałować Nikki w policzek, ale dziewczynka odsunęła się z niechęcią, skupiona nad książką. Siedziała przy stole jadalnym, ponieważ w jej sypialni nie mieściło się już biurko. David wszedł do kuchni, ale i tam nie spotkało go serdeczniejsze przyjęcie, Angela była bowiem pochłonięta przygotowaniem posiłku. Dwukrotnie odtrącony, odwrócił się w stronę lodówki. Niełatwo było otworzyć jej drzwiczki, kiedy w maleńkiej kuchni znajdowały się aż dwie osoby, zdołał jednak jakoś wyjąć sobie piwo.

- Pogotowie przywiozło mi dzisiaj dwóch pacjentów z AIDS, cierpiących na chyba wszystkie możliwe przypadłości - poskarżył się żonie. - Jakby tego było mało, zdarzyły się dwa zatrzymania akcji serca. Przez całą noc ani na chwilę nie usiadłem, nie mówiąc już o zmrużeniu

oka.

- Jeśli szukasz współczucia, to zwróciłeś się z tym do niewłaściwej osoby - stwierdziła Angela, wsypując makaron do gotującej się wody. -

Poza tym zawadzasz mi tu.

- Widzę, że nie jesteś w zbyt dobrym nastroju - powiedział z wyrzutem David.

Wyszedł z ciasnej kuchni i wdrapał się na jeden z wysokich stołków przy ladzie oddzielającej kuchnię od salonu.

- Ja również miałam dzisiaj wiele stresów - westchnęła Angela. - Nie zdążyłam dokończyć pracy, ponieważ musiałam odebrać Nikki ze szkoły.

To niesprawiedliwe, że to wyłącznie mój obowiązek.

- I z tego powodu tak histeryzujesz? - zdziwił się David. - Dlatego, że odbierasz Nikki ze szkoły? Sądziłem, że była to nasza wspólna decyzja. Do diabła, sama zaofiarowałaś się, że będziesz po nią codziennie przyjeżdżać, bo tobie łatwiej przesunąć swoje zajęcia na inny czas niż mnie.

- Czy możecie się uciszyć? - rozzłościła się Nikki. - Próbuję czytać.

- Ja wcale nie histeryzuję! - warknęła Angela, ściszejając głos. - Po prostu jestem zdenerwowana. Nie lubię przerzucać na innych mojej pracy. A w dodatku Nikki powiedziała mi o pewnym niepokojącym wydarzeniu, które miało miejsce w szkole.

- Co takiego się stało?

- Sam ją o to zapytaj - odparła Angela.

David zsunął się z barowego stołka i usiadł na krześle przy stole.

Kiedy Nikki opowiadała mu o incydencie w szkole, Angela nakryła do

obiadu.

- Czy nadal tak bardzo obstajesz przy szkole publicznej, skoro już w szóstej klasie zdarzają się tam dzieci mające do czynienia z bronią i narkotykami? - zapytała.

- Musimy wspierać publiczne szkoły - obruszył się David. - Ja sam do takiej chodziłem.

- Ale czasy bardzo się zmieniły - zwróciła mu uwagę żona.

- Jeśli ludzie tacy jak my zabiorą ze szkół publicznych swoje dzieci - przekonywał ją David - szkoły te nie będą miały już żadnej szansy na podniesienie poziomu.

- Kiedy idzie o bezpieczeństwo mojej córki, nie obchodzą mnie żadne ideały - nie ustępowała Angela.

Wszyscy troje w milczeniu zjedli spaghetti z sałatką. Nikki ani na moment nie przerwała czytania, całkowicie ignorując obecność rodziców.

Angela kilkakrotnie westchnęła głośno, ukrywając twarz w dłoniach i z trudem walcząc z napływającymi do oczu łzami. David siedział nadęty i niezadowolony. Jeśli ktoś pracuje tak ciężko jak on przez ostatnie trzydzieści sześć godzin, nie zasługuje na podobne traktowanie.

Niespodziewanie Angela odsunęła od stołu krzesło, wzięła talerz i gwałtownym ruchem wstawiła go do zlewu. Talerz pękł z brzękiem, a David i Nikki aż podskoczyli na swoich miejscach.

- Niepotrzebnie się tak denerwujesz! - powiedział gniewnie David, starając się panować nad głosem. - Podyskutujmy jeszcze raz o odbieraniu Nikki ze szkoły. Musi istnieć jakieś rozwiązanie.

Angela otarła kilka niesfornych łez, które wymknęły się jej z kącików oczu, z trudem opierając się pokusie, by dopiec Davidowi stwierdzeniem, iż jego wyobrażenia o samym sobie jako o rozsądnym i zgodnym mężu miały się nijak do rzeczywistości.

Zamiast tego odwróciła się tyłem do zlewu i powiedziała:

- Dobrze wiesz, że tak naprawdę chodzi mi o to, iż oboje unikamy podjęcia decyzji, co będziemy robić od pierwszego lipca.

- Nie sądzę, żeby to był odpowiedni czas na rozważanie, co zrobimy z resztą naszego życia - zachnął się David. - Jestem bardzo zmęczony.

- To tylko wymówka - nie ustępowała Angela. Wróciła do stołu i usiadła na swoim miejscu. - Dla ciebie nigdy nie ma właściwej pory na dyskusję o tej sprawie. Problem polega na tym, że czas ucieka, a my nawet nie zaczęliśmy rozważać, co robić dalej. Do pierwszego lipca zostało niespełna półtora miesiąca.

- W porządku - westchnął z rezygnacją David. - Zaraz wezmę moje notatki i pogadamy o tym - powiedział, wstając od stołu, lecz Angela zagroziła mu drogę.

- Nie potrzebujemy twoich notatek - oświadczyła. - Czekaliśmy na odpowiedź z Nowego Jorku i trzy dni temu ją dostaliśmy. Mamy zatem trzy możliwości. Oto jak w skrócie one wyglądają: możemy pojechać do Nowego Jorku i tam ja zajęłabym się medycyną sądową, ty zaś specjalizowałbyś się w terapii oddechowej; możemy zostać w Bostonie, gdzie ja również będę zajmować się medycyną sądową, ty natomiast pójdiesz do Harvard School of Public Health, albo też możemy pojechać

do Bartlet i tam rozpocząć pracę.

David zagryzł wargi, próbując zebrać myśli. Padał ze zmęczenia.

Potrzebował swoich notatek, ale Angela wciąż nie pozwalała mu odejść od stołu.

- Lękam się nieco opuszczać akademię - powiedział w końcu.

- Wiem o tym doskonale - stwierdziła Angela. - Tak długo byliśmy studentami, że trudno nam wprost wyobrazić sobie inne życie.

- Prawdą jest też, że przez ostatnie cztery lata mieliśmy bardzo niewiele czasu na życie prywatne - powiedział.

- Poza tym z biegiem lat dla ludzi coraz istotniejszy staje się poziom życia - dodała kobieta. - A wszystko wskazuje na to, że jeśli zostaniemy w Bostonie, będziemy musieli zatrzymać to mieszkanie. Zbyt wiele mamy długów, żebyśmy mogli sobie pozwolić na coś większego.

- Sytuacja wyglądałaby bardzo podobnie, gdybyśmy pojechali do Nowego Jorku - zauważył David.

- Chyba że przyjęlibyśmy pomoc, jaką oferowali nam moi rodzice - przypomniała Angela.

- Udało nam się obyć bez niej w przeszłości, uda nam się więc i teraz

- zaperzył się David. - Udzielając nam pomocy, twoi rodzice uznaliby, że daje im to prawo do wtrącania się w nasze życie.

- Owszem - przyznała. - Poza tym musimy jeszcze brać pod uwagę stan zdrowia Nikki.

- Ja chcę psa - wtrąciła dziewczynka.

- Nikki czuje się świetnie - stwierdził obronnym tonem David. - Ale

zarówno tutaj, jak i w Nowym Jorku powietrze jest bardzo zanieczyszczone - przypomniała mu żona. - A to z pewnością nie służy jej zdrowiu. Poza tym jestem przerażona narastającą w tym mieście przestępczością.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że pragniesz przenieść się do Bartlet? - zapytał David.

- Nie - zaprzeczyła Angela. - Próbuję po prostu rozważyć każde za i przeciw wszystkich ewentualności. Muszę jednak przyznać, że kiedy usłyszałam o broni i narkotykach w klasie szóstej, Bartlet wydało mi się znacznie bardziej atrakcyjne.

- Ciekaw jestem, czy to rzeczywiście tak rajskie miejsce, jak nam się w pierwszej chwili wydawało - powiedział David. - Być może, nie znając go dokładnie, za bardzo je idealizujemy.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

- Pojedźmy tam jeszcze raz! - zawołała entuzjastycznie Nikki.

- Dobrze - zgodził się David. - Dzisiaj jest czwartek. Co byście powiedziały na sobotę?

- Mnie ten dzień odpowiada - odrzekła Angela.

- Hura! - krzyknęła Nikki.

Rozdział 4

Piątek, 21 maja

Traynor podpisał wszystkie listy, które podyktował tego ranka, i złożył je porządnie w rogu biurka. Włożył płaszcz i już kierował się ku wyjściu, by udać się na lunch do Iron Horse, kiedy jego sekretarka,

Collette, przywołała go z powrotem, informując, że dzwoni Tom Baringer.

Klnąc pod nosem, Traynor podniósł słuchawkę. Tom był jednak

zbyt ważną osobistością, by można go było zlekceważyć.

- Nigdy nie zgadniesz, gdzie jestem - powiedział Tom. - Leżę właśnie na izbie przyjęć i czekam na doktora Portlanda, który ma mnie na powrót poskladać.

- Mój Boże, co się stało?

- Coś wyjątkowo głupiego. Czyściłem zapchane liśćmi rynny i przewróciła się drabina, na której stałem. Złamałem biodro.

Przynajmniej tak stwierdził lekarz, który mnie do was przywiózł.

- Przykro mi - wymamrotał Traynor.

- Och, mogło być gorzej - roześmiał się Tom. - Tylko nie będę mógł zjawić się na spotkaniu z tobą dziś po południu.

- Naturalnie - odpowiedział prezes. - Czy jest coś ważnego, o czym chciałeś porozmawiać?

- To może zaczekać - uspokoił go Tom. - Ale miałbym do ciebie prośbę: chciałbym mieć tu, w szpitalu, do dyspozycji telefon. Wydaje mi się, że zasługuję na pewne przywileje.

- Oczywiście, dostaniesz go - zapewnił Traynor. - Osobiście tego dopilnuję. Właśnie idę na lunch z dyrektorem administracyjnym szpitala.

- A więc zadzwoniłem w dobrym momencie - zaśmiał się Tom. -

Szepnij tam słówko na mój temat.

Odwiesiwszy słuchawkę, Traynor polecił sekretarce, by wykreśliła z planu jego zajęć spotkanie z Tomem i nie umawiała go na tę godzinę z

nikim innym - miał nadzieję, że przerwa pozwoli mu nadgonić zaległości w korespondencji.

Traynor przybył na umówione spotkanie pierwszy. Zamówił wytrawne martini i rozejrzał się uważnie po zwieńczonej belkowanym sufitem sali. Jak zwykle dano mu najlepszy stolik - umieszczony w przytulnym wykuszu, tuż przy oknie z wyjątkowo pięknym widokiem na rzekę Roaring, która przepływała za budynkiem restauracji. Jego satysfakcja wzrosła jeszcze, kiedy zobaczył Jeba Wigginsa, swego dawnego rywala oraz potomka jednej z najzamożniejszych rodzin w Bartlet, którego posadzono na znacznie mniej wygodnym miejscu. Jeb zawsze traktował go protekcyjnie, ponieważ ojciec Traynora pracował niegdyś w należącej do Wigginsów fabryce. Teraz, ku zadowoleniu prezesa, role się odwróciły: to on zarządzał największą instytucją w mieście.

Helen Beaton i Barton Sherwood przybyli razem.

- Przepraszamy za spóźnienie - powiedział Sherwood.

Oboje zażyczyli sobie tych samych drinków co zawsze, po czym cała trójka zamówiła lunch.

- Mam wreszcie dobre wieści - powiedziała Beaton, gdy tylko kelner oddalił się od ich stolika. - Widziałam się dziś rano z Charlesem Kelleyem.

Nie ma nic przeciwko naszemu pomysłowi przyznawania premii lekarzom CMV. Jedyne, co go interesowało, to czy CMV poniesie z tego tytułu jakieś koszty. Kiedy dowiedział się, że nie, obiecał poprzeć naszą propozycję w rozmowie ze swymi szefami, choć i bez tego nie sądzę, by

mieli oni jakiegokolwiek obiekcje.

- Wspaniale! - ucieszył się Traynor.

- Spotkam się z nim jeszcze raz, w poniedziałek - dodała Beaton - i chciałabym, żebyś tym razem mi towarzyszył.

- Ależ naturalnie - zgodził się Traynor.

- Zatem teraz wszystkim, czego potrzebujemy, jest kapitał

zakładowy - stwierdziła Helen. - Dlatego właśnie spotkałam się z

Bartonem i sądzę, że rozwiązaliśmy ten problem. - Uścisnęła lekko ramię Sherwooda.

- Czy przypominasz sobie ów mały fundusz, który utworzyliśmy z pieniędzy zwróconych nam za inwestycje w budynku radioterapii?

Zdeponowałem te pieniądze na Wyspach Bahama. Teraz wycofam je,

wraz z niewielkimi zyskami, jakie przyniosły. Możemy też płacić nimi za

urlopowe wyjazdy naszych pracowników na te wyspy. To zresztą byłoby

najłatwiejsze. Możemy nawet opłacać bilety lotnicze.

Kelner przyniósł jedzenie i wszyscy troje przerwali na chwilę

rozmowę.

- Uważamy, że wakacje na Bahamach byłyby wspaniałą nagrodą -

wyjaśniła Helen. - Przysługiwałyby temu lekarzowi, który w ciągu roku

uzyskałby najniższy wskaźnik hospitalizacji pacjentów.

- Doskonale - pochwalił Traynor. - Ten pomysł coraz bardziej mi się

podoba.

- Lepiej wprowadźmy go w życie, bo inaczej nie unikniemy

bankructwa - powiedziała Beaton. - Jak dotąd, majowe wyniki są jeszcze

gorsze od kwietniowych. Przyjęliśmy więcej pacjentów, a co za tym idzie, straty finansowe są odpowiednio wyższe...

- Mamy jednak także pocieszające nowiny - przerwał jej Sherwood. -

Zmniejszony ostatnimi czasy budżet szpitala wrócił do normy dzięki gotówce, którą wypłaciły nam towarzystwa ubezpieczeniowe.

- To tylko chwilowe zażegnanie kryzysu - westchnął Traynor. Nie miał zamiaru udzielać Sherwoodowi pochwały za rozwiązanie problemów, których sam był przyczyną.

- Czy chcesz, byśmy wobec tego powrócili do sprawy parkingu? - zapytał dyrektor banku.

- Nie - odparł Traynor. - Niestety, nie możemy w tej chwili zająć się tą sprawą. Musimy jeszcze raz przedstawić ów projekt radzie szpitala i poddać go powtórnemu głosowaniu. Gdy tylko uzyskamy zgodę, natychmiast przystąpimy do budowy. - Z pogardliwą miną Traynor skinął głową w stronę sąsiedniego stolika. - Jeb Wiggins, który jest jednym z członków rady, uważa, że sezon turystyczny nie jest najlepszą porą na budowę czegokolwiek i że nie powinniśmy ruszać z tą inwestycją latem.

- Och, to fatalnie - zmartwił się Sherwood.

- Ale mam też wiadomość wcale nie najgorszą. Powiadomiono mnie dziś rano, że do końca tego roku nie będziemy przeprowadzać operacji na otwartym sercu. Czyż to nie straszne?

- Prawdziwa tragedia - roześmiała się Beaton. - Dzięki Bogu!

Kiedy podano kawę, Traynor przypomniał sobie o telefonie od Toma Baringera i powiedział o nim Helen.

- Wiadomość o przyjeździe do szpitala pana Baringera już do mnie dotarła. Jakiś czas temu zaprogramowałam komputer, by przekazywał do mojej kartoteki informacje o hospitalizacji takich pacjentów jak on.

Rozmawiałam z Caldwellem, który obiecał zadbać o to, by nasz podopieczny był traktowany tak dobrze, jak to tylko możliwe. Jaka jest wartość tego funduszu, o którym mówiliście?

- Milion dolarów. Nie jest to dużo, ale na początek wystarczy.

Skończyli lunch i wyszli z restauracji wprost w ciepłe promienie wiosennego słońca.

- A co z oświetleniem parkingu? - zapytał Traynor.

- Wszystko zostało załatwione - odrzekła Beaton. - Będzie gotowe w ciągu tygodnia. Postanowiłam jednak, że zainstalujemy latarnie jedynie na dolnym poziomie. Górny i tak jest wykorzystywany jedynie za dnia, a w ten sposób zaoszczędzimy mnóstwo pieniędzy.

- Bardzo rozsądnie - pochwalił ją Traynor. Przechodząc w pobliżu banku, wstąpili do Wayne'a Robertsona. Zastali go wpatzonego w niebo. Jego oczy osłaniał przed słońcem nasunięty nisko na czoło traperski kapelusz z szerokim rondem. Dodatkową ochronę stanowiły ciemne lustrzane okulary.

- Dzień dobry - przywitał się Traynor. Robertson zasalutował, dotykając róna kapelusza.

- Czy odkryliście coś nowego w sprawie Hodgesa? - zapytał prezes zarządu szpitala.

- Nic - odrzekł policjant. - Prawdę mówiąc, myślimy o zamknięciu

śledztwa.

- Nie śpieszyłbym się z tym aż tak bardzo - ostrzegł Traynor. -

Trzeba pamiętać, że ten stary pryk ma zdumiewającą umiejętność objawiania się akurat w chwilach, kiedy nikt się tego nie spodziewa.

- A także wtedy, gdy jego obecność jest wysoce niepożądana - dodała Beaton.

- Doktor Cantor przypuszcza, że Hodges jest na Florydzie -

powiedział Robertson. - Ja też zaczynam powoli w to wierzyć. Sądzę, że ów mały skandal, który wybuchł, kiedy wyszło na jaw, że służby szpitalne zajmują się jego domem, wprowadził go w takie zakłopotanie, iż postanowił opuścić miasto.

- Myślałem, że jest zbyt gruboskórny, by przejmować się takimi rzeczami - pokręcił głową Traynor. - Ale być może się myliłem.

Wymieniwszy uprzejme słowa pożegnania i życzenia miłego weekendu, wszyscy czworo powrócili do swoich zajęć.

Jadąc z powrotem do szpitala, Helen Beaton rozmyślała o

Traynorze i swoim z nim związku. Nie czuła się szczęśliwa. Pragnęła czegoś zupełnie innego. Ukradkowe spotkania raz czy dwa razy w miesiącu nie były tym, o czym marzyła.

Helen poznała Traynora kilka lat wcześniej, kiedy przyjechał do

Bostonu na kurs prawa podatkowego. Pracowała wówczas jako asystentka dyrektora administracyjnego jednej z harwardzkich klinik.

Natychmiast wpadli sobie w oko. Spędzili ze sobą gorący tydzień, po czym przez jakiś czas spotykali się sporadycznie, aż w końcu Traynor

zapropował, by przeniosła się do Bartlet i pokierowała szpitalem.

Helen liczyła na to, iż będą razem mieszkać, ale jak dotąd kochanek o niczym takim nie wspominał. Nie wniósł też pozwu o rozwód, choć kiedyś obiecywał to uczynić. Jego małżeństwo było ponoć całkowitą pomyłką.

Beaton czuła, że musi znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji, nie wiedziała jednak, jak się do tego zabrać.

Wróciwszy do szpitala, udała się natychmiast do pokoju 204, gdzie spodziewała się zastać Toma Baringera. Chciała upewnić się, że jest zadowolony ze szpitalnej opieki. Nie było go tam jednak. Ku swemu zaskoczeniu Beaton odkryła, że salę tę przydzielono komuś innemu: pacjentce nazwiskiem Alice Nottingham. Helen zacisnęła usta, po czym zeszła na pierwsze piętro i pomaszerowała prosto do gabinetu Caldwell.

- Gdzie jest Baringer? - zapytała szorstko.

- W pokoju 204 - odparł zdziwiony Caldwell.

- O ile pan Baringer nie przeszedł operacji zmiany płci i nie ma teraz na imię Alice, to zapewniam cię, że nie leży w sali 204.

- Coś jest nie w porządku - zdenerwował się Caldwell. Pospiesznie udał się do izby przyjęć i odszukawszy Janice Sperling, zapytał, co stało się z Tomem Baringerem.

- Umieściłam go w sali 209 - oświadczyła pielęgniarka.

- Przecież kazałem pani dać mu salę numer 204 - rozzłościł się Caldwell.

- Wiem - odparła spokojnie kobieta. - Ale już po naszej rozmowie okazało się, że wolna jest także 209. To większy pokój. Powiedział pan, że

Baringer jest pacjentem „specjalnym”. Sądziłam, że pokój 209 bardziej mu się spodoba.

- 204 ma lepszy widok z okna, a poza tym stoi tam nowe łóżko ortopedyczne - powiedział Caldwell. - Ten człowiek ma złamane biodro.

Proszę zmienić mu pokój lub przynajmniej łóżko.

- Dobrze - odparła Janice z westchnieniem, myśląc, że niektórych ludzi doprawdy trudno zadowolić.

Caldwell skierował się do biura Beaton.

- Przepraszam, że nie dopilnowałem tej sprawy - powiedział, wsadzając głowę przez drzwi. - Obiecuję, że w ciągu godziny wszystko będzie tak, jak powinno.

Helen skinęła głową i wróciła do pracy.

Rozdział 5

Sobota, 22 maja

David nastawił budzik na piątą czterdzieści pięć, tak jakby był to normalny dzień pracy. O szóstej piętnaście był już w drodze do szpitala.

Mimo wczesnej pory temperatura wynosiła ponad dwadzieścia stopni Celsjusza, a niebo było jasne i przejrzyste. Przed dziewiątą skończył obchód i wrócił do domu.

- No, grzebieluchy! - zawołał, wchodząc do mieszkania. - Nie chcę spędzić całego dnia na czekaniu.

- To nie fair, tatusiu - powiedziała Nikki, stając w drzwiach swego pokoju. - Przecież to my czekałyśmy na ciebie.

- Tylko żartowałem - roześmiał się David, wymierzając córce

pieszczotliwego kuksańca.

Wkrótce wszyscy troje byli już gotowi.

Wolno jechali ulicami miasta. Zwarta, niska zabudowa ustąpiła miejsca zielonym przedmieściom, poza którymi rozciągała się jednolita ściana lasu. Im dalej na północ, tym okolica stawała się piękniejsza, szczególnie teraz, gdy drzewa miały już liście.

Dojechawszy do Bartlet, sunęli powoli ulicami miasta, upajając się pięknymi widokami.

- To miejsce wydaje mi się jeszcze bardziej malownicze niż za pierwszym razem - oświadczyła Angela.

- Popatrzcie, ten sam szczeniak! - zawołała Nikki, wskazując na drugą stronę ulicy. - Czy możemy się zatrzymać?

David znalazł puste miejsce na parkingu.

- Masz rację - powiedział. - Poznaję tę panią.

- A ja poznaję psa! - stwierdziła Nikki, otwierając drzwiczki samochodu.

- Sekundę! - zawołała Angela. Ona także wysiadła i ująwszy Nikki za rękę, przeprowadziła ją przez ulicę. David ruszył za nimi.

- Och, witam. Miło cię znowu widzieć - powiedziała właścicielka psa, kiedy Nikki podeszła bliżej.

Szczeniak próbował podbiec do dziewczynki, bezskutecznie naprężając smycz. Nikki przykucnęła. Pies natychmiast polizał ją po twarzy i dziewczynka, zaskoczona, wybuchnęła radosnym śmiechem.

- Nie wiem, czy by to państwa interesowało, ale labrador pana

Staley ma właśnie kilkutygodniowe szczenięta - powiedziała kobieta. - To

niedaleko stąd. Pan Staley jest właścicielem sklepu żelaznego.

- Czy możemy tam pójść i je zobaczyć? - poprosiła Nikki.

- Czemu nie? - zgodził się David.

Podziękowali kobiecie i ruszyli we wskazanym kierunku.

Wkrótce znaleźli się przed sklepem. Tuż przy frontowych schodach

w specjalnym kojcu leżała suczka pana Staleya, Molly, wokół której

tłoczyło się pięć małych szceniąt.

- Jakie cudowne! - wykrzyknęła Nikki. - Czy mogę je pogłaskać?

- Nie wiem - odrzekł David. Odwrócił się, szukając wzrokiem

właściciela, i w tym samym momencie zderzył się ze Staleyem, który stał

tuż za nim.

- Oczywiście, że możesz je pogłaskać - powiedział właściciel

piesków, kiedy już się przedstawił. - Są na sprzedaż. Bóg mi świadkiem,

że nie potrzebuję w domu sześciu młodych labradorów.

Nikki uklękła obok kojca i delikatnie pogłaskała jedno ze szceniąt.

Piesek obrócił się nieporadnie i chwyciwszy jej palec, począł go ssać.

Nikki zaśmiała się zachwycona.

- Weź go na ręce, jeśli masz ochotę - powiedział Staley. - To

najsilniejszy szceniak z całego miotu.

Nikki wzięła pieska na ręce, ten zaś przytulił do jej policzka swój

aksamitny pyszczek, po czym polizał ją w nos.

- Jest cudowny - oświadczyła dziewczynka. - Żałuję, że nie możemy

go wziąć. A może jednak się zgodzicie? Będę o niego dbała.

David poczuł, jak do oczu napływają mu łzy wzruszenia.

Popatrzył na żonę. Angela otarła policzki chusteczką do nosa, także zerkając na męża. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Prośba Nikki poruszyła ich teraz jeszcze bardziej niż wtedy, kiedy byli w Bartlet po raz pierwszy. Biorąc pod uwagę wszystko, co musiała wycierpieć z powodu choroby, prosiła o bardzo niewiele.

- Czy myślisz o tym samym co ja? - zapytał David.

- Chyba tak - odrzekła Angela, uśmiechając się przez łzy. - To znaczy, o ile moglibyśmy kupić dom...

- Żegnajcie przestępstwa i zanieczyszczenie środowiska - zaśmiał się David, patrząc na Nikki. - W porządku - powiedział. - Będiesz mogła mieć tego psa. Zamieszkamy w Bartlet!

Twarz dziewczynki pojaśniała. Przytuliła do siebie szczenię, ono zaś ponownie polizało ją po twarzy.

David obrócił się ku Staleyowi, żeby uzgodnić cenę.

- Sądzę, że będzie można odłączyć je od matki za jakieś cztery tygodnie - powiedział właściciel szceniąt.

- To doskonale - ucieszył się David. - Przyjedziemy tutaj pod koniec miesiąca.

Nikki niechętnie odłożyła szczeniaka i Wilsonowie pożegnali się ze Staleyem.

- Co będziemy robić teraz? - zapytała Angela.

- Pójdziemy uczcić naszą decyzję - odparł David. - Zjemy lunch w tutejszej restauracji.

Kilka minut później siedzieli już przy wysokim, nakrytym obrusem stole obok wychodzącego na rzekę okna. David i Angela zamówili białe wino, Nikki natomiast wybrała sok żurawinowy. Tręcili się kieliszkami.

- Za nasze przybycie do rajskiego ogrodu - powiedział David.

- Za początek spłacania naszych długów - dodała Angela.

- Och, tak, koniecznie! - zgodził się David i cała trójka podniosła kieliszki do ust.

- Czy możesz w to uwierzyć? - zapytała Angela. - Nasze dochody wyniosą razem ponad sto dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie.

- „Money, money, money” - zanucił David.

- Myślę, że nazwę mojego psa Rusty - oświadczyła Nikki.

- Bardzo ładne imię - pochwalil ją David.

- Co sądzisz o tym, że moja pensja będzie dwa razy wyższa od twojej? - przekomarzała się Angela.

David wiedział, że żona prędzej czy później podniesie tę kwestię, dlatego też miał już przygotowaną odpowiedź.

- Będziesz zarabiała te pieniądze w ciemnym, ponurym laboratorium - powiedział szyderczo. - Ja zaś będę przynajmniej widywał żywych, prawdziwych ludzi.

- Nie uważasz, że będzie to stanowiło wyzwanie dla twojej delikatnej męskości? - Angela drażyła temat.

- W każdym razie nic po sobie nie dam poznać - roześmiał się David.

- Poza tym miło pomyśleć, że jeśli się kiedykolwiek rozwiedziemy, to nie ja tobie, lecz ty mnie będziesz płaciła alimenty.

Angela pochyliła się nad stołem, by dać Davidowi żartobliwego

kuksańca.

- Poza tym - powiedział, odparowując cios żony - te dysproporcje w zarobkach nie utrzymają się zbyt długo. To już przeżytek. Patolodzy, podobnie jak chirurdzy i inni przeplacani specjaliści, wkrótce będą musieli się pożegnać z tak wysokimi dochodami.

- Kto tak mówi? - zdziwiła się Angela.

- Ja - odrzekł David.

Postanowili, że po lunchu udadzą się prosto do szpitala i powiadomią Caldwell'a o swojej decyzji.

Przedstawili się jego sekretarce i zostali natychmiast przyjęci.

- To fantastycznie! - zawołał Caldwell, gdy poinformowali go, że postanowili przenieść się do Bartlet. - Czy w CMV także już o tym wiedzą? - spytał.

- Jeszcze nie - odrzekł David.

- Chodźmy więc - powiedział Caldwell. - Zaniesiemy im tę dobrą nowinę.

Charlesa Kelleya również ucieszyła ta wiadomość. Pogratiłował

Davidowi decyzji i uściskał mu dłoń, pytając, kiedy będzie gotów poznać swoich pacjentów.

- Jak najszybciej - odrzekł bez wahania David. - Choćby pierwszego lipca.

- Pański staż kończy się dopiero trzydziestego - przypomniał Kelley.

- Nie chce pan mieć trochę czasu na przywyknienie do tego miejsca?

- Biorąc pod uwagę nasze długi - odparł David - im szybciej zacznę pracować, tym lepiej.

- Czy pani także jest gotowa podjąć pracę tak szybko? - zapytał Caldwell.

- Absolutnie tak - odpowiedziała Angela.

David zaproponował, aby wrócili do biura i od razu podpisali dokumenty, co bardzo uradowało Kelleya.

Przed wejściem do poczekalni Wilson zatrzymał się na chwilę, zastanawiając się, jak też jego nazwisko będzie wyglądało na tablicy informacyjnej tuż pod nazwiskiem doktora Randalla Portlanda. Miał za sobą długą, trudną drogę, na którą wkroczył, gdy jako uczeń ósmej klasy postanowił zostać lekarzem. Ale w końcu dopiął swego.

Otworzył drzwi i wszedł do środka, zatrzymał się jednak niepewnie na widok ubranej w strój chirurga postaci siedzącej na kanapie w poczekalni.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytał gniewnie nieznajomy.

Dopiero po chwili David rozpoznał doktora Portlanda. Przyszło mu to z trudem, ponieważ zupełnie nie spodziewał się go tu zastać, a poza tym w ciągu miesiąca, jaki upłynął od ich spotkania, lekarz bardzo się zmienił. Wyraźnie schudł, oczy miał zapadnięte i zamglone, a policzki obwisłe.

Kelley wystąpił do przodu i stanąwszy przed Davidem, jeszcze raz przedstawił go Portlandowi, wyjaśniając jednocześnie chirurgowi, po co tu przyszli. Gniew Portlanda wyparował równie szybko, jak się pojawił.

Jak przekłuty balon mężczyzna opadł na kanapę. David zauważył, że nie tylko schudł, ale stał się też chorobliwie blady.

- Przepraszamy, że pana niepokoi - powiedział Wilson.

- Miałem po prostu zamiar trochę się zdrzemnąć - wyjaśnił

Portland. Jego głos był równie zmęczony i bezbarwny jak wygląd. -

Przeprowadziłem dziś rano trudną operację i czuję się znużony.

- Operowałeś Toma Baringera? - zapytał Caldwell. Portland skinął głową.

- Mam nadzieję, że wszystko z nim w porządku - powiedział Caldwell.

- Operacja przebiegła pomyślnie - zapewnił go lekarz. - Teraz modlę się tylko, by nie wystąpiły żadne komplikacje.

David jeszcze raz przeprosił Portlanda za zakłócenie mu wypoczynku i wyszedł z gabinetu.

- Przepraszam za tę niezręczną sytuację - sumitował się Kelley.

- Czy z nim jest coś nie w porządku?

- Nic, o czym bym wiedział - odrzekł Kelley.

- Nie wygląda zbyt dobrze - powiedział David.

- Wygląda na załamanego - stwierdziła Angela.

- Ma wiele obowiązków - przyznał Kelley. - Przypuszczam, że jest przepracowany.

Wkrótce cała grupka znalazła się przed drzwiami biura Kelleya.

- Teraz, kiedy wiemy już, że do nas dołączysz, chciałbym zapytać, czy potrzebujesz jakiejś pomocy? - powiedział Kelley.

- Chcielibyśmy obejrzeć kilka domów - oświadczyła Angela. - Do

kogo pana zdaniem powinniśmy zadzwonić w tej sprawie?

- Do Dorothy Weymouth - odparł Caldwell.

- Słusznie - przytaknął Kelley.

- To najlepsza pośredniczka handlu nieruchomościami w mieście -

dodał Caldwell. - Zadzwońcie do niej od razu z mojego biura.

Pół godziny później cała rodzina siedziała w gabinecie Dorothy

Weymouth, znajdującym się na pierwszym piętrze budynku stojącego *vis-*

à-vis restauracji. Była to potężnie zbudowana, sympatyczna kobieta

ubrana w bezkształtną, przypominającą namiot suknię.

- Muszę wam powiedzieć, że jestem pod wrażeniem - oświadczyła

zaraz na wstępie. Zważywszy na jej obfite kształty, głos miała zaskakująco

wysoki i piskliwy. - Kiedy jechaliście tutaj ze szpitala, zadzwonił do mnie

Barton Sherwood z informacją, że bank ma zamiar wam pomóc. W

dzisiejszych czasach rzadko się zdarza, by dyrektor banku dzwonił do

mnie, zanim jeszcze spotkałam się z klientami. Nie jestem do końca

pewna, jakiego domu szukacie. - Zaczęła rozkładać na biurku fotografie

nieruchomości wystawionych na sprzedaż. - Musicie sprecyzować, co was

interesuje. Wolelibyście biały drewniany dom w mieście czy też samotne

kamienne wiejskie domostwo? Jak duży dom zamierzacie kupić? Czy

macie jakieś szczególne życzenia? Planujecie następne dzieci?

Zarówno David, jak i Angela zeszywnieli, usłyszawszy to ostatnie

pytanie. Przed urodzeniem się Nikki żadne z nich nie podejrzewało, że

jest nosicielem mukowiscydozy, teraz wiedzieli już jednak, że nie mogą

lekceważyć tej przypadłości.

Nieświadoma przykrości, jaką im sprawiła, kontynuowała swój monolog, przedstawiając coraz to nowe fotografie domów.

- Mam tu wyjątkowo uroczy domek, dopiero co wystawiony na sprzedaż - powiedziała. - Jest doprawdy rozkoszny.

Angela wzięła do ręki jedno ze zdjęć i serce żywiej zabiło jej w piersi. Nikki próbowała zerknąć matce przez ramię.

- Ten mi się bardzo podoba - powiedziała, podając zdjęcie mężowi.

Był to ceglany dom z podwójnym szeregiem okien po obu stronach umieszczonych centralnie i ozdobionych kasetonami frontowych drzwi.

Nad zwieńczonymi portykiem smukłymi, białymi kolumnami znajdowało się wielkie okno.

- To jeden z najstarszych ceglanych domów w tej okolicy - wyjaśniła Dorothy. - Wzniesiono go w 1820 roku.

- Co jest tu z tyłu? - spytał David, wskazując na fotografię. Dorothy popatrzyła na zdjęcie.

- To stara obora - odrzekła. - Z tyłu do domu przylega też stajnia.

Nie można jej niestety zobaczyć na tym zdjęciu, ponieważ wykonano je od frontu, z dołu wzgórza. Sądzę, że dom ten należał do farmera hodującego mleczne krowy. Gospodarstwo musiało przynosić całkiem niezłe zyski, jak mi się wydaje.

- Jest uroczy - powiedziała z żalem Angela. - Niestety jestem pewna, że nigdy nie byłoby nas nań stać.

- Pamiętajcie o tym, co powiedział Barton Sherwood - przypomniała

im Dorothy. - Prócz tego wiem, że właścicielce, Clarze Hodges, bardzo zależy na szybkim pozbyciu się tej nieruchomości. Sądzę, że dałoby się ubić z nią interes. Tak czy owak, dom wart jest zobaczenia. Wybierzcie jeszcze cztery czy pięć innych i pojedziemy je oglądać.

Ustalając, w jakim porządku Wilsonowie mają oglądać kolejne domy. Dorothy zostawiła posiadłość Hodgesa na sam koniec. Posesja znajdowała się dwie i pół mili na południe od miasta, na stoku niewielkiego wzgórza. Kiedy skręcili na podjazd, Nikki dostrzegła niewielką sadzawkę na tyłach domu i natychmiast zapalała sympatią do tego miejsca.

- Ten staw jest nie tylko malowniczy - powiedziała Dorothy - ale także świetnie będzie nadawał się zimą do jazdy na łyżwach.

Pośredniczka zatrzymała samochód pomiędzy domem a sadzawką.

Stąd można było się dokładnie przyjrzeć przylegającej do budynku mieszkalnego stajni. Ani Angela, ani David nie odezwali się słowem.

Oboje byli pod wrażeniem imponującego, szlachetnego stylu, w jakim zbudowano ten dom. Dopiero teraz uświadomili sobie, że miał on dwa piętra, a nie jedno, jak sądzili wcześniej - z każdej strony spadzistego dachu znajdowały się po cztery świetliki.

- Naprawdę pani sądzi, że byłoby nas stać na taki dom? - zapytał David.

- Absolutnie tak - potwierdziła Dorothy. - Wsiądźmy z samochodu i obejrzyjmy go sobie w środku.

David i Angela jak zahipnotyzowani weszli za agentką do budynku.

Dorothy kontynuowała swój radosny monolog, powtarzając banały w rodzaju: „ten pokój wygląda obiecująco” albo „ten salonik będzie wprost przeuroczy, jeśli włoży się weń nieco pracy i pomysłowości”.

Bagatelizowała takie rzeczy, jak odklejające się od ścian tapety czy wypaczone okiennice, podkreślając zalety w postaci dużych kominków i pięknie rzeźbionych gzymsów.

David nalegał, by obejrzeni wszystko dokładnie. Zeszli nawet do piwnicy, dokąd wiodły wilgotne, brudne schody.

- Jak tu dziwnie pachnie - powiedział David. - Czy zawsze panuje tu taka wilgoć? Może to pomieszczenie jest zalewane przez wodę?

- O niczym takim nie słyszałam - odparła Dorothy. - To piękna, duża piwnica. Zmieściłby się tu porządny warsztat, jeśli któreś z was lubi majsterkować.

Angela z trudem powstrzymała się od śmiechu i złośliwego komentarza. Miała już na końcu języka stwierdzenie, że Davidowi nawet zwykła wymiana żarówki sprawia kłopot, nie powiedziała jednak tego na głos.

- Tu nie ma posadzki - powiedział David, pochylając się i dotykając palcem wilgotnej ziemi.

- To klepisko - wyjaśniła Dorothy. - Piwnice w tych starych domach często tak wyglądają. Są tu także inne rzeczy typowe dla dziewiętnastowiecznych domostw. - Otworzyła ciężkie, drewniane drzwi.
- Oto na przykład piwniczka na warzywa - oświadczyła z dumą.

Wewnątrz znajdowały się kojce na ziemniaki oraz kosze na jarzyny i

jabłka. Pomieszczenie oświetlała niewielka, słaba żarówka.

- Przeróżające - stwierdziła Nikki. - Wygląda to jak lochy pod starym zamczyskiem.

- Byłoby tu całkiem miło, gdybyśmy włożyli trochę wysiłku w zagospodarowanie tego domu - zapewnił ją David.

Angela znacząco popukała się w czoło. Dorothy z dumą pokazała im także olbrzymią szafę chłodniczą.

- W tym domu można przechowywać jedzenie, posługując się zarówno starymi, jak i nowymi metodami - oświadczyła.

Zanim wrócili na górę, otworzyła jeszcze jedne drzwi, za którymi znajdowały się granitowe schody, zakończone klapą w suficie.

- Te schody prowadzą na podwórze za domem - wyjaśniła. - Właśnie dlatego znajduje się tu tyle drewna opałowego. - Wskazała na kilka stosów porządnie ułożonych pod ścianą szczap.

Ostatnią interesującą rzeczą w piwnicy był wielki piec, przypominający nieco wyglądem staromodny parowóz.

- Kiedyś dom opalano węglem - poinformowała ich agentka - ale później piec został przerobiony i teraz pracuje na ropę. - Wskazała ogromny zbiornik stojący naprzeciwko szafy chłodniczej.

David skinął głową, choć zupełnie nie znał się na takich piecach i było mu wszystko jedno, co się w nich spala.

Wracając po schodach do kuchni, David znowu poczuł dziwny, mdły zapach i zapytał o stan sanitarny budynku.

- Całkiem niezły - odrzekła Dorothy. - Sprawdzaliśmy to. Ten zapach

przedostaje się tu z zachodniej części domu. Mogę wskazać wam miejsca, które zostały umyte ługiem.

- Skoro to sprawdzaliście, wierzę, że wszystko jest w porządku - powiedział David. Nie miał pojęcia, jak wyglądają miejsca polane ługiem i jak powinny one wyglądać.

Poprosili, by Dorothy podrzuciła ich do Green Mountain National Bank. Byli zarazem zdenerwowani i podekscytowani. Barton Sherwood przyjął ich niemal natychmiast.

- Znaleźliśmy dom, który się nam podoba - powiedział David.

- Nie dziwi mnie to - odparł Sherwood. - W Bartlet jest mnóstwo uroczych posiadłości.

- Wybrana przez nas posesja należy do Clary Hodges - ciągnął David, zaglądając do katalogu biura handlu nieruchomościami. - Cena wynosi dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Chcielibyśmy wiedzieć, co pański bank myśli o tym domu i jego cenie.

- To wspaniały dom - oświadczył Sherwood. - Znam go dobrze. - On także spojrzął w katalog. - Jest również pięknie położony. Prawdę mówiąc, graniczy z moją posesją - wyznał. - Jeśli zaś chodzi o cenę, uważam, że jest rozsądna.

- A więc bank jest gotów udzielić nam kredytu na zakup tego domu?

- spytała Angela. Chciała się upewnić, gdyż wszystko to wydawało się jej zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

- Oczywiście zaproponujecie niższą cenę - powiedział Sherwood. -

Proponuję, byście zaczęli od stu dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów. Ale

bank da wam kredyt, nawet jeśli cena będzie znacznie wyższa.

Piętnaście minut później David, Angela i Nikki ponownie wyszli w ciepłe słońce Vermontu. Nigdy dotąd nie kupowali domu, była to więc podniosła chwila. Pierwszy raz w życiu podjęli tak poważną decyzję.

- No więc? - zapytał David.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, byśmy mogli znaleźć coś lepszego - stwierdziła Angela.

- W moim pokoju starczy nawet miejsca na biurko - zawołała Nikki.

- W tym domu jest tyle pomieszczeń, że możesz mieć nawet osobną sypialnię i pokój do nauki - powiedział David, żartobliwie mierzwiąc jej włosy.

- Załatwmy zatem sprawę do końca - zaproponowała Angela.

Znalazłszy się z powrotem w biurze Dorothy, przedstawili jej swoją decyzję. Uprzejma agentka natychmiast połączyła się telefonicznie z Clarą Hodges i w nieco niekonwencjonalny sposób, po krótkich targach właścicielka domu zgodziła się obniżyć jego cenę do dwustu dziesięciu tysięcy dolarów.

Kiedy Dorothy sporządzała oficjalną umowę, David i Angela wymienili spojrzenia. Byli oszołomieni, uświadomiwszy sobie, że stali się właścicielami tak wspaniałego domu. Sądzieli przecież, że nie dorobią się takiej posesji jeszcze przez długie lata. Było jednak w tym wszystkim także coś niepokojącego: ich długi wzrosły teraz więcej niż dwukrotnie - wynosiły ponad trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Pod koniec dnia, po jeszcze jednej wizycie w banku i kolejnych

odwiedzinach w biurze Dorothy, wszystkie dokumenty zostały podpisane i uwierzytelnione.

- Podam wam jeszcze kilka nazwisk, które mogą się przydać - powiedziała na pożegnanie Dorothy. - Pete Bergan jest człowiekiem, który podejmie się każdej nietypowej pracy. Nie należy do najbystrzejszych ludzi na świecie, ale zna się na swojej robocie. A do malowania radziłabym zatrudnić Johna Murraya.

David zapisał oba nazwiska wraz z numerami telefonów.

- Jeśli zaś potrzebowalibyście opiekunki dla Nikki, moja starsza siostra, Alice Doherty, będzie zachwycona, mogąc wam pomóc. Kilka lat temu owdowiała i przepada za dziećmi. Poza tym jest waszą sąsiadką.

- To wspaniała wiadomość - ucieszyła się Angela. - Zważywszy na charakter naszej pracy, sądzimy, iż ktoś taki będzie nam potrzebny niemal codziennie.

Jeszcze tego samego dnia David i Angela spotkali się z poleconymi przez Dorothy rzemieślnikami, zlecając dokładne wysprzątanie domu oraz malowanie i drobne naprawy, które miały zabezpieczyć dach przed przeciekaniem.

Po wizycie w sklepie żelaznym, gdzie Nikki raz jeszcze pogłaskała Rusty'ego i pożegnała się z nim, Wilsonowie opuścili miasto i ruszyli w powrotną drogę do Bostonu. Tym razem prowadziła Angela, ale ani Nikki, ani David nie zdrzemnęli się nawet przez minutę. Wciąż od nowa przeżywali wydarzenia tego dnia, snując marzenia na temat nowego życia, które wkrótce mieli rozpocząć.

- Co sądzisz o doktorze Portlandzie? - zapytał w pewnej chwili

David.

- Co masz na myśli? - nie zrozumiała Angela.

**- Nie sprawia wrażenia człowieka nastawionego do mnie życzliwie -
stwierdził David.**

- Och, nie masz racji. Po prostu wyrwaliśmy go ze snu.

**- Mimo wszystko, większość ludzi nie zachowywałaby się tak
nerwowo. Poza tym wyglądał jak nieboszczyk, który właśnie wstał z
grobu. Przez ostatni miesiąc ogromnie się zmienił.**

**- Myślę, że wyglądał na kogoś, kto przeżywa silne załamanie
nerwowe.**

David wzruszył ramionami.

**- Przy pierwszym naszym spotkaniu także nie odnosił się do mnie
przesadnie życzliwie, przynajmniej takie miałem wrażenie. Wszystkim,
co go interesowało, było to, czy gram w koszykówkę. Z jakichś powodów
czułem się przy nim zakłopotany. Mam nadzieję, że kiedy będziemy
dzielić ze sobą gabinet, nie dojdzie między nami do konfliktów.**

**Zatrzymali się po drodze, by zjeść obiad, dlatego też do Bostonu
wrócili późnym wieczorem. Znalazłszy się z powrotem w swym
mieszkanu, rozejrzeli się z niedowierzaniem, zdumieni, że potrafili przez
cztery lata żyć w tych klaustrofobicznie ciasnych pomieszczeniach.**

**- Całe to mieszkanie zmieściłoby się w jednej tylko bibliotece
tamtego domu - stwierdziła Angela.**

Oboje postanowili zadzwonić do swoich rodziców, by podzielić się z

nimi radosną nowiną. Rodzice Davida byli wprost zachwyceni. Po przejściu na emeryturę przenieśli się do Amherst w New Hampshire, do Bartlet mieli więc dość blisko.

- Będziemy się mogli teraz znacznie częściej widywać - powiedzieli uradowani.

Matka Angeli była nieco rozczarowana, że zrezygnowali z wyjazdu do Nowego Jorku.

- Twój ojciec poświęcił mnóstwo czasu, rozmawiając z przeróżnymi ludźmi, po to byś dostała tutaj dobrą posadę - sarknęła. - Uważam marnowanie jego wysiłku za nierozsądne.

- Oni nigdy nie potrafili być z czegokolwiek zadowoleni - stwierdziła Angela, odkładając słuchawkę. - Nie powinnam więc oczekiwać, że teraz nagle się zmienia.

Rozdział 6

Poniedziałek, 24 maja

Traynor przyjechał do szpitala na długo przed godziną, na którą miał umówione spotkanie. Zamiast udać się prosto do biura Helen Beaton, wszedł na drugie piętro i skierował się do sali 209. Odetchnął głęboko, by dodać sobie odwagi, i otworzył drzwi. Stanowisko prezesa zarządu szpitala nie przełamało jego niechęci do stykania się z pacjentami, szczególnie z tymi ciężko chorymi.

Wzdychając na znak, iż zdaje sobie sprawę z poważnego stanu pacjenta, podszedł do wielkiego ortopedycznego łóżka i bardzo uważając, by niczego nie dotknąć, pochylił się nad Tomem Baringerem. Mężczyzna

nie wyglądał dobrze i Traynor postanowił nie zbliżyć się do niego z nadto, jakby owo cierpienie mogło dotknąć także i jego. Tom miał poszarzałą twarz i oddychał z wysiłkiem. Wijący się po jego poduszce plastikowy wąż tłoczył mu do nosa tlen. Oczy miał zamknięte, a powieki wysmarowane jakąś maścią.

- Tom - szepnął Traynor. Nie doczekawszy się odpowiedzi, powtórzył imię głośniejszym głosem, ale i tym razem pacjent nawet nie drgnął.

- On nie może panu odpowiedzieć.

Traynor podskoczył przestraszony. Z twarzy odpłynęła mu cała krew. Sądził, że oprócz Baringera nikogo w tym pokoju nie ma.

- Jego zapalenie płuc nie poddaje się leczeniu - powiedział gniewnie ukryty w mrocznym kącie nieznajomy. - On umiera. Podobnie jak inni wcześniej.

- Kim pan jest? - zapytał Traynor, ocierając z czoła perlisty pot.

Mężczyzna podniósł się powoli. Dopiero teraz można było zobaczyć, że ma na sobie strój chirurga, na który narzucił biały fartuch.

- Jestem lekarzem Toma Baringera, nazywam się Randy Portland. -

Podszedł do łóżka chorego i popatrzył na pogrążonego w śpiączce mężczyznę. - Operacja przebiegła prawidłowo, ale pacjent jest bliski śmierci. Sądzę, że słyszał pan już poprzednio o podobnych przypadkach.

- Chyba tak - odparł nerwowo prezes zarządu. Zaskoczenie obecnością doktora Portlanda przerodziło się w niechęć do tego człowieka. W zachowaniu lekarza było coś dziwnego.

- Zoperowałem mu biodro - wyjaśnił Portland, unosząc brzeg koca,

by Traynor mógł zobaczyć opatrunek. - Nie było z tym żadnych kłopotów, wszystko przebiegło pomyślnie. Ale Baringer już nigdy stąd nie wyjdzie. - Portland przykrył pacjenta z powrotem, a spojrzenie jego zmęczonych oczu spoczęło na Traynorze. - Coś złego dzieje się w tym szpitalu. Nie mam zamiaru brać całej winy na siebie!

- Doktorze Portland... - zaczął z wahaniem Traynor. - Nie wygląda pan dobrze. Może powinien się pan skonsultować z jakimś lekarzem w sprawie własnego zdrowia.

Portland odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Był to jednak gorzki, pozbawiony wesołości śmiech, który umilkł równie nagle, jak się pojawił.

- Być może ma pan rację - przyznał. - Pewnie tak zrobię. - Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Prezes zarządu długo jeszcze nie mógł otrząsnąć się z zaskoczenia.

Popatrzył na Toma, jak gdyby oczekiwał, że chory obudzi się i wyjaśni mu zachowanie doktora. Potrafił zrozumieć, że lekarz może emocjonalnie przeżywać stan, w jakim znajduje się jego pacjent, lecz Portland wydawał mu się zbyt mocno wytrącony z równowagi.

Spróbował raz jeszcze porozumieć się z Tomem, ale przekonawszy się, że to daremny wysiłek, wymknął się z sali. Rozejrzał się niespokojnie, szukając wzrokiem doktora Portlanda, nigdzie go jednak nie dojrzał, więc szybko pomaszerował w stronę gabinetu Beaton. Caldwell i Kelley już tam byli.

- Czy znacie doktora Portlanda? - zapytał, siadając na krześle.

Wszyscy obecni potakująco skinęli głowami.

- Jest jednym z naszych lekarzy. To chirurg ortopeda - rzekł Kelley.

- Właśnie odbyłem z nim nieco dziwną i nieoczekiwaną rozmowę - powiedział Traynor. - Idąc tutaj, chciałem po drodze odwiedzić mojego znajomego, Toma Baringera, który jest bardzo chory. Doktor Portland siedział w kącie w pokoju Toma - w pierwszej chwili nawet go nie zauważyłem. Potem, rozmawiając ze mną, zachowywał się dziwnie, tak jakby tracił zmysły. Rozumiem, że był przygnębiony stanem Toma, ale on mówił coś o niebraniu na siebie winy i o tym, że w naszym szpitalu dzieje się coś niedobrego.

- Sądzę, że z przepracowania wygaduje, co mu ślina na język przyniesie - zbagatelizował sprawę Kelley. - Brakuje nam przynajmniej jednego chirurga ortopedy. Niestety, pomimo wysiłków nie udało się nam zatrudnić nikogo nowego.

- Na mnie ten człowiek zrobił wrażenie chorego - stwierdził Traynor. - Poradziłem mu, by poszedł do lekarza, ale on tylko się roześmiał.

- Porozmawiam z nim - obiecał Kelley. - Być może potrzebuje krótkiego odpoczynku. Zawsze możemy znaleźć na kilka tygodni kogoś, kto go zastąpi.

- Cóż, nie będziemy się teraz zajmować tą sprawą - powiedział Traynor, starając się odzyskać pozycję należną prezesowi zarządu.

- Zanim jednak przejdziemy do innych tematów - przerwał mu Kelley, błyskając zębami w triumfującym uśmiechu - muszę was o czymś

poinformować: moi pracodawcy zmartwili się ogromnie niechęcią

szpitala do przeprowadzania operacji na otwartym sercu.

- My również byliśmy tym mocno rozczarowani - wyjaśnił nerwowo

Traynor, który nie lubił zaczynać zebrań od przykrych spraw. - Niestety,

jest to ponad nasze siły. Montpellier jest do takich zabiegów znacznie

lepiej przygotowane, pomimo iż sądzimy, że nieźle wywiązywaliśmy się z

naszego zadania.

- CMV oczekiwało, że program operacji na otwartym sercu będzie

kontynuowany - powiedział Kelley. - Stanowiło to część naszego

kontraktu.

- Ta część kontraktu zakładała, że dostaniemy na to fundusze -

poprawił go Traynor. - Ale nie dostaliśmy. Przyjrzyjmy się więc temu, co

zostało zrobione: unowocześniliśmy szpital, dobudowaliśmy oddział

noworodków, zamieniliśmy stary kobaltowy aparat na nowy akcelerator

linearny. Sądzę, iż wykazaliśmy maksimum dobrej woli, szczególnie że

zmiany te nastąpiły w okresie, kiedy szpital przynosił straty.

- To, czy szpital tracił pieniądze, czy nie, nie miało nic wspólnego z

kontraktem z CMV - obruszył się Kelley. - Było to prawdopodobnie

spowodowane nieudolnym kierowaniem tą placówką.

- Sądzę, że się pan myli - odrzekł Traynor, starając się zapanować

nad gniewem, w jaki wprawily go obraźliwe insynuacje Kelleya. Nie znosił

sytuacji, w których musiał się bronić, szczególnie gdy zarzuty stawiał mu

tak młody i zarozumiały biurokrata jak Kelley. - Poza tym zdaje mi się, że

CMV powinno czuć się zaniepokojone kłopotami szpitala. Jeśli nasza

kondycja finansowa jeszcze się pogorszy, będziemy musieli zamknąć szpital. A to dla nikogo nie byłoby dobre. Trzeba wspólnie starać się temu zapobiec. Nie mamy wyboru.

- Jeśli sytuacja w szpitalu wygląda tak źle, CMV może prowadzić swoje interesy gdzie indziej.

- To nie jest takie proste - zauważył Traynor. - Dwa inne szpitale w tej okolicy zostały już zamknięte.

- Żaden problem - stwierdził lekceważąco Kelley. - Jeśli zajdzie taka potrzeba, będziemy kierować naszych pacjentów do szpitala CMV w Rutland.

Traynorowi serce zabiło mocniej ze złości. Taka możliwość nigdy nie przyszła mu do głowy. Miał nadzieję, że brak innych szpitali w okolicy wzmocni jego pozycję negocjacyjną. Najwidoczniej jednak się mylił.

- Nie chcę przez to powiedzieć, że nie chcemy z wami współpracować - dodał Kelley. - W końcu mamy ten sam cel: niesienie ludziom pomocy. - Uśmiechnął się, ukazując przy tym rząd nieskazitelnie białych, równych zębów.

- Problem polega na tym, że płacone nam składki są za niskie - stwierdził bez ogródek Traynor. - Koszty hospitalizacji kierowanych tu przez CMV pacjentów o dziesięć procent przekraczają uzyskiwane przez nas wpływy. Na dłuższą metę nie poddamy takim obciążeniom. Musimy renegotjować wysokość składek. To proste.

- Wysokość składek nie zostanie zmieniona przed upływem terminu kontraktu - odrzekł stanowczo Kelley. - Za kogo nas macie? Sami

zaproprowowaliście obecne warunki. Podpisaliście kontrakt i on nadal was obowiązuje. Jedyne, co mogę zrobić, to rozpocząć negocjacje wysokości składek za opiekę medyczną na oddziale intensywnej terapii, która początkowo nie była objęta naszą umową.

- To nie jest dobry moment do rozpoczynania rozmów na ten temat

- przerwał mu Traynor, czując spływający po plecach pot. - Musimy się najpierw zastanowić, jak na przyszłość zapobiec stratom.

- To właśnie jest powodem, dla którego zaprosiliśmy pana dzisiaj na spotkanie - odezwała się po raz pierwszy tego popołudnia Beaton, po czym wystąpiła z propozycją przyznawania specjalnych premii lekarzom CMV. - Każdy z nich będzie otrzymywał premię zależną od liczby dni pobytu w szpitalu jego pacjentów, którą będzie się porównywało z wcześniej ustalonym limitem. Jeśli liczba tych dni będzie malała, premia będzie rosła. I odwrotnie.

Kelley wybuchnął śmiechem.

- To brzmi jak czysty szantaż. Dla ludzi tak wrażliwych na sprawy finansowe jak lekarze zredukowanie długości pobytu pacjentów w szpitalu oraz liczby przeprowadzonych operacji z pewnością nie będzie stanowić problemu.

- Dokładnie tę samą zasadę wprowadziła CMV w swoim szpitalu w Rutland.

- Skoro działa tam, powinna zdać egzamin i tutaj - pokiwał głową

Kelley. - Nie przewiduję żadnych kłopotów, pod warunkiem, że CMV nie poniesie żadnych kosztów tego przedsięwzięcia.

- Stroną finansową w całości zajmie się szpital - obiecała Beaton.
- Przedstawię ten projekt moim szefom - powiedział Kelley. - Czy to już wszystko na dziś?
- Wszystko - odparła Beaton. Kelley podniósł się z miejsca.
- Bylibyśmy wdzięczni, gdyby załatwił pan tę sprawę jak najszybciej
- poprosił Traynor. - Obawiam się, że w naszych księgach rachunkowych jest znacznie więcej zapisów po stronie „winien” niż po stronie „ma”.
- Porozmawiam o tym z moimi przełożonymi jeszcze dzisiaj - przyrzekł Kelley. - Do jutra powinienem znać ostateczną odpowiedź. - Pożegnał się z uczestnikami spotkania i wyszedł.
- Powiedziałabym, że zebranie przebiegło zgodnie z naszymi oczekiwaniami - westchnęła Beaton, kiedy zostali sami.
- Ja jestem dobrej myśli - odezwał się Caldwell.
- Nie daruję mu tej uwagi o nieudolnym zarządzaniu szpitalem - mruknął Traynor. - Nie znoszę tego zarozumialca. Jaka szkoda, że to właśnie z nim musimy rozmawiać o naszych interesach.
- Nie podoba mi się groźba, iż będą odsyłać swoich pacjentów do Rutland - stwierdziła Helen. - Bardzo mnie to zmartwiło. Nasza pozycja negocjacyjna jest wobec tego znacznie słabsza, niż początkowo myślałam.
- To samo i mnie przyszło do głowy - westchnął Traynor. - Popatrzcie, odbyliśmy spotkanie na najwyższym szczeblu, od którego prawdopodobnie zależeć będzie los szpitala, a w naszej rozmowie nie brał udziału żaden lekarz.
- To charakterystyczne dla obecnych czasów - zgodziła się Beaton. -

Ciężar radzenia sobie z kryzysem służby zdrowia spoczywa na barkach administratorów.

- Sądzę, że jest to w świecie medycyny odpowiednik stwierdzenia, że „wojna jest rzeczą zbyt ważną, by pozostawić ją generalom” - powiedział Traynor.

Wszyscy w pokoju roześmiali się. Był to dobry sposób na rozładowanie napięcia po spotkaniu.

- A co z doktorem Portlandem? - zapytał Caldwell. - Co powinienem z nim zrobić?

- Nie sądzę, by cokolwiek było tu do zrobienia - powiedziała Beaton.

- O jego umiejętnościach chirurgicznych słyszałam same dobre opinie. Z pewnością nie pogwałcił żadnych zasad regulaminu. Uważam, że powinniśmy poczekać i zobaczyć, co robi CMV.

- Według mnie ten człowiek nie wygląda dobrze - raz jeszcze powtórzył Traynor. - Nie jestem psychiatrą i nie wiem, jak wyglądają ludzie stojący na krawędzi nerwowego załamania, ale gdybym miał zgadywać, ocenilbym, iż on właśnie robi wrażenie kogoś takiego.

Brzęczenie interkomu zaskoczyło ich wszystkich, szczególnie zaś Beaton, która zostawiła wyraźne polecenie, by nikt im nie przeszkadzał.

- Zła wiadomość - powiedziała, odkładając słuchawkę. - Tom Baringer nie żyje.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu.

- Nic tak jak śmierć - smutno zauważył po chwili Traynor - nie przypomina mi o ujemnym bilansie szpitala. Prowadzenie placówki

medycznej to szczególny rodzaj biznesu.

- To prawda - przytaknęła Beaton. - Wykonywanie tej pracy

sprawia, że całe miasto, a właściwie cały najbliższy region staje się dla nas jedną wielką rodziną. I tak jak w każdej dużej rodzinie, ciągle ktoś umiera.

- Jaki jest wskaźnik śmiertelności pacjentów w Bartlet Community

Hospital? - zapytał Traynor. - Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, żeby się tym zainteresować.

- Sytuujemy się gdzieś pośrodku skali - odrzekła Beaton. -

Oscylujemy w granicach jednego procenta. Nasze statystyki wyglądają o wiele lepiej niż w klinikach wielkowiejskich.

- Co za ulga - stwierdził Traynor. - Przez chwilę obawiałem się, że jest jeszcze jedna rzecz, o którą będę się musiał martwić.

- Dość tej ponurej rozmowy - przerwał im Caldwell. - Są i dobre

wiadomości. To młode małżeństwo, które my i CMV tak bardzo chcieliśmy zatrudnić, postanowiło przenieść się do Bartlet. Będziemy więc mieli świetnie wyszkolonego patologa.

- Miło mi to słyszeć - ucieszył się Traynor. - Dzięki temu oddział patologii stanie na nogi.

- Nabyli już nawet stary dom Hodgesa - dodał Caldwell.

- Nie żartuj! - zawołał Traynor. - To mi się dopiero podoba! Jest w tym fakcie coś cudownie ironicznego.

Charles Kelley wślizgnął się do swego kabrioletu ferrari, zapalił silnik i nacisnął pedał gazu. Samochód zadziałał tak, jak powinien

zadziałać ów cud techniki: pęd powietrza wcisnął kierownicę w siedzenie, kiedy gwałtownie przyśpieszając, opuszczał parking szpitalny. Uwielbiał prowadzić ten samochód, szczególnie w górach. Sposób, w jaki trzymał się drogi i brał zakręty, był wprost boski.

Po spotkaniu z zarządem Bartlet Hospital Kelley zadzwonił bezpośrednio do Duncana Mitchella, uważając to za dobrą okazję do wykazania się przed człowiekiem mającym tak dużą władzę. Duncan Mitchell był prezesem CMV oraz kilku innych organizacji medycznych i towarzystw zarządzających szpitalami na Południu. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jego domowe biuro mieściło się w Vermont, gdzie Mitchell miał farmę.

Kelley nie wiedział, czego może się po nim spodziewać, i podczas rozmowy telefonicznej był bardzo zdenerwowany, ale Mitchell odniósł się do niego bardzo życzliwie. Pomimo że Kelley zadzwonił akurat w czasie, kiedy szef CMV przygotowywał się do odlotu do Waszyngtonu, bez wahania zgodził się na spotkanie przed głównym budynkiem lotniska Burlington.

Podczas gdy prywatny samolot CMV gotował się do startu, Mitchell zaprosił Kelleya do swojej limuzyny i zaproponował drinka - samochód miał wbudowany barek. Kelley grzecznie odmówił.

Duncan Mitchell zrobił na swym gościu duże wrażenie. Nie dorównywał wprawdzie Kelleyowi wzrostem, ale biła od niego siła i poczucie władzy. Był ubrany w tradycyjny garnitur z jedwabnym krawatem i złotymi spinkami do koszuli. Jego włoskie buty wykonano z

ciemnobrązowej krokodylej skóry.

Kelley wyjaśnił Mitchellowi, jakie stanowisko zajmuje w CMV, wspominając - na wypadek gdyby szef tego nie wiedział - że terenem jego działania są okolice Bartlet Community Hospital. Mitchell wydawał się jednak dokładnie poinformowany, kim jest jego rozmówca.

- Chcielibyśmy kupić tę placówkę - oświadczył.

- Tak właśnie sądziłem - powiedział Kelley. - Właśnie z tego powodu pragnąłem osobiście z panem porozmawiać.

Mitchell wyjął z kieszeni złotą papierośnicę i wyciągnął z niej papierosa. W zamyśleniu postukał nim o wieczko złotego pudełka.

- Przejęcie tego wiejskiego szpitalika przyniosłoby nam poważne zyski - zauważył. - Wymagałoby to jednak bardzo starannego pokierowania sprawą.

- Całkowicie się z panem zgadzam - przytaknął Kelley.

- O czym chciał pan ze mną pomówić?

- Chodzi o dwie rzeczy - odrzekł Kelley. - Pierwsza dotyczy wysuniętej przez szpital propozycji, żeby lekarzom przyznawać premie na takich samych zasadach, jak dzieje się to w naszych placówkach. Chcą w ten sposób ograniczyć czas hospitalizacji pacjentów.

- A ta druga sprawa? - zapytał Mitchell, dmuchając dymem w sufit limuzyny.

- Jeden z naszych lekarzy zaczął zachowywać się dziwnie po tym, jak u kilku jego pacjentów pojawiły się pooperacyjne komplikacje - wyjaśnił Kelley. - Oświadczył, że to nie jego wina i że w szpitalu dzieje się coś

dziwnego.

- Czy miał jakieś kłopoty natury psychiatrycznej?

- Nic nam o tym nie wiadomo. - Kelley pokręcił głową. - Jeśli chodzi o pierwszą sprawę, niech pan pozwoli im wprowadzić system premii. W tym stanie rzeczy nie ma to już większego znaczenia dla ich bilansu zysków i strat.

- A co z tym lekarzem? - zapytał Kelley.

- Coś będzie trzeba z tym zrobić - westchnął Mitchell. - Nie możemy pozwolić, żeby ktokolwiek z naszych ludzi zachowywał się w ten sposób.

- Ma pan jakieś sugestie?

- Proszę uczynić to, co konieczne - odrzekł Mitchell. - Szczegóły pozostawiam panu. Jedną z umiejętności potrzebnych do zarządzania tak wielką organizacją jak nasza jest zdolność ocenienia, kiedy można zostawić pracownikowi wolną rękę. Teraz jest właśnie taka chwila.

- Dziękuję panu, panie Mitchell - odparł Kelley. Było mu bardzo przyjemnie. Szef najwidoczniej uznał, że może mieć doń zaufanie. Podniesiony na duchu wysiadł z limuzyny i wrócił do swego ferrari.

Opuszczając parking przed lotniskiem, zobaczył Mitchella wspinającego się na schody służbowego samolotu. Pewnego dnia - obiecał sobie - to ja będę nim latał.

Rozdział 7

Środa, 30 czerwca

Zarówno oddział internistyczny, jak i patologia urządziły małe, nieformalne uroczystości na cześć tegorocznych absolwentów kończących

szpitalną praktykę. David i Angela, odebrawszy dyplomy, zrezygnowali z udziału w popołudniowych przyjęciach i pośpieszyli do domu. Chcieli opuścić Boston jeszcze tego samego dnia, by jak najszybciej znaleźć się w swoim domu w Bartlet.

- Cieszysz się? - David zapytał Nikki.

- Cieszę się, że zobaczę Rusty'ego.

Wynajęli ciężarówkę, chcąc szybciej uporać się z przeprowadzką.

Wystarczyło zaledwie kilka razy obrócić w górę i w dół po schodach, by umieścić w dwóch samochodach cały dobytek. Angela usiadła za kierownicą ich volvo, David natomiast miał poprowadzić ciężarówkę.

Nikki postanowiła, że pierwszą część podróży odbędzie z ojcem.

David wykorzystał tę okazję, by porozmawiać z córką o nowej szkole i zapytać, czy będzie tęskniła za dawnymi przyjaciółmi.

- Za niektórymi na pewno - odparła Nikki - ale za innymi wcale nie.

Myślę jednak, że szybko przywyknę do nowego otoczenia.

David uśmiechnął się, obiecując sobie zapamiętać dokładnie jej słowa, by powtórzyć to zabawnie dorosłe stwierdzenie żonie.

Tuż po przejechaniu granicy stanu New Hampshire zatrzymali się na lunch. Jedli bardzo szybko, chcąc jak najwcześniej znaleźć się w swoim nowym domu.

- Czuję się cudownie, opuściwszy to szalone, niebezpieczne miasto - oświadczyła Angela, kiedy po wyjściu z restauracji szli w stronę samochodów. - Ani trochę nie będę za nim tęskniła.

- A ja nie jestem tego taki pewien - zażartował David. - Chyba będzie

mi brakowało wycia syren, strzałów z rewolwerów, brzęku tłuczonego szkła i wołania o pomoc. Życie na wsi może mi się po tym wszystkim wydać takie nudne...

Zarówno Nikki, jak i Angela popatrzyły na niego z udawanym oburzeniem.

Resztę drogi Nikki spędziła w samochodzie matki.

Skierowali się na północ i pogoda zaczęła się nieco zmieniać. W Bostonie było gorąco, parno i mgliście, kiedy zaś znaleźli się w Vermont, nadal było wprawdzie ciepło, ale powietrze stało się przejrzyste i znacznie mniej wilgotne.

W samym Bartlet panował wczesnoletni upał. Niemal we wszystkich oknach kwitły doniczkowe kwiaty. Złożona z dwóch samochodów karawana Wilsonów powoli przemierzała senne uliczki miasta. Na chodnikach zauważyli zaledwie kilka osób, jakby wszyscy mieszkańcy pogrążyli się w drzemce.

- Czy możemy się zatrzymać i zabrać Rusty'ego? - spytała Nikki, kiedy znaleźli się w pobliżu sklepu żelaznego Staleya.

- Lepiej byłoby się najpierw trochę rozpakować - odparła Angela. -

Poza tym musimy zbudować dla niego jakiś kojec, bo inaczej rozniesie nam dom.

Zaparkowali samochody na podjeździe i popatrzyli na dom. Teraz, kiedy oficjalnie już należał do nich, czuli się jeszcze bardziej podekscytowani niż wtedy, gdy byli tu po raz pierwszy.

- Jak pięknie - westchnął David, wysiadając z ciężarówki. - Wygląda

jednak na to, że trzeba będzie włożyć w ten dom więcej pracy, niż

początkowo sądziłem.

**- Wcale się tym nie martwię - powiedziała Angela, podchodząc do
męża i patrząc na gzymsy, z których odpadła część ozdobnych elementów.**

**- Przecież poślubiłam człowieka, który potrafi to i owo zrobić w domu
własnoręcznie.**

David roześmiał się.

**- Niewykluczone, że postaram się przekonać cię, że tak właśnie jest -
oświadczył.**

- Trzymam cię za słowo - zakpiła.

Przysłanym im pocztą kluczem otworzyli drzwi i weszli do środka.

**Pozbawiony mebli dom wyglądał teraz zupełnie inaczej - kiedy oglądali go
wcześniej,**

wszystkie

pomieszczenia

zastawione

były

sprzętami

Hodgesów.

**- Mamy tak dużo miejsca, że możemy tu urządzić salę balową -
stwierdził David.**

**- Jest nawet echo - ucieszyła się Nikki, wołając „halo, halo” i
nasłuchując, jak jej głos odbija się od ścian.**

- Po tym właśnie poznaje się, że człowiek odnalazł swoje miejsce na

świecie - powiedział David. - Jeśli dom naprawdę należy do ciebie, usłyszysz w nim echo.

Cała trójka powoli przeszła przez główny hol. Teraz, kiedy nie było dywanów, obcasy ich butów stukały głośno o szerokie deski podłogi.

Zdążyli już zapomnieć, jak duży jest ten dom - szczególnie w porównaniu z ich bostońskim mieszkaniem. Poza stolikiem i kuchennym stołem, na których pozostawienie się zgodzili, wewnątrz było całkowicie puste.

Pośrodku holu, tuż nad wielkimi schodami, wisiał imponujący żyrandol. Po lewej stronie znajdowała się biblioteka i jadalnia, po prawej zaś olbrzymi salon. Główny hol prowadził do przestronnej wiejskiej kuchni, która zajmowała cały tył domu. Za kuchnią znajdowała się dwupoziomowa sień, łącząca część mieszkalną posiadłości ze stajnią.

Poza jednym dużym pomieszczeniem mieściło się tam również kilka małych składzików oraz tylne schody wiodące na górę.

Wróciwszy do głównego holu, Wilsonowie wspięli się na piętro.

Mieściły się tu dwie sypialnie z przylegającymi do nich łazienkami oraz jeden duży pokój znajdujący się tuż nad kuchnią.

Węższe i mniejsze schody prowadziły z korytarza na drugie piętro, gdzie były jeszcze cztery nie ogrzewane pokoje.

- Ileż tu klitek - zażartował David.

- Który pokój będzie należał do mnie? - zapytała Nikki.

- Który tylko chcesz - odrzekła Angela.

- Chciałabym ten z oknami wychodzącymi na sadzawkę - poprosiła dziewczynka.

Powrócili na pierwsze piętro i weszli do wybranego przez nią pokoju. Chwilę rozmawiali o meblach, jakie tu staną, włączając w to nie kupione jeszcze biurko.

- No dobrze, moi drodzy - przerwała w końcu dyskusję Angela. -

Bierzmy się do roboty. Trzeba się rozpakować.

David zasalutował po wojskowemu.

Wrócili do samochodów i zaczęli wnosić rzeczy do domu, układając je w odpowiednich pokojach. Najwięcej trudności sprawiły im kanapa, łóżko oraz ciężkie pudła z książkami. Kiedy wreszcie skończyli, David i Angela stanęli w łukowatym przejściu wiodącym do salonu.

- Wszystko to można by uznać za dosyć zabawne, gdyby nie było tak patetyczne - stwierdziła kobieta.

Dywan, który w ich poprzednim mieszkaniu sięgał od ściany do ściany, tutaj pośrodku olbrzymiego pokoju zdawał się nie większy niż sporych rozmiarów wycieraczka pod drzwi. Wytarta kanapa, dwa fotele i stolik do kawy sprawiały wrażenie, jakby kupiono je na jakiejś wyprzedży.

- Skromna elegancja - oświadczył David. - Ozdoby ograniczone do minimum. Gdyby to wnętrze zaprezentowano w „Architectural Digest”, wszyscy staraliby się naśladować urządzenie tego pokoju.

- A co z Rustym? - zapytała Nikki.

- Teraz po niego pojedziemy - odrzekł David. - Trzeba przyznać, że bardzo nam pomogłaś przy rozpakowywaniu. Masz ochotę jechać z nami, Angelo?

- Nie, dziękuję. Zostanę, żeby zaprowadzić tu trochę porządku.

Sz szczególnie w kuchni.

- Sądziłem, że jeszcze dzisiaj zjemy w barze - powiedział David.

**- Nie. Chcę, żebyśmy usiedli do stołu tutaj, w naszym nowym domu -
odrzekła Angela.**

**Kiedy ojciec i córka odjechali w stronę centrum, rozpakowała
pudelka z garnkami, patelniami, talerzami i sztucami oraz sprawdziła,
jak działa piecyk i lodówka.**

**Nikki wróciła, trzymając w ramionach zabawne szczenię z
pomarszczoną mordką i obwisłymi uszami. Psiak znacznie podrośł od
czasu, kiedy ostatnio byli w Bartlet.**

**- To będzie duży pies - stwierdził David, zauważając, że jego łapy już
teraz dorównują wielkością piąstkom Nikki.**

**Kiedy dziewczynka z ojcem przygotowywała posłanie dla Rusty'ego,
Angela zajęła się kolacją dla córki. Nikki nie była zbyt uszczęśliwiona, że
ma ją zjeść wcześniej niż rodzice, czuła się jednak zbyt zmęczona, żeby
narzekać. Po posiłku i inhalacji Nikki i szczeniak, oboje wyczerpani,
poszli spać.**

**- A teraz mam dla ciebie małą niespodziankę - oświadczyła Angela,
kiedy David wrócił z pokoju córki po ułożeniu jej do snu. Wzięła go za
rękę i poprowadziła do kuchni. Otworzywszy lodówkę, wyjęła z niej
butelkę chardonnaya.**

**- Cudownie! - zawołał David, oglądając etykietkę. - To nie jest ten
tani cienkusz, który zwykle pijemy!**

- Istotnie nie jest - przytaknęła Angela. Ponownie sięgnęła do lodówki i postawiła na stole przykryty papierem półmisek. Usuwając serwetkę, z dumą pokazała mężowi dwa grube jagnięce kotlety.

- No, no, mam wrażenie, że szykujesz prawdziwą ucztę - zaśmiał się David.

- Nie mylisz się - znowu przytaknęła żona. - Sałatka, karczochy, brązowy ryż i jagnięce kotlety. Oraz najlepszy chardonnay, jaki udało mi się dostać.

David usmażył mięso na ogrodowym grillu, stojącym w rogu tarasu, na który wychodziło się z biblioteki. Zanim kotlety były gotowe, Angela nakryła do stołu w jadalni.

Powoli zapadała noc, wypełniając dom długimi cieniami. Płonące świece oświetlały jedynie stół, kryjąc w mroku resztę pokoju.

David i Angela siedzieli w dwóch końcach stołu. Nie rozmawiali. Po prostu patrzyli na siebie i jedli. Poddając się podniosłemu nastrojowi, uświadomili sobie, jak bardzo w ciągu ostatnich lat brakowało w ich życiu miejsca na romantyzm - byli wszak całkowicie pochłonięci szpitalną praktyką i problemami ze zdrowiem Nikki.

Jeszcze długo po tym, jak skończyli jeść, siedzieli w milczeniu, patrząc na siebie, podczas gdy przez otwarte okno wpadała symfonia dźwięków letniej nocy w Vermont. Płomienie świec migotały w przejrzystym, chłodnym powietrzu, które pieściło ich twarze. Pragnęli, by ta zaczarowana chwila trwała wiecznie.

Nagle pożądanie poprowadziło ich z jadalni ku ciemnemu salonowi.

Przywarli do siebie w gorącym uścisku. Pomagając sobie nawzajem, zdjęli ubrania i przy akompaniamencie chóru ukrytych w zakamarkach pokoju świerszczy po raz pierwszy kochali się w swoim nowym domu.

Ranek przyniósł spore zamieszanie. Kiedy pies rozszczekał się na znak, że jest głodny, a Nikki zaczęła głośno narzekać, że nie może znaleźć ulubionych dżinsów, Angela poczuła, że jej cierpliwość jest na wyczerpaniu. David też nie potrafił jej pomóc: w żaden sposób nie mógł odszukać kartki, na której spisał, co zapakował do licznych pudełek, których jeszcze nie zdążyli otworzyć.

- Dosyć tego! - krzyknęła Angela. - Nie chcę już słyszeć narzekań ani szczekania.

Jej krzyk sprawił, że nawet Rusty umilkł na chwilę.

- Uspokój się, moja droga - powiedział David. - Złoszczenie się nic tu nie pomoże.

- Nie życzę sobie, byś mówił mi, kiedy mam przestać się złościć - oburzyła się Angela.

- W porządku - odparł pojednawczo David. - Pojadę po opiekunkę do dziecka.

- Nie jestem dzieckiem - zaprotestowała dotknięta do żywego Nikki.

- Boże dopomóż - westchnęła Angela, wznosząc oczy ku niebu.

Kiedy David pojechał po Alice Doherty, starszą siostrę Dorothy

Weymouth, Angela zdołała odzyskać panowanie nad sobą. Doszła do

wniosku, że popełniła błąd, zobowiązując się zacząć pracę od pierwszego lipca. Oboje z Davidem powinni byli zostawić sobie kilka dni na

urządzenie się w nowym domu.

Alice okazała się prawdziwym darem niebios. Ze swoją łagodną twarzą, wesołymi ognikami w oczach i śnieżnobiałymi włosami wyglądała jak bajkowa dobra babunia. Miała nienaganne maniery i zdumiewająco dużo energii jak na siedemdziesięciodziewięcioletnią kobietę. Okazywała też Nikki szczere współczucie i cierpliwość, których kapryśne i chronicznie chore dziecko Wilsonów tak bardzo potrzebowało. A co najważniejsze, natychmiast pokochała Rusty'ego, czym zyskała sobie gorącą sympatię dziewczynki.

Pierwszą rzeczą, jaką uczyniła Angela, było pokazanie opiekunce, jak pomaga się Nikki w przeprowadzaniu terapii oddechowej. Było niezwykle ważne, aby Alice potrafiła to robić. Na szczęście starsza pani okazała się bardzo pojętną uczennicą.

- Proszę się o nic nie martwić! - zawołała do Davida i Angeli, kiedy wychodzili z domu tylnymi drzwiami.

Nikki trzymała Rusty'ego na rękach i machała łapką szczeniaka, by i on pożegnał się z rodzicami.

- Pojadę na rowerze - powiedział David, kiedy zamknęli za sobą drzwi wejściowe.

- Mówisz poważnie?

- Absolutnie tak - odrzekł.

- A więc baw się dobrze - życzyła mu żona, wsiadając do volvo i uruchamiając silnik. Zjechała z długiego podjazdu i pomachawszy Davidowi, skręciła w stronę miasta.

Pomimo iż wierzyła w swoje zawodowe umiejętności, denerwowała się, myśląc, że właśnie zaczyna pierwszą prawdziwą pracę.

Aby dodać sobie odwagi, jęła zapewniać samą siebie, że lęk odczuwany przed pierwszym dniem pracy jest czymś zupełnie naturalnym. Przybywszy na miejsce, skierowała się prosto do gabinetu Michaela Caldwella, który bezzwłocznie przedstawił ją Helen Beaton, dyrektorowi administracyjnemu szpitala. Brała ona wprawdzie akurat udział w naradzie z doktorem Delbertem Cantorem, szefem personelu medycznego, przerwała jednak to spotkanie, żeby przywitać się z Angką. Zaprosiła ją do swego gabinetu, przedstawiając przy okazji Cantorowi. Witając się z nią, lekarz zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

Pierwszego dnia pracy Angka włożyła najlepszą jedwabną sukienkę.

- No, no - pokiwał głową z uznaniem. - Z pewnością nie wygląda pani jak moje koleżanki ze studiów medycznych. One nie dorastały pani nawet do pięt - roześmiał się serdecznie.

Angka odpowiedziała uśmiechem. Miała ochotę powiedzieć, że na jej studiach było podobnie - żaden ze studiujących tam mężczyzn nie grzeszył urodą - ugryzła się jednak w język. Wiedziała, dlaczego lekarz zachowywał się tak prowokująco: należał do ludzi o staroświeckich poglądach, którzy wciąż nie mogli pogodzić się z tym, że kobiety również wykonują zawód lekarza.

- Cieszymy się bardzo, że dołączyłaś do naszej rodzinki - powiedziała Beaton, odprowadzając Angkę do drzwi. - Jestem przekonana, że praca tutaj dostarczy ci zarówno satysfakcji, jak i

pieniędzy.

Po załatwieniu formalności w administracji Caldwell zabrał Angelę do laboratorium kliniki. Doktor Wadley wstał na jej widok od biurka i witając się, uściskał ją tak, jakby byli starymi przyjaciółmi.

- Witamy w naszym zespole - powiedział z ciepłym uśmiechem, nie wypuszczając ręki Angeli ze swojej dłoni. - Czekałem na ten dzień od tygodni.

- To ja się już pożegnaj - wtrącił Caldwell. - Widzę, że zostawiam cię w dobrych rękach.

- To wielki sukces, że udało ci się zaangażować tak utalentowanego patologa - powiedział Wadley. - Powinieneś dostać za to order.

Caldwell aż pojaśniał z radości.

- Poczciwy człowiek - powiedział Wadley, kiedy ordynator odszedł.

Angela skinęła głową, myślami jednak była przy Wadleyu. Pomimo iż ponownie rzuciło jej się w oczy duże podobieństwo tego człowieka do jej ojca, tym razem uświadomiła sobie także poważne różnice między nimi. Entuzjazm, z jakim powitał ją w laboratorium, był - ku jej radości - czymś zupełnie odmiennym od powściągliwej rezerwy ojca. Angela była wprost oczarowana życzliwością Wadleya. Fakt, że już pierwszego dnia okazywano jej, jak bardzo jest tu potrzebna, ogromnie podniósł ją na duchu.

- No, ale zajmijmy się tym, co najważniejsze - powiedział Wadley, zacierając ręce. Jego zielone oczy zaślniły dziecięcym wprost podnieceniem. - Pokażę ci twój pokój.

Otworzył jedno z drzwi w swoim biurze i wszedł do pomieszczenia, które wyglądało, jakby je świeżo wyremontowano. Pokój był całkowicie biały: białe ściany, białe biurko, wszystko.

- Podoba ci się? - zapytał.

- Jest cudowny - odparła szczerze Angela.

Wadley wskazał na drzwi łączące jej pokój z jego gabinetem.

- Będą zawsze otwarte. Dosłownie i w przenośni.

- Wspaniale - ucieszyła się kobieta.

- A teraz wróćmy jeszcze do laboratorium - poprosił Wadley. -

Wiem, że widziałas je już wcześniej, ale chcę zapoznać cię z innymi pracownikami - powiedział, zdejmując z wieszaka długi, biały fartuch i wkładając go na siebie.

Przedstawił ją kilku osobom, których nazwiska Angela miała nadzieję szybko zapamiętać, po czym oboje udali się do pozbawionego okien gabinetu tuż obok sekcji mikrobiologii. Należał on do innego patologa - doktora Paula Darnella.

W przeciwieństwie do Wadleya Darnell był niskim mężczyzną, ubranym w wygnieciony garnitur i poplamiony odczynnikami biały fartuch. Sprawiał wrażenie człowieka życzliwego, choć nie był przystojny i wydawał się raczej powolny. Tym także różnił się od roześmianego i tryskającego energią Wadleya.

Skończywszy obchód laboratorium, Wadley zaprowadził Angelę z powrotem do swego gabinetu, gdzie wyjaśnił jej, jakie będzie miała obowiązki i jaki będzie zakres jej odpowiedzialności.

- Mam zamiar zrobić z ciebie jednego z najlepszych patologów w tym kraju - oświadczył entuzjastycznie.

David od pierwszego dnia polubił swoją trzyipółmilową jazdę na rowerze. Przejrzysty, pogodny ranek wprawiał go w radosny nastrój, a wsluchiwanie się w śpiew ptaków okazało się znacznie większą przyjemnością, niż sądził. Zdołał nawet po drodze zauważyć kilka kolibrów. Jakby tego było mało, na mokrym od rosy polu, tuż po tym, jak przejechał przez rzekę Roaring, mignęły mu rude plamy kilku jeleni. Przyjechawszy na miejsce, zorientował się, że przybył za wcześnie.

Charles Kelley nigdy nie pokazywał się w pracy przed dziewiątą.

- Słowo daję, palisz się do roboty! - wykrzyknął, zastawszy Davida pochylonego nad kilkoma fachowymi pismami w poczekalni CMV. -

Chodźmy do mojego gabinetu.

David posłusznie ruszył za Kelleyem, po czym na jego polecenie wypełnił kilka standardowych formularzy.

- Zostaniesz włączony do wspaniałego zespołu - powiedział z powagą Kelley. - Spodoba ci się to: ogromnie życzliwi, świetnie wyszkoleni współpracownicy. Czegóż jeszcze można chcieć?

- Chyba niczego - przyznał David.

Uporawszy się z papierkami i wysłuchawszy pouczeń Kelleya, David udał się wraz z nim do swego nowego gabinetu. Kiedy Kelley otwierał drzwi, Wilson zatrzymał się na chwilę, by nacieszyć oczy umieszczoną już nad drzwiami tabliczką ze swoim nazwiskiem. Ku swemu zaskoczeniu ujrzał ponad nią napis: „Doktor Kevin Yansen”.

- Czy to ten sam gabinet, który oglądałem poprzednio? - zapytał, wchodząc do środka.

W poczekalni znajdowało się sześciu pacjentów.

- Ten sam - przytaknął Kelley. Zapukał w lustrzaną szybę i poczekawszy, aż otworzy się w niej małe okienko, przedstawił Davida recepcjonistce, która miała rejestrować zarówno pacjentów doktora Yansena, jak i Wilsona.

- Miło mi pana poznać - powiedziała Anne Withington z ciężkim akcentem z południowego Bostonu, ani na chwilę nie przestając żuć gumy.

- Wejźmy do środka - powiedział Kelley, polecając jednocześnie Anne, by Yansen zajrzał do nich w przerwie pomiędzy przyjmowaniem kolejnych pacjentów. David czuł się zmieszany, kiedy w ślad za Kelleyem wszedł do pomieszczenia, które było niegdyś gabinetem doktora Portlanda. Ściany zostały tu świeżo pomalowane na jasnozielony kolor, podłogę zaś przykrywał nowy, szaro-zielony dywan.

- No i co o tym myślisz? - spytał Kelley, aż pęczniejąc z dumy.

- Podoba mi się - przyznał David. - A gdzie przeniósł się doktor Portland?

Zanim Kelley zdążył odpowiedzieć, w drzwiach pojawił się doktor Yansen. Nie zwracając uwagi na szefa, sam przedstawił się Davidowi, prosząc, by ten nazywał go po prostu Kevinem.

- Witam - powiedział, poklepując nowego kolegę po plecach. - Cieszę się, że do nas dołączasz. Grasz może w koszykówkę lub tenisa?

- Trochę w jedno i drugie - odparł David. - Ale ostatnio zaniedbałem uprawianie sportu.

- Będziemy więc musieli na powrót cię do tego nakłonić - uśmiechnął się Kevin.

- Jesteś ortopedą? - zapytał David, rozglądając się po swoim nowym gabinecie.

Yansen miał kwadratową szczękę, a wyraz jego twarzy świadczył, że należy do ludzi agresywnych. Lekko haczykowaty nos podtrzymywał grube, ciężkie okulary. Był cztery cale niższy od Davida i stojąc obok Kelleya, sprawiał wręcz wrażenie karła.

- Ortopedą? - roześmiał się gorzko Kevin. - Skądże! Wprost przeciwnie. Jestem okulistą.

- Gdzie jest doktor Portland? - zapytał David. Kevin zerknął na Kelleya.

- Nie powiedziałeś mu jeszcze?

- Nie miałem okazji - odrzekł szef CMV, wpatrując się w czubki swoich butów. - Dopiero co przyjechałem.

- Doktora Portlanda nie ma już niestety z nami - powiedział Kevin.

- Porzucił pracę? - nie zrozumiał David.

- W jakimś sensie tak - uśmiechnął się smutno Yansen.

- Doktor Portland popełnił w maju samobójstwo - wykrztusił w końcu Kelley.

- Właśnie tu, w tym pokoju - dodał Kevin. - Siedząc przy tym biurku.

- Wskazał na stojący w gabinecie mebel, jednocześnie składając dłoń na

kształt pistoletu i dotykając nią swej głowy. - Pif-paf! - zawołał. - Strzelił sobie prosto w czoło. To właśnie dlatego trzeba było na nowo malować ściany i zmienić dywan.

Davidowi zaschło w ustach. Powiódł wzrokiem po pustych ścianach za biurkiem, starając się nie myśleć o tym, jak wyglądały one w chwilę po tym tragicznym wydarzeniu.

- To straszne - westchnął. - Był żonaty?

- Niestety tak - skinął głową Yansen. - Miał żonę i dwóch małych synów. Prawdziwa tragedia. Wiedziałem, że dzieje się z nim coś złego. W sobotę rano nagle przerwał grę w koszykówkę.

- Nie wyglądał zbyt dobrze, kiedy widziałem się z nim ostatnim razem - przytaknął Wilson. - Chorował? Wyglądało na to, że bardzo chudł.

- Załamał się nerwowo - odrzekł Kelley.

- Cóż, szkoda, że nikt mu nie pomógł - powiedział smutno David.

- Pomówmy lepiej na jakiś weselszy temat - rzekł Kelley, odchrząknawszy. - Muszę jeszcze wypełnić do końca moje obowiązki wobec ciebie, doktorze Wilson. Na dzisiejsze przedpołudnie masz już umówionych pacjentów. Jesteś gotów ich przyjąć?

- Oczywiście - odparł David.

Kevin życzył Davidowi wszystkiego dobrego i na powrót skierował się do swojego gabinetu. Kelley przedstawił nowego pracownika Susan Beardslee, pielęgniarkę, która miała razem z nim pracować. Była to atrakcyjna kobieta w wieku około dwudziestu pięciu lat z krótko ściętymi,

ciemnymi włosami. David natychmiast polubił jej pogodny, serdeczny sposób bycia.

- Twój pierwszy pacjent jest już w pokoju badań - powiedziała uprzejmie, wręczając mu kartę chorego. - Gdybyś mnie potrzebował, wystarczy zadzwonić. Będę tymczasem przygotowywała do badania następną osobę - dodała, znikając w sąsiednim pomieszczeniu.

- Ja także już pójdę - powiedział Kelley. - Powodzenia, Davidzie.

Gdybyś miał jakieś pytania albo problemy, daj mi znać.

David otworzył kartę choroby i przeczytał nazwisko: Marjorie Kleber, lat 39. Narzekała na bóle klatki piersiowej. Miał już zapukać do pokoju badań, kiedy jego wzrok padł na wpisaną w kartę diagnozę: rak płuc, leczony chirurgicznie, chemioterapią i naświetlaniem. Nowotwór stwierdzono cztery lata wcześniej. Od tego czasu nastąpiły przerzuty do węzłów chłonnych.

David pośpiesznie doczytał diagnozę do końca. Poczul, że jego zdenerwowanie rośnie i potrzebował dobrej chwili, by na powrót przyjść do siebie. Rak płuc, który miał już przerzuty w innych częściach ciała, był nader poważnym przypadkiem. To dziwne, że właśnie od czegoś takiego miał zacząć swoją medyczną karierę.

David zapukał i wszedł do pokoju badań. Jego pacjentka siedziała cierpliwie na służącym do badań stole, ubrana w specjalną, rozciętą z tyłu koszulę. Widząc wchodzącego Davida, popatrzyła nań uważnie olbrzymimi, smutnymi i inteligentnymi oczyma. Jej uśmiech był tak promienny, że lekarzowi zrobiło się ciepło na sercu.

Przedstawił się i miał właśnie zapytać o dolegliwości, na które

skarżyła się kobieta, kiedy nagle chora wzięła go za rękę. Położyła ją sobie na piersi, tuż poniżej szyi.

- Dziękuję, że przybył pan do Bartlet - powiedziała. - Nie wie pan

nawet, jak gorąco modliłam się, by przyjechał tu ktoś taki jak pan. Jestem naprawdę uszczęśliwiona.

- Ja też cieszę się, że tu jestem - odparł nieco zdezorientowany

David.

- Zanim zaczął pan pracę tutaj, czekałam cztery tygodnie na wizytę u

lekarza - dodała, puszczając w końcu dłoń Wilsona. - Tak wygląda

sytuacja, odkąd CMV objęło kontrolę nad szkolną służbą zdrowia. Za

każdym razem byłam badana przez innego lekarza, teraz jednak

powiedziano mi, że to pan będzie moim doktorem. To bardzo

pokrzepiająca wiadomość.

- Czuję się zaszczycony, mogąc być pani lekarzem - oświadczył

David.

- Czekanie cztery tygodnie na przyjęcie przez lekarza to doprawdy

przerażające - ciągnęła Marjorie. - Ostatniej zimy przesłam tak ciężką

grypę, iż sądziłam wręcz, że zapadłam na zapalenie płuc. Na szczęście,

kiedy w końcu znalazł się lekarz, który zechciał mnie zbadać, kryzys

choroby miałam już za sobą.

- Być może powinna pani zadzwonić po pogotowie - powiedział

David.

- Żalowałam, że tak nie uczyniłam - przytaknęła Marjorie. -

Niestety, nie wolno nam tego robić. CMV odmawia płacenia rachunków za takie wezwania. Jeśli tylko choroba bezpośrednio nie zagraża życiu, mam obowiązek sama przyjechać do lekarza. Nie wolno mi się nawet zgłosić na izbę przyjęć, dopóki któryś z lekarzy CMV nie zaświadczy, iż rzeczywiście jest taka potrzeba. Jeśli tego zaniedbam, nie zostaną mi zwrócone koszty leczenia.

- Ależ to absurd - obruszył się David. - Skąd ma pani wiedzieć, czy odczuwane dolegliwości zagrażają życiu?

Marjorie wzruszyła ramionami.

- Zadałam im to samo pytanie, ale nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Po prostu istnieje taki przepis. Ale tak czy owak, cieszę się, że pan tu jest. Jeśli będzie mi coś dolegało, zadzwonię do pana.

- Bardzo proszę - odrzekł David. - A teraz porozmawiajmy o pani zdrowiu. Kto leczy pani nowotwór?

- Teraz pan - odparła Marjorie.

- Nie ma pani swojego onkologa? - zdziwił się David.

- CMV nie ma własnych onkologów - wyjaśniła Marjorie. - Mam przychodzić do pana na okresowe badania i konsultować się z doktorem Mieslichem, onkologiem, jeśli pan uzna to za konieczne. Doktor Mieslich nie jest lekarzem CMV i nie wolno mi zgłaszać się do niego, póki pan mnie tam nie skieruje.

David skinął głową, uświadamiając sobie, że musi upłynąć trochę czasu, zanim pozna obowiązujące tutaj zasady prowadzenia praktyki lekarskiej. Wiedział również, że będzie musiał poświęcić sporo czasu na

dokładne przestudiowanie karty choroby Marjorie.

Przez następny kwadrans zajmował się „rozpracowywaniem”

odczuwanych przez kobietę bólów w klatce piersiowej. Osluchując ją, pomiędzy jednym a drugim oddechem, zapytał, czym się zajmuje.

- Jestem nauczycielką - wyjaśniła Marjorie.

- W której klasie pani uczy? - Zdjął słuchawki i zaczął przygotowywać pacjentkę do EKG.

- W trzeciej - odparła z dumą. - Uczyłam przez lata klasy drugie, ale zdecydowanie wolę zajęcia z trzecioklasistami. Dzieci są wówczas już znacznie dojrzsze i pojętniejsze.

- Moja córka ma na jesieni iść do trzeciej klasy - powiedział David.

- To wspaniale - ucieszyła się Marjorie. - To znaczy, że będzie w mojej klasie.

- Ma pani rodzinę? - zapytał David.

- Mój Boże, tak! - odrzekła kobieta. - Mój mąż, Lloyd, pracuje w softwarowej firmie komputerowej. Jest programistą. Mamy dwoje dzieci: chłopca, który chodzi już do szkoły średniej, i dziewczynkę w szóstej klasie.

Pół godziny później David zyskał już dostatecznie duże rozeznanie co do stanu zdrowia pacjentki, by móc zapewnić ją, że bóle w klatce piersiowej nie są niczym poważnym i nie mają nic wspólnego ani z pracą serca, ani też z jej rakiem. Obu tych rzeczy Marjorie obawiała się najbardziej. Zanim kobieta opuściła jego gabinet, jeszcze raz gorąco podziękowała mu za przybycie do Bartlet.

David wrócił do gabinetu ogromnie podniesiony na duchu. Jeśli wszyscy jego pacjenci będą równie sympatyczni jak Marjorie, mógł liczyć na to, że zrobi w Bartlet olśniewającą karierę. Odłożywszy historię choroby nauczycielki na bok, by w wolnej chwili jeszcze raz spokojnie ją przestudiować, sięgnął do kartoteki i wydobyl dokumenty kolejnego pacjenta. Tym razem diagnoza brzmiała: „białaczka leczona intensywną chemioterapią”. David jęknął w duchu. Kolejny trudny przypadek, który będzie wymagał odrobienia „pracy domowej”. Pacjent nazywał się John Tarlow, miał czterdzieści osiem lat i jego leczenie trwało już trzy i pół roku.

David wszedł do gabinetu i przedstawił się. John Tarlow był przystojnym, sympatycznym człowiekiem, na którego twarzy, podobnie jak u Marjorie, odbijała się inteligencja i życzliwość. Pomimo skomplikowanego schorzenia, John narzekał jedynie na bezsenność, z czym poradzić można było sobie znacznie łatwiej i szybciej niż z bólami klatki piersiowej odczuwanymi przez nauczycielkę. Już po krótkiej rozmowie dla Davida stało się jasne, że dolegliwość Tarlowa stanowi zrozumiałą reakcję psychiczną na śmierć jednego z najbliższych członków rodziny. Zapisał mu środek nasenny, który powinien pomóc choremu wrócić do równowagi.

Po wyjściu Johna David odłożył dokumentację jego choroby do późniejszego przejrzania, podobnie jak wcześniej uczynił to z kartą Marjorie. Następnie odnalazł Susan, zaszytą w malutkim laboratorium, używanym do wykonywania prostych, rutynowych testów.

- Czy będę miał wielu pacjentów z problemami onkologicznymi? -

zapytał z wahaniem.

David zawsze podziwiał lekarzy, którzy pragnęli zajmować się chorobami nowotworowymi. On sam nigdy nie wybrałby takiej specjalności. Dlatego poczuł się nieswojo, kiedy odkrył, że dwoje pierwszych pacjentów było chorych na raka.

Susan zapewniła go, że jest zaledwie kilka takich osób. Wrócił do kartoteki, by wyjąć kartę kolejnego pacjenta, i nieco się uspokoił, ponieważ tym razem badać miał człowieka cierpiącego na cukrzycę, a nie nowotwór.

Poranek minął Davidowi szybko i szczęśliwie. Jego pacjenci okazali się uroczymi ludźmi. Zachowywali się uprzejmie, z uwagą wysłuchiwali zaleceń lekarza i - w przeciwieństwie do niezdyscyplinowanych chorych, z jakimi zetknął się podczas swojej bostońskiej praktyki - gotowi byli postępować ściśle wedle jego wskazówek. Wszyscy także wyrażali mu wdzięczność za przybycie do Bartlet i te podziękowania sprawiły, że poczuł się potrzebny i mile widziany.

W porze lunchu Wilsonowie spotkali się w prowadzonej przez wolontariuszy kawiarence. Jedząc kanapki, omawiali wydarzenia tego ranka.

- Doktor Wadley jest wspaniały - entuzjazmowała się Angela. -

Okazuje mi mnóstwo zainteresowania i jest niezwykle pomocny. Im dłużej mu się przyglądam, tym mniej przypomina mi ojca. Jest o wiele bardziej otwarty od niego i znacznie łatwiej przychodzi mu okazywanie

uczuc. Dziś rano uściskał mnie nawet na powitanie. Mój ojciec chyba by umarł, zanim zrobiłby coś takiego.

David opowiedział Angeli o swoich pacjentach. Była szczególnie poruszona, usłyszawszy o tym, jak Marjorie Kleber zareagowała na przybycie Davida do Bartlet.

- Ona jest nauczycielką - dodał David. - Uczy trzecioklasistów, zatem Nikki będzie jej podopieczną.

- Co za zbieg okoliczności - uśmiechnęła się Angela. - Jaka ona jest?

- Wydaje się ciepła, serdeczna i inteligentna - orzekł David. - Sądzę, że jest wspaniałym pedagogiem. Niestety, cierpi na złośliwy nowotwór.

- O mój Boże - zmartwiła się Angela.

- Mimo wszystko świetnie się trzyma - powiedział David. - Nie sądzę, by zdarzały się jej już jakieś nawroty choroby, ale nie miałem jeszcze czasu dokładnie przeczytać notatek w jej karcie.

- To straszna choroba - westchnęła Angela, przypominając sobie, ile razy obawiała się czegoś takiego u siebie.

- Jedyne, na co mógłbym narzekać, to fakt, że jak dotąd miałem do czynienia ze zbyt wieloma, jak na mój gust, pacjentami cierpiącymi na raka - odezwał się po chwili David.

- Wiem, że onkologia nigdy cię nie pociągała - skinęła głową Angela.

- Pielęgniarka twierdzi, że to zbieg okoliczności, iż zacząłem akurat od dwóch z rzędu takich przypadków - powiedział David. - Będę się modlił, by jak najrzadziej mieć z nimi do czynienia.

- Nie załamuj się - uśmiechnęła się ciepło Angela. - Jestem pewna,

że twoja pielęgniarka wie, co mówi. - Aż za dobrze pamiętała, jak jej mąż w początkach swej lekarskiej praktyki zareagował na śmierć kilku chorych na raka pacjentów.

- Skoro już mówimy o załamywaniu się - ożywił się David, pochylając się nad stołem i zniżając głos do szeptu: - Czy słyszałaś, co stało się z doktorem Portlandem?

Angela pokręciła głową.

- Popelnił samobójstwo. Zastrzelił się w gabinecie, który obecnie należy do mnie.

- To straszne - przeraziła się Angela. - Czy musisz zostać w tym pokoju? Nie mógłbyś przenieść się gdzie indziej?

- Nie bądź śmieszna - uspokoił ją David. - Co twoim zdaniem miałbym powiedzieć Kelleyowi? Że przeraża mnie myśl o śmierci i samobójstwie? Nie mogę tego uczynić. Poza tym pomalowano na nowo ściany i zmieniono dywan. - Wzruszył ramionami. - Wszystko będzie w porządku.

- Czemu to zrobił?

- Załamanie nerwowe.

- Wiedziałam to - pokiwała głową Angela. - Wiedziałam o tym od samego początku. Nawet ci o tym powiedziałam, pamiętasz?

- Ja natomiast nie domyśliłem się, że to depresja - westchnął David.

- Na mnie robił jedynie wrażenie chorego. A przecież musiał targnąć się na życie wkrótce po naszym spotkaniu - Charles Kelley powiedział, że stało się to w maju.

- Biedny człowiek. Miał rodzinę?

- Żonę i dwóch małych synów.

Kobieta raz jeszcze potrząsnęła głową. Popelniane przez lekarzy samobójstwa były wypadkami, z którymi nieraz miała do czynienia.

Kiedyś nawet jeden z odbywających z nią wspólnie praktykę kolegów targnął się na własne życie.

- Mam też inne wieści - powiedział David. - Charles Kelley

poinformował mnie, że szpital wymyślił system premii, które mają skłonić lekarzy CMV do ograniczenia do minimum hospitalizowania pacjentów. Im mniej wydam skierowań do szpitala, tym więcej będę zarabiał. Mogę nawet wygrać wycieczkę na Wyspy Bahama! Możesz w to uwierzyć?

- Słyszałam już kiedyś o podobnych pomysłach - odrzekła Angela. -

Organizacje zarządzające służbą zdrowia próbują w ten sposób zredukować koszty.

David z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Sądzę, że ludzie, którzy to wymyślili, postradali zmysły. Czuję się osobiście urażony wprowadzeniem takiej zasady.

- Ja też mam wesołą nowinę - powiedziała kobieta, nagle zmieniając temat. - Doktor Wadley zaprasza nas dziś do siebie na kolację.

Uprzedziłam go, że muszę jeszcze uzgodnić to z tobą. Co o tym myślisz?

- Masz ochotę pójść? - odpowiedział pytaniem David.

- Wiem, że mamy mnóstwo do zrobienia w domu, ale sądzą, iż powinniśmy przyjąć to zaproszenie. Ten człowiek jest dla mnie

nadzwyczaj miły. Zachowywał się tak serdecznie, że nie chciałabym okazać się niewdzięczna.

- A co z Nikki? - zaniepokoił się David.

- To jeszcze jedna dobra wiadomość - powiedziała Angela. -

Dowiedziałam się od jednej z laborantek, że Barton Sherwood ma córkę, która uczęszcza już do szkoły średniej i często dorabia sobie, opiekując się dziećmi. To nasi najbliżsi sąsiedzi. Dzwoniłam już do niej i umówiłam się, że przyjdzie do nas na ten wieczór.

- I sądzisz, że Nikki nie będzie miała nic przeciwko temu? - nie ustępował David.

- Już ją o to pytałam - wyjaśniła Angela. - Powiedziała, że jest jej wszystko jedno i że chętnie zostanie pod opieką Karen Sherwood.

- W takim razie pójdziemy na tę kolację.

Karen Sherwood przyszła tuż przed siódmą. David przywitał ją w progu i poprowadził w głąb domu. Była szczupłą, milczącą dziewczyną, na nieszczęście bardzo podobną do swego ojca. Mimo to wydawała się bardzo miła i sympatyczna. Kiedy przedstawiono ją Nikki, wykazała dostatecznie dużo sprytu, by powiedzieć, że uwielbia psy, a szczególnie szczenięta.

David prowadził samochód, podczas gdy Angela starała się jeszcze dokończyć po drodze makijaż. Widząc, jak bardzo jest zdenerwowana i spięta, próbował dodać jej odwagi zapewnieniem, że wszystko będzie dobrze i że świetnie wygląda. Skręciwszy na podjazd przed domem Wadleyów, oboje zaniemówili z wrażenia. Dom był mniejszy od ich

własnego, ale znacznie bardziej zadbany, z doskonale utrzymanym ogrodem.

- Witajcie! - zawołał Wadley, otwierając frontowe drzwi i wybiegając Wilsonom na spotkanie.

Wnętrze domu okazało się jeszcze bardziej imponujące. Każdy szczegół był starannie dobrany i przemyślany. Antyczne meble stały na grubych, orientalnych dywanach, a ściany zdobiły dziewiętnastowieczne obrazy.

Gertrudę Wadley była zupełnie inna niż jej wylewnie serdeczny małżonek. Ich związek musiał opierać się na tak zwanym „przyciąganiu się przeciwieństw”. Była to nieśmiała, małomówna kobieta, którą osobowość męża zdawała się chwilami przytłaczać.

Ich nastoletnia córka Cassandra początkowo zdawała się raczej przypominać matkę, ale w miarę jak upływały kolejne godziny, coraz bardziej upodabniała się do otwartego, gadatliwego ojca.

Ale to nie ona, lecz Wadley całkowicie zdominował przyjęcie.

Potrafił rozmawiać na niemal każdy temat. A przy tym jawnie adorował Angelę. W pewnym momencie, wznosząc oczy ku niebu, podziękował losowi za to, że teraz, kiedy przybyła do Bartlet, uda mu się stworzyć doskonały, kompetentny zespół patologów.

- Jedna rzecz jest pewna - powiedział David w drodze do domu. -

Doktor Wadley jest tobą wprost oczarowany. Oczywiście, trudno go za to winić.

Angela dała mężowi żartobliwego kuksańca.

Po powrocie do domu David odprowadził Karen, pomimo iż ta upierała się, że doskonale poradzi sobie sama. Kiedy wrócił, Angela powitała go w progu ubrana w peniuar, którego nie miała na sobie od czasu miodowego miesiąca.

- Teraz, kiedy nie jestem w ciąży, wyglądam znacznie lepiej niż nigdyś. Zgodzisz się ze mną?

- Zarówno wtedy, jak i teraz wyglądasz wspaniale - odrzekł. Objęci przeszli do pogrążonego w półmroku salonu i padli na kanapę, gdzie czule i długo się kochali. Pozbawiony owej gorączkowej zachłanności z poprzedniego wieczoru seks dostarczył im jeszcze więcej zadowolenia niż ostatnim razem.

Leżeli przytuleni, wsłuchując się w wygrywaną przez świerszcze muzykę i dobiegający od strony stawu rechot żab.

- W ciągu dwóch dni tutaj kochaliśmy się więcej razy niż przez ostatnie dwa miesiące w Bostonie - zauważyła z westchnieniem Angela.

- Byliśmy bardzo zestresowani.

- Zaczęłam się dzisiaj zastanawiać nad drugim dzieckiem - wyznała.

David odsunął się nieco i usiłując przeniknąć wzrokiem ciemności, popatrzył na żonę.

- Mówisz serio? - zapytał.

- Mając tak duży dom, moglibyśmy pozwolić sobie na całą gromadkę

- roześmiała się Angela.

- Trzeba by jednak upewnić się, że dziecko nie odziedziczy tej samej choroby co Nikki. Przypuszczam, że powinniśmy w tym celu wykonać

badania prenatalne.

- Pewnie masz rację - zgodziła się bez entuzjazmu Angela. - Ale co

byśmy zrobili, gdyby dały one wynik pozytywny?

- Nie wiem - odrzekł David. - To przerażające. Nie mam pojęcia, jak

należałoby w takiej sytuacji postąpić.

- Cóż, jak powiedziałaaby Scarlett O'Hara, pomyślimy o tym jutro.

Rozdział 8

Lato w Vermont

Dni zmieniały się w tygodnie, tygodnie w miesiące, aż nadeszło lato.

Przy drodze między domem Wilsonów a szpitalem wyrosła wysoka,

słodka, biała kukurydza, a kiedy siedziało się wieczorem na frontowym

ganku, można było usłyszeć przynoszony przez wiatr szept liści. W

ogrodzie przy tarasie soczystą czerwienią dojrzewały pękate pomidory. Z

rosnącej przy stajni dzikiej jabłoni spadać poczęły owoce wielkości

golfowych piłek. W przedpołudniowym sierpniowym upale bezustannie

słyszało się cykady.

W miarę upływu czasu praca przynosiła Davidowi i Angeli coraz

więcej satysfakcji. Każdego dnia zdobywali nowe doświadczenia, którymi

entuzjastycznie się dzielili.

Apetyt Rusty'ego zdawał się niezaspokojony i psiak rósł jak na

drożdżach, a jego łapy przestały robić wrażenie za dużych w stosunku do

reszty ciała. Pomimo to wyglądał równie uroczo jak wtedy, gdy był małym

szczeniakiem. Nikt nie potrafił przejść obok niego, nie pogłaskawszy go

po łbie lub nie podrapawszy za złotymi uszami.

Nikki zaś wprost rozkwitła w nowym otoczeniu. Miała ustabilizowany oddech, a płuca pozostawały czyste. Nawiązała również nowe przyjaźnie. Jej najlepszą koleżanką została starsza o rok Caroline Helmsford, która także cierpiała na mukowiscydozę. Wspólne doświadczenia sprawiły, że pomiędzy dziewczynkami wytworzyła się szczególnie silna więź.

Poznały się przez przypadek. Pomimo że Wilsonom mówiono o Caroline już podczas ich pierwszej wizyty w Bartlet, nie próbowali kontaktować się z nią, by przedstawić jej swoją córkę. Dziewczynki spotkały się więc dopiero wtedy, gdy niespodziewanie wpadły na siebie w miejscowym sklepie spożywczym, będącym własnością rodziców Caroline.

Nikki zaprzyjaźniła się także z synem Yansena, Arnim, który był dokładnie w jej wieku. Ich daty urodzenia dzielił zaledwie tydzień. Arni bardzo przypominał swego ojca: był niski, krępy i agresywny. On i Nikki zgadzali się jednak bardzo dobrze i spędzali razem całe godziny, nigdy nie narzekając na brak zajęć.

Pomimo iż bardzo lubili swoją pracę, Wilsonowie uwielbiali także wolne weekendy. W sobotę rano David zrywał się o świcie, by pojechać na obchód do szpitala, po czym z grupą innych lekarzy rozgrywał - trzech na trzech - mecz koszykówki na boisku miejscowego college'u.

Sobotnie i niedzielne popołudnia oboje z Angellą poświęcali na pracę w domu. Angella zajmowała się wewnątrz: szyła firanki i robiła renowacje starych mebli, David natomiast odnawiał dom na zewnątrz:

remontował ganek lub wymieniał rynny. Wykazywał przy tym jeszcze mniej talentu do majsterkowania, niż Angela zakładała w najbardziej pesymistycznych przewidywaniach. Za każdym razem musiał udawać się do sklepu żelaznego Staleya, by prosić o radę. Na szczęście Staleyowi żal było Davida, w związku z czym cierpliwie tłumaczył mu, jak wprawić nową szybę w miejsce stłuczonej, jak uszczelnić kurki lub wymienić przepalone gniazdko elektryczne.

W sobotę dwudziestego pierwszego sierpnia David wstał równie wcześnie jak zawsze, zrobił sobie kawę, po czym udał się do szpitala. Obchód nie trwał długo - ograniczył się do odwiedzenia tylko jednego pacjenta: chorego na białaczkę Johna Tarlowa. Podobnie jak inni cierpiący na raka podopieczni Davida, John dość często trafiał do szpitala z powodu najróżniejszych dolegliwości. Tym razem znalazł się tutaj z powodu wrzodu na szyi. Na szczęście miewał się już znacznie lepiej. David przewidywał, że w ciągu kilku najbliższych dni wypisze go do domu.

Po obchodzie David wsiadł na rower i skierował się w stronę szkolnego boiska, gdzie miał zagrać w koszykówkę. Już z daleka spostrzegł, że tym razem na mecz stawilo się więcej osób niż zwykle, zawodnicy walczyli więc znacznie bardziej zaciekle niż normalnie, bo nikt nie chciał stracić punktu: karą za to było wypadnięcie z gry.

David dostosował się do poziomu meczu i także zaczął grać bardziej energicznie. Opadając na ziemię po wybiciu się w górę, aby wrzucić piłkę do kosza, przypadkowo trafił łokciem w nos znajdującego się obok Kevina

Yansena.

Z trudem łapiąc równowagę po tym zderzeniu, obrócił się i zobaczył, że Kevin przyciska do twarzy obie dłonie, a pomiędzy jego palców cieknie krew.

- Kevin! - zawołał zaniepokojony. - Czy wszystko w porządku?

- Na litość boską - warknął stłumionym głosem Yansen. - Ty skurwysynu!

**-
Przepraszam**

**-
wyjąkał**

David.

**Agresywna
reakcja**

współpracownika zaskoczyła go. - Pozwól mi to zobaczyć - dodał, próbując oderwać od twarzy jego ręce.

- Nie dotykaj mnie! - wrzasnął Kevin.

- Daj spokój, panie złośnik - próbował uspokoić go Trent

Yarborough, chirurg i jeden z najlepszych zawodników w ich zespole, który grywał w koszykówkę jeszcze w czasie studiów w Yale. - Pozwól mi obejrzeć twojego kinola. Szczerze mówiąc, cieszę się, że i tobie potrzeba czasem pomocy medycznej.

- Odpieprz się, Yarborough - parsknął gniewnie Kevin, posłusznie jednak opuścił ręce. Z jednej z dziurek ciekła mu krew, a przegrodę

nosową miał lekko przesuniętą w prawo.

- Wygląda na to, że nos jest złamany - oświadczył Trent.

- O cholera! - jęknął Kevin.

- Chcesz, żebym go nastawił? - zapytał Yarborough. - Nie policzę ci za to drogo.

- Miejmy nadzieję, że masz opłacone ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej - mruknął Kevin, odchylając głowę do tyłu i przymykając oczy.

Trent ujął nos Kevina między kciuk i palec wskazujący i jednym ruchem ręki przywrócił mu właściwe położenie. Cichy trzask, jaki się przy tym rozległ, sprawił, że wszyscy, włącznie z chirurgiem, roześmiali się.

Trent cofnął się o krok i ocenił efekt swojego działania.

- Wygląda lepiej niż przedtem - ocenił.

David zapytał, czy może odwieźć Kevina do domu, ale ten, wciąż jeszcze wściekły, odburknął, że pojedzie sam.

Jeden z rezerwowych zawodników zastąpił pechowego gracza na boisku. David stał nieruchomo, wpatrując się w furtkę, którą wyszedł okulista. Uśmiechnął się lekko, czując, że ktoś przyjacielsko poklepuje go po ramieniu. Odwrócił się i zobaczył Trenta.

- Nie martw się Kevinem - powiedział chirurg. - On sam już dwukrotnie złamał komuś nos podczas gry. Nie jest zbyt dobrym zawodnikiem, ale poza tym to miły facet.

Wciąż oszolomiony wybuchem gniewu Yansena David niechętnie włączył się ponownie do gry.

Po powrocie do domu zastał Nikki i Angelę gotowe do wyjścia.

Postanowili spędzić weekend nad pobliskim jeziorem: po południu mieli pływać, następnie zaś planowano kolację na świeżym powietrzu.

Yansenowie, Yarboroughowie oraz Youngowie - „trzy rodziny Y”, jak siebie nazywali - wynajęli na miesiąc położony tuż nad jeziorem dom letniskowy. Steve Young był ginekologiem- położnikiem i doskonałym koszykarzem.

- Pośpiesz się, tatusiu! - zawołała niecierpliwie Nikki. - Jesteśmy już spóźnieni.

David zerknął na zegarek. Grał w koszykówkę dłużej niż zwykle.

Pośpiesznie wbiegł po schodach na górę i wszedł pod prysznic. Pół godziny później jechali już w stronę wynajętego przez przyjaciół domu.

Jeziro wyglądało jak szmaragdowozielony klejnot wprawiony w porośłą bujnym lasem kotlinę między dwiema górami. Na jednej z owych gór wytyczono trasę narciarską, zdaniem Davida i Angeli najlepszą w całej okolicy.

Wynajęty dom okazał się przeuroczy pomimo nieco chaotycznej struktury: wokół głównego holu, gdzie królował olbrzymi, wzniesiony z polnych kamieni kominek, dobudowano liczne, niewielkie sypialnie.

Budynek stał frontem do jeziora, do środka zaś wchodziło się przez przestronną, przeszkloną werandę. Na wprost domu znajdował się szeroki pomost, z którego po kilku stopniach można było przejść na zbudowaną w kształcie litery T, długą na pięćdziesiąt stóp przystań.

Natychmiast po przyjeździe Nikki pobiegła do lasu z Arnim

Yansenem, który chciał jej pokazać zbudowany przez siebie domek na drzewie. Angela udała się do kuchni, gdzie Nancy Yansen, Claire Young i Gayle Yarborough, śmiejąc się wesoło, przygotowywały wieczorny posiłek. David dołączył natomiast do mężczyzn, którzy pijąc piwo, zerkali od czasu do czasu na ekran przenośnego telewizora, gdzie transmitowano właśnie rozgrywany przez Red Sox mecz.

Popołudnie płynęło leniwie, przerywane jedynie małymi tragediami związanymi z siedmiorgiem żywotnych dzieci, przejawiających naturalną skłonność do wdrapywania się na skały, objania kolan i ranienia nawzajem swoich uczuć. Yansenowie mieli dwoje dzieci, Youngowie jedno, a Yarboroughowie trójkę.

Jedyny zgrzyt w tym beztroskim dniu stanowił nastrój Kevina, który nie mógł zapomnieć o swym złamanym nosie. Wielokrotnie nazwał Davida niezdarą i bez przerwy robił pod jego adresem uszczypliwe uwagi. Wilson wziął go w końcu na stronę, zdumiony, że Kevin robi tyle szumu wokół tej sprawy.

- Przepraszam cię już za to wielokrotnie - powiedział. - Mogę przeprosić jeszcze raz. Przykro mi. To był wypadek. Naprawdę nie uczyniłem tego celowo.

Kevin popatrzył na niego z irytacją, jakby chciał dać w ten sposób do zrozumienia, że nigdy mu nie wybaczy, westchnął jednak tylko i skrzywił się.

- W porządku - powiedział. - Wypijmy jeszcze jedno piwo. Po kolacji dorośli pozostali wokół wielkiego stołu, podczas gdy dzieci udały się na

przyszań, aby łowić ryby. Niebo na zachodzie wciąż czerwienilo się od słońca, a jego odbicie malowało na wodzie purpurowy szlak. Żabki drzewne, świerszcze i inne owady gotowały się powoli do chóralnych nocnych występów. Głęboki cień pod drzewami rozświetlały jasne punkciki robaczków świętojańskich.

Początkowo rozmawiano o pięknie okolicy i korzyściach płynących z mieszkania w Vermont, stanie, który większość ludzi mogła odwiedzać tylko na krótko, podczas wakacji. Rozmowa szybko jednak zeszła na medycynę, ku głębokiemu niezadowoleniu trzech z obecnych pań.

- Chyba wolalabym już słuchać dyskusji o sporcie - jęknęła Gayle Yarborough.

Nancy Yansen i Claire Young całkowicie się z nią zgadzały.

- Trudno nie mówić na ten temat, skoro akurat teraz przeprowadza się w naszym kraju tak zwaną „reformę służby zdrowia” - powiedział Trent. Ani on, ani Steve nie należeli do lekarzy CMV. Próbowali wprawdzie kiedyś utworzyć organizację medyczną do spółki z towarzystwem ubezpieczeniowym oraz Blue Shield, ale nie mieli zbyt wiele szczęścia. Ich inicjatywa okazała się spóźniona: większość pacjentów należała już do prowadzącego dobrze przygotowaną, agresywną kampanię reklamową CMV.

- Cały ten interes wprawia mnie w przygnębienie - zwierzył się Steve. - Gdybym znalazł jakiś inny sposób na utrzymanie rodziny, w mgnieniu oka porzuciłbym zawód lekarza.

- Byłoby to marnowanie twoich umiejętności - zauważyła Angela.

- Też tak sędzę - zgodził się Steve. - Ale to i tak o niebo lepiej, niż strzelić sobie w łeb jak... wiecie kto.

Wspomnienie o doktorze Portlandzie sprawiło, że wszyscy na moment zamilkli.

- Nigdy nie mówiono nam, co skłoniło Portlanda do popełnienia samobójstwa - odezwała się po chwili Angela. - Muszę przyznać, że to wstrząsające. Widziałam jego biedną żonę. Ogromnie przeżyła śmierć męża.

- Obwiniła o to wszystko siebie - westchnęła Gayle Yarborough.

- Słyszałem, że przeżywał załamanie nerwowe - powiedział David. -

Czy istniał jakiś szczególny powód tej depresji?

- Kiedy po raz ostatni grał w koszykówkę, był mocno poruszony śmiercią jednego ze swych pacjentów, któremu operował złamane biodro.

Chodziło o Sama Flemminga, tego artystę. Potem, jak mi się wydaje, umarło jeszcze kilku ludzi, których leczył.

David poczuł ciarki na grzbiecie. Przypomniała mu się własna reakcja, kiedy jako młodszy praktykant dowiadywał się o śmierci któregoś ze swoich pacjentów.

- Nie jestem pewien, czy on rzeczywiście popełnił samobójstwo - odezwał się nagle Kevin.

Pozostali popatrzyli na siebie wstrząśnięci. Wyjąwszy narzekanie na niezdarność Davida, Kevin prawie się tego popołudnia nie odzywał.

Jego żona, Nancy, spojrzała na niego z dezaprobatą.

- Czy mógłbyś nam wyjaśnić, co masz na myśli? - poprosił Trent.

- Nie wiem, czy wiecie, że Randy nie miał broni - odrzekł Kevin. - To jeden z tych tajemniczych szczegółów, których nikt nie potrafił wyjaśnić.

Jak zdobył rewolwer? Nikt nie przyznał się też, że mu go pożyczył.

Wiadomo, że nie wyjeżdżał z miasta, więc co: znalazł go na drodze? -

Kevin roześmiał się gorzko. - Pomyślcie o tym.

- Daj spokój - skrzywił się Steve. - Musiał widocznie mieć broń już wcześniej, tyle że nikomu tego nie zdradził.

- Arlene powiada, że nic na ten temat nie wiedziała - upierał się

Kevin. - Poza tym strzelił sobie prosto w środek czoła i kula przeszła w dół czaszki. To właśnie dlatego jego mózg rozprysnął się na ścianie. Osobiście nigdy nie słyszałem o nikim, kto zastrzeliłby się w ten sposób. Jeśli ludzie chcą być pewni, że nawet jeśli zadrży im ręka, kula trafi tam, gdzie powinna, zwykle wkładają sobie lufę pistoletu do ust. Inni zabijają się strzałem w skroń. Trudno jest jednak zastrzelić się w taki sposób, szczególnie używając do tego magnum o długiej lufie.

Kevin złożył dłonie, imitując kształt pistoletu, tak jak uczynił to pierwszego dnia pracy Davida. Tym razem spróbował wymierzyć w swoje czoło - wyglądało to rzeczywiście dziwnie i nienaturalnie.

Gayle skrzywiła się, jakby ogarniały ją mdłości. Pomimo iż była żoną lekarza, źle znosiła rozmowy o krwi i ludzkich wnętrznościach.

- Podejrzewasz, że został zamordowany? - zapytał Steve.

- Ja tylko nie jestem pewien, czy popełnił samobójstwo - powtórzył

Kevin. - Każdemu wolno mieć na ten temat własne zdanie.

Zapadła cisza, zakłócana jedynie muzyką świerszczy i rechotem żab.

Wszyscy rozmyślali nad niepokojącymi słowami Kevina.

- Och, co za bzdury - powiedziała w końcu Gayle Yarborough. -

**Moim zdaniem było to tchórzliwe samobójstwo. Serdecznie współczuję
biednej Arlene i jej dwóm chłopcom.**

- Całkowicie się z tobą zgadzam - zawtórowała Claire Young.

**- A jak wam się podoba w Bartlet? - po kolejnej chwili kłopotliwego
milczenia zapytał Steve, patrząc ponad stołem na Angelę i Davida. -**

Jesteście zadowoleni, że przenieśliście się tutaj?

Wilsonowie wymienili spojrzenia.

- Ja jestem wprost zachwycony - odpowiedział jako pierwszy David.

**- Ogromnie podoba mi się miasto, a będąc lekarzem CMV, nie muszę
martwić się o politykę uprawianą przez służby medyczne. Prowadzę
szeroką praktykę, być może troszeczkę zbyt szeroką. Przydzielono mi
więcej chorych, niż się spodziewałem. Więcej też, niż bym chciał, mam
pacjentów „onkologicznych”.**

- Co to jest onkologia? - zapytała Nancy Yansen.

Kevin rzucił żonie niedowierzające i pełne poirytowania spojrzenie.

- Dziedzina medycyny zajmująca się rakiem - wyjaśnił oschle. -

Jezus, Nancy, po co pytasz, przecież musisz to wiedzieć.

- Przepraszam - odparła kobieta, również poirytowana.

**- Jak wielu masz pacjentów cierpiących na nowotwory? - spytał
Steve.**

David przymknął oczy i zamyślił się.

- Policzmy - powiedział. - John Tarlow, chory na białaczkę. Leży

właśnie w szpitalu. Mary Ann Schiller, rak jajnika. Mam też Jonathana Eakinsa z nowotworem prostaty oraz Donalda Andersona, o którym początkowo myślano, iż cierpi na raka trzustki, ale w końcu okazało się, że ma łagodnego gruczolaka.

- Przypominam sobie to nazwisko - stwierdził Trent. - Wobec tego pacjenta zastosowano metodę Whipple.

- Dziękuję, że nam o tym mówisz - powiedziała z sarkazmem Gayle.

- Jest ich jeszcze więcej - kontynuował David. - Do moich pacjentów należą także Sandra Hascher z czerniakiem oraz Marjorie Kleber cierpiąca na raka płuc.

- Podziwiam cię, że znasz te wszystkie przypadki na pamięć - Claire Young popatrzyła nań z uznaniem.

- To nic trudnego - David uśmiechnął się. - Pamiętam tych ludzi, ponieważ w pewnym sensie się z nimi zaprzyjaźniłem. Spotykam się z nimi regularnie, jako że mają mnóstwo problemów ze zdrowiem, czemu trudno się dziwić, zważywszy, w jakim stresie żyją. A skoro już zaprzyjaźniłem się z nimi i przyjąłem na siebie odpowiedzialność za ich leczenie, obawiam się, że choroby, na które cierpią, mogą ich zabić. A ja będę wtedy czuł się winny ich śmierci.

- Doskonale wiem, co masz na myśli - odezwał się Steve. - Zupełnie nie rozumiem lekarzy, którzy chcą specjalizować się w chorobach nowotworowych. Boże, pobłogosław ich. Główną przyczyną, dla której wybrałem położnictwo, było to, że na ogół z tą pracą wiąże się wiele radości.

- Podobnie jak z okulistyką - dodał Kevin.

- Nie zgadzam się z wami - powiedziała Angela. - Bardzo dobrze rozumiem, dlaczego ludzie chcą zajmować się rakiem. Spotyka ich za to niemała nagroda, ponieważ ci chorzy, którzy są śmiertelnie zagrożeni, bardziej od innych potrzebują lekarskiej opieki. Inni specjaliści nigdy tak do końca nie wiedzą, czy pomogli swojemu pacjentowi, czy nie.

Onkolodzy nie miewają takich wątpliwości.

- Bardzo dobrze znam Marjorie Kleber - powiedziała Gayle

Yarborough. - Zarówno TJ, jak i mój średni syn, Chandler, byli jej uczniami. To wspaniała kobieta. Wymyśliła cudowny sposób na zainteresowanie dzieci nauką pisania za pomocą małych plastikowych samolocików poruszających się po zawieszonym na ścianie wykresie.

- Bardzo się cieszę za każdym razem, kiedy ma do mnie przyjść - wyznał David.

- A co z twoją pracą? - Nancy zapytała Angelę.

- Nie mogłoby być lepiej. Doktor Wadley, szef oddziału, to świetny fachowiec, a wyposażenie jest wprost imponujące. Jesteśmy bardzo zajęci, ale nie przepracowani. Wykonujemy sporo biopsji - od pięciuset do tysiąca miesięcznie. Mamy przy tym do czynienia z wieloma interesującymi przypadkami, ponieważ szpital w Bartlet to całkiem duże centrum medyczne. Istnieje tam nawet laboratorium wirusów, czego się zupełnie nie spodziewałam. Ta praca stanowi więc dla mnie prawdziwe wyzwanie.

- Zdarzyły ci się już jakieś nieporozumienia z Charlesem Kelleyem?

- zapytał Davida Kevin.

- Ależ nie - David robił wrażenie zaskoczonego. - Zupełnie dobrze

nam się współpracuje. Prawdę mówiąc, w zeszłym tygodniu widziałem się z Kelleyem i dyrektorem CMV z Burlington. Obaj byli bardzo zadowoleni ze stanu moich pacjentów i opieki medycznej, jaką są otaczani w naszym szpitalu.

- Ha! - roześmiał się szyderczo Kevin. - Ocena tego, jak pracujesz, to mało istotny drobiazg. Poczekaj, aż przyjdzie do podsumowania ekonomicznych efektów twojej działalności. Zwykle następuje to po dwóch, trzech miesiącach. Chętnie bym usłyszał, co wówczas powiesz o Kelleyu.

- Nie obawiam się jego ocen - odparł David. - Jestem, jak sędzę, dobrym i troskliwym lekarzem. Nie zabiegam o premię z tytułu ograniczenia hospitalizacji i z pewnością nie biorę udziału w wyścigu o tę supernagrodę, jaką ma być podróż na wyspy Bahama.

- Mam na temat tego systemu inne zdanie - powiedział Kevin. -

Dlaczego lekarz nie miałby porządnie przemyśleć swej decyzji, zanim umieści kogoś w szpitalu? Nasi pacjenci skrupulatnie wypełniają zalecenia lekarzy, a ludzie czują się lepiej, pozostając w domu, niż przebywając w szpitalu. Jeśli zaś nasi szefowie zechcą jeszcze do tego wysłać Nancy i mnie na Bahamy, nie będę się przed tym wzbraniał.

- Jest jednak pewna różnica między okulistyką a oddziałem internistycznym - oświadczył David.

- Dość rozmów na tematy zawodowe - zbuntowała się Gayle

Yarborough. - Właśnie pomyślałam, że powinniśmy obejrzeć film *Wielki*

***chłód*. Wspaniale nadaje się do oglądania w tak dużej grupie.**

- Możemy później podyskutować na jego temat - zgodziła się Nancy

Yansen. - I na pewno będzie to dyskusja znacznie ciekawsza od tych medycznych nudziarstw.

- Nie potrzebuję oglądać żadnego filmu, by wiedzieć, czy byłabym gotowa pozwolić mężowi kochać się z moją przyjaciółką po to, aby mogła mieć dziecko - stwierdziła Claire Young. - W żadnym razie. Wykluczone!

- Och, dajcie spokój - jęknął Steve, siadając na leżaku. - Ani byłoby mi to w głowie, szczególnie gdyby rzecz dotyczyła Gayle. - Wyciągnął rękę i wymierzył siedzącej obok niego Gayle przyjacielskiego kuksańca.

Kobieta zachichotała, udając, że odtrąca jego dłoń.

Trent wylał na głowę Steve'a kilka kropel piwa, które tamten próbował schwycić wysuniętym językiem.

- Mógłbyś się wówczas znaleźć w rozpaczliwej sytuacji - stwierdziła Nancy Yansen. - Poza tym jest to zawsze „pieczeń z indyka”.

Przez kilka następnych minut wszyscy, z wyjątkiem Davida i Angeli, którzy nie zrozumieli, o co chodziło, pokładali się ze śmiechu. Potem zaś zebrani zaczęli jeden przez drugiego opowiadać słone dowcipy. David i Angela słuchali tego z wymuszonymi uśmiechami.

- Przerwijcie na minutę - poprosiła Nancy Yansen, wybuchając śmiechem po szczególnie pikantnej historii. - Sądzę, że powinniśmy położyć dzieci do łóżek - dodała, próbując opanować wesołość. - Będziemy się wtedy mogli wykąpać nago. Co wy na to?

- Świetny pomysł - zgodził się Trent, trącając się ze Steve'em butelkami piwa.

David i Angela wymienili spojrzenia, zastanawiając się, czy ta propozycja jest kolejnym żartem. Pozostali podnieśli się z miejsc i zaczęli przywoływać dzieci, które wciąż łowiły ryby na przystani.

Myjąc twarz w znajdującej się w ich pokoju umywalce, Angela poskarżyła się Davidowi, że ma wrażenie, jakby ich przyjaciele nagle cofnęli się o kilkanaście lat, do czasów, kiedy byli jeszcze niezbyt mądrymi nastolatkami. Przez okno słyszeli, jak pozostali dorośli skaczą z pomostu do wody, chichoczą, krzyczą i ochlapują się nawzajem.

- Rzeczywiście zachowują się nieco szczeniacko - zgodził się David. -

Nie sądzę jednak, by było w tym coś złego. Nie powinniśmy ich za to potępiać.

- Nie jestem wcale tego pewna - sprzeciwiła się Angela. - Ogarnia mnie niepokojące uczucie, że niespodziewanie znaleźliśmy się w samym środku powieści Johna Updike'a o przedmieściach. Wszystkie te niesmaczne aluzje do seksu oraz ich obecne zachowanie wprawiają mnie w zakłopotanie. Niewykluczone, że robią te rzeczy z nudów. Być może Bartlet nie jest takim rajem, jak nam się wydawało.

- No proszę! - wykrzyknął ze zdumieniem David. - A ja sądziłem, że ty nigdy nie zniżasz się do krytykowania innych i cynizmu. Myślę, że oni wybrali sobie taki młodzieńczy i pozbawiony pruderii styl życia. Być może to my jesteśmy staroświeckimi ponurakami.

Angela odwróciła się od umywalki i popatrzyła na męża. Na jej

twarzy malował się wyraz takiego zaskoczenia, jakby był on zupełnie obcym człowiekiem, którego widzi po raz pierwszy w życiu.

- Możesz oczywiście pójść tam nago i przyłączyć się do tych bachanaliów, jeśli tylko masz na to ochotę. Nie będę cię zatrzymywać!

- Źle mnie zrozumiałaś - zirytował się David. - Nie zamierzam brać w tym udziału, ale jednocześnie nie chcę oceniać tego według czarno-białej skali, jak czynisz to ty. Być może jest to skutek obciążeń wynikających z twego katolickiego wychowania.

- Nie dam się sprowokować - odparła Angela, odwracając się do niego plecami. - Szczególnie zaś nie dam się wciągnąć w jedną z tych bezsensownych dyskusji o religii.

- Ja też nie mam ochoty o tym rozmawiać.

Położyli się do łóżka i zgasili światło. Dobiegające od strony przystani hałasy wkrótce umilkły, ustępując miejsca rechotowi żab i brzęczeniu owadów. Było tak cicho, że słyszeli fale odbijające się z chlupotem od brzegu.

- Czy oni wciąż są na pomoście? - szepnęła Angela.

- Nie mam zielonego pojęcia. Poza tym zupełnie mnie to nie obchodzi.

- A co sądzisz o przypuszczeniach Kevina na temat śmierci doktora Portlanda?

- Sam nie wiem, co o tym myśleć - westchnął David. - Szczerze mówiąc, Kevin stanowi dla mnie tajemnicę. To dziwny typ. Nigdy dotąd nie spotkałem człowieka, który tak zirytowałby się przypadkowym

uderzeniem w nos podczas gry w koszykówkę.

- Jego przypuszczenia wydają mi się co najmniej niepokojące -

stwierdziła Angela. - Na myśl, że w Bartlet popełniono morderstwo, przechodzą mnie ciarki. Mam nieprzyjemne uczucie, że stanie się coś złego. Być może dlatego, że jesteśmy tak bardzo szczęśliwi.

- Wszystkiemu winne jest to twoje histeryczne usposobienie -

powiedział na wpół kpiąco David. - Zawsze dramatyzujesz i to stanowi źródło twojego pesymizmu. Sądzę, że jesteśmy szczęśliwi, ponieważ podjęliśmy słuszną decyzję.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - odparła Angela, przytulając się do niego.

Rozdział 9

Poniedziałek, 6 września

Traynor zjechał swym mercedesem z drogi i podskakując na wybojach, podjechał do rzędu samochodów zaparkowanych przy ogrodzeniu. Prezes zarządu szpitala oraz jego żona Jacqueline przyjechali tutaj, by na pobliskim, przeznaczonym do palenia ognisk placu wziąć udział w połączonych z piknikiem obchodach ósmej rocznicy istnienia szpitala w Bartlet. Uroczystości zaczęły się o dziewiątej wystrzeleniem - ku uciechu dzieci - kolorowych rac.

- Marnowanie dnia - powiedział do żony Traynor. - Nienawidzę pikników.

- Trele-morele - zakpiła Jacqueline. - Kogo jak kogo, ale mnie nie oszukasz.

Żona Traynora była niewysoką kobietą o lekkiej nadwadze, ubierającą się do przesady konserwatywnie. Miała na sobie biały kapelusz, białe rękawiczki i buty na wysokich obcasach - mimo że przyjechała na piknik, gdzie podane miały być jedynie kukurydza, wędzone małże i homary.

- O czym ty mówisz? - spytał, zatrzymując samochód i gasząc silnik.

- Dobrze wiem, jak bardzo lubisz te wszystkie szpitalne uroczystości, nie odgrywaj więc przede mną męczennika. Uwielbiasz występować w świetle reflektorów. Nie posiadasz się wprost z rozkoszy, mogąc grać rolę prezesa zarządu.

Traynor z oburzeniem popatrzył na żonę. W ich małżeństwie ciągle zdarzały się kłótnie, miał już więc wprawę w odpieraniu jej zarzutów, tym razem jednak ugryzł się w język. Jacqueline miała rację co do tego pikniku. Uważał, że to irytujące, iż po dwudziestu pięciu latach małżeństwa żona zna go tak dobrze.

- Co z tobą? - zdziwiła się Jacqueline. - Chcesz wziąć udział w tej imprezie czy nie?

Traynor mruknął coś niezrozumiale i wysiadł z samochodu.

Idąc wzdłuż długiego rzędu zaparkowanych samochodów, zauważyli Beaton, która pomachała im na powitanie i skierowała się w ich stronę. Towarzyszył jej Wayne Robertson, szef policji, więc Traynor natychmiast pomyślał, że musiało stać się coś złego.

- Jakież to urocze - zauważyła Jacqueline, patrząc na zbliżającą się kobietę. - Oto nadchodzi jeden z twych największych pochlebców.

- Zamknij się, Jacqueline - warknął Traynor.

- Mam złe wiadomości - powiedziała Beaton bez żadnych wstępów.

- Proponuję, byś poszła do namiotu i napiła się czegoś

orzeźwiającego - zwrócił się Traynor do żony, popychając ją lekko.

Obrzuciwszy Beaton pogardliwym spojrzeniem, Jacqueline odeszła.

- Nie wygląda na zbyt uszczęśliwioną tym, że musi tu z nami być -

stwierdziła Helen.

Traynor zaśmiał się krótko.

- Co to za złe wieści?

- Ostatniej nocy kolejny raz napadnięto na pielęgniarkę -

powiedziała Beaton. - A raczej wydarzyło się to dzisiaj nad ranem. Ta

kobieta została zgwałcona.

- O cholera! - jęknął Traynor. - Czy to ten sam człowiek?

- Tak sądzimy - odezwał się po raz pierwszy Robertson. - Ten sam

rysopis, te same narciarskie gogle. Ale tym razem użył rewolweru, a nie

noża, choć jak zwykle posłużył się kajdankami. I tak jak w poprzednich

wypadkach zaciągnął dziewczynę między drzewa.

- Miałem nadzieję, że założenie oświetlenia go powstrzyma -

westchnął prezes zarządu.

- I pewnie światło by go powstrzymało - odrzekła z wahaniem

Beaton.

- Co to znaczy? - zdumiał się Traynor.

- Napad miał miejsce na górnym parkingu, gdzie nie ma świateł. Jak

pamiętasz, z powodu oszczędności założyliśmy je tylko na dolnym.

- Kto wie o tym gwałcie?

- Niewiele osób - powiedziała Helen. - Porozumiałam się z

George'em O'Donaldem z „Bartlet Sun” i zgodził się nie pisać na ten temat w gazecie. Wiem też, że ofiara nie ma zamiaru zwierzać się zbyt wielu ludziom.

- Chciałbym, aby wiadomość o tym nie dotarła do CMV, jeśli to możliwe - westchnął Traynor.

- Sądzę, że to dobitnie pokazuje, jak bardzo potrzebujemy nowego garażu - powiedziała Beaton.

- Niestety, nie możemy go zbudować - odrzekł Traynor. - To jest moja zła nowina na dzisiejsze spotkanie. Jeb Wiggins zmienił plany. Co gorsza, przekonał radę nadzorczą, że nowy garaż nie jest dobrym pomysłem. Wmówił im, że ten budynek będzie ohydnie wyglądał obok szpitala.

- Czy to znaczy, że pomysł budowy garażu nigdy nie zostanie zrealizowany? - zaniepokoiła się Beaton.

- Nie, ale to dla nas poważny cios - przyznał Traynor. - Podniosę tę sprawę na kolejnej naradzie, ale jeśli już raz taki projekt zostanie odrzucony, później znacznie trudniej go przeforsować. Być może ten ostatni gwałt zmieni coś w tym względzie i wymusi na radzie podjęcie innej decyzji. Czy policja nie może z tym nic zrobić? - zapytał po chwili, zwracając się do Robertsona i patrząc na swoją twarz odbijającą się w szklach okularów szefa policji.

- Niewiele ponad skierowanie tu policjanta, który będzie pełnił

nocną wartę - stwierdził Robertson. - Sam wiem, że to za mało. Polecilem

też moim ludziom, by przeszukali z latarkami cały obszar parkingu.

- Gdzie jest szef ochrony szpitala, Patrick Swegler? - zapytał

Traynor.

- Znajdę go - powiedział Robertson, po czym skinąwszy im głową,

odszedł w stronę stawu.

- Jesteś przygotowana na dzisiejszy wieczór? - zapytał prezes

zarządu, kiedy Robertson nie mógł już ich usłyszeć.

- Masz na myśli naradę? - upewniła się Helen.

- Naradę i to, co będzie później - odrzekł mężczyzna z

prowokującym uśmiechem.

- Co do spotkania po naradzie - odparła Beaton - musimy jeszcze

porozmawiać.

- Porozmawiać? O czym? - zdziwił się Traynor.

- Nie pora teraz na dyskusje o tym - ucięła Beaton, widząc

wracającego Robertsona. Szeryfowi towarzyszył Patrick Swegler.

Traynor oparł się o ogrodzenie, czując, że robi mu się słabo. Jedyłą

rzeczą, na którą zawsze liczył, było oddanie Helen. Zastanawiał się, czy

mogłaby oszukiwać go, spotykając się z kimś takim jak ten osioł, Charles

Kelley. Westchnął ciężko. Że też zawsze musiały go gnębić jakieś kłopoty.

Patrick Swegler podszedł do Traynora i popatrzył mu prosto w oczy.

Dla Harolda człowiek ten na zawsze pozostał upartym dzieciakiem, który

grał w futbol w Bartlet High School przez ów krótki czas, kiedy to Bartlet

przewodziło międzyszkolnej lidze piłkarskiej.

- Niewiele mogliśmy zrobić - powiedział Swegler, zdecydowany nie dopuścić, by ktoś obwiniał go za to, co się stało. - Ta pielęgniarka pracowała przez dwie zmiany i przed wyjściem ze szpitala nie wezwała strażnika, by ją odprowadził, choć kilkakrotnie już apelowaliśmy do pracownic, żeby to robiły. Co gorsza, zaczynając pracę na dziennej zmianie, zaparkowała na górnym parkingu, który, jak pan wie, nie jest oświetlony.

- Jezu Chryste! - westchnął Traynor. - Oczekujecie ode mnie, że będę zarządzał wieloma milionami dolarów, a muszę osobiście zajmować się każdym drobiazgiem związanym z działalnością szpitala. Czemu ta kobieta nie wezwała strażnika?

- Nie powiedziano mi tego, sir - odrzekł Swegler.

- Jeśli zbudujemy nowy garaż, ten problem sam się rozwiąże - stwierdziła Beaton.

- Gdzie jest Werner Van Slyke? - zapytał Traynor. - Sprowadźcie go tutaj.

- Sam wiesz najlepiej, że Van Slyke unika takich spędów jak ten - przypomniała mu Beaton.

- Do licha, masz rację! - jęknął Traynor. - Chcę jednak, byś przy najbliższej okazji powiedziała mu ode mnie, że żądam, aby górny parking został oświetlony tak samo jak dolny. Każ mu wręcz, by zainstalował tam światło równie rzęsiste jak na boisku sportowym. A pan nie może dowiedzieć się, kto jest tym przeklętym gwałcicielem? - ciągnął Traynor, zwracając się do Robertsona. - Zważywszy na wielkość tego miasta oraz

na liczbę gwałtów popełnianych prawdopodobnie przez tego samego człowieka, powinien pan wytypować przynajmniej jednego podejrzanego.

- Pracujemy nad tym - odpowiedział wymijająco Robertson.

- Wybieracie się może do namiotu? - spytała Beaton.

- Czemu nie? - zgodził się Traynor. - Chciałbym jeszcze porozmawiać z kilkoma osobami - dodał, podając Helen ramię.

Kierując się w stronę zastawionych jedzeniem stołów, miał zamiar wrócić do tematu ich wieczornej randki, nie udało mu się to jednak, ponieważ już po chwili dołączyli do nich Caldwell i Cantor. Caldwell był dziś w szczególnie podniosłym nastroju.

- Sądzę, że słyszeliście już, jak dobrze zadziałała zasada przyznawania premii za ograniczenie hospitalizacji - zwrócił się do Traynora. - Sierpniowe wyniki są nader zachęcające.

- Nie, jeszcze o tym nie słyszałem - odparł prezes zarządu, zerkając na Beaton.

- To prawda - przytaknęła Helen. - Dziś wieczór przedstawimy statystykę. Bilans wypadł znakomicie. W porównaniu z rokiem ubiegłym, w sierpniu CMV skierowało do nas o cztery procent mniej pacjentów. Nie jest to wprawdzie dużo, ale wydaje się, że wszystko zmierza we właściwym kierunku.

- To pocieszające, móc usłyszeć dzisiaj także jakieś dobre wieści - powiedział Traynor. - Nie wolno nam jednak spocząć na laurach.

Rozmawiałem w piątek z Arnsworthem, który ostrzegł mnie, że kiedy wyjadą turyści, sytuacja może się znowu pogorszyć. W lipcu i sierpniu

zawsze pojawia się sporo pacjentów płacących gotówką, nie objętych składkami CMV. Teraz jednak, po Dniu Pracy, turyści zaczynają wracać do domu. Dlatego tak ważne jest, byśmy nie ustawiali w wysiłkach mających na celu zmniejszenie kosztów.

- Sądzę, że musimy reaktywować nasz system surowej kontroli wydatków - stwierdziła Beaton. - Naszą jedyną nadzieją jest dotrwanie do chwili, kiedy wygaśnie kontrakt z CMV.

- Oczywiście, że musimy nadal trzymać się programu oszczędnościowego - zgodził się Traynor. - Nie mamy innego wyboru. A tak przy okazji, do wiadomości wszystkich: zmieniliśmy oficjalną nazwę tego przedsięwzięcia z DNO na DOK. Teraz nasz projekt nosi miano: Drastyczne Ograniczenie Kosztów.

Wszyscy zachichotali.

- Muszę powiedzieć, że jestem rozczarowany - stwierdził Cantor, nie przestając się śmiać. - Jako twórca tego programu czulem się częścią DNA.

- Mam pewne pytanie - powiedział Caldwell. - Jeśli znów ma obowiązywać DOK, jaką linię postępowania powinniśmy przyjąć wobec chronicznych chorób, takich jak mukowiscydoza?

- Nie pytaj mnie o to - powiedział obronnym tonem Traynor. - Nie jestem lekarzem. Co to, u diabła, jest ta mukowiscydoza? Mam wrażenie, że ten termin obił mi się już o uszy.

- To chroniczna, dziedziczna przypadłość - wyjaśnił Cantor. - Jest przyczyną problemów z oddychaniem oraz kłopotów GJ.

- GJ to skrót od „gastrycznie-jelitowe” - wyjaśnił Caldwell. - Mówiąc

prościej, dotyczy to systemu trawiennego.

- Dziękuję za objaśnienia - odparł sarkastycznie Traynor. - Wiem,

co oznacza GJ. Co z tą chorobą? Jest śmiertelna?

- Zwykle tak - skinął głową Cantor. - Ale przy intensywnej terapii

oddechowej niektórzy pacjenci dożywają wieku nawet ponad

pięćdziesięciu lat.

- Ile kosztuje ich leczenie?

- Jeśli pacjent ma chroniczne zaburzenia oddychania, jego terapia

może kosztować nawet około dwudziestu tysięcy dolarów rocznie - odparł

Cantor.

- Dobry Boże! - krzyknął prezes zarządu. - Skoro to leczenie jest tak

drogie, poszczególne przypadki tej choroby muszą podlegać za każdym

razem starannemu rozważeniu. Czy to często występujące schorzenie?

- Raz na dwadzieścia tysięcy urodzin - wyjaśnił Cantor.

- Do licha - jęknął Traynor, z rezygnacją potrząsając głową. -

Występuje zatem zbyt rzadko, by wzbudzić powszechne zainteresowanie i

skłonić organizacje medyczne do dofinansowywania jej leczenia.

Obiecawszy, że pojawią się na wieczornej naradzie, Caldwell i

Cantor pożegnali się i odeszli. Caldwell dołączył do grupy, która na

niewielkiej plaży na brzegu jeziora szykowała się do gry w siatkówkę,

Cantor natomiast powędrował ku beczce schłodzonego piwa.

- Chodźmy coś zjeść - powiedział Traynor.

Wokół olbrzymiego namiotu stały rzędy dymiących grilli. Traynor

podchodził do wszystkich, kolejno witając się z każdym z uczestników pikniku. Jego żona miała rację: uwielbiał publiczne występy. Czuł się wtedy jak król. Na dzisiejszą okazję ubrał się swobodnie, ale ze smakiem: szyte na miarę spodnie, korkowe klapki bez skarpetek oraz rozpięta od góry koszula z krótkim rękawem. Nigdy nie ubrałby się w szorty i był szczerze zdumiony, że Cantor tak mało dba o swój wygląd, że sobie na to pozwala.

Towarzyszące mu uczucie zadowolenia zostało nieco osłabione pojawieniem się żony.

- Dobrze się bawisz, mój drogi? - zapytała z ironią. - Wygląda na to, że tak - odpowiedziała sama sobie.

- A co mam robić? - zapytał retorycznie. - Kręcić się tutaj ze zboląłą miną?

- Właściwie czemu nie - odrzekła Jacqueline. - Tak właśnie zachowujesz się w domu.

- Może powinnam sobie pójść - powiedziała Beaton, odwracając się.

Traynor chwycił ją jednak za ramię i zmusił do pozostania.

- Nie. Chcę usłyszeć więcej na temat sierpniowych wyników. Te dane są mi potrzebne, żeby przygotować się na zebranie, które mamy dziś wieczorem.

- Wobec tego ja sobie pójdę - oświadczyła Jacqueline. - Myślę nawet, drogi Haroldzie, że pojedę do domu. Jestem tu już wystarczająco długo - zdążyłam porozmawiać z dwiema osobami, które bardzo lubię. Mam nadzieję, że wśród twoich licznych współpracowników znajdzie się ktoś,

kto poczuje się szczęśliwy, mogąc dotrzymać ci towarzystwa.

Traynor i Beaton w milczeniu patrzyli, jak Jacqueline odchodzi, brnąc przez wysoką trawę.

- Nagle przestałem być głodny - wyznał Traynor, kiedy jego żona zniknęła im z oczu. - Pokręcmy się tutaj jeszcze trochę.

Zeszli nad brzeg jeziora i przez chwilę przyglądali się grającej w siatkówkę grupie.

- O czym chciałaś ze mną porozmawiać? - zebrał się w końcu na odwagę, by zadać to pytanie.

- O nas. O naszym związku. O mnie. Podoba mi się moja praca.

Lubię ją. Dostarcza mi mnóstwa satysfakcji. Kiedy jednak namawiałeś mnie do przyjazdu tutaj, sugerowałeś, że nasza znajomość potoczy się nieco inaczej. Twierdziłeś, że lada dzień dostaniesz rozwód. Nic takiego się nie stało. Nie chcę spędzić reszty życia na ukrywaniu romansu z tobą.

Nasze potajemne spotkania mi nie wystarczają. Potrzebuję czegoś więcej.

Traynor poczuł, że z czoła splywa mu zimny pot. W szpitalu działo się tak wiele złych rzeczy, że nie był w stanie znieść jeszcze i tego. Nie miał ochoty zrywać swego romansu z Helen, ale w żadnym wypadku nie czuł się na siłach stawić czoła Jacqueline.

- Pomyśl nad tym - poprosiła Beaton. - Zanim coś się nie zmieni, zaprzestaniemy naszych małych schadzek w moim gabinecie.

Mężczyzna skinął głową. W tej chwili było to najlepsze wyjście z sytuacji. Nie widzącym spojrzeniem powiódł po grających w siatkówkę ludziach.

- To doktor Wadley - powiedziała Beaton, machając lekarzowi na powitanie. Wadleyowi towarzyszyła młoda, atrakcyjna kobieta o kasztanowych włosach, ubrana w szorty. Na głowie miała zawadiacko przekrzywioną baseballową czapkę.

- Kto z nim jest? - zapytał Traynor zadowolony, że może zmienić temat.

- Nasz nowy patolog - odparła Helen. - Angela Wilson. Chcesz ją poznać?

- Wypadaloby chyba, żebym się z nią przywitał - stwierdził prezes zarządu.

Podeszli bliżej i Wadley dokonał prezentacji. Podczas przewlekłej ceremonii przedstawiania ich sobie nazwał Traynora najlepszym prezesem zarządu, jaki kiedykolwiek sprawował opiekę nad szpitalem, Angelę określił zaś mianem nie tylko najlepszego, ale i najzdolniejszego ich patologa.

- Ogromnie się cieszę, mogąc pana poznać - powiedziała Angela, po czym wołanie pozostałych graczy zmusiło ją i Wadleya do rozstania się z Haroldem i Helen. Beaton obserwowała, jak Wadley wskazuje towarzyszące miejsce na boisku.

- W starym Wadleyu zaszła wielka odmiana - powiedziała. - Angela Wilson obudziła w nim dawno stłumione zapędy pedagogiczne. Dała mu bodziec do życia. Odkąd tu pracuje, Wadley codziennie pojawia się w swym gabinecie już o dziewiątej.

Traynor. obserwował, jak Angela Wilson precyzyjnie odbija piłkę.

Doskonale rozumiał zainteresowanie Wadleya tą kobietą, jednak w przeciwieństwie do Beaton nie dostrzegał w tym li tylko nauczycielskiego entuzjazmu. Angela Wilson nie wyglądała jak lekarka, a w każdym razie nie przypominała żadnej z lekarek, z jakimi dotąd miał do czynienia.

Rozdział 10

Jesień w Vermont

Choć David i Angela spędzili cztery lata w Bostonie, odbywając praktykę medyczną, nigdy tak naprawdę nie doświadczyli piękna nowoangielskiej jesieni. W Bartlet urok tej pory roku zapierał wprost dech w piersiach. Każdego dnia olśniewająca barwa liści stawała się coraz intensywniejsza, jakby próbując pobić swój własny rekord urody z poprzedniego dnia.

Poza cieszącymi wzrok pięknymi widokami jesień dostarczyła także bardziej subtelnych radości, którym towarzyszyło dobre samopoczucie ludzi. Powietrze stało się rześkie i kryształowo czyste, dzięki czemu łatwiej się nim oddychało. Znakomita pogoda sprawiała, że z przyjemnością wstawano się z łóżka, a w ciągu dnia rozpierała człowieka energia. Każdego wieczoru zaś z przyjemnością zasiadało się przed trzaskającym na kominku ogniem, który chronił przed nocnym chłodem.

Nikki bardzo polubiła tutejszą szkołę. Jej wychowawczynią była Marjorie Kleber, która - zgodnie z przypuszczeniami Davida - okazała się świetną nauczycielką. Nikki, będąca zawsze dobrą uczennicą, teraz stała się wręcz jedną z najlepszych. Podczas weekendów bardzo tęskniła za szkołą i nie mogła doczekać się poniedziałku.

Jej przyjaźń z Caroline Helmsford jeszcze bardziej się zacieśniła i obie dziewczynki prawie nie rozstawały się ze sobą. Bliska przyjaźń łączyła ją także z Arnim. Po rozpatrzeniu wszystkich za i przeciw pozwolono Nikki jeździć do szkoły na rowerze, pod warunkiem że będzie trzymała się z daleka od głównej szosy. Dla dziewczynki oznaczało to całkowicie nowy rodzaj wolności i to takiej, którą kochała najbardziej. Po drodze mijala dom Yansenów, przed którym codziennie czekał na nią Arni. Ostatnią milę jechali więc zawsze razem.

Nadal też dopisywało Nikki zdrowie. Chłodne, suche, czyste powietrze zdawało się mieć leczniczy wpływ na jej drogi oddechowe. Wyjąwszy codzienne poranne ćwiczenia na fotelu samochodowym, nic nie przypominało jej o chorobie. Dobre samopoczucie córki było stałym źródłem radości dla Davida i Angeli.

Jednym z wielkich wydarzeń tej jesieni był przyjazd rodziców Angeli pod koniec września. Zapraszała ich do siebie z dość mieszаныmi uczuciami, ale psychiczne wsparcie, jakie otrzymała od Davida, upewniło ją, że podola tej wizycie.

Doktor Walter Christopher, ojciec Angeli, wypowiedział kilka

chłodnych

komplementów

pod

adresem

domu

i

miasteczka,

zdecydowanie jednak odmówił obejrzenia laboratorium, wymawiając się tym, że i tak zbyt dużo czasu spędza w szpitalnych murach.

Bernice Christopher, matka Angeli, nie dostrzegła nic, co mogłaby pochwalić. Uważała, że dom jest za duży i zbyt skromnie urządzone, szczególnie jak dla chorego dziecka. Jej zdaniem nawet kolor liści był tu taki sam jak w Central Parku, nie warto zatem było jechać przez sześć godzin tylko po to, by oglądać drzewa w Bartlet.

Najbardziej przykry moment miał jednak miejsce przy sobotniej kolacji. Bernice uparła się, że wypije więcej niż jeden kieliszek wina, w związku z czym - jak zwykle - szybko się upiła. Zaczęła wówczas oskarżać Davida i jego rodzinę o to, że są powodem choroby Nikki.

- U nas nikt nigdy nie chorował na mukowiscydozę - oświadczyła.

- Bernice! - oburzył się doktor Christopher. - Okazywanie takiej ignorancji jest czymś obrzydliwym!

Dźwięcząca w uszach cisza, jaka zapadła po tych słowach, trwała aż do chwili, kiedy Angela, zdolawszy jakoś pohamować złość, zmieniła temat i zaczęła mówić o tym, jak oboje z Davidem mają zamiar umeblować dom.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy w niedzielę koło południa

Christopherowie wyjechali. David, Angela i Nikki przykładowie stali przed domem, machając na pożegnanie tak długo, póki samochód gości nie zniknął im z oczu.

- Popukaj mnie mocno w czoło następnym razem, kiedy wpadnę na

pomyśl, żeby ich tutaj zaprosić - powiedziała Angela.

David wybuchnął śmiechem, zapewniając żonę, że nie było tak źle.

Przepiękna jesienna pogoda trwała aż do października. Choć pod koniec września zdarzały się już przymrozki, indiańskie lato powróciło jeszcze w te strony i dni bywały równie upalne jak w czasie najcieplejszych letnich miesięcy. Szczęśliwe połączenie temperatury i wilgotności powietrza sprawiło, że drzewa zachowały liście dłużej niż zwykle. Tak przynajmniej twierdzili ludzie mieszkający tu od lat.

W połowie października, podczas przerwy w sobotniej grze w koszykówkę, Steve, Kevin i Trent poprosili Davida o chwilę rozmowy.

- Co byś powiedział na to, abyście całą rodziną wybrali się razem z nami za miasto w czasie najbliższego weekendu? - zapytał Yarborough. - Chcemy pojechać do Waterville Valley w New Hampshire. Cieszylibyśmy się, gdybyście zechcieli nam towarzyszyć.

- Powiedz mu lepiej, jaki jest prawdziwy powód tego, że ich zapraszasz - odezwał się drwiąco Kevin.

- Zamknij się! - powiedział Trent, żartobliwie trącając go w czubek głowy.

- Prawdziwy powód jest taki, że wynajęliśmy domek z czterema sypialniami - zaśmiał się okulista, przezornie odsuwając się nieco od Trenta, by uniknąć jego kuksańców. - Te sknery zrobiłyby wszystko, byleby tylko obniżyć koszty wyjazdu.

- Nieprawda - zaprzeczył Steve. - Po prostu im więcej osób pojedzie, tym lepsza będzie zabawa.

- A czemu wybieracie się aż do New Hampshire? - zapytał David.

- Bo to z pewnością ostatni weekend, kiedy drzewa mają jeszcze

liście - wyjaśnił Trent. - A jesień w New Hampshire wygląda zupełnie

inaczej. To wprost baśniowa kraina. Niektórzy ludzie uważają, że takiej

feerii barw jak tam nie ma nigdzie na świecie.

- Nie mogę sobie wręcz wyobrazić, by gdziekolwiek mogło być

piękniej niż tu, w Bartlet - odrzekł David.

- Waterville jest zabawne - powiedział Kevin. - Większość ludzi

uważa tę miejscowość jedynie za ośrodek narciarski, ale można tam także

pograć w tenisa i golfa albo wybrać się na daleką pieszą wycieczkę. Mają

nawet boisko do gry w koszykówkę. Dzieciaki uwielbiają to miejsce.

- Nie daj się prosić, Davidzie - nalegał Steve. - Już niedługo nastanie

zima. Trzeba korzystać z pogody i cieszyć się jesienią, póki jeszcze trwa.

Zaufaj nam.

- To wszystko brzmi zachęcająco - przyznał David. - Porozmawiam o

tym dziś wieczorem z Angelą i zadzwonię do któregoś z was, by dać

odpowiedź - obiecał, po czym wszyscy czterej wrócili na boisko, żeby

dokończyć przerwana grę.

Angela nie była zachwycona, kiedy David powiedział jej o

zaproszeniu. Wspomnienie wspólnego weekendu nad jeziorem, a także

liczne zajęcia domowe powstrzymywały Wilsonów od udziału w życiu

towarzyskim. Angela nie miała ochoty na kolejną wspólną imprezę, której

główną atrakcją będzie opowiadanie sobie niewybrednych dowcipów.

Pomimo że David protestował przeciwko takiej ocenie ich poprzedniego

wyjazdu, złośliwie zauważyła, że jeśli przyjaciele - a szczególnie ich żony -

tak bardzo się nudzą, pomysł spędzania wolnego czasu w tak nielicznej,

zawsze tej samej grupie wydaje się z lekka bezsensowny.

- Daj spokój - oponował jej mąż. - Na pewno będzie zabawnie.

Powinniśmy zobaczyć nieco większy kawałek Nowej Anglii. Jak

powiedział Steve, już wkrótce nastanie zima, która na długo uwięzi nas w domach.

- To będzie drogo kosztowało - stwierdziła Angela, starając się jakoś

wykręcić od wyjazdu.

- Och, mamusiu, nie upieraj się - powiedziała z pretensją Nikki. -

Arni mówił mi, że w Waterville jest prześlicznie.

- Jakże to mogłoby dużo kosztować? - zdziwił się David. - Przecież

cena domku będzie się dzieliła na cztery rodziny. Poza tym pamiętaj, jakie mamy dochody.

- Pamiętaj też, jakie mamy długi - odcięła się Angela. - Nasz dom

obciążają aż dwie hipoteki, a prócz tego zaczęliśmy właśnie spłacać

pożyczki zaciągnięte za naszych studenckich czasów. Poza tym nie wiem

nawet, czy nasz samochód przetrwa tutejszą zimę.

- Gadasz bzdury - stwierdził David. - Ściśle kontroluję nasze finanse

i wiem, że powodzi nam się całkiem dobrze. To nie jest żadna

ekstrawagancka wyprawa. Jeśli wynajmuje się domek w cztery rodziny,

nie kosztuje to więcej niż zwykły pobyt na kempingu.

- Zgódź się, mamo! - zawołała Nikki.

- Dobrze - skapitulowała Angela. - Cóż innego mogę zrobić, skoro

zostałam przegłosowana?

W miarę upływu czasu wszyscy coraz bardziej podnieceni byli planowaną wyprawą. David umówił się z jednym z lekarzy CMV, Dudleyem Markhamem, że ten zastąpi go na dyżurze. Jeszcze w czwartek wieczorem spakowali wszystkie bagaże i następnego popołudnia, zaraz po pracy, ruszyli w drogę.

Początkowo zamierzali wyjechać o trzeciej, ale opuszczenie szpitala w tym samym czasie przez aż pięciu lekarzy okazało się niemożliwe.

Wyjazd przesunął się więc prawie na godzinę szóstą. Wzięli trzy samochody. Yarboroughowie pojechali własnym wozem, zabierając ze sobą trójkę dzieci, Yansenowie i Youngowie zapakowali się do auta tych pierwszych, zaś David, Angela i Nikki wzięli swoje volvo. Mogli wprawdzie, od biedy, zmieścić się w samochodzie Yarboroughów, ale Angela chciała być niezależna i obstawała przy zabraniu własnego wozu.

Wynajęty dom okazał się olbrzymi. Prócz czterech sypialni miał wielkie poddasze, na którym dzieci mogły spać w śpiworach. Ponieważ wszyscy byli zmęczeni podróżą, po przyjeździe natychmiast udano się do łóżek.

Następnego ranka Yarboroughowie obudzili przyjaciół wcześniej rano - przemaszerowali przez cały dom, uderzając drewnianą łyżką o dno patelni i wołając, że za pół godziny wszyscy mają być gotowi do wyjścia na śniadanie.

Wkrótce okazało się, że pół godziny to o wiele za mało czasu i ich optymistyczne kalkulacje zupełnie się nie sprawdziły. W domu

znajdowały się co prawda cztery sypialnie i duże poddasze, ale tylko trzy łazienki, więc prysznic, suszenie włosów i golenie się całego towarzystwa trwało koszmarnie długo. Na domiar złego Nikki musiała zrobić sobie inhalację. Minęło prawie półtorej godziny, zanim ich grupa była gotowa do wyjścia. Rozlokowawszy się w samochodach w ten sam sposób co poprzedniego popołudnia, opuścili otoczoną górami dolinę i skierowali się ku międzystanowej szosie numer dziewięćdziesiąt trzy. Przejeżdżając przez Franconia Notch, zarówno David, jak i Angela zachwyceni byli olśniewającym pięknem opadającego listowia, odcinającego się jaskrawymi barwami od pionowych ścian szarego granitu.

- Jestem głodna - poskarżyła się Nikki po półgodzinnej jeździe.

- Ja też - odrzekła Angela. - Dokąd się udajemy?

- Do miejsca zwanego „Salonem naleśnikowym Poily” - powiedział David. - Trent twierdzi, że tu, na północy New Hampshire, ta knajpa cieszy się wyjątkową sławą.

W restauracji okazało się jednak, że dopiero za czterdzieści pięć minut znajdzie się dla nich wolny stolik. Na szczęście, kiedy w końcu podano im jedzenie, wszyscy orzekli, że warto było czekać. Polanę oryginalnym klonowym syropem naleśniki okazały się przepyszne, a wędzony bekon i parówki dorównywały im smakiem.

Po śniadaniu odbyli wycieczkę po New Hampshire, zachwycając się górkimi krajobrazami i barwnymi od jesiennych liści drzewami.

Dyskusyjną sprawą było jednak to, czy tutejsze widoki rzeczywiście przewyższały pięknem krajobrazy Vermont. Sprzeczali się o to między

sobą, ale nie rozstrzygnęli sporu. Jak powiedziała Angela, było to jak porównywanie dwóch doskonałości.

Wracając do Waterville Valley jedną z najbardziej malowniczych dróg, zwaną Kancamagus Highway, David zauważył przesuwające się po niebie pierzaste chmury. Kiedy dojechali na miejsce, stały się one już tak gęste, że niemal nie widać było przez nie słońca, temperatura zaś spadła do piętnastu stopni Celsjusza. Mimo to Kevin zaproponował grę w tenisa, a kiedy nikt nie wyraził zainteresowania tym pomysłem, począł gorliwie namawiać Davida, by poszedł z nim na kort. Po całym dniu spędzonym za kierownicą samochodu Wilson uznał, że trochę ruchu dobrze mu zrobi.

Kevin był świetnym tenisistą i zwykle pokonywał Davida, ale tego dnia nie grał najlepiej. Ku jego rozczarowaniu David zyskał znaczną przewagę.

Uwielbiający wszelkie współzawodnictwo Yansen gorączkowo starał się pokonać przeciwnika, ale gwałtowność, z jaką grał, sprawiała tylko, że popełniał coraz więcej pomyłek. Był zły na siebie i próbował wyładować gniew na partnerze. W pewnym momencie, kiedy David zawołał, że piłka znalazła się na aucie, Kevin rzucił raketę na znak protestu.

- Nie było autu - upierał się.

- Był - odrzekł Wilson, wskazując ślad odcisnięty w otaczającej kort miękkiej glinie.

Kevin okrążył siatkę i podszedł, by przyjrzeć się temu z bliska.

- To nie jest ślad po piłce - stwierdził gniewnie.

David popatrzył na okulistę. Widział, że Kevin jest wściekły.

- W porządku - powiedział, mając nadzieję, że to rozładuje napięcie.

- Powtórzmy tę piłkę, zgoda?

Jednak nowa wymiana piłek przyniosła kolejny punkt Davidowi.

- Trafiło mi się jak ślepej kurze ziarno! - zawołał, chcąc nieco

poprawić przeciwnikowi nastrój.

- Zamknij się - odburknął Kevin. - Serwuj!

Zły nastrój Yansena odebrał Davidowi wszelką przyjemność z gry.

Kevin stawał się coraz bardziej ponury i zachowywał się coraz

niegrzeczniej. David zaproponował, by przerwali mecz, ale Yansen nie

zgodził się na to. Gra skończyła się zdecydowanym zwycięstwem Wilsona.

W drodze do domu Kevin nie odzywał się ani słowem, wobec czego

David również darował sobie podtrzymywanie konwersacji. Pierwsze

krople deszczu sprawiły, że przyśpieszyli kroku. Po powrocie Yansen

wszedł do jednej z łazienek i z hukiem zatrzaskał za sobą drzwi. Pozostali

popatrzyli pytająco na Davida.

- Wygrałem - powiedział Wilson z dziwnym poczuciem winy,

wzruszając ramionami.

Pomimo wesołego ognia na kominku, pysznego jedzenia oraz

mnóstwa piwa i wina, zły nastrój Kevina sprawił, że atmosfera stała się

napięta i ponura. Nawet jego żona Nancy powiedziała mu, że zachowuje

się dziecinnie, ale ta uwaga wywołała jedynie nieprzyjemną wymianę

zdań pomiędzy małżonkami, przez co wszyscy poczuli się jeszcze bardziej

niezręcznie.

W końcu przygnębienie okulisty udzieliło się także i innym. Trent i Steve poczęli lamentować, że ich praktyki zmniejszyły się do tego stopnia, iż poważnie myślą o opuszczeniu Bartlet - tym bardziej, że CMV zatrudniła już lekarzy o ich specjalnościach.

- Wielu moich byłych pacjentów twierdzi, że chętnie by do mnie wróciło, ale nie mogą - powiedział Steve. - Ich pracodawcy podpisali z CMV umowę o opiece zdrowotnej nad pracownikami i gdyby chcieli leczyć się u mnie, musieliby za to płacić z własnej kieszeni. To mnie prędzej czy później zrujnuje.

- Niewykluczone, że byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś wyniósł się stąd, póki jeszcze możesz - powiedział Kevin, odzywając się po raz pierwszy od dłuższego czasu.

- Cóż to za tajemnicza rada? - zdziwił się Trent. - Czyżby doktor Smutny i doktor Ponury mieli dostęp do jakichś specjalnych informacji, które do nas, zwykłych śmiertelników, nie docierają?

- Nie uwierzyłbyś, gdybym ci coś powiedział - odparł Kevin, nie odrywając wzroku od ognia. Blask płomieni odbijał się od grubych szkieł jego okularów, co czyniło spojrzenie mężczyzny dziwnie pustym.

- Mimo wszystko spróbuj - poprosił Steve.

David zerknął na Angelę, sprawdzając, co też ona myśli o tym przygnębiającym popołudniu. Dla niego samego było to doświadczenie o wiele gorsze od poprzedniej, sierpniowej wyprawy nad jezioro. Mógł znieść aluzje do spraw seksu i ordynarne dowcipy, ale brakowało mu cierpliwości, by tolerować zły nastrój i przygnębienie innych, szczególnie

że tak jawnie je okazywano.

- Dowiedziałem się nieco więcej na temat Randy'ego Portlanda -

powiedział Kevin, nie odrywając wzroku od ognia. - Ale wy i tak mi nie uwierzycie, sądząc po tym, jak zareagowaliście kiedyś na moją sugestię, iż być może wcale nie popełnił on samobójstwa.

- Daj spokój, Kevin - przerwał mu Trent. - Nie rób wokół tej sprawy tyle szumu. Powiedz nam po prostu, co słyszałeś.

- Jadłem lunch z Michaelem Caldwellem - odparł okulista - który chciał mnie włączyć do jednego ze swych licznych komitetów. Powiedział mi przy tej okazji, że prezes zarządu szpitala, Harold Traynor, odbył z Portlandem na krótko przed jego śmiercią dziwną rozmowę. Traynor przekazał jej treść Charlesowi Kelleyowi...

- Yansen, powiedz wreszcie, o co chodzi - zachnął się Trent.

- Portland twierdził, że w szpitalu dzieje się coś złego. Trent otworzył usta w udawanym przerażeniu.

- Coś złego dzieje się w szpitalu? Jestem wstrząśnięty. Naprawdę wstrząśnięty - pokręcił głową. - Dobry Boże, ależ w szpitalu dzieje się wiele złych rzeczy. Jeśli to już koniec tej historii, to Portland nie odkrył niczego nowego.

- Nie, to jeszcze nie wszystko - powiedział Kevin. - Portland oświadczył Traynorowi, że nie weźmie na siebie winy za to, co się dzieje.

Trent popatrzył na Steve'a.

- Nie rozumiem - wyznał.

- Czy mówiąc to, miał na myśli śmierć jakiegoś pacjenta? - zapytał

Steve.

- Najwidoczniej tak - odpowiedział Kevin. - Ta aluzja okazała się jednak zbyt subtelna, by Trent zdołał ją pojąć. Dla mnie jest jasne, że Portland uważał, iż jednemu z jego podopiecznych stało się coś złego. Moim zdaniem powinien trzymać gębę na kłódkę. Gdyby to potrafił, prawdopodobnie żyłby do dzisiaj.

- Wygląda mi na to, że Portland po prostu uległ paranoi - stwierdził Trent. - Już wcześniej przeżywał załamanie nerwowe. Nie kupuję tego. Próbujesz na siłę szukać sensacji. A tak przy okazji, na co umarł pacjent Portlanda?

- Na zapalenie płuc i wstrząs endotoksynowy - powiedział Steve. - Prezentowaliśmy już ten przypadek na naradzie poświęconej śmiertelnym przypadkom.

- A więc to wszystko wyjaśnia - stwierdził Trent. - Nie ma nic tajemniczego w śmierci spowodowanej przez gramoujemne bakterie, które przedostały się do ludzkiego krwiobiegu. Wybacz, Kev, ale zupełnie mnie nie przekonałeś.

- Niepotrzebnie w ogóle zawracałem sobie głowę, rozmawiając z wami! - wrzasnął Kevin, gwałtownie podrywając się z miejsca i zaciskając pięści. - Wszyscy jesteście ślepi jak nietoperze. Nie mam zamiaru więcej marnować czasu.

Zrobiwszy krok ponad Gayle, która leżała przed kominkiem, skierował się ku schodom wiodącym do sypialni. Wchodząc tam, zatrzęsął za sobą drzwi z taką siłą, że zatrzęsły się ustawione na gzymsie

kominka bibeloty.

Pozostali nie odrywali wzroku od ognia. Nikt się też nie odzywał. W panującej ciszy słyhać było jedynie uderzające o dach kropelki deszczu, tak jakby ktoś sypał z nieba ziarenkami ryżu. W końcu Nancy z westchnieniem podniosła się z krzesła i oświadczyła, że idzie spać.

- Przykro mi z powodu Kevina - powiedział Trent. - Nie miałem zamiaru go prowokować.

- To nie twoja wina - uśmiechnęła się Nancy. - Ostatnio często bywa rozdrażniony. Jest jeszcze coś, o czym ci nie powiedział: ostatnio on także stracił pacjenta, a to na oddziale okulistycznym zdarza się bardzo rzadko.

Następnego dnia wiał porywisty wiatr, siąpił zimny deszcz, ziemię zaś otulała gęsta mgła. Angela wyjrzała przez okno i zawołała Davida.

Obawiając się, że zdarzyło się jakieś nieszczęście, mąż pośpiesznie zerwał się z łóżka. Unosząc ciężkie od snu powieki, popatrzył w okno, ale zobaczył tylko samochód i padający deszcz.

- Co takiego chciałaś mi pokazać? - zapytał sennie.

- Drzewa - wyjaśniła Angela. - Są gołe. Nie ma na nich liści.

Wszystkie spadły w ciągu zaledwie jednej nocy!

- To chyba wiatr - powiedział David. - Ten sam, który przez całą noc łomotał okiennicami.

Angela nadal stała przy oknie, wpatrzona w nagie, przypominające szkielety kikuty drzew.

- Drzewa wyglądają teraz jak martwe. Wprost nie mogę uwierzyć, że tak szybko się zmieniły. Trudno nie dojść do wniosku, że to jakiś omen.

Mam przecucie, że stanie się coś złego.

- To tylko melancholijny nastrój, jaki pozostawiła po sobie

wczorajsza rozmowa - uspokoił ją David. - Nie dramatyzuj. Jest

stanowczo za wcześnie, by myśleć o takich ponurych rzeczach. Wracaj do

łóżka i prześpij się jeszcze trochę.

Następnym wstrząsem okazała się temperatura, która rano

utrzymywała się w granicach kilku stopni Celsjusza. Zima była już tuż,

tuż.

Brzydka pogoda spotęgowała jeszcze smutek dorosłych, którzy

obudzili się tak samo przygnębieni, jak kładli się spać. Bez troski

szczęśliwym z początku dzieciom także udzielił się zły humor rodziców.

David i Angela z ulgą poczuli gotować się do drogi powrotnej. Kiedy

zjeżdżali z górskiego zbocza, Wilson poprosił żonę, by nigdy więcej nie

pozwoliła mu grać w tenisa z Kevinem.

- Mężczyźni potrafią być tacy dziecinni, jeśli chodzi o sport -

westchnęła Angela.

- Nieprawda! - zaprotestował David. - Ze mną nie było żadnych

problemów, to on nie mógł pogodzić się z przegraną. Zbyt poważnie

traktuje współzawodnictwo. A ja przecież nie miałem nawet ochoty na

grę.

- Nie złość się tak - powiedziała Angela.

- Przypominam ci, że sama sugerowałaś, jakobym to ja ponosił winę

za nastrój Kevina.

- Niczego takiego nie mówiłam - oburzyła się Angela. - Wygłosiłam

po prostu ogólną opinię o mężczyznach i ich stosunku do sportu.

- W porządku, przepraszam - odparł David. - Przypuszczam, że jestem nieco wytrącony z równowagi. Przebywanie wśród tych posępnych ludzi podziało mi na nerwy. Z pewnością nie był to najweselszy weekend w moim życiu.

- To bardzo dziwna grupa - zamyśliła się Angela. - Na zewnątrz robią wrażenie całkiem normalnych, jednak wcale nie jestem pewna, czy tacy są w rzeczywistości. Ale przynajmniej nie mówili o seksie ani nie zachowywali się tak, jak to miało miejsce nad jeziorem. Choć z drugiej strony, po raz kolejny wracali do tragedii doktora Portlanda. Dla Kevina stała się ona już chyba obsesją.

- Yansen jest bardzo dziwny - powiedział David. - Mówiłem ci o tym już wcześniej. Poza tym nie znoszę, kiedy ktoś wspomina przy mnie o samobójstwie Portlanda. To sprawia, że nie mogę czuć się dobrze w moim gabinecie. Ilekroć Kevin podnosi ten temat, wbrew mej woli natychmiast staje mi przed oczami obraz obryzganej krwią ściany za moim biurkiem.

- Davidzie - przerwała mu ostro Angela. - Proszę, przestań! Jeśli nie liczysz się zupełnie z moimi uczuciami, to pomyśl przynajmniej o Nikki.

David zerknął w lustro. Dziewczynka siedziała bez ruchu, zapatrzona przed siebie.

- Wszystko w porządku, Nikki?

- Boli mnie gardło - odrzekło dziecko. - Nie czuję się dobrze.

- Och, nie! - zawołała Angela, odwracając się ku niej i dotykając dłonią jej czoła. - I pomyśleć, że tak nalegałeś na ten głupi wyjazd -

mruknęła do męża.

David miał ochotę się bronić, ale zmienił zamiar. Nie chciał się sprzeczać. I bez tego był już dostatecznie poirytowany.

Rozdział 11

Poniedziałek, 18 października

Ani Nikki, ani jej rodzice nie spali dobrze tej nocy. Z każdą godziną dziewczynka była coraz bardziej chora. Jeszcze na długo przed świtem Angela namówiła ją na zrobienie inhalacji oraz opukała jej płuca, a następnie osłuchiwała córkę przez stetoskop. Szmery i szelesty upewniły ją, że w jej drogach oddechowych zbiera się śluz.

Tuż przed ósmą rano David i Angela zadzwonili do pracy, uprzedzając, że się spóźnią. Ubrali Nikki ciepło i otuliwszy ją dodatkowo kilkoma kocami, pojechali do doktora Pilsnera. Nie przyjęto ich jednak zbyt ciepło - recepcjonistka upierała się, że doktor Pilsner jest bardzo zajęty i dziewczynka powinna zgłosić się do niego dopiero następnego dnia.

Angela nie dała jednak za wygraną. Powiedziała, jak się nazywa, dodając, że pracuje na oddziale patologii i chce osobiście porozmawiać z doktorem Pilsnerem. Kobieta posłusznie zniknęła w gabinecie lekarza.

Po chwili doktor Pilsner wyszedł do nich, uśmiechając się przepaszająco.

- Dziewczyna myślała, że jesteście pacjentami ubezpieczonymi przez CMV - wyjaśnił ze skruchą. - O co chodzi?

Angela powiedziała mu o bólu gardła, który doprowadził do

pojawienia się w drogach oddechowych dziecka śluzu. Wspomniała też, że zwykle odessanie wydzieliny nic nie pomogło. Doktor Pilsner zabrał Nikki do pokoju badań i dokładnie ją osłuchał.

- Nie ma wątpliwości, że drogi oddechowe stają się coraz bardziej zajęte - przyznał, zdejmując z uszu słuchawki. - Powiedz mi, jak się czujesz - zwrócił się do Nikki, żartobliwie szczypiąc ją w policzek.

- Niedobrze - odrzekła dziewczynka, oddychając z wysiłkiem.

- Jeszcze wczoraj była zupełnie zdrowa - wtrąciła Angela.

- W mgnieniu oka przywrócimy ją do normalnego stanu - zapewnił pediatra, gładząc swą białą brodę. - Lepiej jednak będzie uprzedzić państwa córkę, co ją czeka. Chcę zacząć od doustnego podawania antybiotyków i intensywnej terapii oddechowej.

- Nie ma problemu - odrzekł David, głaszcząc Nikki po głowie.

Narastało w nim poczucie winy, że namówił rodzinę na wyjazd do New Hampshire.

Janice Sperling, która miała właśnie dyżur w izbie przyjęć, poznała zarówno Davida, jak i Angelę. Zasmuciła się chorobą dziecka.

- Czeka na ciebie śliczny pokoik - powiedziała do Nikki. - Z okna będziesz miała wspaniały widok na góry.

Dziewczynka skinęła głową, pozwalając, by Janice założyła jej wąską, plastikową bransoletkę identyfikacyjną. David sprawdził, czy prawidłowo umieszczono na niej wszystkie dane córki. Przydzielono jej pokój numer 204, z którego rzeczywiście rozciągał się piękny widok na góry.

Dzięki Janice przyjęcie Nikki do szpitala odbyło się gładko i bez przeszkód. Już po kilku minutach wszyscy ruszyli na górę, do sali numer 204. Janice otworzyła drzwi, w ostatnim momencie zatrzymała się jednak, nie wchodząc do środka.

- Wybaczcie mi - powiedziała zmieszana. Pokój był już zajęty: leżała w nim jakaś pacjentka.

- Pani Kleber - powiedziała z zaskoczeniem Nikki.

- Marjorie? - zdumiał się David. - Co u licha robi pani tutaj?

- Takie to już moje szczęście - odparła kobieta. - Jedyne weekend w roku, kiedy jest pan nieobecny, a ja natychmiast mam kłopoty ze zdrowiem. Muszę jednak przyznać, że doktor Markham był dla mnie bardzo miły.

- Przykro mi, że panią niepokoił mi - powiedziała Janice. - Nie rozumiem, jakim cudem komputer wskazał mi pokój 204, skoro ktoś w nim już leży.

- Nie ma problemu - uśmiechnęła się chora. - Lubię towarzystwo.

Obiecawszy Marjorie, że wkrótce do niej wróci, David udał się wraz z Janice, żoną oraz córką do dyżurki, skąd telefonicznie próbowano wyjaśnić zaistniałą sytuację.

- Najgorzej przepraszam was za całe to zamieszanie - powiedziała Janice, odkładając słuchawkę. - Położymy Nikki w pokoju 212.

W ciągu kilku minut od ich wejścia do sali 212 pojawił się zespół pielęgniarek i techników, którzy zajęli się chorą. Podano jej antybiotyki i rozpoczęto terapię oddechową. Kiedy wszystko było już pod kontrolą,

David obiecał córce, że będzie do niej zaglądał w ciągu dnia, i prosił, by stosowała się do wszystkich zaleceń lekarza. Uszczypnąwszy ją w policzek, cmoknął także w czoło Angelę i udał się na powrót do pokoju Marjorie.

Zasmucony popatrzył na spoczywającą w wielkim ortopedycznym łóżku kobietę. Zdawała się teraz wyjątkowo wątła i krucha. W ciągu minionych miesięcy Marjorie stała się jego ulubioną pacjentką.

- Opowiedz mi, jak to się stało, że tu trafiłaś - poprosił.

- Wszystko zaczęło się w piątek po południu. Takie kłopoty zwykle pojawiają się w piątki, kiedy człowiek nie ma ochoty wzywać lekarza. W sobotę rano zaczęła mnie boleć prawa noga. Zadzwoiłam do pańskiego gabinetu, ale ponieważ pana nie było, skierowano mnie do doktora Markhama. Zbadał mnie dokładnie, po czym orzekł, że to zapalenie żył i że muszę pozostać w szpitalu, bo trzeba podać mi antybiotyk.

David zbadał Marjorie i potwierdził wcześniejszą diagnozę.

- Czy koniecznie muszę leżeć w szpitalu? - zapytała nauczycielka z nadzieją w głosie.

- Niestety tak - odparł David. - To choroba, której w żadnym wypadku nie wolno zlekceważyć. Zapalenie żył może przenieść się przez krwiobieg także na inne kończyny, ale sytuacja nie wygląda tak źle. Sądzę, że stan zapalny zaczął się już cofać.

- Cofa się bez wątpienia - przytaknęła Marjorie. - Czuję się już sto razy lepiej niż wówczas, kiedy przywieziono mnie tu w sobotę.

Pomimo że był już spóźniony i dawno powinien przyjmować

pacjentów w swoim gabinecie, David spędził jeszcze dziesięć minut na rozmowie z Marjorie, wyjaśniając jej, na czym polega zapalenie żył i jakie zagrożenia niesie ta choroba. Następnie poszedł do dyżurki i przeczytał notatki w karcie pacjentki. Wszystko było w porządku.

Zadzwoił do doktora Dudleya Markhama, by podziękować mu za zastępstwo w czasie weekendu i zajęcie się Marjorie.

- Nie ma sprawy - odparł Dudley. - Lubię tę kobietę.

Powspominaliśmy sobie dawne czasy. Uczyła moje najstarsze dziecko, kiedy chodziło do drugiej klasy.

Przed opuszczeniem dyżurki David zapytał jeszcze przełożoną, Janet Colburn, dlaczego Marjorie położono w łóżku ortopedycznym.

- Bez powodu - odparła Janet. - Po prostu umieszczono ją w sali, w której stoi ten sprzęt. W tej chwili nie jest on akurat potrzebny, ale proszę mi wierzyć, że tam będzie jej najwygodniej. Elektroniczne sterowanie unoszeniem i opuszczaniem głowy bądź nóg łóżka nigdy się tam nie psuje, czego nie można powiedzieć o łóżkach w innych salach.

David wpisał do karty Marjorie krótką notatkę, oficjalnie przejmując nad nią opiekę, po czym udał się do pokoju córki. Nikki czuła się już o wiele lepiej, pomimo że nie rozpoczęto jeszcze zasadniczej terapii oddechowej. Jej lepsze samopoczucie wiązało się prawdopodobnie z nawilżeniem dróg oddechowych.

Rozstawszy się z córką, David skierował się w stronę budynku przychodni, gdzie czekali już na niego pacjenci. Był prawie godzinę spóźniony.

Zdenerwowana Susan próbowała przesunąć spotkania na późniejsze godziny i odwoływać wszystkie wizyty, które nie należały do pilnych, ale i tak w poczekalni siedziało bardzo wielu chorych.

Uspokajając pielęgniarkę, David przemknął do swojego gabinetu i włożył biały fartuch. Susan deptała mu po piętach, przekazując pozostawione dlań telefoniczne informacje oraz prośby o konsultacje.

Zapinając guziki fartucha, David nagle zastygł bez ruchu. Susan urwała w pół słowa, zdumiona bladością, która niespodziewanie powlekleła twarz lekarza.

- O co chodzi? - spytała zaniepokojona.

David nie odpowiedział. Jak zahipnotyzowany patrzył przed siebie.

Niewyspane, zmęczone oczy plątały dziwne figle: wydawało mu się, że ściana nad biurkiem spryskana jest krwią.

- Doktorze Wilson! - zawołała Susan. - Co panu jest?

David zamrugał powiekami i makabryczna wizja zniknęła.

Niepewnie podszedł do ściany i przejechał po niej dłonią, upewnił się, że to, co widział, było jedynie halucynacją.

Zadrżał na myśl, jak bardzo sugestywny wydawał się ten obraz.

Odwrócił się i uśmiechnął przepaszająco do Susan.

- Pewnie oglądałem w dzieciństwie za wiele horrorów - stwierdził. -

Moja wyobraźnia pląta mi dziwne figle.

- Chyba lepiej będzie, jak zaczniemy przyjmować pacjentów -

powiedziała pielęgniarka.

- Zgoda.

Rzuciwszy się w wir pracy, David zupełnie zapomniał o upływie czasu. Po kilku godzinach poczuł się jednak tak zmęczony, że musiał sobie zrobić krótką przerwę. Wykorzystał ten czas na zaległe rozmowy telefoniczne. Zaczął od telefonu do Charlesa Kelleya.

- Właśnie się zastanawiałem, kiedy się w końcu odezwiesz -

powiedział Kelley nienaturalnie zatroskanym głosem. - Mam właśnie w swoim biurze gościa. Nazywa się Neal Harper. Przyjechał z filii CMV z Burlington. Obawiam się, że jest coś, co musimy z tobą omówić.

- Teraz? W środku dyżuru?

- To nie zabierze wiele czasu - obiecał Kelley. - Muszę jednak nalegać, byś przyszedł. Czekamy na ciebie.

David powoli odłożył słuchawkę. Nie wiedzieć czemu poczuł niepokój, jak gdyby był nastolatkiem wzywany niespodziewanie „na dywanik” do dyrektora szkoły.

Uprzedziwszy Susan, że musi wyjść, opuścił gabinet. Gdy tylko stanął w progu biura CMV, sekretarka natychmiast skierowała go do Kelleya.

Charles siedział za biurkiem, równie imponujący i opalony jak zwykle. Zachowywał się jednak zupełnie inaczej niż dotychczas. Był poważny, niemal ponury - jego zwykła beztroska gdzieś zniknęła.

Grobowym tonem przedstawił Neala Harpera, szczupłego, niewysokiego mężczyznę o bladej cerze pokrytej drobnymi pryszczami. Davidowi człowiek ów wydał się ucieleśnieniem biurokraty, który całymi dniami przesiaduje zamknięty w swoim gabinecie.

Kiedy usiedli, Kelley ujął w dłoń ołówek i zaczął nerwowo obracać go w palcach.

- Sporządzono twoją statystykę za pierwszy kwartał - oświadczył uroczystym tonem. - Nie wygląda zbyt dobrze.

Nie rozumiejąc, o co chodzi, David wodził wzrokiem od jednego mężczyzny do drugiego.

- Nie jesteśmy zadowoleni z twojej wydajności - ciągnął Kelley. -

Masz najniższy wskaźnik w całym CMV, jeśli chodzi o liczbę pacjentów przyjmowanych w ciągu godziny. Najwidoczniej spędzasz z każdym z nich o wiele za dużo czasu. Co gorsza, to właśnie od ciebie pochodzi największa liczba zleceń na wykonywanie testów przez laboratorium CMV. Co się zaś tyczy konsultacji ze specjalistami spoza naszej organizacji, w ogóle nie mieścisz się w żadnych limitach.

- Nie wiem, skąd wzięliście tę statystykę - powiedział urażonym tonem David.

- To jeszcze nie wszystko - ciągnął Kelley. - Zbyt wielu twoich pacjentów trafia też do izby przyjęć zamiast do twego gabinetu.

- To zrozumiałe - odrzekł David. - Jestem tak zapracowany, że na wizytę u mnie trzeba czekać dwa tygodnie. Jeśli więc ktoś dzwoni z jakąś sprawą wymagającą natychmiastowej pomocy lekarskiej, odsyłam go do izby przyjęć.

- To błąd - przerwał mu ostro Kelley. - Nie wolno ci postępować w ten sposób! Jeśli tylko chory nie jest umierający, powinieneś przyjąć go w swoim gabinecie.

- Ale takie nagłe wypadki zupełnie zburzyłyby mój harmonogram

pracy - bronił się David. - Jeśli przyjmowałbym tych pacjentów u siebie, nie zdążyłbym zbadać ludzi wcześniej umówionych na wizyty.

- To trudno - odrzekł Kelley. - Tak zwane nagłe przypadki równie dobrze mogą poczekać, aż skończysz przyjmować chorych umówionych na dany dzień. Wybór należy do ciebie, ale cokolwiek postanowisz, nie wolno ci odsyłać ich do izby przyjęć.

- Po cóż więc w ogóle ona istnieje?

- Proszę nie być przemądrzałą, doktorze Wilson - odparł Kelley. -

Dobrze wiesz, po co jest izba przyjęć. Kieruje się tam ludzi, których życie jest zagrożone. A właśnie, przypomniała mi się jeszcze jedna sprawa:

proszę nie proponować pacjentom, by wzywali ambulans. CMV nie będzie płacić za przyjazd karetki, jeśli nie będzie to uzasadnione, a takie wypadki zdarzają się tylko wtedy, jeśli zagrożone jest ludzkie życie.

- Niektórzy pacjenci mieszkają sami - zaproponował David. - Jeśli zachorują...

- Proszę nie czynić naszej rozmowy jeszcze trudniejszą - przerwał mu Kelley. - CMV nie jest przedsiębiorstwem taksówkowym. Coś ci wytłumaczę: musisz poważnie podnieść swoją wydajność, rzadziej wydawać skierowania na badania laboratoryjne, a także drastycznie ograniczyć albo - jeszcze lepiej - zaprzestać w ogóle kierowania pacjentów na badania do specjalistów poza CMV. Nie wolno ci także wysyłać ich do izby przyjęć. I to wszystko. Proste, prawda?

Powłócząc nogami, David opuścił gabinet Kelleya. Był oszołomiony.

Nigdy nie uważał się za kogoś, kto bez potrzeby szafuje skierowaniami na badania lub na konsultacje do specjalistów. Czuł się dumny z tego, że zawsze robił dla pacjenta wszystko, co było możliwe. Cała tyrada Kelleya wydała mu się, mówiąc delikatnie, niesprawiedliwa.

Wchodząc do siebie, zauważył, jak Kevin znika właśnie w pokoju badań z jednym ze swoich pacjentów. Przypomniały mu się wcześniejsze ostrzeżenia okulisty dotyczące Kelleya. Yansen miał całkowitą rację: system finansowania szpitali był demoralizujący. Wilsona martwiło również to, że Charles ani razu nie wspomniał o efektach prowadzonego przezeń leczenia; nie padło ani jedno słowo na temat tego, czy pacjenci są zadowoleni z jego usług.

- Lepiej się pośpiesz - powiedziała Susan, zobaczywszy go. - Jesteś już mocno spóźniony.

Koło południa Angela opuściła laboratorium i poszła zajrzeć do Nikki. Ku jej zadowoleniu dziewczynka czuła się bardzo dobrze. Na duchu podniósł Angelę również fakt, że córka nie dostała gorączki, a ilość śluzu w płucach znacznie się obniżyła dzięki długiemu pobytowi w jej pokoju terapeuty oddechowego. Angela raz jeszcze osłuchiwała płuca dziecka - szmery wydawały się znacznie cichsze i słabsze niż rano.

- Kiedy będę mogła wrócić do domu? - spytała Nikki.

- Dopiero co tu przyjechałaś - odrzekła Angela, żartobliwie mierzwiąc jej włosy. - Jeśli jednak będziesz zdrowiała równie szybko jak dotąd, jestem pewna, że doktor Pilsner nie będzie cię chciał tu trzymać zbyt długo.

Po powrocie do laboratorium Angela wstąpiła do sekcji mikrobiologicznej, by zerknąć na wymaz z gardła córki i upewnić się, że zrobiono posiew. Przy chorobie Nikki ważne było, by w jej układzie oddechowym nie pojawiły się pewne szczepy bakterii. Zapewniono ją, że wszystkie badania zostaną wykonane, wobec czego wróciła do swego gabinetu, włożyła biały fartuch i przygotowała się do odczytania serii próbek hematologicznych. Już miała zabrać się do pracy, kiedy zauważyła, że drzwi łączące jej pokój z gabinetem Wadleya są otwarte na oścież.

Podeszła do nich i zajrzała przez próg. Wadley siedział przy

wyposażonym

w

podwójny

okular,

przeznaczonym

do

nauki

mikroskopie. Zobaczywszy ją, skinął ręką, by podeszła bliżej.

- Jest tu coś, co chciałbym ci pokazać - powiedział. Angela

posłusznie usiadła obok przełożonego. Ich kolana niemal zetknęły się pod

stolem. Popatrzyła na leżącą na szkiełku próbkę i natychmiast

rozpoznała, że jest to wycinek pobrany z płuc.

- To wyjątkowo trudny przypadek - powiedział Wadley. - Pacjent ma

tylko dwadzieścia dwa lata. Musimy postawić diagnozę i nie wolno nam

się przy tym pomylić. Bierz się zatem do roboty. - Chcąc podkreślić te słowa, sięgnął ręką pod stół i poklepał Angelę tuż nad kolanem. - I nie wyciągaj zbyt pochopnych wniosków - dodał. - Przyjrzyj się dokładnie wszystkim kanalikom.

Angela z wprawą zaczęła oglądać próbkę, ale nie potrafiła się skoncentrować. Nie cofając ręki z jej uda, Wadley wyjaśnił, na podstawie jakich przesłanek należy, jego zdaniem, postawić diagnozę. Angela słuchała go z roztargnieniem. Spoczywająca na jej nodze ręka mężczyzny wprawiała ją w zakłopotanie.

Wadley nieraz już uczył ją czegoś i od czasu do czasu zdarzało mu się jej dotykać, zawsze jednak były to niewinne, ogólnie przyjęte gesty: położenie dłoni na ramieniu, poklepanie po plecach lub lekki uścisk dłoni. Na pikniku z okazji Dnia Pracy trzymali się nawet za ręce podczas gry w baseball, ale nigdy dotąd nie pozwolił sobie na coś podobnego.

Miała ochotę odepchnąć jego rękę lub wręcz usiąść nieco dalej, nie zrobiła jednak ani jednego, ani drugiego. Łudziła się, że Wadley spostrzeże, jak niezręcznie się czuła, i sam cofnie dłoń. Nic takiego się jednak nie stało. Objasnając, kiedy biopsja może potwierdzić podejrzenie, że ma się do czynienia z nowotworem, cały czas trzymał rękę na jej nodze.

W końcu Angela podniosła się z miejsca. Drżała. Zagryzając wargi, ruszyła z powrotem do swego gabinetu.

- Będę gotów przejrzeć te próbki hematologiczne, gdy tylko z nimi skończysz - zawołał jeszcze na pożegnanie Wadley.

Angela zamknęła drzwi łączące oba pokoje i podeszła do biurka. Z ulgą opadła na krzesło. Była bliska płaczu. Oparła głowę na złożonych dłoniach i próbowała zebrać myśli. Analizując wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich miesięcy, przypomniła sobie, jak często Wadley proponował, by zostali dłużej i zbadali dodatkowe próbki, lub też przychodził do niej na pogawędkę, ilekroć tylko miała wolną chwilę.

Uświadomiła sobie, że zawsze, gdy tylko wychodziła do baru na kawę, natychmiast on także się tam zjawiał, zajmując miejsce tuż obok niej. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiała, doszła do wniosku, że nigdy nie przepuścił on również najmniejszej okazji, by jej dotknąć.

Pomyślała, że całe okazywane jej zainteresowanie oraz nie skrywana sympatia szefa wynikały z mało szlachetnych i wyrachowanych pobudek. Nawet ostatnia rozmowa o wzięciu udziału w zjeździe patologów w Miami, który miał się odbyć za miesiąc, wywołała teraz w Angeli niesmak.

Odjęła dłonie od twarzy, rozmyślając, jak powinna zareagować. Być może przywiązywała do ostatniego epizodu zbyt dużą wagę, wyolbrzymiając gest Wadleya. W końcu nie bez przyczyny David tak często oskarżał ją o demonizowanie różnych sytuacji. Niewykluczone, że Wadley zupełnie nieświadomie położył dłoń na jej nodze, tak przejęty rolą nauczyciela, że sam nie wiedział, co robi.

Po chwili jednak gniewnie potrząsnęła głową. W głębi duszy czuła, że jej obawy nie są bezpodstawne. Nadal była wdzięczna Wadleyowi, że poświęca jej tyle czasu i troski, nie mogła jednak zapomnieć o

wprawiającym ją w zakłopotanie geście szefa. Jakże mógł tak zupełnie nie liczyć się z jej uczuciami! Postanowiła położyć kres niepożądaney zażyłości z tym człowiekiem, choć wiedziała, że nie będzie to zadanie łatwe: bądź co bądź był przecież jej przełożonym.

Pod koniec dyżuru David poszedł do głównego budynku szpitala, by sprawdzić, jak miewa się Marjorie Kleber oraz kilku innych jego pacjentów. Przekonawszy się, że wszystko jest w porządku, wstąpił do Nikki.

Córka czuła się całkiem dobrze dzięki zbawiennej kombinacji antybiotyków, środków mukolitycznych, leków rozszerzających oskrzela, inhalacji oraz terapii oddechowej. Leżała oparta o stos poduszek i trzymając w dłoni pilota, oglądała jakiś mecz - powtórkę spotkania, które widziała już raz w domu.

- No, no - powiedział David. - Cóż za gnuśne życie tu prowadzisz.

- Daj spokój, tato - uśmiechnęła się Nikki. - Wcale nie oglądałam tak dużo telewizji. Pani Kleber przyszła do mojego pokoju i miałyśmy normalne lekcje.

- To straszne - stwierdził David z udawanym przerażeniem. - A co z oddychaniem?

Po licznych pobytach w szpitalu Nikki miała wprawę w fachowym określaniu swojego stanu zdrowia. Nawet lekarze nauczyli się uważnie słuchać jej opinii.

- Dobrze - odrzekła krótko. - Sprawia mi jeszcze trochę trudności, ale jest znacznie lepiej, niż było.

W tej samej chwili w drzwiach pokoju pojawiła się Angela.

- Wygląda na to, że przyszedłam na czas, by wziąć udział w rodzinnym spotkaniu - stwierdziła, ściskając Davida i Nikki.

Wilsonowie zostali z córką jeszcze przez pół godziny, po czym oświadczyli, że muszą już jechać.

- Chcę wrócić do domu - powiedziała dziewczynka, kiedy matka i ojciec wstali, zbierając się do wyjścia.

- Wiem o tym - odparła Angela. - My też chcemy, żebyś wróciła do domu, musimy się jednak stosować do zaleceń doktora Pilsnera.

Porozmawiamy o tym jutro rano.

Nikki pomachała rodzicom na pożegnanie, patrząc, jak znikają w końcu korytarza. Otarła łzy, które zabłysły w kącikach jej oczu, i na powrót sięgnęła po pilota. Od dawna wprawdzie przywykła do pobytów w szpitalu, ale nigdy ich nie polubiła. Jediną dobrą stroną była możliwość oglądania tylu programów telewizyjnych, na ile tylko miała ochotę, i to bez pouczania, na co wolno jej patrzeć, a na co nie - rzecz nie do pomyślenia w domu.

Wilsonowie nie odezwali się ani słowem, póki nie opuścili murów szpitala. David zostawił żonę przy tylnym wyjściu, twierdząc, że byłoby głupotą, gdyby oboje narażali się na zmoknięcie, i sam pobiegł na parking po samochód.

Do domu także jechali w milczeniu, ciszę zakłócał jedynie ciągle, monotonny szum wycieraczek. David obawiał się, że w głębi duszy żona obarcza go winą za pobyt Nikki w szpitalu, nieudany weekend, a nawet za

nieustający deszcz.

Jakby na potwierdzenie jego podejrzeń, kiedy wjeżdżali na podjazd domu, Angela przerwała milczenie, oświadczając, że wstępne badanie wymazu z gardła Nikki pozwala sądzić, iż wyhodowaną kulturą bakteryjną jest pałeczka ropy błękitnej.

- To zła wiadomość - dodała. - Kiedy ten rodzaj bakterii pojawia się u osoby cierpiącej na mukowiscydozę, z reguły nie udaje się go już pozbyć.

- Nie musisz mi tego mówić - odparł David.

Nieobecność Nikki sprawiła, że obiad jedli w ponurych nastrojach, siedząc przy kuchennym stole i patrząc na siąpiący za oknem deszcz.

Zaraz po posiłku Angela zebrała się na odwagę i opowiedziała mężowi o niecodziennym zachowaniu Wadleya.

W miarę jak opowiadała, David coraz szerzej otwierał oczy ze zdumienia. Kiedy skończyła, jeszcze przez chwilę siedział nieruchomo, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

- Co za sukinyń! - krzyknął w końcu, uderzając pięścią w stół i z wściekłością potrząsając głową. - Już kilka razy przyszło mi do głowy, że zachowuje się nazbyt poufale - na przykład podczas szpitalnego pikniku - ale przekonywałem samego siebie, że ulegam szczeniackiej zazdrości.

Okazuje się jednak, że intuicja mnie nie zawiodła.

- Nie jestem niczego pewna - zauważyła trzeźwo Angela. - To właśnie dlatego wahałam się, czy w ogóle ci o tym mówić. Nie chcę wyciągać pochopnych wniosków i niewinnie kogoś oskarżać. A swoją drogą, to

niesprawiedliwe, że my, kobiety, bez przerwy jesteśmy narażone na tego typu ataki.

- To odwieczny problem - zgodził się z nią David. - Molestowanie seksualne staje się coraz powszechniejszą plagą, szczególnie odkąd kobiety masowo zaczęły pracować zawodowo. W służbie zdrowia zresztą rzecz ta sięga czasów jeszcze odleglejszych, kiedy to wszyscy lekarze byli mężczyznami, a wszystkie pielęgniarki kobietami.

- I problem ten nadal pozostaje aktualny, pomimo wciąż rosnącej liczby kobiet kończących studia medyczne - westchnęła Angela. - Pamiętasz, ile kłopotów miałam na uczelni z jednym z instruktorów, który bez przerwy mi się narzucal?

David twierdząco skinął głową.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało - powiedział. - Wiem, jak bardzo cieszyła cię życzliwość doktora Wadleya. Jeśli chcesz, wsiądę w samochód, pojadę do jego domu i dam mu po nosie.

- Dziękuję, że chcesz bronić mojego honoru - roześmiała się Angela.

- Sądziłem, że jesteś dziś tak milcząca, ponieważ martwisz się o Nikki albo też gniewasz się za ten weekendowy wyjazd.

- Daj spokój, to już przeszłość. A Nikki czuje się, na szczęście, całkiem dobrze.

- Ja także miałem dziś zły dzień - westchnął, wyjmując z lodówki piwo i pociągając solidny łyk. Opowiedział żonie o swojej rozmowie z Kelleyem oraz człowiekiem przysłanym przez CMV w Burlington.

- To oburzające! - wykrzyknęła Angela, kiedy skończył. - Jak on

śmiała mówić takie rzeczy? Szczególnie po tym, jak zebrałaś tyle

pozytywnych ocen wśród pacjentów.

- Najwidoczniej nie to liczy się dla szpitala najbardziej - skrzywił się z rezygnacją David.

- Mówisz poważnie? Przecież wszyscy wiedzą, że dobre stosunki między pacjentem a lekarzem mają istotny wpływ na wyniki leczenia.

- Może kiedyś tak było - wzruszył ramionami. - Teraz jednak to ludzie pokroju Kelleya określają, co jest w leczeniu ważne, a co nie.

Postawa rządu stworzyła całą armię medycznych biurokratów. Ekonomia i polityka wywarły zgubny wpływ na służbę zdrowia. Obawiam się, że główne zmartwienie władz szpitala stanowi teraz bilans wpływów i wydatków, nie zaś dobro pacjenta. Angela ze smutkiem pokiwała głową.

- Problem leży w Waszyngtonie - ciągnął David. - Za każdym razem, kiedy rząd próbuje wtrącać się w sprawy służby zdrowia, sytuacja jeszcze bardziej się pogarsza. Władze starają się zadowolić wszystkich, a w rezultacie nie zadowolają nikogo. Popatrz na Medicare i Medicaid: oba okazały się pomyłką, wyrządzając środowiskom lekarskim wielką krzywdę.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytała Angela.

- Nie wiem - odparł szczerze David. - Spróbuję pójść na kompromis.

Raz na jakiś czas zastosuję się do żądań Kelleya i zobaczę, co z tego wyniknie. A co z tobą?

- Ja także nie wiem, jak powinnam postąpić - przyznała się Angela. -

Mam nadzieję, że myślę się co do zamiarów Wadleya i że popadam w

przesadę, tak ostro oceniając jego dzisiejszy postępek.

- Może i tak - zgodził się David. - W końcu dopiero po raz pierwszy poczułaś się zakłopotana jego zachowaniem. Skoro zaś nigdy dotąd nie reagowałaś z niechęcią na to, co robił, pewnie sądził, że i tym razem nie poczujesz się dotknięta tym poufałym gestem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - nastroszyła się Angela.

- Nic, naprawdę nic - pośpiesznie zapewnił ją David. - Próbuję po prostu jakoś wytłumaczyć to, co się dziś wydarzyło.

- Sądzisz, że sama jestem temu winna, iż Wadley pozwala sobie wobec mnie na tak niestosowne zachowanie?

David pochylił się nad stołem i ujął dłoń żony.

- Przestań - powiedział. - Uspokój się! Ani przez sekundę nie myślałem, że jesteś winna temu, co się stało.

Angele nagle opuścił cały gniew. W końcu było przecież możliwe, że sama, nieświadomie, zachęcała Wadleya do tak poufałego zachowania - bądź co bądź zawsze starała się być wobec niego uprzedzająco uprzejma i miła, szczególnie odkąd czuła się jego dłużniczką: tak wiele przecież poświęcał jej uwagi i czasu.

- Przepraszam - powiedziała. - Jestem po prostu zdenerwowana.

- Ja także - odrzekł David. - Chodźmy lepiej do łóżka.

Rozdział 12

Wtorek, 19 października

Ku rozczarowaniu Wilsonów rano nadal padał deszcz. Na przekór jednak ponurej pogodzie Nikki czuła się doskonale. Na jej twarz

powróciły rumieńce, a ból gardła zniknął po podaniu antybiotyku, co świadczyło, że nawet jeśli była to infekcja, miała ona raczej charakter bakteryjny niż wirusowy. Dzięki Bogu, dziewczynka nadal nie gorączkowała.

- Chcę wrócić do domu - oświadczyła na widok rodziców.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze z doktorem Pilsnerem - powiedział

David. - Ale wkrótce to zrobimy. Bądź cierpliwa.

Po wizycie u córki Angela poszła do swego laboratorium, podczas

gdy David skierował się do dyżurki, żeby przejrzeć kartę choroby

Marjorie. Wszedł do pokoju nauczycielki, rozważając, czy już dzisiaj

wypisać ją do domu, jednak jej reakcja na słowa powitania mocno go

zaniepokoiła.

- Co się stało, Marjorie? - zapytał, czując, że serce zaczyna bić mu

szybciej.

Kobieta zachowywała się tak, jakby pogrążona była w półśnie.

Nerwowo dotknął jej ręki i czoła. Miała rozpaloną skórę:

prawdopodobnie gorączkowała.

Na zadawane przez Davida pytania odpowiadała ledwie

zrozumiałym mamrotaniem i choć reagowała na nakłuwanie ciała, nie

sprawiało jej to bólu.

Zauważywszy, że chora oddycha z wysiłkiem, David uważnie

osłuchał jej płuca, rejestrując w nich lekkie szmery. Następnie zbadał

obszar, gdzie występowało zapalenie żył, i stwierdził, że choroba się cofa.

Z narastającym niepokojem przeprowadził inne szczegółowe badania, nie

znalazł jednak nic, co mogłoby być przyczyną gorączki. Pośpiesznie

wrócił do dyżurki i zlecił wykonanie standardowych testów

laboratoryjnych.

Pierwszym badaniem, jakie przeprowadzono, była analiza krwi.

Wyniki wprawiły Davida w zdumienie: poziom białych krwinek, który

obniżył się wraz z ustępowaniem zapalenia żył, spadał nadal i znajdował

się obecnie w dolnych granicach normy. Lekarz zagryzł wargi. Niski

poziom leukocytów zdawał się wiązać z pobytem Marjorie w szpitalu i

sugerował rozwijające się zapalenie płuc. Wrócił do sali pacjentki i po raz

drugi dokładnie ją osłuchał. Szmery w płucach były teraz jeszcze bardziej

wyraźne.

Siedząc w dyżurce, zastanawiał się, co robić. Otrzymał kolejne

wyniki testów laboratoryjnych - wszystko było w normie. Nawet rentgen

płuc Marjorie niczego nie wykazał. Przyszło mu do głowy, by zwołać

konsylium lekarzy, ale po rozmowie, jaką odbył poprzedniego dnia z

Kelleyem, porzucił ten zamysł. Problem polegał na tym, że konsultanci,

którzy mogli okazać się pomocni, nie należeli do CMV.

Sięgnął po stojący na półce *Poradnik lekarza*, szukając w nim

nazwy antybiotyku, który należy podać w wypadku infekcji wywołanej

przez bakterie gramujemne. Nie znalazł jednak żadnego budzącego

zaufanie specyfiku.

Z westchnieniem poprosił, by zawiadomiono go natychmiast, jeśli

tylko w stanie pacjentki zajdzie jakakolwiek zmiana, i poszedł do swojego

gabinetu.

Tego dnia na Angelę przypadała kolej, by na bieżąco przeprowadzać badania pobieranych podczas zabiegów chirurgicznych tkanek. To zajęcie zawsze wywoływało w niej silne napięcie nerwowe, wiedziała bowiem, że kiedy pracuje, pacjent - pozostając pod działaniem środków znieczulających - oczekuje na wiadomość, czy pobrany wycinek jest tkanką rakową, czy też nie.

Próbki poddawane były analizie w małym laboratorium wewnątrz bloku operacyjnego. Leżące na uboczu pomieszczenie z rzadka tylko odwiedzał zatrudniony na tym oddziale personel medyczny. Angela pracowała skupiona, uważnie przyglądając się wyglądowi komórek w umieszczonym pod mikroskopem preparacie.

Nie słyszała, jak za jej plecami bezszelestnie otworzyły się drzwi, i długi czas nie miała pojęcia, że w laboratorium jest jeszcze ktoś poza nią.

- Hej, kochanie, jak leci?

Angela przestraszona podskoczyła na krześle, czując, jak w jej ciele

zaczyna

krążyć

wywołana

z denerwowaniem

dodatkowa

dawka

adrenaliny. W skroniach gwałtownie pulsowała jej krew. Z wysiłkiem

unosła głowę i popatrzyła na uśmiechniętą twarz Wadleya. Nienawidziła,

kiedy ktokolwiek nazywał ją „kochaniem” - może z wyjątkiem Davida. I

nie lubiła, kiedy ktoś po cichu stawał za jej plecami i straszył ją.

- Jakieś problemy? - zapytał Wadley.

- Nie - odrzekła oschle.

- Pozwól mi spojrzeć - poprosił, pochylając się nad mikroskopem. -

Co to za przypadek?

Angela odsunęła się nieco, ustępując mu miejsca i posłusznie

wyjaśniając, nad jaką próbką pracuje. Mężczyzna zerknął w okular

mikroskopu, po czym wyprostował się.

Przez chwilę rozmawiali o oglądanej tkance, zgadzając się co do

tego, że mają do czynienia z łagodną formą nowotworu, co z pewnością

ucieszy.

- Zajrzyj później do mojego gabinetu - poprosił na pożegnanie

Wadley, puszcżając do niej oko.

Angela skinęła głową. Odwróciła się, chcąc na powrót usiąść, i w

tym momencie niespodziewanie poczuła rękę Wadleya na swoim

pośladku.

- Nie pracuj zbyt ciężko, kochanie! - powiedział do niej z uśmiechem

i wyszedł.

Wszystko to nastąpiło tak szybko, że Angela nie zdążyła w żaden

sposób zareagować. Teraz jednak już wiedziała, że położenie przez

Wadleya dłoni na jej nodze poprzedniego dnia wcale nie było niewinnym

gestem roztargnionego człowieka.

Przez kilka minut siedziała w maleńkim laboratorium, drżąc z

gniewu i zmieszania. Zastanawiała się, co ośmieliło jej przełożonego do

tak bezczelnego zachowania. Z pewnością w ciągu ostatnich kilku dni nie zaszła w jej postępowaniu żadna zmiana. I co powinna teraz uczynić? Nie może przecież siedzieć bezczynnie, bo to stanowiłoby dla niego jedynie jawną zachętę.

Uznała, że ma dwie możliwości: albo sama stawia czoło Wadleyowi, albo uda się z tą sprawą do ordynatora szpitala, Michaela Caldwell. Po chwili przyszedł jej jeszcze na myśl doktor Cantor, szef personelu medycznego. Niewykluczone, że powinna porozmawiać właśnie z nim.

Westchnęła. Ani Caldwell, ani Cantor nie wydawali jej się osobami, do których można by się zwrócić ze skargą na molestowanie seksualne.

Angela przypomniała sobie ich zachowanie, kiedy po raz pierwszy zjawiała się w szpitalu. Caldwell wydawał się wstrząśnięty tym, że kobieta wybrała specjalizację z patologii, Cantor zaś pozwolił sobie na niesmaczną uwagę o kobietach, które razem z nim studiowały medycynę.

Pozostawało

tylko

jedno

wyjscie:

sama

będzie

musiała

porozmawiać z Wadleyem.

Natrętny dzwonek interkomu przywrócił ją do rzeczywistości. Głos, który odezwał się w słuchawce, należał do przełożonej pielęgniarek.

- Czekamy na wyniki biopsji, doktor Wilson - powiedziała.

Tego ranka David skoncentrował się na problemach swoich pacjentów jeszcze bardziej niż poprzedniego popołudnia. I to nie tylko dlatego, że chciał zapomnieć o opinii Kelleya na temat jego pracy: tym, co obecnie wprawiało go w największe przygnębienie, był pogarszający się stan Marjorie Kleber.

Koło południa odwiedził go chory na białaczkę John Tarlow, który bywał częstym gościem w jego gabinecie. Wizyta ta nie była wcześniej umówiona - kiedy Tarlow zadzwonił rano, prosząc o pilne przyjęcie, David polecił Susan, by wcisnęła go pomiędzy innych pacjentów. Jeszcze poprzedniego dnia skierowałby tego chorego do izby przyjęć, ale na skutek reprimendy otrzymanej od Kelleya postanowił przyjąć go osobiście.

Tarlow czuł się bardzo źle. Po zjedzeniu poprzedniego dnia krabów miał ostre dolegliwości żołądkowe, objawiające się zarówno wymiotami, jak i biegunką. Był odwodniony i co chwila przeszywał go silny, kolkowy ból brzucha.

Stwierdziwszy, w jak złym stanie jest pacjent, i pamiętając o białaczkę chorego, David zalecił natychmiastową hospitalizację. Zażądał także wykonania licznych testów oraz kazał podłączyć mu kroplówkę, by zapobiec odwodnieniu. Wstrzymał się jedynie z podaniem antybiotyku, wołał bowiem najpierw stwierdzić, na co cierpi chory: mogła to wszak być również dobrze infekcja bakteryjna, co zwykła reakcja na toksyny zawarte w jedzeniu.

Tuż przed jedenastą sekretarka Traynora, Collette, przekazała szefowi złe wiadomości: właśnie poinformowano ją telefonicznie, że Jeb Wiggins znowu wpłynął na stanowisko rady szpitala i ostateczne głosowanie nad wybudowaniem wielopoziomowego parkingu - którą to sprawę Traynor raz jeszcze włączył do porządku dziennego obrad - przyniosło odrzucenie tego wniosku. Teraz nie istniał już żaden sposób, by przed wiosną poddać go ponownie pod dyskusję.

- Do diabła - wściekał się Traynor, waląc pięścią w blat biurka.

Collette nie odezwała się ani słowem, oburzona jego zachowaniem. -

Chętnie udusiłbym Wigginsa własnymi rękoma.

Collette dyskretnie opuściła gabinet szefa, który zaczął nerwowo przemierzać pokój. Brak wsparcia ze strony innych, z jakim spotykał się jako prezes zarządu, doprowadzał go do szału. Nie potrafił pojąć, jak rada szpitala mogła okazać się tak krótkowzroczna. Przecież ich placówka była najważniejszym przedsiębiorstwem w mieście. Dla wszystkich powinno być też jasne, że szpital potrzebuje wielopoziomowego parkingu.

Ze zdenerwowania Traynor nie mógł pracować. Sięgnął po płaszcz przeciwdeszczowy i parasol, założył kapelusz i gniewnym krokiem wyszedł z biura, kierując się w stronę szpitala. Jeżeli budowa garażu nie dojdzie do skutku, to przynajmniej on sam, osobiście, będzie nadzorował założenie oświetlenia. Nie chciał ryzykować kolejnych gwałtów na ciemnym parkingu.

Odnalazł Wenera Van Slyke'a siedzącego w pozbawionej okien wnęce, służącej za biuro szefa działu technicznego szpitala. Traynor nigdy

nie czuł się swobodnie w towarzystwie Van Slyke'a. Był on zbyt cichy, zbyt zamknięty w sobie i zbyt opieszwały w pracy jak na jego gust. Onieśmielał go również wygląd tego człowieka: był od Traynora o kilka cali wyższy i znacznie silniejszy. Wyraźnie rysujące się pod skórą mięśnie świadczyły o tym, że ćwiczy podnoszenie ciężarów.

- Chcę obejrzeć oświetlenie parkingu - powiedział prezes zarządu.

- Teraz? - zdziwił się Van Slyke. W jego głosie zabrakło

charakterystycznej intonacji, jaką zwykle nadaje się słowom, zadając pytanie.

- Mam właśnie trochę wolnego czasu - wyjaśnił Traynor. - Pragnę upewnić się, że niczego nie zaniedbano.

Van Slyke narzucił na siebie żółty płaszcz przeciwdeszczowy i po

wyjściu przed szpital podszedł kolejno do każdej z latarni umieszczonych na niższym parkingu. Przez cały czas nie odezwał się ani słowem.

Skulony pod parasolem Traynor dreptał za nim, kiwając głową na

znak aprobaty. Mijając w ślad za Van Slyke'em kępę wiecznie zielonych drzew i wspinając się po drewnianych schodkach oddzielających od siebie

dwa parkingi, zastanawiał się, co też ten oprowadzający go człowiek

porabia w czasie wolnym od pracy. Umysłowił sobie, że nigdy nie widział go spacerującego po mieście czy robiącego zakupy w sklepie. Zawsze też

uchylał

się

od

uczestniczenia

w

jakichkolwiek

szpitalnych

uroczystościach.

Przedłużające się milczenie sprawiło, że Traynor poczuł się niezręcznie. - Wszystko u ciebie w porządku? - zapytał w końcu.

- Owszem - odrzekł Van Slyke.

- Nie masz żadnych problemów z domem? - Nie.

Traynor wiedział, że uzyskanie od Van Slyke'a dłuższych wypowiedzi byłoby nad wyraz trudne.

- Czy życie w cywilu odpowiada ci bardziej niż służba w marynarce?

Mężczyzna wzruszył ramionami i zaczął demonstrować latarnie na górnym parkingu. Wydawało się, że jest ich bardzo dużo. Traynor obiecał sobie podjechać tu któregoś wieczoru samochodem, by zobaczyć, jak świecą w nocy.

- Wygląda to nieźle - pochwalił, gdy obaj ruszyli z powrotem w stronę szpitala. - Widzę, że montując to oświetlenie, starałeś się zaoszczędzić jak najwięcej pieniędzy - nie dawał za wygraną.

- Owszem.

- Uważam, że odwalileś kawał dobrej roboty - pokiwał głową prezes zarządu. - Jestem z ciebie bardzo zadowolony.

Van Slyke nie odpowiedział i Traynor zastanawiał się, jakim cudem człowiek ów potrafi tak skrywać swoje uczucia. Raz jeszcze uświadomił sobie, że nigdy go nie rozumiał, nawet w czasach, kiedy był on jeszcze

dzieckiem. Czasami nie mógł wprost uwierzyć, że są ze sobą

spokrewnieni, choć bez wątpienia tak przecież było: Van Slyke był

jedynym siostrzeńcem Traynora, synem jego zmarłej siostry.

Znalazłszy się obok dzielącej parkingi kępy drzew, prezes zarządu

zatrzymał się i powiódł wzrokiem po płataninie gałęzi.

- Jak to się stało, że na tej ścieżce nie ma ani jednej latarni?

- Nikt nie polecił mi oświetlić ścieżki - wyjaśnił Van Slyke.

Było to pierwsze dłuższe zdanie, jakie wypowiedział od momentu

spotkania, i Traynor poczuł się tak, jakby odniósł wielkie zwycięstwo.

- Uważam, że przydałyby się tutaj ze dwie latarnie - oświadczył.

Van Slyke skinął głową.

- Dziękuję, że pokazałeś mi to wszystko - powiedział na pożegnanie

Traynor, czując wyrzuty sumienia, że jego krewny jest dla niego kimś tak

bardzo obcym, ale uznał, że winę za to ponosi sam Van Slyke. Traynor

musiał przyznać, że również jego siostra nie była całkiem normalną

kobietą. Nosila wprawdzie imię Sunny*, ale zważywszy na jej

usposobienie, wcale na nie nie zasługiwała. Zawsze była milcząca, skryta i

przez większą część życia cierpiała na depresję nerwową.

Nadal nie potrafił zrozumieć, dlaczego poślubiła doktora Wenera

Van Slyke'a, wiedząc, że jest alkoholikiem. Jej samobójstwo było dla

Traynora bolesnym ciosem: przecież gdyby tylko się do niego zwróciła,

zrobiłby wszystko, aby jej pomóc.

Cóż, zważywszy na to, jakich rodziców miał Werner Van Slyke, nie

należało się dziwić, że wyrósł na takiego człowieka. Jednak

doświadczenie zdobyte podczas służby w marynarce, gdzie pracował jako mechanik pokładowy na łodzi podwodnej, sprawiło, że był fachowcem, jakiego szpital bardzo potrzebował. Traynor cieszył się, że podsunął

* sunny (ang.) - słoneczna

zarządowi pomysł zatrudnienia go.

Odrywając myśli od siostrzeńca, skierował się do gabinetu Beaton.

- Mam złe wieści - oświadczył na powitanie, gdy tylko sekretarka

Helen poprosiła go do środka, po czym powiedział jej o wynikach głosowania w sprawie budowy parkingu.

- Pozostaje więc tylko mieć nadzieję, że nie będzie już więcej napadów - westchnęła Beaton, nie kryjąc rozczarowania.

- Owszem - zgodził się Traynor, smutno kiwając głową. - Trzeba liczyć na to, że założone przez nas oświetlenie odstraszy gwałciciela.

Zrobiłem właśnie mały obchód i przyjrzałem się nowo zainstalowanym latarniom. Jest ich chyba wystarczająco dużo - wyjąwszy ścieżkę łączącą oba parkingi. Poprosiłem Van Slyke'a, by zamontował je także w tym miejscu.

- Żałuję, że nie zdecydowaliśmy się od razu na oświetlenie zarówno dolnego, jak i górnego parkingu - powiedziała Beaton.

- A jak wygląda nasza sytuacja finansowa? - zapytał Traynor.

- Obawiałam się, że o to zapytasz - westchnęła Helen. - Arnsworth przekazał mi wczoraj bilans pierwszej połowy miesiąca. Zawarte w nim liczby nie wyglądają zbyt optymistycznie. Jeśli druga część miesiąca będzie choć trochę podobna do pierwszej, to październik wypadnie o

wiele gorzej od września. Nowe zasady przyznawania premii bardzo nam pomagają, ale wciąż dopłacamy do pacjentów z CMV. Co gorsza, wydaje się, że ich liczba jeszcze wzrośnie.

- To oznacza, że musimy położyć większy nacisk na oszczędzanie - zauważył Traynor. - Należy ściśle trzymać się założeń DOK-u. Sam system przyznawania premii to za mało, a w najbliższej przyszłości nie ma co liczyć na wypłatę pieniędzy z jakichś nowych polis ubezpieczeniowych naszych pacjentów.

- Jest jeszcze kilka innych szczegółów, o których powinieneś wiedzieć - powiedziała Beaton. - M. D. 91 miał nawrót choroby. Robertson zabrał go na odtruwanie organizmu. Jechał samochodem po chodniku zamiast po jezdni.

- Cofnij mu jego przywileje - zarządził bez wahania Traynor. - Dostyc już się w życiu nauzeralem z cierpiącymi na alkoholizm lekarzami. - Po raz drugi tego dnia pomyślał o nieudanym małżeństwie siostry.

- Jest jeszcze jeden problem - powiedziała Beaton. - Pielęgniarka Sophie Stephangelos odkryła, że w ciągu ostatniego roku ze szpitala zginęło wiele narzędzi chirurgicznych. Podejrzewa, że zabrał je któryś z lekarzy.

- Czy to już wszystkie złe wieści? - zapytał z westchnieniem Traynor.

- Czasem wydaje mi się, że zarządzanie szpitalem to zadanie ponad moje siły.

- Sophie ma pomysł, jak złapać złodzieja - powiedziała Helen. -

Potrzebuje tylko twojej zgody.

- Udzielam jej więc z całego serca. Jeśli uda się go zdemaskować,

będzie to stanowiło przestrozę dla pozostałych.

Opuszczając pokój badań, David ze zdumieniem zauważył, że umieszczona na drzwiach przegródka na dokumenty jest pusta.

- Nie ma już żadnych kart pacjentów? - zdziwił się.

- Nie zdawałeś sobie sprawy, jak szybko pracujesz - wyjaśniła Susan. - Zrób sobie przerwę.

David wykorzystał tę wolną chwilę na wizytę w szpitalu. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było odwiedzenie Nikki. Wchodząc do pokoju córki, ze zdumieniem ujrzał, że przy jej łóżku siedzą zarówno Caroline, jak i Arni. Nie miał pojęcia, w jaki sposób tej dwójce dzieciaków udało się dostać do szpitala, w myśl przepisów bowiem nie wolno im było przebywać tutaj bez opieki dorosłych.

- Nie narobi nam pan kłopotów, prawda, doktorze Wilson? - zapytała z niepokojem Caroline.

Wyglądała na znacznie mniej niż dziewięć lat - choroba zahamowała jej wzrost w stopniu znacznie większym, niż miało to miejsce u Nikki.

- Nie, nie narobię - zapewnił ją David. - Ale jakim cudem udało się wam wyjść ze szkoły tak wcześnie?

- Nie było to nic trudnego - stwierdził dumnie Arni. - Nauczycielka, która przyszła do nas na zastępstwo, zupełnie nie wie, co się wokół niej dzieje.

David przeniósł spojrzenie na córkę.

- Rozmawiałem z doktorem Pilsnerem. Nie ma nic przeciwko temu, byś dziś po południu wróciła do domu.

- Hurra! - zawołała w podnieceniu Nikki. - Czy będę mogła pójść już jutro do szkoły?

- Nie wiem - wzruszył ramionami David. - Porozmawiam o tym z mamą.

Opuściwszy pokój córki, zajrzał do Johna Tarlowa, by upewnić się, czy wszystko z nim w porządku. Pacjent dostał już kroplówkę, a w laboratorium wykonywano właśnie zalecone przez Wilsona testy. John twierdził wprawdzie, że nie czuje się ani trochę lepiej, ale lekarz kazał mu być cierpliwym. Obiecał, że jego samopoczucie poprawi się, gdy tylko ustąpią oznaki odwodnienia.

Na samym końcu David udał się do pokoju Marjorie. Miał nadzieję, że dzięki antybiotykowi zaczęła już wracać do zdrowia, ale niestety tak się nie stało. Prawdę mówiąc, był wstrząśnięty tym, jak bardzo jej stan się pogorszył. Marjorie była praktycznie pogrążona w śpiączce.

Zdjęty panicznym lękiem osłuchiwał płuca kobiety. Szmery stały się jeszcze wyraźniejsze, ale to nie tłumaczyło jej krytycznego stanu. David wszedł do dyżurki i zażądał wyjaśnień, dlaczego nie wezwano go wcześniej.

- A po cóż mielibyśmy pana wzywać? - zapytała ze zdziwieniem Janet Colburn, przełożona pielęgniarek.

- Z powodu stanu, w jakim znajduje się Marjorie Kleber - zirytował się David, wpisując w kartę pacjentki polecenie wykonania jeszcze jednej

analizy krwi i kolejnego prześwietlenia płuc. Janet skonsultowała się z dyżurnymi pielęgniarkami, po czym oświadczyła, że nikt nie zauważył w stanie Marjorie żadnych zmian. Posunęła się nawet do stwierdzenia, że zaledwie przed półgodziną jedna z siostr zaglądała do jego pacjentki i także nie zauważyła nic niepokojącego.

- To niemożliwe - warknął David, sięgając po słuchawkę telefonu. O ile wcześniej niechętnie myślał o zwołaniu konsylium, o tyle teraz, zdjęty paniką, wezwał na konsultację zarówno onkologa Marjorie, doktora Clara Mieslicha, jak i specjalistę od chorób zakaźnych, doktora Martina Hasselbauma, prosząc obu o jak najszybsze przybycie. Żaden z nich nie należał do zespołu CMV. Po namyśle zaprosił także neurologa, Alana Pricharda. W przeciwieństwie do dwóch pozostałych ten lekarz był pracownikiem CMV.

Wilson miał szczęście, ponieważ od razu udało mu się skontaktować telefonicznie z wszystkimi trzema specjalistami, którzy słysząc w jego głosie szaleńczy niepokój i wysłuchawszy opisu symptomów, zgodzili się natychmiast przybyć na konsultację. David zadzwonił także do Susan, by powiadomić ją o zaistniałej sytuacji i poprosić o przesunięcie na inny termin umówionych wizyt.

Pierwszy pojawił się onkolog, po nim dołączyli dwaj pozostali specjaliści. Przeczytali notatki w karcie choroby i dokładnie przedyskutowali przypadek Marjorie z Davidem, po czym we czwórkę udali się do pokoju chorej. Po zbadaniu nauczycielki usiedli w dyżurce, by się naradzić. Nie zdążyli jednak nawet rozpocząć dyskusji, kiedy usłyszeli

krzyk.

- Przestała oddychać! - zawołała z pokoju Marjorie pielęgniarka, która przysłała uprzątnąć narzędzia po badaniu.

David i pozostali lekarze pośpieszyli do pokoju chorej, podczas gdy Janet Colburn ogłosiła alarm, wzywając zespół reanimacyjny. W ciągu kilku minut rozpoczęto akcję ratunkową.

Dzięki natychmiastowej pomocy bardzo szybko w płuca kobiety zaczęto tłoczyć tlen. Czyniono to tak umiejętnie, że reanimacja nie zakłóciła nawet rytmu jej serca. Wszyscy byli przekonani, że chora potrzebuje jedynie krótkotrwałego dotlenienia organizmu, choć nikt nie wiedział, dlaczego przestała oddychać.

Zanim lekarze zdążyli się nad tym zastanowić, serce Marjorie zaczęło bić wolniej i w końcu zatrzymało się. Linia na podłączonym do jej klatki piersiowej monitorze stała się zupełnie prosta. Zespół reanimacyjny zastosował elektrowstrząsy, mając nadzieję, że przywróci to pracę serca, ale niestety na nic się to nie zdało. Ponownie dołączono elektrody, a kiedy i tym razem zabieg nie przyniósł spodziewanych efektów, spróbowano masażu serca.

Zespół reanimacyjny pracował gorączkowo przez pół godziny, robiąc wszystko, co tylko było w jego mocy, aby uratować Marjorie, ale, niestety, serce nauczycielki nie zaczęło bić. W miarę upływu czasu zabiegi wykonywano z coraz mniejszym przekonaniem, aż w końcu dla wszystkich stało się jasne, że Marjorie Kleber należy uznać za zmarłą.

Zespół reanimacyjny zaczął zwijać swoją aparaturę, pielęgniarki

zaś przystąpiły do sprzątanania sali. Wilson i zaproszeni lekarze udali się do dyżurki. David był załamany. Nie mógł sobie nawet wyobrazić bardziej czarnego scenariusza. Marjorie przybyła wszak do szpitala z powodu stosunkowo błażej dolegliwości, która ku jego zadowoleniu szybko ustępowała. A teraz Marjorie nie żyła.

- To straszne - westchnął doktor Mieslich. - To była cudowna kobieta.

- A przecież czuła się całkiem dobrze, sądząc z tego, co napisano w jej karcie - zauważył doktor Prichard. - Ale jak widać, choroba wybrała sobie akurat ten moment, by ją zabić.

- Zaraz, zaraz - zdumiał się David. - Uważa pan zatem, że ona umarła z powodu raka?

- Oczywiście - skinął głową Mieslich. - Miała przerzuty już w czasie, kiedy się po raz pierwszy z nią zetknąłem. Czuła się wprawdzie o wiele lepiej, niż się spodziewałem, ale nie możemy zapominać, że była bardzo chora.

- Nie wystąpiły u niej jednak żadne objawy, które mogłyby wskazywać, że nowotwór jest przyczyną zgonu - zauważył David. - Dolegliwości, które doprowadziły do tak tragicznego końca, wskazywały raczej na ostrą niewydolność systemu immunologicznego. Jak to, zdaniem panów, ma się do choroby nowotworowej?

- System immunologiczny nie kontroluje oddychania ani pracy serca - przyznał doktor Prichard.

- Poziom białych krwinek w jej organizmie bardzo się obniżył w

ciągu ostatniej doby - zauważył David.

- Zgadzam się z tym, że Marjorie nie wyglądała na chorą -

powiedział doktor Mieslich. - Ale kiedy ją operowaliśmy, miałem

wrażenie, że rak przeżarł wszystkie jej organy, włącznie z mózgiem.

Proszę pamiętać, że już gdy stawialiśmy pierwszą diagnozę, istniały liczne

przerzuty.

David pokiwał głową. Doktor Prichard poklepał go po plecach.

- Nie byliśmy w stanie przewyciężyć tej choroby - powiedział.

Wilson podziękował specjalistom za przybycie, po czym wszyscy

czterej powrócili do swoich zajęć. David był smutny i załamany. Znał

przecież Marjorie tak dobrze. Co gorsza, była też ukochaną nauczycielką

Nikki. Sam nie wiedział, jak ma powiedzieć córce o jej śmierci.

- Przepraszam bardzo - szepnęła Janet Colburn - ale jest tutaj Lloyd

Kleber, mąż Marjorie. Chciałby z panem porozmawiać.

David podniósł się z miejsca. Miał wrażenie, jakby był pogrążony w

letargu. Nie wiedział nawet, jak dużo czasu spędził w dyżurce. Janet

ruchem głowy wskazała mu wejście do poczekalni.

Lloyd Kleber stał przy oknie z zaczerwienionymi od płaczu oczyma.

Miał około czterdziestu pięciu lat. Poza rozpaczą spowodowaną śmiercią

żony przytłaczała go także świadomość odpowiedzialności za wychowanie

dwojga pozbawionych matki dzieci.

- Proszę przyjąć najszczerze wyrazy współczucia - powiedział

David.

- Dziękuję, panie doktorze - odrzekł Lloyd, z trudem hamując łzy. -

Jestem panu ogromnie wdzięczny za opiekę nad Marjorie. Bardzo sobie ceniła pańską troskę o jej zdrowie.

David skinął głową. Pragnął powiedzieć coś, co w pełni wyrażałoby jego współczucie dla tego człowieka, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Jak zawsze w takich chwilach czuł się okropnie.

W końcu odważył się poprosić mężczyznę o zgodę na przeprowadzenie sekcji zwłok. Wiedział, że żąda bardzo wiele, ale był wstrząśnięty tak gwałtownym pogorszeniem się stanu Marjorie i rozpaczliwie pragnął zrozumieć przyczynę jej śmierci.

- Jeśli to choć trochę może pomóc innym chorym - powiedział

Kleber - jestem pewien, że Marjorie nie miałaby nic przeciwko temu.

David pozostał z Lloydem aż do chwili, kiedy do szpitala przybyli pozostali członkowie najbliższej rodziny nauczycielki. Dopiero wtedy pożegnał się i udał do laboratorium, by zanieść żonie smutną nowinę.

Angela bardzo ucieszyła się na widok męża. Nie omieszkała mu zresztą o tym powiedzieć. Dopiero po chwili zauważyła, jak bardzo jest przygnębiony.

- Co się stało? - zapytała z niepokojem, ujmując go za rękę.

Łamiącym się głosem David opowiedział jej, co się stało.

- Tak mi przykro - szepnęła, obejmując go ramieniem i przytulając do siebie.

- Jaki ze mnie lekarz! - szydził z samego siebie David, usiłując powstrzymać łzy. - Powinienem być przyzwyczajony do tego rodzaju zdarzeń.

- Umiejętność okazywania uczuć stanowi jedną z twoich

największych zalet - zapewniła go żona. - To właśnie ona czyni z ciebie tak dobrego lekarza.

- Lloyd Kleber zgodził się na autopsję - zmienił temat Wilson. -

Bardzo się z tego cieszę, nie mam bowiem pojęcia, czemu Marjorie umarła ani dlaczego jej zgon nastąpił tak szybko. Przestała oddychać, a potem zatrzymała się akcja serca. Wszyscy konsultanci uważają, że przyczyną był rak, i choć prawdopodobnie mają rację, chciałbym jednak, by sekcja zwłok potwierdziła tę teorię. Możesz się tym zająć?

- Jasne - przytaknęła Angela. - Nie wpadaj jednak w depresję. To nie była twoja wina.

- Nic nie wiadomo. Zobaczymy najpierw, jakie będą wyniki sekcji zwłok - odrzekł David. - Czy mam powiedzieć Nikki o śmierci jej nauczycielki?

- To nie będzie łatwe - przyznała Angela.

Wilson wrócił do swego gabinetu, by przyjąć choć część zapisanych na ten dzień pacjentów, starał się jednak skrócić ich wizyty do minimum.

Nienawidził takiego pośpiechu, ale nie miał innego wyjścia. Zdążył przyjąć zaledwie czterech, kiedy Susan wywołała go z pokoju badań.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale Charles Kelley czeka w twoim gabinecie. Chce, byś się z nim natychmiast zobaczył.

Pelen obaw, że wizyta dyrektora CMV ma coś wspólnego ze śmiercią

Marjorie, David przeszedł przez hol i wkroczył do gabinetu. Kelley niecierpliwie spacerował po pokoju, jednak na widok wchodzącego

lekarza zatrzymał się gwałtownie. Na jego twarzy malował się gniew.

- Uważam twoje zachowanie za wyjątkowo nierozsądne -

oświadczył.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Wilson.

- Nie dalej jak wczoraj rozmawialiśmy na temat oszczędzania -

powiedział szef CMV. - Sądziłem, iż postawiłem sprawę jasno i że

zrozumiałeś, o co mi chodziło. Tymczasem dzisiaj nieodpowiedzialnie

wezwałeś na konsultację dwóch nie należących do CMV specjalistów. W

dotatku rzecz dotyczyła nieuleczalnie chorego pacjenta. Twoje

postępowanie dowodzi, że nie zdajesz sobie sprawy z podstawowych

problemów, z jakimi boryka się dzisiejsza medycyna: brakiem pieniędzy

oraz koniecznością redukcji zbędnych wydatków. Davida ogarnęła złość.

- Chwileczkę! - krzyknął, z trudem panując nad sobą. - Może

powiesz, na jakiej podstawie sądzisz, że zwołanie przeze mnie konsylium

nie było konieczne?

- Chryste Panie! - Kelley teatralnym gestem wznosił oczy do nieba. -

Przecież to jasne. Dla twojej pacjentki i tak nie było ratunku. Mimo

najlepszych chęci nic już nie mogliśmy dla niej uczynić. Każdy musi

kiedyś umrzeć. Nie należy wyrzucać w błoto pieniędzy w imię jakiegoś

beznadziejnego heroizmu.

David popatrzył w błękitne oczy Kelleya. Nie wiedział, co

powiedzieć. Był ogłuszony.

W nadziei, że uda jej się uniknąć spotkania z Wadleyem, Angela

skierowała się do pozbawionej okien części laboratorium, gdzie

rezydował doktor Paul Darnell. Jego biurko zawalone było stosem próbek z kulturami bakterii. Mikrobiologia stanowiła jego największą pasję.

- Czy mogę z tobą chwilę porozmawiać? - zapytała, stając w drzwiach. Mężczyzna skinieniem zaprosił ją do środka, odchylając się do tyłu na obrotowym krześle.

- Co z autopsją? Nie widziałam, żeby przygotowywano jakakolwiek sekcję zwłok.

- W tej sprawie musisz się zwrócić bezpośrednio do szefa - odparł Paul. - To nie moja sprawa. Przykro mi.

Angela niechętnie skierowała się do gabinetu Wadleya.

- Co mogę dla ciebie zrobić, kochanie? - zapytał przełożony, rozciągając usta w uśmiechu, który Angela uważała dotąd za ojcowski, a który teraz wydawał jej się lubieżny.

Zżymając się na to, że znowu nazwano ją „kochaniem”, schowała dumę do kieszeni i zapytała o przygotowania do sekcji zwłok.

- Nie będzie żadnej autopsji - powiedział Wadley. - Jeśli istnieją jakiegokolwiek wątpliwości co do przyczyny zgonu, wyślemy ciało do Burlington. Wykonywanie sekcji zwłok jest kosztowne, a kontrakt z CMV nie zawiera żadnej klauzuli na ten temat.

- A jeśli rodzina życzy sobie autopsji? - zapytała Angela, świadoma tego, że w wypadku Marjorie Kleber rzecz niezupełnie wyglądała w ten sposób.

- Jeśli ktoś chce wydać tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt dolarów

gotówką, oczywiście zrobimy sekcję - odparł Wadley. - Ale w innym wypadku nie ma o tym mowy.

Angela skinęła głową i wyszła, kierując się prosto do gabinetu męża.

Zdumiało ją to, jak wielu pacjentów czekało na wizytę przed jego drzwiami. Wszystkie krzesła w poczekalni były zajęte, a w holu stało jeszcze kilkoro ludzi. Pełna wyrzutów sumienia wywołała Davida z pokoju badań. Wilson sprawiał wrażenie śmiertelnie zmęczonego.

- Nie mogę przeprowadzić sekcji zwłok Marjorie Kleber.

- Dlaczego? - zdziwił się.

Angela powtórzyła mu to, co powiedział Wadley. Sfrustrowany potrząsnął głową i zagryzł wargi.

- Moja opinia o tym szpitalu staje się coraz gorsza - stwierdził, po czym opowiedział żonie, w jaki sposób Kelley zareagował na zwołanie konsylium, które miało określić przyczyny nagłego pogorszenia się stanu zdrowia nauczycielki.

- To straszne! - zawołała oburzona Angela. - Jeśli dobrze rozumiem, sugerował on, że konsultacje nie były konieczne, ponieważ pacjentka cierpiała na śmiertelną chorobę. Ależ to szaleństwo!

- Całkowicie się z tobą zgadzam - wzruszył ramionami David. Angela nie wiedziała, co powiedzieć. Uważała, że postawa Kelleya niesie w sobie wielkie niebezpieczeństwo dla pacjentów. Chętnie porozmawialaby o tym z mężem dłużej, ale zdawała sobie sprawę, że David nie ma czasu.

Obejrzała się przez ramię.

- W poczekalni siedzi jeszcze mnóstwo pacjentów. Jak sądzisz,

kiedy skończysz ich przyjmować?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Co myślisz o tym, żebym zabrała Nikki do domu i tam poczekała na twój telefon, gdy skończysz pracę? Mogłabym wtedy po ciebie przyjechać.

- Świetny pomysł - ucieszył się David.

- Odpręż się, kochanie - uśmiechnęła się Angela. - Porozmawiamy o tym wszystkim później.

Wróciła do laboratorium, skończyła zaplanowane na ten dzień badania, załatwiła formalności związane z wypisaniem Nikki ze szpitala i ruszyły do domu. Dziewczynka była uszczęśliwiona. Oboje z Rustym odtańczyli żywiołowy taniec radości.

David zadzwonił przed ósmą. Pozostawiwszy córkę przed telewizorem, Angela pojechała do szpitala. Nie śpieszyła się. Deszcz przybrał na sile do tego stopnia, że wycieraczki nie nadążały ze zgarnianiem wody z przedniej szyby.

- Co za wieczór - westchnął David, wślizgując się do samochodu.

- Co za dzień - zawtórowała mu Angela, zawracając i zjeżdżając ze wzgórza. - Szczególnie jeśli chodzi o ciebie. Jak się czujesz?

- Jakoś to wszystko zniosłem - odparł. - Dobrze, że miałem tak wiele zajęć. To pomaga. Teraz jednak muszę stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością: jak mam zawiadomić Nikki o tym, co się stało?

- Po prostu powiedz jej prawdę.

- Łatwo ci mówić - westchnął David. - A jeśli zapyta mnie, czemu Marjorie umarła? Przecież ja tego nie wiem. I to ani w wymiarze

fizycznym, ani w metafizycznym.

- Musimy się głębiej zastanowić nad tym, co powiedział Kelley -
stwierdziła Angela. - Mam wrażenie, że on zupełnie nie rozumie, czym
jest opieka nad chorym.

- Delikatnie mówiąc - przytaknął David, uśmiechając się
sarkastycznie. - Co gorsza, to on jest tutaj szefem. Biurokraci pokroju
Kelleya mają prawo wtrącać się w postępowanie lekarzy pod pretekstem,
że służba zdrowia wymaga reform. A opinia publiczna nie ma o tym
zielonego pojęcia.

- Miałam dzisiaj kolejne niemiłe przeżycie związane z Wadleyem -
zwierzyła się Angela.

- Co za sukinsyn - zirytował się David. - Co zrobił tym razem?

- Kilka razy nazwał mnie kochaniem. Poza tym ośmielił się położyć
mi rękę na pośladku.

- Boże! Co za obrzydlistwo.

- Naprawdę chciałabym coś z tym zrobić. Muszę wymyślić jakiś
sposób dania mu do zrozumienia, że nie życzę sobie takich zalotów.

- Sądzę, że powinnaś porozmawiać z Cantorem - stwierdził David. -

Zastanawiałem się nad tym. Bądź co bądź Cantor jest lekarzem, a nie
zatrudnionym w służbie zdrowia biurokratą.

- Jego opowiadanie o koleżankach ze studiów medycznych nie
zachęciło mnie do rozmowy z nim.

Dojechali do domu i skręcili na podjazd. Angela starała się stanąć
samochodem możliwie najbliżej wejścia, by jak najszybciej znaleźć się

pod dachem.

- Kiedyż wreszcie ten deszcz przestanie padać? - narzekał David. -

Leje bez przerwy od trzech dni.

David postanowił rozpalić ogień w kominku, by w domu było

przytulniej, Angela natomiast zajęła się podgrzaniem jedzenia. Zszedłszy

do piwnicy, Wilson zauważył, że przez szpary pomiędzy granitowymi

plytami fundamentów sączy się woda. W wilgotnym pomieszczeniu

pojawił się też znany mu już dziwny, stęchły odór. Niosąc potrzebne do

rozpalenia ognia drewno, pocieszał się myślą, że podłogę stanowiło tutaj

klepisko, jeśliby więc piwnica została zalana, woda wsiąknie w ziemię.

Po kolacji David usiadł obok oglądającej telewizję Nikki. Ilekroć

chorowała, zawsze spierali się o to, ile czasu wolno jej siedzieć przed

ekranem. Udając zainteresowanie programem, zastanawiał się, jak

powiedzieć córce o śmierci Marjorie. W końcu, korzystając z przerwy na

reklamy, objął dziewczynkę ramieniem.

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Co takiego? - zapytała Nikki, głaszcząc leżącego obok niej

Rusty'ego.

- Twoja nauczycielka, Marjorie Kleber, umarła dzisiaj - powiedział

cicho David.

Przez chwilę Nikki siedziała w milczeniu, patrząc na psa, jakby nie

usłyszała słów ojca.

- Bardzo mnie to zasmuciło - ciągnął David. - Zwłaszcza, że to

właśnie ja byłem jej lekarzem. Sądzę, że również ciebie śmierć Marjorie

bardzo mocno zabolą.

- Nie, nieszczególnie - odrzekła pośpiesznie dziewczynka, potrząsając głową i gwałtownym ruchem odgarniając opadający jej na oczy kosmyk włosów. Utkwiła wzrok w ekranie telewizora, jakby nagle zainteresowała ją jakaś reklama.

- To całkiem normalne, że w takich chwilach czujemy ból - powiedział David.

Zaczął opowiadać córce o ludziach, których kochał i którzy umarli, aż w końcu niespodziewanie dziewczynka objęła go tak mocno jak nigdy dotąd, przytuliła się do niego i wybuchnęła płaczem.

David gładził ją po plecach, szepcząc słowa pocieszenia. W tej samej chwili w drzwiach salonu stanęła Angela. Widząc tulącego Nikki Davida, podeszła bliżej. Łagodnie odsunęła Rusty'ego, usiadła obok córki i objęła ramieniem zarówno ją, jak i męża. Cała trójka siedziała tak przez chwilę w milczeniu, zasluchana w dzwoniący o szyby deszcz.

Rozdział 13

Środa, 20 października

Pomimo protestów Nikki, David i Angela zdecydowali, że następnego dnia nie pójdzie jeszcze do szkoły. Wciąż przyjmowała bowiem antybiotyki, a ponadto przy obecnej pogodzie była szczególnie narażona na infekcję.

Choć dziewczynka nie miała tego ranka problemów z oddychaniem, przeprowadzili jej poranną terapię ze szczególną starannością. Następnie zarówno David, jak i Angela dokładnie osłuchali klatkę piersiową córki,

uznając jej stan za zadowalający.

Alice Doherty przybyła dokładnie o umówionej godzinie.

Wilsonowie dziękowali Bogu, że znaleźli do opieki nad córką kogoś tak odpowiedzialnego, a jednocześnie dyspozycyjnego.

Kiedy wsiadali do swego błękitnego volvo, David utyskiwał, że przez ostatni tydzień ani razu nie mógł pojechać do pracy na rowerze. Tego dnia nie padało wprawdzie już tak mocno, ale na niebie widniały ciężkie, ołowiane chmury, a nad nasiąkniętą wodą ziemią unosiła się gęsta mgła.

Dojechali na miejsce o wpół do ósmej. Angela udała się prosto do laboratorium, David zaś rozpoczął pracę od odwiedzenia szpitalnych pacjentów. Ku swojemu zaskoczeniu w pokoju Johna Tarlowa zastał jedynie rozrzucone ubrania i puste łóżko. Zdziwiony poszedł do dyżurki, by zapytać o swego pacjenta.

- Pan Tarlow został przeniesiony do pokoju 206 - wyjaśniła Janet Colburn.

- A to czemu?

- Chcą pomalować salę, w której dotąd leżał - odrzekła Janet. - Ktoś z działu technicznego przyszedł i poinformował nas o tym. Polecono nam przenieść chorego do sali 206.

- Szkoda, że nikt wcześniej mnie o tym nie uprzedził - zdenerwował się David.

- To nie nasza wina - odparła obronnym tonem pielęgniarka. - Niech pan porozmawia z działem technicznym.

Poirytowany Wilson poszedł za jej radą. W biurze szefa działu

technicznego zobaczył pochylonego nad stołem mężczyznę w swoim wieku, ubranego w wygniecioną, zieloną roboczą koszulę i spodnie ogrodniczek. Jego twarz pokrywał dwudniowy zarost.

- O co chodzi? - zapytał Van Slyke, podnosząc wzrok z nad księgi, w której rejestrowano wykonane prace. Głos miał obojętny i bezbarwny, pozbawiony wszelkich emocji.

- Jeden z moich pacjentów został przeniesiony do innego pokoju - poskarżył się Wilson. - Chciałbym wiedzieć dlaczego?

- Jeśli mówi pan o sali 216, to ma być ona malowana - odparł beznamiętnie Van Slyke.

- Tak, wiem o tym - skinął głową David. - Pytam o to, dlaczego akurat teraz trzeba malować to pomieszczenie?

- Tak wynika z naszego planu - odrzekł mężczyzna.

- Z czegokolwiek by to wynikało, nie sądzę, by pacjentów cieszyły takie przeprowadzki - warknął lekarz. - Szczególnie ciężko chorych pacjentów, a przecież tylko tacy trafiają do szpitala.

- Proszę porozmawiać z Beaton, jeśli ma pan jakieś zastrzeżenia - powiedział Van Slyke, na powrót pochylając się nad księgą.

Rozgniewany jego postawą David jeszcze przez chwilę stał w drzwiach. Był wściekły, że jego skargę potraktowano z takim lekceważeniem. Potrząsnął głową i ruszył z powrotem do sal pacjentów.

Przez chwilę rozważał jeszcze, czy nie posłuchać rady konserwatora i nie porozmawiać z administratorką szpitala, ale kiedy wszedł do nowego pokoju Johna Tarlowa, natychmiast o tym zapomniał. Jego myśli

zaprzął bowiem znacznie poważniejszy problem: stan chorego

znacznie się pogorszył.

Biegunka i wymioty Johna, nad którymi początkowo dało się jakoś zapanować, powróciły teraz ze zdwojoną siłą. Na domiar złego Tarlow był półprzytomny i nawet w momentach przebłysku świadomości pozostawał apatyczny. Davida zdumiały te symptomy, ponieważ chory od chwili przyjęcia do szpitala leżał pod kroplówką i z całą pewnością nie był odwodniony.

Zbadał go dokładnie, ale nie znalazł nic, co wyjaśniałoby nagle pogorszenie się stanu pacjenta, szczególnie zaś jego otępienie. Jedynym wytłumaczeniem, jakie przychodziło Davidowi do głowy, mogła być nadwrażliwość Tarlowa na środki nasenne. Wilson zaordynował mu je, zaznaczając, że mają zostać podane jedynie wtedy, gdy chory ich zażąda.

Wróciwszy pośpiesznie do dyżurki, David zajrzał do karty chorobowej Johna. Desperacko wertował wyniki badań, które nadeszły w nocy z laboratorium, szukając w nich odpowiedzi na dręczące go pytania i zastanawiając się, co powinien w tej sytuacji uczynić. Mając w pamięci wczorajszą rozmowę z Kelleyem, odsunął od siebie myśl, by skonsultować się z innymi lekarzami, ponieważ żaden z dwóch specjalistów, jakich potrzebował - onkolog i ekspert od chorób zakaźnych - nie należeli do zespołu CMV.

Zamknął oczy i w zamyśleniu potarł skronie. Na nieszczęście brakowało mu kluczowej informacji: wyniku posiewów bakteryjnych, które wykonano poprzedniego dnia, nie wiedział więc nawet, czy ma do

czynienia z bakteriami, a jeśli tak, to do jakiego szczepu należały.

Jedynym pocieszającym faktem było to, że John w ogóle nie gorączkował.

Ponownie skupiwszy uwagę na karcie chorobowej pacjenta, Wilson

stwierdził,

że

Johnowi

podawano

środki

nasenne.

Ponieważ

przypuszczał, że to one mogły spowodować letargiczny stan chorego,

cofnął pozwolenie na ich podawanie. Zlecił ponowne wykonanie posiewu

i jeszcze jedną analizę krwi. Na koniec zażądał, by Tarlowowi co godzinę

mierzone temperaturę i natychmiast zawiadomiono go, gdyby ta zaczęła

się podnosić.

Po zbadaniu ostatniego pobranego podczas biopsji wycinka Angela

opuściła małe laboratorium w bloku operacyjnym i wróciła do swego

pokoju. Ranek upłynął jej pracowicie i przyjemnie, przez cały czas

udawało jej się też unikać Wadleya.

Niestety, wiedziała, że teraz będzie musiała się z nim zobaczyć, i

bardzo obawiała się jego zachowania. Choć zawsze uważała się za

optymistkę, miała niedobre przeczucie, że jej kłopoty z szefem same się

nie rozwiążą.

Wchodząc do gabinetu, natychmiast zauważyła, że drzwi łączące jej

pokój z biurem Wadleya są otwarte na oścież. Tak cicho, jak to tylko było możliwe, podeszła do nich i zaczęła je zamykać.

- Angela! - zawołał Wadley. Na dźwięk jego głosu podskoczyła, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak bardzo napięte były jej nerwy. - Wejdz, proszę. Chcę ci pokazać coś fascynującego.

Angela westchnęła i niechętnie przestąpiła próg. Wadley siedział przy biurku, patrząc w mikroskop - zwykły mikroskop z jednym okularzem, nie zaś ten służący do uczenia innych.

- Chodź tu - powtórzył, machając ręką i wskazując na badaną próbkę. - Zerknij, proszę, na ten wycinek.

Angela zrobiła kilka ostrożnych kroków w jego stronę, kiedy jednak dzieliło ich od siebie zaledwie parę stóp, zawahała się. Jak gdyby wyczuwając jej niechęć, Wadley odepchnął się lekko od biurka i odsunął nieco dalej na swym krześle na kółkach. Angela podeszła do mikroskopu i pochyliwszy się, zbliżyła oko do okularu.

Zanim jednak zdołała cokolwiek zobaczyć, Wadley zerwał się z miejsca i objął ją w pasie, zmuszając, by usiadła mu na kolanach.

- Mam cię! - zawołał rozbawiony.

Angela szarpnęła się, próbując się uwolnić. Ten atak ze strony szefa zupełnie ją zaskoczył. Dotąd sądziła, że Wadley będzie próbował dotykać jej niby to przypadkiem, nie spodziewała się jednak po nim czegoś takiego.

- Puść mnie! - zażądała gniewnie, w dalszym ciągu próbując wyrwać się z jego objęć.

- Nie pozwolę ci wstać, zanim ci czegoś nie powiem - zachichotał mężczyzna.

Angela przestała się szarpać. Mocniej zacisnęła powieki. Czula się tyleż upokorzona, co wściekła.

- Tak już lepiej - powiedział Wadley. - Mam dobre wieści. Czeka nas podróż. Zarezerwowałem już nawet bilety. Jedziemy na kongres patologów, który odbędzie się w listopadzie w Miami.

Angela otworzyła oczy.

- To cudownie - oświadczyła tak sarkastycznie, jak tylko była w stanie. - A teraz puść mnie!

Wadley opuścił ręce i Angela jak oparzona zerwała się z jego kolan.

Kiedy jednak próbowała odsunąć się od szefa, ten zniemacka chwycił ją za nadgarstek.

- Będzie fantastycznie - zapewnił ją. - O tej porze roku w Miami jest idealna pogoda. To najlepszy czas na podróż w tamte strony. Będziemy mieszkać tuż obok plaży. Zamówiłem dla nas pokoje w Fontainbleau.

- Puść mnie - warknęła przez zaciśnięte zęby Angela.

- Hej, co z tobą? - zdziwił się Wadley, pochylając się do przodu i uważnie przyglądając jej twarzy. - Jesteś rozgniewana? Przepraszam, jeśli cię przeraziłem. Po prostu chciałem zrobić ci niespodziankę - dodał, puszczając jej dłoń.

Angela z trudem zapanowała nad sobą. Nie chcąc powiedzieć czegoś przykrego, szybko opuściła gabinet szefa. Oburzona, z hukiem zatrzęsnęła drzwi łączące oba pokoje.

Ukryła twarz w dłoniach i próbowała się uspokoić. Krążąca w jej żyłach adrenalina spowodowała drżenie całego ciała. Uplynęło kilka minut, zanim była w stanie usiąść i normalnie oddychać. Ochłonawszy nieco, wzięła z wieszaka płaszcz i wyszła z gabinetu. Karygodne zachowanie Wadleya odniosło przynajmniej ten skutek, że w końcu popchnęło ją do działania.

Kryjąc się przed padającym deszczem, przemknęła z głównego budynku szpitala do Imaging Center. Pierwszy odcinek drogi przebyła prawie biegiem, dopiero potem nieco zwolniła. Weszła do budynku i skierowała się prosto do biura Cantora.

Ponieważ nie umawiała się wcześniej na spotkanie, musiała czekać ponad pół godziny, nim Delbert Cantor ją przyjął. Przez ten czas uspokoiła się nieco, po raz kolejny zastanawiając się, czy ona sama nie ponosi częściowej winy za zachowanie Wadleya. Być może powinna była przewidzieć, co chce zrobić, i nie wierzyć tak naiwnie jego słowom.

- Proszę wejść - powitał ją uprzejmie Cantor, kiedy w końcu mógł ją przyjąć. Jak przystało na dżentelmena, podniósł się zza biurka i usunąwszy z fotela stertę nie przeczytanych czasopism radiologicznych, poprosił, by usiadła. zaproponował coś orzeźwiającego do picia, a kiedy grzecznie odmówiła, usiadł na swoim krześle i zapytał, co ją do niego sprowadza.

Teraz, kiedy znalazła się twarzą w twarz z szefem personelu medycznego, Angelę opuściła odwaga. Cała jej niechęć do tego człowieka i pogarda dla sposobu, w jaki traktował on kobiety, powróciły ze zdwojoną

siłą. Usta wykrzywił mu kpiący uśmiezek, jak gdyby z góry zakładał, że cokolwiek od niej usłyszy, będzie to z pewnością blahe i nieistotne.

- Nie jest mi łatwo rozmawiać z panem - zaczęła Angela. - Proszę więc być dla mnie wyrozumiałym. Z trudem zdobyłam się na to, by tu przyjść, nie wiem jednak zupełnie, cóż innego mogłabym uczynić.

Cantor skinął głową na znak, by mówiła dalej.

- Znalazłam się tu, ponieważ jestem molestowana seksualnie przez doktora Wadleya.

Cantor gwałtownie wyprostował się na krześle i Angela z ulgą pomyślała, że nareszcie zainteresował się jej sprawą. Zauważyła jednak, że na jego ustach nadal błąka się kpiący uśmiech.

- Jak długo to trwa? - zapytał.

- Prawdopodobnie od chwili, kiedy zaczęłam tutaj pracować - odrzekła Angela, zamierzając opowiedzieć mu o swoich spostrzeżeniach, Cantor jednak przerwał jej gwałtownie.

- Prawdopodobnie? - zapytał, unosząc brwi. - Czy to znaczy, że nie jest pani tego pewna?

- Nie od razu to zauważyłam. W pierwszym okresie sądziłam, że mój przełożony zachowuje się jak entuzjastycznie nastawiony do swej roli nauczyciel, że traktuje mnie nieomal po ojcowsku. - Opisała, jak od początku układały się jej stosunki z Wadleyem i dlaczego w pewnym momencie zachowanie tego mężczyzny zaczęło budzić jej niepokój i niechęć. - Korzystał z każdej okazji, by znaleźć się jak najbliżej mnie i móc z pozoru niewinnie dotykać mojego ciała - wyjaśniła. - Nalegał również,

bym wysłuchiwała jego zwierzeń na tematy osobiste, co uważałam za zachowanie głęboko niewłaściwe.

- Zachowanie, jakie pani opisuje, nie odbiega ani trochę od sposobu, w jaki zachowują się przyjaciele czy nauczyciele - stwierdził Cantor.

- Zgadza się z panem - odrzekła Angela. - Dlatego właśnie na to nie reagowałam. Problem w tym, że mój szef wcale na tym nie poprzestał.

- Chce pani powiedzieć, że posunął się do czegoś więcej?

- Owszem - Angela skinęła głową. - I to przed chwilą. - Zakłopotana opowiedziała o położeniu dłoni na nodze, wspomniała o pogłaskaniu jej po pośladkach i zwracaniu się do niej per „kochanie”.

- Osobiście nie widzę niczego złego w słowie „kochanie” - powiedział Cantor. - Używam go bez przerwy, zwracając się do moich pracowników tutaj, w Imaging Center.

Angela patrzyła na niego w milczeniu, zastanawiając się, jak też te kobiety oceniają jego zachowanie. Najwyraźniej zwróciła się o pomoc do niewłaściwego człowieka. Nie powinna oczekiwać bezstronności i sprawiedliwego osądu od mężczyzny, którego poglądy na temat kobiet były prawdopodobnie jeszcze bardziej archaiczne od opinii Wadleya. Tak czy owak, uważała jednak, że powinna skończyć to, co zaczęła, opowiedziała więc także o ostatnim incydencie: zmuszeniu jej, by usiadła szefowi na kolanach, oraz formie, w jakiej poinformował ją on o wspólnym wyjeździe do Miami.

- Sam nie wiem, co sądzić o tym wszystkim - oświadczył Cantor,

kiedy skończyła. - Czy doktor Wadley kiedykolwiek sugerował, że pani dalsza praca tutaj zależy od tego, jak będzie się pani odnosiła do jego zalotów?

Angela jęknęła w duchu. Molestowanie seksualne ograniczało się najwidoczniej w pojęciu Cantora do ściśle określonych poczynań.

- Nie - odrzekła. - Doktor Wadley nigdy niczego takiego nie sugerował. Dla mnie jednak jego nieoczekiwana poufalość jest wyjątkowo krępująca. Przekracza granice nie tylko stosunków służbowych czy przyjaźni, ale nawet zwykłego szacunku, z jakim człowiek powinien odnosić się do innych. Sprawia, że bardzo trudno jest mi pracować.

- Być może trochę pani przesadza. Wadley zawsze zachowywał się bardzo wylewnie. Sama pani stwierdziła, że entuzjastycznie odnosi się do swojej pracy. - Cantor podniósł wzrok na Angelę, ujrzawszy jednak wyraz jej twarzy, dodał pośpiesznie: - Choć oczywiście to, o czym pani mówi, także jest możliwe.

Angela podniosła się z krzesła i podziękowała za to, że poświęcił jej tyle czasu.

- Nie ma o czym mówić - odparł Cantor, także wstając, by się pożegnać. - Proszę informować mnie, gdyby wydarzyło się coś nowego, młoda damo. Tak czy owak, obiecuję porozmawiać z doktorem Wadleyem, gdy tylko nadarzy się po temu okazja.

Angela skinęła głową i wyszła. Wracając, nie mogła pozbyć się wrażenia, że rozmowa z Cantorem w żaden sposób nie rozwiąże jej problemów, a może nawet je skomplikuje.

Przez całe popołudnie David zaglądał do Tarłowa, żeby sprawdzić, co dzieje się z pacjentem. Niestety, stan jego zdrowia nie poprawiał się, ale też i nie pogarszał, lekarz zadbał bowiem o to, by podana kroplówka uzupełniła w organizmie Johna uszczuplone przez biegunkę i wymioty zapasy wody. Składając choremu ostatnią przed zakończeniem pracy wizytę, Wilson miał nadzieję, że w ciągu dnia ustąpiły przynajmniej objawy otępienia umysłowego. Tak się jednak nie stało. John nadal był półprzytomny. Zapytany przez lekarza, potrafił jedynie podać swoje nazwisko, miał też świadomość tego, że znajduje się w szpitalu, nie wiedział jednak, jaki jest miesiąc ani rok.

W dyżurce David przejrzał otrzymane z laboratorium wyniki testów diagnostycznych, z których większość nie odbiegała od normy. Jedynie analiza krwi wykazała pewien spadek białych krwinek w organizmie chorego, czego przyczyny - pamiętając o białaczce Tarłowa - David w żaden sposób nie potrafił sobie wytłumaczyć. Posiewy bakteryjne przyniosły

wynik

negatywny:

nie

wyhodowano

żadnych

chorobotwórczych mikrobów.

- Proszę zadzwonić do mnie, gdyby panu Tarłowowi podskoczyła

temperatura albo nasiliły się objawy biegunki - polecił pielęgniarce,

opuszczając dyżurkę.

David i Angela spotkali się w szpitalnym holu i razem poszli do samochodu. Pogoda jeszcze się pogorszyła: nie tylko nie ustał deszcz, ale zrobiło się w dodatku znacznie chłodniej.

W drodze do domu Angela opowiedziała Davidowi o zachowaniu Wadleya i reakcji Cantora na jej skargę.

- Rozumiem, że Wadley może postępować w ten sposób - potrząsnął głową David. - To dupek. Ale od Cantora oczekiwałbym jednak czegoś innego. Bądź co bądź jest szefem personelu medycznego. Nawet jeśli takie historie nie robią na nim wrażenia, zna chyba prawo. Poza tym stosunki między pracownikami szpitala nie powinny być mu obojętne. Sądzisz, że nie zauważył, iż ostatnimi czasy przepisy prawne znacznie ukróciły możliwość bezkarnego molestowania seksualnego kobiet? Angela wzruszyła ramionami.

- Nie chcę o tym więcej myśleć. A jak tobie upłynął dzień? Czy nadal nie możesz zapomnieć o śmierci Marjorie?

- Nie miałem czasu rozpamiętywać tej sprawy. John Tarlow bardzo mnie absorbuje. Jego stan jest przerażający.

- A co się z nim dzieje?

- Otóż to właśnie stanowi największy problem. Nie wiem tego i bardzo mnie to niepokoi. Stał się apatyczny, niemal tak samo jak wcześniej Marjorie. Ma też kłopoty z funkcjonowaniem przewodu pokarmowego, w związku z czym trafił do szpitala. A teraz jego stan jeszcze się pogorszył. Nie mam pojęcia, co się dzieje, ale szóstym zmysłem

wyczuwam, że należy bić na alarm. Niestety, zupełnie nie wiem, co robić.

Jak dotąd próbowałem jedynie leczyć go objawowo.

- Podobne zdarzenia utwierdzają mnie w przekonaniu, że słusznie postąpiłam, wybierając patologię - stwierdziła Angela.

David opowiedział także o swojej wizycie u Wenera Van Slyke'a.

- Ten człowiek był dla mnie wyjątkowo nieuprzejmy - poskarżył się.

- Ledwie raczył odpowiedzieć na moje pytanie. Jest to dobitny przykład tego, jak wygląda pozycja lekarza w nowym systemie służby zdrowia.

Doktorzy nie różnią się już niczym od pozostałych pracowników: po prostu wykonują w szpitalu inne zajęcia.

- W tej sytuacji trudno wymagać szacunku ze strony pacjentów, skoro nie okazują go nam nawet służby pomocnicze - zgodziła się z mężem Angela.

Nikki ucieszyła się, widząc rodziców z powrotem w domu. Przez cały niemal dzień nudziła się, dopóki Arni nie wstąpił do niej po szkole, żeby opowiedzieć o nowym nauczycielu.

- To mężczyzna - z przejęciem opowiadał Davidowi chłopiec. - Jest bardzo surowy.

- Mam nadzieję, że to dobry pedagog - powiedział David.

Ponownie poczuł smutek z powodu śmierci Marjorie. Angela zajęła się przygotowaniem obiadu, a David odwiózł Arniego do domu. Gdy wrócił, Nikki czekała na niego w drzwiach.

- W bawialni jest okropnie zimno - poskarżyła się.

David wszedł do pokoju i dotknął kaloryfera. Był tak gorący, że aż

parzył. Dokładnie sprawdził prowadzące na taras drzwi, upewniając się, że są dobrze zamknięte.

- Gdzie tu twoim zdaniem jest zimno? - zapytał Nikki.

- Czuje się chłód, siedząc na kanapie - upierała się dziewczynka. -

Możesz sam to sprawdzić.

David usiadł obok córki i natychmiast poczuł na karku chłodny powiew.

- Masz rację - przyznał, oglądając okna znajdujące się za oparciem kanapy. W tej sytuacji będę musiał postawić diagnozę - zażartował. -

Trzeba zamontować zimowe okna.

- Co to są zimowe okna? - zapytała Nikki.

David zaczął tłumaczyć córce, na czym polega utrata ciepła, jak przebiega cyrkulacja powietrza wewnątrz domu i jak to się dzieje, że powietrze między dwiema taflami szyb spełnia rolę izolatora.

- Wprowadzisz jej zupełny zamęt w głowie - zawołała z kuchni

Angela, słysząc ich rozmowę. - Przecież ona pytała cię tylko o to, co to są zimowe okna. Czemu jej tego po prostu nie pokażesz?

- Dobry pomysł - przyznał David. - Przy okazji przyniesiemy drewno, żeby rozpalić na kominku.

- Nie lubię tu schodzić - oświadczyła dziewczynka, kiedy znaleźli się na schodach wiodących do piwnicy.

- Dlaczego? - zdziwił się David.

- Bo tu jest okropnie - skrzywiła się Nikki.

- Och, proszę, nie bądź taka jak twoja matka - zakpił z niej David. -

Jedna histeryczka w rodzinie całkowicie wystarczy.

Pokazał córce oparte o ścianę okna. Wziął nawet jedno z nich do ręki, by mogła się mu lepiej przyjrzeć. - Wygląda jak zwykłe okno - zdziwiła się dziewczynka.

- Ale się nie otwiera. Kiedy umieścisz je w futrynie, pomiędzy szybami uwięzione zostaje chroniące przed zimnem powietrze, które spełnia rolę izolatora.

Kiedy dziewczynka przyglądała się oknom, David zauważył coś, co dotąd uchodziło jego uwagi.

- Na co patrzysz, tatusiu? - zapytała Nikki, widząc wpatrującego się w jeden punkt ojca.

- Na coś, czego wcześniej nie zauważyłem.

Sięgnął ponad oknami i dotknął ściany, o którą były one oparte.

- To jest zrobione z gipsu - powiedział zdumiony.

- Co to takiego gips? - zapytała Nikki.

Zajęty swoim odkryciem, David nie odpowiedział na pytanie córki.

- Przenieśmy te okna gdzie indziej - zaproponował, odstawiając od razu to, które trzymał w ręku, i sięgając po następne. Nikki poszła w jego ślady.

- Ta ściana różni się od reszty murów piwnicy - stwierdził, kiedy odsunęli ostatnie okno. - Wydaje się też, że postawiono ją całkiem niedawno. Zastanawiam się po co.

- O czym ty mówisz? - dziwiła się Nikki.

David pokazał jej, że inne mury wzniesiono z granitu, od którego

gipsowe przepierzenie znacznie się różniło. Jego zdaniem, za pomocą dodatkowej ścianki odgrodzono niewielki prostokąt przestrzeni pod schodami.

- Co więc jest za nią? - zapytała dziewczynka. David wzruszył ramionami.

- Sam jestem ciekaw - powiedział. - Czemu zresztą nie mielibyśmy się o tym przekonać? Może odnajdziemy skarb?

- Naprawdę? - szepnęła podekscytowana Nikki.

David odszukał siekiere leżącą obok piły do cięcia drewna na opał i podszedł do gipsowego przepierzenia.

W chwili kiedy brał zamach, u szczytu schodów do piwnicy stanęła Angela, pytając niecierpliwie, co u diabła robią tak długo na dole. David opuścił rękę i położył palec na ustach, dając córce znak, by się nie odzywała, po czym odrzekł, że uporanie się z drewnem na opał zabierze im jeszcze chwilę.

- Pójdę na piętro i wezmę prysznic - poinformowała ich Angela. - Potem zjemy obiad.

- W porządku - odpowiedział David. - Mama nie byłaby chyba zachwycona - dodał szeptem, zwracając się do Nikki - gdyby wiedziała, jak rujnujemy dom.

Dziewczynka zachichotała.

David zaczął chwilę, by upewnić się, że żona poszła na górę, i ponownie sięgnął po siekiere. Poleciwszy córce, by zamknęła oczy, z całej siły uderzył w gipsowe przepierzenie. Siekiera zrobiła w ścianie niewielką

dziurę.

- Pobiegnij na górę i przynieś latarkę - poprosił Nikki, gdyż całą piwnicę wypełnił dziwny, zgniły odór.

Gdy dziewczynka zniknęła na schodach, David powiększył dziurę, odłupując kolejny spory kawałek gipsu. Kiedy córka wróciła z latarką, zapalił ją i zajrzał w głąb wybitego otworu.

To, co ujrzał, sprawiło, że serce podskoczyło mu do gardła. Cofnął głowę tak gwałtownie, że ostra krawędź gipsowej ścianki zdarła mu skórę na karku.

- Co tam zobaczyłeś? - spytała Nikki, przejęta wyrazem twarzy ojca.

- To nie skarb - powiedział drżącym głosem David. - Będzie chyba lepiej, jeśli pójdziesz po mamę.

Nikki posłusznie ruszyła ku schodom, David zaś gwałtownymi ciosami siekiery zaczął powiększać otwór w ścianie. Zanim żona, z owiniętą ręcznikiem głową, zeszła do piwnicy, całe przepierzenie już zniknęło.

- Co tu się dzieje? - zdziwiła się Angela. - Nikki jest tak przerażona, że aż się trzęsie.

- Sama zobacz - odrzekł David, podając jej latarkę.

- Mam nadzieję, że to nie jest jakiś głupi kawał - powiedziała nieufnie kobieta.

- Nie, to nie kawał - zapewnił ją mąż.

- O mój Boże! - krzyknęła w chwilę później, a jej głos odbił się echem od granitowych ścian piwnicy.

- Co tam jest? - zapytała znowu Nikki. - Ja też chcę to zobaczyć.

Angela odwróciła głowę i popatrzyła na Davida.

- To zwłoki - powiedziała. - Niewątpliwie leżą tu już jakiś czas.

- Trup? - zapytała dziewczynka z niedowierzaniem. - Mogę go zobaczyć?

- Nie! - krzyknęli równocześnie David i Angela.

Nikki próbowała protestować, ale robiła to bez przekonania.

- Chodźmy na górę i napalmy w kominku - powiedział David, popychając córkę w stronę sterty drew na opał i podając jej kilka polan.

Sam także wziął naręczne drewna.

Podczas gdy Angela dzwoniła na policję, David i Nikki rozpalili ogień. Dziewczynka przez cały czas zasypywała ojca pytaniami.

Pół godziny później radiowóz zatrzymał się na podjeździe domu Wilsonów.

Wysiedli z niego dwaj policjanci.

- Nazywam się Wayne Robertson - przedstawił się niższy z nich, ubrany po cywilnemu w pikowaną, bawełnianą marynarkę i kraciastą flanelową koszulę. Na głowie miał baseballową czapkę drużyny Boston Red Sox. - Jestem szefem tutejszej policji. A to jeden z moich ludzi, Sherwin Morris.

Sherwin zasalutował, dotykając palcami runda kapelusza. Był szczupły i wysoki. W przeciwieństwie do przełożonego miał na sobie mundur. W ręku trzymał potężną latarkę - z rodzaju tych, do których wchodzi co najmniej cztery baterie.

- Inspektor Morris przyjechał po mnie, kiedy tylko otrzymał

państwa wezwanie - wyjaśnił Robertson. - Nie mam wprawdzie dzisiaj

służby, ale ta sprawa wydaje mi się bardzo poważna.

- Jesteśmy bardzo wdzięczni, że zechciał pan przybyć - skinęła

głową Angela.

Oboje z Davidem wskazali policjantom drogę do piwnicy, polecając

Nikki, by tym razem została na górze. Robertson wziął od Morrisa latarkę

i skierował snop światła w miejsce, które jeszcze niedawno przesłaniała

gipsowa ściana.

- O cholera! - zawołał. - Toż to nasz doktorek. Odwrócił się i

popatrzył na Wilsonów.

- Przykro mi, że spotkało to właśnie państwa - powiedział. -

Rozpoznaję tego człowieka, pomimo że wygląda znacznie gorzej niż za

życia. To doktor Dennis Hodges. Prawdę mówiąc, ten dom należał kiedyś

do niego, o czym zapewne wiecie.

Angela popatrzyła na Davida, czując, że przechodzi ją zimny

dreszcz. Na jej karku pojawiła się gęsia skóra.

- Musimy usunąć resztki tej ściany i zabrać stąd ciało - ciągnął

Robertson. - Czy nie macie państwo nic przeciwko temu?

David pośpiesznie wyraził zgodę.

- Ale najpierw musicie chyba wezwać specjalistę od medycyny

sądowej? - zapytała Angela. Pomimo iż zależało jej na tym, by jak

najszybciej zabrano z jej domu rozkładające się zwłoki, wiedziała, że w

przypadku budzącej jakiegokolwiek podejrzania śmierci policja ma

obowiązek wezwać lekarza sądowego. A śmierć człowieka, którego ciało spoczywało w ich piwnicy, z pewnością była zagadkowa.

Robertson popatrzył na nią, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie lubił, gdy ktoś pouczał go, jak ma postępować, a szczególnie dotyczyło to kobiet.

Angela miała jednak rację, a skoro już przypomniano mu o tym obowiązku, nie mógł go zlekceważyć.

- Gdzie jest telefon? - zapytał.

- W kuchni - odrzekł David.

Nakazano Nikki, by przerwała prowadzoną rozmowę telefoniczną, na przemian bowiem konferowała to z Arnim, to z Caroline, opowiadając im o znalezionych w piwnicy jej domu zwłokach.

Zażądawszy telefonicznie przybycia specjalisty od medycyny sądowej, Robertson i Morris przystąpili do rozbierania resztek gipsowej ściany.

Za pomocą kilku przedłużaczy David zainstalował na dole lampę, by ułatwić im pracę. Dodatkowe światło pozwoliło policjantom także lepiej przyjrzeć się ciału. Było ono tak dobrze zachowane, że bez trudu można było dostrzec liczne widniejące u dołu twarzy obrażenia. Wśród krwawej miazgi bielaly potraskane kości szczęki oraz resztki wybitych zębów. O dziwo, górna część twarzy wydawała się zupełnie nietknięta. Otwarte oczy trupa stanowiły przerażający widok, podobnie jak znajdujące się pośrodku czoła spore wgłębienie, pokryte zieloną pleśnią.

- Ta sterta opakowań w rogu to chyba puste worki po gipsie -

stwierdził Robertson, kierując tam snop światła. - O, mamy też i kielnię.

Do diaska, miał wszystkie przybory przy sobie. Może to było samobójstwo.

David i Angela wymienili spojrzenia, myśląc o tym samym: albo

Robertson był najgorszym detektywem na świecie, albo też gustował w czarnym humorze.

- Ciekaw jestem, co to za papiery - powiedział policjant, wskazując na rozrzucone po podłodze prowizorycznego grobowca kartki.

- Wygląda jak papier maszynowy - stwierdził David.

- Trzeba się przyjrzeć i temu - Robertson skierował snop światła na narzędzie ukryte częściowo pod ciałem Hodgesa. - Wygląda na płaski łom.

- Co to takiego? - zdziwił się David.

- Dług, którym łatwo coś podważyć - wyjaśnił policjant. -

Powszechnie używane narzędzie, przydatne szczególnie przy rozbiórkach budynków.

Stojąca u szczytu schodów Nikki zawołała, że przyjechał lekarz sądowy. Angela wyszła mu naprzeciw.

Doktor Tracy Cornish był szczupłym mężczyzną średniego wzrostu, noszącym okulary w drucianej oprawie. Pod pachą trzymał wielki, staromodny, czarny skórzany kuferek lekarski. Angela przedstawiła mu się i wyjaśniła, że pracuje jako patolog w Bartlet Community Hospital.

Zapytała też przy okazji doktora Cornisha, czy jest on specjalistą z zakresu medycyny sądowej, i dowiedziała się, że nie: lekarz traktował oględziny zwłok jedynie jako dodatek do swojej praktyki.

- Ale od lat już nie mieliśmy tu przypadku śmierci w nie

wyjaśnionych okolicznościach - dodał.

**- Pytam tylko dlatego, że sama interesuję się medycyną sądową -
powiedziała Angela, nie chcąc wprawiać go w zakłopotanie. Zaprowadziła
Cornisha do piwnicy, gdzie przez kilka minut przyglądał się uważnie
zwłokom.**

**- To interesujące - odezwał się w końcu. - Ciało zachowało się w
wyjątkowo dobrym stanie. Jak dawno zaginał ten człowiek?**

- Jakieś osiem miesięcy temu - odparł Robertson.

**- Oto, co znaczy chłodne, suche miejsce - pokiwał głową doktor
Cornish. - Ten kąć przypomina piwnicę do przechowywania warzyw: jest
tu sucho nawet wtedy, kiedy na zewnątrz bezustannie pada deszcz.**

- Skąd wzięły się te obrażenia u dołu twarzy? - zapytał David.

**- Prawdopodobnie to szczury - rzekł lekarz, pochylając się i
otwierając swój kuferek.**

**Przez ciało Davida przebiegł dreszcz. Na myśl o szczurach
zjadających ludzkie zwłoki zaschło mu w gardle. Zerknąwszy na Angelę,
ze zdumieniem spostrzegł, że przyjęła ona tę informację zupełnie
naturalnie i w skupieniu przyglądała się czynnościom Cornisha.**

**Pierwszą rzeczą, jaką uczynił lekarz, było zrobienie licznych zdjęć
ciała i jego otoczenia. Następnie, założywszy chirurgiczne rękawiczki,
zaczął zbierać rozrzucone wokół zwłok przedmioty, pakując je do
specjalnych plastikowych torebek. Kiedy sięgnął po kartki papieru,
wszyscy stłoczyli się wokół niego, chcąc się im przyjrzeć. Doktor Cornish
upewnił się, że nikt ich nie dotykał.**

- To fragmenty raportów medycznych z Bartlet Community Hospital

- powiedział David.

- Założę się, że te brunatne plamy na papierze to krew - stwierdził doktor Cornish, pakując kartki do torebek, które następnie starannie zaklejał i oznaczał kolejnymi numerami.

Kiedy wszystkie przedmioty leżące wokół ciała Hodgesa zostały zebrane, lekarz na powrót skupił uwagę na denacie. Zaczął od przeszukania jego kieszeni, gdzie natychmiast znalazł portfel, w którym było sporo pieniędzy. W osobnej przegródce tkwiły też karty kredytowe.

- A więc nie był to napad rabunkowy - podsumował Robertson.

Lekarz zdjął z nadgarstka trupa zegarek, który wciąż chodził, wskazując poprawny czas.

- Fabryka, w której powstało to cacko, powinna wykorzystać to w celach reklamowych - zażartował Robertson.

Morris wybuchnął śmiechem, dopiero po chwili uświadamiając sobie, że wszyscy inni zachowali powagę.

Doktor Cornish wyciągnął plastikowy worek na zwłoki i poprosił Morrisa, by pomógł mu umieścić w nim ciało Hodgesa.

- A co pan sądzi o owinięciu czymś dłoni? - zapytała Angela. Doktor Cornish zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

- Dobry pomysł - powiedział, wyciągając papierowe torebki i zakładając je na ręce zmarłego.

Obaj z Morrisem umieścili ciało w plastikowym worku, starannie zasuważąc zamek błyskawiczny.

Piętnaście minut później policyjny radiowóz oraz furgonetka

lekarza sądowego opuściły podjazd domu Wilsonów i zniknęły w ciemnościach.

- Jesteście głodni? - zapytała Angela.

Zarówno Nikki, jak i David jęknęli z niechęcią.

- Ja także straciłam apetyt. Co za wieczór!

Wrócili do bawialni, gdzie David dołożył drewno do płonącego na kominku ognia. Nikki włączyła telewizor, Angela zaś pochyliła się nad książką.

Okolo ósmej wszyscy poczuli, że jednak coś muszą zjeść. Angela odgrzała obiad i poprosiła męża oraz córkę do stołu.

- Niejednej rodzinie zdarzyło się znaleźć w szafie jakiś szkielet - oświadczył David, kiedy skończyli posiłek. - My jesteśmy wyjątkowi, ponieważ nasz trup ukrył się w piwnicy.

- Wcale nie wydaje mi się to zabawne - skrzywiła się Angela.

Nikki powiedziała, że nic z tego nie rozumie i matka musiała wytłumaczyć jej, co David miał na myśli. Zrozumiawszy, o co chodzi, dziewczynka także uznała, że w stwierdzeniu ojca nie było nic zabawnego.

Choć David starał się to ukryć, był mocno poruszony makabrycznym odkryciem w piwnicy. Szczególnie niepokoił się o to, jak owo znalezisko wpłynie na psychikę Nikki. Właśnie dlatego próbował rozładować napięcie odrobiną humoru, ale nawet on musiał przyznać, że jego żart nie był zbyt udany.

Nikki zrobiła swoje ćwiczenia oddechowe i cała trójka udała się do

łóżek, uznając, że sen będzie najlepszym lekarstwem na ich nadwężone nerwy. Nikki i David byli senni, Angeli jednak nie chciało się spać. Leżała rozbudzona, po raz pierwszy uświadamiając sobie, ile dziwnych odgłosów można usłyszeć nocą w ich starym domu. Nigdy dotąd nie zwracała uwagi na hałasy, które szczególnie w tak wietrzną i deszczową noc jak ta wypełniały cały dom. Na samym dole, w piwnicy, pykał stygnący olejowy piec, a ze szpar we framugach okien ich sypialni dobywał się cichy gwizd wiatru.

Nagle zerwała się z łóżka, słysząc głośny stukot.

- Co to takiego? - szepnęła nerwowo, potrząsając ramieniem męża.

- O co ci chodzi? - zdziwił się na wpół rozbudzony David. Angela powiedziała mu o tym, co usłyszała. Po chwili stukanie rozległo się ponownie.

- Słyszysz? - zawołała. - Ktoś puka.

- To tylko okiennica uderza o ścianę domu - wyjaśnił David. - Na litość boską, uspokój się!

Angela z powrotem opadła na poduszki, jednak jej oczy pozostały szeroko otwarte. Była teraz jeszcze mniej senna, niż gdy kładła się do łóżka.

- Wcale nie podoba mi się to, co się tutaj dzieje - powiedziała. David jęknął głośnie.

- Doprawdy nie przypuszczałam, że w ciągu zaledwie kilku dni tyle rzeczy może się zmienić - dodała. - A miałam przeczucie, że wydarzy się coś niedobrego.

- Mówisz o odnalezieniu ciała Hodgesa?

- O wszystkim. O pogodzie, molestowaniu mnie przez Wadleya, śmierci Marjorie, obruganiu cię przez Kelleya i na koniec jeszcze o odkryciu trupa zamurowanego w naszej piwnicy.

- To tylko zbieg okoliczności, że wszystkie te wydarzenia nastąpiły jednocześnie - stwierdził David.

- Mówię poważnie... - zaczęła Angela, gdy z pokoju Nikki dobiegł głośny krzyk.

W okamgnieniu oboje wyskoczyli z łóżka i pobiegli do sypialni córki. Dziewczynka siedziała na łóżku, rozglądając się półprzytomnie dookoła. Skonfundowany Rusty kręcił się obok niej.

Okazało się, że Nikki przyśnił się krążący po piwnicy upiór. David i Angela usiedli po obu stronach łóżka, starając się ją uspokoić. Sami nie wiedzieli, co mają powiedzieć córce. Nocny koszmar miał, niestety, swe źródło w rzeczywistych wydarzeniach.

Wilsonowie robili wszystko, co w ich mocy, by pocieszyć Nikki, w końcu zaproponowali nawet, by spała razem z nimi. Dziewczynka chętnie przystała na to i cała trójka udała się do małżeńskiej sypialni. Niestety, Davidowi przyszło spać na samej krawędzi łóżka, ponieważ zaproszenie Nikki oznaczało także zaproszenie Rusty'ego.

Rozdział 14

Czwartek, 21 października

Następnego ranka pogoda niewiele się poprawiła. Przestał co prawda padać deszcz, ale w powietrzu wisiała gęsta mgła. Nadal było też

zimno i wilgotno. Przez ciężkie, czarne chmury nie przeświecał ani jeden promyk słońca, co sprawiało, że dzień wydawał się jeszcze bardziej ponury od poprzedniego.

W czasie gdy Nikki zajmowała się osuszaniem swoich dróg oddechowych, zadzwonił telefon. David podniósł słuchawkę. Zważywszy na wczesną porę, obawiał się, że coś złego stało się z Johnym Tarlowem, ale na szczęście nie był to telefon ze szpitala. Dzwoniono z biura prokuratora okręgowego z prośbą o pozwolenie na oględziny miejsca przestępstwa.

- Kiedy ktoś z waszych ludzi miałby się pojawić? - zapytał David.

- Czy byłoby panu bardzo nie na rękę, gdybyśmy przysłali naszego człowieka już teraz? Mam kogoś, kto mieszka niedaleko pańskiego domu.

- Wyjeżdżamy do pracy dopiero za godzinę - zgodził się David.

- Na pewno zdążymy do tego czasu. Dziękuję.

Zgodnie z obietnicą pracownik biura prokuratora pojawił się po piętnastu minutach. Była to sympatycznie wyglądająca kobieta o gęstych rudych włosach, ubrana w tradycyjny granatowy kostium.

- Przepraszam, że robię państwu kłopot tak wcześnie rano - powiedziała. - Nazywam się Elaine Sullivan.

- Nie ma problemu - powiedział David, otwierając drzwi.

Poprowadził gościa ku wiodącym do piwnicy schodom, zabierając po drodze lampę. Kobieta wyjęła z torby aparat fotograficzny i zrobiła kilka zdjęć. Następnie pochyliła się i poskrobała paznokciem ziemię w pobliżu „grobowca”. Angela także zeszła do piwnicy i zerkając przez ramię

David, przyglądała się pracy gościa.

- Jak rozumiem, zeszłej nocy była tu miejska policja? - powiedziała

Elaine.

- Policja i lekarz sądowy - odparł David.

- Sądzę, że będę musiała wezwać tutaj specjalistów z wydziału

zabójstw policji stanowej - oświadczyła kobieta. - Mam nadzieję, że nie będzie to dla państwa zbyt duży kłopot.

- Bardzo dobry pomysł - skinęła głową Angela. - Mam wrażenie, że miejska policja nie jest zbyt dobrze przygotowana do prowadzenia śledztwa w sprawie morderstwa.

Elaine uśmiechnęła się, zachowując dyplomatyczne milczenie.

- Czy musimy być w domu, kiedy pojawi się ekipa śledcza? - spytał David.

- To zależy od państwa - odparła Elaine. - Detektywi mogą chcieć zadać państwu kilka pytań, ale specjaliści od badania śladów pozostawionych na miejscu zbrodni mogą wykonać swoje zadanie także pod państwa nieobecność.

- Czy zjawią się tu jeszcze dzisiaj? - spytała Angela.

- O tak. Przyjadą tak szybko, jak to tylko możliwe - wyjaśniła Elaine.

- Poproszę wobec tego Alice, żeby do nas przyszła - oświadczyła Angela.

David skinął głową.

Krótko po tym, jak Elaine Sullivan pożegnała się z nimi i odjechała,

Wilsonowie także opuścili dom. Nikki miała tego dnia po raz pierwszy od

powrotu ze szpitala iść do szkoły. Była tym ogromnie podniecona i aż dwa razy przebierała się przed wyjściem.

W samochodzie nie mówiła o niczym innym, jak tylko o znalezionych w piwnicy zwłokach. Żegnając się z nią, Angela prosiła, by powstrzymała się od opowiadania kolegom i koleżankom o tym wypadku, wiedziała jednak, że córka nie posłucha jej rady: powiedziała już przecież o wszystkim Caroline i Arniemu, którzy bez wątpienia będą chcieli poznać ciąg dalszy tej historii.

- Ciekaw jestem, jak czuje się mój pacjent - powiedział David, kiedy ruszyli w stronę szpitala. - Pomimo że nie dzwoniło do mnie, ciągle się o niego martwię.

- A ja boję się spotkania z Wadleyem. Nie wiem, czy Cantor rozmawiał z nim, czy nie, ale niezależnie od tego nie będzie mi przyjemnie stanąć z tym człowiekiem twarzą w twarz.

David pocałował żonę na pożegnanie i udał się prosto do sali, gdzie leżał Tarlow. Wszedł do jego pokoju i natychmiast zauważył, że pacjent oddycha z wysiłkiem. Nie był to dobry znak. Wyjął stetoskop i potrząsnął ramieniem chorego. Chciał poprosić go, żeby usiadł, ale John nie zareagował.

David ogarnęła panika. Czuł, że sprawdzają się jego najgorsze przeczucia. Pośpiesznie zbadał pacjenta, natychmiast odkrywając, że Tarlow ma rozległe, ostre zapalenie płuc.

Opuścił pokój chorego i poszedł do dyżurki, polecając, by jego podopiecznego natychmiast przeniesiono na oddział intensywnej terapii.

Trafił na moment, kiedy pielęgniarki schodziły właśnie z dyżuru po nocnej zmianie i kończyły pisać swój codzienny protokół.

- Czy to może chwilę poczekać? - zapytała Janet Colburn.

- Do diabła, nie! - warknął David. - Chcę, by przeniesiono go tam natychmiast. Ciekaw jestem, czemu nikt nie zadzwonił do mnie z informacją, że pan Tarlow ma rozległe, obustronne zapalenie płuc.

- Spał spokojnie, kiedy ostatni raz mierzyliśmy mu temperaturę - odparła obronnym tonem pielęgniarka. - Żądał pan, byśmy go zawiadomiły, jeśli pacjent dostanie gorączki lub jego biegunka przybierze na sile, a żadna z tych dwóch rzeczy nie wystąpiła.

David sięgnął po kartę choroby Tarlowa i popatrzył na wykres temperatury. Była lekko podwyższona, ale nie aż tak, jak się tego spodziewał po osłuchaniu chorego.

- Przenieśmy go na intensywną terapię - powtórzył. - Poza tym proszę o przeprowadzenie dodatkowej analizy krwi i prześwietlenia płuc.

Podczas gdy Johna Tarlowa przenoszono na inny oddział, David zadzwonił do onkologa, doktora Clarka Mieslicha, oraz specjalizującego się w chorobach zakaźnych doktora Martina Hasselbauma, prosząc ich o natychmiastowe przybycie.

Laboratorium, wiedząc, że ma do czynienia z pacjentem z oddziału intensywnej terapii, bardzo szybko uwinęło się z analizami i wkrótce David miał już w ręku wyniki badań Johna. Liczba białych krwinek, już poprzednio bardzo niska, teraz jeszcze się obniżyła, co dowodziło rozległego zapalenia płuc. Taki brak reakcji obronnej organizmu zdarzał

się wprawdzie u pacjentów po intensywnej chemioterapii, David wiedział jednak, że Tarlow nie poddawał się jej od wielu miesięcy. Najgorszy ze wszystkiego był wynik prześwietlenia płuc: potwierdzał istnienie ostrej obustronnej pneumonii.

Obaj wezwani przez Wilsona specjaliści pojawili się błyskawicznie.

Zbadali pacjenta, a także dokładnie przestudiowali jego kartę chorobową.

Doktor Mieslich potwierdził, że pacjent od dłuższego już czasu nie przyjmował żadnych leków onkologicznych.

- Co zatem, zdaniem panów, tak drastycznie obniżyło liczbę białych krwinek? - zapytał David.

- Nie umiem powiedzieć - przyznał doktor Mieslich. -

Przypuszczam, że ma to związek z białaczką. Jednak aby to sprawdzić, musielibyśmy mieć próbkę jego szpiku kostnego, a w obecnym stanie nie polecałbym robienia biopsji - chory jest na to zbyt słaby. Poza tym nasza dyskusja jest chyba czysto akademicka. Obawiam się, że nasz pacjent umiera.

Była to ostatnia rzecz, jaką David miał ochotę usłyszeć, choć oczywiście mógł spodziewać się takiej właśnie diagnozy. Trudno mu było uwierzyć, że w ciągu swej krótkiej kariery w Bartlet Community Hospital traci już drugiego pacjenta.

Doktor Hasselbaum potwierdził pesymistyczne przypuszczenia onkologa. Jego zdaniem, zapalenie płuc Johna spowodowane zostało przez wyjątkowo niebezpieczny typ bakterii, które wywołały wstrząs w organizmie. Przypomniał, że pacjent miał bardzo niskie ciśnienie krwi i

cierpiał na niewydolność nerek.

- Nie wygląda to dobrze. Pan Tarlow ma bardzo słaby system obronny organizmu, co niewątpliwie wiąże się z jego białaczką. Jeśli mamy go uratować, musi to być bardzo intensywne terapia. Skłaniałbym się w tym wypadku ku niedawno wynalezionym preparatom pomagającym zwalczać ten właśnie rodzaj wewnętrznego wstrząsu. Co panowie o tym myślą?

- Podajmy mu je - odrzekł David.

- Te leki są bardzo kosztowne - zauważył doktor Hasselbaum.

- Tu idzie o ludzkie życie - oburzył się Wilson.

Godzinę i kwadrans później, kiedy Johnowi zaaplikowano już wszystkie konieczne leki i nie było potrzeby dłużej siedzieć przy jego łóżku, David udał się do swojego gabinetu. Podobnie jak poprzedniego dnia wszystkie krzesła w poczekalni były zajęte, a kilku pacjentów stało nawet w holu. Wszyscy, łącznie z rejestratorką, byli podenerwowani.

Westchnąwszy głęboko, David zaczął przyjmować chorych.

Pomiędzy wizytami kolejnych pacjentów telefonował na oddział intensywnej terapii, by zapytać o stan Tarlowa. Za każdym razem informowano go, że nie zauważono żadnych zmian.

Poza umówionymi spotkaniami musiał tego dnia przyjąć także wiele „nagłych wypadków”, co powiększało ogólne zamieszanie. David wolałby odesłać tych nadprogramowych pacjentów do izby przyjęć, nie chciał jednak ponownie narażać się na uwagi Kelleya. Dwoje spośród tych chorych zdawało się być już starymi przyjaciółmi Davida: Mary Ann

Schiller i Jonathan Eakins.

**Choć śmierć Marjorie i ciężki stan Tarlowa budziły w nim zło
skojarzenia, David musiał hospitalizować zarówno Mary Ann, jak i
Jonathana. Nie mógł niestety leczyć ich ambulatoryjnie. Mary Ann miała
nadzwyczaj ostre zapalenie zatok, u Jonathana zaś wystąpiła niepokojąca
arytmia serca. David wypisał im skierowania i odesłał do budynku
szpitalnego.**

Dwie

inne

nie

zapowiedziane

wcześniej

pacjentki

były

pielęgniarkami z pierwszego piętra. David spotkał je kilka razy, kiedy

wzywano go do nagłych przypadków. Obie skarżyły się na samo:

przypominające

grypę

symptomy,

którym

towarzyszyło

ogólne

osłabienie, niższa niż normalnie temperatura ciała, niski poziom białych

krwinek oraz dolegliwości przewodu pokarmowego objawiające się

silnymi bólami żołądka, nudnościami, wymiotami i biegunką. Po zbadaniu pielęgniarek David kazał im pojechać do domu i odpocząć, zastosował także leczenie objawowe.

W wolnej chwili zapytał Susan, czy w szpitalu nie panuje czasem grypa.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparła.

Angeli dzień upłynął lepiej, niż oczekiwała. Nie miała żadnych przykrych incydentów z Wadleyem - ściśle mówiąc, w ogóle go nie widziała.

Przed południem zadzwoniła do okręgowego lekarza sądowego, doktora Waltera Dunsmore'a, którego znalazła w informatorze Burlington. Wyjaśniła, że jest patologiem pracującym w Bartlet Community Hospital, oraz powiedziała, dlaczego tak bardzo interesuje ją sprawa Hodgesa. Dodała też, że kiedyś rozważała, czy nie specjalizować się właśnie w medycynie sądowej.

Doktor Dunsmore uprzejmie zaprosił ją, by przyjechała któregoś dnia do Burlington i popatrzyła, jak pracuje jego zespół.

- Właściwie czemu nie miałyby pani wziąć udziału w sekcji zwłok Hodgesa? - powiedział w pewnej chwili. - Chętnie widziałbym panią przy tej autopsji, choć muszę ostrzec, że podobnie jak wielu patologów specjalizujących się w medycynie sądowej, jestem raczej złym nauczycielem.

- Na kiedy zaplanował pan sekcję? - zapytała Angela, myśląc, że gdyby wypadła w sobotę, z pewnością znalazłaby czas na wybranie się do

Burlington.

- Zamierzaliśmy zrobić ją jeszcze dziś rano - wyjaśnił doktor

Dunsmore - ale niespodziewanie spadło na nas sporo dodatkowej pracy.

Przesunąłem więc termin na dzisiejsze popołudnie.

- To bardzo miło z pana strony, że mnie pan zaprasza, ale nie jestem pewna, co powiedziałby mój szef, gdybym chciała wyjść wcześniej z pracy.

- Znam Bena Wadleya od lat - oświadczył Dunsmore - i jestem pewien, że nie odmówi mojej prośbie, gdy do niego zadzwonię.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - zawahała się Angela.

- Nonsens! - zbagatelizował jej wątpliwości Dunsmore. - Proszę zostawić to mnie. Czekam na panią dziś po południu.

Angela chciała jeszcze raz zaprotestować, uświadomiła sobie

jednak, że lekarz odłożył już słuchawkę. Zagryzła wargi. Nie miała

pojęcia, jak Wadley zareaguje na telefon od Dunsmore'a, wiedziała

jednak, że szybko się o tym przekona. I rzeczywiście. Ledwie kilka chwil

później rozległ się dzwonek telefonu.

- Dzwonię do ciebie z położnictwa - powiedział Wadley. - Właśnie

telefonował do mnie okręgowy lekarz sądowy. Powiedział, że pragnie, byś asystowała mu przy jakiejś sekcji zwłok.

- Przed chwilą z nim rozmawiałam, nie byłam jednak pewna

twojego zdania na ten temat.

Uwodzicielski ton głosu Wadleya przekonał ją, że Cantor nie

rozmawiał jeszcze z jej przełożonym.

- Uważam to za wspaniały pomysł - rzekł Wadley. - Sądzę, że kiedy

specjaliści medycyny sądowej proszą nas o pomoc, nie należy im odmawiać. Korona nam z głowy nie spadnie, a nigdy nie wiadomo, kiedy sami możemy potrzebować ich pomocy. Jestem zdania, że powinnaś tam pojechać.

- Dziękuję - odparła Angela. - Tak też zrobię. Rozłączyła się i zadzwoniła do Davida, by zawiadomić go o swoich planach. Gdy tylko jej mąż podniósł słuchawkę, wyczuła w jego głosie napięcie i znużenie.

- Co się stało? - zapytała zaniepokojona.

- Nie pytaj nawet - odparł zgnębionym głosem David. - Opowiem ci wszystko później. Teraz bardzo się śpieszę: czeka na mnie jeszcze wielu pacjentów.

Angela szybko powtórzyła mu swoją rozmowę z Dunsmore'em, dodając, że Wadley zgodził się, by przyjęła zaproszenie do udziału w sekcji. David życzył jej dobrej zabawy i odłożył słuchawkę.

Przed podróżą do Burlington Angela postanowiła wpaść jeszcze do domu, by się przebrać. Gdy wjeżdżała na podjazd przed garażem, ze zdumieniem dostrzegła furgonetkę policji stanowej parkującą tuż przy frontowym wejściu. Najwidoczniej eksperci badający miejsce zbrodni nie skończyli jeszcze pracy.

Alice Doherty otworzyła Angeli drzwi pełna obaw, że jej wcześniejszy powrót oznacza coś złego. Angela uspokoiła ją, pytając o ludzi z policji stanowej.

- Wciąż są w piwnicy - odparła Alice. - Siedzą tam już od wielu godzin.

Angela zeszła do suterenu i przywitała się z trzema pracującymi tam technikami. Miejsce, gdzie znajdowały się zwłoki, odgradzono jaskrawą, fluoryzującą taśmą. Jeden z policjantów próbował za pomocą skomplikowanego urządzenia zdjąć z granitowych ścian odciski palców. Drugi starannie oglądał klepisko „grobowca”. Trzeci, używając specjalnego przyrządu, szukał niewidocznych gołym okiem mikrośladow. Jedyną z tej trójki osobą, która przedstawiła się Angeli, był człowiek zajmujący się odciskami palców. Nazywał się Quillan Reilly.

- Przykro mi, że trwa to aż tak długo - powiedział.

- Nic nie szkodzi - zapewniła go Angela.

Stała przez chwilę, przyglądając się pracy policyjnych specjalistów.

Prawie nie rozmawiali ze sobą, całkowicie pochłonięci swymi zajęciami.

Już miała wyjść i zostawić ich samych, kiedy Reilly zapytał ją, czy w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy wewnątrz domu było odnawiane.

- Nie wydaje mi się - odrzekła. - My w każdym razie tego nie robiliśmy.

- To dobrze - ucieszył się policjant. - Czy zgodzi się pani, byśmy wrócili tu wieczorem i za pomocą luminolu zbadali ściany na górze?

- Co to jest luminol? - zapytała Angela.

- Substancja chemiczna pozwalająca wykryć ślady krwi - wyjaśnił.

- Dom był sprzątny - ostrzegła go kobieta, której zrobiło się słabo na myśl, że na ścianach jej domu wciąż mogą być jeszcze plamy krwi.

- Mimo wszystko rzecz warta jest zachodu - zapewnił ją Quillan.

- Cóż, skoro uważa pan, że to coś da, nie mam nic przeciwko temu.

- Dziękuję.

- A co z próbkami pobranymi przez lekarza, który był tu wczoraj?

Czy są one w posiadaniu lokalnej policji?

- Nie. Przekazano je nam.

- To dobrze - uśmiechnęła się.

Dziesięć minut później Angela wyjechała z domu. W Burlington bez trudu znalazła zakład medycyny sądowej.

- Czekaliśmy na panią - powiedział Dunsmore, witając ją w swym nowocześnie urządzonej gabinecie.

Jego sposób bycia sprawił, że Angela natychmiast poczuła się tu swobodnie. Mężczyzna poprosił nawet, by zwracała się do niego po imieniu.

Kilka minut później, ubrana w chirurgiczny fartuch, maskę, kaptur i okulary, szła podekscytowana w kierunku sali, gdzie wykonywano sekcję zwłok. Takie miejsca zawsze kojarzyły jej się z odkrywaniem czegoś nowego.

- Mam nadzieję, że nasz profesjonalizm nie będzie budził pani zastrzeżeń - uśmiechnął się Dunsmore. - Zdarzało się niegdyś, że zakłady medycyny sądowej w małych miastach uważano za absurd, ale teraz na szczęście już tak nie jest.

Dennis Hodges leżał na stole autopsyjnym, wokół którego wisiały podświetlone klisze z rentgenowskimi zdjęciami jego kości. Dunsmore przedstawił Angeli zajmującego się już zwłokami człowieka, wyjaśniając, że Peter będzie asystował im podczas sekcji.

Zaczęli od obejrzenia zdjęć rentgenowskich. Obrazem, które spowodowało śmierć, było z pewnością rozległe wgłębienie pośrodku czoła. Podobne podłużne rany znajdowały się także z tyłu głowy, na lewym obojczyku, lewym łokciu i lewej kości promieniowej.

- Bez wątplenia mamy do czynienia z zabójstwem - orzekł

Dunsmore. - Wygląda na to, że ten biedaczek stoczył nie lada walkę.

- Szef miejscowej policji sugerował, że mogło to być samobójstwo - przypomniała sobie Angela.

- Mam nadzieję, że żartował - odparł Walt.

- Sama nie wiem - wzruszyła ramionami kobieta. - Nie zrobił na mnie i moim mężu wrażenia człowieka, który wie, jak prowadzi się śledztwo w sprawie morderstwa. Prawdopodobnie nigdy nie miał do czynienia z taką zbrodnią.

- Też tak myślę - zgodził się Walt. - Niektórzy z tych starszych, lokalnych funkcjonariuszy nie mają nawet dobrego teoretycznego przygotowania do prowadzenia tego typu spraw.

Angela dokładnie opisała znaleziony przy ciele Hodgesa łom.

Zmierzywszy linijką widoczne na zdjęciu wgłębienie w czaszce denata oraz obejrzawszy samą ranę, oboje z Dunsmore'em doszli do wniosku, że morderstwa dokonano za pomocą tego właśnie narzędzia. Następnie zajęli się osłoniętymi papierowymi torebkami dłońmi zmarłego.

- Bardzo się uradowałem, widząc te torebki - wyznał Walt. -

Wielokrotnie zalecałem policjantom, by zakładali je, zabierając ciało z miejsca zbrodni.

Angela skinęła głową, ciesząc się w duchu, że poprzedniej nocy

przypomniała doktorowi Cornishowi o tym zabezpieczeniu.

Walt ostrożnie zdjął torebki z rąk denata i przez lupę przyjrzał się jego paznokciom.

- Pod niektórymi z nich znajduje się coś dziwnego - powiedział, prostując się i odsuwając, tak żeby i Angela mogła się im przyjrzeć.

- Jak pan sądzi, co to może być?

- Musimy poczekać na wyniki badań mikroskopowych - odrzekł

Walt, ostrożnie wyjmując zabrudzenia spod paznokci Hodgesa i umieszczając je na specjalnych szkiełkach. Na każdym z nich nakleił etykietkę informującą, z którego palca pochodzi dana próbka.

Sama sekcja zwłok nie zabrała im dużo czasu. Angeli i Waltowi pracowało się razem tak dobrze, jak gdyby już od dawna stanowili zgrany zespół. Badanie przyniosło liczne interesujące z punktu widzenia patologii odkrycia, a Dunsmore, wbrew temu, co twierdził, okazał się znakomitym dydaktykiem. Hodges miał znaczną arteriosklerozę, niewielki nowotwór złośliwy w jednym z płuc oraz zaawansowaną marskość wątroby.

- Myślę, że musiał lubić burbona - stwierdził Walt.

Po skończonej sekcji Angela podziękowała Dunsmore'owi za gościnność i poprosiła, by informowano ją o wynikach dalszych badań.

Walt zapewnił ją, że może dzwonić, kiedy tylko przyjdzie jej na to ochota.

Wracala do szpitala w znacznie lepszym nastroju niż ten, w jakim znajdowała się przez kilka ostatnich dni. Sekcja zwłok Hodgesa okazała

się ciekawym doświadczeniem. Była wdzięczna Wadleyowi, że pozwolił jej wziąć w niej udział.

Ponieważ nie udało jej się znaleźć miejsca w pobliżu tylnego wejścia do szpitala, musiała zostawić samochód na górnym parkingu. Nie miała ze sobą parasolki, zanim więc znalazła się wewnątrz budynku, zdążyła porządnie zmoknąć.

Natychmiast udała się do swego gabinetu. Właśnie miała powiesić na wieszaku mokry płaszcz, kiedy drzwi łączące jej pokój z gabinetem szefa otworzyły się z hukiem i w progu stanął rozwścieczony Wadley. Miał zaciśnięte zęby i zmrużone oczy, a jego zwykle starannie uczesane siwe włosy były potargane. Angela instynktownie cofnęła się o krok, zerkając na drzwi wiodące do holu, jak gdyby miała ochotę przez nie uciec.

Wadley przeszedł przez pokój i stanął naprzeciwko niej, opierając dłonie o dzielące ich biurko.

- Żądam wyjaśnienia - warknął - czemu ze wszystkich pracujących tu ludzi wybrałaś sobie akurat Cantora, by opowiedzieć mu tę wymyśloną historię i wysunąć pod moim adresem ohydne, bezsensowne i wstrętne oskarżenia? Seksualne molestowanie! Mój Boże, co za absurd.

Wadley umilkł na chwilę, ani na moment nie spuszczał spojrzenia z Angeli. Kobieta cofnęła się jeszcze bardziej, nie wiedząc, co ma powiedzieć. Chwilami obawiała się, że mężczyzna może ją uderzyć.

- Czemu nie wspomniałaś mi ani słowem, że drażni cię moje zachowanie?! - wrzasnął Wadley. Szybko ściszył jednak głos, uświadamiając sobie nagle, że drzwi na korytarz są otwarte. Stukot

maszyn do pisania, przy których pracowały sekretarki, ucichł jak nożem uciął. Wadley podszedł do drzwi i zatrzasnął je z hukiem. - Oto, jakie podziękowanie spotkało mnie za czas i uwagę, które ci poświęcałem! - krzyknął. - Nie muszę ci chyba przypominać, że jesteś tutaj przyjęta na okres próbny. Lepiej zastanów się na przyszłość, co robisz, bo inaczej wkrótce będziesz szukała nowej pracy. I to bez rekomendacji z mojej strony.

Angela skinęła głową, nie bardzo wiedząc, co innego mogłaby uczynić.

- Cóż, czyżbyś nie miała mi nic do powiedzenia? - Twarz Wadleya znalazła się teraz zaledwie o kilka cali od jej twarzy. - Chcesz po prostu stać tutaj i kiwać głową?

- Przykro mi, że do tego wszystkiego doszło - wyjąkała Angela.

- Nic więcej?! - krzyknął Wadley. - Niszczysz moją reputację bezpodstawnymi oskarżeniami i tylko tyle masz mi do powiedzenia? To po prostu oburzające. Chcę, żebyś wiedziała, iż mam zamiar pozwać cię za to do sądu.

Powiedziawszy to, Wadley okręcił się na pięcie i zniknął w swoim gabinecie, z hukiem zatraskując łączące ich pokoje drzwi.

Angela oddychała szybko, z trudem hamując łzy. Drżąc cała, usiadła na krześle i ukryła twarz w dłoniach. To wszystko było takie niesprawiedliwe.

Susan wsunęła głowę przez szparę w uchylonych drzwiach pokoju badań i oznajmiła Davidowi, że jest do niego telefon z oddziału

intensywnej terapii. Obawiając się najgorszego, lekarz podniósł słuchawkę. Dyżurująca przy Tarlowie pielęgniarka poinformowała go, że jego pacjent dostał zapaści i że zespół reanimacyjny właśnie walczy o jego życie.

Serce podskoczyło Davidowi do gardła, a po plecach zaczęły spływać mu strużki zimnego potu. Wypadł na korytarz i popędził na oddział intensywnej terapii. Dotarł tam jednak za późno - kierujący zespołem reanimacyjnym lekarz stwierdził już zgon Johna Tarlowa.

- I tak nie było wielkiej nadziei na uratowanie go - powiedział. - Miał całkowicie zajęte płuca, niewydolne nerki i bardzo niskie ciśnienie krwi.

David spojrział na niego nieobecny wzrokiem i skinął głową, po czym przeniósł wzrok na swego-pacjenta, patrząc, jak pielęgniarki zwijają sprzęt reanimacyjny i odłączają kroplówkę. Po chwili podszedł do stojącego obok krzesła i opadł na nie ciężko. Zastanawiał się, czy rzeczywiście ma predyspozycje do zawodu lekarza. Śmierć była przecież tym, z czym ciągle musiał się stykać, a tak bardzo nienawidził tej strony swojej pracy. Kolejne zgony zamiast go psychicznie uodparniać, tylko pogarszały jego samopoczucie.

Do szpitala przybyli już krewni Tarlowa, którzy - podobnie jak rodzina Marjorie Kleber - odnosili się do Wilsona z ogromną wdzięcznością. David słuchał ich podziękowań, czując się jak oszust. Nie zrobił przecież dla Johna nic. Nie wiedział nawet, dlaczego Tarlow umarł. Białaczka niczego nie wyjaśniała.. Pomimo że teraz był już świadom ograniczania liczby sekcji zwłok wykonywanych przez szpital, poprosił

rodzinę Tarlowa o zgodę na autopsję. Nie miał nic do stracenia. Krewni zmarłego obiecali, że to rozważą.

Opuściwszy oddział intensywnej terapii, David zajrzał do Mary Ann Schiller i Jonathana Eakinsa. Chciał upewnić się, że zostali już umieszczeni w szpitalnych pokojach i że zaczęto podawać im leki. Przede wszystkim zaś chciał sprawdzić, czy Jonathan został już zbadany przez kardiologa CMV.

Zanim jednak dotarł do pokojów swoich pacjentów, w dyżurce dowiedział się czegoś, co sprawiło, że stanął jak wryty i przez chwilę nie był zdolny do najmniejszego ruchu: Mary Ann została umieszczona w sali 206, tej samej, z której tak niedawno zabrano Tarlowa. Davida ogarnęło nieprzeparte pragnienie przeniesienia swej pacjentki gdzie indziej i dopiero po chwili uświadomił sobie irracjonalność tego pomysłu. Jak miałby uzasadnić taką prośbę? Że nie chce, by jego pacjenci trafiali do pokoju numer 206? Ależ to czyste szaleństwo.

David sprawdził kroplówkę Mary Ann, której podano już antybiotyk, i obiecawszy odwiedzić ją później, udał się do sali Jonathana. Został swego podopiecznego uśmiechniętego i odprężonego. Do jego klatki piersiowej podłączono już rejestrujący pracę serca monitor i lada chwila oczekiwano wizyty kardiologa.

Uspokojony tym David wrócił do swego gabinetu, gdzie Susan powitała go wiadomością, że dzwonił właśnie Charles Kelley.

- Chce cię natychmiast widzieć u siebie - oświadczyła. - Bardzo podkreślał owo „natychmiast”.

- Jak wielu mamy dzisiaj pacjentów? - zapytał David.

- Mnóstwo - odrzekła Susan. - Staraj się więc nie zabawić tam zbyt długo.

Czując się tak, jakby dźwigał na ramionach olbrzymie brzemię,

David powlókł się do biura CMV. Nie wiedział wprawdzie dokładnie, czego chciał od niego Kelley, ale mógł się tego domyślać.

- Nie wiem, co mam zrobić, Davidzie - oświadczył Kelley,

potrząsając głową, gdy tylko lekarz wszedł do jego gabinetu. Wilson

podziwiał talent aktorski przełożonego. Tym razem odgrywał on rolę

zmartwionego przyjaciela. - Próbowałem przemówić ci do rozsądku, ale

wydaje się, że albo jesteś okropnie uparty, albo też po prostu masz za nic

interesy CMV. Tuż po tym, jak rozmawialiśmy na temat konieczności

unikania niepotrzebnych wydatków, ponownie zwołałeś konsylium do

nieuleczalnie chorego pacjenta. Co mam z tobą zrobić? Musisz zrozumieć,

że trzeba w takich wypadkach brać pod uwagę koszty opieki medycznej.

Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę z kryzysu, jaki przeżywa ten kraj?

David pokiwał głową. Całkowicie zgadzał się z tym, że Stany

Zjednoczone znalazły się w kryzysie.

- Dlaczego zatem zastosowanie się do moich poleceń jest dla ciebie

takie trudne? - zapytał Kelley. W jego głosie zadźwięczał gniew. - Tym

razem twoje postępowanie zmartwiło nie tylko CMV, ale i szpital. Helen

Beaton zadzwoniła do mnie przed chwilą, skarżąc się, że kazałeś

zastosować wobec tego umierającego pacjenta nadzwyczaj drogie,

biotechnologiczne leczenie. Cóż za heroiczny gest! Ten człowiek umierał,

potwierdzili to nawet wezwani na konsultację lekarze. Od lat cierpiał na białaczkę. Nie rozumiesz tego? Twoje działania były tylko stratą pieniędzy. - Kelley poczerwieniał na twarzy, a jego głos stał się piskliwy. Westchnął głęboko. Potrząsnął głową, jak gdyby zupełnie nie wiedział, co robić. - Helen Beaton narzekała także na twoją prośbę o sekcję zwłok - oświadczył znużonym głosem. - Autopsje nie są objęte kontraktem CMV. Musisz być rozsądny, Davidzie. Postarasz się mi pomóc albo... - Kelley urwał w pół słowa, pozwalając, by to nie dokończone zdanie zawisło między nimi w powietrzu.

- Albo co? - zapytał David. Doskonale wiedział, co przełożony miał na myśli, chciał jednak, by Kelley powiedział to wprost.

- Lubię cię, Davidzie - stwierdził Kelley. - Ale musisz mi pomóc. Ja też mam szefów, przed którymi odpowiadam. Wierzę, że mnie rozumiesz.

Wracając, Wilson czuł się bardziej przygnębiony niż kiedykolwiek wcześniej. Słowa Kelleya zdenerwowały go, wiedział jednak, że tamten ma w jakiś sposób rację. Nie należało wyrzucać pieniędzy na leczenie ludzi, których i tak nie można było już uratować, w sytuacji kiedy brakowało funduszy dla pacjentów rokujących duże nadzieje na wyzdrowienie. Ale czy rzeczywiście ta zasada mogła odnosić się do przypadku Tarłowa?

Zmieszany i sfrustrowany otworzył drzwi do swego gabinetu.

Poczekalnia

pełna

była

rozniewanych

pacjentów,

co

chwile

spoglądających na zegarki i z hałasem wertujących kolorowe magazyny.

Obiad w domu Wilsonów upłynął w napiętej atmosferze. Nikt się

nie odzywał. Wszyscy byli zdenerwowani. Odnosili wrażenie, jakby ich

rajska kraina Shangri-la zniknęła wraz z ładną pogodą.

Nawet Nikki miała zły dzień. Martwiła się swym nowym

nauczycielem, panem Hartem, którego uczniowie zdążyli już przezwąć

Hate'em*. W rozmowie z rodzicami dziewczynka nazwała wychowawcę

„zwykłym starym pierdzielem”, a kiedy Angela zbesztła ją za używanie

takiego słownictwa, wyznała, że powtórzyła określenie usłyszane od

Arniego.

Największym problemem było jednak to, że nauczyciel nie pozwolił

Nikki na samodzielne ocenienie, które z ćwiczeń na lekcji gimnastyki

powinna wykonywać, a które nie, oraz nie wyraził zgody na

odśluzowywanie przez nią dróg oddechowych podczas trwania szkolnych

zajęć. Niemożność porozumienia się z nim w tej sprawie doprowadziła do

kłótni, która wprawiła dziewczynkę w jeszcze większe zakłopotanie.

Po obiedzie David stwierdził, że czas trochę poprawić sobie nastrój.

Pierwszym krokiem ku polepszeniu panującej w domu atmosfery miało

być rozpalenie wielkiego ognia na kominku. Kiedy jednak zszedł do

piwnicy po drewno, doznał szoku na widok przegradzającej schody żółtej,

policyjnej taśmy. Przed oczyma stanął mu ponownie ponury obraz

odkrytych za przepierzeniem zwłok Hodgesa.

Szybko wziął naręczce drewna i wrócił na górę. Nie wierzył w duchy, ale napięcie, w jakim ostatnio żył, sprawiło, że pomyślał, iż być może mieszkają w nawiedzonym domu.

Rozpaliwszy ogień, zaczął mówić z entuzjazmem o nadchodzącej zimie i o tym, że wkrótce będą już mogli jeździć na łyżwach, nartach oraz sankach. Angela i Nikki powoli zaczynały poddawać się jego radosnym wizjom, kiedy niespodziewanie okna salonu omiótł snop światła reflektorów samochodowych. David podszedł do drzwi.

- Policyjny radiowóz - powiedział. - Czegóż oni, u diabła, jeszcze od nas chcą?

- Na śmierć zapomniałam! - zawołała Angela, zrywając się z miejsca.

- Specjaliści, którzy przeszukiwali dziś rano naszą piwnicę, pytali, czy

*** hate (ang.) - nienawiść**

będą mogli ponownie przyjechać wieczorem i sprawdzić, czy nie zostały gdzieś tutaj plamy krwi.

- Plamy krwi? Ależ Hodges został zabity osiem miesięcy temu!

- Twierdzili, że mimo to warto spróbować - wyjaśniła Angela.

Przybyłymi do nich policyjnymi technikami okazali się ci sami ludzie,

którzy badali miejsce zbrodni rano. Angela była zdumiona, że ich dzień pracy trwa aż tak długo.

- Od rana do wieczora podróżujemy po całym stanie, wykonując naszą robotę - uśmiechnął się Quillan, który najwyraźniej był szefem tej

grupy.

Angela przedstawiła go Davidowi.

- Jak działa ten test? - zapytał policjanta Wilson.

- Luminol reaguje na każdą, choćby najmniejszą drobinę żelaza zawartego we krwi - wyjaśnił Quillan. - Zaczyna wtedy fluoryzować.

- To interesujące - stwierdził David, widać było jednak, że nie wyzbył się sceptycyzmu.

Technicy rozpoczęli przygotowania do przeprowadzenia testu, w czym David i Angela starali się nie przeszkadzać. Stojąc z boku, przyglądali się ustawionemu na trójnogu aparatowi.

Technicy spryskali luminolem ściany, a następnie zgasili wszystkie światła.

- Tu są jakieś ślady - odezwał się w ciemności Quillan. David i

Angela pochylili się, dostrzegając na ścianie podłużną, lekko fluoryzującą smugę.

- Za mało tego, by wyszło na zdjęciu - powiedział człowiek obsługujący aparat.

Technicy przenieśli aparat do kuchni, prosząc o wygaszenie światel w holu i w jadalni. Wilsonowie posłusznie spełnili ich polecenie.

Nagle część kuchennej ściany graniczącej z przedsionkiem pokryła się fluoryzującą poświatą.

- Ślady są bardzo słabe, ale jest ich ogromnie dużo - stwierdził

Quillan. - Spryskam to miejsce jeszcze raz, a wy postarajcie się zrobić zdjęcia.

- Mój Boże! - szepnęła Angela. - Cała moja kuchnia pokryta jest krwią!

Oniemiała patrzyła, jak technicy badają pozostawiony przez Clare Hodges stół, którego Wilsonowie używali, ilekroć zdarzało im się jadać w kuchni. Jego cztery nogi zaczęły nagle jarzyć się nieziemskim blaskiem.

- Moim zdaniem tu właśnie dokonano morderstwa - stwierdził jeden z techników. - Obok tego stołu.

Wilsonowie słyszeli trzask migawki aparatu fotograficznego i syk aerozolu. Quillan wyjaśnił, iż ślady są tak słabe, że muszą być nieustannie spryskiwane luminolem, jeśli chce się je sfotografować.

Po odjeździe policjantów Wilsonowie byli w jeszcze gorszych nastrojach niż przedtem. Angela siedziała przy kominku zwrócona tyłem do ognia, spoglądając na przytulonych do siebie na kanapie Davida i Nikki. Ogarnęło ją nagle pragnienie, by uchronić tych dwoje przed wszystkim, co złe. Świadomość, iż jej kuchnia, którą uważała za serce całego domu, jest napiętnowana popełnioną zbrodnią, wywołała w niej wrażenie, że nad jej rodziną zawisła jakaś groźba.

- Być może powinniśmy się stąd wyprowadzić - powiedziała, przerywając ponure milczenie.

- Chwileczkę - zirytował się David. - Wiem, że jesteś zdenerwowana, ale to samo dotyczy wszak całej naszej trójki. Mimo wszystko nie powinniśmy popadać w histerię.

- Nie popadam w histerię - burknęła Angela.

- Sugestia, żebyśmy wyprowadzili się z tego domu tylko dlatego, że

wydarzył się tu tragiczny wypadek, z którym nie mieliśmy nic wspólnego, a który w dodatku miał miejsce prawie rok temu, nie wydaje się zbyt racjonalna - zauważył David.

- Ale to stało się w mojej kuchni! - wybuchnęła Angela.

- Dom jest zadłużony. Żeby się z niego wynieść, musielibyśmy najpierw spłacić obie hipoteki. Nie możemy go opuścić jedynie z powodu twoich uprzedzeń.

- W takim razie chcę, byśmy przynajmniej zmienili zamki -

oświadczyła Angela. - Bądź co bądź w tych murach grasował morderca.

- Ale przecież nigdy nawet nie zamykaliśmy tu drzwi - zaproponował

David.

- A więc od teraz będziemy to robić. Założymy nowe zamki.

- W porządku. Zrobimy to.

Wchodząc do Iron Horse Inn, Traynor był w kiepskim humorze.

Pogoda współgrała z jego nastrojem: rzęsisty deszcz przypominał wprost tropikalną ulewę. Nawet parasol zdawał się być przeciwko niemu - nie zdolawszy go otworzyć, Traynor cisnął nim o ścianę gabinetu. Musiał przebyć biegiem drogę dzielącą go od restauracji, by jak najmniej zmoknąć.

Kiedy wszedł do środka, Beaton, Caldwell i Sherwood siedzieli już przy stoliku. W chwilę później pojawił się też Cantor. Gdy tylko usiedli, podszedł do nich barman, Carleton Harris, by przyjąć zamówienia na drinki.

- Dziękuję wam wszystkim za przybycie mimo tak paskudnej pogody

- powiedział Traynor. - Wobec ostatnich wydarzeń uznałem jednak, że konieczne jest dodatkowe zebranie.

- To nie jest oficjalne spotkanie zarządu - zauważył Cantor - nie musisz więc zachowywać się tak formalnie.

Traynor zmarszczył brwi. Nawet w obliczu tak wielkich kłopotów

Cantor nie zanieczywał żadnej okazji, by wprowadzić go w stan irytacji.

- Pozwolisz, że będę kontynuował - powiedział, patrząc z niechęcią na lekarza.

- Na litość boską, Haroldzie - westchnął Cantor. - Przestań odgrywać przedstawienie i mów, co masz do powiedzenia.

- Jak wszyscy wiecie, w najmniej stosownej dla nas chwili odnaleziono ciało Hodgesa.

- Ta sprawa bardzo zainteresowała środki masowego przekazu - dodała Beaton. - Pisano o tym na pierwszej stronie „Boston Globe”.

- Zastanawiałem się, jakie negatywne skutki mogą mieć owe publikacje dla szpitala - powiedział Traynor. - Makabryczne szczegóły śmierci Hodgesa mogą zwabić także dziennikarzy z innych gazet. Ostatnią zaś rzeczą, jakiej bym sobie życzył, jest wężący wokół nas tłum zamiejscowych pismaków. I tak jestem ogromnie wdzięczny Helen Beaton, że zdołała powstrzymać prasę od rozpisywania się na temat naszego gwałciciela w narciarskich goglach. Ale jeśli przyjadą do nas reporterzy wielkich gazet, nie spoczna, póki nie dowiedzą się wszystkich szczegółów i tego skandalu, w związku z czym możemy znaleźć się pod nie lada presją.

- Miałem wiadomości z Burlington, że śledztwo w sprawie Hodgesa będzie się z całą pewnością toczyło tak, jak w przypadku zabójstwa - powiedział Cantor.

- Oczywiście, że to będzie śledztwo w sprawie zabójstwa - warknął Traynor. - Jakżeby inaczej? Ciało tego człowieka zostało zamurowane w piwnicy jego własnego domu. Naszym problemem nie jest to, czy został on zamordowany, lecz co zrobić, by ta sprawa nie nadwerżyła reputacji szpitala. Zastanawiam się też, jak to wszystko wpłynie na nasze stosunki z CMV.

- Nie rozumiem, jakim cudem śmierć Hodgesa może oznaczać kłopoty dla szpitala - wzruszył ramionami Sherwood. - Przecież to nie my go zabiliśmy.

- Hodges szefował temu szpitalowi przez ponad dwadzieścia lat - przypomniał mu Traynor. - Jego nazwisko nierozdzielnie wiąże się z Bartlet. Wielu ludzi wiedziało, że nie podobał mu się sposób, w jaki zarządzaliśmy szpitalem po jego ustąpieniu z funkcji prezesa.

- Uważam, że im mniej szpital będzie zajmował się tą sprawą, tym lepiej - stwierdził Sherwood.

- Jestem innego zdania - zaprotestowała Beaton. - Uważam, że powinniśmy wydać oświadczenie, jak bardzo ubolewamy nad śmiercią Hodgesa, podkreślając przy okazji jego ogromne zasługi dla naszej placówki. Oświadczenie powinno też zawierać kondolencje dla rodziny.

- Całkowicie się z tym zgadzam - skinął głową Cantor. - Zignorowanie jego śmierci byłoby czymś niewłaściwym.

- **Ja także popieram ten pomysł - odezwał się Caldwell. Sherwood ponownie wzruszył ramionami.**
- **Jeśli wszyscy tak uważają, przyłączam się do zdania ogółu.**
- **Czy ktoś rozmawiał już z Robertsonem? - zapytał Traynor.**
- **Ja - odrzekła Beaton. - Nie ma żadnych podejrzeń. Zważywszy, jaki z niego samochwała, na pewno dalby nam znać, gdyby coś wiedział.**
- **Biorąc pod uwagę jego osobisty stosunek do Hodgesa, on także powinien znaleźć się na liście podejrzanych - stwierdził Sherwood, wybuchając śmiechem.**
- **Podobnie jak ty - dociął mu Cantor.**
- **I ty także - nie pozostał dłużny dyrektor banku.**
- **To nie należy do tematu tego zebrania - przerwał im Traynor.**
- **Jeśli chcesz, byśmy trzymali się tematu, prowadź zebranie, jak należy - powiedział Cantor. - Poza tym powszechnie wiadomo, jakie uczucia ty sam żywiłeś do Hodgesa po tym, jak twoja siostra popełniła samobójstwo.**
- **Dajcie spokój - wtrącił się Caldwell. - Wszystko sprowadza się do tego, że nikogo z nas tak naprawdę nie obchodzi, kto go zamordował.**
- **To nie do końca prawda - powiedział Traynor. - Niewykluczone, że CMV zainteresuje się tą sprawą w obawie, iż to ponure wydarzenie wpłynie niekorzystnie zarówno na sytuację szpitala, jak i miasta.**
- **Właśnie dlatego uważam, że powinniśmy wydać oświadczenie - powtórzyła swą propozycję Beaton.**
- **Czy zatem nikt nie ma nic przeciwko temu, bym poddał ten projekt**

pod głosowanie? - zapytał Traynor.

- Jezus, Haroldzie! - zawołał Cantor. - Jest nas tylko pięcioro, więc chyba nie potrzebujemy parlamentarnej procedury. Wszyscy zresztą zgodziliśmy się już na tę propozycję.

- W porządku - odrzekł Traynor. - Czy wszyscy uważają, że powinniśmy wystosować oficjalne oświadczenie, jak to sugerowała Beaton?

Zebrani skinęli głowami. Traynor popatrzył na Helen.

- Uważam, że to powinno wyjść z twojego biura.

- Z przyjemnością się tym zajmę - zapewniła go kobieta.

Rozdział 15

Piątek, 22 października

Dla Wilsonów była to ciężka noc. O drugiej nad ranem Nikki znowu zaczęła krzyczeć, budząc się z kolejnego nocnego koszmaru, co wprawilo całą trójkę w przygnębienie. Przez ponad godzinę nikt nie zdołał zasnąć.

David i Angela żalowali, że pozwolili córce przyglądać się pracy policyjnych techników, właśnie w tym widząc bezpośrednią przyczynę jej nocnych lęków.

Dzień wstał pogodny i słoneczny. Po pięciu dobach nieprzerwanego deszczu niebo zrobiło się nagle jasnoblękitne i bezchmurne. W miejsce opadów przyszedł jednak chłód. Temperatura spadła do około minus dziesięciu stopni Celsjusza, a ziemię pokryła wyjątkowo gruba warstwa szronu.

Wilsonowie prawie nie rozmawiali ze sobą, ubierając się i jedząc

śniadanie. Unikali też wspomnienia o odkrytych przez policję plamach krwi, choć Angela nie chciała usiąść przy kuchennym stole i nakryła sobie na blacie przy zlewie.

Zanim obie z Nikki wyszły z domu, David umówił się z żoną o wjazd do pierwszej w holu szpitala, chcieli bowiem wspólnie zjeść lunch. W drodze do szkoły Angela próbowała pocieszać córkę, radząc, by dała panu Hartowi jeszcze jedną szansę i nie uprzedzała się do niego.

- Nauczycielowi jest bardzo trudno przejmować klasę po kimś innym - tłumaczyła. - Szczególnie po kimś tak wyjątkowym jak Marjorie.

- Czemu tata nie mógł jej wyleczyć?

- Próbował. Ale widocznie tak musiało być. Lekarze nie są cudotwórcami.

Kiedy zatrzymały się przed szkołą, Nikki natychmiast wyskoczyła z samochodu i pobiegła w stronę wejścia, matka jednak zawołała ją z powrotem.

- Zapomniałaś o liście - powiedziała, wręczając córce pismo do nauczyciela, w którym wyjaśniała jej problemy ze zdrowiem. - Gdyby pan Hart miał jakieś wątpliwości, poproś, by zadzwonił do mnie lub do doktora Pilsnera - przypomniała na pożegnanie.

Wchodząc do laboratorium, z ulgą stwierdziła, że Wadley nie przyjechał jeszcze do szpitala. Szybko zabrała się do pracy, ledwie jednak usiadła przy mikroskopie, gdy sekretarka powiadomiła ją o telefonie z zakładu medycyny sądowej.

- Znalazłem coś interesującego - oświadczył Walt. - Materiał

pobrano spod paznokci doktora Hodgesa jest z całą pewnością skórą.

- Gratuluję.

- Mam już wzór DNA - dodał Walt. - Nie jest to tkanka zabitego.

Załoczyłbym się o tysiąc dolarów, że należy do mordercy. Może się to stać decydującym dowodem, kiedy policja zatrzyma podejrzanego.

- Czy kiedykolwiek wcześniej znajdowano już podobne dowody? - zapytała Angela.

- Owszem. Nierzadko, kiedy ofiara walczy z napastnikiem, znajdujemy pod paznokciami denata fragmenty skóry mordercy. Muszę jednak przyznać, że w tym przypadku mieliśmy do czynienia z najdłuższym czasem, jaki upłynął od chwili popełnienia zbrodni do odnalezienia ciała. Jeśli będzie nam dane skonfrontować wyniki z tkanką pobraną od podejrzanego, sprawa nada się chyba do opisanie w jakimś medycznym periodyku.

Angela podziękowała mu za informacje.

- Niemal zapomniałem - dodał w ostatniej chwili Walt. - Na skrawkach skóry znalazłem wbite w nią czarne drobinki węgla. 1b bardzo dziwne. Wygląda to tak, jakby morderca otarł się podczas walki o palenisko kominka lub nadpalone polano. Tak czy owak, to niezwykle. Ciekaw jestem, czy to odkrycie przyda się prowadzącym śledztwo policjantom.

- Obawiam się, że raczej wprowadzi tylko niepotrzebne zamieszanie

- westchnęła Angela. Opowiedziała lekarzowi o przeprowadzonych poprzedniego wieczoru testach z luminolem. - Nie odnaleziono żadnych

plam krwi w pobliżu kominka. Być może zabójca pobrudził się tym węglem wcześniej.

- Wątpię - powiedział Walt. - Wokół drobinek nie ma nawet śladu stanu zapalnego - jedynie kilka czerwonych krwinek. Z całą pewnością węgiel znalazł się na jego skórze podczas walki.

- Niewykluczone, że Hodges miał po prostu drobinki węgla pod paznokciami - zasugerowała Angela.

- Słuszna uwaga - odparł Walt. - Problem jednak w tym, że węgiel pojawia się wyłącznie tam, gdzie znaleźliśmy skrawki skóry.

- To rzeczywiście tajemnicza sprawa - zgodziła się Angela. -

Szczególnie, że pańskie odkrycie zupełnie nie pokrywa się z tym, co znaleźli przeszukujący dom policjanci.

- Tak to jest z każdą tajemnicą - roześmiał się Walt. - Żeby ją rozwiązać, trzeba znać wszystkie fakty. Najwidoczniej zabrakło nam jakiejś niezwykle istotnej informacji.

Po trwającym przez cały tydzień deszczu, który uniemożliwiał jazdę na rowerze, David cieszył się każdą chwilą podróży do pracy. Wyjechał nieco wcześniej, wybrał więc trochę dłuższą niż zwykle, ale za to znacznie bardziej malowniczą drogę.

Chłodne, orzeźwiające powietrze oraz widok oszronionych łąk przyniosły odprężenie. Na kilka minut udało mu się zapomnieć o ostatnich kłopotach zawodowych. Wchodząc do szpitala, czuł się znacznie lepiej niż w poprzednich dniach. Pierwszą pacjentką, którą odwiedził, była Mary Ann Schiller.

Niestety, kobieta nie czuła się dobrze. Spała jeszcze i David musiał ją obudzić, ale podczas badania ponownie zapadła w sen. Nieco zdumiony tym lekarz znów ją obudził, pytając, jak się czuje, i jednocześnie sprawdzając stan jej zatok. Na w pół sennym głosem chora powiedziała mu, że chyba miewa się nieco lepiej.

David osłuchiwał jej klatkę piersiową i podczas tego badania Mary Ann znowu zasnęła. Wilson pozwolił opaść jej bezwładnie na poduszki i z niepokojem popatrzył na ściągniętą bólem twarz pacjentki. W jego głowie zadźwięczał dzwonek alarmowy.

Przeglądając w dyżurce kartę chorobową, z której dowiedział się, że o ile początkowo kobieta czuła się lepiej - niska temperatura, jaką miała także poprzedniego dnia, nie zmieniła się - o tyle z ostatnich zapisków pielęgniarek wynikało, że w nocy wystąpiły problemy z przewodem pokarmowym. Chora miała nudności, wymioty i biegunkę.

David nie rozumiał pojawienia się tych symptomów. Ponieważ zapalenie zatok zaczęło zanikać, nie przepisał Mary Ann żadnych antybiotyków, nie istniał więc nawet cień szansy, że to one odpowiedzialne były za kłopoty z układem trawiennym. No i te utraty świadomości! Na wszelki wypadek wykreślił z karty polecenie, by pacjentce podawać środki nasenne - podobnie jak uczynił to poprzednio w odniesieniu do Tarlowa.

Odwiedziny u Jonathana Eakinsa podniosły go nieco na duchu.

Chory był w doskonałym nastroju. Twierdził, że monitor kardiologiczny odzywa się tak regularnie jak metronom i w najmniejszym stopniu nie

wykazuje żadnej arytmii.

David osłuchał klatkę piersiową Jonathana i ucieszył się, że płuca chorego są całkowicie czyste. Nie był zaskoczony błyskawiczną poprawą jego stanu zdrowia, poprzedniego popołudnia spędził bowiem kilka godzin na rozmowie z kardiologiem, który zapewnił, że nie przewiduje żadnych kłopotów z sercem.

Pozostali przebywający w szpitalu pacjenci Wilsona czuli się równie dobrze jak Jonathan. Kilku z nich David pozwolił nawet wypisać do domu. Po skończeniu obchodu udał się do swego gabinetu, zadowolony, że może pojawić się tam tak wcześnie. Po doświadczeniach kilku ostatnich dni za wszelką cenę nie chciał narobić sobie zaległości.

W miarę upływu czasu wyraźnie uświadamiał sobie, jak długo trwa każda z wizyt. Wiedząc, że jego wydajność jest kontrolowana, próbował skrócić badanie chorych do minimum. Cierpiał z tego powodu, ale obawiał się, że nie ma innego wyjścia. Zakamuflowana groźba Kelleya, że zostanie zwolniony z pracy, mocno nim wstrząsnęła. W obliczu tak poważnych długów, rodzina z pewnością nie ucieszyłaby się, gdyby nagle został bezrobotnym.

Ponieważ zaczął przyjmować pacjentów tak wcześnie rano, pracował bez żadnych opóźnień i kiedy dwie pielęgniarki z pierwszego piętra zadzwoniły z prośbą, by je przyjął, pomimo że nie były wcześniej umówione, nie musiały w ogóle czekać.

Obie miały przypominające grypę symptomy, identyczne jak te, z którymi zgłosiły się wcześniej ich koleżanki. David zalecił tę samą terapię:

kazał położyć się do łóżka i odpocząć. Zastosował też leczenie objawowe ich przypadłości gastrycznych. Mając w zapasie sporo czasu, zdołał nawet zajrzeć do gabinetu doktora Pilsnera. Poinformował pediatrę, że zetknął się z kilkoma przypadkami grypy, i zapytał o możliwość zaszczepienia swojej córki przeciwko tej chorobie.

- Nikki już dostała tę szczepionkę - wyjaśnił doktor Pilsner. - Nie zetknąłem się co prawda ostatnio z żadnym przypadkiem grypy, ale uznałem, że nie będę na to czekał, szczególnie w przypadku dziecka chorego na mukowiscydozę.

David zapytał także, czyjego zdaniem nie należałoby podać dziewczynce profilaktycznie jakichś antybiotyków, ale pediatra był temu przeciwny. Uważał, że najlepiej nie robić tego, póki nie zaistnieje bezwzględna konieczność.

David skończył przyjmowanie pacjentów przed dwunastą i zanim spotkał się z Angellą, zdążył jeszcze podyktować kilka listów.

- Skoro pogoda jest taka ładna, co byś powiedziała, gdybyśmy zjedli lunch gdzieś w mieście? - zapytał żonę David, uważając, że nieco świeżego powietrza dobrze zrobi im obojgu.

- Miałam właśnie zaproponować dokładnie to samo - roześmiała się Angella. - Przy okazji zajrzę na posterunek policji i dowiem się, jak postępuje śledztwo w sprawie Hodgesa.

- Nie sądzę, by był to dobry pomysł - skrzywił się David.

- Czemu? - zdziwiła się Angella.

- Sam nie wiem - odrzekł szczerze. - Chyba podpowiada mi to

intuicja. Ponadto lokalna policja nie wzbudziła we mnie zbyt dużego zaufania. Prawdę mówiąc, odniosłem wrażenie, że w ogóle nie mieli ochoty prowadzić śledztwa w tej sprawie.

- Właśnie dlatego chcę do nich zajrzeć - oświadczyła. - Pragnę, by wiedzieli, iż się tym interesujemy. Zgódź się, proszę.

- Skoro nalegasz - wzruszył ramionami David.

W restauracji zamówili kanapki z tuńczykiem i poszli zjeść je na stopniach tarasu. Choć rano temperatura była ujemna, ostre słońce ogrzało już powietrze i termometr wskazywał kilka stopni powyżej zera.

Po posiłku udali się na posterunek policji, który mieścił się w nieładnym, piętrowym, ceglanym budynku przy miejskim parku, naprzeciwko biblioteki.

Dyżurny funkcjonariusz powitał ich bardzo uprzejmie i skierował wyłożonym boazerią korytarzem do gabinetu Wayne'a Robertsona. Szeryf poprosił, by weszli, pośpiesznie sprząając z dwóch metalowych krzeseł gazety i opakowania po hot dogach. Poczekał, aż goście usiądą, po czym sam usadowił się przy biurku. Skrzyżował ramiona i uśmiechnął się.

Pomimo że pokój wcale nie był nasłoneczniony, przez cały czas miał na twarzy ciemne okulary.

- Cieszę się, że państwo do nas wstąpili - powiedział z akcentem charakterystycznym dla mieszkańców Południa. - Przykro mi, że musieliśmy wczoraj jeszcze raz państwa niepokoić. Z pewnością zepsuliśmy wam wieczór.

- Doceniamy wasze starania, żeby wyjaśnić tę zbrodnię - odrzekł

wymijająco David.

- Co mogę dla państwa zrobić? - zapytał Robertson.

- Jesteśmy tu, by zaoferować panu współpracę - odrzekła Angela.

- Cóż, jesteśmy bardzo wdzięczni - powiedział Robertson,

odslaniając zęby w szerokim uśmiechu. - Stanowimy wszak jedną, lokalną

wspólnotę. Bez poparcia mieszkańców miasta nie moglibyśmy

wykonywać naszej pracy.

- Zależy nam, aby sprawa morderstwa Hodgesa została wyjaśniona -

oświadczyła Angela. - Chcielibyśmy ujrzeć zabójcę za kratkami.

- Cóż, nie wy jedni - westchnął Robertson, a uśmiech nadal nie

znikał z jego twarzy. - My także tego pragniemy.

- Mieszkanie w domu, w którym popełniono morderstwo, nie należy

do przyjemności - stwierdziła Angela. - Szczególnie, jeśli wie się, że

zbrodniarz wciąż pozostaje na wolności. Jestem pewna, że pan to

rozumie.

- Całkowicie - skinął głową policjant.

- Chcielibyśmy zatem wiedzieć, w jaki sposób możemy wam pomóc -

dodała Angela.

- Cóż, zastanowimy się nad tym i niewykluczone, że w przyszłości

zaprosimy was do współpracy - odrzekł zmieszany Robertson. - W tej

chwili nie ma jednak nic, w czym moglibyście nam pomóc.

- A jakie konkretne działania podjęła policja? - spytała Angela.

Uśmiech zniknął z twarzy Robertsona.

- Prowadzimy śledztwo - odparł niechętnie.

- Co to oznacza? - nie dawała za wygraną Angela.

David zaczął podnosić się z miejsca, wprawiony w zakłopotanie

tonem żony i kierunkiem, w jakim zmierzała konwersacja, ale kobieta nie zwróciła na to uwagi.

- To co zawsze - odrzekł policjant.

- A co robi się zawsze? - nie ustępowała Angela. Robertson czuł się coraz mniej pewnie.

- Cóż, szczerze mówiąc, niewiele mamy teraz do roboty. Ale wtedy, kiedy Hodges zniknął, pracowaliśmy dzień i noc.

- Jestem nieco zdumiona, że nie zainteresowaliście się tą sprawą ponownie - w głosie Angeli pobrzmiwało szyderstwo. - Lekarz z zakładu medycyny sądowej bez wahania orzekł, że mamy tu do czynienia z zabójstwem. Znaczy to, że w tym mieście pozostaje na wolności morderca. Chyba powinniście coś w tej sprawie zrobić, prawda?

- Hmm, z pewnością nie chcielibyśmy państwa rozczarować - oświadczył policjant z lekkim sarkazmem. - Co dokładnie moglibyśmy uczynić, aby sprawić wam przyjemność?

David chciał coś powiedzieć, ale Angela uciszyła go ruchem ręki.

- Chcemy, byście postępowali tak, jak normalnie postępuje się w wypadku morderstwa - odrzekła. - Macie narzędzie zbrodni, możecie więc sprawdzić, czy nie pozostały na nim odciski palców, dowiedzieć się, gdzie ów łom został kupiony i tym podobne rzeczy. Z pewnością nie muszę panu mówić, jak należy prowadzić śledztwo.

- Po ośmiu miesiącach trochę już za późno na to wszystko -

stwierdził Robertson. - I szczerze mówiąc, nie podoba mi się to, że przyszliście tutaj, by pouczać mnie, co mam robić. W końcu ja nie przychodzę do szpitala, by radzić wam, jak leczyć ludzi. Poza tym Hodges nie należał do najbardziej lubianych ludzi w mieście, a my, przy ograniczonej liczbie pracowników, musimy pamiętać o priorytetach. Jeśli chcecie wiedzieć, mamy teraz na głowie ważniejsze sprawy - z całą serią gwałtów włącznie.

- Moim zdaniem, także w tej sprawie powinny zostać wykonane przynajmniej podstawowe czynności śledcze - upierała się Angela.

- Ależ zostały - zapewnił Robertson. - Osiem miesięcy temu. - I czego się dowiedzieliście?

- Wielu rzeczy - warknął policjant. - Na przykład tego, że nie było włamania ani rabunku, co teraz zostało raz jeszcze potwierdzone.

Dowiedzieliśmy się też, że w domu Hodgesa miała miejsce jakaś bójka...

- „Jakaś bójka”? - powtórzyła Angela. - Wczoraj wieczorem policjanci z wydziału zabójstw odkryli, że morderca uganiał się za doktorem Hodgesem po całym domu, okładając go metalowym łomem, ponieważ krew ofiary opryskała wszystkie ściany. Doktor Hodges miał liczne obrażenia czaszki, złamany obojczyk i ramię. Wprost nie mogę w to uwierzyć! - zwróciła się do Davida i teatralnym gestem zalamala rękę.

- Dobrze, dobrze, przestań już - powiedział Wilson, próbując uspokoić żonę. Idąc tutaj, obawiał się, że Angela urządzi podobną scenę. Nie tolerowała niekompetencji.

- Ta sprawa potrzebuje świeżego spojrzenia - ciągnęła kobieta,

lekceważąc wysiłki męża. - Dzwoniono do mnie dzisiaj z zakładu medycyny sądowej z wiadomością, że ofiara miała pod paznokciami fragmenty skóry swojego zabójcy. Musiały się tam znaleźć podczas walki. Wszystko, czego teraz potrzebujemy, to podejrzany. Resztę załatwią testy porównawcze.

- Dziękuję, że poświęcili państwo tej sprawie tyle czasu - powiedział Robertson. - Doceniam to, że jesteście tak dbającymi o dobro społeczne obywatelami. Teraz jednak musicie mi wybaczyć: mam wiele pracy.

Robertson podszedł do drzwi i otworzył je. David nieomal siłą wyprowadził Angelę z gabinetu policjanta. Była to jedyna rzecz, jaką mógł uczynić, żeby powstrzymać ją od powiedzenia czegoś, czego później mogłaby żałować.

- Słyszałeś, o czym rozmawialiśmy? - zapytał Robertson, kiedy do biura zajrzał jeden z funkcjonariuszy.

- Piąte przez dziesiąte - odparł policjant.

- Nienawidzę ludzi, którzy przyjeżdżają do nas z wielkich miast - oświadczył Robertson. - Tylko dlatego, że skończyli Harvard albo jakąś inną dobrą uczelnię, uważają, że pozjadali wszystkie rozumy.

Z hukiem zamknął drzwi, przez które chwilę wcześniej wyszli Wilsonowie. Podniósł słuchawkę i nacisnął jeden z przycisków automatycznej pamięci.

- Wybacz, że zawracam ci głowę - powiedział, uzyskawszy połączenie - ale sądzę, że możemy mieć pewien problem.

- Jak śmiałaś potraktować mnie jak jakąś histeryczkę? - złościła się

Angela, kiedy wsiadali do samochodu.

- Szydzenie z szefa miejscowej policji nie jest rzeczą rozsądną -

**odrzekł poirytowany David. - Pamiętaj, że to małe miasteczko. Nie
potrzeba nam tu wrogów.**

- Brutalnie zamordowano człowieka i zamurowano w naszej

**piwnicy jego ciało, a policja nie ma nawet ochoty dowiedzieć się, kto to
uczynił! - wybuchnęła Angela. - Masz zamiar to tak zastawić?**

**- Zamordowanie Hodgesa, choć z pewnością jest czymś strasznym,
nie ma nic wspólnego z nami - oświadczył David. - To sprawa, którą
powinniśmy zostawić specjalistom.**

**- Co?! - zawołała Angela. - Ten człowiek został zakatowany na
śmierć w naszym domu, w naszej kuchni! Czy chcesz tego, czy nie, ta
sprawa bezpośrednio nas dotyczy. Chcę wiedzieć, kto to uczynił. Drzę na
myśl, że morderca chodzi sobie spokojnie ulicami tego miasta i mam
zamiar coś z tym zrobić. Po pierwsze, powinniśmy dowiedzieć się czegoś
więcej na temat Dennisa Hodgesa.**

**- Uważam, że jesteś nierozsądna i niepotrzebnie dramatyzujesz -
pokręcił głową David.**

- O tak, niewątpliwie dałeś już temu wyraz - zakpiła Angela.

**Ponownie ogarnęła ją złość, głównie na Robertsona, ale także
trochę na Davida. Miała ochotę powiedzieć mu, że on też nie jest takim
wzorem rozsądku i opanowania, za jaki się uważa, ugryzła się jednak w
język.**

Jedynie wolne miejsce, jakie znaleźli na parkingu, leżało z dala od

budynku szpitala. Zostawili samochód i ruszyli w stronę wejścia.

- Mamy już dostatecznie dużo zmartwień - stwierdził David. - Nie musimy jeszcze sprowadzać sobie na głowę dodatkowych kłopotów.

- W takim razie może powinniśmy wynająć kogoś, kto poprowadziłby śledztwo w naszym imieniu - powiedziała Angela.

- Chyba nie mówisz tego poważnie? - przestraszył się David. - Nie mamy aż tyle pieniędzy, by stać nas było na tak nonsensowne wydatki.

- Ja wcale nie uważam tego za nonsens - sprzeciwiła się Angela. -

Powtarzam ci: po tym mieście chodzi wolno morderca. Ktoś, kto był w naszym domu. Być może już się z nim nawet zetknęliśmy. Na samą myśl o tym przechodzą mnie ciarki.

- Angelo, proszę, daj spokój - westchnął z rezygnacją David. - Nie mamy do czynienia z seryjnym zabójcą. To, że go dotąd nie schwytano, nie jest aż takie straszne. Czy nigdy nie czytałaś o popełnianych w małych miastach zbrodniach, których sprawcy nie trafiają za kratki, nawet jeśli wszyscy wiedzą, kim jest zabójca? To skutek swoiście pojmowanej sprawiedliwości: opinia publiczna jest przekonana, że ofiara otrzymała to, na co zasłużyła. Zapewne Hodgesa nie darzono tutaj zbyt szacunkiem.

Weszli do szpitala i zatrzymali się na chwilę.

- Nic mnie nie obchodzi taka sprawiedliwość - powiedziała Angela. -

Uważam, że społeczeństwo ma obowiązek ścigać mordercę, niezależnie od tego, kim jest jego ofiara. Jesteśmy w końcu państwem prawa.

- Ty zaś przejmujesz się tym prawem aż za bardzo - dociał jej David,

uśmiechając się jednak pomimo ogarniającej go irytacji. - Zaraz pewnie

zrobisz mi wykład na temat ciężących na społeczeństwie obowiązków.

Twój idealizm wprawia mnie czasem w osłupienie, lecz mimo to Kocham

cię. - Pochylił się i cmoknął ją w policzek. - Porozmawiamy o tym później.

Ale teraz, proszę, uspokój się! Masz wystarczająco dużo problemów z

Wadleyem, by jeszcze dokładać sobie zmartwień.

Angela stała przez chwilę w holu i patrzyła, jak mąż, odchodząc,

macha jej na pożegnanie. W końcu skręcił w boczny korytarz i zniknął jej

z oczu. Jego nieoczekiwana czułość wzruszyła ją. Przez chwilę nie mogła

myśleć o niczym innym.

W kilka minut później siedziała już przy swoim biurku, próbując

skoncentrować się na pracy. Ciągle wracała myślami do rozmowy z

Robertsonem i czuła, jak ponownie ogarniają złość. Nie mogąc usiedzieć

w miejscu, wyszła z gabinetu. Postanowiła odszukać Paula Darnella. Był

tam gdzie zawsze: pochylony nad stosem płytek z pożywkami dla bakterii.

- Od dawna mieszkasz w Bartlet? - zapytała go.

- Całe życie. Wyjąwszy cztery lata, które spędziłem w collegu, cztery

lata studiów medycznych, cztery stażu i dwa służby w marynarce.

- Mimo to uważasz się za kogoś miejscowego.

- Tak. Ale wyłącznie dlatego, że Damellowie mieszkają w tym

mieście od pokoleń. Angela podeszła bliżej i pochyliła się nad biurkiem

Paula.

- Przypuszczam, że słyszałeś plotki na temat znalezionego w moim

domu trupa - powiedziała.

Paul potakująco skinął głową.

- Ta sprawa nie daje mi spokoju - wyznała. - Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, bym zadała ci kilka pytań?

- Ależ skąd - odparł Paul.

- Znałeś Dennisa Hodgesa? - Oczywiście.

- Jaki on był?

- Był starym dziwakiem o denerwującym sposobie bycia, którego śmierci bardzo niewielu ludzi żałuje - powiedział Paul. - Miał wyjątkowy talent do robienia sobie wrogów.

- W jaki sposób został administratorem szpitala? - zapytała Angela.

- Z braku innego kandydata. Kierował szpitalem w czasie, kiedy żaden inny lekarz nie chciał wziąć na siebie tej odpowiedzialności.

Wszyscy uważali, że szkoda ich medycznej wiedzy i umiejętności na zajmowanie się czymś tak błahym jak zarządzanie szpitalem. Hodges miał więc wolną rękę i rządził tu niczym udzielny książę. Dzięki współpracy z licznymi uczelniami podniósł prestiż tej placówki, przekształcając ją w duże centrum medyczne. W kryzysowych sytuacjach inwestował nawet w ten szpital własne pieniądze. Był chyba jednak najgorszym dyplomatą na świecie i nie dbał o ludzi, zwłaszcza gdy kolidowało to z interesami szpitala.

- Jak wtedy, gdy szpital przejął kontrolę nad patologią i radiologią?

- zapytała Angela.

- Właśnie - przytaknął Paul. - Z punktu widzenia szpitala było to doskonale posunięcie, stało się ono jednak przyczyną licznych animozji.

Również moje dochody zostały w ten sposób ograniczone. Pogodziłem się z tym, ponieważ moja rodzina chciała pozostać w Bartlet, ale inni lekarze albo próbowali wymusić na Hodgesie zmianę decyzji, albo też po prostu przenosili się gdzie indziej. Tak, ten człowiek narobił sobie naprawdę mnóstwo wrogów.

- Doktor Cantor także został w Bartlet - zauważyła Angela.

- Tak, ale tylko dlatego, że namówił Hodgesa na podpisanie *joint venture* między nim a szpitalem w celu stworzenia tutaj światowej klasy centrum badawczego. W ten sposób Cantor mógł nadal zarabiać bardzo dużo pieniędzy. Ale to był wyjątek.

- Rozmawiałam dzisiaj z Wayne'em Robertsonem - powiedziała Angela. - Odniosłam wrażenie, że nie stara się on posunąć śledztwa w sprawie zabójstwa Hodgesa nawet o krok.

- Wcale mnie to nie dziwi - stwierdził Paul. - Nie ma społecznej presji, która skłaniałaby go do rzetelnego zajęcia się tą sprawą. Żona Hodgesa wróciła wszak do Bostonu, a trzeba pamiętać, że i przed jego śmiercią niewiele interesowała się mężem. Na dobrą sprawę przez ostatnie kilka lat mieszkali już osobno. Co więcej, Robertson sam mógł dokonać tego morderstwa - zawsze nienawidził Hodgesa. W dniu, kiedy stary doktor zniknął, nawet się posprzeczali.

- Jakie było źródło tej wrogości?

- Robertson winił go za śmierć swojej żony - wyjaśnił Darnell.

- Był jej lekarzem?

- Nie, prawie nie prowadził własnej praktyki. Cały swój czas

poświęcał na zarządzanie szpitalem. Ale jako dyrektor tej placówki pozwolił pracować tu doktorowi Wernerowi Van Slyke, mimo iż wszyscy wiedzieli o jego problemach z alkoholem. Lekarz ten operował żonie Robertsona wyrostek robaczkowy i operacja się nie udała. Robertson winił za to Hodgesa. To całkowicie irracjonalne, ale z nienawiścią dość często tak bywa.

- Czuję, że ustalenie, kto zabił Hodgesa, nie będzie łatwą sprawą.

- Masz całkowitą rację - zgodził się Paul. - Sprawa Hodges- Van Slyke miała jeszcze swój ciąg dalszy. Hodges przyjaźnił się z Traynorem, który obecnie pełni funkcję prezesa zarządu szpitala. Siostra Traynora zaś była żoną Van Slyke'a i kiedy Hodges w końcu wyrzucił go z pracy...

- Rozumiem - przerwała mu Angela, unosząc dłoń. - To wszystko wyjaśnia. Bardzo mi pomogłeś. Nie pojmuję jedynie, jak mieszkańcy miasta mogli się na to wszystko godzić.

- To mała miejscowość - powiedział Paul. - Niektóre rodziny żyją tu już od bardzo dawna. Są ze sobą spokrewnione... Czasem przypomina to wręcz kazirodcze związki - zaśmiał się. - Główny problem polega jednak na tym, że większości ludzi Hodges w ogóle nie obchodził. Kiedy więc zniknął, nikt się tym specjalnie nie przejął.

- Ale to nie zmienia faktu, że morderca wciąż pozostaje na wolności

- przypomniała mu Angela. - A jest to człowiek zdolny do największego okrucieństwa.

- Prawdopodobnie masz całkowitą rację.

- Nie podoba mi się to - stwierdziła kobieta, czując przebiegający jej

po krzyżu zimny dreszcz. - Ten człowiek był w moim domu.

Niewykluczone nawet, że wielokrotnie. Prawdopodobnie doskonale zna rozkład tego budynku.

- Wiem, co czujesz - pokiwał głową Paul. - Pewnie na twoim miejscu czułbym się podobnie. Cóż jednak możesz zrobić? Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej o Hodgesie, porozmawiaj z Bartonem Sherwoodem. Jest dyrektorem banku i zna tu wszystkich. Poznał Hodgesa szczególnie dobrze, odkąd zasiadł w zarządzie szpitala. Wcześniej członkiem zarządu był także jego ojciec.

Angela wróciła do swego gabinetu i próbowała zająć się pracą, ciągle jednak nie mogła się skupić. Nie potrafiła oderwać myśli od Hodgesa. Sięgnęła po słuchawkę i zadzwoniła do Bartona Sherwooda.

Pamiętała, z jaką życzliwością potraktował ich, kiedy kupowali dom.

- Doktor Wilson - wesóło zadzwęczał w słuchawce głos Sherwooda.

- Jak miło panią słyszeć. Czy dobrze się państwu mieszka w ich pięknym domu?

- Ogólnie nieźle - odrzekła Angela. - Jest jednak coś, o czym chciałabym z panem pomówić. Czy zechciałby mi pan poświęcić kilka minut, gdybym przyjechała do banku?

- Ależ oczywiście - odrzekł Sherwood. - W każdej chwili.

- W takim razie wkrótce u pana będę.

Powiadomiła sekretarkę, że niedługo wróci, i opuściła szpital.

Dziesięć minut później siedziała już w gabinecie Sherwooda. Wydało jej się, że zaledwie wczoraj ona, David i Nikki przyjechali tu, by ustalić

warunki kupna ich pierwszego domu.

Bez żadnych wstępów przystąpiła do rzeczy. Wyznała, że bardzo przygnębia ją myśl, że Hodges został zamordowany właśnie w jej domu, a także, że morderca nadal pozostaje na wolności. Wyraziła nadzieję, że Sherwood zechce jej pomóc.

- Pomóc? - zdziwił się mężczyzna. Odchylił się do tyłu na skórzanym fotelu i wsunął dłonie w kieszenie marynarki.

- Miejskowa policja robi wrażenie, jakby nie zależało jej na wyjaśnieniu tej zbrodni - oświadczyła Angela. - Znając pana pozycję w tym mieście, wystarczyłoby zapewne jedno pańskie słowo, by rozpoczęli normalne śledztwo.

Sherwood poprawił się na krześle. Jej uwaga wyraźnie mu pochlebiała.

- Jestem pani wdzięczny za zaufanie - powiedział - ale naprawdę nie sądzę, by miała pani jakieś powody do obaw. Hodges nie jest przypadkową ofiarą niezrównoważonego mordercy czy seryjnego zabójcy.

- Skąd taka pewność? - zapytała Angela. - Czy to znaczy, że wie pan, kto go zabił?

- Na Boga, nie! - odparł nerwowo Sherwood. - Niczego takiego nie sugerowałem... To znaczy... Cóż, sądzę... że nie ma powodu, by pani rodzina czuła się zagrożona.

- Czy wielu ludzi wie, kto zamordował Hodgesa? - zapytała Angela, przypominając sobie słowa Davida na temat swoistego pojmovania

W drodze powrotnej do szpitala Angela zastanawiała się, co powinna teraz uczynić. Ani trochę nie zgadzała się z Sherwoodem. Poza tym im więcej dowiadywała się o sprawie Hodgesa, tym bardziej pragnęła wyjaśnić ją do końca. Mimo to nie miała ochoty na spotkanie z Cantorem - nie po rozmowie, jaką odbyła z nim poprzedniego dnia.

Po powrocie do pracy udała się prosto do tej części laboratorium, gdzie przygotowywano preparaty do badania. Zdążyła dokładnie na czas: właśnie skończono szykować dla niej próbki tkanek, na które czekała od rana. Zabrała tacę z preparatami i pośpieszyła na górę.

Gdy tylko weszła do gabinetu, w drzwiach pojawił się Wadley.

Podobnie jak poprzedniego dnia był mocno podenerwowany.

- Przed chwilą szukałem cię za pomocą pagera - oświadczył zirytowany. - Gdzie się, u diabła, podziewałaś?

- Musiałam złożyć krótką wizytę w banku - odparła nerwowo

Angela, czując, jak drżą jej kolana. Obawiała się, że Wadley ponownie może stracić panowanie nad sobą.

- Ogranicz odwiedziny w banku do pory lunchu - polecił jej przełożony. Wahał się przez chwilę, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, w końcu jednak, nie odezwawszy się już ani słowem, cofnął się w głąb swego gabinetu i zamknął drzwi.

Angela odetchnęła z ulgą.

Sherwood nie podniósł się zza biurka, by odprowadzić Angelę.

Zastanawiał się, co powinien uczynić. Denerwowało go, że ta kobieta robi tyle zamieszania wokół sprawy Hodgesa. Miał nadzieję, że nie powiedział

nic, czego później mógłby żałować.

Po chwili namysłu sięgnął po słuchawkę telefonu. Uznał, że najlepiej będzie, jeśli nie zrobi nic prócz przekazania informacji.

- Właśnie wydarzyło się coś, o czym powinieneś wiedzieć - powiedział, uzyskawszy połączenie. - Przed chwilą złożyła mi wizytę zatrudniona od niedawna w szpitalu lekarka. Chciała dowiedzieć się czegoś o doktorze Hodgesie...

David skończył przyjmować ostatnich zaplanowanych na ten dzień pacjentów, podyktował kilka listów i pośpiesznie udał się do szpitala na swój spóźniony popołudniowy obchód. Pełen obaw zostawił wizytę u Mary Ann Schiller na koniec. Intuicja podpowiadała mu, że stan tej pacjentki jeszcze się pogorszył.

Niska początkowo temperatura chorej rosła powoli i teraz wynosiła nieco powyżej trzydziestu ośmiu stopni Celsjusza. Zaniepokoiło to Davida, tym bardziej że gorączka wystąpiła w czasie, kiedy Mary Ann podawano antybiotyki, ale było coś, co martwiło go znacznie bardziej: jej utraty świadomości.

Nie tylko trudno było ją obudzić i sprawić, by raz obudzona nie zasypiała ponownie, ale także nie udawało się skupić na sobie jej uwagi ani też skłonić do odpowiadania na pytania. Była całkowicie nieświadoma czasu ani miejsca, w jakim się znajdowała, nie potrafiła nawet powiedzieć, jak się nazywa.

David przewrócił ją na bok i osłuchał jej klatkę piersiową. Symfonia szmerów i szelestów, jaka zabrzmiała w słuchawce stetoskopu, wprawiła

go w panikę. Chora miała ostre obustronne zapalenie płuc. Jej stan przypominał rozwój choroby u Johna Tarlowa.

Pośpiesznie udał się do dyżurki, prosząc o wykonanie analizy krwi i prześwietlenie klatki piersiowej Mary Ann. W karcie chorobowej pacjentki nie znalazł nic szczególnego. Zrobione w ciągu dnia notatki informowały, że wszystko było z nią w porządku.

Wyniki badań nadeszły bardzo szybko, wskazując na znaczny spadek ilości białych krwinek, które mogłyby ewentualnie odeprzeć atak rozwijającej się pneumonii. Powtarzał się ten sam scenariusz co w przypadku Kleber i Tarlowa. Prześwietlenie płuc wykazało w obu ostry stan zapalny.

Zdenerwowany David zadzwonił do doktora Mieslicha, onkologa, by telefonicznie zasięgnąć jego porady. Po przykrościach, jakich doznał ze strony Kelleya, nie miał ochoty zwoływać konsylium.

Jednak, nie widząc pacjentki, doktor Mieslich niewiele mógł mu pomóc. Potwierdził, że kiedy ostatnim razem badał Mary Ann, nie skarżyła się ona na żadne dolegliwości związane z rakiem jajnika.

Zaznaczył wszakże, że ów nowotwór ma charakter złośliwy i że w każdej chwili można się spodziewać przerzutów.

Zanim jeszcze David skończył rozmawiać z onkologiem, w drzwiach dyżurki stanęła pielęgniarka, krzycząc, że Mary Ann ma konwulsje.

Rzuciwszy słuchawkę, pobiegł do pokoju chorej. Mary Ann rzeczywiście dostała napadu drgawek. Plecy miała wygięte w łuk, a ręce i nogi rytmicznie uderzały o prześcieradło. Na szczęście nie wyrwała sobie przy

tym igły od kroplówki, dzięki czemu David mógł szybko powstrzymać atak za pomocą podanego dożylnie lekarstwa. Najgorsze było jednak to, że nawet ogarnięta konwulsjami, Mary Ann nie odzyskała świadomości.

Po powrocie do dyżurki David zadzwonił do doktora Pricharda, neurologa CMV. Ponieważ akurat był on w szpitalu na obchodzie, przybył natychmiast. Usłyszawszy o drgawkach oraz zapoznawszy się z historią choroby kobiety, poradził Davidowi, by zlecił wykonanie badań za pomocą aparatu CAT lub MRI, zależnie od tego, który z nich jest akurat wolny. Obiecał także zajrzeć raz jeszcze do pacjentki, gdy tylko skończy własne zajęcia.

David wysłał Mary Ann do Imaging Center w celu przeprowadzenia badania aparatem MRI, prosząc, by towarzyszyła jej cały czas jakaś pielęgniarka na wypadek ponownych konwulsji. Następnie po raz drugi zadzwonił do onkologa i opowiedziawszy, co się stało, poprosił o formalną konsultację. Podobnie jak uczynił to w przypadku Kleber i Tarlowa, wezwał także doktora Hasselbauma, specjalistę od chorób zakaźnych.

Martwił się ogromnie o reakcję Kelleya na zwołanie kolejnego konsylium złożonego z nie należących do CMV lekarzy, uznał jednak, że nie ma innego wyjścia. Postanowił nie pozwolić, by lęk przed przełożonym powstrzymywał go od podjęcia decyzji mogących rzucić światło na przyczynę konwulsji, jakim uległa Mary Ann.

Gdy tylko powiadomiono go, że aparat MRI jest wolny, udał się do Imaging Center. W sali obserwacyjnej spotkał się z neurologiem. Siedząc

obok Cantora, w milczeniu oglądał pojawiające się kolejno obrazy. Był zdumiony, że nie dostrzegł żadnych przerzutów - gotów był wszak przysiąc, że to właśnie one spowodowały atak drgawek.

- W tej sytuacji nie umiem powiedzieć, czemu pacjentka miała konwulsje - przyznał doktor Prichard. - Mógł je wprawdzie wywołać mikroskopijnej wielkości czop zatorowy, ale to tylko przypuszczenia.

Także onkolog zdziwiony był wynikami badania MRI.

- Niewykluczone, że istnieją jakieś zmiany organiczne, zbyt małe, by aparat MRI zdołał je wykryć - powiedział niepewnie.

- Ta maszyna ma fantastyczną rozdzielczość - zaproponował doktor Cantor. - Jeśli przerzuty nowotworu są zbyt małe, by można je wykryć za pomocą tego urządzenia, to prawdopodobieństwo, iż byłyby w stanie wywołać napad drgawek, jest nadzwyczaj nikle.

Specjalista chorób zakaźnych niewiele mógł dodać do opinii innych konsultantów, ale to, co miał do powiedzenia, nie brzmiało zbyt optymistycznie. Potwierdził diagnozę Davida, że chora ma obustronne zapalenie płuc. Jego zdaniem bakteria, która je spowodowała, należała do gramujemnego typu mikrobów i była podobna, choć nie identyczna, jak mikroorganizm, który wywołał pneumonię u Kleber i Tarłowa. Co gorsza, jego zdaniem Mary Ann doznała także wstrząsu septycznego.

David zarządził, by chora z Imaging Center trafiła prosto na oddział intensywnej terapii, nalegał także na zastosowanie najsilniejszych z możliwych lekarstw. Konsylium wybrało najodpowiedniejsze dla niej antybiotyki i zwróciło się do dyżurnego anestezjologa z prośbą o zbadanie

jej układu oddechowego. Mary Ann wciągała w płuca powietrze z takim wysiłkiem, że konieczne stało się podłączenie jej do respiratora.

Gdy wszystko, co można było uczynić dla pacjentki, zostało już zrobione, konsultanci pożegnali się i rozeszli. David był zupełnie oszołomiony. Miał do swoich chorych na nowotwory pacjentów stosunek znacznie bardziej emocjonalny, niż początkowo sądził. Opuścił oddział intensywnej terapii i by podnieść się nieco na duchu, wstąpił raz jeszcze do sali Jonathana. Dzięki Bogu, Eakins czuł się wspaniale.

- Mogę skarżyć się tylko na jedno - stwierdził pacjent. - Moje łóżko ma swoje kaprysy i czasem, kiedy naciskam guzik, nic się nie dzieje. Nie podnosi się podglówek ani nie opuszcza podpórka na nogi.

- Zajmę się tym - obiecał mu lekarz.

Na szczęście problem ów dał się łatwo rozwiązać. David poszedł do dyżurki i przekazał przełożonej popołudniowej zmiany pielęgniarek, Dorze Maxfield, skargę pacjenta.

- Nie tylko jego łóżko się psuje - przyznała Dora. - Ten stary sprzęt często sprawia nam kłopoty. Dziękuję jednak, że nas pan zawiadomił.

Natychmiast zajmę się tą sprawą.

Ponieważ słońce skryło się za horyzontem, natychmiast spadła temperatura, lecz mimo to David z przyjemnością wsiadł na rower. Czuł, że chłodne powietrze ma na niego zbawienny wpływ.

W domu zastał spore zamieszanie. Z wizytą do Nikki przyszli Caroline i Arni i teraz cała trójka szalala wraz z Rustym po wszystkich pokojach. David przyłączył się do ich zabawy, szczęśliwy, że może choć na

chwilę oderwać myśli od szpitala.

Okolo siódmej Angela poprosiła męża, by odwiózł Caroline i

Arniego do domów. Nikki postanowiła jechać razem z nimi, co bardzo

ucieszyło Davida, rzadko bowiem miał okazję porozmawiać z córką sam

na sam. Kiedy zostali we dwoje, zapytał ją o szkołę i nowego nauczyciela.

Chciał też wiedzieć, czy często zdarza jej się myśleć o odkrytych w piwnicy
zwłokach.

- Niekiedy - odparła Nikki.

- Jak się wtedy czujesz?

- Mam ochotę nigdy więcej nie schodzić do piwnicy.

- Rozumiem - uśmiechnął się David. - Wczoraj wieczorem, kiedy
poszedłem tam po drewno do kominka, także poczułem się trochę
nieswojo.

- Naprawdę?

- Pewnie - potwierdził David. - Mam jednak pewien zabawny
pomysł, który mógłby nam pomóc. Interesuje cię to?

- Jasne! - odparła dziewczynka z entuzjazmem. - Co to takiego?

- Ale nie wolno ci o tym nikomu powiedzieć - ostrzegł Wilson.

- W porządku - obiecała Nikki. Ojciec wyjawiał jej swoje plany.

- Co na to powiesz? - zapytał na koniec.

- Świetny pomysł.

- Pamiętaj, że to sekret - przypomniał jej David.

- Nie zdradzę go nikomu - przyrzekła.

Po powrocie do domu David zadzwonił na oddział intensywnej

terapii, aby zapytać, jak czuje się Mary Ann. Nie chciał, by powtórzyła się sytuacja, kiedy to dyżurne pielęgniarki nie zauważyły pogorszenia się stanu dwojga jego umierających pacjentów.

- Nie zauważyliśmy nic niepokojącego, jeśli chodzi o panią Schiller - powiedziała pielęgniarka z oddziału intensywnej terapii. Wymieniła wszystkie dawane przez pacjentkę oznaki życia, podała wyniki testów laboratoryjnych, a nawet częstotliwość, z jaką pracował jej respirator. Profesjonalizm jej wypowiedzi upewnił lekarza, że Mary Ann znajduje się pod dobrą opieką.

Celowo unikając stołu kuchennego, który wciąż przypominał jej o dokonanych poprzedniego dnia przez policję odkryciach, Angela podała obiad w jadalni. Skąpo umeblowany pokój wydawał się większy, niż był w istocie, szczególnie gdy siedziały w nim tylko trzy osoby. Angela starała się jednak uczynić to miejsce przytulniejszym, rozpalając ogień w kominku i stawiając na stole świece. Nikki narzekała, że jest tak ciemno, iż ledwie widzi jedzenie.

Po obiedzie dziewczynka poprosiła o pozwolenie na obejrzenie półgodzinnego programu w telewizji. David i Angela zgodzili się na to, pragnąc jeszcze przez chwilę pozostać przy stole sam na sam.

- Nie chcesz mnie zapytać, jak upłynęło mi popołudnie? - spytała Angela.

- Ależ tak. No więc?

- Interesująco. - Opowiedziała mu o rozmowie z Paulem Darnellem i Bartonem Sherwoodem na temat Dennisa Hodgesa. Przyznała, że mąż

mógł mieć rację, twierdząc, iż niektórzy ludzie w mieście wiedzą, kto jest sprawcą tego zabójstwa.

- Dziękuję, że zwróciłaś mi honor - powiedział David. - Ale nie podoba mi się to, że wypytujesz ludzi o Hodgesa.

- Czemu? - zdziwiła się Angela.

- Z wielu przyczyn, głównie zaś dlatego, że oboje mamy teraz na głowie większe zmartwienia. Ale poza tym, czy nie przyszło ci na myśl, że jednym z twych rozmówców może być sam morderca?

Angela przyznała, że o tym nie pomyślała, jednak zapatrzony w ogień mężczyzna już jej nie słuchał.

- Wyglądasz na przygnębitego - powiedziała, przyglądając mu się uważnie. - Czy coś się stało?

- Kolejna moja pacjentka walczy o życie na oddziale intensywnej terapii.

- Przykro mi.

- Jeszcze jedna tragedia - szepnął David drżącym ze zdenerwowania głosem. - Próbowałem się z tym jakoś pogodzić, ale nie mogę. Stan chorej jest bardzo ciężki. Szczerze mówiąc, obawiam się, że umrze, podobnie jak stało się to wcześniej z Kleber i Tarlowem. Nie wiem, co robić. Być może nie powinienem był wybierać tego zawodu.

Angela wstała i objęła Davida ramieniem.

- Jesteś wspaniałym lekarzem - powiedziała. - Masz prawdziwe powołanie. Pacjenci cię kochają.

- Nie wtedy, gdy umierają. Kiedy siedzę w moim gabinecie, w tym

samym miejscu, gdzie doktor Portland popełnił samobójstwo, myślę czasem, że wiem, czemu to uczynił.

- Nie chcę, żebyś tak mówił! - zawołała Angela, potrząsając ramieniem męża. - Czyżbyś znowu rozmawiał z Kevinem Yansenem?

- Nie na temat Portlanda - odparł Wilson. - Zresztą mam wrażenie, że przestał się on już interesować tą sprawą.

- Czujesz, że wpadasz w depresję?

- Niekiedy - przyznał David. - Ale na razie mam jeszcze nad tym kontrolę.

- Obiecuj, że powiesz mi, gdybyś zaczął ją tracić - poprosiła Angela.

- Przyrzekam - skinął głową David.

- Co dolega tej twojej pacjentce? - zapytała Angela, na powrót siadając przy stole.

- To właśnie wprawia mnie w takie przygnębienie - odrzekł David. -

Naprawdę nie wiem. Skierowałem ją do szpitala z powodu zapalenia zatok, które pod wpływem antybiotyków ustąpiło. Z nie wyjaśnionej przyczyny zapadła jednak na zapalenie płuc. Jeszcze wcześniej zaś zaczęła tracić przytomność. Nie można było nawiązać z nią kontaktu, a w końcu dostała napadu drgawek. Zwołałem konsylium złożone z neurologa, onkologa i specjalisty chorób zakaźnych, ale ci lekarze nie mają zielonego pojęcia, czemu stan jej zdrowia tak się pogorszył.

- Nie powinieneś tego wszystkiego tak bardzo przeżywać - powiedziała Angela.

- Łatwo ci mówić. W końcu to ja przecież ponoszę za to

odpowiedzialność. Jestem jej lekarzem.

- Żałuję, że nie mogę ci pomóc - westchnęła kobieta.

- Dziękuję ci. - David ujął dłoń żony i uściskał ją lekko. - Doceniam twoją troskę o mnie, niestety jedyna rzecz, jaką możesz dla mnie zrobić, to zrozumieć, czemu nie mam ochoty zagłębiać się w sprawę śmierci Hodgesa.

- Ale nie mogę przecież tak tego zostawić - upierała się Angela.

- Ale to może być niebezpieczne - nie ustępował David. - Nie wiesz, z kim masz do czynienia. Kimkolwiek jest morderca Hodgesa, niewykluczone, że poczuje się zagrożony twoim zainteresowaniem tą sprawą. Kto wie, co wówczas uczyni? Pamiętaj, jak brutalna była to zbrodnia.

Angela popatrzyła w płonący na kominku ogień, skupiając wzrok na rozpalonych do białości prętach rusztu. Potencjalne niebezpieczeństwo grożące jej rodzinie stanowiło przecież powód, dla którego pragnęła wykryć sprawcę dokonanego w ich domu zabójstwa. Nie przyszło jej do głowy, że prowadzone na własną rękę śledztwo może stanowić dla jej bliskich jeszcze większe zagrożenie. Przed oczyma raz jeszcze pojawił się jej widok jarzących się w ciemności, spryskanych luminolem ścian kuchni oraz rentgenowskie zdjęcia zmiażdżonej czaszki Hodgesa w sali autopsyjnej zakładu medycyny sądowej. Wiedziała, że David ma rację: nie należało prowokować człowieka zdolnego do popełnienia tak brutalnego morderstwa.

Sobota, 23 października

Martwiąc się o stan Mary Ann, David wstał jeszcze przed świtem, i nie budząc Angeli ani Nikki, wymknął się z domu. Kiedy słońce uniosło się o cal nad horyzontem, przejeżdżał już na rowerze przez most na rzece Roaring. Było równie chłodno jak poprzedniego dnia. Pola i nagie gałęzie drzew pokrywała misterna koronka siwego szronu.

Tak wczesny przyjazd lekarza wprowadził w zdumienie dyżurny personel z oddziału intensywnej terapii. Stan Mary Ann niewiele się zmienił, tyle tylko, że dręczyła ją silna biegunka. Davida zdumiało to, z jakim oddaniem pielęgniarki zajmowały się jego pacjentką. Czuł ogromną wdzięczność za ich współczucie dla chorej i pełną poświęcenia pracę.

Raz jeszcze od początku przejrzał kartę chorobową Mary Ann, ale nie doszedł do żadnych nowych wniosków. W końcu zadzwonił nawet do jednego z profesorów z Bostonu, o którym wiedział, że zawsze bardzo wcześnie wstaje.

Wysłuchawszy

opisu

objawów,

naukowiec

bezinteresownie zaproponował, że może natychmiast przyjechać do szpitala w Bartlet. Davida ogromnie wzruszyła taka postawa.

Czekając na przybycie profesora, udał się na obchód, by sprawdzić, jak czują się jego pozostali pacjenci. Wszyscy mieli się dobrze. Rozważał

nawet, czy nie wypisać Jonathana Eakinsa do domu, postanowił jednak zatrzymać go jeszcze jeden dzień. Chciał upewnić się, że jego kłopoty z sercem skończyły się definitywnie.

Kiedy kilka godzin później profesor przyjechał do szpitala, David przedstawił mu przypadek Mary Ann, tak jak zwykł to czynić niegdyś podczas praktyki na studiach. Profesor wysłuchał go uważnie, starannie zbadał pacjentkę, po czym szczegółowo przejrzał jej kartę chorobową. Nawet on jednak nie wniósł żadnych nowych spostrzeżeń. David odprowadził go do samochodu, gorąco dziękując za przyjazd.

Nie mając nic więcej do roboty w szpitalu, wrócił do domu. Po pamiętnej, nieprzyjemnej wymianie zdań z Kevinem Yansenem przy grze w tenisa, unikał rozgrywanych w sobotnie poranki meczy koszykówki i uznał, że w obecnym stanie ducha najlepiej z niego zrezygnuje, nie wracając jeszcze w tym tygodniu na boisko.

Gdy wszedł do domu, Angela i Nikki kończyły właśnie śniadanie.

David zażartował, że obie straciły już pół dnia. Podczas gdy żona pomagała córce w ćwiczeniach oddechowych, zszedł do piwnicy i usunął pozostawioną przez policję żółtą taśmę. Następnie prowadzącymi na zewnątrz budynku schodami wyniósł na podwórko kilka zimowych okien.

Kiedy kończył zakładać ostatnie z nich, pojawiła się Nikki.

- Kiedy jedziemy do...? - nie dokończyła pytania.

David położył palec na ustach, nakazując córce milczenie i wskazując na znajdujące się tuż obok okno kuchni, po której kręciła się Angela.

- Gdy tylko zrobimy z tym porządek - odrzekł.

Pozwolił córce poznosić razem z nim do piwnicy pozdejmowane z zawiasów okiennice. Byłoby mu wprawdzie łatwiej zrobić to samemu, ale Nikki cieszyła się, że może mu pomóc. Ułożyli je dokładnie w tym miejscu, gdzie poprzednio znajdowały się zimowe okna.

Po skończeniu pracy powiedzieli Angeli, że wybierają się na rowerach do miasta po zakupy. Angela cieszyła się, widząc, jak bardzo raduje ich ta wyprawa, choć wciąż nie mogła przełamać dręczącego ją uczucia lęku.

Kiedy została sama, zrobiło jej się jeszcze bardziej nieswojo.

Niepokoił ją każdy dźwięk wydawany przez pusty dom. Próbowwała skupić się na czytaniu książki, ale wkrótce wstała, by zamknąć drzwi na klucz i sprawdzić, czy gdzieś nie zostało otwarte okno. Kiedy znalazła się w kuchni, nie potrafiła powstrzymać się przed wyobrażeniem sobie, jak wyglądały ściany tego pomieszczenia zbryzgane krwią.

- Nie mogę w ten sposób żyć - powiedziała głośno, uświadamiając sobie, w jaką popada paranoję. - Cóż jednak mam zrobić?

Podeszła do stołu kuchennego i popatrzyła na jego nogi, wyszorowane najsilniejszym detergentem, jaki udało jej się kupić.

Przeciągnęła paznokciem po lakierze,- zastanawiając się, czy teraz też jarzyłby się w ciemności, gdyby pokryto go luminolem. Myśl, że morderca Hodgesa pozostaje na wolności, nadal budziła w niej sprzeciw, wzięła sobie jednak do serca ostrzeżenie Davida, że tropiąc tego człowieka, może ściągnąć na siebie niebezpieczeństwo.

Przejrzała książkę telefoniczną, szukając w niej hasła „prywatni detektywi”, ale niczego takiego nie znalazła. Sprawdziła zatem pod „detektywi” i natknęła się tam na długą listę nazwisk. W większości były to nazwiska ludzi specjalizujących się w ochronie mienia i nazwy firm ochroniarskich, ale nie zabrakło także kilku prywatnych detektywów. Biuro jednego z nich - niejakiego Phila Calhouna - znajdowało się w Rutland, miejscowości położonej bardzo blisko Bartlet.

Nie zastanawiając się zbyt długo, Angela wykręciła podany numer.

Mężczyzna, który podniósł słuchawkę, miał ochryply, gruby głos i mówił bardzo powoli.

Ponieważ Angela nie zastanowiła się wcześniej nad tym, co chce powiedzieć, dość nieskładnie poinformowała swego rozmówcę, że pragnie zlecić śledztwo w sprawie morderstwa.

- Brzmi to interesująco - odrzekł Calhoun.

Kobieta próbowała wyobrazić sobie, jak wygląda człowiek znajdujący się na drugim końcu linii telefonicznej. Sądząc z głosu, był potężnym mężczyzną, o szerokich ramionach, ciemnych włosach i - być może - niewielkim wąsiku.

- Może powinniśmy się spotkać - zaproponowała.

- Chce pani, żebym do niej przyjechał, czy też woli zobaczyć się ze mną w moim biurze?

Angela zawahała się. Po chwili uznała jednak, że David nie powinien dowiedzieć się - przynajmniej na razie - o jej poczynaniach, zatem lepiej będzie umówić się z detektywem u niego.

- Sama do pana przyjadę - powiedziała.

- Będę czekał - obiecał Calhoun, po czym wytłumaczył jej, jak znaleźć jego biuro.

Angela przebrała się i napisała kartkę do Davida i Nikki, że także pojechała na zakupy.

Biuro Calhouna mieściło się w jego domu. Znalazła je bez trudu. Na podjeździe zauważyła furgonetkę, która na dachu szoferki wmontowane miała wsporniki pod karabiny, a jej tylną klapę zdobił napis: „Ten samochód wspiął się na Mount Washington”.

Phil Calhoun zaprosił ją do salonu i wskazał jej miejsce na kanapie.

Daleko odbiegał od romantycznego wyobrażenia na temat prywatnego detektywa. Choć był w istocie potężnie zbudowany, miał sporą nadwagę i liczył sobie znacznie więcej lat, niż sądziła, rozmawiając z nim przez telefon. Na oko dobiegał sześćdziesiątki. Twarz miał nieco nalaną, ale szare oczy były bystre i inteligentne. Miał na sobie czarno-białą wełnianą koszulę oraz bawełniane robocze spodnie, podtrzymywane przez czarne szelki. Na głowie nosił czapkę ze znajdującym się tuż ponad daszkiem napisem „Roscoe Electric”.

- Czy będzie pani przeszkadzało, jeśli zapalę? - zapytał, sięgając po pudełko cygar marki „Aritonio y Cleopatra”.

- To pański dom - odparła Angela.

- Niech mi pani opowie, co to za historia z tym morderstwem - poprosił, siadając w fotelu.

Angela zwięźle wyjaśniła mu w czym rzecz.

- Całkiem ciekawe - przyznał Calhoun. - Chętnie zajmę się tą sprawą. A teraz jeśli chodzi o mnie: jestem emerytowanym oficerem policji stanowej i wdowcem. To chyba wszystko. Jakies pytania?

Angela przez chwilę przyglądała się palącemu cygaro mężczyźnie.

Jak większość mieszkańców Nowej Anglii był lakoniczny, ale sprawiał wrażenie człowieka rzeczowego, co bardzo ceniła. Nie mogła w żaden sposób ocenić jego kompetencji, uznała jednak, że praca w policji stanowej była nie najgorszą rekomendacją.

- Dlaczego zrezygnował pan ze służby? - zapytała.

- Przymusowa emerytura - odparł.

- Czy kiedykolwiek prowadził pan śledztwo w sprawie morderstwa?

- Nie jako prywatny detektyw - odrzekł szczerze.

- Jakiego typu sprawami zwykle się pan zajmuje?

- Awanturami małżeńskimi, kradzieżami w sklepach, bijatykami w barach i tym podobnymi rzeczami.

- Uważa pan, że nadaje się do tej sprawy?

- Bez wątpienia - skinął głową. - Pochodzę z małego miasteczka w

Vermont, bardzo przypominającego Bartlet. Jestem podobny do jego

mieszkańców; do licha, znam nawet osobiście kilku z nich. I znam ten

rodzaj trwającej latami nienawiści, który często popycha ludzi do

najokrutniejszych czynów. Jestem właściwym człowiekiem również

dlatego, że mogę zadawać pytania bez ryzyka, iż zostanę potraktowany jak

ktoś, kto wścibia nos w nie swoje sprawy.

Wracając do Bartlet, Angela zastanawiała się, czy słusznie

postąpiła, wynajmując Phila Calhouna. Myślała też, jak powiedzieć o tym mężowi.

W domu zdenerwowała się, ponieważ zastała Nikki samą - David pojechał do szpitala zobaczyć, jak miewają się jego pacjenci. Zapytała córkę, czy ojciec próbował przynajmniej poprosić Alice, by została z dziewczynką przez czas jego nieobecności.

- Nie - odrzekła Nikki. - Tatuś mówił, że wkrótce wróci, a jeśli nawet nie, to i tak lada moment pojawisz się ty - wyjaśniła beztrąsko.

Angela postanowiła poważnie porozmawiać z mężem. Nie życzyła sobie, by po tym wszystkim, co się wydarzyło, Nikki zostawała sama w domu. Fakt, że David nie zatroszczył się o znalezienie opieki dla córki, rozwiał wątpliwości Angeli co do wynajęcia prywatnego detektywa.

Oznajmiła Nikki, że życzy sobie, by drzwi wejściowe były cały czas zamknięte na klucz, obie też obeszły dom dookoła, sprawdzając zabezpieczenie okien. Jedynym otwartym wejściem pozostały drzwi kuchenne. Przygotowując dziewczynce kanapki, matka zapytała, co robili z tatą przez cały rano, ale córka nie chciała nic jej powiedzieć.

Kiedy David wrócił do domu, Angela wzięła go na stronę i oświadczyła, że Nikki nie powinna zostawać sama w domu. David początkowo oponował, nie widząc w tym nic złego, w końcu obiecał jednak, że na przyszłość będzie tego unikał.

Wkrótce David i Nikki zaszyli się w kącie, szepcząc o czymś gorączkowo, ale Angela nie zwracała na nich uwagi. Uwielbiała sobotnie popołudnia. Rzadko mając okazję gotować w ciągu tygodnia, lubiła tego

dnia wynajdywać w książkach kucharskich ciekawe przepisy i przyrządzać wyszukane potrawy. Uspokajało ją to i wprawiało w dobry nastrój.

Starannie zaplanowała menu i skierowała się ku wiodącym do piwnicy schodom. Była już w połowie drogi do olbrzymiej chłodni, z której chciała wziąć kilka jagnięcych kości, kiedy uświadomiła sobie, że nie wchodziła do tego pomieszczenia od czasu, gdy byli tu policyjni technicy. Podenerwowana zwolniła kroku. Miała ogromną ochotę zawołać Davida, by jej towarzyszył, uznała to jednak za głupotę. Nie chciała poza tym, by Nikki bez potrzeby wracała myślami do odnalezionych w piwnicy zwłok.

Podeszła do stojącej przy ścianie chłodni, kątem oka zerkając na miejsce, gdzie jeszcze niedawno spoczywało ciało byłego właściciela domu, i z ulgą stwierdziła, że David zastawił je okiennicami.

Już miała sięgnąć w głąb chłodni, kiedy usłyszała za sobą cichy szmer. Zamarła w bezruchu. Przysięgłaby, że dochodził on z miejsca, gdzie znajdował się „grobowiec” Hodgesa. Zamknęła drzwi lodówki i obróciwszy się powoli, powiodła wzrokiem po mrocznej piwnicy.

Z nieopisanym przerażeniem ujrzała, że okiennice zaczynają się ruszać. Przetarła oczy i popatrzyła na nie jeszcze raz - miała nadzieję, że to tylko wyobraźnia płata jej figle. W tej samej chwili jednak okiennice z głośnym hukiem runęły na ziemię.

Angela próbowała krzyknąć, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Stała sparaliżowana strachem, niezdolna do wykonania

jakiegokolwiek ruchu. Z największym wysiłkiem cofnęła się o krok, nie
zdolała jednak zrobić następnego, kiedy zza okiennic wyłoniła się
zmasakrowana twarz Hodgesa. Mężczyzna powoli podnosił się z ziemi.
Ujrawszy Angelę, ruszył w jej stronę, wyciągając przed siebie ramiona.
Pod wpływem potwornego strachu Angela odzyskała zdolność
ruchu i rzuciła się ku schodom. Zanim jednak do nich dobiegła, palce
Hodgesa zacisnęły się na jej ramieniu.

Dotyk lodowatej dłoni trupa sprawił, że zaczęła rozdzierająco
krzyczeć. W tej samej chwili ujrzała drugiego ducha: mniejszego, ale o tej
samej przerażającej twarzy. Nagle uświadomiła sobie, że Hodges się
śmieje.

Wstrząśnięta patrzyła, jak David i Nikki zdejmują z twarzy
identyczne gumowe maski, zanosząc się przy tym od histerycznego
śmiechu.

Z wolna otrząsała się z zaskoczenia. Czowała, jak ogarnia ją
wściekłość. Nie widziała w tym żarcie nic zabawnego. Odepchnęła Davida
i wciąż słysząc za sobą śmiech męża i Nikki, wbiegła po schodach na górę.
Czowała się upokorzona.

Ojciec i córka szybko jednak spoważnieli, dotarło bowiem do nich,
jak bardzo przerażili Angelę.

- Sądzisz, że naprawdę jest na nas zła? - zapytała Nikki.

- Obawiam się, że tak - westchnął David. - Chyba byłoby lepiej,
gdybyśmy poszli na górę i pomówili z nią.

Angela nie spojrzała nawet w ich stronę, w milczeniu krzątając się

po kuchni.

- Ogromnie mi przykro - powiedział David.

- Mnie także, mamusiu - dodała Nikki, jednak zarówno ona, jak i jej ojciec nie mogli powstrzymać się od tłumionego chichotu.

- Nie przypuszczaliśmy, że choć przez sekundę się na to nabierzesz - zapewnił David, próbując zapanować nad sobą. - Daj spokój tym dąsom, kochanie! Byliśmy przekonani, że natychmiast nas rozpoznasz.

- Tak, mamó - poparła ojca Nikki. - W następną niedzielę jest Halloween i chcieliśmy po prostu wypróbować nasze kostiumy na to święto. Dla ciebie także kupiliśmy identyczną maskę.

- W takim razie możecie od razu wyrzucić ją na śmietnik - burknęła Angela.

Twarz Nikki posmutniała, a w jej oczach zabłyśły łzy. Angela popatrzyła na córkę i jej gniew stopniał.

- No już, przestań się martwić - uśmiechnęła się, przytulając dziewczynkę do siebie. - Wiem, że zareagowałam zbyt nerwowo, ale naprawdę mnie przerażiliście. I nie uważam wcale waszego żartu za zabawny.

Przygotowując się do rozpoczęcia śledztwa w sprawie, którą uważał za najbardziej intrygującą spośród wszystkich, z jakimi miał do czynienia, odkąd - chcąc uzupełnić swoją skromną policyjną emeryturę - wykonywał zawód prywatnego detektywa, Phil Calhoun wyruszył do Bartlet. Kiedy dojechał na miejsce, było wczesne popołudnie. Zaparkował samochód w cieniu budynku biblioteki, minął park i wszedł na posterunek policji.

- Jest tu gdzieś Wayne? - zapytał dyżurnego funkcjonariusza. Nie

odrywając wzroku od czytanego właśnie „Bartlet Sun”, policjant machnął ręką w stronę holu.

Calhoun poszedł we wskazanym kierunku i zapukał do otwartych drzwi Robertsona. Na widok gościa szeryf uśmiechnął się i zaprosił go do środka.

- Skoro pracujesz tak długo w sobotę - powiedział Calhoun, siadając

- musisz mieć dużo roboty.

- To papierkowa dłubanina zajmuje mi tyle czasu - wyjaśnił

Robertson, moszcząc się wygodnie na krześle i zapalając cygaro „Antonio y Cleopatra”, którym poczęstował go detektyw. - Z dnia na dzień jest z tym coraz gorzej.

Calhoun ze współczuciem pokiwał głową.

- Przeczytałem w gazecie, że odnalazł się stary doktor Hodges.

- Owszem - skrzywił się niechętnie Robertson. - Jego sprawa wywołała sporo zamieszania, ale teraz trochę to już przycichło. Całe szczęście. Facet dostał to, na co zasłużył.

- Jak to? - zdziwił się Calhoun.

Robertson z poczerwieniałą z gniewu twarzą opowiedział detektywowi, w jaki sposób Hodges skrzywdził jego żonę. Przyznał, że wielokrotnie sam miał ochotę sprać starego doktora na kwaśne jabłko.

- Z tego, co wiem, Hodges nie był najbardziej lubianą osobą w mieście - uśmiechnął się Calhoun.

Robertson tylko roześmiał się szyderczo w odpowiedzi.

- Dużo macie roboty ze śledztwem w tej sprawie? - zapytał obojętnie detektyw, wydmuchując w stronę sufitu dym z cygara.

- Gdzie tam - wzruszył ramionami policjant. - Powęszyliśmy trochę wówczas, kiedy Hodges zniknął, ale i wtedy były to tylko rutynowe działania. Nikomu nie zależało na śledztwie, nawet jego żonie.

Praktycznie była to już jego eks-żona. Jeszcze przed zniknięciem męża zamierzała przenieść się na stałe do Bostonu.

- A co teraz? „Boston Globe” pisał, że śledztwo przejęła policja stanowa.

- Oni także działają wedle ustalonego trybu - odparł obojętnie

Robertson. - Lekarz medycyny sądowej zawiadomił prokuratora

okręgowego, który przysłał do nas młodą asystentkę, by zbadała tę

sprawę. Ta z kolei wezwała policję stanową, żądając, by przeprowadzono

szczegółowe oględziny miejsca zbrodni. Uczyniono to, później jednak

zadzwoił do mnie prowadzący tę sprawę porucznik i przekonałem go, że

rzecz nie jest na tyle istotna, by tracił na nią swój czas, bo równie dobrze

wszystkim może zająć się lokalna policja. Sam wiesz najlepiej, jak chętnie

policja stanowa trzyma się z daleka od takich spraw, jeśli, ma się

rozumieć, prokurator stanowy lub jacyś politycy nie naciskają, by sami

się czymś zajęli. Do licha, w końcu i bez tego mają co robić. Zresztą my

także. Poza tym od popełnienia zbrodni upłynęło aż osiem miesięcy, a

więc wszystkie ślady i tak dawno już diabli wzięli.

- Czym w takim razie się tu ostatnio zajmujecie? - zapytał Calhoun.

- Próbuujemy schwytać gwałciciela, który napada na kobiety na

szpitalnym parkingu.

- Macie jakiegoś podejrzanego?

- Jeszcze nie.

Opuściwszy posterunek policji, detektyw poszedł pieszo wzdłuż

Main Street i wstąpił do miejscowej księgarni. Jej właścicielka, Jane

Weincoop, przyjaźniła się niegdyś z jego żoną. Pani Calhoun bardzo dużo czytała, szczególnie w ostatnim roku życia, kiedy choroba przykuła ją do łóżka.

Jane zaprosiła go na zaplecze, gdzie wśród piętrzących się stosów

książek znajdowało się jej niewielkie biurko. Calhoun powiedział, że

przechodził tędy przypadkiem, wstąpił więc zobaczyć, jak miewa się jego

dawna znajoma, i niepostrzeżenie skierował rozmowę na Dennisa

Hodgesa.

- Odnalezienie jego ciała wywołało w Bartlet duże poruszenie -

przyznała Jane.

- Nie był to, jak sędzę, człowiek zbyt lubiany - powiedział

detektyw. - Któż jednak, u licha, mógł się posunąć aż do tego, by go

zamordować?

Kobieta popatrzyła na niego uważnie.

- To wizyta prywatna czy służbowa? - zapytała z krzywym

uśmiechem.

- Pytam tylko przez ciekawość - odrzekł Calhoun, mrugając do niej

porozumiewawczo. - Bylbym ci jednak wdzięczny, gdybyś nie mówiła

nikomu, o czym rozmawialiśmy.

Pół godziny później, stojąc na chodniku w promieniach

zachodzącego słońca, Calhoun przebiegł wzrokiem po podyktowanych mu przez Jane ponad dwudziestu nazwiskach osób, które były skłócone z Hodgesem. Znajdowali się na niej między innymi: dyrektor banku, właściciel stacji obsługi samochodów położonej przy międzystanowej autostradzie, szef policji, z którym detektyw już rozmawiał, garść przedsiębiorców i właścicieli sklepów oraz pół tuzina lekarzy.

Calhouna dziwiła długość tej listy, nie stanowiła ona jednak powodu do zmartwienia. Bądź co bądź, im dłuższy był ten spis, tym więcej dobrze płatnych godzin mógł poświęcić na śledztwo.

Idąc dalej Main Street, wstąpił do apteki Harrisona. Pracujący tu farmaceuta, Harley Strombell, był bratem jednego z jego policyjnych partnerów, Wendella Strombella.

Podobnie jak Jane, Harley nie dał się zwieść twierdzeniu detektywa, że dopytuje się on o Hodgesa wyłącznie przez ciekawość, ale obiecał dyskrecję. Wydłużył nawet listę Calhouna o kilka nazwisk: swoje własne oraz Neda Banksa, właściciela przedsiębiorstwa produkującego wieszaki, Harolda Traynora i Helen Beaton, nowej administratorce szpitala.

- Czemu nie lubiłeś tego człowieka? - zapytał Calhoun.

- Z powodów osobistych. Hodges nie potrafił przestrzegać elementarnych zasad współżycia z ludźmi.

Farmaceuta wyjaśnił, że swego czasu prowadził w szpitalu małą filię swojej apteki i pewnego dnia, bez uprzedzenia i podania powodów,

Hodges wyrzucił go stamtąd.

- Uważam, że to naturalne, iż rozwijający się prężnie szpital chciał mieć własną aptekę - powiedział Harley. - Rozumiem to. Ale Dennis Hodges załatwił tę sprawę w obrzydliwy sposób, choć mógł przecież wszystko mi po ludzku wyjaśnić.

Opuszczając aptekę, Calhoun zastanawiał się, jak dużo nazwisk dopisze jeszcze do swojej listy, zanim zacznie wykreślać kolejne osoby, pozostawiając jedynie najbardziej podejrzanych. Na razie widniało na niej dwadzieścia pozycji, a czekało go jeszcze kilka spotkań. Dopiero po nich będzie mógł uznać swój spis za kompletny.

Ponieważ większość sklepów została już zamknięta, przeszedł przez ulicę i skierował się do Iron Horse Inn. To miejsce obudziło w nim liczne miłe wspomnienia. Knajpka ta należała do ulubionych restauracji jego żony, często więc, przy specjalnych okazjach, takich jak urodziny czy rocznica ślubu, zapraszał ją tutaj na kolację.

Carleton Harris rozpoznał Calhouna z daleka. Zanim detektyw podszedł do baru, czekała tam już na niego szklanka wild turkeya.

Barman nalał trochę piwa także sobie, obaj mężczyźni mogli więc trącić się szklankami, wznosząc toast.

- Pracujesz ostatnio nad czymś interesującym? - zapytał Carleton.

- Tak mi się wydaje - odrzekł detektyw, pochylając się nad kontuarem. Barman instynktownie uczynił to samo.

Aż do chwili, kiedy zaczęli szykować się do snu, Angela nie odzywała się ani słowem i unikała wzroku męża. David sądził, że żona nadal jest zła

na niego za żart z halloweenowymi maskami, i bardzo chciał ją przeprosić.

- Widzę, że wciąż gniewasz się na mnie i Nikki za to, że tak przeraził cię w piwnicy - powiedział. - Moglibyśmy o tym porozmawiać?

- Czemu sądzisz, że nadal jestem o to zła? - zapytała niewinnie kobieta.

- Daj spokój - uśmiechnął się David. - Od chwili gdy dziecko poszło spać, nie odezwałaś się do mnie ani słowem.

- Dziwię się, że mogłeś zrobić coś takiego, wiedząc, jak bardzo przeżyłam znalezienie zwłok Hodgesa w naszym domu. Myślałam, że jesteś nieco bardziej wrażliwym człowiekiem. Zawiodłam się na tobie.

- Mówiłem już, że ogromnie mi przykro - westchnął David. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że nie wybuchnęłaś śmiechem natychmiast, jak nas zobaczyłaś. Nawet do głowy mi nie przyszło, że się przestraszysz. Poza tym nie był to zwykły niemądry żart. Zrobiłem to dla dobra Nikki.

- Nie rozumiem - Angela popatrzyła nań z powątpiewaniem.

- Ponieważ wciąż dręczyły ją nocne koszmary, doszedłem do wniosku, że spojrzenie na to, co się stało, z przymrużeniem oka, dobrze jej zrobi. Tylko w ten sposób mogłem sprawić, żeby bez obawy schodziła do piwnicy. I udało mi się: była tak przejęta myślą o zdumieniu, jakie ogarnie cię na nasz widok, że cały strach wyleciał jej z głowy.

- Mogłeś mnie przynajmniej ostrzec.

- Nie sądziłem, że muszę to robić. Jak już powiedziałem, nie

przyszło mi na myśl, że dasz się nabrać. A to, że planowaliśmy całe przedsięwzięcie w tajemnicy, jeszcze bardziej podekscytowało Nikki.

Angela popatrzyła na Davida. Wydawało się, że mówi szczerze.

Nagle poczuła się zakłopotana, iż tak bardzo dała się ponieść złości.

Odłożyła szczoteczkę do zębów i podeszła do męża. Zarzuciła mu rękę na szyję.

- Przykro mi, że tak się zdenerwowałam - powiedziała. - Już mi przeszło. Kocham cię.

- Ja także cię kocham - odparł David. - Powiniennem był cię uprzedzić, co chcemy zrobić. Udawałabyś po prostu, że o niczym nie wiesz. Nie pomyślałem o tym. Mam teraz tyle spraw na głowie. Stan Mary Ann Schiller nie poprawia się. Ona umiera. Czuję to.

- Nie mów tak - poprosiła łagodnie Angela. - Nigdy nie ma się pewności co do takich rzeczy.

- Sam nie wiem - westchnął David. - Chodźmy spać.

Kiedy leżeli już w łóżku, opowiedział Angeli o swoim profesorze z Bostonu, który także nie potrafił określić, co dolegało jego pacjentce.

- Czy czujesz, że możesz załamać się nerwowo? - zapytała rzeczowo kobieta.

- Nie wiem - odparł. - Obudziłem się dziś rano kwadrans po czwartej i nie mogłem już zasnąć. Dręczy mnie przecucie, że coś umknęło mojej uwagi, jeśli chodzi o tych pacjentów. Może zarazili się jakąś nieznaną chorobą wirusową? Mam jednak związane ręce. To takie frustrujące obawiać się wyrzutów Kelleya i całego CMV, ilekroć zleca się wykonanie

testów lub zwołuje konsylium. Doszło już do tego, że nawet kiedy przyjmuję pacjentów w moim gabinecie, ciągle myślę o tym, by do minimum skrócić czas ich wizyty.

- Oczekują od ciebie, że będziesz przyjmował więcej osób? - spytała Angela.

- Owszem. CMV poprzez Kelleya wywiera na mnie presję w tej sprawie. Ze wstydem muszę przyznać, że efekt jest taki, iż staram się unikać rozmów z chorymi i odpowiadania na ich pytania. Nie jest to trudne, ponieważ lekarz łatwo może zbyć pacjenta byle czym, aleja nienawidzę takich sytuacji. Ciekaw jestem, czy oni wyczuwają, że mam ograniczony czas na zbadanie każdego z nich. A przecież wielu istotnych szczegółów, które pozwalają postawić właściwą diagnozę, lekarze dowiadują się właśnie wtedy, kiedy pozwalają chorym własnymi słowami opowiedzieć, co im dolega. Nie sposób jednak toczyć z pacjentami takich rozmów, kiedy ma się ściśle wyliczony czas.

- Muszę ci coś wyznać - oświadczyła nagle Angela.

- Co takiego? - zdziwił się David.

- Ja także uczyniłam dziś coś, o czym wcześniej powinnam była cię uprzedzić - oznajmiła.

- Co masz na myśli?

Angela otuliła się kołdrą i opowiedziała mężowi o swej podróży do Rutland oraz wynajęciu Phila Calhouna, by przeprowadził śledztwo w sprawie zabójstwa Hodgesa.

David zerknął na żonę, po czym odwrócił wzrok. Nie odezwał się ani

słowem. Angela wiedziała, że jest wściekły.

- Powinieneś się cieszyć, że nie zlekceważyłam twego ostrzeżenia, iż

dowiadwanie się czegoś na własną rękę może być dla mnie

niebezpieczne - powiedziała. - Teraz zajmuje się tym zawodowiec.

- Na jakiej podstawie uważasz go za zawodowca? - zdziwił się David.

- Jest emerytowanym policjantem.

- Miałem nadzieję, że wykażesz się większym rozsądkiem, jeśli

chodzi o sprawę Hodgesa - westchnął mężczyzna. - Wynajęcie prywatnego

detektywa wydaje mi się lekką przesadą. To wyrzucanie pieniędzy.

- Nie możesz nazwać tego wyrzucaniem pieniędzy, skoro ta sprawa

jest dla mnie taka ważna - upierała się Angela. - Dla ciebie także powinno

być to istotne, skoro oczekujesz, że będę dalej mieszkała w tym domu.

David z westchnieniem zgasił nocną lampkę i odwrócił się plecami

do żony.

Angela wiedziała, że powinna była uprzedzić go o zamiarze

wynajęcia detektywa. Uznała jednak, że co się stało, to się nie odstanie.

Zresztą, nawet jeśli postąpiła niewłaściwie, nie mówiąc mężowi, co chce

uczynić, i tak uważała wynajęcie Calhouna za dobry pomysł.

Nie dane jej było jednak zbyt długo rozmyślać nad tą sprawą,

ponieważ krótko po zgaszeniu światel usłyszeli gwałtowne pukanie do

drzwi i głośnie ujadanie Rusty'ego.

Angela wstała i na powrót zapaliła światło. David także się podniósł.

Włożyli szlafroki i wyszli na korytarz. Rusty stał u szczytu schodów,

patrząc na pogrążony w ciemności hol na parterze i zjeżywszy sierść,

warczał cicho.

- Sprawdzaleś, czy drzwi są zamknięte na klucz? - zapytała szeptem Angela.

- Tak - odparł David, próbując głaskaniem uspokoić psa. - Co to takiego, przyjacielu?

Rusty zbiegł po schodach i nadal warcząc, zatrzymał się przy frontowych drzwiach. David ruszył za nim.

- Bądź ostrożny - ostrzegła męża Angela, kiedy otwierał zasuwę.

- Czemu nie założysz jednej z halloweenowych masek? - zawołał David. - Kimkolwiek jest nasz gość, mogłabyś go z pewnością nieźle nastraszyć.

- Nie żartuj - obruszyła się kobieta. - To wcale nie jest zabawne.

Trzymając Rusty'ego za obrozę, David wyszedł na ganek. Ciemne niebo usiane było gwiazdami. W świetle cienkiego jak rogalik księżyca mógł zobaczyć cały podjazd, nie zauważył jednak na nim nic niezwykłego.

- No chodź, Rusty - powiedział, wciągając psa z powrotem do środka.

Już miał zatrasnąć drzwi, kiedy dostrzegł przybitą do framugi kartkę.

Zerwał ją gwałtownym ruchem i przeczytał dwa napisane na maszynie zdania: „Pilnuj własnego nosa. Zapomnij o Hodgesie”.

Zamknąwszy drzwi na klucz, wszedł na górę i wręczył kartkę żonie.

- Zawiozę to na policję - powiedziała kobieta po przeczytaniu anonimu.

- Do diabła, przecież to mógł zostawić sam szef policji - zirytował się

David. Położył się do łóżka i zgasił światło.

Rusty pobiegł z powrotem do pokoju Nikki, której nocne hałasy na szczęście nie obudziły.

- Zupełnie nie jestem śpiący - poskarżył się Wilson.

- Ja też nie.

Ostry

dzwonek

telefonu

sprawił,

że

oboje

podskoczyli

przestraszeni. David podniósł słuchawkę. W chwilę później Angela

zapaliła światło i spojrzała na męża. Miał poszarzałą, ściągniętą bólem twarz.

- Mary Ann Schiller miała kolejny napad drgawek i umarła -

powiedział. - Mówilem ci, że tak się stanie.

Oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. Angela

przysunęła się bliżej i objęła go ramieniem. Wydawało jej się, że mężczyzna bezgłośnie płacze.

- Zastanawiam się, czy kiedykolwiek nauczę się lepiej to znosić -

powiedział David. Otarł oczy i zaczął się ubierać.

Angela odprowadziła go aż do drzwi. Zamknęła je za nim i przez

okno przyglądała się, jak ich volvo zjeżdża z podjazdu i znika w ciemnościach.

Usiadła na kuchennym krześle i oczyma wyobraźni ujrzała jarzący się na ścianach luminol. Przeszedł ją zimny dreszcz. Nie lubiła zostawać nocą sama w tym wielkim starym domu.

W szpitalu David spotkał się po raz pierwszy z mężem Mary Ann, Donaldem, który wraz ze swym nastoletnim synem, Mattem, oraz rodzicami żony siedział w poczekalni naprzeciwko oddziału intensywnej terapii. Rozmawiali cicho, pocieszając się wzajemnie. Podobnie jak rodziny Kleber i Tarłowa podziękowali lekarzowi za opiekę nad chorą.

David nie usłyszał od nikogo z nich złego słowa ani jakiegokolwiek skargi.

- I tak żyła dłużej, niż przewidywał doktor Mieslich - powiedział

Donald. Miał zaczerwienione oczy i potargane włosy, tak jakby dopiero co wstał z łóżka. - Udało jej się nawet wrócić na jakiś czas do pracy w bibliotece.

David złożył rodzinie zmarłej kondolencje, mówiąc tym ludziom to, co chcieli usłyszeć: że Mary Ann nie cierpiała. Czuł się jednak w obowiązku zaznaczyć, że nie ma pojęcia, co spowodowało konwulsje.

- Nie spodziewał się pan więc drgawek? - zapytał Donald.

- Zupełnie nie - odparł David. - Zwłaszcza że badanie aparatem MRI nie wykazało żadnych nieprawidłowości.

Wszyscy ze zrozumieniem skinęli głową. Raz jeszcze, wbrew poleceniom Kelleya, Wilson poprosił rodzinę o zgodę na sekcję zwłok.

Wyjaśnił, że to pomogłoby mu znaleźć odpowiedź na wiele pytań.

- Sam nie wiem - zawahał się Donald, zerkając na teściów. Oni także byli niezdecydowani.

- Może do rana jeszcze by się państwo nad tym zastanowili? -

zapropozował lekarz. - Zatrzymamy przez ten czas ciało Mary Ann tutaj.

Przygnębiony David opuścił oddział intensywnej terapii. Nie

pojechał prosto do domu, lecz udał się do słabo oświetlonej dyżurki na

pierwszym piętrze. Jak zawsze w nocy panowały tutaj cisza i spokój.

Starając się myśleć o czymś innym niż śmierć Mary Ann, zajrzał do karty

Jonathana Eakinsa. Kiedy czytał ostatnie zrobione w niej notatki, jedna z

pielęgniarek powiedziała mu, że pan Eakins nie śpi i ogląda telewizję,

postanowił więc zajrzeć do jego sali.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Ależ z pana troskliwy lekarz - roześmiał się Jonathan. - Chyba pan

tutaj mieszka.

- Czy pański żołądek nie sprawia już kłopotów? - dopytywał się

David.

- Chodzi jak w zegarku. Kiedy będę mógł wrócić do domu?

- Prawdopodobnie jeszcze dzisiaj. Widzę, że zmieniono panu łóżko.

- Owszem - Jonathan skinął głową. - Tego starego nie dało się

naprawić. Dziękuję, że ich pan o to poprosił. Na moje skargi zupełnie nie

reagowali.

- Nie ma za co - odparł David. - Do zobaczenia rano.

Opuścił gmach szpitala i wsiadł do samochodu. Włączył silnik, ale

nie wrzucił biegu. Myślał o trzech nieoczekiwanych zgonach swoich

pacjentów w ciągu ostatniego tygodnia. A przecież tych samych ludzi inni lekarze całymi latami utrzymywali nie tylko przy życiu, ale w zdrowiu i dobrym samopoczuciu.

W tej sytuacji musiał postawić sobie pytanie o własne kompetencje.

Zastanawiał się, czy rzeczywiście jest dobrym medykiem. Może pod opieką kogoś innego ci ludzie żyliby nadal? Nie mógł jednak przesiedzieć na szpitalnym parkingu całej nocy, w końcu ruszył więc w stronę domu.

Ku swemu zaskoczeniu zobaczył, że w salonie pali się światło. W chwili kiedy wysiadał z samochodu, Angela otworzyła mu drzwi. W ręku trzymała jakieś medyczne czasopismo.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Nie najlepiej - przyznał David. - Dlaczego nie położyłaś się spać? - zdziwił się, zdejmując płaszcz i wchodząc za żoną do kuchni.

- Nie mogłam zasnąć bez ciebie. Nie po tym, jak ktoś przybił nam do drzwi ten anonim. Dużo nad tym myślałam i postanowiłam, że skoro ty musisz wyjeżdżać z domu w środku nocy, ja kupię sobie pistolet.

- W tym domu nie będzie żadnej broni - sprzeciwił się David. -

Równie dobrze jak ja znasz statystyki wypadków z bronią w domach, gdzie są dzieci.

- Te statystyki nie dotyczą rodzin lekarzy, w których jest tylko jedno inteligentne dziecko - zaproponowała Angela. - Poza tym mogę wziąć na siebie wytłumaczenie Nikki, czym grozi branie do ręki lub choćby dotykane broni.

- Nie mam siły ani nastroju, by się z tobą o to kłócić - westchnął

David, kierując się ku schodom.

- To dobrze - odparła Angela.

Na górze David postanowił jeszcze raz wziąć prysznic. Kiedy wrócił do sypialni, światło wciąż było zapalone, a żona nadal czytała jakiś lekarski periodyk. Żadnemu z nich nie chciało się spać.

- Wczoraj wieczorem powiedziałaś, że żałujesz, iż nie możesz mi pomóc - odezwał się David. - Pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam.

- Niewykluczone więc, że jednak będziesz mogła. Godzinę temu poprosilem rodzinę Schillerów o pozwolenie na autopsję. Mają zastanowić się nad tym przez noc i rano dać mi odpowiedź.

- Niestety, nie jest to tylko kwestia zgody rodziny - zasmuciła się kobieta. - Szpital nie przeprowadza sekcji zwłok w wypadku pacjentów CMV.

- Ale ja chciałbym, żebyś sama to zrobiła - przerwał jej David. - Czy to możliwe? Angela w milczeniu rozważała przez chwilę tę propozycję.

- Chyba tak - zgodziła się. - Jutro jest niedziela i nie licząc sal, w których w nagłych wypadkach wykonuje się proste analizy, laboratorium jest zamknięte.

- Dokładnie o tym myślałem - wyznał David.

- Pojadę z tobą jutro do szpitala i pomówię z rodziną twojej pacjentki - powiedziała kobieta, zapalając się do pomysłu męża.

- Będę ci bardzo wdzięczny. Jeśli zdołasz określić przyczynę jej śmierci, od razu pocuję się lepiej.

Rozdział 17

Niedziela, 24 października

David i Angela byli zmęczeni i niewyspani, ale Nikki obudziła się rześka i wypoczęta. Tym razem nie dręczyły jej żadne koszmary.

W niedzielę Wilsonowie zwykle wstawali wcześniej, by pojechać do kościoła, a potem jedli śniadanie w Iron Horse Inn.

Bywanie w kościele było pomysłem Angeli. Nie wynikało z potrzeb religijnych, lecz z powodów towarzyskich. Uważała, że będzie to dobry sposób na zżycie się ze społecznością Bartlet. Wybrała wzniesiony pośrodku miejskiego parku kościół metodystów, ponieważ bywało w nim najwięcej mieszkańców miasta.

- Musimy jechać do kościoła? - zapytał David, ziewając.

Siedział na brzegu łóżka i walcząc z sennością, zapinał guziki koszuli. Mimo iż położył się bardzo późno, obudził się na kilka godzin przed świtem i przez długi czas nie mógł usnąć. Kiedy zaś w końcu zapadł w sen, do sypialni przybiegła córka z Rustym, budząc go na nowo.

- Nikki będzie rozczarowana, jeśli nie pojedziemy - odpowiedziała mu z łazienki Angela.

David z rezygnacją dokończył ubieranie.

Pół godziny później wsiedli całą rodziną do volvo i ruszyli w kierunku miasta. Nauczeni doświadczeniem zostawili samochód pod restauracją i spacerem ruszyli przez park. Przed kościołem nigdy nie było gdzie zaparkować, a ruch panował tam tak duży, że zawsze musiał kierować nim jakiś policjant.

Tego ranka zadanie to przypadło w udziale Wayne'owi

Robertsonowi. W ustach mężczyzny błyskał niewielki stalowy gwizdek.

- Dobrze się składa - oznajmiła Angela, spostrzegając policjanta. -

Poczekajcie tu na mnie.

Zanim David zdążył ją powstrzymać, podeszła do Robertsona,

trzymając w ręku anonim.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała - ale mam coś, co chciałabym

panu pokazać. Przybito to do naszych drzwi zeszłej nocy. - Podała mu list,

po czym oparłszy ręce na biodrach, czekała, co powie.

Robertson wyjął z ust gwizdek, przeczytał anonim i oddał go Angeli.

- Powiedziałbym, że to dobra rada. Mam nadzieję, że się państwo do niej zastosujecie.

Angela zachichotała.

- Nie pytałam o pańskie zdanie na temat zawartej w tym liście

sugestii. Chcę, żeby znalazł pan człowieka, który powiesił to na moich drzwiach.

- Cóż - westchnął policjant, drapiąc się po głowie. - Niewiele mam tu

śladów, poza tym, że list napisano na pochodzącej z 1952 roku maszynie do pisania Smith Corona z uszkodzoną czcionką „o”.

W pierwszym momencie Angela z podziwem pomyślała o

profesjonalizmie Robertsona, po chwili jednak uświadomiła sobie, że

policjant żartuje.

- Jestem pewna, że zrobi pan, co tylko w jego mocy - rzekła

sarkastycznie - by znaleźć autora tego anonimu. Ale zważywszy na

pańskie osiągnięcia w sprawie morderstwa Hodgesa, chyba nie

powinnam oczekiwać cudu.

Ryk klaksonów i wrzaski zdenerwowanych kierowców zmusiły

Robertsona do zajęcia się na powrót ruchem ulicznym, przed kościołem

bowiem zapanował zupełny bałagan.

- Pani i jej mała rodzina jesteście w Bartlet nowi - powiedział, kiedy

w końcu udało mu się rozładować korek. - Powinniście się dobrze

zastanowić, nim zaczniecie mieszać się w sprawy, które was nie dotyczą.

Inaczej narobicie sobie mnóstwa niepotrzebnych kłopotów.

- Na razie pan jest jedyną przyczyną moich kłopotów - oświadczyła

Angela. - Wiem, iż nie należy pan do ludzi, których zmartwiło

zamordowanie Hodgesa. Mówiono mi, że z niewiadomych powodów winił

go pan za śmierć swojej żony.

Robertson przerwał na chwilę kierowanie ruchem i purpurowy z

gniewu odwrócił się w stronę kobiety.

- Co pani powiedziała? - zapytał ochryple.

W tej samej chwili pomiędzy nimi stanął David i siłą odciągnął żonę

na bok. Już od dłuższego czasu, stojąc o kilka stóp dalej, przysłuchiwał się

ich rozmowie i zdecydowanie nie podobało mu się to, w jakim kierunku

ona zmierza.

Angela chciała powtórzyć swoje słowa, ale mąż chwycił ją za rękę i

szarpnął gwałtownie, sycząc przez zaciśnięte zęby, by się zamknęła. Kiedy

znaleźli się już daleko od Robertsona, chwycił ją za ramiona i silnie

potrząsnął.

- Co, u diabła, się z tobą dzieje? - warknął. - Czemu drażnisz się z tym człowiekiem? Wiem, jak uwielbiasz dramatyczne sceny, ale tym razem chyba przesadziłaś.

- Ależ on kpił sobie ze mnie - poskarżyła się Angela.

- Przestań - zirytował się David. - Zachowujesz się jak dziecko.

- Jego obowiązkiem jest chronienie nas! - krzyknęła Angela. -

Pilnowanie, żeby przestrzegano prawa. Ale on tak samo nie interesuje się tym anonimem z pogrózkami, jak nie obchodzi go to, kto zamordował Hodgesa.

- Uspokój się! - nakazał David. - Nie rób scen.

Angela obejrzała się za siebie. Wielu zmierzających do kościoła ludzi zatrzymało się i przyglądało jej z zaciekawieniem.

Odruchowo schowała list do torebki i wygładziwszy sukienkę, wzięła Nikki za rękę.

- Chodźmy - powiedziała. - Nie chcę spóźnić się na mszę.

David i Angela poprosili Alice Doherty, by pod ich nieobecność zaopiekowała się Nikki i Caroline, i pojechali do szpitala. Nikki spotkała przyjaciółkę, wychodząc z mszy, i Caroline zjadła razem z nimi śniadanie w Iron Horse.

W szpitalu Wilsonowie natknęli się na Donalda Schillera i jego teściów, Josephsonów, siedzących na ławce w holu. Czekali, by porozmawiać na temat sekcji zwłok.

- Mój mąż prosił państwa o zgodę na autopsję - powiedziała Angela.

- Przyjechałam tu, by powiedzieć wam, że jeśli zgodzicie się na jej

przeprowadzenie, właśnie ja będę ją wykonywać. Ponieważ ani szpital, ani CMV nie chcą płacić za takie badania, zrobię je na własną rękę, w czasie wolnym od pracy. Nie będzie was to kosztowało ani grosza.

Niewykluczone, że sekcja zwłok pozwoli nam uzyskać ogromnie ważne informacje.

- To bardzo miło z pani strony - powiedział Donald. - Dziś rano

wciąż jeszcze nie byliśmy pewni, jaką podjąć decyzję, ale teraz, po rozmowie z panią, nie mamy chyba nic przeciwko temu. - Popatrzył na Josephsonów, którzy skinęli głowami. - Sądzę, że Mary Ann także by sobie tego życzyła, gdyby wiedziała, że to może pomóc innym ludziom.

David i Angela udali się do podziemi, żeby wyjąć ciało Mary Ann z chłodni i zabrać je do pomieszczenia, gdzie przeprowadzano sekcje zwłok. Ponieważ od kilku już lat w sali tej nie wykonywano żadnych autopsji, przekształcono ją w magazyn, zanim więc zabrali się do pracy, musieli usunąć z wykonanego z nierdzewnej stali stołu liczne paczki i pudełka.

David miał zamiar asystować żonie, szybko jednak stało się jasne, że niewielki będzie z niego pożytek. W czasie swej praktyki rzadko brał udział w sekcjach, a teraz na dodatek miała to być autopsja pacjentki, którą zaledwie dzień wcześniej oglądał żywą.

- Czemu nie pójdziesz zajrzeć do swoich chorych? - zapytała Angela, kiedy była już gotowa do rozpoczęcia pracy.

- Jesteś pewna, że poradzisz sobie sama? Kobieta skinęła głową.

- Zawiadomię cię przez pager, kiedy skończę, i wtedy pomożesz mi

zawieźć ją z powrotem na dół.

- Dziękuję ci - powiedział z ulgą David. - Nie zapomnij sprawdzić,

czy Mary Ann nie zapadła na jakąś nieznaną chorobę wirusową -

przypomniał jej jeszcze od drzwi. - I bądź ostrożna. Aha, chcę mieć także

pełne badania toksykologiczne.

- Po co ci to? - zdziwiła się.

- Chcę sprawdzić wszystkie możliwości - odparł. - Zaufaj mi,

dobrze?

- Zrobię, co zechcesz - odparła Angela. - A teraz uciekaj już stąd!

Ujęła skalpel i ruchem ręki nakazała mężowi opuszczenie sali.

David zamknął drzwi i zdjął kaptur, fartuch oraz maskę

chirurgiczną, których używano przy wykonywaniu sekcji zwłok. Cieszył

się, że może nie towarzyszyć żonie.

Miał zamiar wypisać dziś do domu Eakinsa, tym bardziej że

pielęgniarki poinformowały go, iż serce Jonathana pracuje bez zarzutu.

Kiedy jednak wszedł do pokoju pacjenta, natychmiast spostrzegł, że nie

jest on, jak zwykle, w pogodnym nastroju. Był przygnębiony i sam

stwierdził, że czuje się fatalnie.

Mając w pamięci ostatnie wydarzenia, David poczuł suchość w

ustach. Pod wpływem lęku w jego krwi pojawiła się nagle potężna dawka

adrenaliny. Obawiając się, jaką usłyszy odpowiedź, zapytał pacjenta, co

mu dolega.

- Wszystko - odparł Jonathan. Twarz miał poszarzałą, a oczy

wyblakłe i zmęczone. Z kącika ust splywała mu strużka śliny. - Znowu

mam skurcze żołądka, nudności i biegunkę. Nie dopisuje mi apetyt i bez przerwy muszę przelykać.

- Co to znaczy, że bez przerwy musisz przelykać? - zapytał przestraszony David.

- Ciągle mam w ustach pełno śliny - wyjaśnił pacjent. - Muszę ją przelykać bądź wypluwać.

David rozpaczliwie próbował zakwalifikować te symptomy do jakiejś znanej mu kategorii. Od chwili, kiedy na studiach uczono go o ślinotoku, minęło już bardzo wiele czasu. Pamiętał tylko, że jest to jeden z objawów zatrucia pokarmowego.

- Czy nie jadł pan nic niezwykłego ostatniego wieczoru? - zapytał chorego.

- Nie.

- A co z pańską kroplówką?

- Zabrano ją wczoraj na pańskie polecenie - odrzekł Jonathan.

David ogarnęła panika. Wyjąwszy ślinotok, dolegliwości Eakinsa przypominały objawy, jakie zaobserwował u Marjorie, Johna i Mary Ann - te same, które poprzedzały gwałtowne pogorszenie się ich stanu zdrowia i śmierć.

- Co się ze mną dzieje? - zapytał Jonathan, widząc zdenerwowanie lekarza. - Czy to coś poważnego?

- Miałem nadzieję odesłać pana dziś do domu - powiedział Wilson, unikając odpowiedzi wprost. - Skoro jednak czuje się pan tak źle, będzie chyba lepiej, jeśli zostanie pan tutaj jeszcze jeden dzień.

- Skoro pan tak uważa, zgoda - westchnął pacjent. - Chciałbym

jednak wyzdrowieć jak najszybciej, ponieważ w przyszły weekend wypada moja rocznica ślubu.

Zdjęty lękiem David pośpiesznie udał się do dyżurki. Wciąż

powtarzał sobie, że to niemożliwe, by znowu wydarzyło się to samo.

Dolegliwości odczuwane przez pacjenta nie były aż tak poważne, aby mogły go zabić.

Usiadł na krześle i odszukał kartę chorobową Jonathana. Przeczytał

ją dokładnie, nie pomijając najdrobniejszych szczegółów. Przystudiował

nawet starannie rutynowe zapiski pielęgniarek. Temperatura Jonathana

tego ranka wynosiła trzydzieści siedem i pół stopnia Celsjusza. Czy

należało zatem uznać, że miał gorączkę? David sam nie był tego pewien:

trzydzieści siedem i pół stopnia stanowiło górną granicę normy.

Wrócił do pokoju Jonathana, usiadł na brzegu jego łóżka i osłuchiwał

mu klatkę piersiową. Na szczęście płuca chorego były w całkowitym

porządku.

Znalazłszy się z powrotem w dyżurce, David wsparł łokcie na biurku

i ukrył twarz w dłoniach. Nie wiedział, co ma robić. Czuł jednak, że

koniecznie musi coś przedsięwziąć, by ratować Eakinsa.

Pod wpływem nagłego impulsu sięgnął po słuchawkę telefonu.

Doskonale wiedział, jak zareaguje na to Kelley i CMV, ale nic go to nie

obchodziło. Zadzwoił do doktora Mieslicha, onkologa, oraz doktora

Hasselbauma, specjalisty chorób zakaźnych, prosząc obu, by natychmiast

doń przyszli. Powiedział im, że podejrzewa, iż pacjent, którego właśnie

zbadal, znajduje się we wstępnym stadium tej samej choroby, która w ostatnich dniach doprowadziła do śmierci trojga innych chorych.

Czekając na przybycie konsultantów, Wilson zlecił wykonanie podstawowych testów diagnostycznych. Zawsze istniała szansa, że Jonathan obudzi się następnego dnia zdrów jak ryba, ale lekarz nie chciał ryzykować. Zbyt dobrze pamiętał, jak sprawy potoczyły się w wypadku Marjorie i dwojga innych chorych. Szósty zmysł podpowiadał mu, że organizm Eakinsa także toczy już śmiertelną walkę, a jak dotąd intuicja nigdy go nie zawiodła.

Jako pierwszy do pokoju Jonathana dotarł doktor Hasselbaum.

Wymieniwszy z Davidem uścisk dłoni, przystąpił do badania pacjenta. Po chwili pojawił się także onkolog. Przyniósł ze sobą historię choroby Eakinsa - zapiski, które prowadził, gdy był on jego pacjentem. Obaj z Davidem przejrzeni je uważnie, strona po stronie. Przez ten czas doktor Hasselbaum skończył badanie i także do nich dołączył.

Wszyscy trzej zaczęli dyskutować nad przypadkiem Jonathana, kiedy nagle David uświadomił sobie, że obaj jego rozmówcy patrzą na coś, co znajdowało się za jego plecami. Odwrócił głowę i ujrzał Charlesa Kelleya.

- Doktorze Wilson - powiedział Kelley. - Muszę zamienić z panem kilka słów w poczekalni.

- Jestem w tej chwili bardzo zajęty - odrzekł niegrzecznie David, odwracając się z powrotem do konsultantów.

- Obawiam się, że muszę nalegać - nie dał za wygraną Kelley, kładąc

Davidowi dłoń na ramieniu. Wilson strząsnął ją niecierpliwie; nie życzył sobie, by Kelley go dotykał.

- To da mi czas na przebadanie chorego - oświadczył doktor

Mieslich, wstając i wychodząc z dyżurki.

- A ja, wobec tego, zdążę spisać moje spostrzeżenia - pośpiesznie

dodał Hasselbaum, wyjmując z kieszeni fartucha pióro i przysuwając do siebie kartę chorobową Jonathana.

- Dobrze - skapitulował David.

Obaj mężczyźni weszli do poczekalni. Kelley starannie zamknął za sobą drzwi.

- Znasz, jak sądzę, Helen Beaton, dyrektora administracyjnego

szpitala? - zapytał. - A także pana Michaela Caldwell, który jest naszym ordynatorem. - Skinął ręką ku siedzącej na kanapie parze.

- Tak, oczywiście - odparł David.

Pamiętał rozmowę Angeli z Caldwellem, kiedy pierwszy raz

przyjechali do Bartlet, jeśli zaś chodziło o Beaton, miał okazję

kilkakrotnie spotkać się z nią na terenie szpitala. Wyciągnął rękę, by uścisnąć im dłonie. Żadne z nich nie zadało sobie trudu, by wstać.

David niechętnie rozejrzał się po twarzach zebranych w sali ludzi.

Przypuszczał, że będzie miał kłopoty z Kelleyem - sądził, że jego wizyta

wiąże się ze sprawą sekcji zwłok Mary Ann Schiller. Podejrzewał też, że to

właśnie dlatego przełożony wezwał na rozmowę także członków zarządu

szpitala. Miał tylko nadzieję, że swoim postępowaniem nie ściągnął

kłopotów na głowę Angeli.

- Pewnie dziwi cię, jakim sposobem udało nam się tak szybko

zareagować na twoje nieodpowiedzialne decyzje - powiedział Kelley.

David ze zdumieniem potoczył wzrokiem po zebranych. Jakim

cudem ta trójka może rozmawiać z nim o Jonathanie, skoro on sam nie

wiedział jeszcze, o czym świadczyć mogą odczuwane przez pacjenta

dolegliwości?

- Zawiadomiła nas przełożona pielęgniarek - wyjaśnił Kelley. -

Postąpiła zgodnie z instrukcją, jaką wcześniej otrzymała. My zaś

uznaliśmy, że musimy natychmiast interweniować. Jak już wcześniej

mówiłem, zwołujesz stanowczo zbyt wiele konsyliów, szczególnie że

korzystasz z usług specjalistów spoza CMV.

- Zleca pan również za dużo testów laboratoryjnych - dodała

Beaton.

- A także badań diagnostycznych - odezwał się Caldwell.

David

popatrzył

na

troje

administratorów

szpitala

z

niedowierzaniem. Cała trójka odwróciła wzrok. Przypominali trybunał

debatujący nad wydaniem wyroku. Kojarzyli mu się ze Świętą Inkwizycją.

Jego grzechem była herezja ekonomiczna: nie mogli oceniać jego

posunięć merytorycznie, ponieważ żadne z nich nie było lekarzem.

- Pragnę przypomnieć, że ten pacjent jest leczony z powodu

złośliwego raka prostaty - oświadczył Kelley.

- Obawiam się, że już zdążył pan być zbyt rozrzutny, biorąc pod

uwagę wydane przez pana polecenia - dodała Beaton.

- A przecież przypadki trzech poprzednich, nieuleczalnie chorych

pacjentów powinny dać panu do myślenia, czy warto w takich

okolicznościach marnować środki szpitala - powiedział Caldwell.

David próbował stłumić ogarniającą go wściekłość. Po trzech

ostatnich zgonach pacjentów sam już zadawał sobie pytanie o swoje

kompetencje, teraz więc krytyka ze strony członków zarządu szpitala

zabolala go szczególnie mocno.

- Przysięgałem pomagać chorym - odrzekł twardo - a nie

organizacjom czy instytucjom.

- Doceniamy pańską filozofię - oświadczyła kwaśno Beaton. - Ale to

właśnie takie postawy jak pańska doprowadziły do ekonomicznego

kryzysu w służbie zdrowia. Proszę spojrzeć na tę sprawę szerzej: musimy

dbać o dobro wszystkich pacjentów, a nie możemy dla każdego z nich

zrobić

wszystkiego.

Trzeba

więc

racjonalnie

gospodarować

ograniczonymi środkami, jakie mamy do dyspozycji.

- Chodzi nam o to, Davidzie, że koszt zleconych przez ciebie badań, konsultacji i testów znacznie przekracza średnią wydatków, jakie szpital ponosi w wypadku innych lekarzy - wyjaśnił Kelley.

Na chwilę zapadło niezręczne milczenie. Wilson nie wiedział, co powiedzieć.

- Moje postępowanie w tych trzech szczególnych przypadkach wynikało stąd, że byłem świadkiem rozwijania się jakiejś nieznanej choroby. Mam wrażenie, że ona znowu zaatakowała kolejnego pacjenta i jeśli nie postawię w porę właściwej diagnozy, może to mieć tragiczne następstwa.

Beaton, Caldwell i Kelley popatrzyli, po sobie, zastanawiając się, które z nich ma odpowiedzieć w imieniu reszty.

- Przyznaję, że nie znam się na sprawach ściśle medycznych - wzruszyła ramionami Beaton po chwili milczenia.

- Ja także - dodał Caldwell.

- Mamy jednak pod ręką niezależnego eksperta od chorób zakaźnych - oświadczył Kelley. - Ponieważ CMV i tak musi mu już zapłacić, zasięgnijmy przynajmniej jego opinii.

Szef CMV wyszedł z sali i wrócił po chwili w towarzystwie Martina Hasselbauma oraz Clarka Mieslicha. Dokonał prezentacji nowo przybyłych, po czym zapytał ich, czy to możliwe, że Jonathan Eakins oraz trzech zmarli pacjenci Davida mogli zarazić się jakąś nie znaną dotąd chorobą.

- Raczej w to wątpię - odrzekł Hasselbaum. - Nie natrafiłem na nic, co by na to wskazywało. Wszyscy mieli zapalenie płuc, ale podejrzewam, że było ono wynikiem ich ogólnego stanu: każdy z nich cierpiał na chorobę nowotworową.

Kelley zapytał konsultantów, jaki sposób leczenia zaleciłoby w przypadku Jonathana Eakinsa.

- Tylko objawowe - powiedział doktor Mieslich, spoglądając na Hasselbauma.

- Ja również bym na tym poprzestał - zgodził się z onkologiem specjalista od chorób zakaźnych.

- Obaj panowie widzieliście długą listę testów diagnostycznych, których wykonanie zlecił doktor Wilson - powiedział Kelley. - Czy uważacie zrobienie któregośkolwiek z nich za niezbędne?

Mieslich i Hasselbaum wymienili spojrzenia.

- Gdyby to dotyczyło mojego pacjenta, wstrzymałbym się na razie z testami i poczekał, co się stanie - odparł Hasselbaum. - Do jutra rana pacjent może poczuć się zupełnie normalnie.

- Całkowicie zgadzam się z moim kolegą - oznajmił onkolog.

- Cóż, zatem wszyscy jesteśmy w tej sprawie zgodni - stwierdził

Kelley. - I co pan na to, doktorze Wilson?

Spotkanie zakończyło się w przyjaznej atmosferze; wszyscy uśmiechali się do siebie, wymieniając uściski dłoni. Mimo to David czuł się upokorzony i przygnębiony. Wręcz załamany. Wrócił do dyżurki i odwołał większość zleconych wcześniej badań. Następnie udał się do

pokoju Jonathana, by jeszcze raz porozmawiać z pacjentem.

- Dziękuję, że sprowadził pan do mnie aż tylu lekarzy, żeby mnie zbadali - powiedział Eakins.

- Jak się pan czuje?

- Sam nie wiem. Może troszeczkę lepiej.

Kiedy David dotarł do sali autopsyjnej, Angela kończyła właśnie sprzątać użyte podczas sekcji instrumenty, pojawił się zatem w samą porę, by pomóc jej przenieść ciało Mary Ann z powrotem do kostnicy. Zauważył, że żona niespecjalnie pali się do tego, by rozmawiać z nim o wynikach swych badań. Musiał nieomal na siłę wyduszać z niej informacje.

- Niewiele znalazłam - przyznała niechętnie.

- Nie było nic w jej mózgu? - dopytywał się.

- Na pierwszy rzut oka: nie. Ale zobaczymy jeszcze, co wykaże badanie mikroskopowe.

- Jakież przerzuty?

- Chyba niewielkie ogniska w brzuchu - odparła. - Co do tego także upewnię się dopiero, oglądając pobrane tkanki pod mikroskopem.

- Nie znalazłaś więc nic, co bez wahania mogłabyś uznać za przyczynę jej śmierci? - zapytał z niedowierzaniem David.

- Miała zapalenie płuc.

Wilson skinął głową. Wiedział o tym już wcześniej.

- Przykro mi, że nie odkryłam niczego więcej - westchnęła kobieta.

- I tak jestem ci ogromnie wdzięczny, że próbowałaś.

Dopiero w drodze do domu Angela zauważyła przygnębiecie męża.

David nie chciał jednak rozmawiać z nią o tym - na zadawane pytania odpowiadał monosylabami.

- Tak bardzo martwisz się tym, że nie znalazłam niczego podczas sekcji? - zapytała męża Angela, wysiadając z samochodu.

- Owszem - przyznał z westchnieniem David. - Ale nie tylko.

Niezależnie od wszystkiego uważam jednak, że jesteś wspaniałym, utalentowanym lekarzem.

Opowiedział żonie o sądzie, jaki odprawił nad nim Kelley i członkowie zarządu szpitala. Angela była tym szczerze oburzona.

- To naprawdę irytujące - stwierdziła. - Administracja nie powinna wtrącać się do leczenia pacjentów.

- Sam już nie wiem - odrzekł z wahaniem David. - W jakiś sposób oni mają rację. Koszty opieki medycznej stanowią poważny problem. Ale to takie deprymujące, kiedy trzeba ograniczać wydatki na leczenie jakiegoś konkretnego pacjenta. Wezwani przeze mnie konsultanci stanęli jednak po stronie administracji.

Podczas obiadu David bez apetytu dłubał widelcem w talerzu, nie mogąc przelknąć ani kęsa. Co gorsza, Nikki zaczęła narzekać, że nie czuje się dobrze.

O ósmej wieczorem w oskrzelach dziewczynki można było usłyszeć wyraźne szmery i Angela natychmiast zabrała córkę na górę, by pomóc jej w ćwiczeniach oddechowych. Kiedy skończyły, Wilsonowie zeszli do salonu i włączyli telewizor. David jednak nawet nie spojrzął na ekran;

siedział nieruchomo, zapatrzony w płonący na kominku ogień.

- Chyba będzie lepiej, jeśli nie pošlemy jutro Nikki do szkoły -

stwierdziła Angela, ale David nie odpowiedział.

Spojrzała na niego i przez chwilę sama nie wiedziała, o kogo martwi

się bardziej: o córkę czy o męża.

Rozdział 18

Poniedziałek, 25 października

Kiedy na dzwonek budzika Angela otworzyła oczy, poczuła się

rozczarowana, że nie ma obok niej Davida. Wstała z łóżka i rozsunęła

zasłony. Zachmurzone niebo wróżyło deszczowy dzień.

Zeszła na dół i odnalazła męża siedzącego w salonie.

- Od dawna już tu jesteś? - zapytała, starając się, by te słowa

zabrzmiały pogodnie.

- Od czwartej - odparł David, uśmiechając się blado. - Nie martw się

jednak. Czuję się już trochę lepiej.

Mimo obaw o męża, pewną pociechę stanowił dla Angeli fakt, że

wyraźnie poprawił się stan dróg oddechowych Nikki. Dziewczynka nie

miała już szmerów w oskrzelach; tej nocy nie śniły się jej także żadne

koszmary. Matka musiała przyznać, że głupi wybryk Davida z

halloweenowymi maskami miał zbawienne skutki dla psychiki dziecka.

Niestety, samą Angelę dręczyły tej nocy złe sny. Śniło jej się, że

pewnego dnia po powrocie z zakupów zastała swoją kuchnię skąpaną we

krwi. Nie była to jednak zaschnięta krew Hodgesa, lecz świeża,

spływająca ze ścian i tworząca kałuże na podłodze.

Rano Angela pomogła Nikki zrobić ćwiczenia oddechowe, po czym skrupulatnie osłuchiwała klatkę piersiową córki. Nie znalazła nic niepokojącego, ku radości dziewczynki pozwoliła jej zatem iść do szkoły. Pomimo wiszącego w powietrzu deszczu, David uparł się, że pojedzie do pracy na rowerze. Angela nie próbowała nawet przekonywać go, by tego nie robił. Czowała, że jego zapal do fizycznego wysiłku stanowi dobry znak.

Podrzuciła Nikki do szkoły i pośpiesznie zawróciła w stronę szpitala. W poniedziałki miała z reguły sporo pracy, należało bowiem nadrobić zaległości powstałe w czasie weekendu. Weszła do swojego gabinetu i dopiero gdy odwieszala płaszcz, zauważyła Wadleya. Stał bez ruchu, oparty o framugę łączących ich pokoje drzwi.

- Dzień dobry - rzekła, mając nadzieję, że jej głos brzmi pogodnie i beztrosko.

Przełożony nie odpowiedział na powitanie, patrząc na nią ponurym wzrokiem.

- Doszły mnie słuchy, że wykonywałaś tu bez mojej wiedzy sekcję zwłok - powiedział gniewnie.

- To prawda - przyznała Angela. - Robiłam to jednak poza godzinami pracy.

- Może był to twój czas wolny od pracy, ale robiłaś to w moim laboratorium.

- Istotnie, korzystałam ze szpitalnego sprzętu - przytaknęła Angela.

Nie zgadzała się z Wadleyem, że laboratorium należy do niego.

Stanowiło własność szpitala, którego on, podobnie jak ona, był tylko pracownikiem.

- Powiedziano ci przecież wyraźnie, że nie wykonujemy żadnych sekcji zwłok.

- Powiedziano mi wyraźnie jedynie to, że CMV nam za to nie płaci - sprostowała Angela.

Wadley zmierzył ją gniewnym spojrzeniem.

- Pozwól zatem, że wyjaśnię to nieporozumienie - odrzekł lodowato.

- Nie będzie tu żadnych sekcji zwłok, o ile ja sam nie wyrażę na to zgody.

To ja, a nie ty, kieruję tym oddziałem. Polecilem też technikom, by nie badali pobranych przez ciebie wycinków oraz nie wykonywali testów bakteryjnych i toksykologicznych.

Wadley odwrócił się, wszedł do swego gabinetu i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi.

Jak po każdej przykrej wymianie zdań między nimi, co ostatnio zdarzało się bardzo często, Angela czuła się przygnębiona. Szybko jednak ochłonęła. Odebrała w laboratorium próbki tkanek Mary Ann, postanawiając wysłać je do szpitala w Bostonie, gdzie odbywała studencką praktykę. Miała tam wielu przyjaciół, którzy z pewnością nie odmówią jej, gdy poprosi o ich zbadanie. Zatrzymała tylko kilka wycinków, które zamierzała sama obejrzeć pod mikroskopem.

David zrobił swój codzienny obchód, celowo zostawiając odwiedziny u Jonathana na sam koniec. Kiedy jednak wszedł do jego pokoju, przeżył prawdziwy wstrząs: łóżko było puste.

Sądząc, że pacjenta przeniesiono gdzie indziej, podobnie jak to miało miejsce z Johnem Tarlowem, wszedł do dyżurki i zapytał, gdzie leży Eakins.

Janet Colburn poinformowała go, że Jonathan został w nocy skierowany przez dyżurnego lekarza na oddział intensywnej terapii.

David stał jak skamieniały, ogłuszony tą wiadomością.

- Pan Eakins miał kłopoty z oddychaniem i zapadł w śpiączkę - dodała Janet.

- Dlaczego nikt do mnie nie zadzwonił? - zapytał David.

- Dostałyśmy polecenie, by pana nie zawiadamiać - odparła pielęgniarka.

- Kto je wydał?

- Michael Caldwell. Ordynator szpitala.

- Co za absurd... - jęknął David. - Dlaczego?

- Powiedziano nam, że jeśli będzie pan miał jakieś pytania, ma pan zadzwonić do Helen Beaton. Proszę nas za to nie winić.

David ogarnęła wściekłość. Ordynator nie miał prawa wydać takiego polecenia. Nigdy nie słyszał o większym absurdzie. Jakby mało było tego, że poprzedniego dnia pracownicy administracji szpitala uniemożliwili mu gruntowne przebadanie chorego! Jak widać, skutki tego zaniedbania nie dały długo na siebie czekać.

Sprzeczenie się z pielęgniarką do niczego jednak nie prowadziło, pośpiesznie opuścił więc dyżurkę i poszedł odszukać swego pacjenta.

Natychmiast zorientował się, że stan Jonathana rzeczywiście jest

krytyczny. Eakins zapadł w śpiączkę i był podłączony do respiratora, tak jak to miało miejsce w przypadku Mary Ann. David osłuchał pacjenta i zorientował się, że ma on także rozległe zapalenie płuc. Zerknąwszy na podłączoną choremu kroplówkę, stwierdził, że podano mu antybiotyki.

Przeglądając kartę Jonathana, Wilson natychmiast odkrył również, że zmiany w stanie zdrowia pacjenta są lustrzanym odbiciem dolegliwości, na jakie cierpieli trzej jego zmarli ostatnio pacjenci. Eakins miał poważne problemy z układem pokarmowym, centralnym systemem nerwowym oraz krwiobiegim.

Podniósł słuchawkę, by zadzwonić do Helen Beaton, jednak w tej samej chwili dyżurna pielęgniarka powiadomiła go, że właśnie dzwoni Charles Kelley, który koniecznie chce z nim rozmawiać.

- Poinformowano mnie, że jesteś na oddziale intensywnej terapii - powiedział Kelley. - Wydałem polecenie, by dano mi znać, gdy tylko się tam pojawisz. Pragnę zawiadomić cię, że Jonathan Eakins został oddany pod opiekę innego lekarza CMV.

- Nie możesz tego zrobić - odrzekł z wściekłością David.

- Proszę liczyć się ze słowami, doktorze Wilson - warknął Kelley. -

CMV ma prawo zmieniać lekarzy swoim pacjentom i ja właśnie to uczyniłem. Rozmawiałem nawet w tej sprawie z krewnymi chorego i oni chętnie zgodzili się na to.

- Ale dlaczego?

Informacja, że rodzina pacjenta również życzyła sobie zmiany lekarza, sprawiła, że w głosie Davida nie było już takiej pewności siebie

jak wcześniej.

- Uznaliśmy, że jesteś zbyt zaangażowany w tę sprawę - odparł

Kelley. - Doszliśmy więc do wniosku, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli cię od niej odsuniemy. Dzięki temu łatwiej wrócisz do równowagi. Wiem, że ostatnimi czasy żyłeś w wielkim napięciu.

David nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Miał ochotę zwrócić

Kelleyowi uwagę, że stan zdrowia Jonathana pogorszył się dokładnie tak, jak to przewidywał, ale zrezygnował. Dyrektor CMV i tak nie wziąłby pod uwagę niczego, co by odeń usłyszał.

- Nie zapomnij o tym, o czym mówiliśmy wczoraj - ciągnął Kelley. -

Jestem pewien, że zrozumiesz nasze racje, jeśli tylko dobrze to sobie przemyślisz.

Ogarnięty sprzecznymi uczuciami David odłożył słuchawkę. Z

jednej strony nadal był wściekły, że bez uprzedzenia odsunięto go od leczenia Eakinsa, z drugiej jednak wiedział, że w słowach Kelleya było sporo prawdy. Wystarczyło popatrzeć, jak trzęsą mu się ręce, by wiedzieć, że istotnie zaangażował się emocjonalnie w całą tę sprawę.

Mocno przygnębiony opuścił oddział intensywnej terapii, nie

zaglądając nawet do pokoju Jonathana. W holu zerknął na zegarek. Wciąż jeszcze było za wcześnie na przyjmowanie pacjentów w gabinecie. Po chwili namysłu ruszył w stronę szpitalnego archiwum.

Odnalazł karty chorobowe Marjorie, Johna i Mary Ann i usiadłszy

przy bocznym stoliku, zaczął czytać. Starannie przestudiował własne zapiski oraz notatki robione przez pielęgniarki, przyjrzał się też wynikom

analiz laboratoryjnych i testów diagnostycznych.

Wciąż nie dawała mu spokoju myśl o nieznannej chorobie, którą jego pacjenci zarażali się już w szpitalu. Podobne infekcje nosiły nazwy chorób szpitalnych; David często czytywał o takich przypadkach w innych placówkach medycznych. Jednak, choć wszyscy jego pacjenci zapadli na zapalenie płuc, w każdym wypadku spowodował je odmienny szczep bakterii. Śmierć musiała być zatem wynikiem jakiegoś innego schorzenia.

Jedyną wspólną cechą wszystkich trzech przypadków była historia choroby. Każdy ze zmarłych pacjentów cierpiał na raka i był leczony operacyjnie, radiologicznie lub za pomocą chemioterapii. Tę ostatnią zastosowano u całej trójki chorych.

David doskonale zdawał sobie sprawę, że jednym z efektów ubocznych chemioterapii było ogólne osłabienie odporności, gdyż leki niszczyły system immunologiczny organizmu. Zastanawiał się, czy fakt ten ma cokolwiek wspólnego z nagłym pogarszaniem się tuż przed śmiercią stanu zdrowia jego pacjentów. Jednak onkolog, a więc specjalista od tych spraw, przypisywał temu zjawisku niewielkie znaczenie, jako że we wszystkich trzech przypadkach chemioterapia została zakończona na długo przed przyjęciem chorych do szpitala. Ich systemy immunologiczne miały zatem dość czasu, aby wrócić do równowagi.

Rozmyślania przerwał mu dźwięk pagera. Spojrzał w ekranik i rozpoznał wyświetlony w nim numer: izba przyjęć. Odłożył karty chorobowe na miejsce i pośpieszył na dół.

Pacjentem, do którego go wezwano, był znany mu z wcześniejszych wizyt w gabinecie Donald Anderson. Cierpiał na trudną w leczeniu cukrzycę. Stanowiła ona główną z licznych dolegliwości, na jakie się skarżał. Jego wizyta w szpitalu nie była czymś zaskakującym. Wchodząc do sali badań, Wilson natychmiast zauważył, że poziom cukru Donalda musi znacznie odbiegać od normy. Pacjent był w stanie śpiączki.

David zlecił wykonanie analizy krwi i nakazał podanie kroplówki.

Czekając na wyniki badań, poprosił na rozmowę Shirley Anderson, żonę Donalda.

- Od tygodnia już nie czuł się zbyt dobrze - poskarżyła się kobieta. -

Wie pan jednak, jaki jest uparty. Za żadne skarby nie chciał zgłosić się do pana.

- Sądzę, że będziemy musieli zatrzymać go w szpitalu - powiedział

David. - Upłynie kilka dni, zanim poziom cukru wróci do normy.

- Miałam nadzieję, że przyjmie go pan do szpitala - wyznała Shirley.

- Trudno poradzić sobie z nim w tym stanie, szczególnie gdy się ma jeszcze na głowie cały dom i dzieci...

Otrzymawszy z laboratorium wyniki badań, David był zdumiony, że śpiączka chorego nie jest jeszcze głębsza. Wrócił do pacjenta, który dzięki

kroplówce odzyskał już przytomność, i zorientował się, że w sąsiednim

pokoju badań także ktoś jest. Zajrzał tam i zobaczył znajomą twarz

Caroline Helmsford, przyjaciółki Nikki. Obok niej siedział doktor Pilsner.

David wszedł do środka i stanął po drugiej stronie kozetki, na której

leżała dziewczynka. Dziecko popatrzyło na niego oczyma pełnymi

cierpienia. Dolną część jej twarzy skrywała plastikowa maska z dopływającym przez rurkę tlenem. Caroline oddychała z trudem. Twarz miała bladą, miejscami nawet lekko siną.

Doktor Pilsner osłuchiwał właśnie klatkę piersiową dziewczynki.

Na widok Davida uśmiechnął się. Skończywszy badanie, wziął go pod ramię i odprowadził na bok.

- Biedactwo bardzo cierpi - powiedział.

- Co się z nią dzieje?

- To co zwykle. Ma szmery w płucach i wysoką temperaturę. -

Zatrzymają pan w szpitalu?

- Bez wątplenia. Sam pan wie najlepiej, że przy tego rodzaju problemach lepiej nie ryzykować.

David skinął głową. Zerknął na oddychającą z trudem Caroline.

Wyglądała tak krucho i bezbrannie. Jej widok sprawił, że poczuł lęk o Nikki. Równie dobrze na tej kozetce mogła się przecież znajdować jego córka.

- Jest do pani telefon z zakładu medycyny sądowej - poinformowała

Angełę jedna z sekretarek.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - odezwał się w słuchawce głos Walta.

- Skądże - odparła.

- Odkryliśmy parę nowych rzeczy na podstawie próbek pobranych podczas autopsji Hodgesa. Czy nadal to panią interesuje?

- Oczywiście.

- Po pierwsze, miał we krwi sporą dawkę alkoholu.

- Jakim cudem udało się wam to odkryć po tak długim czasie?

- To łatwe, jeśli można zbadać płyn oczny - odrzekł Walt. -

Upewniliśmy się także, że DNA skóry znajdującej się pod jego paznokciami różni się zasadniczo od jego własnego. Bez wątpienia jest to więc tkanka mordercy.

- A co z tymi drobinkami węgla w naskórku? - zapytała Angela. -

Wyjaśniliście jakoś tę zagadkę?

- Szczerze mówiąc, niewiele się tym na razie zajmowałem -

powiedział Walt. - Zmieniłem jednak zdanie co do tego, że te drobinki dostały się tam podczas walki. Uświadomiłem sobie, że odkryliśmy je w skórze właściwej, a nie epidermie. Ich obecność tam musi świadczyć o istnieniu jakiejś starej, zabrudzonej węglem blizny, podobnej do tej, jaką mam ja sam w miejscu, w które w szkole średniej wbilem sobie ołówek.

- Ja też mam taką bliznę na prawej dłoni.

- Nie zajmowałem się za wiele tą sprawą, gdyż ani policja stanowa, ani biuro prokuratora nie naciskało na nas, byśmy pośpieszyli się z badaniami. Zwlekalem więc, ile tylko się dało, mieliśmy bowiem sporo innej, bardzo pilnej pracy.

- Rozumiem - pokiwała głową Angela. - Wciąż jednak bardzo interesują mnie wszystkie pańskie odkrycia. Jeśli więc natrafi pan na coś nowego, proszę dać mi znać.

Telefon Walta sprawił, że Angela na moment wróciła myślami do sprawy Hodgesa. Zastanawiała się, co robi Phil Calhoun. Od czasu wizyty

w jego domu nie miała od niego żadnych wieści. Przypomniła też sobie, jak okropnie czuła się owej nocy, kiedy David pojechał do szpitala, zostawiając ją samą w domu.

Zerknęła na zegarek i stwierdziła, że rozpoczęła się już przerwa na lunch. Wylączyła mikroskop i narzuciwszy płaszcz na ramiona, ruszyła na parking po samochód. Powiedziała Davidowi, że chce mieć broń, postanowiła ją zatem kupić.

W Bartlet nie było magazynu ze sprzętem sportowym, ale sklep Staley handlował między innymi bronią palną. Jego właściciel gotów był służyć Angeli wszelką pomocą. Zapytał, po co potrzebna jej broń, a kiedy odparła, że do ochrony domu, namawiał ją na kupno dubeltówki.

W niespełna piętnaście minut Angela dokonała wyboru: kupiła samopowtarzalną, dwunastostrzałową strzelbę.

Staley był uszczęśliwiony, mogąc objaśniać jej, jak ją ładować i rozładowywać.

Zwrócił też szczególną uwagę na przestrzeganie zasad bezpieczeństwa oraz zachęcał do przeczytania dołączonej do strzelby instrukcji obsługi.

Niosąc broń do samochodu, Angela czuła się zakłopotana. Mimo iż prosiła Staley, by dokładnie owinął zakup papierem, i tak łatwo było poznać, co ten pakunek zawiera. W drugiej ręce trzymała pudełko z nabojami.

Z ulgą schowała strzelbę do bagażnika i już miała wsiąść do samochodu, kiedy popatrzywszy przez park na posterunek policji, zmieniła zamiar. Czuła się winna z powodu wywołania poprzedniego dnia scysji z Robertsonem. Wiedziała, że David ma rację: nie warto było sobie robić wroga z szefa policji. Nawet jeśli nieudolnie prowadził śledztwo w sprawie Hodgesa.

Zostawiła samochód i ruszyła w stronę posterunku. Robertson zgodził się ją przyjąć, już po dziesięciu minutach znalazła się więc w jego gabinecie.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedziała, siadając na podsunętym krześle.

- Nie, skądże - odparł policjant.

- Nie zabiorę panu dużo czasu - zapewniła.

- Pracuję w służbie publicznej i moim obowiązkiem jest wysłuchać, co ma pani do powiedzenia - odrzekł szeryf z cynicznym uśmiechem.

- Przyszłam przeprosić pana za moje wczorajsze zachowanie.

- Och? - zdumiał się Robertson, najwyraźniej zaskoczony tym oświadczeniem.

- Zachowałam się niewłaściwie - ciągnęła Angela. - Serdecznie pana proszę o wybaczenie. Wszystko przez to, że tak głęboko przeżyłam odnalezienie w moim domu tych zwłok.

- Cóż, miło mi, że pani przyszła - powiedział policjant, wciąż nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia. - Przykro mi z powodu Hodgesa. Ta sprawa jest wciąż otwarta i gdy tylko pojawi się coś nowego, dam pani

znać.

- Właśnie dziś rano pojawiło się coś nowego - oświadczyła Angela, nagle zmieniając temat, po czym wyjawiała szeryfowi, że jest bardzo prawdopodobne, iż morderca ma na ręku zanieczyszczoną węglem bliznę, jak po zranieniu się ołówkiem.

- Ołówkiem? - zapytał z niedowierzaniem Robertson.

- Tak. - Wyciągnęła prawą dłoń i pokazała małą, ciemną plamkę na skórze. - Coś takiego jak to. Mam to od trzeciej klasy.

- Ach, rozumiem - pokiwał głową policjant, uśmiechając się krzywo.

- Cóż, dziękuję, że mi pani o tym mówi.

- A tak przy okazji: specjaliści z zakładu medycyny sądowej stwierdzili także, że fragmenty skóry znalezione pod paznokciami Hodgesa z całą pewnością należą do jego mordercy. Ustalili na ich podstawie wzór DNA.

- Problem polega na tym, że ów skomplikowany wzór DNA nie na wiele się przyda, skoro nie ma nikogo podejrzanego - odparł Robertson.

- Kiedyś w małym miasteczku w Anglii znaleziono gwałciciela właśnie dzięki określeniu jego DNA - powiedziała Angela. - Jediną rzeczą, jaką tam uczyniono, było zbadanie DNA wszystkich mieszkańców miasta.

- Ha! - zawołał Robertson. - Już sobie wyobrażam, co powiedziałoby American Civil Liberties Union, gdybym próbował zrobić to samo w Bartlet.

- Wcale pana do tego nie namawiam - odrzekła kobieta. - Chciałam tylko, żeby pan wiedział, że udało się ten wzór DNA ustalić.

- Dziękuję - powiedział policjant, wstając. Angela także podniosła się z miejsca.

Robertson stał przez chwilę przy oknie, patrząc, jak jego gość wsiada do samochodu i odjeżdża. Kiedy błękitne volvo zniknęło mu w końcu z oczu, podniósł słuchawkę i wywołał zakodowany w pamięci telefonu numer.

- Trudno w to uwierzyć, ale ona wciąż jeszcze nie odczepiła się od tej sprawy. Jest jak pies, który zwęszył trop.

Wracając ze spotkania z Robertsonem, Angela czuła się nieco lepiej, choć wciąż nie mogła pozbyć się wrażenia, że przyjęcie przez szeryfa jej przepraszin niczego nie zmieni. Intuicja podpowiadała jej, iż policjant nie kiwnie nawet palcem, by wyjaśnić sprawę zabójstwa Hodgesa.

Wszystkie zarezerwowane dla personelu miejsca na szpitalnym parkingu okazały się zajęte i Angela długi czas krążyła między samochodami, szukając choćby skrawka wolnej przestrzeni. Nie znalazłszy go, musiała pojechać na górny poziom i zostawić volvo w odległym rogu parkingu - od wejścia do szpitala dzieliło ją prawie pięć minut spaceru.

- Zdecydowanie nie mam dziś dobrego dnia - westchnęła, wchodząc do budynku.

- Ale przecież od strony miasta nie będzie go nawet widać! - powiedział do słuchawki Traynor, trzęsąc się ze zdenerwowania.

Rozmawiał z Nede Banksem, który od poprzedniego roku był członkiem rady miejskiej.

- Nie, nie, nie - zaprzeczył po chwili. - Z całą pewnością nie będzie wyglądał jak bunkier z czasów drugiej wojny światowej. Czemu nie przyjedziesz któregoś dnia do szpitala i nie rzucisz okiem na makietę tego garażu? Przysięgam ci, że wygląda całkiem ładnie. Skoro zaś Bartlet Community Hospital ma stać się jedną z największych placówek medycznych w stanie, bardzo go potrzebujemy.

W chwili kiedy Ned mówił coś o tym, że Bartlet nie powinno tracić nic ze swego uroku, Collette, sekretarka Traynora, weszła do pokoju i położyła przed szefem jakąś wizytówkę. Traynor wziął ją do ręki i przeczytał:

„Phil
Calhoun,
prywatny
detektyw.
Satysfakcja
gwarantowana”.

- Kim, u diabła, jest ten Phil Calhoun? - szepnął, zasłaniając dłonią mikrofon.

Collette wzruszyła ramionami.

- Nigdy wcześniej go nie widziałam, ale on twierdzi, że pana zna.

Czeka w sekretariacie. A ja za chwilę muszę wyjść na pocztę.

Traynor machnął sekretarce ręką na pożegnanie, po czym odłożył wizytówkę. W tym samym czasie Banks narzekał na zachodzące w Bartlet zmiany.

- Wybacz, Ned, ale muszę kończyć - przerwał mu Traynor. - Mam nadzieję, że przemyślisz jeszcze tę sprawę. Wiem, że Wiggins nie pochwała mego pomysłu, ale ta inwestycja jest dla szpitala bardzo ważna. Prawdę mówiąc, potrzebujemy każdego głosu poparcia.

Zdegustowany odłożył słuchawkę. Nie potrafił zrozumieć

krótkowzroczności radnych. Żaden z nich nie doceniał korzyści ekonomicznych płynących z istnienia szpitala. Czyniło to dlań zarządzanie tą placówką jeszcze trudniejszym.

Zerknął przez szparę w drzwiach swego gabinetu, chcąc zobaczyć, jak wygląda znany mu rzekomo prywatny detektyw. Ujrzał potężnie zbudowanego mężczyznę w biało-czarnej koszuli, który przeglądał właśnie jeden z kwartalnych biuletynów szpitala. Istotnie, wyglądał znajomo, ale Traynor nie potrafił przypomnieć sobie, gdzie go spotkał.

Otworzył szerzej drzwi i zaprosił Calhouna do środka. Kiedy ściskali sobie ręce na powitanie, jeszcze raz wytężył pamięć, ale nadal nie miał pojęcia, w jakich okolicznościach zetknął się z tym człowiekiem.

Podsunał gościowi krzesło i obaj usiedli.

Dopiero kiedy Calhoun wspomniał, że jest byłym policjantem, prezes zarządu szpitala przypomniał sobie, skąd go zna.

- Pamiętam pana - oświadczył. - Przyjaźnił się pan z bratem Harleya Strombella.

Detektyw skinął głową i wyraził podziw dla pamięci Traynora.

- Nigdy nie zapominał twarzą - odrzekł dumnie gospodarz.

- Chciałbym zadać panu kilka pytań na temat doktora Hodgesa -
powiedział Calhoun, z miejsca przechodząc do rzeczy.

Traynor nerwowo obracał w palcach licytatorski młotek, którego
używał podczas prowadzonych przez siebie narad. Nie lubił odpowiadać
na pytania dotyczące Hodgesa, co nie znaczyło, że się ich obawiał. Pragnął
po prostu, by całe to zamieszanie wywołane śmiercią jego poprzednika
nareszcie się skończyło.

- Pańskie zainteresowanie Hodgesem ma charakter osobisty czy
służbowy? - zapytał.

- I taki, i taki - odparł spokojnie Calhoun.

- Został pan wynajęty?

- Można to tak nazwać.

- Przez kogo?

- Tego nie wolno mi zdradzić. Jestem pewien, że jako prawnik
rozumie pan to doskonale.

- Jeśli oczekuje pan, że będę z nim współpracował - powiedział

Traynor - nie może pan być aż tak tajemniczy.

Calhoun wyjął cygaro „Antonio y Cleopatra” i zapytał, czy może
zapalić. Traynor skinął głową, odmówił jednak, kiedy detektyw także
jemu podsunął otwarte pudełko. W milczeniu patrzył, jak jego gość z
lubością wydmuchuje dym w kierunku sufitu.

- Rodzina denata jest zainteresowana wyjaśnieniem, kto dokonał
tego brutalnego zabójstwa - powiedział Calhoun.

- To zrozumiałe - skinął głową prezes zarządu. - Czy mogę mieć

pańskie słowo, że cokolwiek powiem, dochowa pan sekretu i nikomu nie

zdradzi, skąd pochodzą pańskie informacje?

- Absolutnie tak - zapewnił detektyw.

- W porządku. O co, w takim razie, chciałby mnie pan zapytać?

- Sporządzam listę osób, które nie lubiły Hodgesa. Czy zna pan

kogoś, kogo pańskim zdaniem należałoby na nią wpisać?

- Pół miasta - odrzekł Traynor ze śmiechem. - Wolalbym jednak nie

wymieniać żadnych nazwisk.

- O ile mi wiadomo, widział się pan z Hodgesem owej nocy, kiedy go

zamordowano?

- Owszem. Przerwał prowadzoną przeze mnie w szpitalu naradę.

Miał niemiły zwyczaj pojawiania się w miejscach, gdzie nikt nie życzył

sobie jego obecności.

- Mówiono mi, że był wściekły.

- Kto to panu powiedział? - zdziwił się Traynor.

- Rozmawiałem już z wieloma ludźmi w mieście - odparł wymijająco

detektyw.

- Dennis bez przerwy był wściekły. Nieustannie narzekał na to, w

jaki sposób zarządzamy szpitalem. Widzi pan, doktor Hodges miał do

naszej placówki stosunek szczególny, a przy tym jego poglądy były nieco

staroświeckie. Był człowiekiem starej daty, który prowadził szpital w

czasach, kiedy służba zdrowia przynosiła jeszcze dochody. Nie rozumiał,

że teraz takie placówki jak nasza muszą przede wszystkim walczyć o

przetrwanie.

- Wydaje mi się, że niewiele wiem na ten temat - stwierdził Calhoun.

- Lepiej więc, żeby się pan dowiedział, jak wygląda nasza rzeczywistość. Kto jest odpowiedzialny za otoczenie pana opieką medyczną w razie choroby?

- CMV - odrzekł detektyw.

- No właśnie - uśmiechnął się Traynor. - A więc jest pan częścią całego systemu świadczenia usług medycznych i nawet pan o tym nie wie.

- O ile mi wiadomo, doktor Hodges wdarł się na pańskie zebranie, mając przy sobie kilka kart chorobowych pacjentów.

- Raczej fragmentów tych kart - sprostował Traynor. - Nie przyglądałem się im jednak. Miałem zamiar zjeść z Dennisem lunch następnego dnia, by podyskutować na temat jego skarg. Bez wątpienia dotyczyły one jego byłych pacjentów. Zawsze narzekał, że nie są oni traktowani z należytą troską. Szczerze mówiąc, bez przerwy zatruwał nam tym życie.

- Czy doktor Hodges miał jakieś zastrzeżenia do nowego dyrektora administracyjnego szpitala, Helen Beaton?

- Mój Boże, tak! Nie było dnia, żeby nie nachodził jej w biurze i nie narzekał na jej pracę. Helen jest prawdopodobnie osobą, która najwięcej przez niego wycierpiała.

- Podobno owego wieczoru, kiedy Hodges przerwał panu zebranie, widział się pan z nim później jeszcze raz.

- Tak, niestety - przyznał Traynor. - W restauracji. Zwykle po szpitalnych naradach udajemy się do pobliskiego baru na drinka. Tego

wieczoru Hodges także tam wstąpił i jak zwykle starał się sprowokować kłótnię.

- Czy doszło wówczas do scysji między nim a Robertsonem?

- Jeszcze jak - przytaknął Traynor. - A z Sherwoodem?

- Z kim, u licha, pan na ten temat rozmawiał? - zapytał Traynor.

- Z garstką mieszkańców tego miasta - uśmiechnął się Calhoun. - O

ile mi wiadomo, doktor Cantor także niezbyt pochlebnie wyrażał się o Hodgesie.

- Nie pamiętam. Wiem jednak, że doktor Cantor od lat miał do niego liczne zastrzeżenia.

- Skąd się one wzięły?

- Za sprawą Hodgesa szpital przejął kontrolę nad radiologią i patologią. Dennis chciał, żeby profity czerpane przez te oddziały dzięki posługiwaniu się należącym do szpitala sprzętem trafiały do naszej placówki, a nie do prywatnych kieszeni lekarzy.

- A co z panem? Słyszałem, że pan także nie przepadał za Hodgesem?

- Jak już panu mówiłem - odrzekł Traynor - z Dennisem ciężko było wytrzymać. A ja i bez jego ciągłego wtrącania się miałem dość kłopotów z prowadzeniem szpitala.

- Mówiono mi, że miał pan także osobiste powody, by czuć do niego niechęć. Dotyczyło to bodaj pańskiej siostry.

- Cóż, źródło pańskich informacji musiało być naprawdę dobre - uśmiechnął się Traynor.

- Powtarzam tylko krążące po mieście plotki.

- Racja. Żaden sekret. Moja siostra, Sunny, popełniła samobójstwo po tym, jak Hodges ograniczył przywileje, którymi cieszył się w szpitalu jej mąż.

- Miał pan to za złe swojemu poprzednikowi?

- Bardziej wówczas niż teraz - przyznał Traynor. - Do diabła, mąż Sunny był alkoholikiem. Dennis powinien zrobić to, co zrobił, jeszcze zanim tamten zdążył kogokolwiek skrzywdzić.

- Ostatnie pytanie - powiedział detektyw. - Czy pan wie, kto zabił doktora Hodgesa?

Traynor wybuchnął śmiechem, przecząco potrząsając głową.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. I nic mnie to nie obchodzi.

Interesują mnie jedynie skutki, jakie jego śmierć może mieć dla szpitala.

Calhoun wstał i zgasił cygaro w stojącej w rogu biurka popielniczce.

- Proszę wyświadczyć mi pewną przysługę - poprosił na pożegnanie prezes szpitala. - Staralem się panu pomóc, choć przecież nie musiałem.

Chciałbym, żeby pan w rewanżu nie robił zbyt wiele szumu wokół sprawy śmierci Hodgesa. Jeśli dowie się pan, kto popełnił tę zbrodnię, i będzie chciał wydać zabójcę w ręce sprawiedliwości, proszę dać mi o tym znać, aby szpital mógł się przygotować na pytania prasy. Szczególnie, jeśli morderca miałby cokolwiek wspólnego z naszą placówką. Mamy tu dość kłopotów z panującymi między ludźmi stosunkami i naprawdę nie trzeba nam, by dziennikarze jeszcze dodatkowo obsmarowywali nas w gazetach.

- Pańska prośba wydaje mi się rozsądna - przyznał Calhoun.

Traynor odprowadził detektywa do drzwi, po czym wrócił do biurka i odnalazł w notesie bostoński numer Clary Hodges.

- Chciałbym zadać pani pewne pytanie - powiedział po wymienieniu powitalnych uprzejmości. - Czy zna pani dżentelmena nazwiskiem Phil Calhoun?

- Nie mogę sobie przypomnieć - odparła Clara.

- Właśnie opuścił moje biuro - wyjaśnił Traynor. - To prywatny detektyw. Wypytywał mnie o Dennisa. Twierdził, że został wynajęty przez jego rodzinę.

- Z pewnością nie wynajmowałam żadnego prywatnego detektywa - powiedziała stanowczo Clara. - I nie przychodzi mi do głowy nikt z rodziny mego męża, kto mógłby to uczynić. Szczególnie bez mojej wiedzy.

- Tego właśnie się obawiałem. Jeśli usłyszy pani cokolwiek na temat tego człowieka, proszę dać mi znać.

- Z całą pewnością to uczynię - obiecała Clara.

Traynor odłożył słuchawkę i westchnął. Miał niemile przeczucie, że czekają go poważne kłopoty. Nawet leżąc w grobie, Hodges potrafił dawać się ludziom we znaki.

- Masz jeszcze jednego pacjenta - powiedziała Susan, wręczając Davidowi dodatkową kartę chorobową. - To jedna z pielęgniarek z pierwszego piętra. Kazałam jej od razu tutaj przyjść.

David wziął kartę i wszedł do pokoju badań. Pielęgniarka nazywała się Beverly Hopkins. David nie znalazł jej, pracowała bowiem na nocnej zmianie.

- Co pani dolega? - zapytał z uśmiechem.

Beverly leżała na kozetce. Była wysoką, szczupłą kobietą o jasnobrązowych włosach. Jej twarz powlekała nienaturalna bladość, w dłoni zaś trzymała nerkową miseczkę, którą Susan dała jej na wypadek wymiotów.

- Przepraszam, że robię panu kłopot, doktorze Wilson - powiedziała. - Przypuszczam, że to grypa. Zostałabym po prostu w domu i poleżała w łóżku, ale kierownictwo nalega, byśmy przed wzięciem wolnego dnia zawsze konsultowały się z lekarzem.

- Nie ma problemu - odrzekł David. - Po to tu jestem. Jakie ma pani objawy?

Opisane przez kobietę symptomy przypominały dolegliwości, na które uskarżały się także cztery inne pielęgniarki: ogólne osłabienie, kłopoty z przewodem pokarmowym, obniżona temperatura ciała. Wilson zgodził się z diagnozą Beverly i odesłał ją do domu, nakazując odpoczynek. Polecił też, by piła dużo płynów i - jeśli będzie to konieczne - łyknęła aspirynę.

Skończywszy przyjmować pacjentów, David udał się do szpitala na popołudniowy obchód. Idąc na górę, pomyślał, że to dziwne, iż jedynymi chorymi na grypę osobami, z jakimi się zetknął, były pielęgniarki i że wszystkie one pracowały na pierwszym piętrze.

Zatrzymał się gwałtownie. Czy to zbieg okoliczności, że każda z tych pięciu kobiet była zatrudniona na tym samym piętrze, na którym przebywali jego śmiertelnie chorzy pacjenci? Co prawda aż

dziewięćdziesiąt procent wszystkich przyjmowanych do szpitala ludzi

trafiało właśnie tam, ale mimo to David uznał za dziwne, że nikt z

pozostałych oddziałów nie uskarżał się na objawy grypy.

Ponownie ruszył przed siebie, wciąż dręczony myślą, iż jego

podopieczni umarli na jakąś chorobę zakaźną, którą zarazili się w

szpitalu. Przypominające grypę objawy, na jakie uskarżały się

pielęgniarki, mogły mieć z tym coś wspólnego. Przyszło mu do głowy, że

skoro zdrowe i silne kobiety ulegały niespodziewanie jakiejś tajemniczej

chorobie,

pacjentów

ze

zniszczonym

chemioterapią

systemem

immunologicznym to samo schorzenie mogło doprowadzić do śmierci.

Jego przypuszczenia nie były pozbawione sensu, ale gdy próbował

wskazać jakąś znaną medycynie chorobę, która pasowałaby do

zaobserwowanych przez niego symptomów, nie mógł znaleźć ani jednej.

Mimo iż atakowała ona zarówno układ pokarmowy, jak i centralny

system nerwowy oraz krwiobieg, nawet dla takiego specjalisty jak doktor

Martin Hasselbaum okazała się wyjątkowo trudna do /diagnozowania.

A jeśli mamy tu do czynienia z trucizną, która przeniknęła z

otoczenia? - zastanawiał się David. Wrócił pamięcią do gwałtownego

ślinotoku Jonathana. Podobne dolegliwości wywołuje rtęć, lecz pomysł,

że u pacjentów doszło do jakiegoś zatrucia, wydał mu się mocno naciągany. W jaki sposób trucizna mogła się dostać do organizmu? Gdyby jej opary unosiły się w powietrzu, na identyczne dolegliwości skarżyłoby się znacznie więcej ludzi, a nie tylko kilka pielęgniarek. Nie mogąc jednak do końca wykluczyć możliwości zatrucia, postanowił zaczekać z wnioskami do chwili, gdy otrzyma wyniki testów toksykologicznych przeprowadzonych na wycinkach pobranych z ciała Mary Ann.

Przyśpieszając kroku, wszedł na pierwsze piętro. Wszyscy jego pacjenci czuli się dobrze. Nawet Donald, choć lekarz znowu musiał zalecić podawanie mu insuliny.

Po obchodzie David poszedł do laboratorium i odnalazł Angelę, szukającą właśnie w apteczce jednego z uniwersalnych odczynników.

- Skończyłeś już? - zapytała, podnosząc wzrok. - Mniej więcej.

- Jak się miewa Eakins?

- Później ci powiem.

Angela uważnie popatrzyła na męża.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Nie - odrzekł David. - Nie chcę jednak teraz na ten temat rozmawiać.

Angela przeprosiła laboranta, z którym właśnie pracowała, i odciągnęła Davida na bok.

- Kiedy przyszedłam tu dziś rano, czekała mnie mała niespodzianka - oznajmiła. - Wadley dowiedział się, że bez jego pozwolenia zrobiłam sekcję zwłok.

- Przykro mi.

- To nie twoja wina - wzruszyła ramionami. - Wadley to dupek. Mści się, bo uraziłam jego dumę. Prawdziwym problemem jest to, że nie pozwolił mi wykonać żadnych badań pobranych tkanek.

- O cholera - zaklął David. - A ja tak bardzo potrzebuję testów toksykologicznych.

- Nie musisz się o to martwić - powiedziała z uśmiechem. -

Wysłałam wszystkie próbki do moich przyjaciół do Bostonu. Jestem pewna, że nie odmówią mojej prośbie o ich przebadanie. Zostawiłam tylko kilka wycinków, które mam zamiar sama obejrzeć pod mikroskopem. Specjalnie zostanę dzisiaj dłużej w pracy, żeby to zrobić. Będziesz tak dobry i sam dasz Nikki obiad, dobrze?

David obiecał, że chętnie to zrobi, i z ulgą opuścił szpital. Cieszył się, że jadąc na rowerze, może oddychać krystalicznie czystym powietrzem Nowej Anglii. Żałował, że podróż trwała tak krótko. Odesłał Alice do domu, uradowany okazją spędzenia całego popołudnia sam na sam z córką. Długi czas bawili się razem na podwórku, dopóki zapadający zmrok nie zmusił ich do powrotu pod dach. Nikki zasiadła do odrabiania lekcji, David zaś zajął się przygotowaniem nieskomplikowanego posiłku: steków i salatki.

Dopiero po obiedzie powiedział córce o Caroline.

- Czy jest poważnie chora? - zapytała dziewczynka.

- Wyglądała kiepsko, kiedy ją widziałem - przyznał David.

- Chciałabym ją jutro odwiedzić.

- Wiem. Pamiętaj jednak, że wczoraj wieczór ty sama także miałaś lekkie szmery w płucach. Myślę, że lepiej poczekać z wizytą do chwili, kiedy będziemy już wiedzieć, co dolega twojej przyjaciółce, dobrze?

Nikki nie wyglądała na specjalnie uszczęśliwioną słowami ojca, posłusznie jednak skinęła głową.

David nalegał też, by na wszelki wypadek zrobiła sobie inhalację, pomimo że wiedział, iż zwykle wykonywała ten zabieg jedynie rano.

Dziewczynka bez protestów wypełniła jego polecenie.

Położywszy Nikki spać, Wilson przejrzał wszystkie publikacje na temat chorób zakaźnych, jakie tylko miał w swojej bibliotece. Nie odkrył jednak niczego ciekawego. Sądził, że wertując książki, natknie się na opis, który przypominałby objawy, jakie wystąpiły u trojga jego pacjentów, ale niczego takiego nie znalazł.

- Oto cienie zawodu lekarza - stwierdził, spoglądając na leżący na jego kolanach opasły podręcznik. Niewiele brakowało, a zasnąłby nad tą książką w fotelu. Zerknął na stojący na kominku zegar i ze zdumieniem stwierdził, że jest już po jedenastej. Zdziwił się, że Angela wciąż jeszcze nie wróciła do domu. Zaniepokojony zadzwonił do szpitala i poprosił o połączenie z laboratorium.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał, usłyszawszy w słuchawce głos żony.

- Nic. Po prostu badania zabrały mi więcej czasu, niż sądziłam. To wcale nie taka łatwa praca. Zaczęłam doceniać laborantów, którzy wykonują ją na co dzień. Powinłam była do ciebie zadzwonić, ale zupełnie wyleciało mi to z głowy. Zresztą już prawie skończyłam. Wrócę

do domu za jakąś godzinę.

- Będę czekał - powiedział David, odkładając słuchawkę.

Upłynęło jednak jeszcze ponad półtorej godziny, zanim Angela uporała się ze wszystkimi analizami. Skończywszy pracę, wybrała kilka próbek i zapakowała je do metalowego etui, przekonana, że David będzie sam chciał rzucić na nie okiem. Mieli własny mikroskop, nie było więc problemu z oglądaniem preparatów w domu.

Pożegnawszy się z pracującymi na nocnej zmianie laborantkami, wyszła ze szpitala i skierowała się na parking. Ku swemu zdziwieniu przed wejściem nie dostrzegła volvo. Przez moment myślała, że może samochód został skradziony, potem jednak przypomniała sobie, że z braku miejsca musiała zostawić wóz w odległym końcu górnego parkingu.

Szybkim krokiem zaczęła iść w tamtą stronę, wkrótce jednak nieco zwolniła. Była zmęczona, a ponadto niosła ciężki metalowy pojemnik. W połowie drogi przelożyła kasetkę z próbkami do drugiej ręki.

Na parkingu znajdowało się zaledwie kilka samochodów należących do pracowników nocnej zmiany i już po chwili Angela zostawiła je wszystkie daleko w tyle. Kierując się ku ścieżce łączącej oba parkingi, uświadomiła sobie, że jest tu zupełnie sama: nocna zmiana miała opuścić szpital dopiero za kilka godzin.

Dochodząc do ścieżki, poczuła się trochę nieswojo. Nie nawykła do przebywania o tej porze poza domem i zdecydowanie wolałaby, żeby ktoś był tu teraz razem z nią. Wydawało jej się, że usłyszała za sobą jakiś szelest, ale kiedy się odwróciła, niczego nie zobaczyła. Niespodziewanie

przyszły jej na myśl dzikie zwierzęta. Mówiło się, że w tej okolicy można od czasu do czasu spotkać niedźwiedzia. Zastanawiała się, co by zrobiła, gdyby nagle stanął przed nią jeden z nich.

„Nie bądź głupia” - powiedziała do siebie, przyśpieszając kroku.

Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu; bądź co bądź, było już grubo po północy.

Parking oświetlony był tak rzęsiście, że kiedy znalazła się na wiodącej ku górnemu tarasowi ścieżce, na której nie zainstalowano żadnych latarni, musiała zatrzymać się na chwilę by oczy przywykły do ciemności. Niepewnie weszła w utworzony przez zielone korony rosnących po obu stronach drzew, zwieńczony łukowato żywy tunel.

Szczekanie psa gdzieś w oddali sprawiło, że wzdrygnęła się nerwowo i zaczęła niemal biec, wspinając się po ułożonych z podkładów kolejowych schodkach. Słyszała trzask gałęzi i szum wiatru poruszającego koronami sosen. Coraz bardziej zdenerwowana, przypomniła sobie, jak David i Nikki przerazili ją śmiertelnie, wyskakując zniemacka w maskach w piwnicy ich domu. To wspomnienie jeszcze zwiększyło jej niepokój.

W miejscu, gdzie kończyły się schody, ścieżka przestawała piąć się do góry i zakreślała lekko w lewo. Angela widziała już przed sobą światła górnego parkingu, od którego dzieliło ją zaledwie pięćdziesiąt stóp.

Zacząła się już powoli uspokajać, kiedy nagle z mroku wyłonił się jakiś człowiek. Zaskoczył ją tak, że nie miała nawet szansy pomyśleć o ucieczce. W rękę trzymał uniesioną pałkę. Jego twarz skrywały ciemne narciarskie gogle.

Angela cofnęła się gwałtownie, potknęła o wystający korzeń i upadła. Krzyknęła. Mężczyzna rzucił się na nią, zdążyła jednak sturlać się na bok ścieżki. Usłyszała uderzenie pałki o miękką ziemię w miejscu, gdzie jeszcze przed sekundą znajdowała się jej głowa.

Gramoląc się niezdarnie, wstała, lecz napastnik nie tracił czasu.

Dłonią w rękawiczce chwycił ją za nadgarstek i ponownie uniósł pałkę.

Nie myśląc o tym, co robi, Angela zamachnęła się i z całą siłą, na jaką tylko mogła się zdobyć, uderzyła metalową walizeczką w krocze mężczyzny. Napastnik puścił jej rękę i krzycząc z bólu, opadł na kolana.

Mając odciętą drogę powrotną do szpitala, Angela wbiegła na górny parking. Przewrzenie sprawiło, że poruszała się tak szybko jak nigdy dotąd. Za plecami słyszała biegnącego za nią mężczyznę, nie odważyła się jednak obejrzeć. Kiedy dopadła samochodu, w jej głowie kołatała tylko jedna myśl: strzelba.

Upuściła walizeczkę na ziemię i trzęsącymi się rękoma włożyła kluczyk w zamek bagażnika. Pośpiesznie wyjęła broń i otworzyła pudełko z nabojami, pozwalając, by wysypały się na dno bagażnika. Wsunęła jedną z kul do komory naboju. Opierając strzelbę o biodro, odwróciła się gwałtownie, wokół niej było jednak pusto. Mężczyzna wcale jej nie ścigał. To, co słyszała, było jedynie echem jej własnych kroków.

- Czy mogłaby pani określić go bardziej szczegółowo? - zapytał

Robertson. - „Średniego wzrostu”, tak? To niestety mało dokładna charakterystyka. Jak możecie oczekiwać, że złapiemy tego człowieka, skoro żadna kobieta nie może opisać go lepiej?

- Było ciemno - odparła Angela, z trudem hamując wściekłość. - I to wszystko stało się tak szybko. Poza tym miał na twarzy narciarskie gogle.

- Co, u diabła, robiła pani pomiędzy tymi drzewami po północy? Do licha, przecież ostrzegaliśmy wszystkie pielęgniarki, żeby były ostrożne.

- Nie jestem pielęgniarką - odparła Angela. - Jestem lekarką.

- O mój Boże! - Robertson teatralnym gestem załamał ręce. - Sądzi pani, że gwałciciela obchodzi pani profesja?

- Chciałam przez to jedynie powiedzieć, że nikt mnie przed niczym nie ostrzegł. Być może pielęgniarki zostały uprzedzone o grożącym im niebezpieczeństwie, ale lekarki nie.

- Cóż, powinna pani wiedzieć, jakie to niebezpieczne miejsce.

- Czyżby sugerował pan, że ten napad to wyłącznie moja wina?

Robertson zignorował jej pytanie.

- Jak wyglądała pałka, którą posługiwał się ten mężczyzna? - zapytał.

- Nie mam pojęcia. Powiedziałam już, że było ciemno. Policjant potrząsnął głową i spojrzal na swojego partnera.

- Mówiłeś, że Bill chwilę wcześniej patrolował to miejsce? - To prawda - przytaknął mężczyzna. - Dziesięć minut wcześniej rutynowo objechał radiowozem obydwa parkingi.

- Chryste, sam nie wiem, co robić - westchnął Robertson. Popatrzył na Angelę i wzruszył ramionami. - Gdybyście wy, kobiety, zechciały bardziej z nami współpracować, nie mielibyśmy takich problemów.

- Mogę skorzystać z telefonu? - zapytała Angela, ignorując

stwierdzenie policjanta.

Zadzwońa do Davida i gdy tylko podniósł słuchawkę, zorientowała się, że spał. Powiedziała mu, że będzie w domu za dziesięć minut.

- Która godzina? - zapytał David, po czym, zerknąwszy na zegar, sam odpowiedział sobie na to pytanie: - Święty Boże! Już po pierwszej. Co ty robisz?

- Powiem ci, jak wrócę - odparła, odkładając słuchawkę. - Mogę już sobie pójść? - zapytała Robertsona.

- Oczywiście - odrzekł policjant. - Gdyby jednak przypomniała pani sobie jakieś nowe szczegóły, proszę natychmiast dać nam znać. Czy mam polecić, żeby odwieziono panią do domu?

- Chyba sama sobie poradzę - podziękowała Angela.

Dziesięć minut później zatrzymała samochód na podjeździe swego domu i wtuliła się w ramiona czekającego na nią w drzwiach Davida. Jego niepokój - wywołany późną godziną powrotu żony - wzrósł jeszcze, kiedy wysiadła ona z samochodu, trzymając w jednej ręce metalową walizeczkę, w drugiej zaś myśliwską strzelbę. Nie zadając jej jednak żadnych pytań, przez chwilę po prostu obejmował ją mocno, przytulając tak, że nawet gdyby chciała, nie mogłaby się poruszyć.

W końcu Angela odsunęła się od męża, zdjęła pobrudzony płaszcz i wniosła walizeczkę i strzelbę do bawialni. David szedł za nią, ani na moment nie spuszczał wzroku z broni. Kobieta usiadła na kanapie, objęła rękoma kolana i popatrzyła na męża.

- Muszę się uspokoić - oświadczyła. - Czy mógłbyś nalać mi kieliszek

wina?

David natychmiast spełnił jej prośbę. Podając żonie wino, zapytał, czy ma także zrobić jej coś do jedzenia. Angela jednak przecząco pokręciła głową i przymknęła oczy.

Spokojnym głosem zaczęła opowiadać mu o mężczyźnie, który napadł na nią na parkingu, szybko jednak straciła panowanie nad sobą i wybuchnęła płaczem. Przez następne pięć minut nie była w stanie wykrztusić choćby jednego słowa. David objął ją ramieniem, powtarzając, że to wszystko jego wina: nie powinien pozwolić jej pracować do tak późna.

Upłynęło sporo czasu, nim Angela zdołała się jakoś wziąć w garść.

Powstrzymując łzy, opowiedziała mu całe zdarzenie do końca. Kiedy doszła do chwili przyjazdu Robertsona, ponownie ogarnęła ją złość.

- Nie rozumiem tego człowieka - wyznała. - Działa mi na nerwy.

Zachowywał się tak, jakbym to ja była temu wszystkiemu winna.

- Drań z niego - zgodził się David.

Angela sięgnęła po metalową walizeczkę i wręczyła ją mężowi.

- Nic w tych próbkach nie znalazłam - powiedziała, ocierając łzy. - W

mózgu nie było żadnych przerzutów. Odkryłam lekkie zapalenie

okołonaczyniowe, ale to nic szczególnego. Kilka neuronów wygląda

wprawdzie na uszkodzone, lecz równie dobrze mogą to być zmiany

pośmiertne.

- Nie zauważyłaś żadnych śladów choroby zakaźnej? Angela

potrząsnęła głową.

- Przywiozłam w tej walizeczce kilka próbek, na wypadek gdybyś

sam chciał rzucić na nie okiem.

- Widzę, że kupiłaś strzelbę - David niespodziewanie zmienił temat.

- Jest naładowana - ostrzegła go Angela. - Bądź ostrożny. I nie martw się. Jutro pomówię o wszystkim z Nikki.

Głośny brzęk tłuczonego szkła sprawił, że oboje zerwali się na równe nogi. W pokoju Nikki rozległo się szczekanie Rusty'ego. Pies zbiegł po schodach na dół. David wziął do ręki strzelbę.

- Nawet we własnym domu nie można czuć się bezpiecznie - powiedziała drżącym głosem Angela.

Ostrożnie weszli do pogrążonego w ciemnościach salonu. David zapalił światło. Wśród odłamków potłuczonego szkła na dywanie leżała cegła. Przypięto do niej kartkę, która okazała się kopią listu, jaki poprzedniego dnia przybito im do drzwi wejściowych.

- Dzwonię na policję - powiedziała Angela. - Tego już za wiele.

Kiedy czekali na przyjazd radiowozu, David zapytał żonę, czy tego dnia zajmowała się w jakikolwiek sposób sprawą popełnionego w ich domu morderstwa.

- Nie - odparła obronnym tonem kobieta. - Chociaż zaraz...

Dzwoniono do mnie z zakładu medycyny sądowej.

- Rozmawiałaś z kimś o Hodgesie?

- Jego nazwisko padło podczas mojej rozmowy z Robertsonem - przyznała Angela.

- Dziś wieczór? - zdziwił się David.

- Nie, po południu. Wstąpiłam na posterunek policji, wracając do szpitala po kupieniu strzelby.

- Po co? - zapytał przerażony David. - Nie rozumiem, jak mogłaś mieć ochotę na spotkanie z tym człowiekiem po tym, co stało się wczoraj przed kościołem?

- Chciałam go przeprosić - wyjaśniła Angela. - Ale popełniłam błąd. Robertson nie kiwnie palcem, żeby odnaleźć mordercę Hodgesa.

- Angela! - jęknął David. - Musimy dać sobie spokój z tą sprawą! List przybity do framugi to jedno, a wrzucona przez okno cegła to już zupełnie co innego.

Szyby pokoju omiotło nagle światło samochodowych reflektorów i na podjeździe zatrzymał się policyjny radiowóz.

- Dobrze przynajmniej, że to nie Robertson - powiedziała Angela, zerkając przez okno na zbliżającego się do drzwi mężczyznę.

Policjant przedstawił się jako Bill Mornson. Z miejsca widać było, że incydent, który wydarzył się w domu Wilsonów, ani trochę go nie interesuje. Zadał tylko tyle pytań, by móc wypełnić formularz, po czym zaczął zbierać się do wyjścia.

Był już w drzwiach, kiedy Angela zapytała go, co zamierza zrobić z cegłą.

- Nic nie będę z nią robić - odrzekł zdziwiony.

- A co z odciskami palców?

Bill popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Z odciskami palców? - powtórzył niepewnie.

- Co pana tak dziwi? - skrzywiła się kobieta. - Można przecież zdejmować odciski palców z rzeczy takich jak kamień czy cegła.

- Cóż, nie wiem, czy w takich sytuacjach wysyłamy w ogóle cokolwiek do laboratoriów policji stanowej - powiedział.

- Na wszelki wypadek dam panu jednak jakąś torbę do zapakowania tego - oświadczyła Angela, znikając w kuchni. Po chwili wróciła, niosąc foliowy woreczek. Odwróciła go na lewą stronę i chwyciwszy przezeń cegłę, opakowała i wręczyła policjantowi.

- Dzięki temu będziecie przygotowani na wypadek, gdybyście jednak postanowili zająć się tą sprawą - stwierdziła.

Mornson skinął głową i pożegnawszy się, wsiadł do radiowozu.

Angela i David patrzyli przez okno, jak samochód policyjny wycofuje się z podjazdu i znika w ciemnościach.

- Tracę zaufanie do lokalnej policji - powiedział David.

- Ja nigdy go nie żywiłam - westchnęła Angela.

- Skoro Robertson jest jedyną osobą, z którą rozmawiałaś dziś na temat Hodgesa, to zaczynam się poważnie zastanawiać, czy to nie on wrzucił nam tę cegłę przez okno.

- Sądzisz, że funkcjonariusz policji byłby zdolny do czegoś takiego? - zapytała Angela.

- Sam nie wiem. Nie chce mi się wierzyć, by posunął się aż tak daleko, ale nie mogę też oprzeć się wrażeniu, że wie znacznie więcej, niż chce powiedzieć. Ten Mornson nie był zbyt przejęty sprawą, w jakiej go tu wezwano.

- Dochodzę do wniosku, że to miasto nie jest tak baśniowym

miejszem, jak nam się początkowo wydawało - stwierdziła kobieta.

David poszedł do starej stajni po kawałek dykty, by zasłonić nią

wybite okno. Kiedy wrócił do domu, zastał żonę pochyloną nad talerzem

zimnej kaszy.

- To chyba za mało jak na kolację - zauważył.

- Dziwię się, że w ogóle chce mi się jeść - powiedziała Angela,

patrzac, jak mąż rozstawia składaną drabinkę. - Jesteś pewien, że

powinieneś to robić? - zapytała.

David nie odpowiedział.

- Nie wspomniałeś ani słowem, jak tobie upłynął dzisiejszy dzień -

zauważyła Angela, kiedy mąż wspinał się na drabinę. - Co z Jonathanem

Eakinsem? Jak on się czuje?

- Nie wiem - odrzekł David. - Nie jestem już jego lekarzem. - Jak to?

- Kelley wyznaczył mu innego doktora.

- Miał do tego prawo?

- Nie wiem - odrzekł Wilson, próbując umieścić dyktę na właściwym

miejscu i sięgając do kieszeni po gwoździe. - W pierwszym momencie

byłem wściekły, teraz dałem już za wygraną. Dobrą stroną tego

wszystkiego jest to, że nie muszę już czuć się odpowiedzialny za życie tego

człowieka.

- Ale mimo wszystko będziesz czuł się odpowiedzialny - westchnęła

Angela. - Znam cię przecież.

David poprosił żonę, by podała mu młotek, i spróbował wbić przy

jego pomocy gwóźdź, trafił jednak w sąsiednią szybę. Rozległ się głośny brzęk i podłogę pokryły nowe odłamki szkła. Hałas obudził Rusty'ego, który stanawszy u szczytu schodów, zaczął głośno ujadać.

- Psiakrew - zaklął David.

- Może powinniśmy pomyśleć o opuszczeniu Bartlet

-
zapropnowała Angela.

- Nie możemy tak po prostu spakować się i odjechać. Mamy obciążoną hipotekę i podpisane kontrakty. Nie jesteśmy już tak wolni jak niegdyś.

- Nic jednak nie układa się tak, jak tego oczekiwaliśmy. Zostałam dziś napadnięta. A w dodatku sprawa Hodgesa doprowadza mnie do szaleństwa.

- Musisz dać sobie z tym spokój - zażądał David. - Bardzo cię o to proszę.

- Nie mogę - odparła kobieta, a w jej oczach znowu błysnęły łzy. - Przez to wszystko dręczą mnie nocne koszmary: śni mi się krew na ścianach mojej kuchni. Ilekroć tam wchodzę, nie daje mi spokoju świadomość, że człowiek, który popełnił tę zbrodnię, wciąż pozostaje na wolności i może, kiedy tylko zechce, wdrzeć się do mojego domu. To właśnie dlatego chciałam mieć strzelbę.

- W naszym domu nie powinno być broni - upierał się David. - Nie zostałabym inaczej sama w nocy, gdybyś ty musiał jechać do szpitala - odrzekła poirytowana Angela.

- Lepiej upewnij się, że Nikki rozumie, iż nie wolno jej nawet dotknąć tej strzelby - westchnął David.
- Jutro z samego rana porozmawiam z nią na ten temat.
- A tak przy okazji: widziałem dziś w izbie przyjęć Caroline. Przyjęto ją do szpitala z wysoką gorączką i kłopotami z oddychaniem.
- O nieba, nie! - jęknęła Angela. - Czy Nikki wie o tym?
- Powiedziałem jej dziś wieczorem.
- Czy to coś zaraźliwego? Nasze dziecko wczoraj się z nią bawiło.
- Jeszcze nie wiem - odparł David. - Powiedziałem Nikki, że dopóki nie dowiemy się, co to jest, nie będzie mogła odwiedzić przyjaciółki.
- Biedna Caroline - westchnęła Angela. - Wczoraj czuła się całkiem dobrze. Mój Boże, mam nadzieję, że Nikki nie zapadnie na to samo.
- Ja też - pokiwał głową David. - Jak widzisz, mamy na głowie rzeczy znacznie ważniejsze od sprawy Hodgesa. Proszę, daj już temu spokój. Przez wzgląd na Nikki, jeśli już nie dla twego własnego dobra.
- W porządku - zgodziła się niechętnie Angela. - Spróbuję.
- Dzięki Bogu - ucieszył się David, po czym zerknął niepewnie na wybite okno. - Co mam zrobić z tym bałaganem?
- Co byś powiedział o zaklejeniu tego plastikową folią? - zaproponowała Angela.
- Mąż popatrzył na nią z podziwem.
- Że też sam na to nie wpadłem - powiedział, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Wtorek, 26 października

Ani David, ani Angela nie spali zbyt dobrze. Oboje byli podenerwowani, ale każde z nich reagowało na to inaczej. Kiedy Angela zapadła w końcu w sen po wielu godzinach przewracania się z boku na bok, David właśnie się obudził. Zerknął na zegarek. Dochodziła czwarta. Do świtu brakowało jeszcze sporo czasu. Czując, że już nie zaśnie, wstał i starając się nie obudzić żony, po cichu wyszedł z sypialni.

Postanowił zejść do bawialni, zatrzymał się jednak u szczytu schodów, słysząc hałas dobiegający z pokoju Nikki. Ze zdumieniem stwierdził, że córka już nie śpi.

- Czemu wstałaś tak wcześnie? - zapytał szeptem.

- Obudziłam się i nie mogłam już zasnąć. Myślałam o Caroline.

David wszedł do pokoju dziewczynki i by ją uspokoić, zapewnił, że jego zdaniem Caroline czuje się już teraz o wiele lepiej. Obiecał, że zajrzy do niej natychmiast po przyjściu do szpitala i zaraz potem zadzwoni do Nikki.

Ponieważ Nikki dostała niespodziewanie napadu ostrego kaszlu, zaproponował, że pomoże jej w zrobieniu inhalacji. Zabrało im to blisko pół godziny. Kiedy skończyli, dziecko oświadczyło, że czuje się o wiele lepiej.

Razem zeszli do kuchni i przygotowali śniadanie. David zajął się smażeniem jajek na bekonie, Nikki natomiast wzięła na siebie przyrządzanie zupy mlecznej. Smaczne jedzenie oraz trzaskający wesolo na kominku ogień zdawały się najlepszym lekarstwem na ich ponury

nastrój.

O piątej trzydzieści David wskoczył na rower i jeszcze przed szóstą znalazł się w szpitalu. Rozpoczynając obchód, przypomniał sobie, że musi zadzwonić do szklarza i zlecić wprawienie szyb w bawialni.

Kilku pacjentów jeszcze spało, postanowił więc nie zakłócać im spokoju i zostawić wizyty u nich na później. Kiedy jednak zajrzał do pokoju Donalda, przekonał się, że mężczyzna nie śpi.

- Czuję się okropnie - poskarżył się chory. - Nie spałem przez całą noc.

- Co panu dolega? - zapytał David, czując, że serce zaczyna mu bić szybciej.

Ku jego przerażeniu opisane dolegliwości były bardzo podobne do tych, na które wcześniej uskarżali się jego zmarli pacjenci: silny ból brzucha połączony z wymiotami i biegunką. Co gorsza, podobnie jak Jonathan, Donald narzekał, że musi bez przerwy przełykać ślinę.

Z trudem zachowując spokój, David przez prawie pół godziny rozmawiał z chorym, szczegółowo wypytyując o wszelkie symptomy i ustalając kolejność, w jakiej się one pojawiały.

Choć dolegliwości Donalda cechowało duże podobieństwo do tego, co odczuwali Marjorie, John i Mary Ann, było coś, co istotnie różniło jego przypadek od innych: Donald nigdy nie przechodził chemioterapii.

Ponieważ cierpiał na raka trzustki, poddano go rozległemu zabiegowi chirurgicznemu, zwanemu operacją Whipple'a, który obejmował usunięcie trzustki, części żołądka i jelit oraz znacznej ilości

naczyń limfatycznych. Badający wycinki usuniętych tkanek patolodzy orzekli jednak, że nowotwór był łagodny.

W związku z poważną operacją zrezygnowano z chemioterapii, by nie osłabiać systemu immunologicznego, David miał zatem nadzieję, że dolegliwości Donalda okażą się przejściowe i że nie zostały spowodowane tym samym czynnikiem, który doprowadził do zgonu trójki jego pacjentów.

Po obchodzie zadzwonił na izbę przyjęć, by dowiedzieć się, w którym pokoju położono Caroline. Idąc odwiedzić dziewczynkę, przechodził obok oddziału intensywnej terapii. Pelen obaw wstąpił tam, aby zapytać o stan Jonathana Eakinsa.

- Pan Eakins zmarł dziś około trzeciej nad ranem - powiedziała mu przełożona pielęgniarek. - Stan jego zdrowia pogorszył się gwałtownie i w żaden sposób nie można już było mu pomóc. Jakież to straszne! Przecież to taki młody człowiek! Cóż, nikt nie wie, kiedy przyjdzie mu umierać.

David z trudem przełknął ślinę. Pomimo iż w głębi serca czuł, że Jonathan umrze, świadomość, że istotnie tak się stało, była dla niego trudna do zniesienia. Musiał stawić czoło przerażającemu faktowi: w czasie niewiele dłuższym niż tydzień stracił aż czterech pacjentów.

Poczuł się nieco lepiej, odkrywszy, że stan Caroline znacznie się poprawił po podaniu jej antybiotyków i zastosowaniu intensywnej terapii oddechowej. Gorączka spadła, na policzki dziewczynki powrócił rumieniec, a oczy znów stały się błyszczące. Na widok Davida na jej twarzy zagościł szeroki uśmiech.

- Nikki wybiera się do ciebie w odwiedziny - oznajmił Wilson.

- Świetnie - ucieszyła się Caroline. - Kiedy?

- Prawdopodobnie po południu.

- Czy mógłby pan powiedzieć jej, żeby mi przyniosła mój podręcznik i zeszyt ćwiczeń? - poprosiła dziewczynka.

David obiecał, że to uczyni.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił po powrocie do gabinetu, był telefon do domu. Zapewnił córkę, że jej przyjaciółka czuje się już o wiele lepiej, w związku z czym Nikki może ją odwiedzić, powtórzył również prośbę Caroline o przyniesienie książki i zeszytu ćwiczeń.

- A teraz, skoro wiesz już wszystko o swojej koleżance, czy możesz dać mi do telefonu mamę? - zapytał na zakończenie rozmowy.

- Mama bierze prysznic - odparła Nikki. - Czy ma zadzwonić do ciebie później?

- Nie, niekoniecznie. Chciałem tylko o czymś jej przypomnieć: wczoraj przywiozła do domu broń. Strzelbę. Stoi oparta o podest schodów. Miała ci ją pokazać i ostrzec, byś jej w żadnym wypadku nie dotykała. Przypomnisz jej o tym?

- Tak tatusiu.

David wyobraził sobie, jak Nikki z miną dorosłej osoby przewraca oczyma i marszczy czoło.

- Mówię poważnie - dodał. - Nie zapomnij.

Odłożył słuchawkę, lecz nie mógł przestać myśleć o znajdującej się w domu broni. Nie był to jednak odpowiedni czas, żeby sprzeczać się z

Angelą. Bardziej niż czegokolwiek innego pragnął teraz, by żona pozbyła się obsesyjnego lęku przed mordercą Hodgesa. Uważał też, że nie trzeba im więcej przygód z wrzucanymi przez okno ceglami.

Postanowił, że skoro już znalazł się tak wcześnie w pracy, nadrobi, nigdy się nie kończąca papierkową robotę, która nieuchronnie wiązała się z prowadzeniem praktyki lekarskiej. Kiedy jednak rozłożył na biurku pierwszy formularz, odezwał się telefon. Dzwoniła jedna z jego pacjentek, Sandra Hascher - młoda kobieta cierpiąca na czerniaka, który ostatnio zaczął tworzyć przerzuty na węzłach chłonnych.

- Nie przypuszczałam, że to pan osobiście odbierze telefon - powiedziała chora.

- Na razie jestem jeszcze w gabinecie sam - wyjaśnił David. Sandra poinformowała go, że ma problemy z ropiejącym dziąsłem - w miejscu usuniętego zepsutego zęba utrzymywał się stan zapalny.

- Przepraszam, że zawracam panu głowę, ale mam już gorączkę - trzydzieści dziewięć i pół stopnia. Udałabym się prosto na izbę przyjęć, ale kiedy ostatnio pojawiłam się tam z moim synem, musiałam za to zapłacić z własnej kieszeni - CMV odmówiło zwrotu kosztów.

- Słyszałem coś na ten temat - odrzekł David. - Cóż, proszę w takim razie do mnie przyjechać. Przyjmę panią natychmiast.

- Dziękuję. Zaraz będę.

Ropienie okazało się poważne: twarz Sandry po jednej stronie zniekształcała wielka opuchlizna. Co gorsza, znajdujące się pod brodą węzły chłonne przybrały wielkość piłki golfowej. David zmierzył pacjentce

temperaturę: rzeczywiście wynosiła ona trzydzieści dziewięć i pół stopnia.

- Musi pani zostać w szpitalu - oświadczył.

- Nie mogę - zaprotestowała Sandra. - Mam mnóstwo roboty. W dodatku mój dziesięcioletni syn leży w łóżku chory na ospę wietrzną.

- Musi pani jakoś zorganizować dla niego opiekę - upierał się David.

- Nie ma mowy, żebym pozwolił pani ruszyć się stąd dokądkolwiek z tą bombą zegarową w ustach.

Skrupulatnie objaśnił kobiecie budowę anatomiczną tej części organizmu, kładąc szczególny nacisk na to, że ognisko zapalne znajduje się bardzo blisko mózgu.

- Jeśli infekcja przeniesie się na pani centralny system nerwowy, znajdziemy się w olbrzymich tarapatach. Musi pani regularnie przyjmować antybiotyki. Ja nie żartuję.

- W porządku - odparła z rezygnacją Sandra. - Przekonał mnie pan.

David zadzwonił na izbę przyjęć, żeby uprzedzić, że przyśle tam swoją pacjentkę, po czym wypisawszy kobiecie skierowanie, pożegnał się z nią, obiecując wizytę w trakcie obchodu.

Angela czuła się okropnie. Była tak wyczerpana, że nawet kilka filiżanek kawy nie zdołało postawić jej na nogi. Zanim udało jej się zasnąć, dochodziła już trzecia, a kiedy w końcu zapadła w sen, dręczyły ją koszmary: śniło jej się zmasakrowane ciało Hodgesa, gwałciciel w narciarskich goglach i wpadająca przez okno cegła.

Kiedy się obudziła, ze zdumieniem odkryła, że David pojechał już

do pracy. Ubierając się, żalowała, że złożyła mężowi obietnicę, iż postara się zapomnieć o Hodgesie. Nie wyobrażała sobie, jak mogłaby spełnić prośbę Davida i „zostawić tę sprawę w spokoju”.

Pomyślała o Philu Calhounie, od którego nadal nie miała żadnych wieści. Nawet jeśli nie odkrył niczego znaczącego, mógł przynajmniej powiadomić ją, co zrobił do tej pory.

Wykręciła numer detektywa, lecz w słuchawce usłyszała automatyczną sekretarkę. Zrezygnowała z pozostawiania wiadomości i rozłączyła się.

Zeszła na dół i zastała Nikki w salonie, pochyloną nad jednym ze swoich podręczników.

- Chodź na górę, zrobimy inhalację - powiedziała.

- Już zrobiłam z tatą - odparła dziewczynka.

- Ach tak? A co ze śniadaniem?

- Także już zjedliśmy.

- O której w takim razie wstaliście? - Koło czwartej.

Angeli niezbyt spodobało się to, że David wstaje tak wcześnie.

Kłopoty ze snem są zwykle jednym z objawów depresji... Nie była też zachwycona tym, że córka obudziła się o tak wczesnej porze.

- Jak czuł się tata dziś rano? - zapytała.

- Dobrze. Dzwonił, kiedy brałaś prysznic. Powiedział, że Caroline ma się o wiele lepiej i że będę mogła odwiedzić ją dziś po południu.

- Wspaniale - ucieszyła się Angela.

- Prosił mnie też, bym przypomniała ci o broni - dodała

dziewczynka. - Mówił o niej tak, jakbym zupełnie nie wiedziała, co to takiego.

- Po prostu boi się o ciebie - powiedziała matka. - Z bronią nie ma żartów. Strzelba w rękę dziecka może doprowadzić do wielkiej tragedii.

Rokrocznie mnóstwo dzieci zabija się przez przypadek z broni swoich rodziców. Wprawdzie najwięcej wypadków jest z pistoletami i rewolwerami, a nie ze strzelbami, ale to niczego nie zmienia.

Angela wyszła do głównego holu i po chwili wróciła stamtąd, trzymając w ręku strzelbę. Wyjęła nabój z ładownicy i pokazała Nikki, jak sprawdzić, czy żadna kula nie została w środku.

Przez następne pół godziny tłumaczyła córce, jak należy posługiwać się bronią; pokazywała, jak się ją odbezpiecza i pociąga za spust.

Pozwoliła nawet dziewczynce załadować ją i rozładować, po czym obie poszły za stajnię i każda z nich wystrzeliła po jednym naboju. Nikki doszła do wniosku, że nie lubi strzelania, ponieważ odskakująca kolba uderzyła ją w ramię.

Po powrocie do domu Angela przypomniała córce, że nie wolno jej samej dotykać broni, dziewczynka zaś stwierdziła, że matka niepotrzebnie się martwi, bo tak czy owak nie chce ona mieć z tym przedmiotem nic wspólnego.

Ponieważ było ciepło i słonecznie, Nikki postanowiła pojechać do szkoły na rowerze. Angela patrzyła, jak dziecko zjeżdża z podjazdu, kierując się w stronę miasta, i z zadowoleniem pomyślała, jak dobrze czuje się i wygląda jej córka. Przynajmniej dla Nikki Bartlet nie było złym

miejscem.

Niebawem Angela także pojechała do pracy. Zaparkowawszy na zarezerwowanej dla personelu części placu, nie mogła oprzeć się pokusie obejrzenia miejsca, w którym została napadnięta. Zamiast wejść do budynku, ruszyła więc ku kępie drzew oddzielającej od siebie oba parkingi i w rozmięklej ziemi odnalazła ślady swoich stóp. Bez trudu odszukała również miejsce, gdzie upadła. Odkryła tam też głębokie, podłużne wgłębienie - ślad po uderzeniu pałką. Miał on około czterech cali głębokości i patrząc nań, Angela zadrżała na całym ciele. Przed oczyma ponownie stanęła jej scena z poprzedniej nocy.

Nagle uświadomiła sobie coś, na co wcześniej nie zwróciła uwagi: mężczyzna nawet na moment się nie zawahał. Gdyby nie zdążyła odsunąć się na bok, pałka wylądowałaby prosto na jej głowie. A zatem niewykluczone, że napastnik wcale nie próbował jej zgwałcić: chciał ją zranić, może nawet zabić.

Wróciła myślami do roztrzaskanej czaszki Hodgesa, którą oglądała podczas sekcji zwłok. Wiedziała, że został on zabity za pomocą metalowego łomu. Niewiele brakowało, a jej głowa wyglądałaby podobnie jak czaszka zabitego lekarza!

Wbrew wcześniejszemu postanowieniu zadzwoniła do Robertsona.

- Wiem, w jakiej sprawie pani dzwoni - powiedział poirytowanym głosem szef policji - ale proszę o tym zapomnieć! Nie mogę wysłać tej cegły do laboratorium policji stanowej po to, by zdjęto z niej odciski palców! Zostałbym wyśmiany!

- Nie dzwonię w sprawie cegły - przerwała mu Angela, po czym wyjawiała swoje przypuszczenie, iż człowiek na parkingu wcale nie próbował jej zgwałcić, lecz zabić.

Kiedy skończyła, Robertson zamilkł na tak długo, że zaczęła podejrzewać, iż po prostu się rozłączył.

- Halo? - zapytała w końcu.

- Jestem, jestem - odezwał się policjant. - Zastanawiam się nad tym.

- Znowu na chwilę zapadło milczenie.

- Nie, to się nie trzyma kupy - stwierdził w końcu szeryf. - Ten facet jest gwałcicielem, nie mordercą. Przecież wcześniej także miał okazje do zabójstwa, a jednak nie robił tego. Do licha, nawet nie zranił żadnej ze swoich ofiar.

Angela zastanawiała się, czy napadnięte kobiety zgodziłyby się z opinią Robertsona, ale nie chciała spierać się z policjantem.

Podziękowała, że poświęcił jej tyle czasu, i rozłączyła się.

- Co za drań! - powiedziała głośno.

Była niemądra, sądząc, że rozważy jej teorię. Im więcej jednak myślała o wczorajszym napadzie, tym bardziej była pewna, że nie chodziło w nim o gwałt. A jeśli ktoś próbował ją zamordować, musiało się to wiązać z jej zainteresowaniem zabójstwem Hodgesa. Niewykluczone, że zaatakował ją ten sam człowiek, który zabił lekarza!

Zadrżała. Jeśli się nie myliła, znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie, ta myśl przeraziła ją. Postanowiła za wszelką cenę udawać, iż przestała się interesować popełnioną w jej domu zbrodnią.

Zastanawiała się, czy należy mówić Davidowi o tych podejrzeniach.

Nie potrafiła jednak podjąć decyzji: z jednej strony chciała, żeby nie było między nimi żadnych sekretów, z drugiej jednak wiedziała, że mąż tym bardziej będzie nalegał, aby nie zajmowała się więcej sprawą Hodgesa. Po chwili postanowiła, że powie o tym tylko Philowi Calhounowi, kiedy ten w końcu się z nią skontaktuje.

- Proszę nalać mi jeszcze trochę kawy- zażądał Traynor, wskazując kelnerce swym licytatorskim młotkiem pustą filiżankę.

Tak jak to zwykle mieli w zwyczaju, Traynor, Sherwood, Beaton i Caldwell jedli razem śniadanie przed comiesięcznym spotkaniem zarządu szpitala, zaplanowanym na najbliższy poniedziałkowy wieczór. Siedzieli przy ulubionym stoliku Traynora w Iron Horse Inn.

- Jestem wprost zachwycona - powiedziała Beaton. - Wyniki finansowe z drugiej połowy października są o wiele lepsze od tych z pierwszej. Wciąż nie wygląda to rewelacyjnie, ale w stosunku do września nastąpiła znacząca poprawa.

- Uporaliśmy się z jednym kłopotem i natychmiast stajemy w obliczu innego - westchnął Traynor. - Nigdy nie ma temu końca. Co to za historia z lekarką, która została napadnięta ostatniej nocy?

- To zdarzenie miało miejsce po północy - wyjaśnił Caldwell. -

Napadnięto nową pracownicę patologii, Angelę Wilson. Pracowała wczoraj do późna.

- Na którym parkingu miał miejsce napad? - zapytał Traynor, nerwowo obracając w dłoniach swój młotek.

- Na ścieżce łączącej oba poziomy - odrzekł ordynator.

- Czy zostały tam zainstalowane światła? Caldwell zerknął na Beaton.

- Nie wiem - przyznała Helen. - Sprawdzę to natychmiast, gdy tylko wrócimy do szpitala. Wydał pan polecenie, by przejście między parkingami także było oświetlone, ale nie mam pojęcia, czy już zostało wykonane.

- Lepiej, żeby zostało - stwierdził Traynor, pukając młotkiem w dłoń z taką siłą, że drewno głośno plasnęło o jego skórę. - Nie udało mi się przekonać radnych do budowy wielopoziomowego garażu i nie ma sposobu, by ta sprawa wróciła jeszcze raz pod obrady przed nastaniem wiosny.

- Rozmawiałam z redakcją „Bartlet Sun” - powiedziała Beaton. - Zgodzili się jeszcze przez jakiś czas nie wspominać ani słowem o szpitalnym gwałcicielu.

- Dobrze przynajmniej, że choć oni są po naszej stronie - westchnął Traynor.

- Myślę, że zachowują się wobec nas lojalnie przez wdzięczność za usługi, jakie im świadczymy - stwierdziła Beaton.

- Czy na spotkaniu zarządu będą dyskutowane nowe zagadnienia? - zapytał Sherwood.

- Owszem - odparła Beaton. - Rozgorzała właśnie nowa bitwa.

Radiolodzy i neurologowie toczą krwawe pojedynki o to, która z tych grup jest powołana do interpretowania wyników badań robionych przy

pomocy aparatu MRI.

- Nie żartuj! - Traynor popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Mówię poważnie, mój drogi - zapewniła Beaton. - Gdyby tylko dać im broń, gotowi byliby się pozabijać. Tu wchodzi w grę zarówno pieniądze, jak i ambicje zawodowe, a to szczególnie niebezpieczna kombinacja.

- Przekłęci lekarze - skrzywił się z niesmakiem Traynor. - Nigdy nie potrafią działać ramię w ramię. W moim odczuciu to po prostu banda egoistów.

- To przypomina mi o M. D. 91 - powiedziała Beaton. - Pragnie on wytoczyć szpitalowi proces za ograniczenie mu uprawnień zawodowych.

- Niech sobie wytacza - wzruszył ramionami Traynor. - Jestem już zmęczony stałym naleganiem personelu medycznego, byśmy nazywali „tego skompromitowanego lekarza” za pomocą kodu. Do licha, „skompromitowany lekarz” jest wyjątkowo łagodnym eufemizmem.

- To już wszystkie nowe sprawy, jakie zostaną umieszczone w porządku dziennym zebrania - oznajmiła Beaton.

- Nic więcej? - zapytał Traynor, wodząc wzrokiem po zgromadzonych wokół stołu ludziach.

- Wczoraj po południu złożono mi dziwną wizytę - przypomniął sobie Sherwood. - Odwiedził mnie prywatny detektyw, Phil Calhoun.

- U mnie także się pojawił - wtrącił Traynor.

- Zdenerwował mnie - wyznał Sherwood. - Zadawał mnóstwo pytań na temat Hodgesa.

- Mnie też - skinął głową Traynor.
- Jednak już rozmawiając ze mną, wydawał się wiedzieć aż za wiele o całej tej sprawie - oświadczył Sherwood. - Wcale mi nie było spieszo udzielać mu jakichkolwiek informacji, ale nie chciałem również milczeć jak zaklęty.
- Ja miałem to samo uczucie - uśmiechnął się Traynor.
- Jak sądzicie, kto go wynajął? - zastanawiał się Sherwood.
- Zapytałem go o to - powiedział Traynor. - Dał do zrozumienia, że pracuje na zlecenie rodziny Hodgesa. Sądziłem, że ma na myśli Clare, zadzwoniłem więc do niej po jego wizycie, ona jednak oświadczyła, że nie wie o żadnym Calhounie. Następnie porozumiałem się z Wayneem Robertsonem - Calhoun zdążył już odwiedzić i jego. Wayne uważa, że najprawdopodobniej detektywa zatrudniła nasza nowa pani patolog - Angela Wilson.
- To brzmi sensownie - skinął głową Sherwood. - Ta kobieta była u mnie i wypytywała o Hodgesa. Znalezienie ciała Dennisa w piwnicy jej domu bardzo ją przygnębiło.
- Być może wczorajszy napad na parkingu odwróci nieco jej uwagę od Hodgesa - stwierdził Traynor. - Co za ironia losu: z czegoś tak złego może wyniknąć coś tak dobrego.
- A jeśli Phil Calhoun dowie się, kto zamordował Dennisa? - zapytał Caldwell.
- Będzie to pewien problem - przyznał Traynor. - Całe zdarzenie miało jednak miejsce ponad osiem miesięcy temu, zatem ślady musiały w

znaczej mierze ulec już zatarciu.

Po spotkaniu Traynor odprowadził Beaton do samochodu. Po

drodze zapytał, czy nie zmieniła zdania na temat ich spotkań.

- Nie - odparła. - A ty?

- Nie mogę się w tej chwili rozwieść z Jacqueline - powiedział

obronnym tonem. - Nie teraz, kiedy mój syn jest w college'u. Ale kiedy

tylko skończy szkołę...

- Świetnie - skinęła głową Helen. - W takim razie wówczas o tym

porozmawiamy.

Jadąc do szpitala, Beaton gniewnie potrząsała głową.

- Ci mężczyźni! - powiedziała na głos poirytowana.

David skończył przyjmować przewidzianych na ten dzień pacjentów

i udał się do swego prywatnego gabinetu, gdzie czekała już na niego Nikki.

Dziewczynka siedziała za biurkiem, z zaciekawieniem przeglądając jakiś

lekarski periodyk. Wilson cieszył się, że córka tak pasjonuje się

medycyną. Miał nadzieję, że jeśli jej zainteresowania nie ulegną zmianie,

być może będzie w przyszłości studiowała na akademii medycznej.

- Jesteś gotów? - zapytała dziewczynka.

- Tak, chodźmy.

Przejście do budynku szpitalnego zabrało im zaledwie kilka minut.

Kiedy weszli do pokoju Caroline, twarz małej pacjentki aż pojaśniała z

radości. Dziewczynka ucieszyła się, że Nikki pamiętała o przyniesieniu jej

książki i zeszytu - Caroline, podobnie jak jej przyjaciółka, była jedną z

najlepszych uczennic w klasie.

- Popatrzcie, co potrafię - powiedziała.

Wyciągnęła ręce i chwyciwszy znajdującą się nad głową poręcz, podciągnęła się do góry, całkowicie zawisając w powietrzu.

David zaklaskał z podziwu. Ćwiczenie to wymagało nie lada siły - znacznie większej, niż spodziewał się po szczupłych ramionach dziewczynki. Caroline leżała w wielkim, ortopedycznym łóżku, którego

wezglowie

obudowane

było

solidną,

metalową

ramą.

Lekarz

przypuszczał, że Caroline położono na nim ze względu na liczne podnośniki, z których korzystanie z pewnością sprawiało dziecku mnóstwo radości.

- Muszę zajrzeć do moich pacjentów - powiedział David i żartobliwie grożąc Nikki palcem, dodał: - Wrócę niedługo, a wy postarajcie się nie terroryzować przez ten czas pielęgniarek. Obiecujecie?

- Obiecujemy - odrzekła Nikki i obie z Caroline zachichotały.

Wilson skierował się prosto do pokoju Donalda Andersena. Nie martwił się o jego stan, ponieważ kilka razy w ciągu dnia dowiadywał się o samopoczucie chorego. Za każdym razem otrzymywał tę samą odpowiedź: poziom cukru we krwi był normalny, a niedomagania układu

pokarmowego ustąpiły.

- Jak się miewasz, Donaldzie? - zapytał, zbliżając się do łóżka chorego.

Anderson leżał na plecach, a jego podglówek uniesiony był pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Słyszając głos lekarza, powoli odwrócił głowę, ale nie odezwał się ani słowem.

- Jak się miewasz? - powtórzył nieco głośniejszym głosem David.

Donald wymamrotał w odpowiedzi coś, czego Wilson nie rozumiał.

Jeszcze przez chwilę próbował rozmawiać z chorym, szybko jednak zorientował się, że pacjent jest półprzytomny.

Zbadał go skrupulatnie, szczególnie starannie osłuchując płuca, ale nie odkrył w nich żadnych niepokojących szmerów, co znaczyło, że drogi oddechowe są w całkowitym porządku. Przeszedł do dyżurki i polecił, żeby jeszcze raz sprawdzono u Andersona poziom cukru we krwi.

Czekając na wyniki analiz, odwiedził pozostałych swoich pacjentów.

Wszyscy czuli się dobrze, nawet Sandra. Choć otrzymywała antybiotyki dopiero od niespełna dwunastu godzin, twierdziła, że ból w szczęce znacznie się zmniejszył. David zbadał ją i odniósł wrażenie, że węzły chłonne kobiety nadal są powiększone, ale polepszenie się samopoczucia pacjentki stanowiło dobry znak, nie zarządził więc żadnych zmian w leczeniu. Dwóm innym chorym, którzy także miewali się doskonale, obiecał, że następnego dnia będą mogli wrócić do domu.

Kiedy kończył wypełnianie karty ostatniego pacjenta, dyżurna pielęgniarka podsunęła mu wyniki badania poziomu cukru we krwi

Donalda: wszystko było w normie. David dokładnie przyjrzał się podanemu mu skrawkowi papieru. Oczekiwał innych wskazań. Miał nadzieję, że testy wyjaśnią mu, dlaczego wystąpiła nagle utrata świadomości.

Wolnym krokiem ruszył w stronę sali Andersona. Jedynym wytłumaczeniem, jakie przychodziło mu do głowy, było to, że poziom cukru we krwi Donalda na zmianę opadał i podnosił się, akurat w tej chwili nie wykraczając poza granice normy.

Teoria ta jednak miała pewien słaby punkt: wraz z obniżaniem się poziomu cukru pacjent powinien co jakiś czas odzyskiwać przytomność.

Zamyślony wszedł do pokoju chorego i zatrzymał się gwałtownie, z niedowierzaniem patrząc na swego podopiecznego. Głowa Donalda była wygięta do tyłu pod dziwnym kątem, twarz miała odcień bladociemności, a z półotwartych ust sączyła się krew. Na prześcieradle widniała ciemna plama kału.

Otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, David natychmiast przystąpił do działania. Zaalarmował pielęgniarki i bezzwłocznie zaczął wykonywać masaż serca. Wkrótce do sali przybył zespół reanimacyjny, który z wprawą poprowadził akcję ratunkową. Przyszedł nawet doktor Albert Hillson, chirurg Donalda. Miał właśnie obchód i spostrzegłszy zamieszanie, zajrzał do pokoju swego pacjenta.

Z akcji reanimacyjnej zrezygnowano już po chwili, widać było bowiem, że na skutek napadu drgawek proces oddychania zatrzymał się u chorego jakieś piętnaście, dwadzieścia minut przed tym, zanim David go

znalazł. Skoro mózg tak długo pozostawał niedotleniony, nie było żadnej nadziei na przywrócenie Andersena do życia. David ustalił godzinę śmierci Donalda na piątą piętnaście.

Starał się nie okazywać, jak bardzo jest załamany stratą kolejnego pacjenta. Doktor Hillson, choć sam zasmucony, próbował, jak mógł, pocieszyć Wilsona. Powiedział, że tylko dobrej opiece medycznej Donald zawdzięczał to, że żył tak długo. Kiedy Shirley Andersen przybyła do szpitala ze swymi dwoma małymi synami, także okazała Davidowi ogromną wdzięczność.

- Dziękuję, że był mu pan tak oddany - powiedziała, ocierając oczy. - Należał pan do jego ulubionych lekarzy.

Zrobiwszy wszystko, co do niego należało, Wilson pośpieszył do pokoju Caroline, by zabrać stamtąd Nikki. Czuł się oszołomiony i zdenerwowany.

- Przynajmniej tym razem wiesz, dlaczego pacjent umarł - powiedziała Angela, kiedy David opowiedział jej o śmierci Donalda.

Po zjedzeniu obiadu siedzieli we dwoje w bawialni - Nikki poszła do swego pokoju odrabiać lekcje.

- Ależ skąd - zaprzeczył David. - Wszystko to stało się zbyt szybko.

- Zaraz, zaraz - przerwała mu żona. - Rozumiałam twoje zdenerwowanie w przypadku innych pacjentów, ale tym razem to co innego. Donald Anderson miał całkowicie lub częściowo wyciętą większość organów wewnętrznych. Bez przerwy to wypisywano go, to znowu przyjmowano do szpitala. W żadnym przypadku nie możesz winić

się za jego śmierć.

- Sam nie wiem, co o tym myśleć - westchnął David. - To prawda, że zawsze istniało ryzyko, iż przyplaci życiem którąś ze swoich częstych infekcji lub że wykończy go ta nie poddająca się leczeniu cukrzyca. Skąd jednak wzięły się drgawki?

- Poziom cukru w jego krwi zmieniał się jak w kalejdoskopie - zauważyła Angela. - Może wywołało to szok? Zresztą, gdyby poszukać, znalazłoby się przynajmniej tuzin przyczyn mogących wywołać takie objawy.

Dzwonek telefonu przestraszył ich oboje. David błyskawicznie sięgnął po słuchawkę. Bał się, że dzwonią do niego ze szpitala z kolejną złą wiadomością. Kiedy jego rozmówca poprosił do telefonu Angelę, odetchnął z ulgą.

Angela natychmiast rozpoznała głos Phila Calhouna.

- Proszę mi wybaczyć, że tak długo nie dawałem znaku życia - powiedział detektyw - ale byłem bardzo zajęty. Teraz mogę już jednak złożyć pani sprawozdanie.

- Kiedy? - zapytała Angela.

- Cóż, jestem właśnie w Iron Horse Inn - odpowiedział Calhoun. - To o rzut kamieniem od pani domu. Może mógłbym za chwilę przyjechać do państwa?

- To ten prywatny detektyw, Phil Calhoun - powiedziała do męża Angela, zasłaniając dłonią mikrofon. - Chce do nas na chwilę wpaść.

- Sądziłem, że dałaś spokój sprawie Hodgesa - odparł David cierpko.

- Bo dałam - stwierdziła Angela. - Z nikim już o tym nie rozmawiam.

- W takim razie skąd ten telefon?

- Z Calhounem także nie rozmawiałam - zniecierpliwiła się Angela. -

Nie kontaktował się ze mną od soboty. Ale zapłaciłam mu za przeprowadzenie śledztwa, powinniśmy więc przynajmniej wysłuchać, czego się dowiedział.

- Rób, co chcesz - westchnął zrezygnowany David. Kwadrans

później, kiedy Phil Calhoun zapukał do ich drzwi,

David łamał sobie głowę, na jakiej podstawie jego żona uznała tego człowieka za zawodowca. Według Wilsona stanowiło to ostatnią rzecz, jaką można było o nim powiedzieć: w swojej czerwonej, baseballowej czapce odwróconej daszkiem do tyłu i flanelowej koszuli emerytowany policjant ani trochę nie wyglądał na detektywa.

- Miło mi - powiedział Calhoun, ściskając dłoń Davida.

Wszyscy

troje

usiedli

w

salonie

zastawionym

starymi,

podniszczonymi meblami, które Wilsonowie kupili jeszcze w Bostonie.

Pokój był tak olbrzymi, że przypominał rozmiarami salę balową. Wybitą szybę nadal zastępowała plastikowa folia.

- Ładny dom - pochwalili Calhoun, rozglądając się dookoła. - Ciągłe jeszcze go urządzamy - powiedziała Angela i zapytała gościa, czego się napije.

Detektyw poprosił o piwo.

Kiedy kobieta szykowała szklanki i butelki z piwem, David dokładniej przyjrzał się detektywowi. Calhoun był starszy, niż się spodziewał. Spod czerwonej czapki, której były policjant nie zdjął ani na chwilę, wystawały gęste, siwe włosy.

- Czy będą państwo mieli coś przeciwko temu, jeśli zapalę? - zapytał, wyjmując z kieszeni pudełko cygar marki „Antonio y Cleopatra”.

- Przykro mi, ale tak - skinęła głową Angela, podając gościowi szklankę piwa. - Nasza córka cierpi na poważne schorzenie układu oddechowego.

- Nie ma problemu - uśmiechnął się detektyw. - Chciałbym zdać państwu relację z tego, czego dowiedziałem się podczas śledztwa. Posuwa się ono naprzód, choć muszę w to wkładać wiele pracy. Doktor Dennis Hodges nie należał do najpopularniejszych ludzi w mieście. Prawdę powiedziawszy, połowa mieszkańców Bartlet nienawidziła go z tego czy innego powodu.

- My także zdążyliśmy się już tego dowiedzieć - skinął głową David. - Mam nadzieję, że - zważywszy na stawkę, jaką pobiera pan za każdą godzinę pracy - dysponuje pan jakimiś bardziej konkretnymi informacjami.

- Davidzie, proszę cię! - zawołała Angela, zdumiona nietaktowną

uwagą męża.

- Moim zdaniem - ciągnął Calhoun, ignorując złośliwość Wilsona - doktor Hodges zupełnie nie dbał, co myślą o nim inni ludzie. Nie utrzymywał też żadnych stosunków towarzyskich. Zważywszy na jego czysto nowoangielskie pochodzenie, nie jest to zresztą niczym dziwnym - zachichotał detektyw, unosząc do ust szklankę z piwem. - Sporządziłem listę potencjalnych podejrzanych - dodał po chwili - ale jeszcze nie zdążyłem ze wszystkimi porozmawiać. Mimo to wiem, że dzieje się tu coś dziwnego. Czuję to w kościach.

- Z kim pan dotąd rozmawiał? - zapytał niegrzecznym tonem David.

Angela zmarszczyła brwi, ale nie odezwała się ani słowem.

- Jak dotąd dopiero z kilkoma osobami - odparł detektyw, czkając głośno.

Nie zadał sobie trudu, żeby przeprosić ani zasłonić usta ręką. David zerknął na żonę. Angela udawała, że niczego nie zauważyła.

- Rozmawiałem z paroma ludźmi zajmującymi wysokie stanowiska w szpitalu - ciągnął Calhoun. - Z przewodniczącym zarządu szpitala, Traynorem, oraz wiceprezesem Sherwoodem. Obaj mieli powody, by żywić niechęć do Hodgesa.

- Mam nadzieję, że porozmawia pan także z doktorem Cantorem - oświadczyła Angela. - Słyszałam, że pałał on do Hodgesa żywiołową nienawiścią.

- Cantor również znajduje się na mojej liście - zapewnił ją detektyw.

- I będę kolejno przesłuchiwał wszystkich podejrzanych. Sherwood klócił

się z Hodgesem o jakiś kawałek ziemi. Źródło niechęci Traynora było daleko bardziej osobiste.

Calhoun wyjaśnił Wilsonom związki między Traynorem, Hodgesem i Van Slyke'em, wspominając także o popełnionym przez Sunny Traynor samobójstwie.

- Cóż za straszna historia - wzdrygnęła się Angela.

- Jak z telewizyjnego melodramatu - zgodził się Calhoun. - Uważam jednak, że gdyby Traynor chciał w jakikolwiek sposób zemścić się na Hodgesie, zrobiłby to raczej dawno temu niż teraz. Poza tym Hodges uczynił Traynora swoim następcą na stanowisku prezesa zarządu szpitala długo po samobójstwie Sunny. Niewątpliwie nie postąpiłby tak, gdyby człowiek ten żywił wobec niego wrogość. A syn Van Slyke'a, Werner, do dziś pracuje w szpitalu.

- Werner Van Slyke jest krewnym Traynora? - zapytał ze zdziwieniem David. - To zakrawa na nepotyzm.

- Niewykluczone - zgodził się Calhoun. - Jednak Wenera Van Slyke'a juniora łączyła z Hodgesem głęboka przyjaźń. Przez wiele lat ten chłopak zajmował się domem lekarza, a pozycję, jaką ma w szpitalu, zawdzięcza raczej protekcji Hodgesa niż swego wuja. Tak czy owak, nie podejrzewam Traynora o popełnienie morderstwa.

- Jest pan tego pewien? - zapytała Angela.

- Nie mogę być pewien niczego poza tym, że Hodges został zamordowany. Cała reszta to tylko mniej lub bardziej prawdopodobne przypuszczenia.

- Wszystko to jest bardzo interesujące - przerwał David - ale czy zdołał pan wyłonić już jakiegoś rzeczywistego podejrzanego albo przynajmniej ograniczyć swoją listę do kilku osób?

- Nie, jeszcze nie - przyznał Calhoun.

- Jak wiele pieniędzy przyjdzie nam wobec tego jeszcze wydać, zanim przestanie pan dreptać w miejscu i odkryje coś konkretnego?

- Davidzie! - zawołała gniewnie Angela. - Jesteś niesprawiedliwy.

Pan Calhoun już dowiedział się mnóstwa rzeczy, mimo że miał tak niewiele czasu. Moim zdaniem, podstawowym problemem jest teraz to, czy uważa sprawę tego zabójstwa za możliwą do wyjaśnienia.

- Zgoda - skinął głową David. - Co wobec tego podpowiada panu pańskie zawodowe doświadczenie?

- Chyba jednak muszę zapalić cygaro - westchnął detektyw. - Co powiedzielibyście państwo na to, żebyśmy wyszli na zewnątrz?

Kilka minut później wszyscy troje siedzieli na tarasie. Calhoun sączył kolejną butelkę piwa, z lubością paląc cygaro.

- Uważam, że ta sprawa jest jak najbardziej możliwa do wyjaśnienia

- oświadczył. Ilekroć wciągał w płuca tytoniowy dym, jego szeroka, nalana

twarz jaśniała wprost z zadowolenia. - Jeśli chodzi o małe miasteczka,

trzeba zawsze pamiętać, że więcej jest między nimi podobieństw niż

różnic. Znam tych ludzi i wiem, jak żyją. Mieszkańcy wszystkich małych

miast mają podobne charaktery, różnią się tylko nazwiskami. Interesują

ich sprawy innych. Mówiąc wprost: jestem pewien, że niektórzy ludzie w

mieście wiedzą, kto zamordował doktora Hodgesa. Problem polega na

skłonieniu kogoś z nich do mówienia. Intuicja podpowiada mi, iż ta sprawa ma coś wspólnego ze szpitalem, a jego pracownicy boją się, że gdy rzecz wyjdzie na jaw, ucierpi na tym reputacja ich placówki. Rzeczywiście istnieje spora szansa, że tak się stanie, ponieważ ten szpital był dziełem życia Hodgesa.

- W jaki sposób dotąd zdobywał pan informacje? - zaciekawiała się

Angela. - Sądziłam, że mieszkańcy Nowej Anglii są małomówni i niechętnie zdradzają jakiegokolwiek sekrety.

- Generalnie ma pani rację - przytaknął Calhoun. - Na szczęście kilkoro spośród największych plotkarzy w mieście należy do moich przyjaciół: właścicielka księgarni, aptekarz, barman, bibliotekarka. To od nich właśnie uzyskałem większość informacji. Teraz zacznę eliminować kolejnych podejrzanych. Zanim się jednak do tego zabiorę, chciałbym upewnić się, czy życzycie sobie państwo, bym nadal prowadził to śledztwo?

- Nie - odparł David.

- Chwileczkę - Angela rzuciła mężowi poirytowane spojrzenie. -

Powiedział pan, że z pewnością uda mu się wyjaśnić sprawę morderstwa doktora Hodgesa. Jak pan sądzi, ile czasu jeszcze to panu zajmie?

- Niezbyt dużo - odparł Calhoun.

- To dość ogólnikowa odpowiedź - skrzywił się David. Detektyw zdjął na chwilę czapkę i podrapał się po głowie.

- Rzekłbym, że jakiś tydzień - powiedział z wahaniem.

- To kosztowałoby nas mnóstwo pieniędzy - zauważył David.

- Uważam, że sprawa jest tego warta - sprzeciwiła się Angela.

- Ależ moja droga! - krzyknął ze złością David. - Obiecałaś mi, że zostawisz całe to dochodzenie w spokoju.

- I zostawię - odrzekła beztrąsko Angela. - Wszystkim zajmie się pan Calhoun. Ja sama z nikim już na ten temat nie będę rozmawiała.

- Dobry Boże - westchnął David, z rezygnacją wznosząc oczy ku niebu.

- Daj spokój. Nie złość się tak. Jeśli oczekujesz, że będę żyła w tym domu, musisz pozwolić mi na znalezienie mordercy Hodgesa.

David wahał się przez chwilę, w końcu jednak pojął, że pewne ustępstwa z jego strony są nieuniknione.

- W porządku - powiedział. - Zawrzyjmy umowę. Poczekamy jeszcze tydzień, a potem, niezależnie od tego, czy pan Calhoun rozwiąże tę zagadkę, czy nie, damy tej sprawie spokój.

- Zgoda - skinęła głową Angela i zwracając się do detektywa, dodała:

- A teraz, kiedy ustaliliśmy już, ile mamy czasu, jakie będzie pana następne posunięcie?

- Najpierw porozmawiam ze wszystkimi, których nazwiska znajdują się na liście podejrzanych - powiedział Calhoun. - W tym samym czasie zajmę się jeszcze dwiema rzeczami. Po pierwsze, postaram się zrekonstruować ostatni dzień doktora Hodgesa, przyjmując, że został zamordowany tego samego wieczoru, którego zniknął. Z pewnością pomoże mi w tym rozmowa z sekretarką doktora - ta kobieta pracowała z nim przez trzydzieści pięć lat. Po drugie, spróbuję też zdobyć kopie

dokumentów medycznych, które znaleziono przy ciele denata.

- O ile wiem, zostały one przekazane policji stanowej - powiedziała

Angela. - Czy jeśli nie udostępni ona panu tych dokumentów

dobrowolnie, znajdzie pan sposób zmuszenia jej do tego?

- Niestety nie - westchnął Calhoun. - Policja stanowa zębami i

pazurami broni dostępu do wszystkiego, co trafiło w jej ręce jako dowody

rzeczowe. Wiem o tym, ponieważ przez jakiś czas pracowałem w wydziale

zabójstw w Burlington. Rozmowa z nimi przypomina wówczas dialogi z

Paragrafu 22. I to pomimo że policja stanowa nie ma specjalnych

motywacji, by wkładać zbyt dużo czasu i wysiłku w tego rodzaju sprawy, i

najczęściej kieruje się po prostu wskazówkami lokalnych policjantów.

Jeśli zaś oni także nie są zainteresowani schwytaniem przestępcy,

odkłada się sprawę *ad acta*. Często też lokalna policja umarza jakieś

dochodzenie, ponieważ nie zostały jej przekazane zeznania świadków ani

dowody rzeczowe.

- Albo też nie ma ochoty doprowadzić śledztwa do końca, ponieważ

w przestępstwo zamieszany jest któryś z jej pracowników - skrzywiła się

Angela, po czym opowiedziała Calhounowi o wrzuconej przez okno cegle,

listach z pogrózkami i reakcji na to wszystko Robertsona.

- Wcale mnie to nie dziwi - pokręcił głową detektyw. - Szeryf Bartlet

także znajduje się na mojej liście. Nie znosił Hodgesa.

- Wiem o tym - odparła Angela. - Mówiono mi, że winił go za śmierć

żony.

- Nie przywiązywałbym do tej historii aż tak dużej wagi - stwierdził

Calhoun. - Robertson nie jest głupcem. Uważam, że to smutne wydarzenie związane z jego żoną stanowiło jedynie pretekst, a niechęć wobec lekarza wiązała się raczej z tym, jak odnosił się do ludzi. Założyłbym się o ostatniego dolara, że Hodges znał Robertsona na wylot i nigdy nie okazywał mu nawet cienia szacunku. Szczerze wątpię, by to właśnie szef policji zamordował poprzedniego właściciela waszego domu, ale rozmawiając z nim, odniosłem wrażenie, że wie on na temat tej zbrodni znacznie więcej, niż chce powiedzieć.

- Sposób, w jaki zachowuje się policja, świadczy, że musi być ona jakoś zamieszana w to wszystko - upierała się Angela.

- Przypomina mi to pewną sprawę, którą zajmowałem się, pracując jeszcze w policji stanowej - powiedział Calhoun, zaciągając się cygarem. - Wówczas także chodziło o popełnione w małym miasteczku zabójstwo.

Byliśmy pewni, że całe miasto, włączając w to lokalną policję, wie, kto popełnił zbrodnię, nikt jednak nie puścił na ten temat pary z ust.

Musielśmy w końcu umorzyć śledztwo i do dziś sprawa pozostała nie rozwiązana.

- Dlaczego więc sądzi pan, że w przypadku Hodgesa będzie inaczej?

- zapytał David. - Czy nie mamy tutaj do czynienia z identyczną postawą?

- Nie, to zupełnie coś innego - zaprzeczył Calhoun. - Śledztwo, o

którym wam opowiedziałem, dotyczyło zabójstwa człowieka, który sam był mordercą i złodziejem. Z Hodgesem rzecz ma się zupełnie inaczej.

Wielu ludzi nienawidziło go, ale byli też tacy, którzy uważali, że jest on prawdziwym bohaterem. Do licha, jeśli nie liczyć klinik znajdujących się

w dużych miastach, tutejszy szpital jest jedyną tego typu placówką w Nowej Anglii. A przecież to właśnie dzięki Hodgesowi ten mały szpital stał się centrum medycznym z prawdziwego zdarzenia. Wielu pracujących w nim mieszkańców miasta nadal o tym pamięta. Nie obawiajcie się, ta sprawa zostanie rozwiązana. Nie mam najmniejszych wątpliwości co do tego, że znajdziemy mordercę.

- W jaki sposób zdobędzie pan kopie dokumentów, które miał przy sobie denat, skoro twierdzi pan, że policja stanowa najprawdopodobniej nie będzie chciała ich panu udostępnić? - zapytała Angela.

- Pani mi w tym pomoże.

- Ja? - zdziwiła się kobieta.

- Tego nie było w umowie! - zaproponował David. - Moja żona ma trzymać się z dala od pańskiego dochodzenia. Nie chcę, by z kimkolwiek rozmawiała. Mam dość cegieł wrzucanych przez okno do mojego domu.

- To nie będzie się wiązało z żadnym niebezpieczeństwem - zapewnił Calhoun.

- Ale dlaczego ja? - dopytywała się Angela.

- Ponieważ oboje jesteście lekarzami i pracujecie w szpitalu - odparł detektyw. - Jeśli pojedziecie do Burlington i powiecie, że te papiery są wam potrzebne, by uzupełnić historie choroby waszych pacjentów, policja natychmiast wam je wyda. Wszyscy bez protestu spełniają żądania lekarzy i sędziów.

- Sądzę, że wizyta w biurze policji stanowej nie należy do rzeczy niebezpiecznych - powiedziała Angela. - W żaden sposób nie oznacza to

także brania udziału w śledztwie.

- Sądzę, iż rzeczywiście nie ma w tym nic złego - zgodził się David. -

Pod warunkiem, że nie narazisz się tamtejszym funkcjonariuszom i nie zostaniesz aresztowana.

- Ależ skąd - roześmiał się Calhoun. - Najgorszą rzeczą, jaka może spotkać pańską żonę, jest to, że policja nie wyda jej kopii dokumentów.

- Kiedy miałabym się tam udać?

- Na przykład jutro - zaproponował Calhoun.

- W takim razie zajmę się tą sprawą w czasie przerwy na lunch - postanowiła kobieta.

- Przyjadę po panią o dwunastej pod szpital - obiecał detektyw, wstając i dziękując za piwo.

Angela zaproponowała, że odprowadzi go do samochodu, David natomiast zajął się sprzątaniem szklanek i popielniczki.

- Mam nadzieję, że nie stanę się przyczyną kłótni między panią a mężem - powiedział detektyw, otwierając drzwiczki samochodu. - Zdaje się, iż nie jest on zachwycony tym, że prowadzę śledztwo w sprawie Hodgesa.

- Nie będzie żadnego problemu - uśmiechnęła się Angela. - Musi pan jednak rozwiązać całą zagadkę najdalej w ciągu tygodnia.

- To mnóstwo czasu - zapewnił ją Calhoun.

- Jest jeszcze coś, o czym pragnę panu opowiedzieć - dodała kobieta, wyjawiając mu swoją teorię na temat napadu na szpitalnym parkingu.

- Hmm... - zamyślił się detektyw. - Ta sprawa staje się coraz bardziej

intrygująca. Może chce pani raz jeszcze rozważyć, czy powinienem zajmować się tym zabójstwem?

- Już podjęłam decyzję - powiedziała stanowczo Angela.

- Staralem się, by nikt nie odgadł, że to właśnie pani mnie wynajęła.

- Jestem panu wdzięczna za dyskrecję - skinęła głową kobieta.

- Wobec tego spotkajmy się jutro na parkingu na tyłach biblioteki, a

nie przed szpitalem - zaproponował Calhoun. - Nie ma sensu

niepotrzebnie narażać pani na niebezpieczeństwo.

Rozdział 20

Środa, 27 października

Ku przerażeniu Davida i Angeli Nikki obudziła się ze szmerami w

plucach oraz głębokim, połączonym z odkrztuszaniem flegmy kaszlem.

Rodzice byli przerażeni, że dziewczynka zapadła na tę samą chorobę co

Caroline. David miał sobie za złe, że poprzedniego dnia pozwolił córce

odwiedzić przyjaciółkę.

Intensywne ćwiczenia oddechowe także nie przyniosły żadnej

poprawy. Ku jawnemu rozczarowaniu dziewczynki Wilsonowie

postanowili nie posyłać jej tego dnia do szkoły i zadzwonili do Alice, która

obiecała zaopiekować się dzieckiem w ciągu dnia.

Zdenerwowany chorobą córki David z niepokojem zaczynał

codzienny obchód. Wobec tak licznych ostatnio zgonów swoich pacjentów

z lękiem myślał o tym, jak też dzisiaj czuć się będą jego podopieczni.

Obawy okazały się jednak bezpodstawne: wszyscy miewali się świetnie.

Nawet stan Sandry znacznie się poprawił.

- Schodzi pani opuchlizna - powiedział David, delikatnie dotykając twarz kobiety.
- Sama to czuję - uśmiechnęła się Sandra.
- Temperatura także spadła poniżej trzydziestu ośmiu stopni.
- Cieszę się. Dziękuję bardzo. Jestem panu tak ogromnie wdzięczna, że postaram się nie zanudzać pana pytaniami, kiedy będę mogła stąd wyjść.
- Spryciara z pani - roześmiał się David. - Takie niewinne z pozoru uwagi przynoszą lepsze efekty od stawiania pytań wprost. Uważam jednak, że powinna pani tu zostać aż do chwili, kiedy zyskamy stuprocentową pewność, że infekcja została opanowana.
- Zgoda - uśmiechnęła się blado Sandra, starając się ukryć rozczarowanie. - Skoro jednak muszę pozostać w szpitalu, czy mógłby pan wyświadczyć mi pewną przysługę?
- Oczywiście.
- Zepsuło się elektroniczne sterowanie przy moim łóżku - poskarżyła się Sandra. - Informowałam już o tym pielęgniarki, stwierdziły jednak, że nic nie mogą na to poradzić...
- Załatwię to - obiecał David. - Niestety, ciągle mamy podobne kłopoty. Zajmę się tą sprawą, gdy tylko stąd wyjdę. Chcemy, by było tu pani tak wygodnie, jak to tylko możliwe.
- Wróciwszy do dyżurki, David powiedział Janet Colburn o niesprawnym łóżku pacjentki.
- Czy naprawdę nic nie da się zrobić? - zapytał.

- Tak przynajmniej orzekł szef działu technicznego, kiedy poprosiliśmy go o pomoc. A ja, prawdę mówiąc, nie miałam ochoty spierać się z tym człowiekiem. I bez tego trudno się z nim dogadać. Niestety, w tej chwili nie mamy wolnego łóżka, aby wymienić to popsute. David nie przypuszczał, że będzie musiał iść w tej sprawie do samego Van Slyke'a, ale nie miał wyboru. Mógł albo udać się do niego i zapytać, czemu łóżka Sandry nie da się naprawić, albo też złożyć skargę w tej sprawie bezpośrednio na ręce Beaton.

Odnalazł Van Slyke'a w jego pozbawionym okien pokoiku w podziemiach szpitala.

- Na górze moja pacjentka leży na zepsutym łóżku, którego rzekomo nie da się naprawić - oświadczył poirytowanym tonem. - Co to za historia?

- Szpital kupił zły rodzaj łóżek - wyjaśnił Van Slyke. - Bez przerwy się psują.

- Nie można nic z tym zrobić? - zdziwił się David.

- Można. Ale gdy tylko usunę jedną usterkę, natychmiast pojawia się nowa.

- Mimo wszystko chcę, by naprawił pan to łóżko - powiedział David.

- Zrobię to przy jakiejś okazji. A teraz proszę dać mi spokój, mam ważniejsze sprawy na głowie.

- Dlaczego jest pan taki niegrzeczny?

- Patrzcie, kto to mówi - warknął Van Slyke. - To pan przyszedł tutaj krzyczeć na mnie, a nie odwrotnie. Jeśli coś się panu nie podoba, proszę iść do administracji.

- Chyba istotnie tak zrobię - odrzekł David.

Odwrócił się i wspiął na schody, zamierzając udać się wprost do biura Helen Beaton, kiedy jednak znalazł się w głównym holu, sprawa ta zupełnie wyleciała mu z głowy, ujrzał bowiem wchodzącego do szpitala doktora Pilsnera.

- Mogę z panem chwilę porozmawiać? - zapytał, zatrzymując go.

Pilsner przystanął.

David opisał dolegliwości Nikki. Miał właśnie zapytać, czy dziewczynka powinna zacząć przyjmować doustnie jakieś antybiotyki, ale umilkł w pół słowa, widząc, że lekarz błądzi myślami gdzie indziej, prawie go nie słuchając.

- Czy coś się stało?

- Przepraszam pana - powiedział doktor Pilsner. - Jestem bardzo zaniepokojony, ponieważ stan Caroline Helmsford wyraźnie pogorszył się w ciągu ostatniej nocy. Byłem przy niej niemal przez cały czas. Dopiero niedawno pojechałem do domu, by wziąć prysznic i przebrać się.

- Co się stało? - zapytał David.

- Może pan sam zobaczyć - odrzekł pediatra, wchodząc na schody.

David musiał nieomal biec, żeby za nim nadążyć.

- Przeniesiono ją na oddział intensywnej terapii - wyjaśnił Pilsner. -

Z niewiadomych powodów dostała drgawek.

David stanął jak wryty i dopiero po chwili ruszył biegiem za szybko oddalającym się pediatrą. Konwulsje Caroline przywiodły mu na myśl bolesne wspomnienia o własnych pacjentach.

- Gwałtownie rozwinęło się też zapalenie płuc - ciągnął Pilsner. -

Próbowałem wszystkiego, ale żadne lekarstwo nie podziałało.

Przed wejściem na oddział intensywnej terapii pediatra przystanął na chwilę i z głębokim westchnieniem oparł się o drzwi.

- Obawiam się, że to dziecko jest teraz w szoku septycznym.

Musieliśmy sztucznie podwyższać ciśnienie krwi. To wszystko nie wygląda dobrze. Boję się, że ona umrze.

W pokoju dziewczynki przekonali się, że Caroline znajduje się w stanie śpiączki. Plastikowa rurka łączyła jej usta z tłoczącym tlen respiratorem. Całe ciało dziecka spowijały przewody kroplówek.

Monitory co chwila wyświetlały informacje o pulsie i ciśnieniu krwi.

David przeszedł zimny dreszcz. W wyobraźni ujrzał leżącą na miejscu Caroline Nikki i obraz ten śmiertelnie go przeraził.

Dyżurująca przy dziewczynce pielęgniarka poinformowała ich, że przez godzinę, która upłynęła od wyjścia doktora Pilsnera nic się nie zmieniło. Obaj lekarze usiedli przy biurku i David skorzystał z okazji, by porozmawiać z pediatrą na temat samopoczucia Nikki. Doktor Pilsner wysłuchał go uważnie, po czym zgodził się, że doustnie podawane antybiotyki byłyby w tym wypadku bardzo na miejscu. Doradził, jakiego typu powinny być to leki i jak należy je dozować. Przed opuszczeniem oddziału intensywnej terapii Wilson uściskał dłoń pediatry. Aż za dobrze wiedział, co czuje Pilsner.

Zanim zaczął przyjmować pacjentów, zadzwonił do żony, by powiedzieć jej, jakie antybiotyki ma podać córce. Zawiadomił ją także o

stanie Caroline. Angełę ścięła z nóg ta wiadomość.

- Myślisz, że ona umrze? - zapytała.

- Tak sądzi doktor Pilsner.

- Nikki była u niej wczoraj z wizytą - zaniepokoiła się nagle kobieta.

- Nie musisz mi o tym przypominać - westchnął David. - Caroline

czuła się jednak wówczas bardzo dobrze. Nawet nie gorączkowała.

- Och, Boże - jęknęła Angela. - Jedno nieszczęście goni drugie. Czy

mógłbyś kupić antybiotyki dla Nikki i przywieźć je do domu podczas

przerwy na lunch?

- Dobrze - zgodził się David.

- Ja pojedę w tym czasie do Burlington, tak jak planowaliśmy.

- Nie zmieniłaś zdania?

- Oczywiście, że nie - odparła. - Calhoun dzwonił do mnie i

potwierdził nasze spotkanie. Rozmawiał już z oficerem dyżurnym

wydziału zabójstw w Burlington.

- Miłej podróży w takim razie - życzył jej David, pośpiesznie

odkładając słuchawkę, żeby nie powiedzieć nic, czego później mógłby

żałować.

Postępowanie Angeli irytowało go. Podczas gdy on umierał z

niepokoju o Caroline i Nikki, ona obsesyjnie zajmowała się sprawą

morderstwa Hodgesa.

- Jestem ogromnie wdzięczny, że zechciała mnie pani przyjąć -

powiedział Calhoun, siadając na wprost biurka Helen Beaton. - Jak już

mówiłem pani sekretarce, chciałbym zadać tylko kilka pytań.

- Ja także pragnęłabym zapytać pana o kilka rzeczy - oświadczyła

Helen.

- Które z nas w takim razie zacznie? - zapytał Calhoun, wyjmując z kieszeni paczkę cygar. - Czy mogę zapalić?

- Nie, nie może pan - odparła kobieta. - W szpitalu nie wolno palić.

Sądzę, że to ja pierwsza powinnam zadawać panu pytania. Odpowiedzi na nie mogą mieć istotne znaczenie dla dalszego przebiegu naszej rozmowy.

- Zgoda - odparł detektyw. - Proszę zaczynać.

- Kto pana wynajął?

- To nieuczciwe pytanie - oburzył się Calhoun.

- Dlaczego?

- Ponieważ moi klienci oczekują ode mnie dyskrecji. Teraz moja kolej. Dowiedziałem się, że doktor Hodges był częstym gościem w pani gabinecie i...

- Pozwoli pan, że mu przerwę - wpadła detektywowi w słowo

Beaton. - Skoro pańscy klienci nie chcą ujawnić swojej tożsamości, nie widzę powodu, dla którego miałabym z panem współpracować.

- Wybór należy do pani - skinął głową Calhoun. - Oczywiście, są tacy, których zdziwiłoby, że dyrektor administracyjny unika rozmowy na temat jednego ze swych współpracowników, a nawet mogliby pomyśleć, że pani wie, kto zabił Hodgesa, ale...

- Dziękuję panu za wizytę - powiedziała Beaton, wstając z miejsca i uśmiechając się. - Nie skłoni mnie pan do mówienia, dopóki nie dowiem się, kogo pan reprezentuje. Do widzenia, panie Calhoun.

Detektyw także wstał.

- Mam wrażenie, że jeszcze się zobaczymy - oświadczył na pożegnanie.

Opuściwszy biuro administracji, zszedł do piwnicy. Jego kolejnym rozmówcą miał być Werner Van Slyke. Odnalazł go w szpitalnym warsztacie, wymieniającego elektryczne silniki w kilku zepsutych łózkach.

- Pan Van Slyke? - zapytał.

- Tak - potwierdził mężczyzna.

- Nazywam się Calhoun. Czy mógłbym zamienić z panem kilka słów?

- Na jaki temat?

- Doktora Dennisa Hodgesa.

- Jeśli tylko nie będzie mi to przeszkadzało w moich zajęciach, zgoda - odrzekł Van Slyke, wracając do pracy.

- Czy te łózka często się psują? - zapytał detektyw.

- Niestety tak.

- Skoro jest pan szefem całego zespołu konserwatorów, dlaczego naprawia je pan sam?

- Chcę mieć pewność, że ta robota została dobrze wykonana.

Calhoun podszedł bliżej i usiadł na stołku obrotowym.

- Mogę zapalić?

- Jasne - powiedział Van Slyke.

- Myślałem, że w szpitalu jest to zakazane - uśmiechnął się detektyw.

Poczęstował także Van Slyke'a, który po chwili wahania przyjął

cygaro i wsunął je do ust. Calhoun podał mu ogień.

- Mówiono mi, że bardzo dobrze znał pan Hodgesa - powiedział.

- Był dla mnie jak ojciec - potwierdził Van Slyke, z lubością zaciągając się dymem. - Bardziej niż mój prawdziwy rodzic.

- Naprawdę? - zdziwił się Calhoun.

- Gdyby nie Hodges, nigdy nie poszedłbym do college'u - oświadczył Van Slyke. - Dennis dawał mi do wykonania różne prace w swoim domu, w związku z czym często tam nocowałem i wtedy spędzaliśmy wiele godzin, rozmawiając. Z moim ojcem miałem tylko problemy.

- Jak to? - zapytał detektyw, pragnąc, by Van Slyke mówił dalej.

- To był prawdziwy sukinsyn - stwierdził jego rozmówca i zakaszłał.

- Skurwiel kiedyś próbował nawet zatłuc mnie na śmierć.

- Czemu?

- Chlał prawie co noc, a kiedy był pijany, zawsze mnie bił, i ani ja, ani matka nic na to nie mogliśmy poradzić. Prawdę mówiąc, ona też posmakowała jego pięści.

- Rozmawiał pan kiedykolwiek z matką na ten temat? - zapytał

Calhoun. - Próbowaliście jakoś wspólnie zbuntować się przeciwko ojcu?

- Do diabła, nie. Zawsze go broniła, mówiąc, że on nigdy później nie pamięta, jak po pijanemu okładał mnie pięściami i kopał. Do licha, twierdziła nawet, że ojciec bije mnie dlatego, że mnie kocha.

- Nie brzmi to zbyt sensownie.

- Pewnie, że nie - uśmiechnął się kwaśno Van Slyke. - Ale po co, do

diabła, zadaje pan wszystkie te pytania?

- Interesuje mnie śmierć Hodgesa - wyjaśnił Calhoun.

- Mimo że upłynęło tak wiele czasu? - zdziwił się Van Slyke.

- Czemu nie? Nie chciałby pan się dowiedzieć, kto go zabił?

- A co mógłbym zrobić, wiedząc o tym? - wzruszył ramionami Van Slyke. - Zamordować tego skurwiela? - roześmiał się gorzko, nagle zanosząc się gwałtownym kaszlem.

- Pewnie niewiele pan pali? - zauważył Calhoun.

Van Slyke potrząsnął głową. Gdy w końcu udało mu się opanować atak kaszlu, twarz miał poczerwieniałą i spoconą. Podszedł do zlewu i wypił łyk wody. Jego nastrój wyraźnie się zmienił.

- Sądzę, że dość już tej pogawędki - stwierdził oschle. - Mam mnóstwo roboty. Te łóżka doprowadzają mnie do szału.

- Zostawiam pana zatem - oświadczył detektyw, wstając. - Holduję pewnej zasadzie: nigdy nie zostaję tam, gdzie mnie nie chcą. Czy nie miałby pan nic przeciw temu, że bym kiedyś jeszcze tu wrócił?

- Pomyślę nad tym - odpowiedział Van Slyke.

Calhoun pożegnał się i wyszedł z warsztatu. Okrążył szpital i skierował się do budynku Imaging Center. Wręczył swą wizytówkę recepcjonistce i zapytał, czy może porozmawiać z doktorem Cantorem.

- Był pan umówiony?

- Nie - odparł detektyw. - Proszę jednak powiedzieć mu, że chcę pomówić z nim na temat doktora Hodgesa.

- Doktora Dennisa Hodgesa? - zdziwiła się kobieta.

- Właśnie - potwierdził Calhoun. - Usiądę sobie tutaj i poczekam, aż pan Cantor mnie przyjmie.

Z uśmiechem patrzył, jak recepcjonistka łączy się przez wewnętrzny telefon z sekretariatem szefa personelu medycznego. Po chwili w drzwiach ukazała się otyła kobieta, prosząc, by poszedł za nią.

- Co to znaczy, że chce pan rozmawiać o Dennisie Hodgesie? - zapytał Cantor, gdy tylko detektyw przekroczył próg jego biura.

- Dokładnie to, co powiedziałem - odparł Calhoun.

- Po co, u licha?

- Mogę usiąść? - zapytał detektyw.

Cantor skinął ręką w stronę stojącego przed jego biurkiem krzesła.

By usiąść, Calhoun musiał usunąć z niego całą stertę nie rozpakowanych pism medycznych. Ułożył je na podłodze i zadał swoje sakramentalne pytanie, czy wolno mu zapalić.

- Pod warunkiem, że mnie też pan poczęstuje - powiedział Cantor. -

Rzuciłem palenie i pozwalam sobie ulegać temu zgubnemu nałogowi wyłącznie wtedy, gdy ktoś proponuje mi papierosa.

Obaj zapalili i detektyw poinformował Cantora, że został wynajęty w celu znalezienia mordercy Hodgesa.

- Nie mam ochoty rozmawiać o tym skurwielu - odparł szef personelu medycznego.

- Mógłbym wiedzieć dlaczego?

- W imię czego miałbym panu pomagać?

- Choćby w imię tego, żeby morderca trafił w ręce sprawiedliwości.

- Uważam, że sprawiedliwości stało się już zadość - stwierdził

Cantor. - Ktokolwiek uwolnił nas od tej gnidy, zasługuje na medal, nie na więzienie.

- Uprzedzono mnie, że nie ma pan najlepszego zdania o doktorze

Hodgesie - skinął głową Calhoun.

- Łagodnie powiedziane - uśmiechnął się Cantor.

- Mógłby pan jakoś uzasadnić swoją niechęć do niego?

- Miał za nic innych ludzi.

- Ludzi w ogóle czy też tylko innych lekarzy?

- Przede wszystkim lekarzy - przytaknął Cantor. - W ogóle się z nimi

nie liczył. Widział przed sobą tylko jeden cel: szpital. Ale jego oddanie dla

tej instytucji nie rozciągało się na zatrudniony w niej personel. Przejął

radiologię i patologię, pozbawiając w ten sposób wielu z nas środków do

życia. Wszyscy mieliśmy go szczerze dosyć.

- Wszyscy, to znaczy kto? - zainteresował się Calhoun. - Mógłby mi

pan podać jakieś nazwiska?

- Jasne, to żaden sekret - odparł mężczyzna, po czym, wyliczając na

palcach, wymienił pięciu lekarzy, włączając w to siebie samego.

- Czy spośród tych wszystkich osób pan jest jedyną, która nadal tu

pracuje?

- Jedyną, która została na oddziale radiologii - uściślił Cantor. -

Dzięki Bogu, byłem na tyle przewidujący, żeby założyć Imaging Center.

Został jeszcze patolog, Paul Darnell.

- Czy pan wie, kto zabił Hodgesa?

Cantor chciał coś powiedzieć, ale urwał w pół słowa.

- To nieuczciwe - oświadczył. - Sprowokował mnie pan do tej rozmowy, pomimo że już na początku zaznaczyłem, że nie chcę mówić o Hodgesie. Wydaje mi się ponadto, że i bez moich informacji wie pan wiele na temat tej zbrodni.

- Mam pewne podejrzenia - przyznał Calhoun. - Mimo pańskiego zastrzeżenia miałem nadzieję, że zmieni pan zdanie. No więc, jak: wie pan, kto zabił Hodgesa?

- Nawet gdybym wiedział, nie powiedziałbym panu o tym - odrzekł Cantor.

Calhoun wyjął z kieszeni kamizelki zegarek i sprawdził godzinę.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział, wstając - ale muszę przerwać naszą miłą pogawędkę. Nie wiedziałem, że jest już tak późno. Niestety, mam o dwunastej umówione spotkanie.

Detektyw zgasił cygaro i nie zwracając uwagi na zdumionego Cantora, opuścił jego gabinet. Pośpiesznie wsiadł do samochodu i ruszył w stronę biblioteki. Angela czekała na niego, rozglądając się niecierpliwie.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział Calhoun, otwierając przed nią drzwi auta. - Rozmowa z Cantorem okazała się tak zabawna, że straciłem poczucie czasu.

- Ja też spóźniłam się kilka minut - odrzekła Angela, wsiadając do przesiąkniętej dymem cygar furgonetki. - Ciekawa jestem, czy dowiedział się pan czegoś nowego. Może Cantor powiedział coś, co rzuciło światło na

interesującą nas sprawę?

- To nie on zabił Hodgesa - zapewnił Calhoun. - Ale ten człowiek bardzo mnie intryguje, podobnie jak Beaton. Coś się tu dzieje. Czuję to.

Czy mogę zapalić? - zapytał, uchylając okno.

- Sądzę, że tylko z tego powodu chciał pan jechać swoim, a nie moim samochodem - uśmiechnęła się Angela.

- Istotnie, brałem to pod uwagę - przyznał detektyw.

- Jest pan pewien, że nie będziemy mieli żadnych kłopotów z policją stanową? - zaniepokoiła się Angela. - Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem zdenerwowana. Bądź co bądź będę musiała skłamać.

- Nie ma powodu do obaw. Niewykluczone, że nie będzie pani musiała nic mówić. Wyjaśniłem już całą sprawę dyżurnemu oficerowi i nie sądzę, by robił nam jakieś trudności.

- Zdaję się w takim razie na pana - westchnęła Angela.

- Nie rozczaruje się pani - zapewnił ją detektyw. - Mam jednak jedno pytanie: wciąż niepokoi mnie to, co ostatniego wieczoru mówił pani mąż.

Nie chcę stać się przyczyną jakichkolwiek nieporozumień w waszej rodzinie. Wyznam szczerze, że prowadzenie tego śledztwa przysparza mi znacznie więcej radości niż jakakolwiek inna sprawa, którą zajmowałem się po odejściu z policji. Co by pani powiedziała, gdybym obniżył swoją stawkę? Czy wówczas pani mąż łatwiej zaakceptowałby fakt, że mnie pani wynajęła?

- Dziękuję za pańską troskę - uśmiechnęła się Angela. - Jestem jednak pewna, że David jakoś pogodzi się z tym wszystkim, pod

warunkiem, że pańskie śledztwo nie będzie trwało dłużej niż tydzień.

Pomimo iż Calhoun starał się dodać jej otuchy, wchodząc na posterunek, Angela była bardzo zdenerwowana. Na szczęście detektyw wziął rozmowę z oficerem dyżurnym na siebie i całą sprawę udało się załatwić znacznie łatwiej, niż sądziła. Policjant odniósł się do jej prośby bardzo życzliwie i cieszył się, że może im pomóc.

- Skoro już tu jesteśmy, czy moglibyśmy od razu dostać dwie kopie wszystkich dokumentów? - poprosił Calhoun.

- Nie ma problemu - odrzekł policjant.

Załóżyl rękawiczki i wyjął z sejfku odnalezione przy zwłokach Hodgesa papiery.

- W ten sposób oboje będziemy mieli własne kopie - szepnął detektyw, mrugając znacząco do Angeli.

Dziesięć minut później znaleźli się z powrotem w samochodzie.

- Nie było to takie trudne - westchnęła z ulgą Angela, wyjmując z koperty otrzymane na policji dokumenty i przeglądając je uważnie.

- Ma pani szczęście, że nigdy nie używam zwrotu „a nie mówiłem” - odrzekł wesolo detektyw. - Nigdy nie mówię takich rzeczy. W żadnym wypadku. To nie w moim stylu.

Angela wybuchnęła śmiechem. Podobało jej się poczucie humoru Calhouna.

- Co to za papiery? - zapytał Calhoun, zerkając jej przez ramię.

- Formularze, jakie wypełnia się, przyjmując pacjenta do szpitala - wyjaśniła. - Osiem sztuk.

- Czy jest w nich coś szczególnego?

- Moim zdaniem nie - odparła nieco rozczarowana. - Nie znalazłam nic, co byłoby wspólne dla wszystkich przypadków. Różnili się wiekiem, płcią, postawiono im też odmienne diagnozy. Mamy tu złamane żebro, zapalenie płuc, zapalenie zatok, bóle w klatce piersiowej, ból po prawej stronie w dole brzucha, udar mózgu, kamienie nerkowe. Sama nie wiem, czego oczekiwałam, ale wszystkie te przypadki wyglądają zupełnie normalnie.

Calhoun zapalił silnik i włączył się w uliczny ruch.

- Niech pani nie wyciąga pochopnych wniosków - doradził.

Angela wsunęła dokumenty z powrotem do koperty i rozejrzała się.

Niemal natychmiast rozpoznała miejsce, w którym się znajdowali.

- Proszę sekundę poczekać - poprosiła. - Niech się pan zatrzyma.

Calhoun zjechał na pobocze.

- Jesteśmy tuż obok zakładu medycyny sądowej - powiedziała

kobieta. - Co by pan powiedział na to, żebyśmy tam na chwilę wstąpili? To właśnie tutaj robiono sekcję zwłok Hodgesa i ta wizyta może dostarczyć nam dodatkowych wskazówek do prowadzenia śledztwa.

- Zgoda - odparł detektyw.

Zawrócili gwałtownie na pełnej samochodów ulicy, który to manewr tak przeraził Angelę, że aż zamknęła oczy. Calhoun uspokajająco poklepał ją po ramieniu. Pięć minut później wchodzili już do zakładu medycyny sądowej. Dunsmore jadł właśnie lunch w pracowniczej stołówce. Angela przedstawiła mu Calhouna.

- Może chcecie państwo coś zjeść - zaproponował Walter. Zarówno

Angela, jak i detektyw kupili sobie w automacie kanapki i przysiedli się do stolika patologa.

- Pan Calhoun prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa Hodgesa - wyjaśniła Angela. - Przyjechaliśmy do Burlington po kopie pewnych dokumentów. Pomyślałam, że przy okazji zajrzemy też tutaj, by dowiedzieć się, czy nie odkrył pan czegoś nowego.

- Nie, niestety nie - powiedział Walter po chwili namysłu. - Testy toksykologiczne przyniosły wynik negatywny, wyjąwszy poziom alkoholu, o czym już pani wspominałem. Później zaś nie przeprowadzaliśmy już żadnych badań. Jak mówiłem, nikt nie uważa tej sprawy za priorytetową.

- Rozumiem - pokiwała głową Angela. - Nie dowiedział się pan niczego więcej o tym węglu pod skórą?

- Nie miałem nawet okazji, by pomyśleć na ten temat - przyznał się Walt.

Skończyli jeść kanapki i Angela uznała, że najwyższy czas wracać do Bartlet.

Podróż powrotna upłynęła im znacznie szybciej niż droga do

Burlington. Calhoun wysadził Angelę za budynkiem biblioteki, by mogła przesiąść się do swojego samochodu.

- Będziemy w kontakcie - obiecał. - I niech pani pamięta: proszę trzymać się z daleka od całej sprawy.

- Nie ma obaw - uśmiechnęła się kobieta.

Pomachała mu na pożegnanie i usiadła za kierownicą swego volvo.

Było już prawie wpół do drugiej.

Po powrocie do gabinetu Angela włożyła kopie dokumentów

Hodgesa do górnej szuflady biurka, mając nadzieję, że będzie pamiętać o

zabraniu ich wieczorem do domu. Kiedy zakładała biały laboratoryjny

fartuch, Wadley bez pukania otworzył łączące ich pokoje drzwi i wszedł

do środka.

- Szukam cię od blisko dwudziestu minut - powiedział poirytowany.

- Byłam poza terenem szpitala.

- Zauważyłem - stwierdził sarkastycznie. - Usiłowałem cię znaleźć

nawet przez pagera.

- Przepraszam - powiedziała Angela. - Skorzystałam z przerwy na

lunch, by załatwić pewną sprawę.

- Zabrało ci to więcej niż godzinę - zauważył szef.

- Być może - potwierdziła. - Mam zamiar za to zostać dłużej w pracy.

Zresztą zwykle zostaję tutaj po godzinach. Poza tym prosiłam doktora

Darnella, żeby zastąpił mnie na wypadek jakiejś pilnej pracy.

- Nie lubię, kiedy moi patolodzy znikają w środku dnia - oświadczył

Wadley.

- Nie spóźniłam się przecież dużo - powiedziała obronnym tonem

Angela. - Jestem całkowicie świadoma moich obowiązków i wypełniam je

co do joty. Nie odpowiadam jednak za badanie tkanek pobranych na

chirurgii, a to przecież jedyne analizy, gdzie liczy się pośpiech. Prócz tego

mój wyjazd wiązał się z wizytą w zakładzie medycyny sądowej.

- Widziałaś się z Waltem Dunsmorem? - zapytał Wadley.

- Możesz do niego zadzwonić, jeśli mi nie wierzysz.

Angela zauważyła, że informacja o wizycie w zakładzie medycyny sądowej nieco udobruchała Wadleya. Pomyślała, że dobrze zrobiła, decydując się na te nie planowane odwiedziny.

- Jestem zbyt zajęty, by za każdym razem śledzić, dokąd się udajesz

- stwierdził Wadley. - Chodzi mi po prostu o to, żebyś się nie spóźniała.

Przypominam ci, że wciąż jeszcze jesteś tu zatrudniona na okres próbny.

Zapewniam cię, iż twoja umowa o pracę nie zostanie przedłużona, jeśli będziesz zaniedbywać swoje obowiązki - oświadczył, cofając się w głąb swego gabinetu i głośno zamykając za sobą drzwi.

Angela przez moment siedziała bez ruchu, rozmyślając o otwartej wrogości, z jaką traktował ją przełożony. Mimo wszystko wolą to od seksualnego molestowania. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek ich wzajemne relacje staną się normalnymi stosunkami służbowymi.

Po przyjęciu ostatniego zapisanego na ten dzień pacjenta David niechętnie udał się do szpitala na popołudniowy obchód. Na myśl o tym, co może tam zastać, ogarniało go przerażenie.

Zanim zaczął odwiedzać swoich chorych, zajrzał na oddział intensywnej terapii do Caroline. Dziecko czuło się bardzo źle - widać było, że jest umierające. Doktor Pilsner stracił już wszelką nadzieję. David doskonale rozumiał rozpacz, jaka ogarnęła pediatrę.

Wchodząc do pokoi swoich pacjentów, David za każdym razem czuł niepokój. Odetchnął z ulgą dopiero wtedy, kiedy przekonał się, że wszyscy chorzy czują się bardzo dobrze. Gdy jednak wszedł do sali Sandry, lęk

powrócił. Kobieta była półprzytomna, nie odpowiadała na jego pytania i wręcz zdawała się go nie poznawać.

David zadrżał ze strachu. Mimo że pielęgniarki niczego nie zauważyły, jemu zmiana stanu zdrowia pacjentki wydała się wprost dramatyczna. Podczas porannych odwiedzin Sandra była całkowicie przytomna i miała dobry humor. Teraz nie reagowała na żadne bodźce zewnętrzne, a z jej ust sączyła się strużka śliny. Oczy straciły blask, temperatura zaś, która poprzednio spadła, teraz wynosiła ponad trzydzieści osiem stopni Celsjusza.

Próbował rozmawiać z chorą, ta jednak tylko bełkotała coś niezrozumiale - jedyne słowa, jakie zdołał wyodrębnić, było uskarżanie się na ból brzucha: symptom, który występował również u jego zmarłych pacjentów. Serce waliło mu jak młotem. Był przekonany, że nie zniósłby już śmierci kolejnej osoby.

Wrócił do dyżurki i przejrzał kartę Sandry: jedynym nowym spostrzeżeniem, jakie tam zanotowano, była utrata apetytu, odnotowana przez pielęgniarkę, gdy pacjentka nie zjadła lunchu. David sprawdził wszystkie płyny podawane chorej w kroplówce, lecz nie znalazł nic, co wzbudzałoby

jego

niepokój.

Przejrzał

także

wyniki

testów

laboratoryjnych, ale i one wyglądały normalnie. Nie znalazł nic, co wyjaśniałoby utratę świadomości pacjentki. Jedyne wytłumaczenie, jakie przychodziło mu do głowy, było takie, że u Sandry wywiązało się zapalenie opon mózgowych.

Zbadał ją jeszcze raz i choć nie znalazł żadnych objawów takiego zapalenia, zdecydował się na wykonanie rozstrzygającego testu. Wykonał punkcję lędźwiową, pobierając próbkę płynu rdzeniowo-mózgowego, który wyglądał zupełnie normalnie był przejrzysty i jasny. Dla pewności wysłał go jednak do laboratorium. Wyniki potwierdziły jego przypuszczenia: wszystko było w normie. Także poziom cukru we krwi. Jedyną rzeczą, na jaką Sandra nie przestała reagować, było naciskanie jej zaropiałych węzłów chłonnych. Wyraźnie odczuwała wówczas ból. W tej sytuacji zdecydował się na podanie kolejnego antybiotyku. Nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby zrobić. Teraz pozostawało mu już tylko mieć nadzieję, że jego pacjentka odzyska przytomność.

Jadąc na rowerze do domu, poczuł, że jest o krok od załamania nerwowego. Tym razem ta podróż nie sprawiała mu żadnej radości. Serce ścisnęło mu się z żalu na myśl o Caroline, trawił go także paniczny lęk o Sandrę. Gdy jednak przekroczył próg domu, uznał, że nie wolno mu rozczulać się nad sobą, istniały bowiem większe zmartwienia: Nikki czuła się znacznie gorzej niż w czasie lunchu, kiedy to przywiózł jej doustne antybiotyki. Szmery w płucach stały się jeszcze silniejsze, a temperatura

wzrosła do ponad trzydziestu ośmiu stopni. David zadzwonił na oddział intensywnej terapii i poprosił do telefonu doktora Pilsnera. Przeprosił lekarza, że go niepokoi, czuł się jednak w obowiązku powiadomić pediatrę, że zalecane leki nie pomogły.

- Proszę je więc odstawić - odparł znużonym głosem Pilsner. -

Uważam też, że do codziennych inhalacji użyć należy środków mukolitycznych oraz leków rozszerzających oskrzela.

- Są jakieś zmiany w stanie zdrowia Caroline? - zapytał David.

- Żadnych.

Angela przyjechała do domu dopiero około siódmej wieczorem.

Przywitała się z Nikki, która po przeprowadzonych z ojcem inhalacjach czuła się znacznie lepiej, i poszła wziąć prysznic. David wszedł za nią do łazienki.

- Stan Caroline nie poprawił się - powiedział, patrząc na rozbierającą się żonę.

- Bardzo współczuję Helmsfordom - westchnęła kobieta. - Muszą być zupełnie załamani. Mam nadzieję, że Nikki nie zapadnie na to samo.

- Mam kolejną pacjentkę - Sandrę Hascher - której stan przypomina objawy, jakie obserwowałem u moich zmarłych pacjentów.

- Z jakiego powodu została przyjęta do szpitala? - zapytała Angela, wysuwając głowę spod strumienia wody.

- Ropiejący ząb - odrzekł David. - Po podaniu antybiotyków

wszystko pięknie się goiło, aż nagle dzisiejszego popołudnia zaczęła tracić świadomość.

- Jest nieprzytomna?

- Nie. Raczej apatyczna, jakby oszołomiona. Może nie brzmi to zbyt przerażająco, ale ja wiem, że jej stan z minuty na minutę może stać się krytyczny.

- Zapalenie opon mózgowych?

- To jedyna rzecz, jaka przyszła mi do głowy - przyznał David. -

Pacjentka nie skarżyła się wprawdzie na bóle głowy ani nie mający pod wpływem gorączki, ale mimo to pobrałem płyn mózgowo-rdzeniowy, żeby upewnić się, iż wszystko jest w porządku.

- A co z zapaleniem mózgu?

- Cóż, ma chyba na to zbyt niską temperaturę - zawahał się David. -

Jeśli jednak jutro jej stan się nie poprawi, być może zażądam badania MRI. Problem polega na tym, że to wszystko znanadto przypomina mi dolegliwości innych chorych, którzy później umarli.

- Przypuszczam, że nie będziesz zwoływał konsylium.

- Nie, chyba że będę chciał, by oddano ją pod opiekę innego lekarza - uśmiechną) się smutno David. - Wydaje mi się, że mogę mieć nawet problemy ze skierowaniem jej na badanie MRI.

- Nielatwo jest wykonywać w dzisiejszych czasach zawód lekarza - westchnęła Angela.

David nie odpowiedział.

- W Burlington wszystko poszło gładko - zmieniła temat.

- Cieszę się - odparł obojętnie David.

- Dopiero kiedy stamtąd wróciłam, miałam pewne kłopoty: Wadley

był wściekły. Straszyl mnie nawet, że po okresie próbnym zostanę zwolniona z pracy.

- Nie! - przeraził się David. - To byłaby katastrofa.

- Nie martw się - wzruszyła ramionami Angela. - To czcze pogrożki.

Nie byłby w stanie zwolnić mnie tak szybko po tym, jak oskarżyłam go o seksualne molestowanie. Już choćby z tego powodu cieszę się, że zgłosiłam tę sprawę Cantorowi. Moja rozmowa z nim oficjalnie potwierdza, iż czułam się napastowana przez przełożonego.

- To niewielkie pocieszenie - skrzywił się David. - Prawdę mówiąc, ani przez moment nie brałam pod uwagę tego, że możesz zostać zwolniona.

Zawołana na obiad Nikki oświadczyła, że nie jest głodna. Angela nakłoniła ją, by mimo to usiadła przy stole, zaznaczając, że nie musi nic jeść. Nieco później próbowała jednak zmusić córkę do jedzenia, co wywołało ostry sprzeciw Davida. Kłótnia między rodzicami sprawiła, że Nikki ze łzami w oczach uciekła od stołu.

David i Angela siedzieli nadąsani, winiąc się nawzajem o wywołanie sprzeczki. Przez jakiś czas nie rozmawiali ze sobą. Włączyli telewizor i w milczeniu oglądali wieczorne wiadomości. Kiedy nadeszła pora położenia Nikki spać, Angela oznajmiła, że pójdzie pomóc dziewczynce w zrobieniu inhalacji i życzy sobie, by przez ten czas mąż posprzątał ze stołu.

Zanim jednak David zdążył choćby wstawić naczynia do zlewu, Angela wróciła na dół, spoglądając na niego niepewnie.

- Nikki zadała mi pytanie, na które nie potrafię dać jej odpowiedzi.

Chce wiedzieć, czy Caroline wróci wkrótce do domu.

- Co jej powiedziałaś?

- Że nie wiem. Nie chcę jej nic mówić, dopóki sama czuje się tak źle.

- Nie patrz tak na mnie - zachnął się David. - Ja również nie chcę jej nic na ten temat mówić. Poczekajmy przynajmniej, aż ustąpią te szmery w płucach.

- Dobrze - zgodziła się Angela.

Okolo dziewiątej David zadzwonił do szpitala. Rozmawiał dość długo z przełożoną pielęgniarek, która upierała się, że stan Sandry nie pogarsza się. Przyznała jednak, że chora nie zjadła obiadu.

Kiedy David odłożył słuchawkę, w drzwiach kuchni pojawiła się Angela.

- Czy chciałbyś rzucić okiem na dokumenty, które przywiozłam dziś z Burlington? - zapytała.

- Nie interesuje mnie to - odrzekł David.

- Dziękuję ci - skrzywiła się. - Dobrze wiesz, jakie to dla mnie ważne.

- Jestem zbyt zajęty, by martwić się jeszcze pacjentami Hodgesa.

- Powinieneś zauważyć, że ja zawsze znajduję czas, by posłuchać o twoich problemach - oświadczyła Angela. - Nic by ci się nie stało, gdybyś ty także wyświadczył mi podobną grzeczność.

- Nie sądzę, że można porównywać te dwie sprawy - warknął David.

- Skąd możesz wiedzieć? Ale wiesz chyba, jak bardzo przygnębia mnie sprawa dokonanego w naszym domu morderstwa.

- Nie zachęcałem cię do przeprowadzania na ten temat śledztwa.

Wręcz przeciwnie: dawałem do zrozumienia, iż zdecydowanie go sobie nie życzę - upierał się David.

- Och tak, jasno dałeś wyraz temu, że to, co liczy się dla ciebie, jest ważne, natomiast to, co ma znaczenie dla mnie nie.

- W świetle tego wszystkiego, co się dzieje, uważam za zdumiewające, iż wciąż jeszcze zajmujesz się sprawą Hodgesa.

Rzeczywiście mam wrażenie, iż zatraciłaś umiejętność odróżniania spraw błahych od poważnych. Kiedy ty wybrałaś się na przejażdżkę do Burlington, ja przywiozłem naszej córce antybiotyki. W tym samym czasie na oddziale intensywnej terapii leżała już jej umierająca przyjaciółka.

- To nie do wiary, że możesz tak mówić - rozzłościła się Angela.

- Na domiar złego beztrąsko informujesz mnie, że Wadley groził ci wyrzuceniem z pracy - ciągnął David, zlekceważywszy jej słowa. - A wszystko dla jakiegoś głupiego wyjazdu do Burlington! Powiem ci coś: jeśli zostaniesz zwolniona z pracy, będzie to dla nas oznaczało finansową katastrofę. Nie wspomnę już nawet, na jakie wydatki narażasz nas, upierając się przy tym śledztwie.

- Zdaje ci się, że jesteś taki rozsądny, co? - zapytała sarkastycznie Angela. - Cóż, moim zdaniem postępujesz jak głupiec: wydaje ci się, że można rozwiązywać problemy, zaprzeczając ich istnieniu. To ty pomieszałeś sprawy błahę z poważnymi. Właśnie dlatego nie chcesz pomagać mi tam, gdzie tak bardzo potrzebuję twego wsparcia. Jeśli zaś chodzi o Nikki, być może nie chorowałyby, gdybyś nie pozwolił jej

odwiedzić Caroline, zanim jeszcze zorientowałaś się, co temu biedactwu dolega.

- Jesteś niesprawiedliwa! - wybuchnął mężczyzna, szybko się jednak opanował. Uważał się za człowieka rozsądnego i był bardzo dumny z tego, że nigdy nie tracił nad sobą kontroli.

Jednak im spokojniej starał się zachowywać David, tym bardziej Angela czuła się tym rozwścieczona, a to z kolei sprawiało, że mężczyzna jeszcze bardziej starał się nad sobą panować. O jedenastej wieczorem oboje byli już tak znużeni i obrażeni na siebie, że Angela milcząco zgodziła się, aby mąż spał tej nocy w pokoju gościnnym.

Rozdział 21

Czwartek, 28 października

Kiedy David otworzył oczy, w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie się znajduje. Przez moment wpatrywał się w ciemność, w nieznaną mu nocną lampkę, zanim zdecydował się ją zapalić. Oszołomiony powiódł wzrokiem po obcych meblach. Minęła minuta, zanim uświadomił sobie, że leży w pokoju gościnnym. W mgnieniu oka przypomniały mu się wszystkie niemiłe wydarzenia, jakie miały miejsce poprzedniego dnia. Sięgnął po zegarek i stwierdził, że jest za kwadrans piąta. Drżąc na całym ciele, opadł z powrotem na poduszkę. Czuł, że ogarnia go fala mdłości. Odczuwał także pierwsze objawy biegunki.

Przerażony wstał z łóżka, by w apteczce poszukać jakiegoś lekarstwa. Gdy w końcu znalazł buteleczkę z właściwym medykamentem, zażył od razu podwójną dawkę. Wsunął sobie także do ust termometr.

W tej samej chwili z lękiem uświadomił sobie, że bez przerwy musi przelykać ślinę, podobnie jak działo się to w przypadku jego zmarłych podopiecznych.

Zerknął na swe odbicie w lustrze i nagle ogarnęła go obawa, że zaraził się tą samą tajemniczą chorobą, która zebrała już obfite śmiertelne żniwo wśród jego pacjentów. „Mój Boże” - pomyślał - „przecież oni mieli te same objawy, jakie teraz występują u mnie”.

Drżącymi rękoma wyjął termometr. Słupek rtęci wskazywał trzydzieści osiem stopni Celsjusza. David wysunął język i stwierdził, że jest obłożony.

Niepokój wzbudziła w nim także chorobliwa bladość jego twarzy.

„Uspokój się!” - nakazał sobie stanowczo. Łyknął dwie aspiryny i popił je szklanką wody. W tej samej chwili poczuł zawroty głowy i musiał przytrzymać się kranu, żeby nie upaść.

Opanował się siłą woli i zaczął skrupulatnie rozważać swoje symptomy. Przypominały one objawy grypy i były podobne do tych, na jakie uskarżało się pięć badanych przez niego niedawno pielęgniarek. Nie było powodów do hysterii.

Postanowił zastosować wobec siebie taką samą terapię, jaką zalecił pielęgniarce: położenie się do łóżka i odpoczynek. Zanim w małżeńskiej sypialni odezwał się dzwonek budzika, czuł się już o wiele lepiej.

W pierwszej chwili oboje z Angielą popatrzyli na siebie z lekką pretensją, ale potem, wiedzeni nagłym impulsem, padli sobie w objęcia.

- Już dobrze? - zapytał żonę David. Angela potakująco skinęła głową.

- Oboje daliśmy się ponieść nerwom - stwierdziła.

- Na domiar złego chyba złapałem jakąś infekcję - westchnął David i opowiedział jej o zaobserwowanych u siebie grypowych objawach. - Na szczęście teraz czuję się już o wiele lepiej niż wczesnym rankiem - dodał. - Jedyną rzeczą, jaka wciąż nie daje mi spokoju, jest nadmierne ślinienie się.

- Co rozumiesz przez „nadmierne ślinienie się”?

- Ciągłe muszę przelykać ślinę. Przypomina to uczucie, jakie ma się tuż przed wymiotami, choć nie tak nasilone.

- Byłeś już u Nikki?

- Jeszcze nie.

Oboje wykąпали się, po czym zajrzeli do pokoju córki. Rusty powitał ich wesołym merdaniem ogona, ale Nikki okazała znacznie mniej entuzjazmu: pomimo przyjęcia antybiotyku i dodatkowych inhalacji, w jej płucach dały się słyszeć jeszcze silniejsze niż poprzednio szmery.

Kiedy Angela szykowała śniadanie, David zadzwonił do doktora Pilsnera, by poradzić się w sprawie dolegliwości córki.

- Chyba powinienem ją zobaczyć - powiedział pediatra. - Czy możemy spotkać się za pół godziny w izbie przyjęć?

- Będziemy tam - obiecał David. - Dziękuję. Jestem panu ogromnie wdzięczny za troskę.

Już miał odwiesić słuchawkę, kiedy przyszło mu do głowy, że powinien zapytać o Caroline.

- Umarła - powiedział lekarz. - Dziś około trzeciej nad ranem. Nie

można było już dłużej sztucznie podnosić jej ciśnienia krwi. Dobrze przynajmniej, że nie cierpiała, choć oczywiście wiem, że stanowi to niewielkie pocieszenie.

Wiadomość ta, mimo że spodziewana, bardzo przygnębiła Davida. Z ciężkim sercem wszedł do kuchni i przekazał żonie smutną nowinę.

Angela wyglądała tak, jakby miała się za chwilę rozplakać, zdołała się jednak jakoś opanować.

- Nie rozumiem, jak mogłeś pozwolić Nikki odwiedzić to dziecko w szpitalu! Przecież mogła się zarazić! - wybuchnęła czerwona z gniewu.

- Ja przynajmniej przyjechałem do domu w czasie przerwy na lunch i przywiozłem jej antybiotyki - odciął się dotknięty do żywego David, choć dręczyło go poczucie winy.

Popatrzyli na siebie, próbując stłumić irytację i strach.

- Przepraszam - powiedziała w końcu Angela. - To wszystko dlatego, że tak bardzo się martwię.

- Doktor Pilsner chce zaraz widzieć Nikki w izbie przyjęć - oświadczył David. - Lepiej już jedźmy.

W drodze do szpitala oboje starannie unikali mówienia czegokolwiek, co mogłoby sprowokować kłótnię - aż za dobrze znali nawzajem swoje słabości. Nikki także się nie odzywała. Prawie bez przerwy kaszłała.

Doktor Pilsner czekał już na nich. Natychmiast zabrał Nikki do pokoju badań. Kiedy skończył, poprosił Wilsonów, by wyszli z nim na korytarz.

- Nikki musi zostać w szpitalu - powiedział.

- Czy sądzi pan, że to zapalenie płuc? - zapytał David.

- Nie jestem pewien - odrzekł pediatra. - Ale to możliwe. W każdym razie nie chcę ryzykować, szczególnie po tym, co stało się z... - umilkł, nie kończąc zdania.

- Zostanę z nią tutaj - powiedziała do Davida Angela. - Ty idź zrobić swój obchód.

- Dobrze. Gdyby wynikły jakieś problemy, wezwij mnie przez pager.

Pocałował córkę na pożegnanie i obiecał zaglądać do niej w ciągu dnia.

- Jak czuje się pani Hascher? - zapytał Janet Colburn, wchodząc do dyżurki i sięgając po karty swoich pacjentów.

- Jej stan chyba niewiele zmienił się od wczoraj - odparła pielęgniarka. - Jeśli się nie mylę, dziś rano żadna z nas jeszcze jej nie odwiedzała. Od siódmej trzydzieści byłyśmy bardzo zajęte - asystowałyśmy przy operacjach chirurgicznych.

David z wahaniem otworzył kartę Sandry. Zaczął od sprawdzenia wykresu temperatury, nie znalazł tam jednak żadnych nowych notatek.

Ostatni raz, kiedy mierzono jej gorączkę, pacjentka miała niewiele ponad trzydzieści osiem stopni. Przeglądając zapiski pielęgniarek, przeczytał, że za każdym razem, kiedy siostry wchodziły do jej pokoju, Sandra spała.

David westchnął z ulgą. Jak dotąd nie było źle. Przejrzał inne karty i poszedł odwiedzić pacjentów. Wszyscy czuli się dobrze - z wyjątkiem Sandry.

Kiedy David wszedł do jej pokoju, w pierwszej chwili pomyślał, że kobieta nadal śpi, gdy jednak podszedł do łóżka chorej, zauważył, że bez przerwy przetyka ślinę. Delikatnie potrząsnął ramieniem pacjentki, jednocześnie wymawiając głośno jej imię. Nie doczekał się jednak żadnej odpowiedzi. Raz jeszcze spróbował ją obudzić i tym razem chora poruszyła się, unosząc ku twarzy drżącą dłoń. Z ogromnym trudem nieznacznie uniosła powieki. David ponownie potrząsnął jej ramieniem. Sandra otworzyła oczy nieco szerzej, ale gdy spróbowała coś powiedzieć, z jej ust wydobył się jedynie niezrozumiały belkot.

Starając się zachować spokój, David pobrał jej krew i dokładnie przebadał, zwracając szczególną uwagę na płuca i system nerwowy.

Kiedy chwilę później wrócił do dyżurki, czekały już tam na niego wyniki badań Sandry. Wszystko było w normie. Poziom białych krwinek, poprzednio wysoki z powodu ropiejącego zęba, obniżył się pod wpływem antybiotyków, co wykluczało przypuszczenie, iż to właśnie ta infekcja odpowiedzialna jest za obecny stan Sandry. Osluchując klatkę piersiową kobiety, David odkrył u niej jednak początki zapalenia płuc. Zastanawiał się, czy to możliwe, by zawiódł po prostu system immunologiczny.

Po raz kolejny Wilson stanął w obliczu tych samych trzech symptomów: złego funkcjonowania centralnego układu nerwowego, przewodu pokarmowego oraz krwiobiegu

lub

systemu

immunologicznego.

Niestety,

znowu

mógł

jedynie

obserwować

zewnątrzne objawy nieznaney choroby, gdyż przyczyna owych dolegliwości nadal pozostawała dla niego tajemnicą.

Gorączkowo zastanawiał się, co robić. Wiedział, że życie jego

trzydziestoczteroletniej pacjentki wisi na włosku. Nie chciał zwoływać

konsylium, częściowo z powodu sprzeciwu Kelleya, częściowo zaś

dlatego, że w trzech poprzednich, podobnych wypadkach wezwani

lekarze ani trochę mu nie pomogli. A wezwanie konsultantów do Eakinsa

skończyło się wręcz odsunięciem Davida od opieki nad chorym.

Niechętnie myślał również o zleceniu dalszych testów diagnostycznych,

ponieważ już poprzednio na nic się one nie zdały.

- Pacjentka z pokoju 216 ma napad drgawek - krzyknęła nagle jedna

z pielęgniarek.

David wybiegł na korytarz - to przecież właśnie w tym pokoju leżała

Sandra.

Kobieta wiła się w gwałtownych konwulsjach - plecy miała wygięte

w łuk, a jej kończyny poruszały się rytmicznie z taką siłą, że łóżko skakało

po podłodze, wprawiając w drżenie mury budynku. Zdławionym głosem David zażądał środka uspokajającego i gdy tylko podano mu ampulkę, wstrzyknął jej zawartość do kroplówki Sandry. W ciągu kilku minut konwulsje ustały, kobieta zaś zapadła w śpiączkę.

Wilson patrzył na spokojną już teraz twarz pacjentki, czując się tak, jakby wszyscy wokół szydzili z jego lekarskich umiejętności. Postanowił wrócić do dyżurki, by w spokoju zastanowić się, co robić dalej, nie zdążył jednak zrobić nawet kilku kroków, kiedy Sandra ponownie dostała napadu drgawek - tym razem jeszcze silniejszego niż poprzednio.

David zacisnął zęby. Rozpacz ustąpiła miejsca złości. Natychmiast kazał wykonać wszystkie zaniechane wcześniej testy diagnostyczne, zwołał konsylium oraz zlecił analizy laboratoryjne, prześwietlenie płuc, a nawet badanie czaszki aparatem MRI. Za wszelką cenę chciał się dowiedzieć, co dzieje się z Sandra Hascher.

Obawiając się gwałtownego pogorszenia stanu pacjentki, zażądał również przeniesienia jej na oddział intensywnej terapii, aby cały czas monitorować funkcje życiowe jej organizmu. Nie życzył sobie już więcej żadnych niespodzianek.

W ciągu pół godziny wszystkie przygotowania do przenosin zostały zakończone i David osobiście pchał łóżko, na którym spoczywała Sandra. Gdy tylko znaleźli się na oddziale intensywnej terapii, skierował się do dyżurki, by wpisać w kartę Sandry polecenia dotyczące opieki nad nią. Nagle jednak zatrzymał się w pół kroku, oniemiały z przerażenia: na łóżku stojącym dokładnie na wprost niego leżała Nikki.

Stał jak skamieniały, nie mając siły się poruszyć. Nie sądził, że ujrzy córkę na oddziale intensywnej terapii. Z lękiem myślał, co to mogło oznaczać.

Poczuł, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu i odwróciwszy się, ujrzał doktora Pilsnera.

- Widzę, że jest pan przestraszony, widząc Nikki tutaj - powiedział pediatra. - Proszę się jednak uspokoić. Chcę po prostu wykluczyć jakiegokolwiek ryzyko. Jest tu kilka rewelacyjnie wyszkolonych pielęgniarek, świetnie potrafiących zajmować się pacjentami, którzy mają problemy z układem oddechowym.

- Jest pan pewien, że to konieczne? -- zapytał nerwowo David.

Doskonale wiedział, jak pobyt na oddziale intensywnej terapii działa na psychikę pacjentów.

- To dla jej dobra - odparł z przekonaniem pediatra. - Umieściłem ją tutaj jedynie profilaktycznie i obiecuję, że tak szybko, jak to będzie możliwe, przeniesiemy ją gdzie indziej.

- Zgoda - skinął głową David, choć uczucie niepokoju nie opuszczało go ani na chwilę.

Zanim zabrał się do wpisywania w kartę Sandry zaleceń dotyczących leczenia, poszedł porozmawiać z Nikki. Dziewczynka na szczęście ani trochę nie przejmowała się tym, że umieszczono ją na oddziale intensywnej terapii. Wilson poczuł ulgę, że przyjęła ten fakt tak spokojnie.

Usiadł przy biurku w dyżurce i zajął się kartą chorobową

pogrążonej w śpiączce pacjentki. Kończył już wpisywanie swoich uwag, kiedy zawiadomiono go, że czekający w holu pan Kelley natychmiast chce się z nim widzieć.

David poczuł gwałtowny skurcz żołądka. Wiedział, czego chce przełożony, i nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę z nim.

Zlekceważywszy

polecenie

stanięcia

przed

obliczem

Kelleya

„natychmiast”, spokojnie dokończył wypisywanie zaleceń dotyczących

Sandry, po czym wręczył je przełożonej pielęgniarek i dopiero wówczas

wyszedł do holu. Kelley czekał na niego tuż przy drzwiach.

- Jestem rozczarowany - oświadczył bez ogródek na widok Davida. -

Kilka minut temu miałem telefon...

- Chwileczkę! - przerwał mu David podniesionym głosem. - Na

oddziale intensywnej terapii leży moja ciężko chora pacjentka i nie będę

tracił teraz czasu na rozmowy z tobą. Zejdź mi z drogi. Spotkamy się

później. Zrozumiałeś?

Przez kilka sekund obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, po czym

David odwrócił się i poszedł w kierunku sali, w której umieszczono

Sandrę.

- Jedną chwilę, doktorze Wilson! - zawołał Kelley. - Nie tak szybko.

David okręcił się na pięcie i kilkoma susami znalazł się przy przelożonym. Bez żadnego ostrzeżenia chwycił mężczyznę za poły marynarki i silnie pchnął go do tyłu, powodując, że Kelley opadł bezwładnie na stojący za nim klubowy fotel. David zacisnął pięść i pomachał nią przed nosem szefa.

- Żądam, żebyś natychmiast wyniósł się do diabła - warknął. - Jeśli tego nie uczynisz, nie odpowiadam za siebie. Zrozumiano?

Kelley z trudem przełknął ślinę, nie poruszył się jednak. Wilson odwrócił się do niego plecami i odszedł.

- Porozmawiam o tobie z radą nadzorczą! - zawołał za nim wzburzony Kelley.

- Proszę bardzo - powiedział David, nie odwracając się.

Wszedł z powrotem na oddział intensywnej terapii i przystanął na chwilę, czekając, aż jego walące jak młot serce uspokoi się nieco.

Zastanawiał się, co tak naprawdę by zrobił, gdyby Kelley istotnie spróbował stanąć mu na drodze.

- Doktorze Wilson! - zawołała jedna z pielęgniarek. - Mam na linii doktora Mieslicha. Podobno prosił go pan o telefon.

- Mój mąż uczy w college'u - wyjaśniła Madeline Cannon. - Wykłada literaturę i sztukę teatralną.

Calhoun zerknął na liczne wypełnione książkami regały, ustawione wzdłuż ścian biblioteki Cannonów.

- Chętnie bym się z nim kiedyś spotkał - powiedział. - Czytuję bardzo wiele dramatów. Od przejścia na emeryturę stanowi to moje hobby.

Szczególnie podoba mi się Szekspir.

- O czym chciałby pan ze mną porozmawiać? - zapytała Madeline, dyplomatycznie zmieniając temat. Patrząc na Calhouna, miała wątpliwości, czy Bernard chciałby spotkać się z tym człowiekiem.

- Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa doktora Dennisa Hodgesa - wyjaśnił detektyw. - Jak zapewne pani wie, niedawno odnaleziono jego ciało.

- Przerazająca zbrodnia - westchnęła Madeline.

- Mówiono mi, że pracowała pani dla niego przez jakiś czas - powiedział Calhoun.

- Ponad trzydzieści lat - sprecyzowała kobieta.

- Chwaliła pani sobie tę pracę?

- Miała swe blaski i cienie - uśmiechnęła się Madeline. - Hodges był człowiekiem bezkompromisowym, który czasem potrafił zachowywać się nieznośnie. Potrafił upierać się przy czymś jak osioł, a już po chwili stawał się serdeczny i wyrozumiały. Zdarzało się, że jednocześnie uwielbiałam go i nienawidziłam. Wiadomość o odnalezieniu jego ciała mocno mną wstrząsnęła. W duchu żywiłam nadzieję, że po prostu miał już dość Bartlet i uciekł na Florydę. Bardzo często powtarzał, że takuczyni - szczególnie w ciągu kilku ostatnich lat.

- Czy pani wie, kto go zabił? - zapytał Calhoun, rozglądając się za popielniczką. Niestety żadnej nie dostrzegł.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Jednak znając doktora Hodgesa, nie wątpię, że można by podejrzewać o to wiele osób.

- Na przykład kogo?

- Cóż, muszę najpierw wyjaśnić pewną rzecz: szczerze mówiąc, wątpię, by ktokolwiek z ludzi tak często doprowadzanych do furii przez Hodgesa rzeczywiście posunął się do zabójstwa. Podobnie jak sam Hodges nigdy nie spełniłby żadnej z gróźb, jakie bez przerwy kierował pod adresem innych.

- A komuż to groził? - zainteresował się detektyw. Madeline wybuchnęła śmiechem.

- Chyba wszystkim związanym z nową administracją szpitala - odparła. - Jak również szefowi policji, prezesowi lokalnego banku oraz właścicielowi stacji obsługi samochodów. Listę można by ciągnąć w nieskończoność.

- Co miał do zarzucenia Hodges nowej administracji szpitala? - zapytał Calhoun.

- Przede wszystkim stosunek do jego pacjentów - odparła Madeline.

- A raczej jego byłych pacjentów. Doktor Hodges praktykował coraz mniej, odkąd został prezesem zarządu szpitala, potem zaś, kiedy na horyzoncie pojawiło się CMV, zupełnie zaprzestał przyjmowania chorych. Nie martwił się tym jednak, wiedział bowiem, że szpital go potrzebuje, i w imię dobra naszej placówki gotów był zrezygnować z praktyki. Później wszakże jego byli pacjenci zaczęli przychodzić doń ze skargami na opiekę medyczną CMV, żądając, by to on znowu był ich lekarzem. Okazało się to jednak niemożliwe.

- Wygląda na to, że Hodges miał prawo żywić niechęć do CMV -

zauważył Calhoun i zanim Madeline zdążyła odpowiedzieć, zapytał, czy może zapalić. Kobieta nie zgodziła się, ale zaproponowała, że w zamian za to zrobi mu kawę. Calhoun przyjął jej propozycję i oboje przeszli do kuchni.

- Na czym stanęliśmy? - zapytała Madeline, nalewając wody do czajnika.

- Na moim przypuszczeniu, że Hodges miał prawo żywić niechęć do CMV - odparł detektyw.

- A, już pamiętam. Owszem, nie przepadał za CMV, ale miał także za złe szpitalowi, że zgadza się na wszystko, co CMV proponuje.

- Czy gniewały go jakieś konkretne sprawy?

- Całe mnóstwo - przytaknęła Madeline. - Złościło go na przykład to, że chorzy nie mogli udawać się prosto do izby przyjęć szpitala, chyba że zapłacili gotówką za tę wizytę. Innymi słowy: pacjentom nie wolno było przyjeżdżać do szpitala wówczas, kiedy uważali, że tego potrzebują, a jedynie wtedy, kiedy kierował ich tam lekarz. Pamiętam też, że w dniu zniknięcia Hodges był bardzo przygnębiony śmiercią jednego ze swych podopiecznych. Prawdę mówiąc, w krótkim czasie umarło wówczas kilku jego byłych pacjentów. Za każdym razem robił awantury o to, że lekarze CMV nie starali się utrzymać tych chorych przy życiu. Uważał, że są niedouczeni i że szpital ponosi konsekwencje ich niekompetencji.

- Czy pamięta pani nazwisko pacjenta, którego śmierć tak bardzo zmartwiła Hodgesa w dniu, w którym zniknął?

- Oczekuje pan cudu - uśmiechnęła się Madeline, nalewając mu

kawę.

Calhoun wsypał do filiżanki trzy łyżeczki cukru i wlał kilka kropel śmietanki.

- Chwileczkę! Pamiętam - wykrzyknęła nagle Madeline. - Chodziło o Clarka Davenporta. Bez wątpienia o niego!

Calhoun wyciągnął kopie dokumentów, które oboje z Angellą otrzymali w Burlington.

- Jest tutaj - powiedział, wertując formularze. - Clark Davenport.

Pęknięte żebro.

- Tak, tak, to on - Madeline energicznie pokiwała głową. - Ten nieszczęsny człowiek spadł z drabiny, kiedy próbował zdjąć z drzewa jakiegoś kociaka.

- Zechce pani rzucić okiem również na pozostałe nazwiska - poprosił Calhoun, wręczając kobiecie plik dokumentów. - Czy któreś z nich coś pani mówi?

Madeline przejrzała podane jej kartki i uśmiechnęła się.

- Pamiętam wszystkich tych ludzi - oświadczyła. - To ci sami pacjenci, o których wspominałam. Właśnie zła opieka nad nimi tak irytowała doktora Hodgesa. Wszyscy umarli w szpitalu.

- Hmm - mruknął Calhoun, na powrót składając dokumenty. - Moja intuicja podpowiada mi, że ta sprawa wiąże się jakoś ze śmiercią pani szefa.

- Hodges miał również żal do władz szpitala o te napady na parking - dodała Madeline.

- **Czemu to? - zdziwił się detektyw.**

- **Uważał, że administracja powinna zrobić w tej sprawie znacznie więcej, niż zostało uczynione - wyjaśniła kobieta. - Tymczasem bardziej koncentrowano się na tym, by cała rzecz nie przeniknęła do prasy, niż usiłowano złapać gwałciciela. Hodges był przekonany, że bandyta jest pracownikiem szpitala.**

- **Czy miał na myśli kogoś konkretnego?**

- **Dawał do zrozumienia, że tak, ale nie powiedział mi, o kogo mu chodziło.**

- **Czy sądzi pani, że mógł powiedzieć to na przykład swojej żonie?**

- **To możliwe - przytaknęła Madeline.**

- **A czy mógł, pani zdaniem, napomknąć coś na ten temat osobie, którą podejrzewał?**

- **Nie mam najmniejszego pojęcia - wzruszyła ramionami kobieta. -**

Wiem jednak, że chciał porozmawiać o tym z Wayne'em Robertsonem i to pomimo że obaj nie przepadali za sobą. Wiem, że właśnie w dniu swego zniknięcia wybierał się z wizytą do szeryfa.

- **Poszedł w końcu do niego?**

- **Nie - odparła Madeline. - Tego samego dnia dowiedział się o śmierci Clarka Davenporta i zamiast spotkać się z Robertsonem, kazał mi, bym umówiła go na lunch z doktorem Banrym Holsterem, radiologiem. Właśnie dlatego że umawiałam go na to spotkanie, pamiętam nazwisko Clarka Davenporta.**

- **Czemu Hodgesowi tak bardzo zależało na spotkaniu z Holsterem?**

- Doktor Holster był ostatnim lekarzem, który opiekował się

Davenportem.

Calhoun dopił kawę i odstawił filiżankę.

- Jestem pani ogromnie wdzięczny za pomoc - oświadczył, wstając z

krzesła. - Nie mam wprost słów uznania, tak dla tej wyśmienitej kawy, jak

i dla pani doskonałej pamięci.

Madeline Cannon uśmiechnęła się i oblala rumieńcem.

Angela skończyła pracę i korzystając z przerwy na lunch,

przeglądała właśnie jakiś naukowy periodyk, kiedy zadzwonił Dunsmore.

- Cieszę się, że udało mi się ciebie zastać - powiedział.

- Czemu to? - zapytała Angela.

- Wydarzyło się coś niezwykłego. I to dzięki tobie.

- No, mów wreszcie.

- Wszystko przez twoją wczorajszą nie zapowiedzianą wizytę -

oświadczył Walt. - Czy mogłabyś przyjechać do mnie?

- Kiedy?

- Teraz.

Angela była zaintrygowana.

- Czy mógłbyś uchylić choć rąbka tajemnicy i powiedzieć, o co

chodzi?

- Wolalbym ci to raczej pokazać. To naprawdę niezwykle. Będę

musiał opisać to w prasie fachowej lub przynajmniej zreferować na

corocznym

uroczystym

obiedzie,

jaki

wydajemy

dla

naszych

pracowników. Chcę, żebyś tu natychmiast przyjechała. Potraktuj to jako część swojej edukacji.

- Bardzo chciałabym przyjechać do ciebie, ale obawiam się, że doktor Wadley nie wyrazi na to zgody. Nasze stosunki nie są ostatnio zbyt dobre.

- Och, zapomnij o Wadleyu - stwierdził Walt. - To bardzo ważne.

- Trudno ci odmówić - roześmiała się kobieta.

- A więc czekam.

Angela wzięła płaszcz i wyszła z biura, po drodze zaglądając do gabinetu Wadleya. Nie zastała go. Zapytane o szefa sekretarki odparły, że poszedł do Iron Horse Inn na lunch i nie wróci stamtąd przed godziną drugą.

Poprosiła Paula Darnella, by zastąpił ją w razie nagłej potrzeby, mówiąc, że zakład medycyny sądowej zażądał jej natychmiastowego przybycia, dokonano tam bowiem jakiegoś nadzwyczajnego odkrycia, które koniecznie powinna zobaczyć.

Zanim wyruszyła do Burlington, zajrzała także na oddział intensywnej terapii, żeby sprawdzić, jak miewa się Nikki. Ku jej radości, czuła się już o wiele lepiej i była w dobrym nastroju.

Podróż do zakładu medycyny sądowej odbyła w tempie wprost rekordowym.

- Brawo! - zawołał Walt, kiedy wkroczyła do jego gabinetu. Zerkając na zegarek, wstał, by się z nią przywitać. - To się nazywa szybka jazda. Czy możesz mi zdradzić, który z modeli Formuły I posiadasz?

- Muszę przyznać, że twój telefon tak bardzo rozpalił moją ciekawość, że chciałam tu dotrzeć jak najprędzej - powiedziała Angela. - Prawdę mówiąc, nie mam również zbyt wiele czasu.

- Zajmę ci tylko kilka chwil - obiecał Walt, prowadząc ją ku stojącemu obok mikroskopowi. - Chcę, byś najpierw zobaczyła to - powiedział, wskazując na przygotowany do oglądania preparat.

Angela pochyliła się i spojrzała w okular. Ujrzała wycinek skóry z tkwiącymi w nim czarnymi drobinami. - Wiesz, co to jest? - zapytał Walt.

- Chyba tak - odrzekła. - To musi być tkanka pobrana spod paznokci Hodgesa.

- Owszem - przytaknął Walt. - Widzisz węgiel? - Tak.

- W porządku. A teraz spójrz na to.

Angela podniosła wzrok znad mikroskopu i wzięła do rąk podane jej przez mężczyznę zdjęcie.

- To mikrofotografia zrobiona podczas badania mikroskopem elektronowym - wyjaśnił Walt. - Zauważ, że te czarne drobinki nie wyglądają już jak węgiel.

Angela uważnie przyjrzała się zdjęciu. Istotnie, Walt miał rację.

- A teraz popatrz tutaj - powiedział mężczyzna, wręczając jej wydruk

Z

komputera.

-

To

wyniki

badania

wykonanego

atomowym

spektrofotometrem. Zanurzyłem te drobinki w rozpuszczalniku

kwasowym, po czym poddałem je analizie. Potwierdziła ona, że nie mamy

do czynienia z węglem.

- A zatem z czym? - zapytała Angela.

- Z mieszaniną chromu, kobaltu, kadmu i rtęci - odparł triumfalnie

Walt.

- Wspaniałe odkrycie - powiedziała z podziwem kobieta, choć nadal

nie rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi. - Co to oznacza?

- Byłem tym równie zaskoczony jak ty - odparł Walt. - Także nie

miałem pojęcia, co to może znaczyć. Zacząłem nawet myśleć, że może

spektrofotometr się popsuł, ale potem nagle znalazłem rozwiązanie: to

fragment tatuażu!

- Jesteś pewien? - zapytała Angela.

- Absolutnie tak - potwierdził Walt. - Właśnie takich pigmentów

używa się do robienia tatuaży.

Angeli także udzieliło się podniecenie Dunsmore'a. Udało się

dokonać wielkiego odkrycia związanego z mordercą: ten człowiek był wytatuowany. Nie mogła wprost doczekać się chwili, kiedy powie o tym Davidowi i Calhounowi.

Po powrocie do Bartlet poszła prosto do Paula Darnella.

Współpracownik czekał na nią nieco zdenerwowany.

- Mam złe wieści - powiedział. - Wadley wie, że opuszczałaś miasto, i jest z tego powodu wściekły.

- Skąd się dowiedział? - zapytała Angela.

Darnell był jedyną osobą, której mówiła, dokąd jedzie.

- Sądzę, że cię śledził - odparł mężczyzna. - To jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy. Przyszedł tu do mnie piętnaście minut po twoim wyjściu.

- Sądziłam, że poszedł na lunch - westchnęła Angela.

- Tak właśnie wszystkim powiedział - skinął głową Darnell. - Ale najwidoczniej nie uczynił tego. Zapytał mnie wprost, czy wyjechałaś z Bartlet. Nie mogłem kłamać, musiałem mu powiedzieć...

- Czy zaznaczyłeś, że pojechałam do zakładu medycyny sądowej? - zapytała Angela.

- Tak - odparł Darnell.

- W takim razie wszystko powinno być w porządku. Dziękuję, że mnie uprzedziłeś.

- Powodzenia - uśmiechnął się blado mężczyzna.

Gdy tylko Angela znalazła się w swojej pracowni, sekretarka zawiadomiła ją, że ma się natychmiast stawić w gabinecie Wadleya.

Odmiana w zachowaniu przełożonego zdumiała ją. Wadley nigdy wcześniej nie kontaktował się z nią za pośrednictwem osób trzecich.

- Powiedziano mi, że chcesz mnie widzieć - powiedziała, wchodząc do gabinetu szefa. Mężczyzna uniósł wzrok z nad leżących na biurku papierów i zmierzył ją lodowatym spojrzeniem.

- Owszem - skinął głową. - Pragnę poinformować cię, że zostajesz zwolniona. Będę wdzięczny, jeśli natychmiast zabierzesz wszystkie rzeczy i wyniesiesz się stąd. Twoja obecność może być złym przykładem dla innych i nikt już nie będzie przestrzegał dyscypliny pracy.

- Nie mogę wprost uwierzyć w to, co mówisz! - Angela ze zdumieniem popatrzyła na przełożonego.

- Mimo to tak właśnie jest - odparł twardo Wadley.

- Jeśli masz mi za złe, że opuściłam szpital w czasie przerwy na lunch, powinieneś wiedzieć, że udałam się w tym czasie do Burlington i odwiedziłam zakład medycyny sądowej - powiedziała Angela. - Walt Dunsmore zadzwonił do mnie i poprosił, bym przyjechała do niego tak szybko, jak to możliwe.

- Doktor Walter Dunsmore nie kieruje tym oddziałem - stwierdził Wadley. - A ja tak.

- Czy on nie dzwonił do ciebie? - zapytała kobieta, czując, że ogarniają rozpacz. - Powiedział mi, że to uczyni. Był ogromnie poruszony pewnym odkryciem, dotyczącym odnalezionych w moim domu zwłok. - Angela szybko zrelacjonowała przełożonemu szczegóły swojej wizyty w Burlington, ale Wadley pozostał niewzruszony. - Spóźniłam się zaledwie

kilka minut - dodała na koniec.

- Nie interesują mnie żadne usprawiedliwienia. Ostrzegalem cię wczoraj, że nie będę tolerował niepunktualności, a ty już dzisiaj zrobiłaś to samo. Zlekceważyłaś moją prośbę i wprost demonstracyjnie starasz się być nieposłuszna i niewdzięczna.

- Niewdzięczna! - wybuchnęła Angela. - Niewdzięczna za twoje niesmaczne umizgi? Za nie chciany wyjazd do Miami na „weekend pełen słońca i radości”, jak to określiłeś? Możesz mnie zwolnić, doktorze Wadley, ale ostrzegam, że wówczas oskarżę cię o seksualne molestowanie, szpital zaś o to, że pozwolił ci wziąć na mnie odwet za złożenie skargi w tej sprawie.

- Tylko spróbuj, młoda damo - warknął Wadley. - Każdy sąd cię wyśmieje.

Opuszczając biuro Wadleya, Angela trzęsła się ze złości. Kiedy przechodziła przez sekretariat, siedzące tam kobiety obrzuciły ją zaciekawionym spojrzeniem.

Weszła do swego pokoju i zaczęła pakować rzeczy. Nie było ich wiele: prawie całe wyposażenie gabinetu należało do szpitala. Pośpiesznie wrzuciła zawartość szuflad do płóciennej torby i natychmiast opuściła pokój, bojąc się, że w każdej chwili może stracić panowanie nad sobą: nie miała zamiaru dostarczać Wadleyowi satysfakcji, że doprowadził ją do łez.

Zamierzała pójść prosto do Davida, w ostatniej chwili zmieniła jednak plan. Po ostatniej kłótni z mężem bała się jego reakcji na

wiadomość, że straciła pracę. Nie zniósłaby żadnej sprzeczki z nim na terenie szpitala. Postanowiła wobec tego pojechać do miasta.

Mijając gmach biblioteki, zahamowała i zawróciła, na parkingu za budynkiem dostrzegła bowiem charakterystyczną sylwetkę furgonetki Calhouna.

Wysiadła z samochodu, zastanawiając się, gdzie też mógł podziać się detektyw. Postanowiła zajrzeć do biblioteki, pamiętała bowiem, że Calhoun wspominał, iż zna osobę, która tam pracuje.

Odnalazła detektywa czytającego coś przy niewielkim stoliku.

- Dzień dobry, panie Calhoun - szepnęła. Mężczyzna podniósł wzrok.

- Miło mi panią widzieć - odparł również szeptem i uśmiechnął się. - Mam dla pani pewne nowiny.

- Obawiam się, że ja także mam pewne nowiny - westchnęła Angela.

- Co by pan powiedział na zaproszenie do mojego domu?

- Miałem właśnie nadzieję, że pani to uczyni - odrzekł szczerze detektyw.

Angela dotarła do domu pierwsza. Kiedy po chwili na podwórku pojawiła się furgonetka Calhouna, w czajniku bulgotała już woda, a na stole stały przygotowane filiżanki.

- Kawa czy herbata? - zapytała, gdy detektyw wszedł do kuchni.

- Wszystko jedno - odparł Calhoun.

Angela sięgnęła po czajniczek i zajęła się nalewaniem esencji.

Postawiła też na stole słoik miodu do słodzenia herbaty.

- Wcześniej pani wyszła dzisiaj z pracy - zauważył mężczyzna.

Niewinna uwaga detektywa sprawiła, że tłumione od chwili rozmowy z

Wadleyem emocje wzięły górę i Angela, ukrywając twarz w dłoniach,

zaczęła rozpaczliwie łkać. Calhoun patrzył na nią zdumiony, nie wiedząc,

czym doprowadził gospodynię do łez.

- Przepraszam - szepnął na wszelki wypadek, patrząc na szlochającą

kobietę. - Nie wiem, co takiego pani zrobiłem, ale bardzo przepraszam.

Angela podeszła doń, objęła go ramieniem i przytuliła mokrą od łez

twarz do jego piersi. Mężczyzna niezdarnie pogładził ją po włosach. Kiedy

w końcu przestała łkać, Calhoun poprosił, by powiedziała mu, co

wprawilo ją w taką rozpacz.

- Chyba zamiast herbaty wypiję trochę wina - stwierdziła Angela.

- Ja zaś chętnie napiłbym się piwa - wyznał detektyw.

Usiedli przy kuchennym stole i Angela opowiedziała gościowi o

wyrzuceniu jej z pracy. Wyjaśniła też, jak fatalne skutki będzie to miało

dla jej rodziny.

Okazało się, że detektyw potrafi być doskonałym słuchaczem.

Dzięki rozmowie z nim Angela poczuła się o wiele lepiej. Zwierzyła się

nawet ze swoich obaw dotyczących Nikki, po czym zmieniając temat,

zapytała o postępy w śledztwie.

- Na pewno jest pani jeszcze zainteresowana tą sprawą? - upewnił

się Calhoun.

- Ależ jestem - zapewniła go Angela, ocierając oczy kuchenną

ściereczką. - Proszę mi powiedzieć, czego się pan dowiedział.

- Po pierwsze odkryłem, co łączyło ze sobą owych ośmiu chorych, których dokumenty Hodges miał przy sobie w chwili śmierci. Wszyscy oni byli kiedyś jego pacjentami, później zaś zostali przekazani pod opiekę CMV. Wszyscy też umarli w ciągu miesiąca poprzedzającego zamordowanie lekarza. Najwyraźniej każdy z tych zgonów stanowił dla Hodgesa całkowite zaskoczenie i to właśnie doprowadzało go do takiej furii.

- Czy winił za śmierć tych ludzi szpital lub CMV?

- Dobrze pytanie - stwierdził Calhoun. - Owszem. Jego sekretarka twierdzi, że obciążał odpowiedzialnością obie te instytucje, przede wszystkim jednak kierował swe zastrzeżenia pod adresem szpitala. Jest w tym pewna logika: wciąż uważał tę placówkę za swoje dziecko. Dlatego właśnie tak bardzo bolało go, że chorzy nie znajdują tam właściwej opieki medycznej.

- Czy to pomoże panu ustalić, kto go zabił?

- Prawdopodobnie nie - westchnął Calhoun. - Odkryłem tylko kolejny element łamigłówki. Dowiedziałem się przy tym czegoś jeszcze: Hodges uważał, że zna tożsamość gwałciciela z parkingu. Co więcej, twierdził, że ten człowiek jest pracownikiem szpitala.

- Rozumiem, do czego pan zmierza - skinęła głową Angela. - Jeśli gwałciciel wiedział, że Hodges go podejrzewa, miał powód, by go zabić. Innymi słowy, gwałciciel i morderca lekarza może być jedną i tą samą osobą.

- Dokładnie tak - potwierdził Calhoun. - A także tym, kto ostatniej

nocy próbował zabić panią.

Angela poczuła, że po jej plecach przebiega zimny dreszcz.

- Niech mi pan o tym nie przypomina - poprosiła. - Ja też

dowiedziałam się dzisiaj czegoś szczególnego na temat mordercy - dodała

po chwili. - Powinno to znacznie ułatwić panu odnalezienie go: ten

człowiek jest wytatuowany.

- Skąd pani to wie? - zdziwił się Calhoun.

Angela opowiedziała detektywowi o swojej podróży do Burlington,

dodając, że Walter Dunsmore jest absolutnie pewien, iż pod paznokciami

Hodgesa znaleziono skrawki pokrytej tatuażem skóry zabójcy.

- Do licha! - zawołał z podziwem Calhoun. - Podoba mi się to.

Kiedy kolejna pielęgniarka z drugiego piętra zadzwoniła z

pytaniem, czy mogłaby zostać przyjęta, ponieważ prawdopodobnie

zaraziła się gripą, David natychmiast kazał jej przyjść do swego gabinetu.

Kobieta była ogromnie zdziwiona, że nie musi opisywać objawów swojej

choroby, ponieważ lekarz uczynił to za nią: były takie same jak jego

własne, tyle że nieco słabsze. Temperatura jej ciała wynosiła trzydzieści

osiem i pół stopnia.

- Czy odczuwa pani także wzmożone wydzielanie się śliny? - zapytał

David.

- Owszem - przytaknęła pielęgniarka. - Nigdy wcześniej nic takiego

mi nie dolegało.

- Mnie też nie - mruknął pod nosem lekarz.

Nakazał kobiecie, żeby pojechała do domu i odpoczęła, polecił

także, by piła dużo płynów i wzięła jakiś lek przeciwgorączkowy.

Przyjawszy ostatniego z umówionych na ten dzień pacjentów, David udał się do szpitala na obchód. W ciągu dnia kilkakrotnie zaglądał do Nikki i Sandry, nie oczekiwał zatem żadnych niespodzianek.

Córka bardzo ucieszyła się na jego widok. Dzięki antybiotykom i inhalacjom czuła się już całkiem dobrze. To, że znajdowała się na oddziale intensywnej terapii, ani trochę jej nie przygnębiało. Mimo to David z radością przyjął wiadomość, że następnego ranka dziewczynka ma zostać przeniesiona na inny oddział.

Z Sandrą, niestety, sytuacja wyglądała odwrotnie niż z Nikki: stan jej zdrowia stale się pogarszał. Ani na chwilę nie obudziła się ze śpiączki, wezwani zaś na konsultację lekarze nie okazali się ani trochę pomocni. Hasselbaum zapewnił, że kobieta nie cierpi na żadną chorobę zakaźną, onkolog zaś po prostu wzruszył ramionami, stwierdzając, że nie ma tu nic do roboty. Upierał się tylko, że w przypadku Sandry leczenie czerniaka dało bardzo dobre rezultaty. Minęło już sześć lat od wystąpienia pierwszych objawów tej choroby i chirurgicznego usunięcia tkanki nowotworowej wraz z kilkoma przerzutami na węzły chłonne.

David usiadł przy biurku w dyżurce oddziału intensywnej terapii i uważnie przejrzał kartę Sandry. Badanie czaszki aparatem MRI nie wykazało żadnych nieprawidłowości: w mózgu nie dopatrzone zostały ani przerzutów, ani stanu zapalnego. Zajrzawszy do wyników badań laboratoryjnych, przekonał się, że nie wykonano jeszcze wszystkich zleconych przez niego analiz. Wiedział, że na niektóre przyjdzie mu

zapewne dość długo poczekać, zażądał bowiem, by wykonano posiew ze wszystkich płynów organicznych. Mimo iż konsylium lekarzy wykluczyło jakąkolwiek

chorobę

zakaźną,

David

zlecił

także

wykonanie

skomplikowanych badań tych płynów na obecność wirusów, co wymagało użycia najnowocześniejszego sprzętu biotechnologicznego.

Nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby zrobić. Jediną rzeczą, jaka przychodziła mu do głowy, było przeniesienie Sandry do jednej z dużych klinik w Bostonie. Wiedział jednak, że CMV nie zgodzi się na to ze względu na wysokie koszty, on sam zaś, na własną rękę, także nie mógł tego zrobić.

Zastanawiając się nad stanem Sandry, nie od razu zauważył, że do dyżurki wszedł Charles Kelley. Jego wizyta zdziwiła Davida: szpitalni biurokraci trzymali się zwykle z dala od miejsc takich jak oddział intensywnej terapii, gdzie trzeba było stykać się z cierpiącymi na ciężkie, czasem śmiertelne choroby pacjentami. Zwykle woleli siedzieć w swoich gabinetach, myśląc o leczonych w szpitalu ludziach jako o czymś abstrakcyjnym.

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam - powiedział Kelley ze

złowieszczym uśmieszkiem na ustach.

**- Ostatnio przeszkadzasz mi za każdym razem, gdy cię widzę -
odparł David.**

**- Przykro mi - stwierdził obojętnie mężczyzna. - Mam jednak dla
ciebie pewną wiadomość: od tej chwili nie jesteś już tu potrzebny.**

- Chcesz odebrać mi opiekę nad Sandrą Hascher? - zapytał David.

**- Owszem - powiedział z satysfakcją Kelley, a jego uśmiech stał się
jeszcze szerszy. - Podobnie jak nad wszystkimi innymi pacjentami.**

Zostałeś zwolniony. Nie pracujesz już dla CMV.

Wilson otworzył usta ze zdumienia. Czuł się ogłuszony. W

**oszołomieniu patrzył na swego szefa, który pomachawszy mu ręką, tak
jak macha się na pożegnanie dzieciom, wyszedł z dyżurki. Upłynęło kilka**

sekund, zanim David poderwał się zza biurka i wybiegł na korytarz.

**- A co z tymi wszystkimi pacjentami, do których właśnie miałem iść
na obchód? - zawołał.**

Kelley znajdował się już w drugim końcu korytarza.

- To zmartwienie CMV, nie twoje - odparł, nie odwracając się.

**- Czy to ostateczna decyzja? - upewnił się David. - Czy też tylko
czasowe zawieszenie w czynnościach służbowych?**

**- To decyzja ostateczna, mój przyjacielu - powiedział Kelley,
znikając za zakrętem.**

**David był zupełnie zdruzgotany. Nie mógł uwierzyć, że rzeczywiście
go zwolniono. Załamany opadł na to samo krzesło, na które rano
popchnął Kelleya.**

Z niedowierzaniem potrzęsła głową. To była jego pierwsza w życiu poważna praca, a on utrzymał się w niej zaledwie przez cztery miesiące. Pomyślał o wynikających z tego konsekwencjach dla jego rodziny i poczuł, że przebiega go zimny dreszcz. Nie wiedział, jak powie o tym Angeli. Cóż za ironia losu: zaledwie dzień wcześniej ostrzegł ją, by w żadnym wypadku nie ryzykowała utraty pracy. A teraz to on sam został wyrzucony.

Z miejsca gdzie siedział, zauważył nagle wchodzącą na oddział intensywnej terapii żonę. Przez chwilę nie mógł wykonać najlżejszego ruchu. Bał się spojrzeć jej w oczy. W końcu jednak wstał i ruszył w ślad za Angelą. Zastał ją pochyloną nad łóżkiem Nikki.

Na widok męża Angela skinęła głową, ani na chwilę nie przerywając rozmowy z córką. Oboje Wilsonowie unikali nawzajem swego wzroku.

- Czy będę mogła zobaczyć się z Caroline, kiedy opuszczę już oddział intensywnej terapii? - zapytała dziewczynka.

David i Angela wymienili szybkie spojrzenia. Żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć.

- Czy już jej tu nie ma? - dopytywała się Nikki.

- Nie ma - powtórzyła jak echo Angela.

- A więc wypisano ją do domu! - zawołała z rozżaleniem dziewczynka, a jej oczy wypełniły się łzami. Miała wielką nadzieję, że zobaczy się z Caroline, gdy tylko zostanie przeniesiona do zwykłej szpitalnej sali.

- Może za to Arni złoży ci wizytę - odezwał się David.

Nikki nie odpowiedziała. Rozczarowanie sprawiło, że zupełnie straciła humor. Ani David, ani Angela nie mieli odwagi powiedzieć jej prawdy.

Oboje starali się pocieszyć córkę, wkrótce jednak musieli pożegnać ją i opuścić szpital. W drodze na parking rozmawiali o Nikki - z ulgą skonstatowali, że stan jej zdrowia znacznie się poprawił. Byli zdania, że nastrój córki także się polepszy, gdy tylko zostanie przeniesiona na inny oddział.

Wracając do domu, Angela jechała bardzo powoli, nie chcąc ani na chwilę stracić z oczu pedałującego na rowerze Davida.

Po kolacji, nie odzywając się do siebie ani słowem, usiedli w bawialni, żeby obejrzeć wieczorne wiadomości, i dopiero gdy zgasili telewizor, David odchrząknął nerwowo i zebrał się na odwagę, by powiedzieć żonie o wydarzeniach, które miały miejsce tego dnia.

- Obawiam się, że mam złe nowiny - oznajmił. - Doprawdy nie wiem, jak ci to powiedzieć... Dziś po południu wyrzucono mnie z pracy. - Umilkł, dostrzegając na twarzy Angeli niebotyczne zdumienie. Odwrócił oczy. - Przykro mi. Doskonale zdaję sobie sprawę, jak to komplikuje naszą sytuację. Sam nie wiem, co powiedzieć. Być może nie nadaję się do zawodu lekarza.

- Davidzie... - zaczęła Angela, biorąc głęboki wdech i kładąc mężowi dłoń na ramieniu. - Mnie także dzisiaj zwolniono.

David popatrzył na żonę z osłupieniem.

- Zwolniono cię? - powtórzył z niedowierzaniem. Kobieta skinęła

głową.

Oboje jednocześnie wyciągnęli ramiona, objęli się mocno i siedzieli tak przez chwilę, sami nie wiedząc, czy powinni śmiać się, czy płakać.

- Co za dzień - westchnął w końcu David.

- Co za zbieg okoliczności - dodała Angela.

Każde z nich opowiedziało ze szczegółami o swoim zwolnieniu z

pracy, przy okazji zaś Angela poinformowała męża o ostatnim odkryciu

Walta i swoim nie zaplanowanym spotkaniu z Calhounem.

- On uważa, że ten tatuaż pomoże mu odnaleźć mordercę.

- To świetnie - odparł David. Wciąż nie podzielał entuzjazmu, z

jakim żona zajmowała się tą sprawą, zwłaszcza że w ich życiu nastąpiły tak poważne komplikacje.

- Calhoun również poczynił pewne interesujące odkrycia -

stwierdziła Angela i opowiedziała mężowi o teorii detektywa, iż szpitalny gwałcieł i morderca Hodgesa to jedna i ta sama osoba.

- Interesujące - skinął głową David, błędząc myślami zupełnie gdzie indziej. Zastanawiał się, w jaki sposób zdołają stawić czoło czekającym ich kłopotom.

- Jeszcze jedno: czy pamiętasz te dokumenty, które znaleziono obok ciała Hodgesa? Były to karty chorobowe niektórych jego dawnych pacjentów. Calhoun dowiedział się, co łączyło ze sobą tych ludzi: wszyscy oni umarli podczas pobytu w szpitalu, a ich śmierć stanowiła dla lekarza zupełne zaskoczenie.

- Co to znaczy „stanowiła zaskoczenie”? - zapytał David, nagle

zainteresowany słowami żony.

- To znaczy, że nie spodziewał się ich zgonów. Leczył tych ludzi, zanim przeszli pod opiekę CMV, i winił tę organizację oraz szpital za ich śmierć.

- Czy wiesz, na co chorowali?

- Znam tylko diagnozy, na podstawie których przyjęto ich do szpitala - odparła Angela. - Czemu cię to interesuje?

- Mnie przecież także zupełnie niespodziewanie umarło kilku pacjentów - powiedział David.

Umilkli oboje, rozmyślając o tym, co spotkało ich tego dnia.

- Co teraz zrobimy? - zapytała w końcu Angela.

- Nie wiem. Na pewno stąd wyjedziemy, ale nie mam pojęcia, jak wybrniemy z długu hipotecznego ciężącego na domu. Niewykluczone, że będziemy musieli ogłosić bankructwo. Trzeba porozmawiać z jakimś prawnikiem. Pozostaje także pytanie, czy chcemy pozwać do sądu naszych pracodawców.

- Ja nie mam co do tego żadnych wątpliwości - oświadczyła Angela. -

Zamierzam wysunąć oskarżenie o molestowanie seksualne oraz złośliwe szykanowanie mnie w pracy. Nie pozwolę, by ten podły postępek uszedł Wadleyowi na sucho.

- Nie wiem, czy oboje nadajemy się do wytaczania komukolwiek procesów - wyraził wątpliwość David. - Może powinniśmy dać sobie z tym spokój. Nie mam ochoty ugrzęznąć w jakiejś ciągnącej się latami sądowej przepychance.

- Nie podejmujemy jeszcze na razie decyzji - zaproponowała Angela, sięgając po słuchawkę telefonu.

Zadzwonili na oddział intensywnej terapii i dowiedzieli się, że Nikki czuje się doskonale; nadal nie miała gorączki.

- To nic, że oboje straciliśmy pracę - uśmiechnął się David. - Póki nasza córka będzie zdrowa, na pewno damy sobie radę.

Rozdział 22

Piątek, 29 października

Po raz kolejny Wilsonowie spali źle. Zgodnie ze swym zwyczajem, David obudził się na długo przed świtem i choć był wyczerpany, w przeciwieństwie do poprzedniego poranka nie czuł się już chory.

Nie budząc żony, zszedł do bawialni, aby w spokoju zastanowić się nad ich sytuacją finansową. Zaczął sporządzać listę rzeczy do zrobienia oraz ludzi, do których powinien zadzwonić, na samym początku umieszczając sprawy najpilniejsze i najważniejsze. Uważał, że ich obecne kłopoty wymagają skrupulatnego i wnikliwego przemyślenia.

W jakiś czas później w drzwiach pokoju stanęła otulona szlafrokiem Angela. W ręku ścisnęła papierową chusteczkę - widać było, że płakała.

- Co teraz zrobimy? - zaskładała, a po jej twarzy popłynęły łzy. - W naszym życiu znowu zapanuje chaos...

David próbował ją uspokoić, pokazując swoją listę, odepchnęła go jednak, twierdząc, że jest bezduszny i pozbawiony uczuć.

- Twój głupi spis niczego nie rozwiąże!

- Za to twoje histeryczne szloch z pewnością tak - odciął się David.

Na szczęście żadne z nich nie chciało przedłużyć kłótni. Zdawali sobie sprawę, że są bardzo zdenerwowani. Mieli też świadomość, że oboje w równym stopniu ponoszą winę za zaistniałą sytuację.

- Co zatem zrobimy? - raz jeszcze powtórzyła swe pytanie Angela.

- Po pierwsze, pojedziemy do szpitala zobaczyć, jak czuje się Nikki - odrzekł David.

- Dobrze - zgodziła się. - Przy okazji będę też mogła porozmawiać z Helen Beaton.

- Popelniasz błąd - ostrzegł ją David.

- Chcę być pewna, że ta kobieta wie, iż złożyłam skargę na Wadleya o seksualne molestowanie - upierała się Angela.

Pośpiesznie zjedli śniadanie i wsiedli do samochodu. Oboje czuli się dziwnie, jadąc do szpitala nie po to, by zająć się swoją pracą. Zostawili volvo na parkingu i udali się prosto na oddział intensywnej terapii.

Nikki czuła się dobrze i czekała właśnie na przeniesienie na inny oddział. Choć jej nastrój od poprzedniego dnia wyraźnie się polepszył, nocna zmiana pielęgniarek nie była już tak biegła w prowadzeniu terapii oddechowej i dziewczynka niewiele spała.

Przybyły doktor Pilsner potwierdził, że Nikki zostanie przeniesiona do zwykłej sali szpitalnej, gdy tylko pojawi się ktoś, kto będzie mógł ją tam przetransportować.

- Kiedy, pana zdaniem, będzie mogła wrócić do domu? - zapytała Angela.

- Jeśli stan jej zdrowia nadal będzie się poprawiał, to już za kilka

dni - odparł pediatra. - Muszę jednak upewnić się, że nie grozi jej nawrót choroby.

Po wyjściu lekarza David został z Nikki, Angela natomiast udała się do biura Helen Beaton.

- Czy mógłbyś zadzwonić do Caroline i poprosić ją o przyniesienie mi lekcji? - poprosiła ojca dziewczynka.

- Zajmę się tym - obiecał David. Nadal nie miał odwagi powiedzieć córce o śmierci przyjaciółki.

Zauważył, że na stojącym nieopodal łóżku Sandry leży teraz jakiś starszy mężczyzna. Musiało upłynąć jeszcze pół godziny, nim poczuł się na siłach, by podejść do dyżurnej pielęgniarki i zapytać o swoją pacjentkę.

- Sandra Hascher umarła dziś około trzeciej nad ranem - odparła pielęgniarka takim tonem, jakby mówiła o pogodzie. Pracując na oddziale intensywnej terapii, przywykła do częstych zgonów pacjentów.

W przeciwieństwie do pielęgniarki, David nie potrafił przyjąć tej wiadomości ze spokojem. Lubił Sandrę i teraz z wielkim współczuciem myślał o jej rodzinie - szczególnie o osieroconych dzieciach. W ciągu dwóch tygodni stracił aż sześciu pacjentów. Zastanawiał się, czy nie pobił czasem w ten sposób rekordu szpitala. Być może CMV postąpiło słusznie, wyrzucając go z pracy.

Obiecawszy Nikki, że oboje z Angelą przyjdą do niej później, kiedy zostanie już przeniesiona do normalnej sali, ruszył ku biurom administracji. Chciał towarzyszyć żonie w rozmowie z Helen Beaton.

Ledwie jednak wszedł do holu, zobaczył Angelę ze wzburzeniem

zatrzaszkującą za sobą drzwi gabinetu dyrektora administracyjnego

szpitala - była tak rozgniewana, że jej ciemne oczy zdawały się miotać

błyskawice. Z zaciśniętymi ustami minęła Davida, ani trochę nie

zwalniając kroku. Mężczyzna musiał niemal biec, żeby ją dogonić.

- Chyba nie powinienem pytać, jak ci poszło - westchnął, kiedy

znaleźli się na parkingu.

- To było straszne - drżącym głosem powiedziała Angela. - Beaton

podtrzymała decyzję Wadleya. Kiedy wyjaśniłam jej, że u podłoża całej tej

sprawy leży molestowanie seksualne, zaprzeczyła, jakoby coś takiego w

ogóle wchodziło w grę.

- Jak mogła temu zaprzeczyć, skoro rozmawiałaś o tym już

wcześniej z doktorem Cantorem? - zdziwił się David.

- Powiedziała, że pytała Wadleya i ten stwierdził, że w żadnym

wypadku nie napastował mnie seksualnie. Ten drań posunął się nawet do

tego, by sugerować, że to ja próbowałam go uwieść.

- To typowe zachowanie w takich przypadkach - pokiwał głową

David. - Oskarża się ofiarę, żeby usprawiedliwić własne postępowanie.

- Beaton powiedziała, że mu wierzy - ciągnęła Angela. - Stwierdziła,

że jest to człowiek o nieposzlakowanej opinii, ja zaś wymyśliłam całą

historię, żeby zemścić się na nim za to, że odrzucił moje umizgi.

Po powrocie do domu usiedli przygnębieni w bawialni, rozmyślając,

co powinni teraz uczynić. Obojgu nie przychodził do głowy żaden pomysł.

Pisk opon hamującego na zwirowym podjeździe samochodu

przerwał przytłaczającą ciszę. Była to furgonetka Calhouna. Detektyw

zgasił silnik i podszedł do tylnych drzwi. Angela wstała, by mu otworzyć.

- Kupiłem trochę świeżych fistaszków, by uczcić pierwszy dzień pani wakacji - powiedział, wchodząc do kuchni i siadając przy stole. - Byłbym wdzięczny, gdyby poczęstowała mnie pani filiżanką kawy.

W tym samym momencie w drzwiach kuchni stanął David.

- Och, dzień dobry - wyjąkał Calhoun, z zaskoczeniem zerkając to na Angelę, to na jej męża.

- Wszystko w porządku - uśmiechnął się David. - Ja także mam „wakacje”.

- Bez żartów! - detektyw uniósł brwi. - Całe szczęście, że kupiłem tych orzechów tak dużo.

Obecność Calhouna oraz gorąca, świeżo zaparzona kawa podziałały na nich jak kojący balsam. Odprężyli się nawet do tego stopnia, że śmiali się, gdy opowiadał im o zabawnych wydarzeniach, jakich był świadkiem, pracując w policji. Dobry nastrój trwał aż do chwili, gdy Calhoun oświadczył, że czas wracać do pracy.

- Teraz - powiedział, niecierpliwie zacierając ręce - wystarczy tylko znaleźć kogoś z uszkodzonym tatuażem, kto nie lubił Hodgesa. W takim małym mieście jak Bartlet nie powinno to stanowić problemu.

- Jest jednak pewien kłopot - odezwał się David. - Ponieważ oboje zostaliśmy bez pracy, nie możemy już dłużej pana zatrudniać.

- Proszę tak nie mówić - przeraził się Calhoun. - Chce pan zrezygnować akurat teraz, kiedy cała sprawa stała się tak interesująca?

- Bardzo nam przykro - rozłożył ręce David. - Musimy nie tylko

zrezygnować z pana usług, wkrótce przyjdzie nam zapewne opuścić

Bartlet. Jediną dobrą stroną naszych kłopotów jest to, że przynajmniej raz na zawsze uwolnimy się od sprawy Hodgesa.

- Chwileczkę - przerwał mu detektyw. - Niech pan nie podejmuje pochopnych decyzji. Mam pewien pomysł: będę pracował za darmo. Co pan na to? Dla mnie to kwestia honoru i reputacji. Być może też uda się dzięki temu schwytać szpitalnego gwałciciela.

- To bardzo wspaniałomyślnie z pana strony... - zaczął David, Calhoun jednak nie pozwolił mu dokończyć.

- Przystąpiłem już do kolejnej fazy śledztwa - oświadczył. - Od barmana z Iron Horse Inn dowiedziałem się, że kilku tutejszych policjantów, między innymi Robertson, ma tatuaże. Udałem się więc na posterunek i uciąłem sobie z szeryfem małą pogawędkę. Robertson był uszczęśliwiony, mogąc pokazać mi swój tatuaż. Ma go na piersi i jest z niego naprawdę dumny. To wizerunek olbrzymiego orła, trzymającego szarfę z napisem: „W Bogu pokładamy ufność”. Niestety - a może na szczęście, to zależy od punktu widzenia - tatuaż ten nie jest w najmniejszym nawet stopniu uszkodzony. Skorzystałem też z okazji, by zapytać Robertsona o ostatni dzień życia Hodgesa. Potwierdził to, co mówiła Madeline Cannon: Hodges zamierzał się z nim spotkać, ale potem odwołał wizytę. Czuję jednak, że jesteśmy na dobrym tropie. Kluczem do całej sprawy może okazać się Clara Hodges. Wprawdzie jej małżeństwo znajdowało się już wówczas na krawędzi rozpadu, ale mimo to ona i mąż często ze sobą rozmawiali. Mam wrażenie, że od chwili kiedy zamieszkali

z dala od siebie, ich stosunki znacznie się poprawiły. Tak czy owak, dzwoniłem do niej dziś rano i umówiłem się na spotkanie - dodał, zerkając na Angelę.

- Sądziłem, że przeniosła się do Bostonu - powiedział David.

- Owszem - przytaknął Calhoun. - Miałem nadzieję, że Angela i ja, a teraz może nawet wszyscy troje moglibyśmy do niej pojechać.

- Nadal uważam, że powinniśmy dać tej sprawie spokój, szczególnie w świetle ostatnich wydarzeń. Jeśli zaś pan ma ochotę kontynuować śledztwo, proszę robić to wyłącznie na własną rękę.

- Może nie powinniśmy tak pochopnie rezygnować - zaprotestowała Angela. - A jeśli Clara Hodges zdoła rzucić jakieś światło na sprawę zmarłych pacjentów swego męża? Wczoraj wieczorem wydawałeś się tym zainteresowany.

- Cóż, to prawda - przyznał David.

Istotnie ciekawiło go, czy między zgonami podopiecznych Hodgesa a śmiercią jego pacjentów istnieje jakieś podobieństwo. Jego zainteresowanie tą sprawą nie sięgało jednak aż tak daleko, by chciał składać wizytę Clarze Hodges. W każdym razie nie po tym, jak wyrzucono go z pracy.

- Zróbmy to, Davidzie - poprosiła Angela. - Jedźmy tam.

Czuję się tak, jakby całe to miasto zawiązało przeciwko nam spisek i ogromnie mnie to dręczy. Nie mam ochoty poddawać się bez walki.

- Wydaje mi się, że zaczynasz tracić kontrolę nad sobą - westchnął David.

Angela odstawiła filiżankę z kawą i ujęła Davida pod ramię.

- Niech nam pan na chwilę wybaczy - zwróciła się do Calhouna, zmuszając męża, by przeszedł wraz z nią do salonu.

- Nie tracę kontroli nad sobą - oświadczyła, kiedy detektyw nie mógł już ich usłyszeć. - Po prostu podoba mi się pomysł spełnienia jakiegoś dobrego uczynku, położenia tamy złu. To miasto postąpiło wobec nas tak samo jak wobec Hodgesa: ludzie nabrali wody w usta i udają, że nic się nie stało. Chcę wiedzieć, co się za tym wszystkim kryje. Potem możemy stąd wyjechać. Ale uczynmy to przynajmniej z podniesionym czołem.

- Nie znoszę tego pompatycznego, histerycznego tonu - powiedział David.

- Nazywaj to sobie, jak chcesz, bylebyś tylko pojechał z nami do Bostonu. Calhoun uważa, że wizyta u Clary Hodges może mieć przełomowe znaczenie dla jego śledztwa. Przekonajmy się, czy ma rację. David zawahał się. Rozsądek nakazywał mu sprzeciwić się żonie, nigdy jednak nie umiał odmawiać jej prośbom. Poza tym pod maską spokoju w nim także wrzał gniew za tak niesprawiedliwe potraktowanie ich.

- W porządku - zgodził się. - Jedźmy tam. Po drodze wstąpimy zobaczyć, jak czuje się Nikki.

- Jasne - przytaknęła Angela.

Postanowili, że pojedą do Bostonu furgonetką Calhouna, szybko jednak przyszło im pożałować tej decyzji, gdy tylko bowiem wsiedli do szoferki, detektyw zapalił cygaro.

Calhoun podwiózł ich pod budynek szpitala, by mogli odwiedzić

córkę. Nastrój Nikki znacznie się poprawił, z chwilą gdy opuściła oddział intensywnej terapii. Nie podobało jej się tylko to, że musiała leżeć na starym szpitalnym łóżku, w którym nie działała większość mechanizmów - w żaden sposób nie można było na przykład podnieść podglówka.

- Mówiłaś o tym pielęgniarce? - zapytał David.

- Tak - odrzekła dziewczynka. - Nie powiedziano mi jednak, kiedy zostanie to naprawione. A leżąc płasko na plecach, nie mogę oglądać telewizji.

- Czy często zdarzają się takie kłopoty? - zapytała męża Angela.

- Niestety tak - westchnął David. Powtórzył jej opinię Van Slyke'a, że szpital zakupił zły rodzaj łóżek. - Prawdopodobnie chcieli zaoszczędzić parę dolarów, kupując tańszy sprzęt, nie przewidzieli jednak, że koszty napraw znacznie przewyższą te oszczędności. Sprawdziło się stare porzekadło: oszczędzasz grosz, a tracisz trzos.

David odszukał Janet Colburn i zapytał ją, czy Van Slyke został poinformowany o złym funkcjonowaniu łóżka Nikki.

- Owszem, ale sam pan wie, jaki to człowiek - westchnęła pielęgniarka.

Po powrocie do pokoju córki obiecał, że jeśli łóżko nie zostanie naprawione do wieczora, zajmie się tą sprawą osobiście. Angela zdążyła tymczasem powiedzieć dziewczynce, że oboje wybierają się do Bostonu, ale wrócą do Bartlet jeszcze tego samego popołudnia i natychmiast po przyjeździe przyjdą się z nią zobaczyć.

Wkrótce Wilsonowie na powrót wsiedli do furgonetki Calhouna i cała trójka ruszyła międzystanową autostradą na południe. Davida ogromnie męczyła ta podróż, nie tylko dlatego, że furgonetka detektywa miała kiepskie resory, ale także z powodu gęstego dymu cygara, który mimo otwartych okien cały czas kłębił się w szoferce. Zanim dojechali do domu Clary Hodges, Davidowi zaczęły łzawić oczy.

Clara zrobiła na Davidzie wrażenie kobiety, która musiała bardzo pasować do swego męża: była grubokoścista, dobrze zbudowana. Miała głęboko osadzone oczy o świdrującym, ponurym spojrzeniu.

Zaprosiła ich do salonu umeblowanego ciężkimi, wiktoriańskimi sprzętami. Przez grube, aksamitne zasłony przedostawała się tu zaledwie odrobina dziennego światła, dlatego też mimo południowej pory w pokoju paliły się wszystkie lampy.

Angela przedstawiła siebie i Davida jako nabywców należącego niegdyś do Hodgesów domu w Bartlet.

- Mam nadzieję, że podoba się on wam bardziej niż mnie - uśmiechnęła się kobieta. - Zawsze uważałam, że był zbyt duży i ponury, szczególnie gdy mieszkało w nim tylko dwoje ludzi. zaproponowała herbatę, którą to propozycję David przyjął z ogromną wdzięcznością: wypełniający szoferkę furgonetki dym podrażnił mu nie tylko oczy, ale i gardło.

- Nie mogę powiedzieć, bym cieszyła się z tej wizyty - powiedziała Clara, nalewając gościom herbaty. - Ledwie zdążyłam przywyknąć do myśli, że mój mąż zniknął nie wiadomo gdzie, kiedy okazało się, że został

zamordowany.

- Jestem pewien, że pani, podobnie jak nam, zależy na tym, by zabójca trafił w ręce sprawiedliwości - oświadczył Calhoun.

- Co to ma teraz za znaczenie? - wzruszyła ramionami Clara. -

Jedyne, co może z tego wyniknąć, to kłopoty - wszyscy będziemy ciągni po sądach i zmuszani do uczestniczenia w jakichś strasznych rozprawach.

Wolałam już poprzednią sytuację, kiedy o niczym nie wiedziałam. Byłoby chyba lepiej, gdyby ta okropna prawda nigdy nie wyszła na jaw.

- Czy ma pani jakieś podejrzenia na temat tego, kto zamordował pani męża? - zapytał detektyw.

- Obawiam się, że znalazłabym wielu kandydatów do roli zabójcy - westchnęła Clara. - Musi pan zrozumieć dwie rzeczy, jeśli chodzi o

Dennisa. Po pierwsze, cechował go wyjątkowy upór, przez co nader

trudno było z nim wytrzymać - choć to oczywiście nie znaczy, że nie

posiadał także wielu zalet. Po drugie, mój mąż miał wprost obsesję na

punkcie szpitala. Bez przerwy popadał na tym tle w konflikty z zarządem

oraz z nową dyrektorką administracyjną, która przeniosła się do Bartlet z

Bostonu. Znam wielu ludzi żywiących do Dennisa głęboką niechęć, ale nie

mogę sobie wyobrazić, by ktokolwiek z nich targnął się na jego życie.

Jakoś nie pasuje mi to do tych wszystkich lekarzy i biurokratów.

- Podobno doktor Hodges uważał, iż zna tożsamość gwałciciela,

który kryjąc twarz za narciarskimi goglami, napada na kobiety na

szpitalnym parkingu - powiedział Calhoun. - Czy mówił to serio?

- Tak - potwierdziła kobieta. - Wiedział, kto dokonuje tych napadów,

a przynajmniej tak mu się wydawało.

- Czy kiedykolwiek wymienił nazwisko tego człowieka?

- Nie. Jediną rzeczą, jaką powiedział, było to, że gwałcieł jest jakoś związany ze szpitalem.

- To znaczy, że należy do jego pracowników? - zapytał Calhoun.

- Mój mąż nie sprecyzował tego - odrzekła Clara. - Powiedział mi jednak kiedyś, że pragnie najpierw porozmawiać z nim osobiście. Miał nadzieję, że nakłoni go do zaprzestania napadów.

- Boże - westchnął Calhoun. - Czy sądzi pani, że to uczynił?

- Nie wiem. Niewykluczone. Później uznał jednak, że musi powiedzieć o swych podejrzeniach temu okropnemu Wayne'owi Robertsonowi. Pokłóciliśmy się nawet o to. Nie chciałam, by szedł na posterunek, ponieważ bylam pewna, że Dennis i szef policji potrafią jedynie skakać sobie do oczu. Nakłaniałam męża, by poinformował szeryfa o swych podejrzeniach przez telefon lub listownie, ale nie chciał nawet o tym slyszeć. Był taki uparty - westchnęła.

- Czy to prawda, że doktor Hodges wybierał się na policję właśnie tego dnia, kiedy zniknął? - zapytał Calhoun.

- Tak, dokładnie wtedy. W końcu jednak nie spotkał się z Robertsonem. Nie żeby posłuchał mojej rady - co to, to nie. Był ogromnie przygnębiony śmiercią jednego ze swych dawnych pacjentów i zamiast udać się na posterunek policji, postanowił zjeść lunch z doktorem Holsterem, który leczył tego chorego.

- Czy tym pacjentem był Clark Davenport? - zapytał Calhoun.

- Cóż... tak - odrzekła Clara ze zdumieniem. - Skąd pan o tym wie?

- Czemu doktora Hodgesa tak bardzo zmartwiła śmierć

Davenporta? - Calhoun nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć na pytanie

kobiety. - Czy przyjaźnił się z tym człowiekiem?

- Byli dobrymi znajomymi - wyjaśniła Clara. - W każdym razie Clark

nie należał do zwykłych pacjentów. To właśnie Dennis postawił diagnozę,

że Davenport ma raka, którego później z takim powodzeniem udało się

wyleczyć doktorowi Holsterowi. Kuracja powiodła się głównie dzięki

temu, że nowotwór został wykryty dostatecznie szybko. Później jednak

pracodawca Clarka podpisał umowę z CMV, a następną rzeczą, jakiej mój

mąż dowiedział się o swoim pacjencie, był jego zgon.

- Na co zmarł Clark? - zapytał nagle David, po raz pierwszy

włączając się w rozmowę.

Napięcie dźwięczące w jego głosie nie uszło uwagi Angeli.

- Nie pamiętam - wzruszyła ramionami Clara. - Ale na pewno nie

zabił go rak. Tak przynajmniej twierdził Dennis.

- Czy pani mąż miał jeszcze innych pacjentów z podobnymi

dolegliwościami, którzy również nieoczekiwanie umarli? - dopytywał się

David.

- Co pan ma na myśli, mówiąc „podobne dolegliwości”?

- Ludzi cierpiących na raka lub inne nieuleczalne choroby -

sprecyzował David.

- O tak - Clara skinęła głową. - Bardzo wielu. Ich śmierć także

wprawiała go w ogromne przygnębienie. Nabrał przekonania o

niekompetencji niektórych lekarzy CMV.

David poprosił Angelę o kopię znalezionych przy Hodgesie dokumentów, zanim jednak kobieta zdążyła odszukać je w torebce, Calhoun podał mu własny komplet.

Lekarz przekartkował dokumenty i wręczył je Clarze.

- Może zechce pani zerknąć na te nazwiska - poprosił. - Czy którekolwiek z nich coś pani mówi?

- Muszę wziąć okulary - powiedziała Clara, na chwilę opuszczając pokój.

- Co cię tak poruszyło? - spytała szeptem Angela.

- Uspokój się, chłopcze - uśmiechnął się Calhoun. - Jeśli przestraszysz naszego świadka, z wrażenia zapomni wszystkiego, co nas interesuje.

- Zaczynam mieć pewne podejrzenia - odparł David. - I wcale mi się one nie podobają.

Zanim Angela zdążyła poprosić męża, żeby wyrażał się jaśniej, do pokoju wróciła Clara. Sięgnęła po dokumenty i przejrzała je szybko.

- Rozpoznaję wszystkie te nazwiska - stwierdziła. - Słyszałam o tych ludziach setki razy, większość z nich znałam nawet osobiście.

- Mówiono mi, że wszyscy umarli - powiedział Calhoun. - Czy to prawda?

- Prawda - skinęła głową Clara. - Podobnie jak Clark Davenport. Ich śmierć do tego stopnia zmartwiła Dennisa, że przez jakiś czas niemal nie mówił o niczym innym.

- Czy w żadnym z tych przypadków nie spodziewał się zgonu

pacjenta? - zapytał Calhoun.

- I tak, i nie - odrzekła kobieta. - Raczej nie oczekiwał, że ci ludzie umrą tak szybko. Jak pewnie zorientowaliście się już na podstawie tych dokumentów, większość z nich została przyjęta do szpitala z powodu schorzeń, które trudno uznać za śmiertelne. Wszyscy jednak cierpieli na jakieś nieuleczalne choroby, na przykład raka, i w tym sensie ich śmierć nie była czymś tak zupełnie nieoczekiwanym.

David wziął z powrotem kserokopie kart chorobowych i jeszcze raz przejrzał je pośpiesznie.

- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem - powiedział. - Te karty wypełniano, przyjmując dawnych pacjentów pani męża do szpitala, tak? Czy to znaczy, że dla każdego z nich była to ostatnia hospitalizacja w życiu, która we wszystkich przypadkach zakończyła się zgonem?

- Tak mi się wydaje - skinęła głową kobieta. - Upłynęło już wprawdzie sporo czasu, ale Dennis tak wiele mówił na ten temat, że trudno o tym zapomnieć.

- I wszyscy ci ludzie cierpieli na poważne, nieuleczalne choroby? - upewnił się David. - Tak jak ta osoba, przyjęta do szpitala z powodu zapalenia zatok.

Clara zerknęła na podsuniętą jej przez Davida kartkę.

- Tak. Ta kobieta miała raka piersi. Należała do mojej grupy kościelnej.

David zacisnął pięści. Wstał z fotela i podszedł do okna.

Odchyliwszy zasłonę, nie zwracając uwagi na innych, utkwił wzrok w rzece Charles.

Angela poczuła się zakłopotana zachowaniem męża, Clara jednak nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Bez słowa ponownie napełniła filiżanki gości herbatą.

- Chciałbym zadać pani jeszcze kilka pytań dotyczących tego gwałciciela - przerwał niezręczne milczenie Calhoun. - Czy doktor Hodges kiedykolwiek uczynił jakąś uwagę na temat jego wieku, wzrostu czy szczegółów wyglądu? Takich na przykład jak to, że ten człowiek miał tatuaż?

- Tatuaż? - zdziwiła się Clara, a na jej ustach pojawił się uśmiech niedowierzania. Po chwili jednak spoważniała.

- Nie - odparła, marszcząc brwi. - Nigdy nie powiedział ani słowa o tatuażu.

Z gwałtownością, która zaskoczyła wszystkich obecnych, David odwrócił się nagle od okna.

- Musimy jechać - oświadczył. - I to natychmiast! Ruszył w stronę drzwi i otworzył je.

- Davidzie! - zawołała Angela, rozgniewana zachowaniem męża. - Co to ma znaczyć?

- Musimy natychmiast wracać do Bartlet - powiedział z panicznym lękiem w oczach. - Pośpieszcie się! - krzyknął.

Angela i Calhoun szybko pożegnali Clarę Hodges, po czym niemal biegiem ruszyli za Davidem. Zanim zdążyli wyjść przed dom, Wilson

siedział już za kierownicą furgonetki detektywa.

- Niech mi pan da kluczyki - polecił.

Calhoun wzruszył ramionami, spełnił jednak prośbę lekarza.

Drżącymi rękoma David uruchomił silnik.

- Wsiadajcie! - rozkazał.

Angela i detektyw zajęli miejsca w szoferce i zanim jeszcze zdążyli zatrzasnąć za sobą drzwi, Wilson ostro ruszył z miejsca.

Przez pewien czas żadne z nich nie odezwało się ani słowem. David skupiony był na prowadzeniu samochodu, Angela zaś i Calhoun wciąż nie mogli otrząsnąć się ze zdumienia, w jakie wprowadził ich ten nagły i niespodziewany wyjazd z Bostonu. Czuli się także oszołomieni prędkością, z jaką David wyprzedzał inne samochody.

- Byłoby chyba lepiej, gdybyś zwolnił - powiedziała Angela, kiedy

David ponownie zaczął wymijać długi sznur jadących autostradą aut.

- Nigdy nie jechałem tą furgonetką tak szybko - dodał Calhoun.

- Co ci się stało, Davidzie? - zapytała Angela. - Zachowujesz się jak szaleniec.

- Podczas rozmowy z Clarą Hodges doznałem olśnienia - odrzekł

Wilson. - Ma to związek z tymi niespodziewanymi zgonami nieuleczalnie chorych pacjentów jej męża.

- Jak to: „doznałeś olśnienia”? - zdziwiła się Angela.

- Sądzę, że jakiś człowiek w szpitalu uprawia rodzaj źle pojętej eutanazji.

- Co to jest eutanazja? - zainteresował się detektyw.

- Niektórzy nazywają to „dobrą śmiercią” - odparła Angela. -

Oznacza to uśmiercanie ludzi cierpiących na nieuleczalne choroby, by uwolnić ich od cierpień.

- Kiedy usłyszałem o pacjentach Hodgesa, uświadomiłem sobie, że wszyscy moi zmarli pacjenci także cierpieli na nieuleczalne schorzenia - powiedział David. - Sam nie wiem, czemu wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Jak mogłem być tak ślepy? To samo dotyczyło także Caroline.

- Kto to jest Caroline? - zapytał Calhoun.

- Przyjaciółka naszej córki - wyjaśniła Angela. - Cierpiała na mukowiscydozę, która jest potencjalnie chorobą śmiertelną. Umarła wczoraj. - Nagle oczy Angeli zrobiły się okrągłe ze strachu. - Och, nie! Nikki! - zawołała.

- Teraz już wiesz, czemu owładnął mną taki paniczny lęk - powiedział David. - Musimy znaleźć się w szpitalu tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Co się dzieje? - nie zrozumiał Calhoun. - Pogubiłem się już.

Dlaczego oboje jesteście tacy przerażeni?

- Nikki jest w szpitalu - odparła Angela drżącym z niepokoju głosem.

- Wiem o tym - skinął głową detektyw. - Zanim pojechaliśmy do Bostonu, podrzuciłem was przecież pod szpital, żebyście mogli do niej zajrzeć.

- Podobnie jak Caroline nasza córka choruje na mukowiscydozę - zdławionym głosem wyjaśniła lekarka.

- Och! - wykrzyknął Calhoun. - Teraz już pojmuję. Obawiacie się, by

wasze dziecko nie padło ofiarą tego potwora.

- Właśnie - skinął głową David.

- Czy ta sytuacja nie przypomina czasem działalności „Aniela

Miłosierdzia” z Long Island, o którym kiedyś czytałem? - zapytał Calhoun.

- To było wiele lat temu. Jakaś pielęgniarka zabijała pacjentów za pomocą małego znanego narkotyku.

- Tak, teraz też mamy chyba do czynienia z czymś takim - przytaknął

David. - Wówczas posłużono się specyfiką blokującą pracę mięśni.

Chorzy po prostu przestawali oddychać, nietrudno więc było odkryć, że ktoś pozbawił ich życia. W przypadku moich pacjentów rzecz wyglądała

inaczej: nic nie wskazywało na to, że ich zamordowano. Nawet w tej chwili nie przychodzi mi do głowy żaden narkotyk, trucizna czy wirus, które mogłyby wywołać objawy, na jakie uskarżali się moi podopieczni.

- Rozumiem już, czemu martwi się pan o swoją córkę - powiedział

Calhoun. - Czy jednak nie wyciąga pan wniosków zbyt pochopnie?

- Za pomocą mojej teorii można wyjaśnić wiele kwestii, których

dotąd nie dawało się wytłumaczyć - stwierdził David. - Pozwala ona także rozwiązać zagadkę śmierci doktora Portlanda.

- Jakim sposobem? - zdziwiła się Angela, która jak zawsze, gdy

słyszała to nazwisko, czuła dziwny niepokój.

- Czy pamiętasz, jak opowiadano nam o oświadczeniu Portlanda, że

nie ma zamiaru brać na siebie całej winy za śmierć swoich pacjentów?

Podobno twierdził też, że w szpitalu dzieje się coś złego.

Kobieta skinęła głową.

- Musiał coś podejrzewać - stwierdził David. - Wielka szkoda, że dosięgło go to załamanie nerwowe.

- Popelnił samobójstwo - wyjaśniła Calhounowi Angela.

- Ogromna strata - skinął głową detektyw.

- Zastanawiam się, kim może być człowiek mordujący chorych w szpitalu - powiedział David. - Musi to być ktoś mający styczność z pacjentami oraz dysponujący niemalą wiedzą medyczną.

- Zatem lekarz albo pielęgniarka - stwierdziła Angela.

- Albo któryś z techników laboratoryjnych - dodał David.

- Zabieracie się do tego zupełnie po partacku - przerwał im Calhoun. - W ten sposób nie prowadzi się śledztwa. Nie możecie formułować teorii, a potem modyfikować jej, gnając przy tym dziewięćdziesiąt mil na godzinę, jak to właśnie czynimy. Większość teorii upada, gdy na jaw wychodzą kolejne fakty. Przede wszystkim uważam jednak, że powinniśmy zwolnić.

- Nie możemy. Moja córka znajduje się w niebezpieczeństwie - odparł David, do oporu dociskając pedał gazu.

- Czy uważasz, że Hodges doszedł do tych samych wniosków? - zapytała Angela.

- Tak mi się wydaje - odrzekł David. - A w takim razie niewykluczone, że właśnie z tego powodu został zabity.

- Ja nadal uważam, że zbrodni dokonał gwałciciel - upierał się Calhoun. - Niezależnie jednak od tego, co się w końcu okaże, uważam to śledztwo za fascynujące. Jeśli tylko waszej córki nie spotka nic złego,

będę mógł powiedzieć, że od lat tak dobrze się nie bawiłem.

Kiedy w końcu zajechali pod szpital, David i Angela pośpiesznie wyskoczyli z szoferki i biegiem ruszyli w stronę głównego wejścia.

Ku ich niebotycznej uldze Nikki czuła się doskonale. David chwycił ją w ramiona i uściskał tak mocno, że aż pisnęła z bólu.

- Wracasz do domu - powiedział.

- Kiedy? - zapytała dziewczynka.

- Natychmiast - odparła Angela, przygotowując się do odłączenia córce kroplówki.

Przez hol przechodziła właśnie jedna z pielęgniarek. Widząc, że Angela wyjmuje z żyły dziecka wenflon, zaczęła głośno protestować.

- Co tu się dzieje? - zapytała.

- Moja córka wraca do domu - odrzekł Wilson.

- Nie dostałam w tej sprawie żadnych dyspozycji.

- Zatem wydaję je - powiedział David.

Pielęgniarka pośpiesznie wyszła z pokoju. Angela pomogła córce włożyć ubranie.

Wkrótce w drzwiach pokoju stanęła Janet Colburn oraz kilka innych pielęgniarek.

- Co u licha pan tu robi, doktorze Wilson? - zapytała Janet.

- To chyba widać - odparł David, pakując do torby zabawki i książki dziecka.

Nikki była już na wpół ubrana, kiedy pojawił się także wezwany przez pager doktor Pilsner. Pediatria nalegał, by Wilsonowie nie odłączali

kroplówki, przez którą podawano dziecku antybiotyki, oraz nie rezygnowali przedwcześnie z doskonałej terapii oddechowej, jaką zapewniano dziewczynce w szpitalu.

- Przykro mi, doktorze, ale nie możemy zastosować się do pańskich zaleceń - powiedział David. - Kiedy indziej wyjaśnię panu dlaczego. Teraz zabrałoby mi to zbyt wiele czasu.

W tym samym momencie do pokoju weszła Helen Beaton. - Jeśli zabierze pan stąd dziecko wbrew zaleceniom lekarza, zwrócę się w tej sprawie do sądu - oświadczyła oburzona.

- Tylko spróbuj - warknęła Angela.

Wilsonowie ruszyli ku wyjściu odprowadzani spojrzeniami pacjentów i pracowników szpitala, którzy zwabieni zamieszaniem pojawili się w holu.

Cała trójka ulokowała się w furgonetce detektywa. Tym razem prowadził Calhoun. Nikki i Angela zajęły miejsca w szoferce, podczas gdy David przesiadł się do części bagażowej.

Przez całą drogę do domu Nikki dopytywała się, czemu tak nagle opuściła szpital. Cieszyła się, że wraca do domu, ale była zdumiona zachowaniem rodziców. Jednak gdy tylko przyjechali na miejsce, natychmiast o tym zapomniała, żywiłowo witając się z Rustym. David i Angela pozwolili jej przez jakiś czas bawić się z psem, lecz wkrótce musiała przyjść do bawialni, gdzie ponownie podłączono jej kroplówkę, Wilsonowie uważali bowiem, że nie należy przerywać podawania antybiotyków.

Calhoun stał pośrodku pokoju, starając się, jak tylko mógł, być przydatny. Na prośbę Nikki przyniósł z piwnicy drewno i rozpałił ogień w kominku. Ponieważ długie milczenie było czymś całkowicie sprzecznym z jego naturą, wkrótce zaczął spierać się z Davidem na temat motywów zabójstwa Hodgesa. Twierdził z uporem, że zbrodni dokonał gwałcieł z parkingu, podczas gdy David obstawał przy hipotezie, że mordercą jest prawdopodobnie panicznie obawiający się zdemaskowania „Anioł Miłosierdzia”.

- Do diabła! - wybuchnął Calhoun. - Wszystkie pańskie wnioski opierają się jedynie na domysłach. Pana córka czuje się, dzięki Bogu, dobrze, nie ma pan zatem żadnych dowodów na potwierdzenie swoich podejrzeń. Jeśli zaś chodzi o moją hipotezę, że morderca i gwałcieł to jedna osoba, trzeba pamiętać, że Hodges w obecności wielu ludzi sugerował, iż wie, kto napada na kobiety na szpitalnym parkingu. Co więcej, mówił o tym dokładnie tego dnia, kiedy zginął. Poza tym Clara uważa, iż Hodges chciał najpierw osobiście porozmawiać z tym człowiekiem. Jestem całkowicie pewien, że to właśnie ów gwałcieł go zamordował. Dam głowę, że mam rację. Może się założymy?

- Nigdy się nie zakładam - odparł David. - I będę obstawał przy swoim zdaniu. Przy zabitym znaleziono karty chorobowe jego zmarłych pacjentów. To nie mógł być zbieg okoliczności.

- A jeśli to wszystko jest dziełem tego samego człowieka? - powiedziała nagle Angela. - Jeśli gwałcieł, „Anioł Miłosierdzia” i morderca Hodgesa to jedna i ta sama osoba?

Ten pomysł zrobił na Davidzie i Calhounie tak wielkie wrażenie, że obaj zamilkli.

- To możliwe - odezwał się w końcu David. - Twoja koncepcja wydaje się wprawdzie nieco szalona, ale ostatnie odkrycia sprawiły, że jestem już gotów uwierzyć we wszystko.

- Ja także bym tego nie wykluczał - powiedział Calhoun. - Tak czy owak, będę szukał człowieka z uszkodzonym tatuażem. Uważam, że to klucz do całej sprawy.

- Ja natomiast mam zamiar przestudiować historię chorób zmarłych pacjentów Hodgesa - oświadczył David. - Być może złożę też wizytę doktorowi Holsterowi. Niewykluczone, że Hodges wyjawiał mu jakieś swoje podejrzenia.

- W porządku - zgodził się Calhoun. - Każdy z nas będzie wobec tego prowadził śledztwo na własną rękę. Czy pozwolą państwo, że wpadnę tu dzisiaj jeszcze raz, byśmy mogli porównać efekty naszych działań?

- Ależ proszę bardzo - powiedział David, zerkając na Angelę.

- Nie mamy nic przeciwko temu - poparła go żona. - Zje pan z nami kolację.

- Nigdy nie odmawiam, jeśli ktoś zaprasza mnie na kolację - uśmiechnął się Calhoun.

- Zatem czekamy na pana o siódmej - powiedziała Angela. Kiedy detektyw wyszedł, David wziął strzelbę i nabiwszy ją tyłoma pociskami, ile tylko zmieściło się w komorze naboju, oparł broń o podest schodów.

- Czyżbyś zmienił zdanie na temat strzelby? - spytała Angela.

- Powiedzmy, że cieszę się, że ją mamy - uśmiechnął się w

odpowiedzi David. - Czy rozmawiałś na ten temat z Nikki?

- Oczywiście - potwierdziła Angela. - Nawet z niej strzelała. Niezbyt jej się to podobało, ponieważ kolba uderzyła ją w ramię.

- Nie wpuszczaj nikogo do domu podczas mojej nieobecności - poprosił David. - I zamknij starannie wszystkie drzwi.

- Ejże! Myślałam, że to tylko ja jestem w tym domu zwolenniczką zamykania drzwi - roześmiała się Angela.

Nie chcąc zostawić żony bez samochodu, David postanowił udać się do szpitala na rowerze. Jechał szybko, przejęty myślą, że ktoś mógł mordować jego pacjentów. Świadomość ta jednocześnie przerażała go i wprawiała we wściekłość. Ale, jak słusznie zauważył Calhoun, nie miał żadnych dowodów na poparcie tej teorii.

Dojechał do szpitala akurat w porze, kiedy dzienna zmiana przekazywała pieczę nad chorymi wieczornej. Było przy tym tyle zamieszania, że nikt nie zwrócił nań uwagi, kiedy przemykał się do szpitalnego archiwum.

Usiadł przy terminalu i wyciągnął kopie dokumentów Hodgesa, których po wizycie u wdowy po lekarzu nie oddał już Calhounowi.

Kolejno wystukał nazwiska wszystkich pacjentów i przeczytał historie ich choroby. Wszyscy cierpieli na poważne, śmiertelne schorzenia - dokładnie tak, jak mówiła Clara.

Następnie przeczytał wszystkie notatki poczynione podczas

ostatnich, zakończonych zgonami pobytów tych ludzi w szpitalu. We wszystkich przypadkach symptomy przypominały to, co działo się z jego zmarłymi pacjentami: obserwowano porażenia neurologiczne, dolegliwości układu pokarmowego, zakłócenia w pracy krwiobiegu oraz niewydolność systemu immunologicznego.

W końcu zajął się analizą bezpośrednich przyczyn zgonów. We wszystkich przypadkach, poza jednym, śmierć nastąpiła na skutek rozległego, połączonego z zakażeniem krwi, zapalenia płuc. Wyjątek stanowiła śmierć pacjenta, który zmarł w wyniku serii ataków silnych drgawek.

Odłożywszy na bok dokumenty, David zażądał od komputera informacji, jak duży procent przyjmowanych do szpitala chorych umiera co roku w Bartlet Community Hospital. Natychmiast odkrył, że w ciągu dwóch ostatnich lat śmiertelność wzrosła z 2,8% do 6,7%. Ponieważ komputer dysponował także danymi z bieżącego roku, okazało się, iż jak dotąd, wskaźnik śmiertelności wynosi 8,1%.

Zażądał następnie, by ograniczyć badanie śmiertelności do pacjentów, u których wykryto raka, niezależnie od tego, czy to właśnie nowotwór był bezpośrednią przyczyną ich zgonu, czy też nie. Procent zakończonych śmiercią pobytów w szpitalu był, co zrozumiale, w tym

wypadku wyższy, z niewiadomych jednak przyczyn i ten wskaźnik podniósł się gwałtownie w ciągu ostatnich dwóch lat.

David zażądał od komputera obliczenia, jak duży procent wszystkich hospitalizowanych pacjentów stanowią ludzie cierpiący na chorobę nowotworową, okazało się jednak, że ta statystyka się nie zmieniła. Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat liczby te dla każdego roku były niemal identyczne.

Wzrost liczby zakończonych zgonami hospitalizacji potwierdzał teorię Davida na temat działalności jakiegoś „Anioła Miłosierdzia”.

Potajemna eutanazja wyjaśniała zwiększoną liczbę zgonów wśród ludzi cierpiących na raka, pomimo iż przypadki choroby nowotworowej nie występowały obecnie częściej. Statystyka ta nie stanowiła wprawdzie bezpośredniego dowodu, ale nie można jej było zlekceważyć.

David miał już przerwać pracę, kiedy przyszło mu do głowy, by sprawdzić informacje dotyczące tatuażu. Na początku musiał się przekonać, czy w ogóle w którymkolwiek zbiorze pojawia się słowo „tatuaż” albo „dyschromia”, medyczne określenie zaburzeń w pigmentacji skóry.

Z utkwionym w ekran wzrokiem czekał przez chwilę na wyniki. Po niespełna minucie na monitorze ukazała się lista wszystkich interesujących go przypadków, z których lekarz natychmiast wykluczył te, gdzie zmiana pigmentacji była wynikiem procesów metabolicznych. Po tej operacji został mu rejestr dwudziestu leczonych niegdyś w szpitalu w Bartlet ludzi, w których kartach chorobowych wspomniano o tatuażu.

Ponownie wykorzystując dane komputerowe, odkrył, że pięć z wymienionych na liście osób jest pracownikami szpitala. Byli to, w porządku alfabetycznym: Clyde Devonshire, pracownik izby przyjęć, Joe Forbs z ochrony, zatrudniona w kuchni Claudette Maurice, szef działu technicznego, Werner Van Slyke, oraz technik laboratoryjny, Peter Ullhof.

Wśród pozostałych osób na liście znajdowali się między innymi Carl Hobson, funkcjonariusz policji, oraz Steve Shegwick, strażnik w Bartlet College.

Zanim David opuścił szpitalne archiwum, sporządził wydruk tych informacji.

Wilson mylił się, sądząc, że jego wizyta w szpitalu pozostała nie zauważona. Zainstalowany w komputerze „program ochronny” zaalarmował o jego poczynaniach Hortense Marshall, jedną z pracownic działu informacji medycznej.

Przez cały czas miała ona lekarza na oku i gdy tylko opuścił szpital, zadzwoniła do Helen Beaton.

- Doktor David Wilson grzebał w naszym archiwum - powiedziała. -

Właśnie wyszedł. Szukał w komputerze informacji dotyczących śmiertelności pacjentów.

- Rozmawiał z panią? - zapytała Beaton.

- Nie. Posłużył się po prostu jednym z naszych terminali. Nie zamienił z nikim ani słowa.

- Skąd wobec tego wie pani, czego szukał?

- Zawiadomił mnie o tym komputer. Po tym, jak dostałam polecenie rejestrowania każdego, kogo interesują tego rodzaju informacje, zaprogramowałam komputer w taki sposób, by sygnalizował mi, ilekroć ktoś zażąda podobnych danych.

- Doskonała robota - pochwaliła Beaton. - Podoba mi się wykazywana przez panią inicjatywa. Zasłużyła pani na uznanie. Tego rodzaju informacji nie podaje się do wiadomości publicznej, szczególnie że dobrze wiemy, iż śmiertelność pacjentów wzrosła z chwilą, kiedy podpisaliśmy kontrakt z CMV - po prostu zaczęto kierować do nas bardzo wielu chorych w stanie krytycznym.

- Tak, z pewnością ta statystyka nie wpłynęłaby pozytywnie na ocenę naszej działalności przez opinię publiczną - westchnęła Hortense.

- Ma pani rację - przytaknęła Beaton.

- Czy powinnam powiedzieć coś na ten temat doktorowi Wilsonowi?

- zapytała Hortense.

- Nie. Postąpiła pani właściwie. Czy doktor Wilson szukał także jakichś innych danych?

- Przebywał w archiwum nieco dłużej, niż wymagało tego znalezienie informacji o śmiertelności pacjentów, ale nie mam pojęcia, co jeszcze mogło go interesować.

- Pytam o to dlatego - wyjaśniła Beaton - że lekarz ten został zwolniony z pracy w CMV.

- Nie wiedziałam o tym.

- To stało się dopiero wczoraj. Zechce mi pani dać znać, gdyby

pojawił się tu znowu, dobrze?

- Oczywiście, uczynię to - zapewniła ją Hortense.

- Czy pan nazywa się Carl Hobson? - zapytał Calhoun, zwracając się do umundurowanego policjanta patrolującego Main Street.

- Jasne, że to ja.

- Phil Calhoun - przedstawił się detektyw. - Widziałem pana na posterunku - skinął głową Carl. - Przyjaźni się pan z moim szefem.

- Zgadza się - potwierdził Calhoun. - Znamy się z Wayne'em od wielu lat. Pracowałem kiedyś w policji stanowej, ale teraz jestem na emeryturze.

- Ma pan szczęście - uśmiechnął się Carl. - Wreszcie może pan spędzać całe dni na polowaniach i łowieniu ryb.

- Chyba tak - potwierdził detektyw. - Czy mogę zadać panu dość osobiste pytanie?

- Jasne - odrzekł policjant z zaciekawieniem.

- Carleton, barman z Iron Horse Inn, powiedział mi, że jest pan wytatuowany. Myślałem o tym, czy nie kazać sobie także zrobić czegoś takiego, postanowiłem jednak najpierw pogadać z kimś, kto już to ma.

Wielu jest takich ludzi w mieście?

- Znalazłoby się kilku - skinął głową Carl.

- Kiedy zrobił pan sobie swój tatuaż?

- Och, jeszcze w szkole średniej - roześmiał się policjant. - Byłem wtedy w ostatniej klasie. Ja i czterech moich kolegów pojechaliśmy pewnego wieczoru do Portsmouth w New Hampshire, gdzie znajdowało

się wiele salonów kosmetycznych, w których robiono tatuaże. Wszyscy

byliśmy w pestkę zalani.

- Czy to boli?

- Do diabła, nie pamiętam - odrzekł Carl. - Jak już powiedziałem,

byliśmy całkiem pijani.

- Czy cała wasza piątka mieszka w Bartlet?

- Nie, tylko czterech z nas: ja, Steve Shegwick, Clyde Devonshire i

Mort Abrams.

- Czy wszyscy zrobiliście sobie tatuaże w tych samych miejscach? -

dopytywał się detektyw.

- Nie. Większość z nas wytatuowała sobie coś na bicepsach, choć

niektórzy pragnęli też mieć jakieś obrazki na przedramieniu. Clyde

Devonshire był wyjątkiem, bo zażądał tatuażu na klatce piersiowej, tuż

ponad sutkami.

- Który z was chciał mieć tatuaż na przedramieniu?

- Nie jestem pewien - zawahał się Carl. - Uplęło już tyle czasu...

Być może Shegwick i Jay Kaufman. To ten, który wyniósł się z Bartlet.

Poszedł do college'u gdzieś w New Jersey.

- A gdzie pan zrobił sobie tatuaż?

- Pokażę panu - odparł policjant, rozpinając mankiet koszuli i

podwijając rękaw, by odsłonić wewnętrzną stronę ramienia, gdzie

widniał wyjący do księżycy wilk.

Kiedy David wrócił do domu, okazało się, że stan Nikki wyraźnie się

pogorszył. Początkowo dziewczynka skarżyła się jedynie na dolegliwości

żółdkowe, jednak pod wieczór dołączyły do nich nudności oraz nadmierne ślinienie - takie same objawy, jakich David doświadczył poprzedniej nocy. Podobne symptomy choroby miało także sześć pielęgniarek z nocnej zmiany oraz, w znacznie większym nasileniu, sześciu zmarłych pacjentów Davida.

O wpół do siódmej Nikki zapadła w dziwny, ciężki sen, poprzedzony kilkoma atakami silnej biegunki. David szalał z niepokoju. Obawiał się, że nie zabrali córki ze szpitala na czas i że cokolwiek spowodowało śmierć jego pacjentów, zostało już także podane dziewczynce.

Postanowił jednak nie dzielić się swoimi obawami z Angelą - i bez tego była przerażona stanem Nikki. Zachował więc swoje podejrzania dla siebie, umierając z niepokoju, czy córka nie zaraziła się już ową tajemniczą chorobą, która zebrała tak obfite śmiertelne żniwo wśród jego podopiecznych. Pocieszał się jedynie myślą, że dolegliwości, na jakie skarżyły się pielęgniarki, ustępowały w krótkim czasie, co znaczyło, iż chore były dość krótko narażone na kontakt z wirusem. Miał nadzieję, że podobnie stało się z Nikki.

Calhoun przyjechał dokładnie o siódmej, z daleka wymachując trzymaną w ręku kartką papieru. W drugiej ręce niósł papierową torbę.

- Znalazłem aż dziewięciu ludzi z tatuażem - oświadczył.

- Ja zdobyłem informacje o dwudziestu - odparł David, starając się, by jego głos brzmiał bez troski, choć ani na chwilę nie przestawał myśleć o córce.

- Porównajmy je więc - zaproponował detektyw. Po usunięciu

powtarzających się na obu listach nazwisk sporządzony rejestr

obejmował dwadzieścia pięć osób.

Angela przygotowała prawdziwą ucztę, mając nadzieję, że poprawi jej to samopoczucie. Z uśmiechem poprosiła Davida, by nakrył do stołu w jadalni.

- Kupiłem wino - pochwalił się Calhoun, wyciągając z torby dwie butelki chianti.

Pięć minut później wszyscy troje siedzieli już przy stole, zjadając kurczaka z sarniną, jedno z ulubionych dań pani domu.

- Gdzie jest Nikki? - zapytał detektyw.

- Nie była głodna - wyjaśniła gospodyni.

- Czy dobrze się czuje?

- Miała trochę kłopotów z żołądkiem, zważywszy jednak na to, w jak nieoczekiwanych okolicznościach wróciła do domu, należało się tego spodziewać. Najważniejsze, że nie ma gorączki, a jej płuca są całkowicie czyste.

David zmarszczył brwi, ale nie odezwał się ani słowem.

- Co zrobimy teraz, kiedy mamy już listę ludzi z tatuażami? - zapytała Angela.

- Zajmiemy się równolegle dwiema rzeczami - powiedział Calhoun. -

Po pierwsze, sprawdzimy w komputerze dane o każdym z tych ludzi. To nie będzie trudne. Po drugie, zacznę ich kolejno przesłuchiwać. Muszę się dowiedzieć, gdzie u każdej z tych osób umieszczony jest tatuaż i czy ludzie ci nie mają nic przeciwko temu, by mi go pokazać. Skoro Hodges

uszkodził tatuaż mordercy, musiały pozostać jakieś tego ślady.

Niewątpliwie też tatuaż znajduje się w miejscu, które mogło ucierpieć podczas bójki, jeśli zatem ktoś ma wytatuowane małe serduszko na łopacie, nie będziemy się nim zajmować.

- Jakie wobec tego miejsce uznałby pan za najbardziej podejrzane? -

zapytała Angela. - Na przedramieniu?

- Chyba tak - zgodził się Calhoun. - Na przedramieniu lub na nadgarstku. Sądzę, że nie powinniśmy pomijać także zewnętrznej strony dłoni, choć bardzo rzadko zdarza się, żeby profesjonalny tatuaż umieszczono właśnie w tym miejscu. A ten, z którym mamy do czynienia, na pewno został wykonany przez zawodowca - tylko oni bowiem używają do barwienia skóry związków metali ciężkich.

- W jaki sposób chce pan uzyskać informacje z komputerowego banku danych? - zaniepokoił się David.

- Wszystko, czego potrzebujemy, to numery ubezpieczeń społecznych i daty urodzenia interesujących nas ludzi - odrzekł detektyw.

- Dane te zaś powinniśmy bez trudu uzyskać w szpitalu - dodał, zerkając na lekarza. Wilson skinął głową.

- Kiedy zdobędziemy te informacje, reszta będzie prosta: to zdumiewające, jak wiele można się dowiedzieć dzięki setkom banków danych funkcjonującym w świecie komputerów. Powstały całe przedsiębiorstwa żyjące z handlu informacjami. W zamian za drobną opłatę można uzyskać, praktycznie rzecz biorąc, wszystkie dane, jakich się zażąda.

- Sądzi pan, że owe przedsiębiorstwa mają dostęp do prywatnych banków informacji? - zdziwiła się Angela.

- Ależ oczywiście - stwierdził Calhoun. - Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, że każdy, kto ma komputer oraz modem, jest w stanie dowiedzieć się doprawdy zaskakujących rzeczy na temat dowolnie wybranego człowieka.

- Jakiego rodzaju danych szukają zwykle ludzie? - zapytała Angela.

- Wszystkich rodzajów - odparł detektyw. - Informacji o sytuacji finansowej, tego, czy ktoś był karany, przebiegu pracy zawodowej, listy nabywanych w ciągu życia przedmiotów, rejestru rozmów telefonicznych, danych dotyczących prowadzonej korespondencji, informacji na tematy osobiste. I zawsze znajdzie się w tym wszystkim coś interesującego - nawet jeśli ma się do czynienia z grupą dwudziestu pięciu, zdawałoby się, najnormalniejszych w świecie ludzi. Byłaby pani wstrząśnięta, wiedząc, co czasami ukrywają. Jeśli zaś chodzi o dwudziestu pięciu ludzi z tatuażami, rzecz może być jeszcze ciekawsza, oni bowiem nie będą zapewne zupełnie „normalni”.

- Czy zdobywał pan w ten sposób informacje, pracując w policji stanowej? - zapytała Angela.

- Zawsze - przytaknął Calhoun. - Ilekroć miałem kilku podejrzanych, sprawdzałem ich za pomocą komputerowego banku danych i ani razu nie zdarzyło mi się, bym nie natrafił na coś „brudnego”. Jeśli David ma rację, że morderca jest zwolennikiem eutanazji, to niewykluczone, że ma on jakieś dziwaczne przyzwyczajenia i zdarzało mu

się robić rzeczy, które trudno uznać za normalne: ocalił jakieś zwierzęta przed zaszlachtowaniem w rzeźni, był aresztowany za posiadanie w domu dziewięciu psów i tak dalej. Gwarantuję, że natkniemy się na wiele podobnych rzeczy. Będziemy jednak potrzebować jakiegoś specjalisty od komputerów, by pomógł nam dostać się do banku danych.

- Miałam kiedyś wielbiciela, który pracował w MTT - przypomniała sobie Angela. - O ile pamiętam, był komputerowym geniuszem.

- Kto to taki? - zapytał David. - Nigdy nie słyszałem o żadnym twoim byłym wielbicielu.

- Nazywa się Robert Scali - powiedziała Angela. - Czy sądzi pan, że będzie w stanie nam pomóc? - zwróciła się z pytaniem do Calhouna.

- Dlaczego nigdy nie słyszałem o tym facecie? - nie ustępował David.

- Nie opowiadałam ci przecież wszystkich szczegółów mojego życia - broniła się Angela. - Spotykałam się z nim przez krótki czas podczas pierwszego roku w Brown.

- Ale później miałaś z nim kontakt?

- Widzieliśmy się parę razy w ciągu kilku ostatnich lat - przyznała.

- Nie spodziewałem się czegoś takiego po tobie - burknął obrażony David.

- Och, proszę, daj spokój - jęknęła Angela. - Jesteś okropny.

- Myślę, że ktoś taki jak pan Scali z pewnością będzie mógł nam pomóc - oświadczył Calhoun. - Jeśli nie, jak już mówiłem, znam paru ludzi, którzy z przyjemnością zechcą za niewielką opłatą rozwiązać nasze problemy.

- Jeśli już o to chodzi, lepiej żeby udało nam się uniknąć

jakichkolwiek opłat - stwierdziła Angela, wstając, by posprzątać ze stołu.

**- Czy są jakieś szanse na otrzymanie z archiwum medycznego opisu
tatuażu pacjentów szpitala? - zapytał detektyw.**

**- Chyba tak - skinął głową David. - Większość lekarzy
prawdopodobnie wpisała je w rubrykę „cechy fizyczne”. Gdybym ja sam
zetknął się z tatuażem u chorego, także opisałbym go w jego karcie.**

**- Jestem pewien, że to pomoże usystematyzować naszą listę -
stwierdził Calhoun. - Chciałbym zacząć przesłuchania od tych, którzy
mają tatuaż na przedramieniu lub nadgarstku.**

- A co z ludźmi, którzy pracują w szpitalu? - zapytał David.

- Ci pójdą na pierwszy ogień - odrzekł detektyw. - Bez dwóch zdań.

**Mówiono mi, że Steve Shegwick ma tatuaż na przedramieniu, bardzo
chętnie więc z nim porozmawiam.**

**Angela wróciła z kuchni, pytając, czy ktoś ma ochotę na lody lub
kawę. David nie chciał niczego, natomiast Calhoun poprosił o jedno i
drugie.**

**Po deserze kobieta zapytała, jak powinni zaplanować następny
dzień.**

**- Ja zacznę przesłuchiwać podejrzanych pracowników szpitala -
oświadczył Calhoun. - Sądzę, że dla wszystkich nas będzie najlepiej, jeśli
sam poprowadzę śledztwo. Nie potrzebujemy kolejnych cegieł
wpadających przez wasze okna.**

- A ja jeszcze raz zajrzę do szpitalnego archiwum - powiedział

David. - Spróbuję uzyskać numery ubezpieczeń oraz daty urodzenia wszystkich ludzi znajdujących się na naszej liście. Przy okazji sprawdzę, czy w ich kartach chorobowych zostały umieszczone opisy tatuaży.

- Ja natomiast zostanę w domu z Nikki - stwierdziła Angela. -

Później zaś, kiedy będziemy już mieli numery ubezpieczeń oraz daty urodzenia, zawiozę je do Cambridge.

- Czemu nie wyślesz ich po prostu faksem?

- Chcę prosić mojego przyjaciela o przysługę - wyjaśniła Angela. -

Nie mogę tego załatwić za pomocą faksu.

David niechętnie wzruszył ramionami.

- A co z tym radiologiem, doktorem Holsterem? - zapytał Calhoun. -

Ktoś powinien z nim pomówić. Chętnie bym się tego podjął, ale uważam, że lepiej, jeśli tę rozmowę przeprowadzi lekarz.

- O tak - potwierdził David. - Zapomniałem o tym. Zobaczę się z nim jutro po wizycie w archiwum.

Calhoun podniósł się z miejsca.

- Dziękuję za jedną z najlepszych kolacji, jakie jadłem w życiu - powiedział, klepiąc się po brzuchu. - Sądzę, że już czas, bym odwiózł siebie i mój żołądek do domu.

- Kiedy znowu będziemy mieli okazję z panem porozmawiać? - spytała Angela.

- Gdy tylko będziemy mieli sobie nawzajem coś do powiedzenia - odrzekł detektyw. - Teraz oboje powinniście się trochę przespać. Mam wrażenie, że tego potrzebujecie.

Rozdział 23

Sobota, 30 października

Choć przez całą noc Nikki dokuczał ból żołądka i biegunka, nad ranem poczuła się znacznie lepiej. Wciąż jeszcze nie można jej było uznać za całkowicie zdrową, ale nie gorączkowała i pozostawała zupełnie przytomna. David doznał niebotycznej ulgi. Stan zdrowia żadnego z jego szpitalnych pacjentów nie polepszył się ani trochę, skoro już raz wystąpiły zwiastujące nieszczęście objawy. Miał niemal całkowitą pewność, że choroba córki będzie przebiegać podobnie jak u niego, a także pielęgniarek.

Angela obudziła się przygnębiona, ani na chwilę nie mogąc oderwać myśli od ich problemów z pracą. Była zdumiona dobrym samopoczuciem męża. Teraz, kiedy Nikki wracała już do zdrowia, David przyznał się żonie do straszliwych obaw, jakie żywił poprzedniego dnia.

- Powinieneś mi powiedzieć - stwierdziła z pretensją w głosie.

- To by nic nie pomogło - odparł David.

- Czasami strasznie mnie złościsz - westchnęła.

Wbrew swoim słowom podeszła jednak do niego i uściskała go, szepcząc, że bardzo go kocha.

Czułą chwilę przerwał im dzwonek telefonu. Dzwonił doktor

Pilsner. Chciał się dowiedzieć, jak czuje się Nikki. Pragnął też zwrócić im uwagę, jak ważne jest dalsze podawanie dziewczynce antybiotyku i robienie inhalacji.

- W pełni stosujemy się do wszystkich pańskich wskazówek -

zapewniła go Angela, która podniosła słuchawkę w sypialni, podczas gdy

David przysłuchiwał się rozmowie z aparatu w łazience.

- Wkrótce wyjaśnimy panu, czemu w takim pośpiechu zabraliśmy

córkę ze szpitala - obiecał Wilson. - Na razie proszę jedynie przyjąć nasze

najgorętsze przeprosiny. Przeniesienie Nikki do domu nie miało nic

wspólnego z pańską opieką nad nią.

- Jedyłą moją troską jest to, by polepszył się stan zdrowia pańskiej

córki - zapewnił go pediatra.

- Jesteśmy panu ogromnie za to wdzięczni - powiedziała Angela. -

Jeśli zaś uważa pan, że konieczna jest dalsza hospitalizacja, umieścimy ją

w szpitalu w Bostonie.

- A więc poinformujcie mnie państwo, kiedy to uczynicie - odparł

oschle doktor Pilsner.

- Ależ był poirytowany - stwierdził David, odłożywszy słuchawkę.

- Trudno go za to winić - westchnęła Angela. - Uważa zapewne, że

jesteśmy szaleni.

Rodzice pomogli Nikki w inhalacjach i terapii oddechowej,

opukując jej na zmianę plecy, kiedy przyjęła już właściwą do zabiegu

pozycję.

- Czy będę mogła iść w poniedziałek do szkoły? - zapytała

dziewczynka.

- Możliwe, że tak - odparła matka. - Na razie jednak wolałabym nie

wzbudzać w tobie próżnych nadziei.

- Nie chcę mieć zbyt dużych zaległości - upierała się Nikki. - Czy

Caroline może do nas przyjechać i dać mi lekcje?

Angela zerknęła na Davida, który siedział na brzegu łóżka córki i w zamyśleniu głaskał Rusty'ego. Przez chwilę Wilsonowie patrzyli sobie w oczy, porozumiewając się bez słów: oboje wiedzieli, że nie mogą już dłużej utrzymywać przed córką w tajemnicy śmierci przyjaciółki, niezależnie od tego, z jakim trudem miałyby przyjąć im wyjawienie tej smutnej prawdy.

- Jest coś, co musimy ci powiedzieć - powiedziała łagodnie matka. -

Strasznie nam przykro, ale Caroline... odeszła.

- To znaczy umarła? - zapytała Nikki.

- Tak - skinęła głową kobieta.

- Och! - zawołała dziewczynka. - No cóż, bywa i tak - dodała obojętnym z pozoru tonem.

Angela ponownie poszukała spojrzeniem wzroku Davida.

Mężczyzna wzruszył ramionami, nie wiedząc, co jeszcze mógłby dodać do słów żony. Zdawał sobie sprawę, że nonszalancja Nikki jest zwykłą reakcją obronną; podobnie zareagowała na śmierć Marjorie. Poczul ściskający mu gardło gniew, kiedy pomyślał, że oba te zgony mogły zostać spowodowane przez jakiegoś szaleńca.

Tym razem - szybciej niż w wypadku Marjorie - Nikki poddała się ogarniającej ją rozpacz. Rodzice czynili, co tylko było w ich mocy, aby ją pocieszyć. Oboje wiedzieli, jak straszliwym ciosem jest to dla ich córki:

Caroline nie tylko była przyjaciółką Nikki, lecz także cierpiała na tę samą co ona chorobę.

- Czyja również umrę? - zapytała dziewczynka, szlochając.

- Nie - odrzekła stanowczo Angela. - Ty czujesz się znakomicie i w ogóle nie gorączkujesz, podczas gdy Caroline miała bardzo wysoką temperaturę.

Wspólnym wysiłkiem udało im się jakoś uspokoić Nikki i David wsiadł na rower, by pojechać do szpitala. W archiwum natychmiast przystąpił do poszukiwania interesujących go informacji - numerów polis ubezpieczeniowych i dat urodzenia ludzi, których nazwiska znajdowały się na sporządzonej przez Calhouna liście.

Skończywszy, kazał komputerowi odszukać wszystkie znajdujące się w kartach chorobowych opisy tatuaży. Zanim jednak uzyskał żądane informacje, poczuł, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu. Odwrócił się i zobaczył za sobą Helen Beaton. Towarzyszył jej Joe Forbs z ochrony szpitala.

- Czy mógłby pan wyjaśnić, co pan tu robi? - zapytała Beaton.

- Po prostu korzystam z komputera - odrzekł David.

Nie spodziewał się, że w sobotnie przedpołudnie zostanie w szpitalu kogokolwiek z pracowników administracji.

- Powiedziano mi, że nie jest pan już pracownikiem CMV - powiedziała Beaton.

- To prawda - skinął głową David. - Ale...

- Pańskie przywileje szpitalne wiązały się z zatrudnieniem w CMV - przerwała Beaton. - Skoro zaś już pan tam nie pracuje, nasz zarząd musiałby wydać specjalną zgodę, by miał pan wstęp na teren szpitala.

Dopóki pan takiej zgody nie uzyska, nie ma pan prawa korzystać z

naszego komputera. Czy byłby pan tak dobry i odprowadziłby doktora Wilsona do wyjścia? - zapytała Forbsa Helen Beaton.

David z rezygnacją podniósł się z krzesła. Wiedział, że wszelkie protesty są bezcelowe. Spokojnie zebrał swoje papiery, ciesząc się, że Beaton nie wpadła na pomysł odebrania mu tych dokumentów.

„A więc teraz wyrzucono mnie ze szpitala również w sensie dosłownym” - powiedział do siebie, rozmyślając o swojej krótkiej wizycie w archiwum. Nie zrażony tym jednak udał się na oddział radioterapii, mieszczący się w osobnym, supernowoczesnym budynku, zaprojektowanym przez tego samego architekta, którego dziełem był Imaging Center. Mimo sobotniego ranka w poczekalni oddziału znajdował się tłum pacjentów i David musiał czekać prawie pół godziny, zanim doktor Holster poprosił go do środka.

Radiolog był tylko o dziesięć lat starszy od Davida, ale wyglądał na więcej. Włosy miał całkowicie siwe, niemal białe. Mimo że czekało nań tego dnia jeszcze mnóstwo zajęć, okazał się nadzwyczaj gościnnie.

Zaproponował nawet Davidowi filiżankę kawy.

- Co mogę dla pana uczynić, doktorze Wilson? - zapytał po wymianie powitalnych uprzejmości.

- Proszę zwracać się do mnie po imieniu - odparł David. - Chciałbym

zadać panu kilka pytań na temat doktora Hodgesa.

- To raczej dziwna prośba - stwierdził zaskoczony Holster. - Nie do

końca rozumiem, o co panu chodzi. Dlaczego interesuje pana ten lekarz?

- To długa historia - odrzekł David. - Ujmując rzecz w skrócie:

miałem

kilku

pacjentów

z

podobnymi

dolegliwościami,

jakie

zaobserwował u niektórych swoich podopiecznych doktor Hodges. Paru

spośród tych ludzi było również pańskimi pacjentami.

- Zatem niech pan pyta.

- Zanim zaczniemy - powiedział David - chciałbym również prosić,

by treść tej rozmowy pozostała między nami.

- Muszę przyznać, że naprawdę rozpałił pan moją ciekawość -

uśmiechnął się Holster. - Zgoda. Obiecuję, że nikt nie dowie się, o czym

mówiliśmy.

- Słyszałem, że doktor Hodges widział się z panem tego dnia, kiedy

zniknął.

- Ściśle mówiąc, zjedliśmy razem lunch - skinął głową Holster.

- O ile wiem, doktor Hodges chciał się z panem zobaczyć w związku

z pacjentem o nazwisku Clark Davenport.

- Zgadza się - przytaknął radiolog. - Przedyskutowaliśmy dokładnie ten przypadek. Niestety, pan Davenport właśnie wtedy umarł. Leczyłem go na raka prostaty, ale sukces, jakim zakończyła się ta terapia, przedłużył mu życie zaledwie o cztery czy pięć miesięcy. Zarówno doktor Hodges, jak i ja byliśmy zaskoczeni i zasmuceni jego zgonem.

- Czy doktor Hodges kiedykolwiek wspominał, jaka była bezpośrednia przyczyna śmierci Davenporta?

- Chyba nie - odrzekł Holster. - Z tego, co mówił, zrozumiałem, że chodziło po prostu o następstwa choroby nowotworowej. Cemu pan pyta?

- Davenport umarł na wstrząs septyczny po serii ogromnie silnych drgawek. Nie sądzę, by to wiązało się z jego rakiem.

- Nie wiem, skąd ta opinia - zdziwił się Holster. - Opisane przez pana objawy sugerują właśnie, iż przerzuty nowotworowe pojawiły się także w mózgu.

- Badanie MRI niczego nie wykazało - zaznaczył David. - Oczywiście nie było sekcji zwłok, zatem nie możemy mieć stuprocentowej pewności.

- Ogniska przerzutu mogły być liczne, ale tak niewielkie, że aparat MRI nie był w stanie ich wykryć - zauważył Holster.

- Czy doktor Hodges wspominał, iż w przebiegu choroby Davenporta wystąpiło coś dziwnego bądź nieoczekiwanego?

- Wyłącznie jego zgon.

- Czy w czasie lunchu rozmawialiście o czymś jeszcze?

- Raczej nie. Nie przypominam sobie żadnych innych tematów.

Kiedy skończyliśmy jeść, zapytałem Dennisa, czy miałby ochotę pójść ze mną do centrum radioterapii i obejrzeć nowy aparat, który otrzymaliśmy dzięki jego staraniom.

- Co to za aparat? - zapytał David.

- Akcelerator liniowy - odrzekł Holster z taką dumą, jakby mówił o swoim dziecku. - Mamy jeden z najlepszych aparatów, jakie kiedykolwiek wyprodukowano. Dennis nigdy go nie widział, choć wielokrotnie wybierał się, by obejrzeć ten cud techniki. Wstąpiliśmy więc na oddział radioterapii i pokazałem mu go. Był naprawdę pod wrażeniem. Och, zresztą mogę pokazać go i panu.

Zanim David zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Holster stał już w drzwiach. Dogonił radiologa dopiero w połowie pozbawionego okien korytarza. Wilson nie był wprawdzie w nastroju do oglądania aparatu radiologicznego, ponieważ jednak chciał być uprzejmy, nie miał wyboru. Wkrótce znaleźli się w sali wypełnionej supernowoczesnym sprzętem medycznym.

- Oto i on - oświadczył dumnie radiolog, z czułością gładząc wykonaną ze stali nierdzewnej maszynę. Akcelerator wyglądał podobnie jak aparatura do wykonywania prześwietleń za pomocą promieni rentgenowskich, tyle że połączony był ze specjalnym stołem do badań. - Gdyby nie doktor Hodges i jego ogromne oddanie sprawom szpitala, nigdy nie mielibyśmy tutaj tego cudu. Nadal mielibyśmy używać starego sprzętu.

- A co było złego w starym? - zapytał David, przyglądając się imponującej aparaturze.

- Nic złego - wzruszył ramionami Holster. - Była to po prostu przestarzała maszyna kobaltowa, za pomocą której nigdy nie udało się osiągnąć tak dobrych wyników, jak przy tym aparacie. Ponadto zawsze istnieje fizyczna trudność, kiedy ma się do czynienia z tych rozmiarów bombą kobaltową: bądź co bądź, miała ona przecież około czterech cali długości. W rezultacie promieniowanie gamma rozchodziło się we wszystkich kierunkach i niełatwo było o dobrą, chroniącą przed nim izolację.

- Rozumiem - odparł David, choć wcale nie był pewien, czy rzeczywiście pojmuje, o czym mówił radiolog. Fizyka nigdy nie była jego mocną stroną.

- Akcelerator liniowy jest o wiele lepszy - ciągnął Holster. -

Wypuszcza ściśle określoną wiązkę promieni, którą można precyzyjnie sterować. Poza tym aparat kobaltowy wymagał, by co jakieś pięć lat zmieniano izotop, jako że okres połowicznego rozpadu w wypadku kobaltu 60 wynosi około sześciu lat.

David z trudem powstrzymywał ziewanie. Wyjaśnienia doktora Holstera przypominały mu szkołę medyczną.

- Ten stary aparat kobaltowy też jeszcze tu jest - powiedział radiolog. - Znajduje się w podziemiach szpitala. O ile wiem, zarząd chce go sprzedać do Paragwaju czy Urugwaju, nie pamiętam dokładnie. Tak właśnie postępuje większość szpitali, kiedy udaje im się zdobyć

nowoczesną aparaturę: sprzedaje przestarzały sprzęt do któregoś z krajów rozwijających się. Bądź co bądź, te stare aparaty wciąż są sprawne. W dodatku mają tę zaletę, że bardzo rzadko się psują, ponieważ kobalt wysyła promieniowanie gamma bez przerwy, dwadzieścia cztery godziny na dobę, w słońce czy w deszcz.

- Chyba zabrałem panu już zbyt wiele czasu - powiedział David, mając nadzieję, że uda mu się zakończyć spotkanie, zanim Holster rozgada się na dobre.

- Doktor Hodges był bardzo zainteresowany, kiedy prezentowałem mu ten aparat - dodał radiolog. - Gdy wspomniałem, że poprzednie wyposażenie nigdy się nie psuło i pod tym względem przewyższało nowy akcelerator, jego twarz wprost się rozjaśniła. Zażądał nawet, bym pokazał mu ów stary aparat. A może i pan miałby ochotę go obejrzeć?

- Myślę, że na dziś mi wystarczy - odparł David, zastanawiając się, jak Helen Beaton i Forbs zareagowałyby, gdyby tak szybko wrócił do szpitala po tym, jak go stamtąd wyrzucono.

Pięć minut później przejeżdżał już rowerem przez most na rzece Roaring. Ten ranek nie okazał się tak owocny, jak to sobie obiecywał, ale przynajmniej zdobył numery ubezpieczeń oraz daty urodzenia.

Pedałując, rozmyślał nad tym, czego dowiedział się od doktora Holstera. Żałował, że zamordowany lekarz nie zwierzył się radiologowi z żadnych swych podejrzeń. Nagle przypomniał sobie, że podobno Hodgesa ucieszyła wiadomość, iż stary kobaltowy aparat nigdy się nie psuł.

Zastanawiał się, czy lekarza rzeczywiście to zaciekawilo, czy też jedynie

udawał

zainteresowanie,

by

zrobić

przyjemność

radiologowi.

Przypuszczał, że raczej to drugie. Holster uważał pewnie, iż akcelerator liniowy wywarł piorunujące wrażenie nawet na Davidzie.

Calhoun spał do późna, dlatego też do Bartlet dotarł dopiero koło południa. Po drodze podjął decyzję, że będzie przesłuchiwał znajdujących się na jego liście ludzi w kolejności alfabetycznej. Oznaczało to, że na pierwszy ogień pójdzie Clyde Devonshire.

Zatrzymał się obok baru przy Main Street, aby wypić dużą kawę i zajrzeć do książki telefonicznej. Wypisawszy z niej pięć adresów, udał się do Clyde'a.

Devonshire mieszkał nad pobliskim sklepem. Calhoun wdrapał się na górę i zadzwonił do drzwi. Nie doczekawszy się odpowiedzi, nacisnął dzwonek jeszcze raz.

Po trzecim dzwonku zrezygnował z dalszych prób i zszedł na dół do sklepu, gdzie kupił sobie nową paczkę cygar „Antonio y Cleopatra”.

- Szukam Clyde'a Devonshire'a - powiedział do sprzedawcy.

- Wyszedł wcześniej rano - odparł mężczyzna. - Pewnie jest w pracy.

Bardzo często pracuje w weekendy: jest pielęgniarzem w szpitalu.

- O której zwykle wraca?

- Gdzieś między wpół do czwartej i czwartą, jeżeli nie ma nocnego dyżuru.

Calhoun pożegnał się, raz jeszcze wszedł na górę i znów zadzwonił do drzwi. Kiedy i tym razem nikt mu nie odpowiedział, nacisnął klamkę.

- Dzień dobry! - zawołał, stając w progu.

Nie będąc już pracownikiem policji, nie musiał martwić się o

sądowe nakazy rewizji i tym podobne rzeczy. Bez najmniejszych skrupułów wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Mieszkanie było umeblowane skromnie, ale schludnie. Na stojącym w bawialni stoliku do kawy odkrył stos gazetowych wycinków dotyczących

Jacka Kevorkiana, głośnego lekarza, „przyjaciela samobójców” z

Michigan. Były tam także inne, liczne artykuły na temat pomagania ludziom w samobójstwach.

Calhoun uśmiechnął się, wspominając, jak mówił Wilsonom, że

dowiedzą się jeszcze wielu dziwnych rzeczy na temat figurujących na jego

liście ludzi. Z całą pewnością pomaganie w samobójstwach oraz eutanazja

miały ze sobą wiele wspólnego i David będzie miał chyba ochotę zamienić

z Clyde'em Devonshire'em parę słów.

Stąpając ostrożnie, Calhoun wszedł do sypialni. Tutaj także

panował porządek. Podeszedł do stojącego w pokoju biurka i zerknął na

leżące na blacie wycinki z gazet, szukając jakichś fotografii, ale niczego

nie znalazł. Otworzywszy wbudowaną w ścianę szafę, ujrzał za to wiele

przedmiotów, jakie w sex-shopach sprzedawano z myślą o masochistach.

Większość z nich wykonano z czarnej skóry, nabijanej ćwiekami ze stali

nierdzewnej oraz łańcuchów. Na półce leżał stos pornograficznych czasopism i wideokaset.

Calhoun zastanawiał się, czy komputerowy bank danych dysponuje informacjami na temat tego dziwactwa Devonshire'a.

Rozglądając się po mieszkaniu, detektyw szukał jakiegoś zdjęcia, na którym widać będzie tatuaż Clyde'a. Wprawdzie na drzwiach lodówki wisiały przymocowane magnesem liczne fotografie, ale żadna z przedstawionych na nich postaci nie miała na skórze tatuażu. Calhoun nie wiedział nawet, który z widocznych na zdjęciach mężczyzn jest Clyde'em Devonshire'em.

Detektyw miał właśnie wrócić do bawialni, kiedy usłyszał trzask zamykanych na parterze drzwi i kroki na schodach.

W pierwszej chwili przestraszył się, że zostanie przyłapany na progu w trakcie opuszczania mieszkania, po chwili jednak, zamiast uciekać, podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie.

- Clyde Devonshire? - zapytał ostro Calhoun.

- Tak - odparł mężczyzna, który miał właśnie nacisnąć klamkę z drugiej strony. - Co tu się, u diabła, dzieje?

- Nazywam się Phil Calhoun - odparł detektyw, podając mu swoją wizytówkę. - Czekalem na pana. Proszę wejść.

Clyde odłożył trzymaną w ręku torbę i sięgnął po wizytówkę.

- Jest pan detektywem? - zapytał.

- Owszem - skinął głową Calhoun. - Pracowałem w policji stanowej, dopóki gubernator nie uznał, że jestem już na to za stary. Wtedy zostałem

detektywem. Siedziałem tutaj, czekając na pański powrót do domu, ponieważ chciałem zadać panu kilka pytań.

- I przy okazji śmiertelnie mnie pan przeraził - dodał Clyde, kładąc dłoń na piersi i oddychając głęboko. - Nie przywykłem do tego, aby wracając do domu, zastawać w moim mieszkaniu obcych ludzi.

- Przepraszam - powiedział Calhoun. - Może powinienem zaczekać na schodach.

- Tam z pewnością nie byłoby panu tak wygodnie - odrzekł Clyde. -

Proszę usiąść. Napije się pan czegoś?

Devonshire położył torbę na kanapie i skierował się do kuchni.

- Mam kawę, lemoniadę i...

- A piwo? - przerwał mu detektyw.

- Jasne.

Kiedy Clyde wyjmował z lodówki butelki, Calhoun zajrzał do

brązowej torby, z którą gospodarz wrócił do domu. Znajdowały się w niej przedmioty podobne do tych, które leżały w szafie w sypialni.

.Devonshire wrócił do bawialni, trzymając w rękach dwie szklanki z

piwem. Zorientował się, że Calhoun zaglądał do jego torby, i postawiwszy piwo na stoliku do kawy, starannie zasunął zamek błyskawiczny.

- Moje zabawki - wyjaśnił.

- Zauważyłem - odrzekł detektyw.

- Lubi pan takie rzeczy?

- Ja już nie lubię niczego z tej branży - westchnął detektyw, zerkając na swego gospodarza.

Clyde liczył sobie około trzydziestu lat, był średniego wzrostu i miał

brązowe włosy. Sprawiał wrażenie kogoś, kto w szkole średniej z

powodzeniem grywał jako obrońca w drużynie futbolowej.

- O co chce pan zapytać? - Devonshire podał detektywowi piwo.

- Czy znał pan doktora Hodgesa?

- Czemu, u licha, interesuje się pan tym obrzydliwym facetem,

którego od wieków nie ma już pośród żywych? - zaśmiał się ironicznie

Clyde.

- Mam wrażenie, że pan za nim nie przepadał.

- To był wyjątkowy sukinsyn. Miał staroświeckie wyobrażenie na

temat roli pielęgniarza. Wie pan: ma być go widać, ale nie słyhać.

Oczekiwał, że każdy z nas będzie przynajmniej Clarą Barton.

- Kim była Clara Barton? - nie zrozumiał Calhoun.

- Sanitariuszką niosącą pomoc rannym podczas wojny secesyjnej -

odparł Clyde. - A także organizatorką Czerwonego Krzyża.

- Czy pan wie, kto zabił doktora Hodgesa?

- Nie ja, jeśli to pan miał na myśli - odrzekł Devonshire. - Jeśli

jednak dowie się pan tego, proszę dać mi znać. Z przyjemnością postawię

temu człowiekowi piwo.

- Czy ma pan na skórze tatuaż?

- Jasne, że mam - odrzekł z dumą Clyde. - I to niejeden.

- Gdzie?

- Chce pan zobaczyć?

- Tak - skinął głową detektyw.

Uśmiechając się, Devonshire zdjął koszulę i napiął mięśnie niczym prezentujący swe ciało kulturysta. Po chwili wybuchnął śmiechem. Wokół obu nadgarstków wytatuowane miał łańcuchy, a na jego prawym ramieniu pysznił się fantazyjny smok. Poza tym na piersiach widniały dwa skrzyżowane miecze.

- Te miecze zrobiono mi w New Hampshire, kiedy chodziłem jeszcze do szkoły średniej - powiedział. - Reszta pochodzi z San Diego.

- Czy mogę lepiej przyjrzeć się tatuazom na pańskich nadgarstkach?

- poprosił Calhoun.

- Och, nie - pokręcił głową Clyde, z powrotem zakładając koszulę. -

Nie chcę pokazywać panu wszystkiego za pierwszym razem. Gdybym to zrobił, już by pan nie wrócił.

- Jeździ pan na nartach?

- Od czasu do czasu - powiedział Devonshire. - Skacze pan z tematu na temat - dodał po chwili.

- Czy ma pan gogle?

- Wszyscy, którzy jeżdżą na nartach w Nowej Anglii, mają gogle - odrzekł Clyde. - Chyba że są masochistami.

Calhoun podniósł się z miejsca.

- Dziękuję za piwo - powiedział. - Czas już na mnie.

- Szkoda - uśmiechnął się pielęgniarz. - Dopiero zaczynałem się dobrze bawić.

Wsiadając do samochodu, Calhoun doznał ulgi, że opuścił mieszkanie Devonshire'a. Ten człowiek był doprawdy dziwny, może

nawet nieco szalony. Pozostawało pytanie, czy byłby zdolny do zamordowania Hodgesa? Z jakichś powodów nie pasował on jednak Calhounowi do roli mordercy. Był perwersyjnym dziwakiem, nie zabójcą. Mimo to wytatuowane na obu nadgarstkach mężczyzny łańcuchy niepokoiły detektywa, szczególnie że pielęgniarz nie pozwolił obejrzeć ich dokładnie.

Zastanawiające

było

także

zainteresowanie

Clyde'a

Kevorkianem - nie wiadomo, czy wynikało ono jedynie z niezdrowej ciekawości, czy też z sympatii do człowieka o podobnych poglądach. Na razie Devonshire miał nadal pozostać na liście podejrzanych - Calhoun chciał sprawdzić, jakie informacje na jego temat znajdzie w komputerowej bazie danych.

Następną osobą, którą chciał przesłuchać, był Joe Forbs. Z adresu wynikało, że mieszka w pobliżu college'u, niedaleko domu Cannonów.

Drzwi otworzyła mu szczupła, nerwowa kobieta o gęsto przetykanych siwizną ciemnych włosach. Detektyw przedstawił się, podając swoją wizytówkę, co jednak nie zrobiło na niej wrażenia. Kobieta znacznie bardziej od Devonshire'a przypominała typowego mieszkańca Nowej Anglii: miała zaciśnięte usta i nieżyczliwy wyraz twarzy.

- Pani Forbs? - zapytał Calhoun. Kobieta skinęła głową.

- Czy Joe jest w domu?

- Nie. Będzie pan musiał przyjść później.

- O której?

- Nie wiem. Każdego dnia wraca o innej porze.

- Czy znała pani doktora Dennisa Hodgesa? - zapytał Calhoun.

- Nie.

- A czy może mi pani powiedzieć, w jakim miejscu pan Forbs zrobił sobie tatuaż?

- Będzie pan musiał przyjść później - powtórzyła kobieta.

- Czy pan Forbs jeździ na nartach? - nie dawał za wygraną detektyw.

- Bardzo mi przykro - powiedziała pani Forbs, zamykając drzwi.

Calhoun usłyszał, że zablokowała aż kilka zamków. Miał wrażenie, że wzięła go za człowieka z urzędu podatkowego.

Westchnął głęboko i wsiadł do swojej furgonetki. Jak na razie tylko jedna z dwóch wizyt zakończyła się pomyślnie. Nie zrażało go to jednak.

Miał teraz czas na sprawdzenie kolejnego nazwiska z listy: Claudette Maurice.

- Ho, ho - powiedział do siebie, parkując naprzeciwko domu kobiety.

Przypominał on raczej domek dla lalek niż budynek mieszkalny.

Tym, co zaniepokoiło Calhouna, były pozamykane od frontu okiennice.

Zbliżył się do drzwi i kilka razy zapukał, nigdzie bowiem nie zauważył dzwonka. Nie doczekał się jednak żadnej odpowiedzi. Zerknął na skrzynkę na listy i przekonał się, że jest prawie pełna.

Po chwili namysłu skierował się ku sąsiedniej posesji. Szybko uzyskał odpowiedź na pytanie, dlaczego dom jest zamknięty: Claudette wyjechała na wakacje. Była teraz na Hawajach.

Zniechęcony wrócił do furgonetki. Teraz już stosunek sukcesów do porażek wynosił jeden do dwóch. Odczytał kolejne nazwisko ze swojej listy: Werner Van Slyke.

Przez chwilę rozważał, czy warto spotykać się z tym człowiekiem, skoro już raz z nim rozmawiał, uznał jednak, że nie zawadzi odwiedzić go po raz wtóry. Podczas pierwszej wizyty nie wiedział przecież nic o tatuażu Van Slyke'a.

Szef działu technicznego szpitala mieszkał w południowo-wschodniej części miasta, w cichej dzielnicy, gdzie wszystkie budynki stały w pewnej odległości od ulic. Calhoun zatrzymał samochód obok rzędu wozów zaparkowanych naprzeciwko jego domu.

Ku zdumieniu detektywa budynek, którego szukał, okazał się zrujnowaną ruderą gwałtownie domagającą się remontu. Zupełnie nie robił wrażenia domu, w którym mógłby mieszkać szef służb technicznych szpitala. Po plecach detektywa przebiegł dreszcz.

Zapalił cygaro i łyknął z termosu zimnej już teraz kawy, obrzucając zrujnowane domostwo uważnym spojrzeniem. Nie dostrzegł żadnych śladów życia.

Pomyślał, że jeśli nawet gospodarza nie ma w domu, może rozejrzeć się nieco, podobnie jak uczynił to w domu Clyde'a Devonshire'a, wysiadł zatem z furgonetki i przeszedł na drugą stronę ulicy. Z bliska dom

wyglądał jeszcze gorzej - pod oknami leżały gnijące śmieci.

Dzwonek przy drzwiach nie działał. Calhoun nacisnął go parę razy, ale do jego uszu nie dobiegł żaden dźwięk. Pukanie również nie przyniosło żadnego odzewu. W końcu dał spokój frontowym drzwiom i obszedł dom dookoła.

Na tyłach budynku znajdowała się przerobiona na garaż stajnia.

Calhoun nie zadał sobie nawet trudu, by się jej dokładnie przyjrzeć, spróbował natomiast zajrzeć do środka domu przez jedno z okien. Nie było to łatwe z powodu bardzo brudnych szyb. Dostrzegł podwójne drzwi, zamknięte na stary, zardzewiały zamek. Podejrzewał, że kryją się za nimi schody do piwnicy.

Wróciwszy do frontowego wejścia, zatrzymał się na chwilę i rozejrzał, by upewnić się, czy nikt go nie obserwuje, po czym nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte.

Chcąc mieć stuprocentową pewność, że w domu nie ma nikogo, jeszcze raz, z całej siły, głośno zastukał. Zadowolony z siebie, sięgnął ręką do klamki, zanim jednak zdążył wykonać jakikolwiek ruch, drzwi otworzyły się na oścież. Przestraszony, ujrzał przed sobą wpatrującego się weń podejrzliwie Van Slyke'a.

- Czego, do diabła, pan chce? - zapytał mężczyzna. Żeby odpowiedzieć, detektyw musiał wyjąć z ust cygaro.

- Proszę wybaczyć, że pana niepokoję. Przez przypadek znalazłem się w pobliżu i pomyślałem, że do pana zajrzę. Mam jeszcze kilka pytań. Ale może przyszedłem nie w porę?

- Nie, wszystko w porządku - odrzekł Van Slyke po chwili milczenia.

- Niestety, nie będę mógł poświęcić panu zbyt wiele czasu.

- Nigdy nie nadużywam cudzej gościnności - zapewnił go Calhoun.

Beaton musiała kilkakrotnie zapukać do gabinetu Traynora, zanim usłyszała kroki mężczyzny idącego otworzyć jej drzwi.

- A więc wciąż tu jesteś - powiedziała.

Traynor wpuścił ją do środka i starannie zamknął drzwi na klucz.

- Tak wiele czasu zabiera mi zajmowanie się sprawami szpitala, że niekiedy muszę spędzać tu noce i weekendy, żeby nadrobić zaległości.

- Nie od razu odgadłam, gdzie powinnam cię szukać - powiedziała

Beaton.

- Jak mnie wobec tego znalazłaś?

- Zadzwoiłam do ciebie do domu - odrzekła kobieta - i zapytałam twoją żonę, gdzie jesteś.

- Była dla ciebie uprzejma? - spytał Traynor, opadając na swój ulubiony fotel. Przed nim, na biurku, piętrzył się stos przeróżnych dokumentów.

- Nieszczególnie - przyznała Beaton.

- Wcale mnie to nie dziwi - uśmiechnął się blado prezes zarządu.

- Muszę pomówić z tobą na temat tych młodych ludzi, których przyjęliśmy do pracy ostatniej wiosny. Nie poszczęściło się im: oboje zostali wczoraj wyrzuceni z pracy. On był lekarzem CMV, ona natomiast pracowała u nas na oddziale patologii.

- Pamiętam ją - skinął głową Traynor. - To ta, za którą Wadley

chodził jak pies podczas pikniku.

- Właśnie z tego powodu cię szukałam - westchnęła Beaton. - Kiedy

Wadley wyrzucił ją z pracy, ta kobieta przyszła do mnie, skarżąc się, że była przez niego molestowana seksualnie, i grożąc, że zaskarży szpital do sądu. Kiedyś, na długo przed zwolnieniem, była też u Cantora i złożyła podobne zażalenie. Cantor to potwierdza.

- Czy Wadley miał powód, żeby ją zwolnić?

- Jego zdaniem tak - powiedziała Beaton. - Ma dowody na to, że uporczywie opuszczała miasto w godzinach pracy, nawet po tym, jak ostrzegął ją, by tego nie robiła.

- Wobec tego nie ma powodu do zmartwień - wzruszył ramionami

Traynor. - Jeśli tylko miał rzeczywisty powód, żeby ją wyrzucić, nic nam nie grozi. Wiem, jak zareagują nasi sędziowie, wysłuchawszy jej zarzutów: oddalą skargę, wygłaszając przy tym wykład na temat stosunku młodych ludzi do obowiązków służbowych.

- Mimo to ta sprawa mnie denerwuje - powiedziała Beaton. - A ten

jej mąż, doktor David Wilson, chociaż nie jest już pracownikiem CMV, nadal przyjeżdża do szpitala. Sprawia wrażenie, jakby za czymś węszył.

Dziś rano kazałam strażnikowi wyprowadzić go z archiwum, a wczoraj po południu szukał w naszym komputerze informacji na temat zgonów pacjentów.

- Po co, u diabła?

- Nie mam pojęcia.

- Twierdziłaś jednak, że kartoteka zmarłych pacjentów jest w

całkowitym porządku - przypomniał Traynor. - Cóż więc za różnica, czy ten człowiek zagląda do niej, czy nie?

- We wszystkich szpitalach dane o zgonach pacjentów są informacjami poufnymi - odparła Beaton. - Statystyki śmiertelności nie podaje się do wiadomości publicznej, ponieważ mogłoby to zaszkodzić reputacji placówki. A tego szpital z pewnością nie potrzebuje.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - skinął głową Traynor. -

Utrzymanie Wilsona z dala od naszych archiwów nie powinno jednak być zbyt trudne, skoro CMV zwolniło go z pracy. A tak na marginesie: czemu tak się stało?

- Miał bardzo słabą wydajność - wyjaśniła Beaton. - Z uporem też odmawiał podporządkowania się programowi oszczędnościowemu, szczególnie jeśli chodziło o hospitalizację.

- No to i my z pewnością nie będziemy za nim tęsknić - uśmiechnął się Traynor. - Zdaje się, że powinienem wysłać Kelleyowi butelkę szkockiej za to, że wyświadczył nam tę przysługę.

- Mimo to ta rodzina mnie niepokoi - nie ustępowała Beaton. -

Wczoraj wdarli się do szpitala i zabrali stąd swoją córkę. Wiesz, to dziecko chore na mukowiscydozę. Wbrew zaleceniom pediatry odwieźli ją do domu.

- Nic z tego nie rozumiem - zmarszczył brwi Traynor. - Zachowali się jak szaleńcy. Jak czuło się to dziecko? Czyżby mieli zastrzeżenia do opieki, jaką otaczano tu dziewczynkę?

- Rozmawiałam z jej pediatrą i on zapewnił, że stan malej cały czas

się poprawiał - odrzekła Beaton.

**- W takim razie i w tym wypadku nie mamy powodu do zmartwień -
skonstatował Traynor.**

**Zaopatrzona w numery ubezpieczeń społecznych oraz daty
urodzenia interesujących ich ludzi Angela wyruszyła do Bostonu. Rano
zadzwoiła do Roberta Scaliego i umówiła się z nim na spotkanie, nie
wyjaśniając, w jakim celu się do niego wybiera. Zabrałoby to jej zbyt wiele
czasu, a prócz tego zdawała sobie sprawę, że mężczyzna pewnie nie
uwierzyłby w jej historię.**

**Na miejsce spotkania wybrali jedną z licznych, małych hinduskich
knajpek przy Central Square w Cambridge. Kiedy Angela weszła do
restauracji, Robert już na nią czekał. Na widok kobiety podniósł się z
miejsca i odsuwając krzesło, pomógł jej usiąść przy stoliku.**

Pocałowała go w policzek i natychmiast przeszła do rzeczy.

**Wyjawiła swoją prośbę i wręczyła mu sporządzoną przez Calhouna listę
nazwisk.**

**- A więc chcesz tylko, żebym dostarczył ci informacji na temat tych
ludzi? - upewnił się Robert. - Miałem nadzieję, że zadzwoniłaś tak nagle z
nieco bardziej osobistego powodu - westchnął. - Liczyłem na to, że po
prostu chciałaś się ze mną zobaczyć...**

**Angela poczuła się dość niezręcznie. Dawniej, kiedy spotykała się z
Robertem, nigdy nie czynił żadnych aluzji do łączącej ich niegdyś
sympatii.**

Uznała, że najlepiej będzie postawić sprawę jasno. Zapewniła

przyjaciela, że jest bardzo szczęśliwa w małżeństwie i że chciała się z nim spotkać wyłącznie dlatego, iż potrzebuje jego pomocy.

Jeśli nawet Robert był rozczarowany tym oświadczeniem, nie dał tego po sobie poznać. Wyciągnął rękę i lekko uściśnął jej dłoń.

- Ogromnie się cieszę, że cię widzę. Wszystko jedno z jakiego powodu - powiedział. - I będę szczęśliwy, mogąc ci pomóc. Jakich dokładnie danych szukasz?

Angela wyjaśniła, iż mówiono jej, że za pomocą sieci komputerowej można uzyskać wiele informacji o dowolnym człowieku, jeśli tylko dysponuje się numerem jego ubezpieczenia oraz datą urodzenia.

Robert roześmiał się serdecznym, gardłowym śmiechem, który Angela tak dobrze pamiętała z dawnych czasów.

- Nie masz nawet pojęcia, ilu rzeczy można się w ten sposób dowiedzieć - gdyby mi bardzo zależało, mógłbym nawet sprawdzić, za co Bill Clinton płacił w tym miesiącu kartami kredytowymi.

- Chciałabym otrzymać wszystkie możliwe informacje na temat tych ludzi - powiedziała Angela, wskazując listę.

- Czy zależy ci na jakichś konkretnych danych?

- Nie - pokręciła głową. - Chcę po prostu mieć wszystko, co tylko uda ci się zdobyć. Jeden z moich przyjaciół twierdzi, że w ten sposób można dowiedzieć się mnóstwa niezwykłych rzeczy.

- Co to za przyjaciel? - zapytał Robert.

- Cóż, ściśle rzecz biorąc, niezupełnie jest to mój przyjaciel, choć zaczynam już o nim w ten sposób myśleć - powiedziała Angela z

wahaniem. - Nazywa się Phil Calhoun. To emerytowany policjant, pracujący obecnie jako prywatny detektyw. Ja i David wynajęliśmy go.

Angela opowiedziała Robertowi w skrócie o wydarzeniach w

Bartlet, zaczynając od znalezienia w ich piwnicy zwłok Hodgesa, a

kończąc na hipotezie zakładu medycyny sądowej, że zabójca jest

wytatuowany. Wspomniała też o podejrzaniach jej męża, iż któryś z

pracowników szpitala dokonuje eutanazji na pacjentach.

- Mój Boże! - wykrzyknął Robert, kiedy Angela umilkła. - Zupełnie

burzysz moją romantyczną wizję spokojnego, wiejskiego życia.

- To wszystko jest jak zły sen - przytaknęła Angela.

- Sprawdzenie dwudziestu pięciu nazwisk zabierze mnóstwo czasu -

powiedział Robert. - Mam nadzieję, że byłaś na to przygotowana.

Zapewne nie uda mi się otrzymać wszystkich informacji na poczekaniu.

- Interesuje nas szczególnie ta piątka - powiedziała, zakreślając

nazwiska pracowników szpitala.

- Najszybciej otrzymamy dane na temat finansów tych ludzi,

dysponujemy bowiem specjalnym programem. Dowiemy się wszystkiego

o ich kartach kredytowych, rachunkach bankowych, przelewach

pieniężnych i długach. Dotarcie do innych danych nastręczy nieco więcej

trudności.

- Jakie będzie zatem twoje następne posunięcie?

- Myślę, że w celu uzyskania pozostałych informacji posłużę się

numerami ubezpieczeń społecznych - odrzekł Robert. - Zwrócę się o

pomoc do mojego przyjaciela z MIT-u, który na zlecenie agencji

rządowych zajmuje się pisaniem programów chroniących bazy danych.

- Sądysz, że ci pomoże?

- Peter Fong? Oczywiście. Na kiedy chcesz mieć te informacje?

- Na wczoraj - odparła z uśmiechem Angela.

- To właśnie jedna z tych rzeczy, które w tobie tak bardzo lubilem - powiedział Robert. - Wszystko robisz w takim pośpiechu... Chodźmy zatem zobaczyć się z Peterem.

Biuro Petera Fonga mieściło się na czwartym piętrze, na tyłach pomalowanego na kremowo budynku, pośrodku kampusu MIT-u.

Wyglądem przypominało bardziej laboratorium elektroniczne niż

biuro

-

wszędzie

stały

komputery,

lampy

oscylloskopy,

ciekłokrystaliczne ekrany, maszyny do pisania i inne elektroniczne urządzenia, których przeznaczenia Angela nie potrafiła się domyślić.

Peter Fong był energicznym Azjatem o oczach jeszcze ciemniejszych niż oczy Roberta. Od pierwszej chwili było widać, że obaj mężczyźni stanowią parę najlepszych przyjaciół.

Robert podał Peterowi listę i poprosił o znalezienie informacji na temat figurujących na niej ludzi.

- Zgadzam się z wami, że dobrze będzie zacząć od numerów

ubezpieczeń społecznych - odparł Peter, wysłuchawszy ich prośby. - Nie zaszkodzi jednak przeszukać również kartotekę FBI.

- To możliwe? - zdziwiła się Angela, dla której świat informacji komputerowej był czymś zupełnie nie znanym.

- Żaden problem - zapewnił ją Peter: - Mam w Waszyngtonie współpracownicę, Glorię Ramirez, z którą piszemy programy chroniące bazy danych. Z pewnością będzie wiedziała, jak dostać się do komputerowego archiwum FBI.

Peter szybko napisał na komputerze, o jakie informacje mu chodzi, po czym wsunął wydrukowaną kartkę w stojący obok faks.

- Zwykle komunikujemy się za pomocą faksu, ale w tym wypadku poprosiłem, by Gloria przesłała mi odpowiedź przez sieć komputerową.

Przy tej ilości danych ta droga będzie znacznie szybsza.

Po upływie zaledwie kilku minut zaczęły napływać pierwsze informacje. Trafiały one bezpośrednio na twarde dyski komputera Petera.

Informatyk nacisnął kilka klawiszy, chcąc, by przynajmniej część danych była jednocześnie wyświetlana na ekranie.

Angela popatrzyła na monitor, gdzie pojawiały się właśnie informacje dotyczące Joego Forbsa. Przeczytała, gdzie pracował wcześniej i jakiej wysokości składki płacił wówczas na ubezpieczenie.

Była naprawdę pod wrażeniem, jak łatwo przyszło Peterowi dowiedzieć się tak wielu rzeczy na temat interesującego ją człowieka.

Informatyk uruchomił drukarkę laserową i po chwili dane z ekranu

znalazły się także na papierze. Robert podszedł bliżej i wziął do ręki jedną z kartek. Angela zerknęła mu przez ramię: był to przebieg kariery zawodowej Wenera Van Slyke'a.

- Interesujące - mruknęła. - Służył w marynarce. Prawdopodobnie z tych czasów pochodzi jego tatuaż.

- Wielu rekrutów traktuje tatuaż jako pewien rytuał towarzyszący zaciąganiu się do armii - zauważył Robert.

W jeszcze większe zdumienie wprawił Angelę wydruk z rejestru spraw kryminalnych. Nie spodziewała się zbyt wielu informacji o przestępstwach - Bartlet, jej zdaniem, było niewielkim i spokojnym miasteczkiem - jednak podobnie jak wiele innych jej opinii na temat tej miejscowości, również ta okazała się mylna. Ze zdziwieniem odkryła na przykład, że Clyde Devonshire został sześć lat temu aresztowany i oskarżony o gwałt. Miało to miejsce w Norfolk, w Wirginii. Clyde odsiedział wówczas dwa lata w stanowym więzieniu.

- Macie, zdaje się, w tym miasteczku całkiem mile towarzystwo - zauważył sarkastycznie Scali.

- Ten człowiek pracuje w izbie przyjęć - powiedziała Angela. - Ciekawa jestem, czy ktokolwiek wie o jego przeszłości.

Robert grzebał przez chwilę w stercie wydrukowanych stron, szukając informacji na temat Clyde'a Devonshire'a.

- On także służył w marynarce - zawołał do Angeli, która nie odrywała wzroku od kartoteki kryminalnej. - Daty wskazują na to, że był w wojsku w tym samym czasie, kiedy aresztowano go za gwałt.

Angela podeszła do Roberta i zerknęła mu przez ramię na wydruk komputerowy.

- Popatrz na to - powiedział informatyk, wskazując kolejne daty. -

Po tym jak pan Devonshire wyszedł z więzienia, w przebiegu jego pracy zawodowej istnieje wiele luk. Widywałem już poprzednio podobne dokumenty. Prawdopodobnie jeszcze kilka razy był aresztowany albo też używał innych nazwisk.

- Dobry Boże! - westchnęła Angela. - Phil Calhoun uprzedzał, że będziemy zdumieni, jak wiele tajemnic kryje się w życiu pozornie najzwyczajniejszych pod słońcem obywateli. Bóg mi świadkiem, że miał rację.

W pół godziny później Angela i Robert opuścili gabinet Petera i niosąc całe pudełko wydruków komputerowych, poszli do pokoju Roberta.

Jego miejsce pracy przypominało wyposażeniem gabinet Petera.

Jedyną znaczącą różnicą było to, że pokój Roberta miał wychodzące na rzekę Charles okno.

- Poszukajmy wobec tego informacji na tematy finansowe - powiedział Robert, siadając przy swoim terminalu.

Wkrótce ekran zapelniał się rzędami cyfr. Mężczyzna uruchomił drukarkę i z podajnika z zaskakującą szybkością zaczęły spływać kolejne kartki papieru.

- To nieprawdopodobne - powiedziała z zachwytem Angela. - Nigdy nie sądziłam, że tak łatwo można dowiedzieć się tylu rzeczy o innych ludziach.

- A może tak dla zabawy zobaczymy, czego w ten sam sposób można by dowiedzieć się o tobie? - zaproponował Robert. - Jaki jest twój numer ubezpieczenia?

- Nie, dziękuję bardzo - wystraszyła się kobieta. - Zważywszy na długi, jakimi jesteśmy obciążeni, byłoby to nad wyraz przygnębiające.

- Dziś wieczorem postaram się zgromadzić jeszcze więcej materiałów dotyczących twoich podejrzanych - obiecał Robert. - Czasami łatwiej je o tej porze uzyskać ze względu na mniejsze obciążenie sieci.

- Ogromne dzięki - powiedziała Angela, usiłując podnieść dwa pudełka z wydrukami.

- Chyba lepiej będzie, jeśli ci pomogę - stwierdził Robert. Kiedy wszystkie dokumenty znalazły się już w bagażniku jej samochodu, Angela serdecznie uściskała przyjaciela.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedziała, uśmiechając się z wdzięcznością. - Ogromnie miło było cię zobaczyć.

Robert długo machał jej na pożegnanie. Angela obserwowała, jak jego postać stopniowo maleje we wstecznym lusterku samochodu.

Naprawdę uważała to spotkanie za bardzo mile, wyjąwszy może pierwsze chwile po przyjeździe, kiedy to niezręczna uwaga Roberta wprowadziła ją na moment w zakłopotanie. Nie mogła doczekać się powrotu do domu i przekazania Philowi Calhounowi zdobytych informacji.

- Wróciłam! - zawołała, wchodząc do domu i zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi, wróciła do samochodu po

drugie pudełko z papierami. Kiedy po raz wtóry przekraczała próg, w domu nadal panowała absolutna cisza. Z narastającym niepokojem Angela przeszła przez kuchnię i jadalnię do bawialni, gdzie ku swemu zaskoczeniu ujrzała pochylonego nad jakąś książką Davida.

- Czemu mi nie odpowiadasz? - zdziwiła się.

- Zawołałaś przecież, że wróciłaś - odrzekł spokojnie mężczyzna. -

Nie sądziłem, że czekasz, bym jakoś na to odpowiedział.

- O co ci chodzi? - zapytała Angela.

- O nic - powiedział David. - Jak się bawiłaś w towarzystwie twego dawnego wielbiciela?

- Ach, to w tym rzecz - westchnęła Angela. David wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się nieco dziwne, że przez cztery lata naszego pobytu w Bostonie ani razu nie wspomniałaś o tym człowieku, choć tak wiele kiedyś dla ciebie znaczył.

- Davidzie! - krzyknęła Angela, dotknięta do żywego. Podeszła bliżej i usiadła mężowi na kolanach, obejmując go za szyję.

- Nie miałam zamiaru zachowywać istnienia Roberta w sekrecie.

Gdyby tak było, to czyż teraz przyznałabym się do znajomości z nim?

Chyba wiesz, że kocham tylko ciebie i nikogo innego - uśmiechnęła się, całując Davida w czubek nosa.

- Dajesz słowo? - zapytał przekornie David.

- Słowo - odrzekła. - Jak się miewa Nikki?

- Całkiem dobrze. Zasnęła. Wciąż jest ogromnie przygnębiona

śmiercią Caroline, fizycznie jednak ma się wspaniale. A jak tobie udało się wyprawa?

- Nie uwierzysz - odrzekła Angela. - Chodź i sam zobacz. Zaciągnęła męża do kuchni i pokazała mu pudełko z dokumentami.

Mężczyzna, zaskoczony, wziął do ręki kilka leżących na wierzchu kartek.

- Miałaś rację - powiedział. - Nie mogę uwierzyć. Będziemy potrzebowali wielu godzin, żeby to przejrzeć.

- W takim razie dobrze się składa, że oboje jesteśmy bezrobotni - uśmiechnęła się Angela. - Przynajmniej mamy mnóstwo czasu.

- Cieszę się, że wrócił ci humor - roześmiał się David.

Wspólnie przyrządzili kolację i obudzili Nikki, by zjadła razem z nimi, mimo iż poruszanie się sprawiało dziewczynce trudności - wciąż miała podłączoną kroplówkę. Zanim usiedli do jedzenia, David zadzwonił do doktora Pilsnera. Wspólnie zdecydowali, że można już zaprzestać dożylnego podawania dziecku antybiotyków i że Nikki może teraz przyjmować je doustnie.

Podczas kolacji rozmawiali o konieczności powiadomienia swych rodziców, że stracili pracę w Bartlet. Oboje myśleli o tym z niechęcią.

- Nie rozumiem, czym się martwisz - wzruszył ramionami David. -

Twoja matka i ojciec będą prawdopodobnie zadowoleni. Nigdy nie chcieli, byśmy się tutaj osiedlili.

- Właśnie to wprawia mnie w takie przygnębienie - westchnęła Angela. - Chyba oszaleję, słysząc to ich „a nie mówiliśmy”.

Po kolacji pozwolili Nikki oglądać telewizję, sami zaś zajęli się przeglądaniem sterty wydruków komputerowych. David był coraz bardziej zdumiony ilością danych przywiezionych przez Angelę.

- To zabierze nam wiele dni - narzekał.

- Może powinniśmy skoncentrować się najpierw na ludziach związanych ze szpitalem - zaproponowała. - To tylko pięć osób.

- Dobry pomysł - skinął głową jej mąż.

Podobnie

jak

żona

uważał

informacje

o

popelnionych

przestępstwach za najbardziej obiecujące. Szczególnie poruszyła go wiadomość, że Clyde Devonshire nie tylko był aresztowany za gwałt, ale został także zatrzymany w Michigan, kiedy to włóczył się w pobliżu domu Jacka Kevorkiana. Pomaganie w samobójstwach i eutanazja budziły te same wątpliwości natury moralnej i David zastanawiał się, czy Devonshire mógł być ich „Aniołem Miłosierdzia”.

Zdumiało go także to, że Peter Ullhof był sześciokrotnie aresztowany podczas manifestacji pod instytutami świadomego rodzicielstwa i trzykrotnie przed klinikami, gdzie dokonywano aborcji. Oskarżano go przy tych okazjach o czynne i słowne znieważanie lekarzy.

- To interesujące - stwierdziła Angela, przeglądając dokumenty dotyczące przebiegu pracy zawodowej związanych ze szpitalem ludzi. - Cała piątka służyła w wojsku, włączając w to Claudette Maurice. Cóż za zbieg okoliczności!

- Może to właśnie dlatego wszyscy są wytatuowani - zastanawiał się David.

Kobieta skinęła głową. Przypomniała sobie słowa Roberta o tym, że tatuaż stanowi część rytuału związanego z wstępowaniem do armii. Pomogli Nikki wykonać ćwiczenia oddechowe i dopiero gdy położyli dziewczynkę spać, wrócili do porządkowania uzyskanych od Roberta informacji.

- Sądziłam, że Calhoun zadzwoni do nas jeszcze dzisiaj - odezwała się w pewnej chwili Angela. - Chętnie zasięgnęłabym jego opinii o tych danych, szczególnie na temat Clyde'a Devonshire'a.

- Calhoun jest człowiekiem bardzo niezależnym - stwierdził David. - Powiedział, że zadzwoni, kiedy będzie miał nam coś do powiedzenia.

- Cóż, w takim razie to ja zadzwonię do niego - zdecydowała Angela.

- Bądź co bądź, mamy mu coś niecoś do powiedzenia.

W mieszkaniu detektywa odezwała się jednak tylko automatyczna sekretarka. Angela postanowiła nie zostawiać żadnej wiadomości.

- Jedną z rzeczy, które budzą we mnie takie zdumienie - powiedział David, kiedy żona odłożyła słuchawkę - jest to, jak często ci ludzie zmieniali pracę.

Angela podeszła do męża i zerknęła na zestawienia dotyczące

przebiegu pracy zawodowej interesujących ich ludzi. Pochyliła się i sięgnęła po odłożoną przed chwilą przez Davida kartkę z informacjami na temat Van Slyke'a.

- Popatrz na to - powiedziała, wskazując na dokument. - Van Slyke przez dwadzieścia jeden miesięcy służył w marynarce.

- I co z tego? - zapytał David.

- Nie widzisz w tym nic niezwykłego? - zdziwiła się Angela. -

Sądziłam, że najkrótszy pobyt w marynarce wynosi trzy lata.

- Nie znam się na tym - wzruszył ramionami mężczyzna.

- Zwróć zatem uwagę, jak długo trwała służba Devonshire'a - nie ustępowała Angela, przeglądając papiery tak długo, aż znalazła właściwą kartkę. - Był w wojsku przez cztery i pół roku.

- Mój Boże! - zawołał David. - Czy uwierzysz? Joe Forbs trzykrotnie ogłaszał bankructwo. Jakim cudem wobec tego może jeszcze mieć karty kredytowe? Ale ma. Za każdym razem występował z podaniem do innej firmy. Zdumiewające.

Okolo jedenastej David poczuł, że zaczynają mu się kleić oczy.

- Obawiam się, że muszę iść spać - powiedział, odkładając na stół trzymaną w dłoni kartkę.

- Czekalam, aż to powiesz - westchnęła Angela. - Ja także jestem wykończona.

Ramię w ramię ruszyli na górę, zadowoleni, że tak dużo udało im się załatwić w ciągu zaledwie jednego dnia. Z pewnością jednak nie spaliby tak spokojnie, gdyby wiedzieli, jakie skutki będą miały ich

poczynania.

Rozdział 24

Niedziela, 31 października

Ranek w dniu Halloween był pogodny i mroźny. Na wiszących w oknach i na werandach wydrążonych dyniach osiadał szron. Nikki obudziła się w doskonałym nastroju: czuła się zdrowa i była podniecona świąteczną atmosferą. Angela już wcześniej przygotowała stopy ciasteczek i owoców na tę okazję.

Wilsonowie postanowili, że nie pójdą tego dnia do kościoła. Pomysł, by w ten sposób wtopić się w społeczność Bartlet, stracił sens. David zaproponował wprawdzie, by mimo to pojechali do Iron Horse Inn na śniadanie, ale skoro nie szli na nabożeństwo, Angela wolała zostać w domu.

Po śniadaniu Nikki zapytała, czy może udać się w przebraniu ze zwyczajową wizytą do okolicznych domów, ale matka nie była zachwycona tym pomysłem. Bała się wypuścić córkę na chłodne powietrze ze względu na jej niedawne kłopoty z płucami. W końcu obie zgodziły się na kompromis: David został wysłany do miasta po dynię, Nikki natomiast miała pomóc matce w przygotowaniu domu na odwiedziny dzieci, które zapukają do ich drzwi. Zaczęły od ustawienia na stoliku w holu olbrzymiej salaterki napełnionej czekoladowymi batonami.

Angela namówiła córkę na zrobienie halloweenowych dekoracji z kolorowego papieru, sama zaś w tym czasie zadzwoniła do Roberta

Scaliego do Cambridge.

- Cieszę się, że dzwonisz - powiedział Robert. - Tak jak obiecałem, zdobyłem nieco więcej danych finansowych o interesujących cię ludziach.

- Jestem ci ogromnie wdzięczna - odrzekła Angela. - Mam jednak do ciebie jeszcze jedno pytanie: czy istnieje sposób na uzyskanie dostępu do informacji z archiwum wojskowego?

- No, no, ale masz wymagania - zaśmiał się Robert. - Dostanie się do banku danych armii jest nieco trudniejsze, jak zapewne sama wiesz. Przypuszczam, że mógłbym zdobyć pewne ogólne informacje, wątpię jednak, bym dotarł do jakichkolwiek poufnych wiadomości. Chyba że przyjaciółka Petera pozostaje w doskonałych stosunkach z Pentagonem. Szczerze jednak w to wątpię.

- Rozumiem. Powiedziałaś dokładnie to, co spodziewałam się usłyszeć - stwierdziła Angela.

- Nie poddawajmy się jednak tak łatwo - roześmiał się Robert. - Skontaktuję się z Peterem i zadzwonię do ciebie za kilka minut. Czekaając na telefon od przyjaciela, Angela poszła zobaczyć, co porabia Nikki. Dziewczynka zrobiła już z papieru wielki pomarańczowy księżyc i teraz pracowicie wycinała sylwetkę lecącej na miotle czarownicy. Matka popatrzyła na nią z podziwem: ani ona, ani mąż nie mieli zdolności plastycznych.

David wrócił do domu z olbrzymią dynią. Nikki była zachwycona. Rozłożyła na blacie kuchennego stołu stare gazety i już po chwili ojca i córkę całkowicie pochłonęło drażnienie dyni. Wkrótce zadzwonił Robert.

- Złe wiadomości - powiedział. - Gloria nie może nam pomóc. Jeśli chodzi o Pentagon, jest w stanie zdobyć jedynie podstawowe informacje. Prześlę ci je razem z dodatkowymi informacjami finansowymi. Jaki jest numer twojego faksu?

- Nie mamy faksu - odparła Angela nieco zawstydzona.

- Ale macie modem w swoim komputerze? - nie dawał za wygraną Robert.

- Nie mamy nawet komputera, z wyjątkiem należącego do mojej córki automatu do gier - odrzekła. - Sądzę jednak, że mogę sama przyjechać do ciebie po te materiały. Tymczasem, czy mógłbyś mi powiedzieć, dlaczego Van Slyke służył w marynarce zaledwie dwadzieścia jeden miesięcy?

Nastąpiła

chwila

ciszy

przerywanej

jedynie

szelestem

przewracanych przez Roberta kartek.

- Znalazłem - powiedział w końcu. - Van Slyke miał jakieś kłopoty ze zdrowiem.

- Czy wiadomo, o co chodziło? - zapytała Angela.

- Niestety nie - odrzekł Robert. - Ale natrafiłem tu na coś

interesującego: Van Slyke skończył znajdującą się w New London w

Connecticut szkołę dla marynarzy pływających na łodziach podwodnych, a później uczestniczył jeszcze w kursie obsługi urządzeń zasilanych energią atomową i służył na łodzi podwodnej.

- Czemu wydało ci się to takie interesujące? - nie rozumiała Angela.

- Nie każdy w marynarce dostępuje zaszczytu zaokrętowania się na jednostce podwodnej. Tu napisano, że był on członkiem załogi USS „Kamehameha” z Guam.

- Czym zajmował się Clyde Devonshire podczas pobytu w marynarce? - zapytała Angela.

Ponownie zaszeleściły papiery.

- Był członkiem korpusu medycznego - powiedział Robert. - Mój Boże, co za zbieg okoliczności!

- Co takiego?

- Devonshire także miał kłopoty ze zdrowiem. Nie spodziewałbym się czegoś takiego po człowieku oskarżonym o gwałt.

- To odkrycie nawet bardziej interesujące od informacji o pobycie Van Slyke’a w szkole dla marynarzy łodzi podwodnych - stwierdziła Angela.

Raz jeszcze podziękowawszy Robertowi za jego wysiłki, odłożyła słuchawkę i wróciła do kuchni, gdzie David i Nikki kończyli wycinanie w wydrążonej dyni groteskowej twarzy. Powiedziała mężowi, że Robert zdobył dla niej kolejne informacje, oraz powtórzyła to, czego właśnie dowiedziała się na temat Devonshire’a i Van Slyke’a.

- A więc powiadasz, że obaj mieli kłopoty ze zdrowiem? - pokiwał

głową David, nie odrywając się od swojego zajęcia. - No i jak ci się to

podoba? - zapytał Nikki, kiedy oboje cofnęli się o krok, podziwiając efekty swojej pracy.

- Uważam, że wyszło nam wspaniale - oświadczyła dziewczynka. -

Czy możemy wstawić do środka świeczkę?

- Oczywiście - odrzekł David.

- Davidzie, czy ty mnie słuchasz? - spytała Angela.

- Naturalnie - potwierdził David, podając córce świeczkę.

- Żałuję, że nie możemy dowiedzieć się, na czym polegały te kłopoty ze zdrowiem - westchnęła Angela.

- Założę się, że wiem, w jaki sposób dałoby się zdobyć te informacje

- powiedział David. - Wystarczy znać kogoś w VA, kto miałby dostęp do ich banku danych.

- Dobry pomysł. Pytanie tylko, kto mógłby wyświadczyć nam taką przysługę.

- Chyba znam kogoś z VA w Bostonie - powiedział David. - I sądzisz, że on zgodzi się nam pomóc?

- To jest ona - oświadczył David, sugerując Nikki, że powinna wyciąć niewielkie wgłębienie w środku dyni, by osadzić w nim świeczkę, która inaczej nie będzie stała prosto.

- Co to za znajoma? - zapytała Angela.

- Lekarka, okulistka - odparł David, przyglądając się, jak Nikki próbuje umieścić świeczkę wewnątrz dyni.

- Nie obchodzi mnie jej specjalizacja - burknęła Angela. - W jaki

sposób ją poznałeś?

- Chodziliśmy razem do szkoły średniej.

- A od jak dawna pracuje w Bostonie? I jak się nazywa? - dodała ogarnięta nagłą zazdrością.

- Nicole Lungstrom - odpowiedział David. - Przyjechała do Bostonu pod koniec zeszłego roku.

- Nigdy wcześniej mi o niej nie wspominałeś. Skąd wiedziałeś, że sprowadziła się do miasta?

- Zadzwoiła do mnie do szpitala - odrzekł David, z uznaniem poklepując po ramieniu Nikki, której w końcu udało się umieścić świeczkę we właściwym miejscu.

Kiedy dziewczynka poszła po zapalki, David odwrócił się ku żonie.

- Zatem widziałeś się z nią po jej przyjeździe do Bostonu?

- Zjedliśmy kiedyś razem lunch - skinął głową mężczyzna. - To wszystko. Powiedziałem jej, że lepiej, byśmy się już nie widywali, czułem bowiem, że wiązała z tym jakieś romantyczne nadzieje. Rozstaliśmy się jak przyjaciele.

- Słowo? - zapytała Angela.

- Słowo - zapewnił David.

- Czy sądzisz, że kiedy ni stąd ni zowąd zadzwonisz do niej teraz, zgodzi się nam pomóc?

- Szczerze mówiąc, wątpię - westchnął David. - Jeśli mielibyśmy uzyskać dzięki niej jakieś informacje, to tylko pod warunkiem, że pojechałbym do niej osobiście. Nie mogę przecież telefonicznie zażądać

od niej, żeby złamała przepisy i udostępniła mi poufne dane z
wojskowego archiwum. Poza tym jestem przekonany, że spotykając się z
nią osobiście, łatwiej jej wszystko wyjaśnię.

- Kiedy chcesz tam pojechać? - zapytała Angela.

- Jeszcze dzisiaj. Najpierw jednak zadzwonię, żeby upewnić się, czy
ją zastanę. Po drodze wstąpię także na MIT i wezmę od Roberta te
dokumenty dla ciebie. Co ty na to?

Angela zagryzła wargi i skinęła głową. Była zdumiona swoją
zazdrością. Dopiero teraz uświadomiła sobie, co musiał przeżywać David,
gdy jechała na spotkanie z Robertem.

- Zadzwon do niej - powiedziała mimo to z westchnieniem.

Sprzątając bałagan, pozostawiony przez męża i córkę na kuchennym
stole, słyszała fragmenty rozmowy, którą David prowadził ze swą
przyjaciółką ze stojącego w salonie aparatu. Złościło ją, że mówił do niej
tak serdecznym tonem.

- Umówilem się na spotkanie za kilka godzin - oświadczył,
odłożywszy słuchawkę. - Na szczęście zastałem ją w szpitalu.

- Czy ona jest blondynką?

- Tak - ze zdziwieniem odparł mężczyzna.

- Tego się właśnie obawiałam - powiedziała Angela. Nikki zapaliła
świeczkę w wydrążonej dyni i David powiesił tę halloweenową latarenkę
na werandzie. Pozwolił, by córka sama zdecydowała, gdzie ją umieścić.

- Wygląda wspaniale - stwierdziła dziewczynka, uważnie
przyglądając się swemu dziełu.

David poprosił Angelę, by zadzwoniła do Roberta Scaliego i

uprzedziła go, że David wstąpi do niego, jadąc do Bostonu.

- To będzie interesujące - stwierdził Robert, kiedy wyjaśniła mu, w jakiej sprawie dzwoni.

Angela nie wiedziała, co powiedzieć. Jeszcze raz podziękowała przyjacielowi za pomoc i odłożyła słuchawkę. Wykręciła numer Calhouna, ale w jego domu nadal zgłaszała się tylko automatyczna sekretarka.

David zszedł na dół ubrany w niebieski sweter i szare spodnie.

Wyglądał bardzo przystojnie.

- Masz zamiar pojechać w tym stroju? - zapytała Angela.

- Bądź co bądź wybieram się do szpitala VA- odrzekł David. - Nie mogę zjawić się tam w dżinsach i przepoconej koszuli.

- Próbowałam dodzwonić się do Calhouna, ale nadal nie ma go w domu. Musi wracać bardzo późno i wychodzić wczesnie rano. Trzeba przyznać, że naprawdę mocno zaangażował się w to śledztwo.

- Nie zostawiłaś mu żadnej wiadomości? - zapytał David. - Nie.

- Czemu?

- Nienawidzę automatycznych sekretarek - wyznała Angela. - Poza tym sam musi przecież wiedzieć, z jaką niecierpliwością czekamy na wieści od niego.

- Uważam, że powinnaś zostawić wiadomość - upierał się David.

- Co zrobimy, jeśli także dziś wieczorem nie zadzwoni? -

zaniepokoiła się Angela. - Pójdziemy na policję?

**- Nie wiem - przyznał David. - Pomysł spotkania z Robertsonem
niezbyt mnie zachwyca.**

**Angela pomachała na pożegnanie mężowi, po czym skupiła całą
uwagę na córce. Najbardziej ze wszystkiego pragnęła, by Nikki dobrze się
tego dnia bawiła.**

**Kierowany bardziej ciekawością niż czymkolwiek innym, David
postanowił, że zacznie załatwianie swoich spraw od spotkania z
Robertem. Wyobrażał go sobie jako zaszuszonego naukowca i doznał
głębokiego rozczarowania, gdy okazał się on przystojnym mężczyzną o
smagłej twarzy i atletycznej budowie ciała. Co gorsza, robił wrażenie
wyjątkowo sympatycznego i dobrze wychowanego człowieka.**

**- Chciałbym serdecznie podziękować panu za pomoc - powiedział
David, kiedy uścisnęli sobie ręce na powitanie.**

**- Po to ma się przyjaciół - uśmiechnął się Robert, podając mu
jeszcze jedno pudło z wydrukami. - Studiując finanse waszych
podejrzanych, odkryłem, że Werner Van Slyke otworzył w ciągu
ostatniego roku kilka nowych kont bankowych. Odbynał w tym celu
podróże zarówno do Albany, jak i tutaj, do Bostonu. Nie dotarłem do tych
danych wczoraj, ponieważ skupiłem się wówczas raczej na kartach
kredytowych i długach wymienionych na waszej liście ludzi.**

**- To dziwne - zamyślił się David. - Czy dużo pieniędzy ma na tych
kontach?**

**- Niecałe dziesięć tysięcy dolarów na każdym. Prawdopodobnie
podzielił je w ten sposób, by uniknąć odnotowywania przez bank**

wszystkich swoich operacji finansowych, jak to się dzieje w przypadku rachunków, na których znajduje się więcej niż dziesięć tysięcy.

- To i tak mnóstwo pieniędzy jak na kogoś, kto kieruje działem technicznym w miejskim szpitalu - stwierdził David.

- W dzisiejszych czasach oznacza to, że ten facet prawdopodobnie zajmuje się handlem narkotykami - zasugerował Robert. - Jeśli jednak to robi, nie powinien trzymać pieniędzy w banku. Należałoby raczej oczekiwać, że ukryje je w schowku pod podłogą. Właśnie w ten sposób postępują zwykle ludzie w takich wypadkach.

- Od kilku moich nastoletnich pacjentów słyszałem, że w szkole średniej w Bartlet bez trudu można kupić marihuanę - powiedział David.

- No więc sam pan widzi - ucieszył się Robert. - Być może, niezależnie od innych zagadek, które pan i Angela rozwiążecie, będziecie też mieli swój udział w uwalnianiu Ameryki od plagi narkotyków.

David roześmiał się i raz jeszcze podziękował Robertowi za pomoc.

- Dajcie mi znać, kiedy będziecie następnym razem w Bostonie - poprosił Robert. - Mamy tu w Cambridge wspaniałą restaurację, Anago Bistro. Będzie mi miło zaprosić was na kolację.

- Na pewno zawiadomimy pana o przyjeździe - obiecał David i pożegnał się.

Kierując się do samochodu, pomyślał, że jest rzeczą nader wątpliwą, by on i Robert kiedykolwiek poczuli się dobrze w swoim towarzystwie. Włożył pudełko z wydrukami do bagażnika i włączył silnik. Przejechał przez most na rzece Charles i skręcił w stronę Fenway.

Dojechanie do szpitala VA zabrało mu zaledwie dwadzieścia minut, gdyż we wczesne niedzielne popołudnie na ulicach nie było zbyt dużego ruchu.

Wchodząc do szpitala, David pomyślał, jak dziwnie potrafią krzyżować się ludzkie losy po latach rozłąki. Spotykał się z Nicole Lungstrom przez prawie rok, kiedy oboje chodzili do szkoły średniej, potem jednak ich drogi się rozeszły. Nicole wyjechała na Zachodnie Wybrzeże do college'u, ukończyła uczelnię medyczną i odbyła tam praktyki. Przy jakiejś okazji David dowiedział się, że wyszła za mąż. Kiedy jednak przed rokiem zadzwoniła do niego, wyznała mu, że jest rozwiedziona.

David zawiadomił z portierni o swoim przyjeździe i czekał, spacerując po holu. W pierwszej chwili po powitaniu oboje czuli się niezręcznie, kiedy jednak Nicole dała mu do zrozumienia, że w jej życiu pojawił się nowy mężczyzna, David zaczął zachowywać się swobodniej. By móc porozmawiać, przeszli do pokoju dla lekarzy, gdzie Wilson opowiedział przyjaciółce o wszystkim, co spotkało jego i Angelę w Bartlet. Dopiero później wyjaśnił, jakiego rodzaju pomocy od niej oczekuje.

- No i co o tym sądzisz? - zapytał. - Czy według ciebie te dane są w ogóle do zdobycia?

- Możesz mi dać słowo, że to zostanie między nami?

- Słowo honoru - energicznie skinął głową. - Oczywiście, wtajemniczę we wszystko Angelę - dodał po chwili.

- Jasne - zgodziła się Nicole. - W porządku. Skoro ktoś morduje pacjentów, to nie powinnam mieć żadnych wyrzutów sumienia.

David wręczył przyjaciółce listę pięciorga podejrzanych. Znajdowali się na niej: Devonshire, Van Slyke, Forbs, Ullhof i Maurice.

- Sądziłam, że interesują cię tylko dwie osoby - zauważyła Nicole.

- Wiemy, że cała ta piątka służyła w armii - powiedział David. -

Wszyscy też mają na skórze tatuaże. Nie zaszkodzi, jeśli zajrzemy do kartoteki każdego z nich.

Posługując się numerami ubezpieczeń i datami urodzenia, Nicole

ustaliła wojskowe numery identyfikacyjne wszystkich pięciu osób, a

następnie zażądała od komputera wszelkich możliwych informacji na

temat tych ludzi. Od razu na początku czekała ich niespodzianka:

zarówno Forbs, jak i Ullhof także zostali zwolnieni z wojska przed czasem

ze względu na stan zdrowia. Tylko Maurice odbyła całą służbę. Forbs i

Ullhof mieli kłopoty z chodzeniem: Forbsa zwolniono z powodu

chronicznego bólu kręgosłupa, natomiast Ullhofa na skutek nieswoistego,

chronicznego zapalenia gruczołu krokowego.

W przypadku Van Slyke'a i Devonshire'a rzecz nie wyglądała już tak

prosto. Nicole, strona po stronie, przeglądała dotyczące ich materiały.

Odkryła, że Van Slyke'a zwolniono z marynarki po postawieniu przez

psychiatrów diagnozy, iż ma on osobowość schizofreniczną, a pod

wplywem stresu popada w silną paranoję.

- Dobry Boże - westchnął David. - Nie jestem pewien, czy wszystko

rozumiem. A ty?

- Jestem okulistką - przypomniała mu Nicole. - Gdybym jednak

miała przetłumaczyć to na zrozumiały dla nas język, powiedziałabym, że

ten facet cierpi na schizofrenię z dużą domieszką manii prześladowczej.

David uniósł brwi i popatrzył na przyjaciółkę.

- Mam wrażenie, że wiesz na temat tych schorzeń znacznie więcej niż ja - oświadczył. - Podziwiam cię.

- Kiedyś interesowałam się psychiatrią. Ten Van Slyke wydaje się człowiekiem, od którego wolałabym trzymać się z daleka. Spójrz jednak, jakie wyniki osiągał w nauce - nawet na kursie z zakresu energii atomowej. Słyszałam, że tam nie szafują dobrymi ocenami.

Nicole nadal przeglądała dokumenty dotyczące Van Slyke'a.

- Poczekaj! - zawołał nagle David, zaglądając jej przez ramię i wskazując na ustęp, gdzie opisywano pewne wydarzenie, które miało miejsce podczas rejsu na atomowej łodzi podwodnej, gdzie Van Slyke nadzorował pracę urządzeń jądrowych. To po nim właśnie dostał skierowanie na badania psychiatryczne.

- „Podczas pierwszej połowy rejsu mania prześladowcza pacjenta zaczęła się nasilać - przeczytał na głos David. - Bez powodu popadał w zły nastrój, co doprowadziło do niewłaściwego oceniania intencji innych ludzi, uczucia zawiści i wyobcowania oraz uporczywego paranoicznego przekonania, że jest prześladowany przez resztę załogi, a także bezbronny wobec komputerów i promieniowania radioaktywnego. Jego paranoja osiągnęła w końcu takie rozmiary, że pewnego dnia rzucił się na kapitana łodzi i musiał zostać obezwładniony”.

- Dobry Boże - westchnęła Nicole. - Mam nadzieję, że nigdy nie spotkam tego człowieka, kiedy będzie akurat przeżywał atak paranoi.

- Nie jest aż tak szalony, jak wynikałoby z tego opisu - powiedział

David. - Rozmawiałem z nim kilkakrotnie. Nie zalicza się do osób towarzyskich i nie zachowuje się przyjacielsko, trzeba jednak przyznać, że zna się na swojej robocie.

- Powiedziałabym, że ten człowiek to bomba zegarowa - z powątpiewaniem pokręciła głową kobieta.

- Paranoiczny lęk przed promieniowaniem radioaktywnym, kiedy służy się na łodzi podwodnej o napędzie atomowym, wcale nie wydaje się taki dziwny - powiedział David. - Ja też pewnie na jego miejscu umierałbym ze strachu, mając świadomość, że przebywam tak blisko reaktora atomowego.

- To jeszcze nie wszystko, jeśli chodzi o tego człowieka - zauważyła Nicole. - „Van Slyke jest typem samotnika - przeczytała. - Był wychowywany przez agresywnego, cierpiącego na alkoholizm ojca oraz uległą, zastraszoną matkę. Pannieńskie nazwisko tej kobiety brzmiało Traynor”.

- Słyszałem już tę część historii - skinął głową David. - Harold Traynor, wuj tego człowieka, pełni funkcję prezesa zarządu szpitala w Bartlet.

- Znalazłam tu jeszcze coś interesującego - stwierdziła Nicole. -

„Pacjent wykazuje tendencję do idealizowania pewnych autorytetów, później jednak potrafi obrócić się przeciw nim z najbliższego powodu, czy to rzeczywistego, czy to wyimaginowanego. Takie postępowanie zdecydowanie utrudniało mu służbę w marynarce”. Z całą pewnością nie

chciałabym być jego szefową - powiedziała Nicole, spoglądając na Davida.

W kartotece Devonshire'a znaleźli znacznie mniej informacji, były one jednak równie - jeśli nie bardziej - interesujące. Clyde kilkakrotnie leczył się w San Diego na choroby przenoszone drogą płciową. Miał również nawroty zapalenia wątroby i był nosicielem wirusa HIV.

- To może być bardzo ważne - stwierdził David, wskazując na monitorze fragment dotyczący HIV. - Niewykluczone, że fakt, iż Devonshire może w każdej chwili śmiertelnie zachorować, stanowi istotę całej sprawy.

- Mam nadzieję, że ci pomogłam - powiedziała Nicole, uśmiechając się.

- Czy mógłbym dostać kopie tych dokumentów? - zapytał David.

- To zabierze trochę czasu. Archiwum medyczne jest w niedzielę zamknięte, będę więc musiała wziąć klucz, żeby dostać się do drukarki.

- Mogę poczekać - powiedział David. - Najpierw jednak chciałbym zadzwonić.

Po długich narzekaniach i uronieniu kilku łez Nikki pogodziła się w końcu z tym, że nie będzie mogła złożyć w sąsiednich domach zwyczajowej halloweenowej wizyty. Dzień, który początkowo zapowiadał się pogodnie, okazał się pochmurny - w każdej chwili mogło zacząć padać.

Matka pozwoliła Nikki za to na pozostanie w budzącym grozę kostiumie, dzięki czemu mogła straszyć pukające do ich drzwi dzieci.

Angeli nadal nie podobał się maskaradowy strój córki, postanowiła jednak nie wypowiadać swej opinii na głos, by nie psuć dziewczynce

zabawy.

Podczas gdy Nikki czatowała przy drzwiach, czekając na kolejnych gości, Angela jeszcze raz wykręciła numer Calhouna, ponownie jednak w słuchawce odezwała się automatyczna sekretarka. Kiedy dzwoniła wcześniej tego popołudnia, zostawiła detektywowi wiadomość, ale Calhoun się nie odezwał. Angelę ogarnął niepokój. Spoglądając przez okno na gromadzące się na niebie chmury, martwiła się także o Davida. Choć kilka godzin wcześniej zadzwonił, żeby uprzedzić, iż wróci później, niż planował, uważała, że o tej porze powinien już być w domu.

Pół godziny potem Nikki zrezygnowała z siedzenia pod drzwiami.

Zapadał zmierzch i zrobiło się zbyt późno na halloweenowe wizyty - od dłuższego czasu nikt już do nich nie pukał.

Angela zaczynała właśnie przygotowywać kolację, kiedy odezwał się dzwonek. Nikki była na górze, gdzie miała wziąć prysznic, dlatego też sama poszła otworzyć drzwi. Przechodząc obok stojącego w holu stołu, wzięła do ręki salaterkę z czekoladkami. Przez okienko ujrzała człowieka w masce węża.

Otworzyła drzwi i już otwierała usta, by powiedzieć coś o wspaniałym kostiumie, kiedy zauważyła, że mężczyźni nie towarzyszy żadne dziecko. Zanim zdążyła się choćby poruszyć, nieznajomy wdarł się do holu, lewą ręką chwycił ją za szyję, prawą zaś zasłonił jej usta, by nie mogła krzyczeć. Przerażona upuściła na marmurową posadzkę trzymaną w dłoni szklaną salaterkę, która natychmiast rozbiła się na tysiące drobnych kawałków.

Desperacko próbowała się wyrwać, ale mężczyzna był od niej

znacznie silniejszy: żelazny uścisk jego dłoni nie słabł ani na chwilę.

Jedynym dźwiękiem, jaki Angela mogła z siebie wydobyć, było ciche sapanie.

- Zamknij się albo cię zabiję - szepnął, silnie wykręcając jej głowę.

Kark Angeli przeszył dojmujący ból. Zaprzestała walki. Mężczyzna

rozejrzał się dookoła, i popychając ją przed sobą, ruszył w stronę kuchni.

- Gdzie jest twój mąż? - zapytał.

Zaciśnięta na ustach dłoń napastnika uniemożliwiła Angeli

udzielenie mu odpowiedzi. Miała wrażenie, że za chwilę zemdleje.

- Puszczę cię - warknął mężczyzna - ale jeśli krzykniesz, zostaniesz

zastrzelona. Rozumiesz? - Raz jeszcze boleśnie wykręcił głowę Angeli, tak że w oczach kobiety pojawiły się łzy.

Zgodnie z tym, co obiecał, zwolnił uścisk. Chwiejąc się, Angela

cofnęła się o krok. Serce waliło jej jak młotem. Wiedziała, że Nikki jest na

górze, w wannie, Rusty natomiast, na nieszczęście, został zamknięty w

stajni, ponieważ rzucił się na odwiedzające ich dom dzieci.

Popatrzyła na nieproszonego gościa, któremu maska węża

nadawała dziwny, groteskowy wygląd. Namalowane na niej łuski do

złudzenia przypominały prawdziwe. Z otwartej paszczy, w której tkwiły

cztery wygięte jadowe zęby, wystawał rozdwojony język. Angela

gorączkowo zastanawiała się, co powinna uczynić. Zauważyła, że

mężczyzna trzyma w dłoni pistolet.

- Mojego męża nie ma w domu - wykrztusiła ochryplym i drżącym

glosem.

- A co z twoim chorym dzieckiem? - zapytał nieznajomy.

**- Poszło złożyć sąsiadom halloweenowe wizyty - odparła
pośpiesznie.**

- Kiedy wróci twój mąż?

Angela zawahała się, nie wiedząc, co powinna odpowiedzieć.

**Mężczyzna chwycił ją za ramię, mocno zaciskając palce. Poczula, jak jego
paznokcie wbijają się w jej ciało.**

- Zadałem ci pytanie - warknął.

- Wkrótce - wyjąkała Angela.

**- To dobrze - stwierdził mężczyzna. - Poczekamy. Tymczasem
rozejrzemy się po domu, aby mieć pewność, że mnie nie okłamałaś.**

**- Czemu miałabym kłamać? - powiedziała przerażona Angela,
posłusznie kierując się do salonu, dokąd popychał ją napastnik.**

Wbrew przypuszczeniom matki Nikki nie siedziała w wannie.

**Wyszła z niej już jakiś czas temu i kiedy rozległ się dzwonek do drzwi,
kończyła właśnie ubierać się i zakładać maskę. Miała nadzieję, że zdąży
zejść na dół, zanim odwiedzające ich dzieci odejdą. Chciała zobaczyć ich
kostiumy i pochwalić się swoim. Miała właśnie stanąć u szczytu schodów,
kiedy usłyszała brzęk tłukącej się salaterki. Przestraszona, zamarła w
bezruchu. Bezradnie obserwowała z góry, jak jej matka próbuje wyrwać
się mężczyźnie w masce węża.**

**Otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, pobiegła na palcach do
sypialni rodziców i sięgnęła po słuchawkę telefonu. Nie usłyszała jednak**

sygnału - linia była uszkodzona. Wróciła do holu i zerknąwszy przez okalającą schody barierkę, ujrzała, jak matka wchodzi z nieznajomym do salonu. Zrobiła jeszcze kilka kroków i spostrzegła na podeście opartą o ścianę strzelbę.

Gwałtownie odskoczyła do tyłu, ponieważ w drzwiach salonu ukazał się właśnie człowiek w węzowej masce, pchający przed sobą jej matkę. Nikki słyszała, jak pod ich stopami chrzęszczą odłamki szkła z rozbitej salaterki. Po chwili kroki ucichły.

Nikki jeszcze raz wyjrzała zza barierki. Matka i nieznajomy zaglądali właśnie do jadalni, po czym zniknęli w korytarzu prowadzącym do kuchni.

Dziewczynka zrobiła kilka kroków i ponownie utkwiała wzrok w strzelbie. Zaczęła powoli schodzić w dół i choć bardzo się starała robić to delikatnie, schody skrzypiały pod jej niewielkim ciężarem.

Była dopiero w połowie drogi, kiedy usłyszała, że matka i nieznajomy wracają z powrotem do głównego holu. Ogarnięta paniką, na czworakach wspięła się ponownie na górę i przycupnęła w kącie, zamierzając wkrótce, gdy tylko będzie to możliwe, jeszcze raz spróbować zejść po strzelbę. Ku swemu przerażeniu odkryła jednak, że napastnik popycha Angelę właśnie w stronę schodów.

Przebiegła przez korytarz i weszła do sypialni rodziców. Nie zastanawiając się zbyt długo, skryła się w garderobie, która łączyła ten pokój z krótkim korytarzykiem przylegającym do stajni. Wilsonowie używali tych pomieszczeń do składowania niepotrzebnych rzeczy. Na

końcu korytarzyka znajdowały się wąskie, spiralne schody prowadzące na dół, do przedsionka.

Nikki zeszła na dół i minawszy kuchnię, wpadła do głównego holu, po czym skradając się, wspięła się na podest schodów i sięgnęła po strzelbę. Tak jak uczyła ją matka, sprawdziła, czy broń jest nabita. Była. Nie zastanawiając się długo, odwiodła kurek.

Brawura Nikki szybko jednak ustąpiła miejsca niepewności. Teraz, kiedy trzymała już strzelbę w ręku, nie wiedziała, co robić dalej. Matka uprzedzała, że przy wystrzale bronią mocno podrzuca do góry, co sprawia, że pocisk zmienia kierunek i może chybić celu. Kula może w ten sposób trafić we wszystko, co znajduje się dookoła. Nikki bała się o Angelę: za żadne skarby nie chciała jej zranić.

Niewiele miała jednak czasu na rozważenie, co powinna uczynić, w chwilę później usłyszała bowiem, że napastnik prowadzi jej matkę z powrotem na dół. Nikki ukryła się w kuchni, nie wiedząc, czy powinna przycupnąć tam w jakimś kącie, czy też uciekać na zewnątrz i prosić o pomoc sąsiadów.

Zanim zdążyła podjąć jakąkolwiek decyzję, w holu pojawiła się brutalnie popychana przez napastnika matka. Mężczyzna zmusił Angelę, by weszła do salonu, i w tym momencie dziewczynka zauważyła, że trzyma on w dłoni pistolet.

Zatrzymał się w drzwiach pokoju. Znajdował się teraz jakieś dwadzieścia stóp od Nikki, która stała w kuchni, opierając o biodro gotową do strzału strzelbę. Lewą ręką podtrzymywała lufę, prawą zaś

przyciskała do siebie kolbę. Jej wskazujący palec spoczywał na spuście.

Napastnik obrócił się nagle i spojrzał prosto na nią. Odskoczył

gwałtownie na bok, mierząc w nią z pistoletu, nim jednak zdążył

cokolwiek uczynić, dziewczynka zamknęła oczy i pociągnęła za spust.

Odgłos wystrzału odbił się przerażającym echem w wąskim holu.

Odrzut szarpnął Nikki do tyłu, mimo to nie wypuściła broni z ręki.

Utrzymała równowagę na tyle, żeby usiąść, i włożyła wszystkie siły w to,

by ponownie przygotować strzelbę do strzału. W uszach dzwoniło jej tak,

że nawet nie usłyszała mechanicznego trzasku świadczącego, iż w

komorze znalazł się już nowy nabój.

Wśród rozwiewającego się powoli dymu ukazała się nagle Angela.

Chwiejnym krokiem podbiegła do córki i wyjęła jej broń z ręki. Nikki z

ulgą oddała strzelbę matce.

Usłyszały, jak wiodące z salonu na taras drzwi otworzyły się z

trzaskiem, po czym zapanowała cisza.

- Nic ci nie jest? - szeptem zapytała dziewczynkę matka.

- Chyba nie - odrzekła Nikki.

Angela pomogła córce wstać, po czym prowadząc ją za sobą,

ostrożnie ruszyła w stronę salonu. W drzwiach do pokoju leżała kupka

gruzu i szkła - skutki wystrzału Nikki. Huk strzelby spowodował także

pęknięcie czterech szybek w oknie - tym samym, przez które kiedyś

wrzucono im cegłę.

Starając się nie deptać po stłuczonym szkle, matka i córka podeszły

do drzwi bawialni. Poczuly powiew chłodnego powietrza. Angela uniosła

strzelbę, przygotowując ją do strzału, i ostrożnie zajrzała do pokoju.

Natychmiast odkryła źródło przeciągu: jedno skrzydło prowadzących na taras przeszklonych drzwi było otwarte na oścież i kołysało się łagodnie, poruszane wieczorną bryzą.

Z uczeponą spódnicy Nikki Angela zbliżyła się do wyjścia na taras i powiodła spojrzeniem po ciemnym rzędzie drzew otaczających ich posesję. Dłuższą chwilę matka i córka stały bez ruchu, nasłuchując jakichś niepokojących odgłosów. Wszystkim jednak, co usłyszały, było dobiegające z oddali szczekanie psa, któremu odpowiadało warczenie Rusty'ego dochodzące ze stajni. Nikogo też nie zobaczyły.

Angela zamknęła drzwi i przekręciła zasuwę. Trzymając broń tylko jedną ręką, objęła Nikki i uściskała ją z całej siły.

- Jesteś prawdziwą bohaterką - powiedziała. - Tata będzie z ciebie bardzo dumny, gdy mu o wszystkim opowiemy.

- Nie wiedziałam, co robić - odrzekła dziewczynka. - Nie chciałam stłuc okna.

- Okno nie ma znaczenia - uspokoiła ją Angela. - Zachowałeś się wspaniale.

Podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę. Ku swemu zaskoczeniu odkryła jednak, że nie ma sygnału.

- Aparat w waszej sypialni także nie działa - powiedziała Nikki.

Angelę przeszedł zimny dreszcz. Napastnik zadał sobie nawet trud, by przeciąć linię telefoniczną. Bała się myśleć, co mogło się stać, gdyby Nikki nie wykazała tyle odwagi.

- Musimy się upewnić, że tego człowieka już tu nie ma - powiedziała.

- Chodź, przeszukamy dom.

Razem przeszły przez jadalnię do kuchni, zajrzały do przedsiionka i dwóch małych spiżarni, po czyni głównym korytarzem wróciły do holu.

Kiedy zastanawiały się, czy wejść także na górę, ktoś zadzwonił do drzwi. Obie podskoczyły, zdjęte nagłym lękiem, przez szybę w drzwiach wejściowych zobaczyły jednak tylko grupkę dzieci przebranych za czarownice i duchy.

David zatrzymał samochód na podjeździe, zdumiony, że w domu palą się wszystkie światła. W tej samej chwili ujrzał grupę nastolatków schodzącą z werandy, która po przejściu na skos przez trawnik zniknęła wśród rosnących nieopodal drzew.

Podchodząc bliżej, zobaczył, że frontowe drzwi są wymazane potłuczonymi jajkami, okna zachlapane mydlinami, a latarenka z dyni całkowicie zniszczona. Pomyślał, że powinien dać za to dzieciakom nauczkę, uznał jednak, że po ciemku nie zdoła już ich dogonić.

- Przekłete bachory - powiedział głośno, spostrzegając także stłuczone szybki w oknie bawialni. - Dobry Boże, tego już chyba za wiele. -

Podszedł do drzwi frontowych, z niesmakiem oglądając panujący na werandzie bałagan. Odkrył, że jej ściany obrzucono nie tylko jajkami, ale także pomidorami.

Póki jednak na podłodze w holu nie zobaczył szczątków szklanej salaterki i rozsypanych czekoladek, nie czuł niepokoju o rodzinę. Dopiero wtedy przyszło mu do głowy, że mogło stać się coś złego. Przerażony

zaczął wołać żonę i córkę.

Poczuł ulgę, kiedy niemal natychmiast obie ukazały się u szczytu schodów. Kobieta trzymała w ręku strzelbę. Na widok ojca Nikki zbiegła na dół i rzuciła się w jego objęcia.

- On miał broń - wyjąkała, próbując wśród szlochów opowiedzieć mu, co się stało.

- Kto miał broń? - zapytał David z narastającym niepokojem. - Co tu się stało?

Angela zeszła kilka stopni niżej i usiadła na schodach.

- Miałśmy gościa - powiedziała.

- Kogo?

- Nie wiem - pokręciła głową. - Miał na twarzy halloweenową maskę.

Był uzbrojony.

- Mój Boże! - zawołał ze zgrozą David. - Nie powinienem zostawiać was tu samych.

- To nie twoja wina - uspokoiła go żona. - Przyjechałeś jednak znacznie później, niż zapowiadałeś to telefonicznie.

- Sporządzenie wydruków materiałów z archiwum medycznego trwało dłużej, niż sądziłem - wyjaśnił David. - Próbowałem jeszcze raz zadzwonić do domu, ale telefon był cały czas zajęty. Kiedy poprosiłem biuro napraw o sprawdzenie numeru, powiedziano mi, że linia jest uszkodzona.

- Sądzę, że po prostu została przecięta - powiedziała Angela. -

Prawdopodobnie zadbał o to właśnie nasz gość.

- Dzwoniłaś na policję?

- Jak miałyśmy zadzwonić na policję, skoro telefon nie działa? -

zirytowała się Angela.

- Przepraszam - powiedział skruszony David. - Nie pomyślałem o

tym.

- Jedyne, co byłyśmy w stanie uczynić po ucieczce tego człowieka, to

siedzieć na górze, drżąc, by tu nie wrócił.

- Gdzie jest Rusty? - zapytał David.

- Już wcześniej zamknęłyśmy go w stajni, bo rzucał się na

składające halloweenowe wizyty dzieci.

- Przyniosę z samochodu telefon komórkowy i wypuszczę przy

okazji psa - powiedział David, głaszcząc uspokajająco Nikki po głowie.

Na dworze ujrzał tę samą grupę hałaśliwych nastolatków, którą

widział zaraz po przyjeździe do domu.

- Lepiej trzymajcie się z dala od tego domu - krzyknął do nich.

Angela i Nikki czekały na niego w kuchni.

- Przed domem obozuje banda wyrostków - powiedział David,

kładąc na stole telefon i puszczając obrożę Rusty'ego. - Narobili niezłego

bałaganu na werandzie.

- To pewnie dlatego, że nie otworzyłyśmy im drzwi - westchnęła

Angela. - Musieli się więc obyć bez tradycyjnego poczęstunku. Nie

mogłyśmy oglądać przebranej w budzące grozę stroje młodzieży; i bez

tego panicznie się bałyśmy. Wierz mi, że w porównaniu z tym, co

przeżyłyśmy, halloweenowe wizyty to zupełny drobiazg.

- Nie taki znowu drobiazg: ci smarkacze wybili kilka szyb w oknie salonu.

- To Nikki stłukła te szyby - wyjaśniła Angela, obejmując córkę i przytulając ją do siebie. - Zachowała się jak prawdziwa bohaterka.

W skrócie opowiedziała mężowi, co wydarzyło się tego wieczoru.

David nie mógł wprost w to uwierzyć. Zadrżał na myśl, jak tragicznie mogła skończyć się ta przygoda. Kiedy o front domu uderzyły kolejne rzucone przez młodzież jajka, ogarnął go niepohamowany gniew. Zbiegł do holu i jednym szarpnięciem otworzył drzwi, zamierzając rozprawić się z bezczelnymi wyrostkami. Angela pobiegła za nim.

- Daj im spokój - powiedziała, z trudem hamując napływające jej do oczu łzy.

Widząc zdenerwowanie żony, David posłusznie zamknął drzwi i przytulił ją do siebie. Sam dobrze wiedział, iż gonienie za rozdokazywaną młodzieżą było zupełnie pozbawione sensu i że chciał w ten sposób jedynie wyładować swoją złość i zagłuszyć dręczące go wyrzuty sumienia.

Drugą ręką objął Nikki, która dołączyła do rodziców, i cała trójka, przytulona do siebie, usiadła na kanapie w bawialni. Przez telefon komórkowy David skontaktował się z policją. Czekając na przyjazd radiowozu, cały czas przeklinał się w duchu za pozostawienie Angeli i Nikki samych w domu.

- To również moja wina - zapewniła go żona. - Powinam przewidzieć, że możemy znaleźć się w niebezpieczeństwie. - Opowiedziała mężowi o swoich podejrzeniach, że próba gwałtu była w istocie

zamachem na jej życie, zaznaczając, że Phil Calhoun także zgadzał się z jej opinią na ten temat.

- Czemu mi o tym nie powiedziałaś? - zapytał David.

- Powinnam była - przyznała Angela. - Przepraszam.

- Jeśli nawet nie osiągniemy niczego więcej, to przynajmniej dzięki tej sprawie nauczymy się nie mieć przed sobą sekretów - westchnął David.

- Co z Calhounem? Dał jakiś znak życia?

- Nie - odparła Angela. - Ale zgodnie z tym, co mi radziłeś, zostawiłam mu wiadomość. Co teraz zrobimy?

- Nie wiem - wzruszył ramionami mężczyzna, wstając z kanapy. -

Zanim podejmiemy jakąś decyzję, chodźmy obejrzyć to stłuczone okno.

Policja nie śpieszyła się z przyjazdem: upłynęło niemal czterdzieści

pięć minut, zanim na podjeździe ich domu pojawił się radiowóz. Ku

niezadowoleniu Wilsonów, człowiekiem, który do nich przyjechał, był

sam Robertson. Tym razem miał na sobie policyjny mundur i Angelę

kusiło, by zapytać go, czy traktuje ten strój jako halloweenowy kostium.

Towarzyszył mu niższy rangą funkcjonariusz, Carl Hobson.

Wchodząc na ganek, Robertson prześlizgnął się wzrokiem po

panującym na nim bałaganie; zauważył także wybite okno.

- Widzę, że mieliście jakiś mały problem? - zapytał. - Nie „mały” -

odparła Angela. - Duży. - Opowiedziała o wszystkim, co wydarzyło się od

chwili pojawienia się nieznajomego mężczyzny aż do momentu powrotu

David.

Na policjancie jej słowa nie zrobiły jednak zbyt wielkiego wrażenia.

Przez cały czas niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, ze znudzoną miną zerkając na swego partnera.

- Jest pani pewna, że to był prawdziwy pistolet? - zapytał w końcu.

- Oczywiście, że prawdziwy - odrzekła oburzona Angela.

- Może posługiwał się tylko zabawką, rekwizytem stanowiącym część kostiumu? Skąd pani wie, że nie był to tylko halloweenowy żart? - spytał, mrugając do Hobsona.

- Chwileczkę, do cholery - włączył się w ich rozmowę rozzłoszczony

David. - Nie podoba mi się pańska postawa. Mam wrażenie, że nie traktuje pan tej sprawy serio. Ten człowiek miał broń. Wtargnął tutaj! Do licha, przy tej okazji zostało nawet wybite okno.

- Proszę na mnie nie krzyczeć - powiedział Robertson. - Pańska prawdomówna żona wyznała już, że szybę stłukła wasza ukochana córka, a nie ów rzekomo groźny napastnik.

I powiem wam coś jeszcze: mamy tu pewne rozporządzenie dotyczące posiadania broni, kiedy istnieje niebezpieczeństwo, że może się ona dostać w ręce dziecka.

- Wynoście się z mojego domu - warknął David.

- Uczynimy to z przyjemnością - skinął głową Robertson i dając znak Hobsonowi, ruszył w stronę wyjścia. W progu jednak zatrzymał się jeszcze na chwilę. - Dam wam pewną radę: nie jesteście zbyt lubianą w tym mieście rodziną, a sytuacja wyglądałaby jeszcze gorzej, gdyby któreś z was postrzeliło jakieś niewinne dziecko, pukające do waszych drzwi w nadziei, że dostanie słodycze. Niech Bóg ma was w opiece, jeśli już

wyrządziliście krzywdę jakiemuś malcowi.

David podszedł do drzwi i z hukiem zamknął je za Robertsonem.

- Sukinsyn! - powiedział z irytacją. - Cóż, przynajmniej pozbyliśmy się reszty złudzeń co do lokalnej policji. Nie powinniśmy spodziewać się od niej żadnej pomocy.

Angela ponownie poczuła, że pod powiekami zbierają jej się łzy.

- Co za drań - potrząsnęła głową.

David podszedł i przytulił żonę do siebie. Musiał także uspokoić

Nikki, wstrząśniętą ostrymi słowami, jakie szeryf wypowiedział pod adresem jej ojca.

- Czy uważasz, że powinniśmy zostać tutaj na noc?

- A dokąd możemy się udać o tej porze? - westchnął David. - Sądzę, że musimy tu zostać. Zadbamy jednak o to, żeby nikt więcej nie złożył nam już wizyty.

- Chyba masz rację - zgodziła się Angela. - Po tym wszystkim nie jestem już w stanie rozsądnie myśleć. Chyba nigdy jeszcze nie czułam się taka przygnębiona.

- Jesteś głodna? - zapytał David.

- Chyba nie - wzruszyła ramionami Angela. - Kolacja jest jednak gotowa. Zdążyłam ją przyrządzić, zanim ten straszny człowiek tutaj przyszedł.

- Ja natomiast jestem wściekle głodny - wyznał David. - Nie jadłem lunchu.

- W porządku - powiedziała Angela. - Nikki i ja podamy ci kolację.

Korzystając z telefonu komórkowego, David zadzwonił do biura napraw i zgłosił uszkodzenie linii. Kiedy wspomniał, iż jest lekarzem, dyżurujący w biurze człowiek obiecał natychmiast wysłać montera.

David przeszukał stajnię i znalazł w niej dodatkowe latarnie ogrodowe, które po zainstalowaniu na zewnątrz oświetliły rzęście cały dom.

Monter przyjechał, gdy siadali do jedzenia. Szybko odkrył, że przyczyna awarii leży na zewnątrz: przewód telefoniczny został przecięty w miejscu, gdzie był prowadzony po ścianie budynku.

- Nienawidzę Halloween - powiedział pracownik biura napraw, kiedy po kilku minutach zapukał do drzwi, by powiedzieć, że usunął już uszkodzenie.

David podziękował mu serdecznie, wdzięczny, że monter mimo niedzielnego wieczoru zechciał zająć się naprawą.

Po jedzeniu David wrócił do dalszego zabezpieczania domu przed nieproszonymi gośćmi. Zaczął od zabicia deskami stłuczonego okna w bawialni. Następnie obszedł cały dom dookoła, upewniając się, że wszystkie drzwi i okna są porządnie zamknięte.

Choć wizyta policji w niczym im nie pomogła, miała jednak pewien zbawienny skutek: na widok radiowozu grupa hałaśliwych nastolatków opuściła ich posesję, najwyraźniej przestraszona, że policjanci przyjechali tutaj w związku z ich wybrykami. O dziewiątej Wilsonowie poszli do pokoju córki, by pomóc jej w ćwiczeniach oddechowych.

Położywszy dziewczynkę spać, usiedli w salonie, żeby przejrzeć

przywiezione przez Davida z Bostonu materiały. Chcąc mieć całkowitą pewność, że nikt nie zakradnie się chyłkiem do ich domu, David zabrał z pokoju Nikki Hust'ego, nakazując psu, by tym razem spał w bawialni. Liczył na to, że pies znacznie wcześniej niż oni usłyszy, gdyby ktoś próbował włamać się do ich domu. Położył też obok siebie na stole nabita strzelbę.

- Wiem, o czym myślisz - powiedziała Angela, kiedy David otwierał kopertę z wydrukami z archiwum medycznego. - Uważasz, że nasz dzisiejszy „gość” jest mordercą Hodgesa i człowiekiem, który dokonuje w szpitalu eutanazji. Ja też jestem o tym przekonana. Tylko w tym wypadku jego napaść na nas miałaby sens.

- Owszem - skinął głową David. - Uważam także, że tym kimś jest najprawdopodobniej Clyde Devonshire. Przeczytaj to - dodał, podając żonie kartkę z informacjami na temat Devonshire.

Angela przejrzała je pośpiesznie.

- O mój Boże - westchnęła. - Jest nosicielem wirusa HIV.

- Owszem - pokiwał głową David. - To oznacza, że w każdej chwili sam może zapaść na nieuleczalną chorobę. Myślę, że to czyni go wyjątkowo podejrzanym, szczególnie iż został kiedyś aresztowany w pobliżu domu Jacka Kevorkiana. Niewątpliwie kwestia pomagania ludziom w popełnianiu samobójstwa musiała go zawsze bardzo interesować. Kto wie, może to zainteresowanie zaowocowało pragnieniem dokonywania eutanazji? Jest wykształconym pielęgniarzem, dysponuje więc potrzebną do tego wiedzą medyczną, ponadto zaś pracuje

w szpitalu, gdzie bez przerwy styka się z nieuleczalnie chorymi ludźmi.

Jakby tego było mało, ma na swoim koncie oskarżenie o gwałt. To oznacza, że może być również owym gwałtcielem w narciarskich goglach, który napada na kobiety na szpitalnym parkingu.

Angela skinęła głową, słowa Davida nie do końca ją jednak przekonywały.

- Wszystko to jednak są jedynie nasze przypuszczenia - powiedziała.

- Czy widziałeś kiedyś Clyde'a Devonshire'a na własne oczy?

- Nie - odrzekł David.

- Ciekawa jestem, czy byłabym w stanie rozpoznać w nim człowieka, który na mnie napadł? Szczerze w to wątpię. Nigdy nie mogłabym mieć stuprocentowej pewności.

- W takim razie jedźmy dalej. Drugim z kolei doskonałym kandydatem na mordercę jest Van Slyke. Spójrz na jego kartotekę - dodał, podając żonie wydruk komputerowy.

Plik kartek był tym razem znacznie grubszy niż w przypadku Devonshire'a.

- Dobry Boże - westchnęła Angela, doczytawszy dokumenty do końca. - Czegóż to człowiek dowiaduje się o innych ludziach!

- Czy nie sądzisz, że on również wyjątkowo pasuje do roli podejrzanego?

- Miał poważne kłopoty psychiczne - zgodziła się Angela. - Nie przywiązywałabym do tego jednak aż takiej wagi. Cierpiący na paranoję i manię prześladowczą schizofrenik to jednak nie to samo co socjopata.

- Nie trzeba być jednak socjopata, by mieć wynaturzoną wizję

eutanazji - oświadczył David.

- To prawda - przytaknęła Angela. - Nadal jednak uważam, że jeśli

ktos choruje psychicznie, nie znaczy to od razu, że jest przestępcą. Gdyby

Van Slyke miał na sumieniu jakieś sprawy kryminalne lub był oskarżony

o używanie przemocy, to co innego. Niczego takiego tu jednak nie ma, nie

sądzę więc, by należało go uważać za głównego podejrzanego. Poza tym

człowiek ten, choć zna się na łodziach podwodnych o napędzie

atomowym, ma jednak niewielkie pojęcie o skomplikowanych sprawach

medycznych. Jak wobec tego, nie mając odpowiedniego medycznego

wykształcenia, zdołałby zamordować tylu pacjentów i to w dodatku tak, że

nawet ty nie byłeś w stanie wykryć, w jaki sposób to uczynił.

- Masz rację - zgodził się David. - Zerknij jednak na informacje,

które otrzymałem dzisiaj od Roberta. - Podał Angeli kartkę z wyciągami z

kont Van Slyke'a, założonych w bankach w Bostonie i Albany.

- Gdzie, u licha, zdobył tyle pieniędzy? - zdziwiła się kobieta. -

Sądzisz, że to wiąże się jakoś z naszą sprawą?

- Sam chciałbym to wiedzieć - wzruszył ramionami David. - Robert

podejrzewa, że nie. Sugerował, że Van Slyke może zajmować się handlem

narkotykami. Nie jest to wykluczone, zważywszy, że w mieście tak łatwo

można kupić marihuanę.

Angela pokiwała głową.

- Jeśli jednak nie chodzi o narkotyki, to sumy zgromadzone przez

niego na kontach wyglądają dość podejrzanie - oświadczył David.

- Dlaczego? - zapytała Angela.

- Przypuśćmy, że to Van Slyke morduje tych ludzi - powiedział

David. - Jeśli nie zarabia pieniędzy, handlując narkotykami, to

niewykluczone, że ktoś płaci mu za każdy spowodowany przez niego zgon.

- Cóż za straszny pomysł - stwierdziła Angela, czując, jak

przebiegają dreszcz. - Gdybyś jednak miał rację, znaczyłoby to, że znowu

wracamy do punktu wyjścia: nie wiemy, kto za tym wszystkim stoi. Któż

mógłby płacić Van Slyke'owi za zabijanie pacjentów? I po co by to robił?

- Wciąż prześladowuje mnie myśl o jakimś szaleńcu, który traktuje tę

sprawę jako akt miłosierdzia. Wszystkie ofiary były przecież nieuleczalnie

chore.

- Sądzę, że posuwamy się za daleko w naszych spekulacjach -

pokręciła głową Angela. - Zgromadziliśmy wiele nowych informacji i

teraz z uporem staramy się podporządkować je ustalonej wcześniej teorii.

A przecież większość tych danych może się w żaden sposób nie wiązać z

naszą sprawą.

- Prawdopodobnie masz rację - zgodził się David. - Psychiatryczne

problemy Van Slyke'a mogłyby nam jednak pomóc ostatecznie

rozstrzygnąć kwestię, czy to on jest naszym „Aniołem Miłosierdzia”.

- Co masz na myśli? - zdziwiła się Angela.

- Van Slyke przeżył podczas rejsu na łodzi podwodnej wywołane

silnym stresem załamanie nerwowe. Nie wydaje mi się to specjalnie

dziwne: ja także znajdowałem się niedawno na krawędzi takiego stanu.

Tak czy owak jednak, podczas tego załamania zaobserwowano u niego

objawy paranoi oraz buntu wobec szanowanych dotąd przełożonych. A skoro coś takiego zdarzyło się raz, może zdarzyć się znowu. Znaczy to, że gdybyśmy powiedzieli mu o swoich podejrzeniach, najprawdopodobniej bardzo by go to rozwścieczyło, co mogłoby wywołać paranoiczny bunt wobec kogoś, kto płaci mu za zabijanie pacjentów. Wystarczyłoby, żebyśmy przekonali go, że morderstwa wyszły na jaw, „zleceniodawca” zaś ma zamiar obciążyć winą za nie tylko jego. Powinien nam uwierzyć, bo przecież już sama nasza rozmowa z nim będzie stanowiła dostateczny dowód, że ktoś zdołał odkryć, iż zgony śmiertelnie chorych pacjentów szpitala nie były dziełem przypadku.

Angela popatrzyła na męża z niedowierzaniem.

- Czasami mnie zdumiewasz - powiedziała. - Szczególnie gdy wydaje ci się, że to, co mówisz, brzmi rozsądnie. To najbardziej idiotyczny pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszałam. Z dokumentów Van Slyke'a wynika, że człowiek ten cierpi na manię prześladowczą i łatwo wpada w szal, ty zaś uważasz, że możesz bez ryzyka sprowokować u niego atak paranoi. Ależ to absurd! Jeśli pod wpływem twoich słów eksploduje w nim agresja, będzie ona skierowana przede wszystkim przeciwko tobie!

- Och, to była tylko propozycja - powiedział obronnym tonem David.

- Cóż, pozwól, że teraz ja spróbuję znaleźć jakieś rozwiązanie.

Niestety, nasze teorie opierają się na samych przypuszczeniach.

- Dobrze - zgodził się David. - Następnym podejrzanym jest Peter

Ullhof. Bez wątplenia ma medyczne wykształcenie, a poza tym był kiedyś aresztowany podczas demonstracji przeciwników aborcji, co sugeruje, że

przywiązuje wielką wagę do kwestii moralnych w medycynie. Poza tym, niestety, niewiele mamy na jego temat.

- A co z Joem Forbsem? - zapytała Angela.

- Jediną rzeczą, jaka mogłaby na niego wskazywać, jest nieumiejętność gospodarowania własnymi pieniędzmi - stwierdził David.

- A ostatnia osoba? Claudette Maurice?

- Jest czysta - powiedział David. - Ciekawi mnie tylko, gdzie też ona ma tatuaż.

- Mój Boże, ależ jestem zmęczona - westchnęła Angela, porządkując dokumenty i odkładając je na stolik. - Może jak się dobrze wyśpimy, przyjdą nam do głowy jakieś nowe pomysły.

Rozdział 25

Poniedziałek, 1 listopada

Nikki obudziły w środku nocy senne koszmary, wobec czego rodzice zabrali ją do swojego pokoju. Oni także spali niespokojnie, nawet Rusty kilkakrotnie poderwał się z posłania, szczerząc i warcząc. Za każdym razem David wyskakiwał z łóżka i sięgał po strzelbę. Wszystkie alarmy okazały się jednak fałszywe.

Jedynym powodem do radości następnego ranka była poprawa stanu zdrowia Nikki: nareszcie miała zupełnie czyste płuca. Mimo to Wilsonom nie przyszło nawet do głowy, by posłać ją do szkoły.

Próbowali skontaktować się z Calhounem, ale po raz kolejny odpowiedziała im tylko automatyczna sekretarka. Rozważali, czy nie powiadomić policji o zniknięciu detektywa, nie potrafili się jednak na to

zdecydować. Nie znali w końcu Calhouna aż tak dobrze, by wiedzieć, czy brak wieści od niego jest czymś niezwykłym, czy też taką właśnie ma metodę pracy. Niechętnie też, po ostatnich doświadczeniach, myśleli o wizycie na posterunku policji.

- Jedyne, czego jestem pewna - oświadczyła Angela - to to, że nie chcę spędzić ani jednej nocy więcej w tym domu. Powinniśmy spakować się i opuścić to miasto z jego zbrodniami i tajemnicami.

- Skoro mamy zamiar uczynić coś takiego - stwierdził David - lepiej będzie, jeśli uprzedzę o tym Sherwooda.

- Zrób to - zgodziła się Angela. - Zupełnie serio mówiłam, że nie zamierzam tu spędzić kolejnej nocy.

David zadzwonił do banku i umówił się na spotkanie z dyrektorem.

Kazano mu przyjechać o godzinie trzeciej i choć wolałby wcześniejszą porę - musiał zgodzić się na to, co mu zaproponowano.

- Uważam, że najpierw powinniśmy porozmawiać z prawnikiem - zauważyła Angela.

- Masz rację - zgodził się David. - Zadzwonię do Joego Coxa.

Joe był ich dobrym przyjacielem, a także jednym z najbardziej znanych prawników w Bostonie. Kiedy jednak Angela zadzwoniła do jego biura, powiedziano jej, że Joe cały dzień będzie w sądzie, gdzie w żaden sposób nie można się z nim skontaktować. Zostawiła wobec tego wiadomość, że jeszcze się odezwie, i odłożyła słuchawkę.

- Gdzie spędzimy najbliższą noc? - zapytała męża, rozczarowana, że nie udało jej się porozmawiać z Coxem.

- Naszymi najbliższymi przyjaciółmi w mieście są Yansenowie -

stwierdził David. - Ale nocowanie u nich nie jest chyba dobrym

pomysłem. Nie utrzymywałem z Kevinem stosunków od czasu tego

niemilego meczu tenisowego i nie mam ochoty dzwonić do niego teraz.

Uważam, że możemy pojechać do moich rodziców.

- Też o tym myślałam, ale bałam się to zaproponować - powiedziała

Angela.

David zadzwonił do Amherst w New Hampshire i zapytał matkę, czy

mogą przyjechać do nich na kilka dni, wyjaśniając, że mają pewne

problemy z domem. Teściowa Angeli była zachwycona. Powiedziała, że

niecierpliwie oczekuje ich przyjazdu. Angela raz jeszcze próbowała

połączyć się z Calhounem, i tym razem bez powodzenia. Zaproponowała

wobec tego, by pojechali do niego - Rutland znajdowało się wszak

niedaleko Bartlet. David zgodził się i wszyscy troje wkrótce ruszyli w

drogę.

- To tutaj - powiedziała Angela, kiedy znaleźli się na miejscu.

Zostawili samochód na parkingu i podeszli do drzwi. Czekало ich

jednak rozczarowanie: nikogo nie było w domu. Przed drzwiami leżały

nie rozpakowane gazety z ostatnich dwóch dni.

Wracając do Bartlet, zastanawiali się, co powinni uczynić, nie

podjęli jednak żadnej decyzji. Angela przypomniała sobie, że zaraz po

tym, jak wynajęła Calhouna, także nie odzywał się do niej przez wiele dni,

w końcu uznali więc, że poczekają jeszcze dwadzieścia cztery godziny i

jeśli detektyw nie da znaku życia, zawiadomią policję.

Po powrocie do domu Angela natychmiast zabrała się z pomocą

Nikki do pakowania, David zaś wynotował w tym czasie z książki

telefonicznej adresy pięciu wytatuowanych pracowników szpitala.

Skończywszy, wszedł na górę, by zawiadomić żonę, że chce pokręcić się

wokół ich domów i zorientować się, jak mieszkają.

- Nie życzę sobie, byś dokądkolwiek wychodził - powiedziała

zdecydowanie Angela.

- Czemu? - zapytał David zaskoczony tonem jej głosu.

- Po pierwsze dlatego, że nie chcę zostać tu sama - odrzekła. - Po

drugie, wiemy już, jak bardzo jest to niebezpieczne. Nie chcę, byś włóczył

się w pobliżu domu potencjalnego mordercy.

- W porządku - ustąpił David. - Pierwszy z podanych przez ciebie

powodów całkowicie wystarcza. Drugi nie był już potrzebny. Nie chcę, byś

się denerwowała, zostając sama w domu. Jeśli zaś chodzi o

niebezpieczeństwo, ci ludzie są teraz najprawdopodobniej w pracy.

- „Najprawdopodobniej” nie oznacza „na pewno” - oświadczyła

Angela. - Czemu nie pomożesz nam i nie zanieziesz tych rzeczy do

samochodu?

Zanim skończyli pakowanie, było już prawie południe. Dokładnie

pozamykali drzwi i okna i wsiedli do samochodu. Rusty zajął miejsce

obok Nikki.

Matka Davida, Jeannie Wilson, powitała ich ciepło i serdecznie, co

sprawilo, że natychmiast poczuli się podniesieni na duchu. Ojca Davida,

Alberta, nie było w domu, wybrał się bowiem na całodniową wyprawę na

ryby i miał wrócić dopiero wieczorem.

Wypakowali bagaże z samochodu i dopiero wtedy Angela poczuła, jak bardzo jest zmęczona.

- Jeśli zamknę oczy, usnę w ciągu sekundy - powiedziała, siadając na łóżku w pokoju gościnnym.

- No to zrób to - poradził David. - Nie musimy przecież oboje jechać na spotkanie z Sherwoodem.

- Tak myślisz? - zapytała Angela, walcząc z ogarniającą ją pokusą, by położyć się i zasnąć.

- Ależ oczywiście - zapewnił ją, ściągając narzutę, by mogła się przykryć.

Kiedy zamykał drzwi pokoju, poprosiła go jeszcze, by jechał ostrożnie, ale jej głos brzmiał już niewyraźnie: szybko zapadała w sen.

David powiedział matce i Nikki, że Angela postanowiła się zdrzemnąć, i zaproponował córce, by uczyniła to samo, dziewczynka wolała jednak piec z babcią ciastka na podwieczorek. Wyjaśnwszy, że jest o trzeciej umówiony na spotkanie, David wsiadł do samochodu i odjechał.

Czterdzieści pięć minut później był już z powrotem w Bartlet.

Zjechał na pobocze i wyciągnął z kieszeni listę wytatuowanych pracowników szpitala. Obok nazwisk widniały teraz na niej również adresy. Okazało się, że najbliższej ma do domu Devonshire'a. Czując lekkie wyrzuty sumienia, włączył silnik i skierował się w stronę ulicy, przy której mieszkał Clyde. Powtarzał sobie w duchu, że obawy Angeli były nieuzasadnione, nie miał bowiem zamiaru robić nic prócz przyjrzenia się

z daleka domom podejrzanych osób.

Ku swemu zaskoczeniu odkrył, że na parterze budynku, w którym mieszkał Devonshire, mieści się sklep. Zatrzymał samochód i wszedł do środka. Płacąc za karton soku pomarańczowego, zapytał jednego z dwóch sprzedawców, czy mówi mu coś nazwisko Devonshire.

- Jasne - odparł mężczyzna. - Mieszka tu, na górze.

- Dobrze go pan zna?

- Tak sobie - odrzekł zapytany. - Często tu przychodzi.

- Mówiono mi, że ma na skórze tatuaż - powiedział David.

- O, i to niejeden - roześmiał się mężczyzna.

- W którym miejscu?

- Na obu nadgarstkach ma wytatuowane łańcuchy - powiedział

drugi ze sprzedawców. - Wygląda to tak, jakby zawsze był nimi skuty.

Obaj ekspedienci zaśmiali się głośno. David także się uśmiechnął.

Nie widział w słowach mężczyzny nic śmiesznego, ale chciał być

uprzejmy. W końcu dzięki tym ludziom dowiedział się, że tatuaż

Devonshire'a znajduje się w takim miejscu, że mógł zostać uszkodzony podczas walki.

- Clyde ma także wytatuowane ramiona i klatkę piersiową -

poinformowali go sprzedawcy.

David podziękował im i wyszedł ze sklepu. Obszedł budynek

dookoła i popatrzył na wiodące w górę schody. Przez chwilę miał ochotę

wspiąć się na nie i zapukać do drzwi pielęgniarza, zwalczył jednak w sobie

tę pokusę. Przynajmniej tyle mógł zrobić w kwestii dotrzymania obietnicy

danej Angeli.

Wrócił do samochodu i zerknął na zegarek. Do spotkania z Sherwoodem zostało mu jeszcze dwadzieścia minut: wystarczająco dużo, by sprawdzić kolejny adres. Tym razem najbliżej miał do domu Van Slyke'a.

Po kilku minutach znalazł się na właściwej ulicy i jadąc powoli, sprawdzał widniejące na skrzynkach pocztowych numery budynków.

Nagle gwałtownie nacisnął hamulec: przed jednym z domów stała zielona furgonetka, ładząco podobna do wozu Calhouna.

Zaparkował tuż za nią i wysiadł z samochodu. Podeszedł bliżej i odczytał napis na tylnym zderzaku: „Ten samochód wspiął się na Mount Washington”. Tak, z pewnością był to wóz detektywa. David obszedł auto dookoła i zajrzał do kabiny pasażerskiej. Na otwartych drzwiczkach schowka na rękawiczki stał kubek po kawie, popielniczka zaś pełna była niedopalków po cygarach. David rozpoznał obicia na siedzeniach oraz wiszący przy wstecznym lusterku odświeżacz powietrza. Bez wątplenia był to samochód Calhouna.

Powiódł wzrokiem po ulicy. Przed domem nie było skrzynki pocztowej, z miejsca, gdzie stał, spostrzegł jednak wymalowane na filarze werandy cyfry: była to posesja numer sześćdziesiąt sześć przy Apple Tree Lane - adres Van Slyke'a.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i uważnie przyjrzał się domowi.

Budynek pilnie wymagał malowania i remontu. Trudno było nawet zgadnąć, jakiego był niegdyś koloru. Teraz miał barwę popielatą, ale

zielony odcień tej szarości sugerował, że kiedyś pomalowano go na jasnooliwkowo.

Wokół nie widać było żywej duszy. Gdyby nie widniejące na zwirowym podejździe ślady opon, można by wręcz pomyśleć, że dom w ogóle nie jest zamieszkanym.

David skierował się na tyły garażu i zajrzał do środka. Wewnątrz nie było żadnego samochodu.

Wrócił przed dom i sprawdzwszy uważnie, czy nikt go nie obserwuje, nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. David otworzył je powoli i zamarł w bezruchu, kiedy skrzypnęły zawiasy.

Gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki, zajrzał do środka, zobaczył jednak tylko kilka zakurzonych mebli. Odetchnąwszy głęboko, krzyknął głośno, chcąc sprawdzić, czy ktoś jest w domu.

Jeśli nawet był, wołał nie odpowiadać na jego wołanie. David stał przez chwilę, nasłuchując, ale dom pogrążony był w całkowitej ciszy.

Odsunąwszy od siebie pokusę, by natychmiast stąd uciec, przekroczył próg. Serce waliło mu jak młotem. Nie miał ochoty wchodzić dalej, pragnął jednak dowiedzieć się, gdzie przepadł Calhoun.

Jeszcze raz zapytał głośno, czy zastał kogoś w domu, i właśnie miał zamiar powtórzyć to pytanie po raz trzeci, kiedy nagle drzwi za jego plecami zamknęły się z lekkim skrzypieniem. Ten odgłos przestraszył go i to tak, że aż podskoczył. Owładnięty irracjonalnym lękiem, że drzwi zatrzasnęły się automatycznie i nie dadzą się już otworzyć, szarpnął je gwałtownie i - rozwarte na oścież - zablokował za pomocą zakurzonego

parasola.

Uspokoiwszy się nieco, obejrzał pomieszczenia na parterze, przechodząc szybko z jednego brudnego pokoju do następnego, póki nie znalazł się w kuchni. Tu zatrzymał się na chwilę - w popielniczce na stole leżał niedopalek cygara „Antonio y Cleopatra”. Obok stołu zobaczył otwartą klapę piwnicy.

Podszedł bliżej i zajrzał w głąb ciemnego prostokąta. Obok framugi znajdował się włącznik światła. David nacisnął go i w anemicznym świetle słabej żarówki ujrzał wiodące w dół schody.

Odetchnął głęboko i zszedł po nich, zatrzymując się w połowie drogi, by przyzwyczać wzrok do półmroku. Piwnica zastawiona była starymi meblami, jakimiś pudełkami, narzędziami i złomem. Zamiast podłogi, podobnie jak w domu Wilsonów, znajdowało się tam klepisko, choć w pobliżu wejścia widać było niewielki prostokąt betonu.

David przyklęknął i dokładnie obejrzał to miejsce: beton wciąż jeszcze był świeży i wilgotny - dotknął go, by mieć co do tego całkowitą pewność. Zadrżał na całym ciele. Wyprostował się i pośpiesznie ruszył schodami w górę. Zobaczył już dość, by wiedzieć, że powinien natychmiast zawiadomić policję. Postanowił jednak nie zawracać sobie głowy miejscowymi funkcjonariuszami i zadzwonić prosto na komendę policji stanowej. Był już u szczytu schodów, kiedy zatrzymał się gwałtownie: wyraźnie usłyszał pisk opon samochodu hamującego na zwirowym podjeździe za domem Van Slyke’a.

Znieruchomiał na moment, nie wiedząc, co robić. Miał niewiele

czasu na podjęcie decyzji. Usłyszał trzaśnięcie drzwiczek samochodowych oraz chrzęst żwiru zgrzytającego pod ciężarem czyichś kroków.

Ogarnęła go panika. Zamknął klapę zasłaniającą wejście do piwnicy i pośpiesznie zbiegł po schodach w dół. Miał nadzieję, że znajdzie jakieś inne, prowadzące na zewnątrz domu schody.

Na tyłach piwnicy dostrzegł kilkoro drzwi i nie tracąc czasu, skierował się prosto ku nim. Pierwsze zamknięte były tylko na haczyk. Tak cicho, jak tylko potrafił, otworzył je i stwierdził, że prowadzą do oświetlonej pojedynczą żarówką piwnicy na warzywa.

Słyszając nad głową odgłosy kroków, pośpiesznie skierował się do drugich drzwi. Nacisnął klamkę, ale drzwi ani drgnęły. Natarł na nie nieco silniej i wtedy ustąpiły, otwierając się z takim skrzypieniem zawiasów, jak gdyby nie używano ich od lat. Za nimi znajdowało się to, czego szukał: betonowe schody wiodące na górę, ku łukowato zwieńczonemu wyjściu. David ostrożnie wspiał się na nie, starając się robić przy tym jak najmniej hałasu. Mrok na schodach rozpraszała jedynie blada poświata przenikająca zza niemal poziomo umieszczonych nad jego głową drzwi.

Po chwili zatrzymał się i nasłuchiwał, do jego uszu nie dotarł jednak żaden dźwięk. Uniósł ręce i pchnął drzwi, ale udało mu się podnieść je zaledwie na pół cala: z zewnątrz blokowała je jakaś zasuwka.

Mimo iż starał się za wszelką cenę zachować spokój, poczuł, jak w skroniach gwałtownie pulsuje mu krew. Wpadł w pułapkę i mógł mieć jedynie nadzieję, że nikt go tu nie znajdzie. Niestety, następną rzeczą,

jaką usłyszał, był trzask klapy zamykającej wejście do piwnicy i ciężkie kroki na wiodących w dół schodach.

Wstrzymując oddech, zamarł w ciemności. Odgłosy kroków stały się jeszcze głośniejsze, po czym drzwi do jego kryjówki nagle się otworzyły i David znalazł się niespodziewanie twarzą w twarz ze zdumionym Wernerem Van Slyke'em.

Gospodarz zdawał się być tym jeszcze bardziej przerażony od swego gościa. Wyglądał i zachowywał się tak, jakby doznał wstrząsu. Wybaluszył oczy, niezdolny nawet do zamrugania powiekami. Źrenice miał tak rozszerzone, że prawie zupełnie nie widać było tęczówki. Trzął się cały, z czoła zaś sływały mu grube krople potu. W prawym ręku trzymał wymierzony prosto w twarz Davida pistolet.

Przez chwilę stali nieruchomo. David próbował wymyślić powód usprawiedliwiający swoją obecność w tym domu, ale nic nie przychodziło mu do głowy: był w stanie myśleć jedynie o tańczącej przed jego twarzą lufie pistoletu. Van Slyke z każdą chwilą trzął się coraz bardziej i Wilson pomyślał, że broń może równie dobrze wystrzelić przez przypadek.

Mając w pamięci opinię psychiatry na temat tego człowieka, uświadomił sobie, że Van Slyke musi przeżywać silny atak nerwowy. Przyszło mu na myśl, że mógłby wspomnieć o furgonetce Calhouna, by wyjaśnić powód swojej tu obecności, szybko jednak porzucił ten pomysł. Kto wie, cóż takiego zaszło pomiędzy prywatnym detektywem a Van Slyke'em? Wymienienie nazwiska Calhouna mogło jedynie pogorszyć sytuację.

Uznał, że najlepiej będzie, jeśli postara się odnosić do tego człowieka przyjacielsko, przekonując go, że rozumie jego problemy, i zapewniając, że jako lekarz może mu pomóc.

Niestety Van Slyke nie dał Davidowi szansy na zrealizowanie tego planu. Bez słowa chwycił go za klapę marynarki i brutalnie wciągnął do głównego piwnicznego pomieszczenia.

Zdumiony siłą gospodarza, Wilson upadł na podłogę, gniotąc przy tym kilka tekturowych pudełek.

- Wstawaj! - wrzasnął Van Slyke. Jego głos odbił się echem od ścian piwnicy.

David z trudem podniósł się z ziemi.

Mężczyzna cały drżał. Dreszcze te były tak silne, że można by wręcz uznać je za konwulsje.

- Właź do piwnicy na warzywa! - krzyknął.

- Niech się pan uspokoi - powiedział David, po raz pierwszy się odzywając. Starał się przemawiać tak, jak by robił to psychoterapeuta.

Oświadczył, że rozumie gniew Van Slyke'a z powodu niespodziewanego najścia na jego dom.

W odpowiedzi mężczyzna bez uprzedzenia nacisnął spust. Kilka pocisków ze świstem minęło głowę Davida, odbiło się od ścian piwnicy i utkwilo w podłodze, poręczach schodów i drewnianej framudze drzwi.

Potykając się, Wilson pośpiesznie wszedł do piwnicy na warzywa i dysząc, oparł się o ścianę. Z przerażeniem myślał o tym, co teraz uczyni Van Slyke. Nie miał już żadnych wątpliwości co do tego, iż człowiek ten

rzeczywiście jest psychopata.

Van Slyke zatrzasnął drzwi piwnicy z taką siłą, że z sufitu na głowę Davida posypał się tynk. Mimo to Wilson nawet się nie poruszył. Zdał sobie sprawę, że pomieszczenie, w którym go uwięziono, zostało zamknięte na zasuwę i skobel.

Usłyszał na zewnątrz kroki mężczyzny, po czym zapanowała cisza.

Upłynęło jednak jeszcze kilka minut, zanim David odważył się wstać i rozejrzeć dookoła. Stwierdził, że jedyne źródło światła stanowi pojedyncza, naga żarówka wisząca na przeciągniętym z głównej piwnicy przewodzie. Zauważył, że fundamenty domu wzniesiono z potężnych, granitowych bloków. Pod ścianą pomieszczenia, w którym się znajdował, piętrzyły się wypełnione zeschniętymi owocami kosze, a na sięgających aż do sufitu półkach stały słoje z przetworami.

David podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho, z zewnątrz nie dochodził jednak żaden dźwięk. Przyjrząwszy się drzwiom dokładnie, zauważył na nich świeże ślady, świadczące, że ktoś desperacko próbował się stąd wydostać.

Chociaż nie spodziewał się efektu, napał na nie ramieniem - tak jak podejrzewał, drzwi nawet nie drgnęły. Zrezygnowawszy z dalszych prób, zaczął obchodzić piwnicę dookoła, kiedy nagle żarówka pod sufitem zgasła, pograżając pomieszczenie w całkowitych ciemnościach.

Sherwood wezwał do siebie sekretarkę i zapytał, na którą godzinę umówił z nim Davida Wilsona. - Na trzecią - odparła Sharon.

- A która jest teraz?

- Piętnaście po trzeciej.

- Tak właśnie myślałem - odparł Sherwood, zerkając na zegarek. - I co, nie widać go?

- Nie, proszę pana.

- Jeśli się pokaże, powiedz mu, że musi umówić się na inny termin.

Był poirytowany tym, że Wilson spóźnia się na spotkanie, o które sam prosił. Z punktu widzenia prezesa banku był to niewybaczalny afront: Sherwood uważał punktualność za podstawową cechę, jaką powinni odznaczać się ludzie, z którymi współpracował.

Sięgnął po słuchawkę telefonu i wykręcił numer Harolda Traynora.

Uznał, że nim zacznie tracić czas na przeglądanie materiałów związanych z dzisiejszym spotkaniem zarządu, powinien upewnić się, czy nie zostało ono odwołane. Kiedyś, w 1981 roku, tak właśnie się stało i Sherwood wciąż o tym pamiętał.

- Szósta wieczór - potwierdził Traynor. - Tak jak się umawialiśmy. I może przeszlibyśmy się przedtem? Jest ładna pogoda, a niewiele ciepłych dni czeka nas jeszcze tego roku.

- Zgoda. Spotkamy się wobec tego przed bankiem - powiedział Sherwood. - Jak słyszę, humor ci dopisuje.

- Miałem dobry dzień - przyznał Traynor. - Dziś po południu zadzwonił do mnie Jeb Wiggins. Postanowił w końcu poprzeć projekt budowy garażu. Mam nadzieję, że do końca miesiąca uda nam się załatwić tę sprawę.

Sherwood uśmiechnął się. To była rzeczywiście dobra wiadomość.

- Czy mam wobec tego zająć się już opracowywaniem warunków kredytowania tego przedsięwzięcia?

- Jasne - przytaknął Traynor. - Chcemy przystąpić do realizacji tak szybko, jak tylko się da. Już teraz szukałbym firmy budowlanej, gdyby istniała jakakolwiek szansa, że uda nam się przed zimą położyć fundamenty.

Sharon weszła do gabinetu dyrektora banku i podała mu plik dokumentów dotyczących wieczornego spotkania.

- Mam jeszcze inne dobre wieści - powiedział Traynor. - Dziś rano dzwoniła do mnie Beaton z wiadomością, że bilans szpitala w październiku wypadł znacznie lepiej, niż się spodziewaliśmy.

- Cóż, w takim razie ten miesiąc obfituje w radosne wydarzenia - stwierdził Sherwood.

- Och, nie jest aż tak dobrze - westchnął Traynor. - Niedawno Helen zadzwoniła do mnie jeszcze raz, żeby powiedzieć, iż Van Slyke nie pokazał się w szpitalu.

- Nie zadzwonił? - zdziwił się Sherwood.

- Nie - odparł Traynor. - Choć nie jest to znowu takie dziwne, zważywszy, że nie ma w domu telefonu. Chyba wybiorę się do niego po naszym wieczornym spotkaniu, choć Bóg mi świadkiem, że nie mam na to ochoty. Nienawidzę tam chodzić, gdyż za każdym razem wprawia mnie to w przygnębienie, ale cóż robić.

Światło zapaliło się równie nieoczekiwanie, jak zgasło. David słyszał metaliczny brzęk oraz kroki Van Slyke'a schodzącego w dół po

piwnicznych schodach. W chwilę później o klepisko piwnicy uderzyło coś ciężkiego.

Kroki oddaliły się, by po jakimś czasie znowu się zbliżyć. David odniósł wrażenie, że Van Slyke ciągnie coś po ziemi - być może czyjeś zwłoki. Przeszły go ciarki.

Korzystając z zapalonego światła, dokładnie obejrzał piwnicę na warzywa, szukając drugiego wyjścia, ale tak jak podejrzewał, nie znalazł go.

Nagle usłyszał zgrzyt kłódki i wyjmowanego skobla. Drzwi stanęły otworem. Widok Van Slyke'a sprawił, że Davidowi zabrakło tchu w piersi: mężczyzna był teraz jeszcze bardziej podniecony niż przedtem, a jego ciemne włosy nie przylegały już gładko do czaszki, lecz najeżone sterczały we wszystkie strony. Źrenice miał nadal rozszerzone, jego czoło zaś zroszone było kroplami potu. Pozbył się już zielonej, roboczej koszuli i miał na sobie jedynie wypuszczony na spodnie brudny podkoszulek. W tym stroju jeszcze lepiej widać było, jak potężnie jest zbudowany, i David natychmiast oddalił od siebie myśl, by rzucić się na tego człowieka i spróbować z nim walczyć. Zauważył też, że na prawym przedramieniu mężczyzna ma wytatuowaną amerykańską flagę trzymaną przez orła. Tatuaż przecinała pięciocalowej długości blizna. David uświadomił sobie, że człowiek ten jest prawdopodobnie mordercą Hodgesa.

- Wylaż! - krzyknął Van Slyke, wymachując bronią. Wilsona przeszły ciarki. Obawiał się, że mężczyzna może w każdej chwili znowu zacząć strzelać na oślep.

Pośpiesznie spełnił jego polecenie i wyszedł z piwniczki. Przesuwał się wzdłuż ściany, ani na chwilę nie spuszczał z oczu swego prześladowcy.

- Stój! - usłyszał, kiedy oddalił się od drzwi na jakieś dwadzieścia stóp.

Lufą pistoletu Van Slyke wskazał na podłogę. David popatrzył w dół.

U jego stóp, obok prostokąta świeżego betonu, leżały łom i lopata.

- Będziesz kopał - zażądał Van Slyke. - Dokładnie tu, gdzie stoisz.

Bojąc się okazać choćby chwilowe wahanie, David pochylił się i

wziął do ręki łom. Pomyślał, że może uda się mu użyć go jako broni, ale

Van Slyke, jakby czytając w jego myślach, odsunął się nieco dalej i znalazł

się poza zasięgiem ewentualnych ciosów. W wyciągniętej dłoni wciąż

trzymał pistolet i choć drżały mu ręce, broń cały czas pozostawała

wymierzona w Wilsona.

David zauważył leżące nieopodal worki z piaskiem i cementem.

Pomyślał, że hałasy, które uprzednio słyszał, musiały być właśnie

odgłosami rzucania worków na podłogę.

Wziął zamach łomem. Ku jego zaskoczeniu narzędzie zagłębiło się

w twardo ubitym klepisku zaledwie na jakieś dwa cale. Ponowił próbę

jeszcze kilkakrotnie, ale mimo to udało mu się zrobić tylko małe

wgłębienie w podłodze. Odłożył łom i sięgnął po lopatę, by usunąć

rozkruszoną ziemię. Nie miał wątpliwości co do zamiarów Van Slyke'a:

mężczyzna kazał mu kopać własny grób. David zastanawiał się, czy to

samo spotkało wcześniej Calhouna.

Wiedział, że jedyną jego nadzieją jest naklonienie Van Slyke'a do mówienia.

- Jak głęboko mam kopać? - zapytał, zmieniając łopatę na łom.

- Potrzebuję dużego dołu - odparł Van Slyke. - Jak dziura w pączku.

Chcę dostać cały. Chcę, żeby moja matka dała mi całego pączka.

David z trudem przełknął ślinę. Podczas studiów medycznych nie specjalizował się w psychiatrii, ale mimo to zorientował się, że to, co słyszy, określane jest mianem „majaczenia” lub „utruty poczucia rzeczywistości” - objaw klinicznej schizofrenii.

- Czy pańska matka dawała panu dużo pączków? - zapytał, z trudem dobywając głosu. Rozpaczliwie pragnął zmusić Van Slyke'a do mówienia.

Mężczyzna popatrzył na Davida ze zdumieniem.

- Moja matka popełniła samobójstwo - powiedział. - Zabiła się - dodał, wybuchając, ku przerażeniu lekarza, gromkim śmiechem.

David natychmiast rozpoznał kolejny objaw schizofrenii. Pamiętał, że eufemistycznie określa się go jako „niewłaściwe reakcje”. To przypomniało mu o innym poważnym zaburzeniu towarzyszącym chorobie Van Slyke'a: paranoi.

- Kop szybciej! - krzyknął nagle mężczyzna, jakby budząc się z transu.

David zaczął energiczniej ruszać łopatą, nie zrezygnował jednak z prób naklonienia swego prześladowcy do mówienia. Zapytał go, jak się czuje i co zamierza zrobić. Nie otrzymał jednak odpowiedzi. Wyglądało na to, że Van Slyke jest całkowicie pochłonięty jakąś myślą.

- Słyszysz pan głosy? - zapytał David, niepostrzeżenie zbliżając się do mężczyzny.

Kilka razy od niechcenia uderzył łomem w podłogę. Van Slyke nie odpowiedział. David przyjrzał mu się dokładniej: wyraz jego twarzy uderzająco się zmienił - zamyślenie ustąpiło miejsca zdziwieniu.

Przymknął oczy, a ręce zaczęły mu drżeć jeszcze silniej.

- Co mówią te głosy? - zapytał.

- Nic! - wrzasnął nagle Van Slyke.

- Czy to te same głosy, które słyszał pan, służąc w marynarce?

Mężczyzna gwałtownie uniósł głowę i zaskoczony popatrzył na Davida. Widać było, że jest wstrząśnięty.

- Skąd wiesz o marynarce? - zapytał. - I skąd wiesz o głosach?

David rozpoznał w jego tonie paranoiczny lęk i to dodało mu odwagi. Wiedział, że przebił się przez skorupę, za pomocą której ten człowiek odgradzał się od świata.

- Wiem o panu bardzo dużo - powiedział. - Wiem, co pan robił. I chcę panu pomóc. Nie jestem taki jak inni. Właśnie dlatego tu przyszedłem. Jestem lekarzem. Troszczę się o pana.

Van Slyke milczał, wpatrując się w Davida pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

- Wygląda pan na bardzo przygnębitego - ciągnął David. - Martwi się pan pacjentami?

Van Slyke z głośnym świstem wciągnął powietrze do płuc. Sprawiał wrażenie, jakby się dławił.

- Jakimi pacjentami? - zapytał.

David przełknął ślinę. W ustach czuł dziwną suchość. Zdawał sobie sprawę z podejmowanego przez siebie ryzyka. Przypomniały mu się ostrzeżenia Angeli. Nie miał jednak wyboru: musiał prowadzić swą grę.

- Mówię o pacjentach, którym pomógł pan umrzeć - powiedział.

- Tak czy owak by umarli - wzruszył ramionami Van Slyke. David poczuł, że po plecach przechodzą mu ciarki. A więc to ten człowiek mordował jego podopiecznych.

- Nie zabiłem ich - oświadczył Van Slyke. - To oni to zrobili. To oni naciskali guzik. Nie ja.

- O czym pan mówi? - zdziwił się David.

- To było uruchamiane przez fale radiowe - wyjaśnił Van Slyke.

David skinął głową i pomimo dręczącego go lęku spróbował uśmiechnąć się ze współczuciem. Teraz było już dlań całkiem jasne, że ma do czynienia z halucynacjami cierpiącego na paranoję schizofrenika.

- Więc to fale radiowe powiedziały panu, co robić? - zapytał.

Wyraz twarzy Van Slyke'a znowu się zmienił. Tym razem popatrzył na Davida jak na kogoś niespełna rozumu.

- Oczywiście, że nie - odrzekł ze wzgardą. Po chwili jednak znowu ogarnęła go złość: - Skąd wiesz o marynarce?

- Mówiłem już, że wiem o panu wiele - powiedział David. - I chcę panu pomóc. To dlatego tu jestem. Nie będę jednak mógł nic dla pana uczynić, póki nie dowiem się wszystkiego. Chcę wiedzieć, kto to są „oni”.

Ma pan na myśli głosy, które pan słyszy?

- O ile się nie mylę, mówiłeś, że dużo o mnie wiesz - zakpił Van

Slyke.

- Owszem - skinął głową David. - Nie wiem jednak, kto polecił panu zabić tych ludzi w szpitalu ani w jaki sposób pan to uczynił. Sądzę, że nie zrobiły tego głosy, które pan słyszy. To prawda?

- Zamknij się i kop - warknął Van Slyke, celując jednocześnie bronią nieco w bok od Davida i naciskając spust. Pocisk wpadł do piwniczki na warzywa i odbił się od granitowej ściany.

David pośpiesznie powrócił do kopania. Paranoja Van Slyke'a przerażała go. Po kilku chwilach, kiedy słyhać było jedynie zgrzyt zagłębiającej się w ziemi łopaty, zaryzykował i znowu zaczął mówić.

Pragnął zaskarbić sobie zaufanie tego człowieka, przekonując go, jak wiele informacji na jego temat posiada.

- Wiem, że płacono panu za to, co pan robił - oświadczył. - Wiem nawet, że ulokował pan te pieniądze w bankach w Albany i Bostonie. Nie wiem jedynie, kto panu płacił. Kto to był, Wernerze?

W odpowiedzi usłyszał jedynie przeciągły jęk. Uniósł wzrok i zobaczył, że Van Slyke z dziwnym grymasem na twarzy trzyma się obiema dłońmi za głowę. Zatykał sobie uszy, jakby próbując zasłonić je przed jakimś sprawiającym ból dźwiękiem.

- Czy głosy stały się głośniejsze? - obawiając się, że zatykający sobie uszy Van Slyke nie usłyszy go, David niemal wykrzyczał to pytanie.

Mężczyzna skinął głową. Powiódł błędnym wzrokiem po ścianach piwnicy, jak gdyby szukając drogi ucieczki. Korzystając z oszołomienia

prześladowcy, David ze szpadłem w dłoni niepostrzeżenie zaczął zbliżać się do niego. Miał nadzieję, że uda mu się go uderzyć i że uczyni to dostatecznie szybko, zanim tamten użyje broni.

Nie zdążył jednak nic zrobić, to bowiem, co tak przeraziło Van Slyke'a, zniknęło równie szybko, jak się pojawiło. Jego twarz nie wyrażała już panicznego lęku, a wzrok stał się przytomny.

- Kto do ciebie mówi? - zapytał David, starając się ani na chwilę nie przerywać dialogu z chorym psychicznie człowiekiem.

- To komputery i promieniowanie radioaktywne. Tak jak wtedy w marynarce - poskarżył się rozżalonym głosem Van Slyke.

- Ale przecież teraz nie jesteś już w marynarce - przypomniał mu David. - Nie płyniesz łodzią podwodną przez Pacyfik. Jesteś tutaj, w Bartlet, w stanie Vermont. W swojej własnej piwnicy. Tu nie ma żadnych komputerów. Ani promieniowania.

- W jaki sposób dowiedziałeś się o mnie tylu rzeczy? - zapytał ponownie Van Slyke. Jego strach znowu ustępował miejsca złości.

- Chcę ci pomóc - odparł David. - Widzę, że jesteś przygnębiony i że cierpisz. Musisz mieć wyrzuty sumienia. Wiem, że to ty zabiłeś doktora Hodgesa.

Van Slyke otworzył usta ze zdumienia. Davidowi przyszło na myśl, że być może posunął się za daleko. Czuł, że wywołał w tym człowieku ostry atak paranoi i miał jedynie nadzieję, że Van Slyke nie zwróci swego gniewu przeciw niemu. Wiedział, że musi na powrót skierować rozmowę na to, kto płacił za zabijanie pacjentów. Ponadto powinien dowiedzieć się,

jak ich mordowano.

- Czy oni zapłacili ci też za zabicie doktora Hodgesa? - zapytał David.

Van Slyke roześmiał się wzgardliwie.

- To pokazuje, jak mało o mnie wiesz - oświadczył. - Oni nie mieli nic wspólnego z Hodgesem. Uczyniłem to, ponieważ Hodges zwrócił się przeciwko mnie. Powiedział, że napadam na kobiety na szpitalnym parkingu. Ale ja tego nie robiłem. Straszyl, że wszystkim o tym powie, i żądał, żebym zrezygnował z pracy w szpitalu. Dostał za to niezłą nauczkę - dodał z satysfakcją.

W tym samym momencie na nowo zaczął robić wrażenie półprzytomnego. Zanim David zdążył zapytać go, czy i tym razem słyszy jakieś głosy, mężczyzna potrząsnął głową, jak gdyby budząc się z głębokiego snu. Przetarł oczy i zaskoczony popatrzył na stojącego przed nim z łopatą w ręku lekarza. Jego zmieszanie szybko przemieniło się w złość. Uniósł pistolet i wycelował nim prosto w oczy Davida.

- Kazałem ci kopać - warknął.

Wilson powrócił do swego zajęcia. Był przekonany, że gdy tylko się pochyli, Van Slyke naciśnie spust, nie padł jednak żaden strzał.

David nie wiedział, co powinien zrobić. Jego rozmowa z Van Slyke'em nie odniosła skutku. Wywołał w mężczyźnie atak choroby, nie na tyle jednak silny, by dzięki niemu móc pokonać prześladowcę.

Pomyślał, że być może zabrał się do tego w niewłaściwy sposób.

- Rozmawiałem już z osobą, która ci płaci - powiedział po kilku minutach pośpiesznego kopania. - To właśnie jedna z przyczyn, dla

których wiem tak dużo. Opowiedział mi wszystko i dlatego nie zależy mi już na tym, byś odpowiadał na moje pytania.

- Nie! - krzyknął Van Slyke.

- Ależ tak - zapewnił go David. - Powiedział mi jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć: stwierdził, że jeśli Phil Calhoun nabierze podejrzeń, zrzuci całą winę na ciebie.

- Skąd wiesz o Philu Calhounie? - zawołał Van Slyke, na nowo zaczynając drżeć.

- Mogę sobie wyobrazić, co się teraz stanie - ciągnął David. - Cała sprawa się wyda. Kiedy człowiek, który ci płaci, dowie się o Calhounie, będzie po wszystkim. Jemu na tobie nie zależy, Van Slyke. Uważa, że jesteś niczym. Ale ze mną jest inaczej. Wiem, jak bardzo cierpisz. Pozwól, żebym ci pomógł. Nie dopuść do tego, by ten człowiek używał cię jak narzędzia. Nic dla niego nie znaczysz. On chce cię skrzywdzić.

- Zamknij się! - wrzasnął Van Slyke.

- Osoba, która cię wykorzystuje, mówiła już o tobie wielu ludziom, nie tylko mnie. I wszyscy śmieją się do rozpuku, że jedynym obwinionym będzie Van Slyke.

- Zamknij się! - wrzasnął po raz drugi mężczyzna, dotykając lufą pistoletu czoła Davida.

David zamarł z lęku, wypuszczając z rąk łopatę, która z łoskotem upadła na ziemię.

- Właż z powrotem do piwnicy na warzywa - rozkazał Van Slyke, popychając Wilsona lufą pistoletu.

David był przerażony: broń mogła w każdej chwili wypalić.

Rozgorączkowanie i niepokój Van Slyke'a graniczyły wręcz z paniką.

Dopiero gdy David znalazł się w piwnicy na warzywa, mężczyzna odsunął od niego pistolet. Zanim David zdążył raz jeszcze powtórzyć, że chce mu pomóc, ciężkie drewniane drzwi zatrzasnęły się z hukiem tuż przed jego nosem i rozległ się chrobot skobla.

Usłyszał, jak Van Slyke kręci się po piwnicy, potrącając jakieś przedmioty, po czym wchodzi po schodach na górę. Chwilę później zgasło światło.

Lekarz stał bez ruchu, nasłuchując. Do jego uszu doleciał stłumiony odgłos włączanego silnika samochodu. Po chwili dźwięk ten stał się jeszcze cichszy, aż w końcu umilkł. Zapadła zupełna cisza, wśród której David słyszał jedynie bicie swego serca.

Stał nieruchomo w całkowitych ciemnościach i gorączkowo myślał, jak się uwolnić. Van Slyke opuścił dom w stanie ostrego ataku paranoi.

Wilson nie miał pojęcia, dokąd pojechał i co zamierzał uczynić, ale cokolwiek planował, nie było to nic dobrego.

Poczuł napływające do oczu łzy. Udało mu się wywołać u swego prześladowcy atak choroby, ale jego skutek był inny, niż oczekiwał.

Pragnął zaprzyjaźnić się z Van Slyke'em i pomówić z nim o jego problemach - miał nadzieję, że w ten sposób nakłoni mężczyznę, by go uwolnił. Zamiast tego jednak wciąż siedział uwięziony w piwnicy, po mieście zaś krążył zdolny do popełnienia najgorszych zbrodni szaleniec.

Jedynym źródłem pociechy było dla niego to, że Angela i Nikki są

bezpieczne w odległym Amherst.

Próbując zapanować nad nerwami, starał się trzeźwo ocenić

sytuację i zastanowić się, czy ma jakąkolwiek szansę ucieczki. Jednak myśl o litych, kamiennych ścianach, jakie go otaczały, wywołała jedynie dojmujące uczucie klaustrofobii.

Nie mogąc się opanować, wybuchnął szlochem i z bezsilną złością

zaczął bębnić pięściami w ciężkie, drewniane drzwi, krzycząc, że chce wyjść.

Po jakimś czasie odzyskał panowanie nad sobą i zaprzestał nie

prowadzących do niczego ataków. Pomyślał o stojących na zewnątrz samochodach: błękitnym volvo i furgonetce Calhouna. One stanowiły jego jedyną nadzieję.

Zrezygnowany usiadł na podłodze, czekając na powrót Van Slyke'a.

Rozdział 26

Poniedziałek, 1 listopada Później, tego dnia

Angela spała nieco dłużej, niż planowała. Kiedy się obudziła, było

już wpół do piątej. Zdziwiła ją nieobecność Davida, który nawet nie zadzwonił. Ogarnął ją lekki niepokój, postarała się jednak stłumić jakoś to uczucie. Kiedy jednak minęła piąta, jej obawy zaczęły rosnać z każdą upływającą minutą.

W końcu sięgnęła po słuchawkę i zadzwoniła do banku.

Odpowiedział jej jedynie automat zgłoszeniowy, informujący, że godziny urzędowania banku kończą się o wpół do piątej. Zdenerwowana

rozłączyła się, zastanawiając się, czemu mąż nie zadzwonił do niej z telefonu komórkowego. Było to do niego zupełnie niepodobne. Z pewnością wiedział, jak bardzo będzie się niepokoiła jego spóźnieniem. Zadzwoniła do szpitala i poprosiwszy o połączenie z portiernią, zapytała o Davida. Powiedziano jej, że doktor Wilson nie zaglądał tego dnia do szpitala. W końcu wykręciła numer ich domu w Bartlet, ale i tam telefon nie odpowiadał.

Odkładając słuchawkę po raz trzeci, zaczęła się zastanawiać, czy David nie zrealizował jednak swego pomysłu powęszczenia wokół domów ludzi z listy podejrzanych i ta ewentualność jeszcze bardziej pogłębiła jej niepokój.

Angela weszła do kuchni i zapytała teściową, czy może pożyczyć samochód.

- Oczywiście, że tak - odparła Jeannie. - Dokąd się wybierasz?

- Z powrotem do Bartlet. Zostawiłam w domu rzeczy, które są mi potrzebne.

- Ja także chcę pojechać - powiedziała Nikki.

- Chyba lepiej będzie, jeśli zostaniesz tutaj - stwierdziła Angela.

- Nie - upierała się dziewczynka. - Jadę z tobą.

Angela uśmiechnęła się z wysiłkiem do Jeannie, po czym ująwszy córkę pod ramię, wyprowadziła ją do sąsiedniego pokoju.

- Nikki, chcę, żebyś tutaj została - powiedziała poważnie.

- Kiedy ja się boję zostać tu sama - odparło dziecko, wybuchając płaczem.

Angela nie wiedziała, co robić. Wolalaby, żeby Nikki została z

babcią, nie chciała jednak tracić czasu na kłótnie z córką. Nie miała też zamiaru wyjaśniać teściowej, czemu dla dziewczynki byłoby lepiej zostać w domu.

- No dobrze - westchnęła, w końcu ustępując. Dochodziła szósta, kiedy Angela i Nikki dojechały do Bartlet. Było jeszcze jasno, ale wkrótce miał zapaść zmierzch i niektóre samochody jeździły już z włączonymi reflektorami. Angela rozważała, od czego powinna zacząć poszukiwania. Uznała, że na początek pojedzie do banku. Znalazłszy się przed budynkiem, zobaczyła Bartona Sherwooda i Harolda Traynora idących w stronę parku. Zahamowała gwałtownie i wysiadła z samochodu, nakazując Nikki, by na nią poczekała.

- Przepraszam bardzo - powiedziała, podchodząc do nich.

Sherwood i Traynor jednocześnie się odwrócili. - Wybaczą panowie, że ich niepokoję, ale szukam męża.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest pani mąż - oświadczył z irytacją

Sherwood. - Nie przyszedł na spotkanie dziś po południu i nawet nie zadzwonił, by je odwołać.

- Bardzo mi przykro - wyjąkała zmieszana Angela. Sherwood dotknął daszka czapki i obaj z Traynorem odeszli.

Angela wróciła do samochodu. Teraz wiedziała już na pewno, że stało się coś złego.

- Gdzie jest tatuś? - zapytała Nikki.

- Też chciałabym to wiedzieć - westchnęła matka, gwałtownie

skręcając kierownicę.

Nagły zwrot spowodował, że dziewczynka musiała chwycić się fotela, by nie stracić równowagi.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła córkę Angela, sama nie do końca wierząc w to, co mówi.

Podjechały pod dom w nadziei, że David przyjechał tam już po telefonie żony, ale na podjeździe nie zobaczyły, niestety, niebieskiego volvo.

Angela zatrzymała wóz i uważnie rozejrzała się dookoła. Wszystko wyglądało tak samo jak wtedy, gdy opuszczali dom, chciała mieć jednak pewność, że nie czekają jej żadne przykre niespodzianki.

- Zostań w samochodzie - nakazała córce. - Za sekundę wrócę.

Weszła do środka i zawołała Davida, nie doczekała się jednak żadnej odpowiedzi. Szybko obeszła cały dom, sprawdzając przy okazji, czy łóżko w ich małżeńskiej sypialni było używane, ale wszędzie panował idealny porządek. Schodząc na dół, spostrzegła leżącą na podeście strzelbę. Sprawdziła magazynek: wewnątrz były jeszcze cztery naboje.

Z bronią w ręku weszła do bawialni i zajrzała do książki telefonicznej, wynotowując z niej adresy Devonshire'a, Forbsa, Maurice, Van Slyke'a i Ullhofa. Zabierając tę listę i broń ze sobą, wróciła do samochodu.

- Jedziesz jak szalona, mamó - powiedziała Nikki, kiedy Angela zjechała z podjazdu i gwałtownie wyskoczyła na główną drogę.

Zwolniła nieco i poprosiła Nikki, by się nie denerwowała. Jej

własny niepokój był jednak znacznie większy, niż córka mogłaby podejrzewać.

Pod pierwszym adresem znajdował się sklep. Angela zjechała na znajdujący się przed nim parking i zatrzymała samochód.

Nikki rozejrzała się dookoła, po czym z powrotem przeniosła wzrok na matkę.

- Co my tu robimy? - zapytała.

- Sama nie wiem - odrzekła Angela. - Chyba szukamy naszego volvo.

- Tu go nie ma - stwierdziła dziewczynka.

- Widzę, moja droga - odpowiedziała matka, uruchamiając silnik i kierując się pod następny adres. Był to dom Forbsa. Tam także nie parkowało volvo Wilsonów.

Nie kryjąc rozczarowania, Angela wrzuciła bieg i z piskiem opon ruszyła dalej.

- Jedziesz jak wariatka, mamó - ponownie ostrzegła ją Nikki.

- Przepraszam - powiedziała Angela, zwalniając.

Następnym adresem był dom Maurice. Angela zwolniła, przejeżdżając obok niego, natychmiast zauważyła jednak, że budynek zamknięty jest naглуcho, dookoła zaś nie widać żywej duszy. Zdjęła nogę z hamulca i nacisnęła gaz.

Kilka minut później skręciła w ulicę, przy której mieszkał Van

Slyke, i natychmiast zauważyła błękitne volvo. Nikki także je spostrzegła.

Serca zabiły im z nadzieją. Angela zatrzymała się tuż za ich samochodem i zaciągnawszy ręczny hamulec, wysiadła.

Zbliżyła się do volvo i wtedy dopiero zobaczyła stojącą przed nim furgonetkę Calhouna. Uważnie przyjrzała się obu samochodom. W szoferce wozu detektywa zauważyła filiżankę zimnej kawy, wyglądającej tak, jakby stała tu już od kilku dni.

Przeszła na drugą stronę ulicy i zbliżyła się do domu Van Slyke'a.

Nie paliło się w nim żadne światło i to sprawiło, że poczuła jeszcze większy niepokój.

Wróciła do samochodu i wzięła strzelbę. Nikki zaczęła wysiadać za nią, ale Angela poleciła córce, żeby została w samochodzie. Ton jej głosu przekonał dziewczynkę, że tym razem lepiej będzie nie sprzeciwiać się matce.

Z bronią pod pachą Angela wspięła się po wiodących na werandę stopniach. Zastanawiała się, czy nie powinna pójść prosto na policję, nie miała bowiem wątpliwości, że stało się coś złego. Czegóż jednak mogła oczekiwać po funkcjonariuszach z tutejszego posterunku? Prócz tego czuła, że nie powinna tracić czasu.

Sięgnęła ręką do dzwonka, a kiedy okazało się, że ten nie działa, zapukała do drzwi. Nie doczekawszy się odpowiedzi, nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzywszy je, ostrożnie weszła do środka i tak głośno, jak tylko potrafiła, zawołała imię Davida.

Wilson siedział na koszu wypełnionym zeschłymi jabłkami.

Usłyszawszy wołanie żony, wyprostował się gwałtownie. Głos był ledwie słyszalny i w pierwszej chwili David miał wątpliwości, czy to nie złudzenie. Pomyślał, iż być może ma halucynacje. Po chwili jednak znowu

usłyszał wołanie.

Tym razem wiedział, że nie mający i że Angela naprawdę musi znajdować się gdzieś w pobliżu. Zerwał się na równe nogi i zaczął wykrzykiwać imię żony, grube mury tłumili jednak jego głos. W ciemnościach ruszył na oślep przed siebie i zabębnił pięściami w drzwi piwnicy.

Znowu zawołał żonę, choć wiedział, że dopóki Angela nie zejdzie na dół, na nic się to nie zda.

Po omacku zdjął z półki jakiś słoik z przetworami i wzięwszy zamach, rzucił nim w drewniane drzwi. Hałas okazał się jednak słabszy, niż przypuszczał.

W tej samej chwili usłyszał kroki Angeli tuż nad głową. Zmieniając taktykę, sięgnął po następny słoik. Rozbił go o sufit, osłaniając głowę rękoma i zamykając oczy, by uniknąć pokaleczenia odłamkami szkła.

Wrócił do półek z przetworami i próbował wspiąć się na nie, żeby zastukać w sufit pięścią. Zdążył jednak uderzyć w strop zaledwie raz, gdyż półka, na której stał, oderwała się od ściany i David spadł na ziemię.

Razem z nim runęły wszystkie stojące na niej słoje.

Angela czuła, że serce wali jej jak młotem. Pośpiesznie obeszła wokół cały parter tego zaniedbanego domu, zapalając po drodze wszystkie możliwe światła. Niestety, wyjąwszy niedopalek cygara w kuchni, którego marka wskazywała, że mogło należeć do detektywa, nie znalazła żadnych śladów obecności Davida czy Calhouna.

Była już gotowa wejść na piętro, kiedy pomyślała o Nikki.

Zaniepokojona wyszła przed dom i zbliżyła się do samochodu. Uprzedziła córkę, że przeszukanie budynku zabierze jej jeszcze trochę czasu i poprosiła, by dziewczynka pod żadnym pozorem nie opuszczała wozu. Ponownie wkroczyła do wnętrza i weszła na piętro. Ani na chwilę nie wypuszczała z dłoni strzelby. U szczytu schodów zatrzymała się, nasłuchując. Wydawało jej się, że usłyszała jakiś dźwięk, ale jeśli nawet tak było, odgłos ten już się nie powtórzył.

Na piętrze było jeszcze bardziej brudno niż na dole. W powietrzu unosił się dziwny, zatechły odór, jakby od lat nie otwierano tu okien. U sufitu wisiał olbrzymi żyrandol. Stojąc w holu, Angela ponownie zawołała kilka razy imię Davida, ale odpowiedziała jej tylko cisza.

Już miała zejść na dół, kiedy na maleńkim stoliczku obok schodów zobaczyła gumową, halloweenową maskę w kształcie głowy węża - taką samą, jaką poprzedniego wieczoru miał na twarzy człowiek, który wdarł się do ich domu!

Drżąc, zaczęła schodzić na dół, w połowie drogi przystanąła jednak, ponieważ znowu wydało jej się, że coś słyszy. Przypominało to stłumione pukanie.

Była zdecydowana sprawdzić, skąd pochodzi ten dźwięk, zeszła więc na dół i ponownie się zatrzymała. Miała wrażenie, że hałas dobiega z kuchni, wobec czego ponownie się tam skierowała. Rzeczywiście, to dziwne pukanie było tutaj najgłośniejsze. Pochyliła się i przyłożyła ucho do podłogi. Teraz już wyraźnie słyszała dudniący dźwięk.

Zawołała imię Davida i z przyciśniętym do podłogi uchem czekała

na odpowiedź. Po chwili dobiegło ją ledwie słyszalne wołanie męża. Jak szalona rzuciła się w stronę piwnicznych schodów.

Odnalazła włącznik światła i wciąż ściskając w dłoni strzelbę, zeszła na dół. Teraz już słyszała głos Davida znacznie wyraźniej, choć był on przytłumiony.

Znowu zawołała męża i usłyszawszy odpowiedź, nie była w stanie pohamować łez. Omijając sprzęty, którymi zastawiona była piwnica, ruszyła w stronę, skąd dobiegał jego głos. Zauważyła dwoje zamkniętych drzwi, ale dudnienie pięści natychmiast wskazało jej, za którymi uwięziono męża. Istniał jednak pewien kłopot: drzwi były zamknięte na klódkę.

Angela oparła strzelbę o ścianę i zaczęła rozglądać się po piwnicy w poszukiwaniu narzędzia, którym zdołałaby podważyć skobel. Po chwili jej wzrok spoczął na leżącym na podłodze łomie.

Wzięła go do ręki i kilka razy uderzyła nim w klódkę, nie rozbiła jej jednak. Nie zrażona, stanęła nieco z boku i wsunąwszy koniec łomu pod zasuwę, naparła nań całym ciężarem ciała, wrywając gwoździe mocujące skobel.

Uradowana otworzyła drzwi. David jednym susem znalazł się przy żonie i zamknął ją w mocnym uścisku.

- Dzięki Bogu, że przyszłaś - powiedział. - To Van Slyke jest mordercą. Zabijał pacjentów w szpitalu i pozbawił życia Hodgesa.

Przeżywa właśnie atak paranoi i jest uzbrojony. Musimy się stąd wynosić.

- Chodźmy więc - powiedziała Angela, biorąc do ręki strzelbę.

Pośpiesznie ruszyli w stronę schodów, zanim jednak zaczęli się na nie wspinać, David położył dłoń na ramieniu żony i wskazał jej cementowy prostokąt znajdujący się obok kopanego przez niego niedawno dołu.

- Obawiam się, że Calhoun jest tam - szepnął.

Angela zacisnęła usta.

- Chodźmy - polecił David, popychając ją lekko. Zaczęli wchodzić na schody.

- Nie dowiedziałem się, kto płacił za to wszystko Van Slyke'owi - powiedział David. - Pewne jest jednak, że ktoś nagradzał go za te morderstwa. Nie udało mi się też wyciągnąć z niego, w jaki sposób zabijał pacjentów.

- Van Slyke jest tym człowiekiem, który był ostatniej nocy w naszym domu - powiedziała Angela. - Na górze znalazłam maskę węża.

Byli już w kuchni, kiedy niespodziewanie okienne szyby omiótł snop światła samochodowych reflektorów. Przerażeni, zamarli w bezruchu. Van Slyke wracał do domu.

- O Boże, nie - jęknął David. - Wrócił.

- Zapaliłam tu mnóstwo świateł - szepnęła Angela. - Domyśli się więc, że coś jest nie w porządku.

Podala mężowi strzelbę. David ujął ją spoconymi dłońmi. Usłyszeli trzask zamykanych drzwiczek samochodu i ciężkie kroki na żwirowym podjeździe przed domem.

Wilson gestem nakazał żonie, by cofnęli się na powrót do wejścia do piwnicy. Przymknęli klapę, zostawiając tylko niewielką szparę, przez

którą mogli obserwować kuchnię.

Kroki zbliżyły się do tylnych drzwi, po czym nagle ucichły. Przez kilka przerażających minut nie było słyhać żadnego dźwięku. David i Angela wstrzymali oddech. Odgadli, że Van Slyke zastanawia się, kto pozapalał światła.

A potem, ku ich zdumieniu, mężczyzna odszedł. Stali w zupełnej ciszy, nasłuchując tak długo, aż jego kroki całkowicie umilkły.

- Dokąd poszedł? - szepnęła Angela.

- Też chciałbym wiedzieć - odrzekł David. - Niestety, nie mam pojęcia, gdzie się podział, i wcale mi się to nie podoba. Bądź co bądź, zna ten dom znacznie lepiej niż my. Może więc zająć nas od tyłu.

Angela odwróciła się i popatrzyła na wiodące do piwnicy schody. Na myśl, że Van Slyke może nagle wyskoczyć im zza pleców, przeszły ją ciarki.

Przez kilka chwil Wilsonowie trwali w bezruchu, sprawdzając, czy nie usłyszą jakichś hałasów. Dom jednak pogrążony był w całkowitej ciszy. W końcu David otworzył klapę i oboje znowu znaleźli się w kuchni.

- Może to nie był Van Slyke? - szepnęła Angela.

- To musiał być on - pokręcił głową David.

- Wynośmy się stąd, do licha! Jestem już tutaj tak długo, że Nikki może wpaść na pomysł, by wysiąść z samochodu.

- Co? - jęknął przerażony David. - Nikki jest tutaj?

- Nie mogłam jej zostawić - odrzekła Angela. - Uparła się, żeby ze mną pojechać, a nie chciałam się z nią kłócić. Poza tym nie miałam czasu,

żeby wyjaśniać twojej matce całą sytuację.

- O mój Boże! - szepnął David. - A jeśli Van Slyke ją zobaczył?

- Sądzisz, że mógł?

David dał żonie znak, aby szła za nim, i tak cicho, jak tylko było to możliwe, otworzył drzwi na podwórze. Samochód Van Slyke'a stał jakieś dwadzieścia stóp od wejścia, ale jego właściciela nigdzie nie było widać.

Wilson odbezpieczył broń i chcąc upewnić się, że mężczyzna nie ukrył się w środku wozu, podkrał się bliżej i zajrzał przez okienko od strony pasażera. Samochód jednak był pusty.

- Nie idź po żwirze - nakazał żonie David, ostrożnie rozglądając się dookoła. - Narobisz zbyt wiele hałasu. Pójdziemy po trawie. Gdzie zaparkowałaś?

- Zaraz za naszym volvo - odparła Angela.

Idąc jedno za drugim, wyszli na ulicę i odkryli, że sprawdziły się ich najgorsze przewidywania: w świetle ulicznej lampy stojącej obok furgonetki Calhouna zobaczyli sylwetkę Van Slyke'a - siedział za kierownicą chevroleta należącego do matki Davida. Sąsiednie miejsce zajmowała Nikki.

- Och, nie - jęknęła Angela, impulsywnie rzucając się w stronę wozu, ale David powstrzymał ją.

- Musimy coś zrobić - powiedziała, wrywając się mężowi. - Musimy pomyśleć - odrzekł David. Nerwy miał tak napięte, że obawiał się, iż za moment odmówią mu posłuszeństwa.

- Sądzisz, że ma broń? - zapytała Angela. - Wiem, że ją ma.

- Może powinniśmy wezwać pomoc? - zaproponowała kobieta.

- To zabierze zbyt dużo czasu - pokręcił głową Wilson. - Poza tym

Robertson i jego ludzie nie mają pojęcia, jak postępuje się w podobnej sytuacji. O ile w ogóle potraktowaliby nas poważnie. Musimy poradzić sobie sami. Trzeba odciągnąć stąd Nikki na taką odległość, by w razie konieczności użycia broni nic jej nie groziło.

Przez kilka chwil oboje nie byli zdolni do wykonania najłżejszego ruchu: stali bezradnie, wpatrując się w samochód.

- Daj mi kluczyki - polecił w końcu David. - Obawiam się, że Van Slyke mógł zamknąć drzwi.

- Kluczyki są w samochodzie - odparła zdławionym głosem Angela.

- Och, nie! - zawołał z rozpaczą mężczyzna. - A więc on może z nią stąd po prostu odjechać!

- Boże, nie - szepnęła Angela.

- Sytuacja wygląda coraz gorzej - stwierdził David. - Nie wiem

jednak, czy zauważyłaś, że przez cały czas, kiedy tu stoimy, Van Slyke ani razu się nie poruszył. Kiedy widziałem go poprzednio, bez przerwy wykonywał jakieś dziwne gesty i nawet przez moment nie potrafił stać bez ruchu.

- Wiem, co masz na myśli - skinęła głową Angela. - Wygląda to tak, jakby z kimś rozmawiał.

- Kiedy Van Slyke nie będzie patrzył w tę stronę, spróbujemy

zakraść się do samochodu - oświadczył David. - Potem jednocześnie

otworzymy drzwi z obu stron wozu i ty wyciągniesz z samochodu Nikki,

podczas gdy ja będę mierzył w Van Slyke'a ze strzelby.

- Dobry Boże! - jęknęła Angela. - Sądziysz, że w ten sposób mamy szansę uwolnić nasze dziecko?

- Masz lepszy pomysł? - zapytał David. - Musimy wyciągnąć ją z samochodu, zanim temu człowiekowi wpadnie do głowy, by stąd odjechać, zabierając ją ze sobą.

- W porządku - zgodziła się Angela. Postanowiwszy, że podkradną się do samochodu od tyłu, oddalili się od chevroleta na znaczną odległość i dopiero wtedy przeszli przez ulicę. Szli pochyleni, mając nadzieję, że do ostatniej chwili pozostaną nie zauważeni. W końcu dotarli do tylnego zderzaka wozu i przykucnęli, ukryci za bagażnikiem.

- Prześlizgnę się najpierw do przodu i sprawdzę, czy Van Slyke nie zablokował drzwi - szepnął David.

Angela skinęła głową i wzięła od męża strzelbę. Wilson obszedł samochód na czworakach i powoli uniósł głowę. Żadne drzwi nie były zamknięte.

- Przynajmniej jedna rzecz ułożyła się po naszej myśli - powiedziała Angela, kiedy wrócił, żeby przekazać jej dobrą nowinę.

- W porządku. Jesteś gotowa?

- Poczekaj - zawołała, chwytając męża za ramię. - Im więcej myślę o tym planie, tym mniej mi się on podoba. Chyba nie powinniśmy zakradać się z dwóch różnych stron. Uważam, że lepiej będzie, jeśli oboje podejmiemy od strony pasażera. Ty będziesz trzymał strzelbę, a ja wyciągnę Nikki z samochodu.

David rozważał przez chwilę propozycję żony, po czym skinął głową na znak zgody. Chodziło wszak przede wszystkim o to, by odciągnąć dziewczynkę jak najdalej od Van Slyke'a, a pomysł Angeli zwiększał szansę osiągnięcia tego celu.

- Dobrze - powiedział. - Zaczniemy, kiedy dam sygnał.

Wziął od żony strzelbę i trzymając ją w lewym ręku, zamienił się z Angela miejscami, by znaleźć się po prawej stronie samochodu.

Przyciskając broń do piersi, niemal przeczołgał się wzdłuż wozu i na wysokości tylnych drzwi obejrzał się, chcąc mieć pewność, że Angela jest tuż za nim. Była.

Miał właśnie uczynić kolejny krok, kiedy nagle drzwi od strony

Nikki otworzyły się i dziewczynka, wychyliwszy się lekko, popatrzyła do tyłu. Na widok twarzy Davida, znajdującej się tak blisko jej własnej, podskoczyła ze strachu.

- Co tu robicie? - zapytała.

David jednym susem dopadł drzwiczek i otworzył je na całą szerokość, powodując, że dziecko straciło równowagę i wypadło z samochodu. Przyczajona za plecami męża Angela chwyciła Nikki w objęcia i pociągnęła na trawnik. Zaskoczona dziewczynka krzyknęła z bólu.

David wymierzył ze strzelby w Van Slyke'a. Gdyby było to konieczne, nie zawahałby się nacisnąć spust, ale mężczyzna nie miał broni. Nie próbował także uciekać. Nie poruszył się nawet, obrzucił jedynie Davida pustym, nieobecnym spojrzeniem.

Wilson ostrożnie zbliżył się do niego. Van Slyke siedział

nieruchomo, trzymając dłonie na kolanach. Zachowywał się zupełnie spokojnie - po ataku paranoi, który przeżywał ledwie godzinę wcześniej, nie pozostało nawet śladu.

- Co się dzieje?! - zawołała Nikki. - Czemu mnie szarpiecie?

Zraniłam się w nogę.

- Przepraszam - powiedziała Angela. - Martwiłam się o ciebie.

Mężczyzna, z którym siedziałś w samochodzie, jest tym samym człowiekiem, który w masce węża wdarł się ostatniej nocy do naszego domu.

- To nie mógł być on - odparła dziewczynka, ocierając łzy. Pan Van Slyke powiedział mi, że pogadamy sobie trochę, zanim wrócisz.

- O czym rozmawialiście? - zaciekawila się Angela.

- Opowiadał mi o czasach, kiedy był w moim wieku. Jak wspaniale miał dzieciństwo.

- W dzieciństwie pana Van Slyke'a nie było nic wspaniałego - zapewnił ją David, nie spuszczając wzroku ze swego niedawnego prześladowcy, który nadal pozostawał w bezruchu.

Trzymając broń wycelowaną prosto w jego pierś, Wilson pochylił się i uważniej mu się przyjrzał. Chory psychicznie człowiek nadal spoglądał na niego obojętnym wzrokiem.

- Dobrze się czujesz? - zapytał David, sam nie wiedząc, co powinien teraz zrobić.

- W porządku - odparł bezbarwnym głosem Van Slyke. - Ojciec

często zabierał mnie do kina. Kiedy tylko chciałem.

- Nie ruszaj się - polecił Wilson.

Wciąż mierząc w mężczyznę ze strzelby, obszedł samochód dookoła i otworzył drzwi od strony kierowcy. Van Slyke nie poruszył się.

- Gdzie jest pistolet? - zapytał lekarz.

- Pistolet biega wkoło i śpiewa wesoło - odrzekł Van Slyke. David chwycił go za ramię i wyciągnął z samochodu. Angela ostrzegła męża, by był ostrożny - słyszała, co powiedział szaleniec; majaczenie dowodziło, że atak choroby psychicznej trwa u niego nadal.

David obrócił mężczyznę twarzą do samochodu i obmacał go, szukając pistoletu. Nie znalazł go jednak.

- Co zrobiłeś z bronią? - zapytał.

- Już jej nie potrzebuję.

David popatrzył w spokojną twarz Van Slyke'a. Tym razem nie miał powiększonych źrenic. W ogóle wyglądał inaczej niż przed godziną.

- Co się dzieje? - zapytał David.

- Dzieje? - powtórzył mężczyzna. - Dzieje... porzuć nadzieję.

- Van Slyke! - krzyknął David. - Co z tobą? Gdzie byłeś? Co z głosami, które słyszysz? Wciąż cię dręczą?

- Tracisz czas - stwierdziła Angela.

Obie z Nikki obesły samochód i zatrzymały się obok Davida.

- On jest pogrążony w transie.

- Żadnych głosów - stwierdził mężczyzna. - Uciszyłem je.

- Myślę, że powinniśmy zadzwonić na policję - powiedziała Angela. -

I to nie do tych miejscowych typków, tylko do komendy policji stanowej.

Czy twój telefon komórkowy jest w samochodzie?

- Jak uciszyles te głosy? - zapytał Van Slyke'a David.

- Zająłem się nimi.

- Co to znaczy „zająłem się nimi”? - chciał dowiedzieć się Wilson, drżąc na myśl, co może kryć się za tymi słowami.

- Oni nie będą mnie już więcej wykorzystywać - powiedział Van Slyke.

- Kto to są „oni”?

- Zarząd. Cały zarząd.

- Co z policją, Davidzie? - zniecierpliwiła się Angela. - Chcę zabrać stąd Nikki. Ten człowiek bredzi.

- Nie jestem tego taki pewien - odparł David.

- W takim razie, co oznacza ten jego „zarząd”?

- Obawiam się, że miał na myśli zarząd szpitala - powiedział David.

- Zarząd - miecz, woda - ciecz - odezwał się Van Slyke z uśmiechem.

Była to pierwsza zmiana w wyrazie jego twarzy podczas tej rozmowy.

- Ten człowiek traci poczucie rzeczywistości - oświadczyła Angela. -

Czemu upierasz się przy zadawaniu mu pytań?

- Miałeś na myśli zarząd szpitala?

- Tak - Van Slyke skinął głową.

- W porządku, wszystko będzie dobrze - zapewnił go David. Bardziej jednak próbował w ten sposób uspokoić siebie niż chorego psychicznie mężczyznę.

- Zastrzelileś kogoś? - zapytał po chwili. Van Slyke wybuchnął śmiechem.

- Nie, nikogo nie zastrzeliłem. Postawiłem tylko źródło na środku stołu konferencyjnego.

- Co on ma na myśli, mówiąc „źródło”? - zapytała Angela.

- Nie mam pojęcia - odrzekł David.

- Źródło - koń, przekleństwo - słon - powiedział Van Slyke i zachichotał.

Nie wiedząc, co dalej robić, David chwycił szaleńca za kołnierz koszuli i potrząsnął nim, ponownie pytając, co takiego uczynił.

- Postawiłem źródło mocy na stole, tuż obok modelu garażu - odparł spokojnie Van Slyke. - Cieszę się, że to zrobiłem. Nie chcę być narzędziem w niczyim ręku. Kłopot jedynie w tym, że pewnie się przy tej okazji poparzyłem.

- Gdzie? - zapytał David.

- Na dłoniach - powiedział Van Slyke, wyciągając przed siebie ręce, by David mógł na nie popatrzeć.

- Są poparzone? - zapytała Angela.

- Nie sędzę - odrzekł Wilson. - Lekko zaczerwienione, ale poza tym wyglądają normalnie.

- On nie wie, co mówi - westchnęła kobieta. - Być może ma halucynacje.

David w roztargnieniu pokiwał głową.

- Jestem zmęczony - odezwał się po chwili Van Slyke. - Chcę iść do

domu i zobaczyć się z moimi rodzicami.

Wilson pozwolił mu odejść.

Mężczyzna przeszedł przez ulicę i skierował się ku stopniom werandy. Angela popatrzyła na męża, zdumiona, że David puścił tego chorego człowieka wolno.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała. - Czy nie powinniśmy zadzwonić na policję?

Wilson ponownie skinął głową. Patrzył w ślad za odchodzącym i myślał o swoich pacjentach, objawach ich choroby i śmierci. Nagle wszystko zaczęło układać mu się w logiczną całość.

- Van Slyke jest w transie - powiedziała Angela. -» Zachowuje się jak ktoś, kto właśnie przeszedł kurację elektrowstrząsową.

- Wsiadaj do samochodu - polecił David.

- Co ci jest? - zdziwiła się Angela. Nie lubiła, gdy mąż używał podobnego tonu.

- Powiedziałem: wsiadaj do samochodu! - krzyknął David. -

Pośpiesz się! - dodał, siadając za kierownicą chevroleta.

- A co z Van Slyke'em? - spytała Angela.

- Nie mamy czasu, żeby się teraz nim zajmować. On zresztą nigdzie stąd nie pójdzie. Pośpiesz się!

Angela popchnęła Nikki na tylne siedzenie, sama zaś usiadła obok męża. David zdążył już przez ten czas włączyć silnik i zanim żona zatrzasnęła drzwiczki, ruszył na wstecznym biegu. Zawróciwszy gwałtownie, nacisnął pedał gazu i samochód ostro przyśpieszył.

- Co się dzieje? - zapytała Nikki.
- Dokąd jedziemy? - zawtórowała jej Angela.
- Do szpitala - odrzekł David.
- Prowadzisz równie wariacko jak mama - poskarżyła się Nikki.
- Czemu do szpitala? - dopytywała się Angela. Wyciągnęła rękę i poklepała dziewczynkę po kolanie, by dodać jej odwagi.
- Mam pewne przerażające podejrzenie - powiedział David. - Jakie?
- Wydaje mi się, że wiem, co miał na myśli Van Slyke, kiedy mówił o „źródle”.
- Moim zdaniem było to majaczenie schizofrenika - stwierdziła Angela. - „Źródło - koń, przekleństwo - słon”. Rymy pozbawione sensu.
- Niewykluczone, że istotnie bredził - zgodził się David - ale nie wtedy, kiedy mówił o „źródle”. I nie wówczas, gdy twierdził, że umieścił je w sali konferencyjnej obok modelu garażu. Zbyt precyzyjnie określił miejsce.
- Co więc, twoim zdaniem, miał na myśli? - zapytała Angela.
- Sądzę, że musi to mieć coś wspólnego z promieniowaniem radioaktywnym. Chyba właśnie o tym mówił, kiedy narzekał, że poparzył sobie dłonie.
- Och, daj spokój, jesteś równie szalony jak on - skrzywiła się Angela. - Musisz pamiętać o paranoi Van Slyke’a na punkcie promieniowania. Mówienie podobnych rzeczy oznacza tylko, że prawdopodobnie przeżywa jeden ze swoich schizofrenicznych lęków.
- Mam nadzieję, że się nie mylisz - westchnął David. - Służba Van

Slyke'a w marynarce jeszcze bardziej rozwinęła w nim nuklearne fobie.

Trzeba pamiętać, że pływał na łodzi, na której znajdował się reaktor atomowy. A takie reaktory oznaczają promieniowanie. Van Slyke odbył odpowiednie

szkolenie

i

zna

się

nieźle

na

materiałach

promieniotwórczych. Wie też, jakim są zagrożeniem.

- Cóż, ma to pewien sens - przyznała Angela. - Ale mówienie o

„źródle mocy”, a posiadanie takowego to dwie różne rzeczy. Ludzie nie

mogą ot tak po prostu zdobywać materiałów radioaktywnych. Ich zasoby

są przecież ściśle kontrolowane przez rząd. To właśnie po to istnieje

specjalna komisja.

- W piwnicach szpitala znajduje się magazyn starego sprzętu

medycznego - powiedział David. - Stoi tam kobaltowy aparat, który

Traynor miał nadzieję sprzedać jakiemuś państwu w Ameryce

Południowej. To właśnie jest „źródło”.

- Brr - wzdrygnęła się Angela. - Nie podoba mi się to.

- Mnie także - zgodził się David. - Ale przypomnij sobie, jakie

symptomy mieli moi pacjenci. Wszystkie mogły być wynikiem

napromieniowania, szczególnie jeśli dawki były wysokie. To przerażające przypuszczenie, ale pasuje do faktów. Niestety, promieniowanie radioaktywne nigdy nie przyszło mi do głowy.

- Ja też o tym nie pomyślałam, kiedy robiłam sekcję zwłok Mary Ann Schiller - przyznała Angela. - Teraz jednak wydaje mi się, iż rzeczywiście mógł to być powód jej zgonu. Promieniowanie nie jest czymś, co bierze się pod uwagę, dopóki z historii choroby nie wynika, że pacjent był narażony na jego działanie.

- Takie jest również moje zdanie - powiedział David. - Te pielęgniarki z objawami przypominającymi grypę mogły mieć w rzeczywistości lekkie objawy choroby popromiennej. Nawet...

- Och, nie! - zawołała Angela, uświadamiając sobie nagle, o czym pomyślał jej mąż.

David skinął głową.

- Tak, właśnie tak - powiedział. - Nawet Nikki.

- Nawet Nikki co? - zapytała siedząca na tylnym siedzeniu dziewczynka. Nie przysłuchiwała się rozmowie rodziców, póki nie usłyszała swojego imienia.

- Mówiliśmy właśnie, że podobnie jak kilka pielęgniarek ze szpitala, ty także miałaś symptomy przypominające grypę - powiedziała Angela, odwracając się w stronę córki.

- Tatuś też - przypomniała jej Nikki.

- Tak, ja też - zgodził się David.

Wjechali na szpitalny parking i zatrzymali samochód w pobliżu

wejścia.

- Jaki masz plan? - zapytała Angela.

- Potrzebujemy licznika Geigera - orzekł David. - Coś takiego musi się znajdować na wyposażeniu centrum radioterapii. Znajdę jakiegoś woźnego i poproszę, żeby nas tam wpuścił. Nikki tymczasem poczeka na nas w głównym holu.

David odnalazł Ronniego, jednego z dobrze mu znanych dozorców, który ogromnie się ucieszył, że może pomóc lekarzowi i przy okazji na chwilę oderwać się od nudnego zajęcia, jakim było obserwowanie piwnicznych korytarzy. David nie wspomniał mu, że został zwolniony z pracy w CMV i że odebrano mu prawo swobodnego poruszania się po budynku szpitalnym.

Razem z Ronniem wrócił do głównego holu po Angelę. Nikki odkryła tam włączony telewizor i z ochotą zgodziła się na pozostanie w tym miejscu. Obiecała rodzicom, że nigdzie się nie ruszy.

Angela i David udali się do centrum radioterapii. Po znalezieniu licznika Geigera wrócili do głównego budynku szpitala, a następnie zeszli do piwnicy, gdzie dawniej mieścił się oddział radioterapii.

- Rzadko tu ktokolwiek zagląda - wyjaśnił dozorca, wpuszczając Wilsonów do środka.

Dawny oddział składał się z trzech pomieszczeń: z pierwszego, służącego niegdyś za recepcję, przechodziło się do przestronnego gabinetu i pokoju zabiegowego.

Nie tracąc czasu, David skierował się prosto do tej ostatniej sali.

Była zupełnie pusta, wyjąwszy stojący w kącie stary aparat kobaltowy.

Maszyna ta przypominała kabinę do wykonywania zdjęć rentgenowskich - wyposażono ją nawet w podobny stół, na którym układano pacjentów.

David włączył licznik Geigera. Wskazówka na ukrytej za szkłem skali nawet nie drgnęła, co znaczyło, że instrument nie wykrył żadnego promieniowania.

- Gdzie umieszcza się w takiej maszynie źródło mocy? - zapytała Angela.

- Chyba tam, gdzie ruchome ramię styka się z podtrzymującym je wspornikiem - odparł David.

Podniósł licznik i ustawił go tam, gdzie, jego zdaniem, powinien się znajdować materiał radioaktywny. Wskazówka licznika nadal stała w miejscu.

- Fakt, że ten licznik nie odkrył żadnego promieniowania, niczego jeszcze nie dowodzi - stwierdziła Angela. - Jestem pewna, że źródło promieniowania jest po prostu dobrze ukryte.

David skinął głową. Obszedł aparat dookoła i spróbował dokonać pomiaru w innym miejscu. I tym razem jednak licznik nie wykazał żadnego promieniowania.

- Ho, ho - powiedziała nagle Angela. - Chodź tutaj i popatrz - zwróciła się do męża, wskazując na wysięgnik aparatu.

David podszedł bliżej i zerknął na metalową płytkę przymocowaną do ramienia maszyny czterema śrubami. Część z nich nie była dokręcona.

Lekarz wrócił do pokoju recepcyjnego i wziął stamtąd krzesło -

dopiero stanawszy na nim, znalazł się dostatecznie wysoko, by móc dosięgnąć płytki. Odkręcił mocujące ją śruby i podał je Ronniemu. Za płytką znajdował się metalowy krążek umocowany za pomocą ośmiu uchwyty. David poprosił Angelę, by podała mu licznik Geigera, i wsunął go do odsłoniętego wnętrza aparatury. Nie wykazał on jednak żadnego promieniowania.

Oddał licznik żonie i sięgnął do pierwszego z uchwyty. Ku swemu przerażeniu odkrył, że był on odkręcony. Kolejno sprawdził wszystkie osiem - sytuacja wszędzie wyglądała tak samo.

- Jesteś pewien, że powinieneś to robić? - zaniepokoiła się Angela.

Pomimo braku wskazań licznika wciąż obawiała się, że działania Davida mogą być niebezpieczne, poza tym nie żywiła zaufania do zręczności męża.

- Musimy się upewnić.

Usunął uchwyty i wyjął ze środka aparatu ciężką metalową obudowę. Podał ją Ronniemu, sam zaś zerknął w środek długiego, cylindrycznego otworu o średnicy około czterech i pół cala. Z wyglądu przypominał on lufę olbrzymiej strzelby. Bez dodatkowego światła nie mógł, niestety, zajrzeć zbyt głęboko.

- Z pewnością konstruktor nie zakładał, że ktoś będzie w ten sposób zaglądać do wnętrza pojemnika z materiałem radioaktywnym - powiedział. - Tu powinien być specjalny czop uniemożliwiający przedostawanie się promieniowania na zewnątrz, w czasie gdy aparat nie jest używany.

Wyłącznie po to, by zyskać stuprocentową pewność, Wilson zbliżył licznik Geigera do otworu w wysięgniku. I tym razem odczyt był zerowy. - Tutaj nie ma materiału radioaktywnego - stwierdził, schodząc z krzesła. - Został zabrany.

- Co teraz zrobimy? - zapytała Angela.

- Która jest godzina? - chciał wiedzieć David.

- Piętnaście po siódmej - odparł Ronnie.

- Założymy fartuchy chroniące przed promieniowaniem, a potem spełnimy nasz obowiązek - oświadczył David.

Opuścili dawny oddział radioterapii i skierowali się prosto do Imaging Center. David poprosił dozorcę, by poszedł tam razem z nimi i pomógł im nieść ołowiane fartuchy. Ronnie nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, czuł jednak, że dzieje się coś bardzo ważnego, starał się więc być tak pomocny, jak to tylko możliwe.

Pełniący dyżur rentgenolog odniósł się podejrzliwie do prośby Wilsona o pożyczenie ołowianych fartuchów, uznał jednak, że jeśli nie zostaną one wyniesione poza obręb szpitala, nie ma powodu odmówić lekarzowi. Dał Davidowi, Angeli i Ronniemu dziewięć fartuchów oraz jedną parę ołowianych rękawic używanych do fluoroskopii.

Uginając się pod ciężarem fartuchów, cała trójka wróciła do głównego budynku szpitala. Personel oraz odwiedzający chorych goście patrzyli na nich ze zdziwieniem, kiedy objuczeni wspinali się na piętro, nikt jednak nie próbował ich zatrzymać.

- W porządku - powiedział David, z trudem łapiąc oddech, gdy

podeszli do drzwi sali konferencyjnej. - Połóżmy to wszystko tutaj - polecił, z ulgą układając przyniesione fartuchy na podłodze. Angela i Ronnie postąpili tak samo.

Uruchomili licznik Geigera i wskazówka natychmiast przesunęła się na prawą stronę skali.

- Jezu Chryste! - szepnął David. - Nie potrzebujemy żadnych innych dowodów.

Podziękowawszy Ronniemu, Wilson kazał mu wrócić do swoich zajęć, po czym wyjawiał Angeli, co zamierza uczynić. Włożył ołowiane rękawice i podniósł z podłogi trzy fartuchy. Jednym z nich owinał ręce, dwa pozostałe narzucił sobie na ramiona. Angela wzięła kolejne cztery. David otworzył drzwi sali konferencyjnej i oboje weszli do środka.

Traynor, który właśnie zabierał głos, przerwał w pół słowa i zdziwiony popatrzył na Wilsonów. W ślad za jego spojrzeniem odwrócili się także pozostali uczestnicy zebrania. Byli zagniewani, że przerywa się im naradę. Chcąc uciszyć gniewny szmer, który rozszedł się wśród członków zarządu, Traynor uniósł swój licytatorski młotek i zastukał nim, przywołując wszystkich do porządku.

Obrzuciwszy uważnym spojrzeniem stół konferencyjny, David natychmiast zauważył materiał radioaktywny. Umieszczony był w mającym około stopy długości cylindrze, którego średnica była na tyle mała, że swobodnie mógł się zmieścić w wysięgniku aparatu oglądanego przed kilkoma minutami. Owinięty kilkoma warstwami teflonu, stał tuż obok modelu garażu, dokładnie tak, jak powiedział Van Slyke.

David ruszył ku niemu, wyciągając przed siebie osłonięte

ołowianym fartuchem ręce.

- Stój! - krzyknął Traynor.

Zanim Wilson zbliżył się do cylindra, Caldwell zerwał się z miejsca i

zagroził mu drogę.

- Co, u licha, robisz? - zapytał ze złością.

- Próbuję ocalić was wszystkich, zanim będzie za późno - powiedział

David.

- Puście go! - zawołała Angela.

- O czym pan mówi? - zdumiał się Traynor. David ruchem głowy

wskazał metalowy cylinder.

- Obawiam się, że obradujecie obok pojemnika z radioaktywnym

kobaltem.

Zanim jeszcze David skończył mówić, Cantor zerwał się z miejsca

tak gwałtownie, że przewrócił krzesło, na którym przed chwilą siedział.

- Widziałem to coś! - krzyknął. - Zastanawiałem się nawet, co to jest!

Nie powiedziawszy ani słowa więcej, odwrócił się i wybiegł z sali.

Zaskoczony Caldwell odsunął się od Davida, który jednym susem znalazł

się przy stole i osłoniętymi przez rękawice dłońmi sięgnął po cylinder, po

czym zawinął go kolejno w trzy ołowiane fartuchy. Następnie wykorzystał

także fartuchy niesione przez Angelę, a w końcu i te, które pozostawili na

korytarzu. Starał się nałożyć na cylinder tyle warstw ołowiu, ile tylko było

możliwe.

Podczas gdy David opakowywał śmiertelny przedmiot, Angela

uruchomiła licznik Geigera.

- Nie wierzę panu - stwierdził Traynor, przerywając pełne grozy milczenie, jakie zapadło po słowach Wilsona. Powiedział to jednak bez przekonania - nagle opuszczenie sali przez Cantora wytrąciło go z równowagi.

- Nie czas teraz na dyskusje - odrzekł David. - Będzie lepiej dla wszystkich, jeśli natychmiast stąd wyjdziecie - dodał. - Przez dłuższy czas byliście narażeni na działanie silnej dawki promieniowania, radziłbym wam więc skonsultować się z lekarzem.

Traynor i pozostali członkowie zarządu wymienili nerwowe spojrzenia. Paniczny lęk szybko jednak wziął górę nad niedowierzaniem i najpierw jedna osoba, a potem także reszta zarządu, włączając w to Traynora, pośpiesznie wybiegła z sali konferencyjnej.

David dokończył owijanie cylindra fartuchami i sięgnął po licznik Geigera. Ku swemu przerażeniu zobaczył, że nadal wykazuje on obecność silnego promieniowania radioaktywnego.

- Wynośmy się stąd - powiedział do Angeli. - Zrobiliśmy już wszystko, co było w naszej mocy.

Pozostawili owinięty w fartuchy cylinder na stole i opuścili salę konferencyjną, starannie zamykając za sobą drzwi. David raz jeszcze uruchomił licznik Geigera - tak jak się tego spodziewał, promieniowanie zdecydowanie się zmniejszyło.

- Nikomu nie stanie się żadna krzywda, pod warunkiem że wszyscy będą się trzymać z dala od sali konferencyjnej - powiedział.

Szli w stronę głównego holu, kiedy nagle David zatrzymał się niespodziewanie i odwrócił ku żonie.

- Czy sądzisz, że Nikki może poczekać na nas jeszcze parę minut?

- Przed telewizorem mogłaby czekać nawet tydzień - odparła Angela. - Dlaczego?

- Wydaje mi się, że wiem, w jaki sposób Van Slyke napromieniowywał pacjentów - stwierdził lekarz, prowadząc żonę ku salom, w których leżeli chorzy.

Pół godziny później wrócili po Nikki i wszyscy troje wsiedli do chevroleta. Podjechali pod dom Van Slyke'a, by David mógł przesiąść się do ich volvo.

- Czy sądzisz, że ten człowiek może - być jeszcze dzisiaj niebezpieczny? - zapytał David, wskazując gestem dom swego niedawnego prześladowcy.

- Nie - odparła Angela.

- Mnie też się tak wydaje. Poza tym ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę, jest ponowne przekroczenie progu tego budynku. Jedźmy do moich rodziców. Jestem śmiertelnie zmęczony - dodał, wysiadając z chevroleta. - Będę jechał za tobą.

- Zadzwoń do swojej matki - poleciała Angela. - Jestem pewna, że umiera z niepokoju.

David wszedł do wozu i uruchomił silnik. Popatrzył na stojącą obok furgonetkę Calhouna i smutno potrząsnął głową.

Gdy tylko wjechali na główną drogę, sięgnął po słuchawkę telefonu

komórkowego. Zanim jednak zadzwonił do matki, wystukał numer policji stanowej. Usłyszawszy w słuchawce głos dyżurnego oficera, wyjaśnił, że pragnie złożyć zeznania w sprawie morderstwa oraz śmiertelnego napromieniowywania chorych w Bartlet Community Hospital.

Epilog

Cztery miesiące później

Skręcając przed skromny budynek przy Glenwood Avenue w Leonii, w New Jersey, David wiedział, że jest spóźniony. Pośpiesznie wysiadł z samochodu i niemal biegiem ruszył ku frontowym schodom.

- Czy wiesz, która jest godzina? - zapytała Angela, wchodząc za mężem do sypialni. - Miałaś być w domu o pierwszej, a dochodzi już druga. Skoro ja potrafiłam wrócić na czas, ty też mogłeś się nie spóźnić.

- Przepraszam - powiedział David, zmieniając szybko ubranie. -

Miałem pacjenta, któremu musiałem poświęcić nieco więcej czasu. Teraz przynajmniej wizyty moich chorych mogą trwać tak długo, jak uznam to za stosowne - westchnął.

- To bardzo dobrze - odparła Angela - ale akurat dziś jesteśmy umówieni i nie powinniśmy się spóźnić.

- Gdzie jest Nikki?

- Siedzi w słońcu na werandzie. Wyszła tam już przeszło godzinę temu, by oglądać w telewizji *60 minut*.

David wciągnął na siebie świeżą koszulę i zaczął zapinać guziki.

- Wybacz mi - uśmiechnęła się Angela. - Chyba mam tremę przed tym telewizyjnym wystąpieniem. Nadal uważasz, że jest ono konieczne?

- Ja też jestem zdenerwowany - wyznał David, wybierając krawat. -

Jeśli więc chcesz odwołać nasz występ, nie mam nic przeciwko temu.

- No cóż... Zawiadomiliśmy już o nim naszych przełożonych... -

powiedziała niepewnie Angela.

- I wszyscy zapewniali nas, że nie ma się czego bać i należy zgodzić się na udział w programie telewizyjnym. Poza tym oboje jesteście zdania, że opinia publiczna powinna wiedzieć o całej sprawie.

- W porządku - odparła Angela po chwili namysłu. - Jedźmy więc.

David zawiązał krawat, przyczesał włosy i włożył marynarkę.

Angela zerknęła w lustro. Kiedy oboje byli już gotowi, wyszli na zewnątrz i mrużąc oczy, zatrzymali się na skąpanej w słońcu werandzie.

Mimo iż Wilsonowie byli zdenerwowani, Ed Bradley szybko sprawił, że opuściła ich trema. Przywitał gości ciepło i serdecznie, dzięki czemu odprężyli się i uspokoiili. Dziennikarz zaczął od prośby, by powiedzieli, gdzie obecnie pracują.

- Ja zajmuję się medycyną sądową - odrzekła Angela. - A ja pracuję w dużym zespole lekarskim Columbia Presbyterian Medical Center - powiedział David. - Mamy podpisane kontrakty z kilkoma organizacjami medycznymi...

- Czy jesteście zadowoleni ze swojej pracy? - zapytał Bradley.

- Owszem - przytaknął David.

- Cieszymy się, że znowu zaczęliśmy żyć normalnie - dodała Angela.

- Dotąd ciągle przenosiliśmy się z miejsca na miejsce.

- O ile wiem, przeżyliście ciężkie chwile, pracując w Bartlet, w

stanie Vermont.

Wilsonowie zaśmiali się nerwowo.

- To był jeden koszmar - stwierdziła Angela.

- Jak to się zaczęło?

David i Angela wymienili spojrzenia, nie wiedząc, które z nich ma odpowiedzieć na pytanie dziennikarza.

- Może pan zacznie - zaproponował Bradley.

- Dla mnie początkiem całej tej sprawy była niespodziewana śmierć podczas pobytu w szpitalu kilku moich pacjentów. Wszyscy ci ludzie cierpieli na poważne choroby, takie jak na przykład rak - powiedział lekarz i popatrzył na żonę.

- Dla mnie zaczęło się to w chwili, kiedy mój bezpośredni przełożony ośmielił się w niedwuznaczny sposób molestować mnie seksualnie - oświadczyła kobieta. - Później odkryliśmy w naszej piwnicy zamurowane ciało ofiary morderstwa. Denat nazywał się Dennis Hodges.

Był lekarzem i przez wiele lat administrował miejscowym szpitalem.

Stawiając, jak zwykle w swoich programach, jasno sformułowane pytania, Ed Bradley doprowadził do tego, że jego rozmówcy opowiedzieli całą historię swego pobytu w Bartlet.

- Czy pańscy pacjenci byli ofiarami eutanazji?

- Początkowo tak właśnie myślałem - odrzekł Wilson. - Okazało się jednak, że tych ludzi wcale nie zabito w geście źle pojmowanego miłosierdzia, lecz po to, by poprawić ekonomiczną sytuację szpitala.

Pacjenci cierpiący na śmiertelne choroby często wymagają kosztownej i

intensywnej opieki medycznej, a to oznacza zwiększone nakłady finansowe na ich leczenie. Aby więc wyeliminować te wydatki, eliminowano samych chorych.

- Innymi słowy, motywem całej tej sprawy były pieniądze - stwierdził Bradley.

- Dokładnie tak - przytaknął David. - Szpital przynosił straty, starano się więc zrobić wszystko, by zmniejszyć jego zadłużenie.

- A czemu szpital przynosił straty? - zapytał dziennikarz.

- Placówka została zmuszona do podpisania umowy, że będzie leczyła zrzeszonych w Comprehensive Medical Vermont chorych w zamian za wpłacane co miesiąc składki - wyjaśnił David. - W praktyce oznaczało to, że największa organizacja medyczna w okolicy mogła kierować do nas dowolną liczbę chorych w zamian za stałą opłatę, wnoszoną każdego miesiąca na nasze konto. Niestety, wydatki na hospitalizację znacznie przewyższały wpływy z tych opłat. Szpital musiał wydawać znacznie więcej pieniędzy, niż otrzymywał.

- Czemu więc zgodzono się na taką umowę? - zdziwił się dziennikarz.

- Jak już powiedziałem, zostaliśmy do tego zmuszeni - westchnął lekarz. - Ma to związek z wprowadzeniem zasady współzawodnictwa w lecznictwie. W rzeczywistości nie ma mowy o żadnej zdrowej konkurencji. Wszystko sprowadza się do tego, że HMO, Health Maintenance Organization, może dyktować placówkom medycznym swoje warunki, a szpitale muszą się na nie godzić. Nie mają wyboru.

Bradley skinął głową. Zajrzał do swego notesu, po czym podniósł

wzrok i obrzucił Davida i Angelę uważnym spojrzeniem.

- Nowy prezes zarządu szpitala w Bartlet twierdzi, że wasze zarzuty pod adresem ich placówki są - używając jego określenia - „całkowicie bzdurne”.

- Słyszeliśmy o tym - odparł David.

- Ten sam człowiek zapewnia, że jeśli nawet jacyś pacjenci zostali zamordowani, winę za to ponosi tylko jeden chory psychicznie człowiek.

- O tym także słyszeliśmy.

- Ale nie wierzycie w to?

- Nie, nie wierzymy.

- Z jakiego powodu umarli wasi pacjenci?

- Na skutek napromieniowania energią radioaktywną - odrzekła

Angela. - Chorzy byli wystawieni na działanie olbrzymich dawek promieni gamma wysyłanych przez kobalt 60.

- Czy jest to ten sam pierwiastek, którego z takim powodzeniem używa się w leczeniu przerzutów nowotworowych?

- Owszem, tyle tylko, że wówczas promieniowanie dozuje się w bardzo małych dawkach i kieruje w ściśle określone punkty organizmu -

wyjaśniła Angela. - Pacjenci Davida chłonęli zaś szkodliwą energię całym ciałem. I to w śmiertelnych dawkach.

- W jaki sposób poddawano ich działaniu promieniowania? -

zapytał Bradley.

- W podstawie jednego z łóżek ortopedycznych umocowano pokrytą

grubą warstwą ołowiu skrzynkę, w której umieszczono radioaktywny pierwiastek - wyjaśniła Angela. - Skrzynka miała ruchome wieczko, zamykane i otwierane za pomocą fal radiowych - takim samym sygnałem, jakim steruje się drzwiami w garażach. Gdy pokrywka była odsunięta, pacjent poddawany był napromieniowaniu. Działaniu szkodliwej energii uległy też niektóre z pielęgniarek zajmujących się tymi chorymi.

- Czy oboje widzieliście to łóżko? - zapytał Bradley. Wilsonowie twierdząco skinęli głowami.

- Kiedy znaleźliśmy już i zabezpieczyliśmy źródło promieniowania, zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób moi pacjenci mogli zostać poddani działaniu energii radioaktywnej - wyjaśnił David. -

Przypomniałem sobie wówczas, iż wielu z nich skarżyło się, że położono ich na zepsutym łóżku, wobec czego byli przenoszeni na znacznie wygodniejsze, ortopedyczne. Kiedy więc wyszliśmy z sali konferencyjnej, zaczęliśmy go szukać i znaleźliśmy: w szpitalnym warsztacie naprawczym.

- To znaczy, że łóżko było uszkodzone? - chciał upewnić się Bradley.

- Nie wiadomo. Nikt go już nigdy później nie widział - powiedziała Angela.

- Jak to się mogło stać?

- Ludzie odpowiedzialni za wykorzystywanie go jako narzędzia zbrodni postarali się, by zniknęło - wyjaśnił David.

- Czy uważacie, że to zarząd szpitala odpowiadał za te morderstwa?

- zapytał Bradley.

- Przynajmniej niektórzy spośród jego członków - odparł David. - Z

**całą pewnością prezes, dyrektor administracyjny i szef personelu
medycznego. Uważamy, że człowiek, który zamontował przy łóżku
pojemnik z materiałem radioaktywnym, był jedynie narzędziem w ręku
doktora Cantora, choć oczywiście człowiek ten musiał mieć psychiczne
predyspozycje, by zrealizować tak szatański pomysł. Gdyby zresztą nie
uciekał się do tej metody tak często, popełniane na pacjentach
morderstwa nigdy nie wyszłyby na jaw.**

- Niestety żaden z ludzi, o których tu mowa, nie może się już bronić

**- powiedział Ed Bradley. - O ile mi wiadomo, wszyscy oni umarli z powodu
choroby popromiennej - pomimo pańskich heroicznych wysiłków, aby ich
ocalić.**

- Niestety tak - przyznał David.

**- Skoro przed śmiercią ciężko chorowali, w jaki sposób udało im się
zniszczyć łóżko, o którym pan mówił? - zapytał dziennikarz.**

**- Pomimo że dawka promieniowania była tak duża, że poczyniła w
ich organizmach śmiertelne spustoszenie, jak zawsze w takich wypadkach
musiało upłynąć kilka godzin, zanim wystąpiły pierwsze symptomy
choroby. Ludzie ci mieli zatem dość czasu, by zająć się łóżkiem.**

**- Czy istnieje jakikolwiek sposób na udowodnienie pańskich
zarzutów? - chciał wiedzieć Bradley.**

- Oboje widzieliśmy to łóżko - odrzekł Wilson.

- Czy to wszystko?

- Znaleźliśmy również materiał radioaktywny - przypomniała

Angela.

- Tak, to prawda - zgodził się Bradley. - Znajdował się on jednak w sali konferencyjnej, a nie w pobliżu któregośkolwiek z pacjentów.
- Werner Van Slyke wyznał nam obojgu, jaka była w tym wszystkim rola zarządu szpitala - powiedział David.
- Czy to Werner Van Slyke jest owym człowiekiem, który waszym zdaniem był tylko narzędziem w rękach twórców tego okrutnego planu?
- Owszem - przytaknął David. - Służąc w marynarce, przeszedł szkolenie z zakresu energii atomowej, wiedział zatem, jak należy obchodzić się z materiałami radioaktywnymi.
- Czy mówi pan o tym samym, cierpiącym na schizofrenię Van Slyke'u, który przebywa obecnie w szpitalu w Bartlet z objawami ciężkiej choroby popromiennej? - upewnił się Bradley. - Czy to również ten sam mężczyzna, który od dnia, kiedy to zarząd szpitala został napromieniowany kobaltem 60, pozostaje pogrążony w psychotycznym transie, odmawiając rozmowy z kimkolwiek? O ile mi wiadomo, lekarze sądzą, że nie uda się im niestety uratować mu życia.
- Tak, to ten sam człowiek - potwierdził David.
- Trudno nie zauważyć, że nie jest to wymarzony, budzący zaufanie świadek oskarżenia - stwierdził Bradley. - Czy macie jakieś inne dowody?
- Leczyłem kilka pielęgniarek skarżących się na lekkie objawy choroby popromiennej - powiedział David. - Wszystkie zajmowały się moimi zmarłymi pacjentami.
- Ale wtedy sądził pan, że po prostu zaraziły się grypą - zauważył

dziennikarz. - Teraz nie ma już chyba sposobu, by udowodnić, że było inaczej.

- To prawda - przyznał Wilson.

- Mówiono mi - tym razem Bradley zwrócił się do Angeli - że robiła pani sekcję zwłok jednej z pacjentek męża.

Lekarka skinęła głową.

- Czy podczas autopsji przyszło pani do głowy, że ta kobieta mogła umrzeć w wyniku napromieniowania? A jeśli nie, to dlaczego?

- Nie mogłam określić prawdziwej przyczyny śmierci, ponieważ zgon nastąpił zbyt szybko, by wystąpiło dostatecznie wiele symptomów sugerujących napromieniowanie - wyjaśniła Angela. - Dawka śmiertelnej energii okazała się tak duża, że uszkodzeniu uległ centralny system nerwowy, były to jednak zmiany na poziomie molekularnym. Gdyby promieniowanie było słabsze, pacjentka żyłaby dostatecznie długo, aby zdążyły wystąpić klasyczne objawy choroby popromiennej, a wtedy nikt nie miałby problemów z postawieniem właściwej diagnozy.

- Z tego, co mówicie, wynika, że żadne z was nie dysponuje niepodważalnymi dowodami na poparcie waszej teorii - stwierdził Bradley.

- Niestety, chyba ma pan rację - zgodził się niechętnie David.

- Czemu żadne z was nie zostało nigdy wezwane do złożenia zeznań przed sądem? - zdziwił się dziennikarz.

- Wiemy, że kilka razy wytoczono szpitalowi proces z powodztwa

cywilnego - powiedziała Angela - ale wszystkie te sprawy szybko zostały oddalone. Nie dopatrzone się w nich żadnych znamion przestępstwa.

- W świetle zarzutów, jakie oboje stawiacie placówce w Bartlet, wydaje się wręcz nie do pomyślenia, że nikt już wcześniej nie domyślił się, że chodzi o morderstwa - stwierdził Ed Bradley. - Czemu, waszym zdaniem, tak się stało?

Angela i David wymienili spojrzenia.

- Sądzymy, że były po temu dwa powody - odparł lekarz. - Po pierwsze, nikt nie miał ochoty zbyt dokładnie przyglądać się tym sprawom. Gdyby wyszło na jaw, że w szpitalu zabija się nieuleczalnie chorych pacjentów, prawdopodobnie doprowadziłoby to do jego zamknięcia, a to miałyby katastrofalne skutki dla lokalnej społeczności.

Bartlet czerpie z tego centrum medycznego niemałe dochody, nie bez znaczenia jest też to, jak wielu ludziom daje ta instytucja pracę. Po drugie, każdy wie, że wszyscy winni zostali w tym wypadku ukarani: Van Slyke

wymierzył

im

sprawiedliwość,

ustawiając

wypełniony

radioaktywnym kobaltem cylinder na stole konferencyjnym.

- Tak, to może wyjaśniać, czemu miejscowe władze nie chciały zajmować się tą sprawą - powiedział Bradley. - Co jednak z urzędnikami

stanowymi? Co z prokuratorem okręgowym?

- W wymiarze ogólnonarodowym sprawa ta stawia pod znakiem zapytania przeprowadzoną niedawno reformę służby zdrowia - stwierdziła Angela. - Gdyby wydarzenia z Bartlet nabrały rozgłosu, opinia publiczna mogłaby zmienić zdanie na temat nowych rozwiązań wprowadzonych przez Waszyngton. Dobrze z punktu widzenia finansowego decyzje nie zawsze przynoszą korzystne skutki dla medycyny. Kiedy chce się za wszelką cenę oszczędzać pieniądze, musi ucierpieć na tym jakość opieki nad pacjentami. Nasze doświadczenia z Bartlet Community Hospital mogą służyć za skrajny przykład tego, w jaki amok potrafią wpaść szpitalni biurokraci. A jednak, choć jest to przypadek skrajny, skoro taka rzecz raz miała miejsce, może wydarzyć się znowu.

- Plotki głoszą, że możecie dzięki tej sprawie odnieść niemałe korzyści finansowe - powiedział Bradley.

David i Angela nerwowo wymienili spojrzenia.

- Zaproponowano nam sporą sumę pieniędzy za scenariusz do filmu telewizyjnego - przyznał David.

- Macie zamiar ją przyjąć? - zapytał Bradley. - Jeszcze nie podjęliśmy decyzji.

- A czy uważacie tę propozycję za kuszącą?

- Oczywiście, że tak - odparła Angela. - Toniemy w długach zaciągniętych jeszcze za czasów studenckich i jesteśmy właścicielami domu, którego w żaden sposób nie da się sprzedać. Na dodatek nasza

córka cierpi na przewlekłą chorobę i wymaga specjalistycznej opieki medycznej.

Ed Bradley uśmiechnął się do Nikki, która natychmiast odwzajemniła uśmiech.

- Słyszałem o twoim bohaterskim zachowaniu, kiedy do waszego domu wdarł się człowiek w masce węża - powiedział dziennikarz.

- Strzeliłam ze strzelby do mężczyzny, który napadł na moją mamę - odrzekła dziewczynka. - Ale zamiast go trafić, stłukłam tylko szybę w oknie.

- Ja z pewnością będę się wobec tego trzymał z dala od twojej matki

- zachichotał Bradley.

Wszyscy inni także się roześmiali.

- Jestem przekonany, iż oboje macie świadomość, że istnieją ludzie, według których wymyśliliście całą tę historię po to, by zarobić pieniądze na scenariuszu do filmu oraz odegrać się na szpitalu i HMO za to, że zostaliście zwolnieni z pracy - powiedział dziennikarz, poważniejąc.

- Nie mamy wątpliwości, że ci, którym zależy, by cała ta sprawa nie wyszła na jaw, zrobią teraz wszystko, żeby nas zdyskredytować w oczach opinii publicznej - powiedziała Angela. - Uważam jednak, że nie należy winić posłańca za to, że przynosi złe wieści.

- A co z serią gwałtów na szpitalnym parkingu? - zapytał Bradley. -

Czy one też łączyły się z całą tą sprawą?

- Nie - zaprzeczyła Angela. - Choć początkowo sądziliśmy, że jest inaczej. Podobnie myślał wynajęty przez nas prywatny detektyw, który

stracił życie, prowadząc dochodzenie w tej sprawie. Mylił się jednak.

Jedyny akt oskarżenia, jaki udało się na razie sporządzić dzięki naszemu śledztwu, dotyczy zupełnie innego przestępstwa: właśnie owych gwałtów.

Oskarżono o nie Clyde'a Devonshire'a, pracownika szpitalnej izby przyjęć. Testy DNA potwierdziły, że przynajmniej dwa ostatnie napady były jego dziełem.

- Czy to doświadczenie czegokolwiek was nauczyło? - zapytał

Bradley.

David i Angela jednocześnie przytaknęli. Kobieta odezwała się pierwsza:

- Nauczyłam się, że kiedy przeprowadza się reformy służby zdrowia, należy brać pod uwagę zdanie lekarzy i pacjentów. To oni najlepiej wiedzą, jakie mogą być potencjalne skutki proponowanych programów oszczędnościowych, i dlatego mogą bardzo pomóc przy podejmowaniu właściwych decyzji.

- Ja zaś nauczyłem się, jak niebezpiecznie jest pozwolić finansistom i biznesmenom wtrącać się w sprawy, które powinny dotyczyć jedynie lekarzy i pacjentów.

- Odnoszę wrażenie, że jako lekarze jesteście przeciwni reformie służby zdrowia - stwierdził Bradley.

- Ależ nie - zaprzeczyła oburzona Angela. - Proszę nie wyciągać z naszej wypowiedzi fałszywych wniosków! Jesteśmy zdania, że reforma służby zdrowia jest ogromnie potrzebna.

- Tak, jak najbardziej - zgodził się z żoną David. - Martwimy się

jednak o to, jaki przybierze ona kształt. Nie chcemy, by okazało się to zgubną kuracją - jak w tym starym dowcipie:

operacja się udała, tylko pacjent zmarł. Stary system przedkładał dużą wydajność pracy lekarza nad kwestię ponoszonych kosztów. Na przykład dochody chirurga zależały od tego, jak często przeprowadzał operacje, im więcej zatem usuwał chorym wyrostków robaczkowych czy tkanek nowotworowych, tym więcej zarabiał pieniędzy. Nie chcemy jednak, by popadano ze skrajności w skrajność i ze względu na oszczędności finansowe zmniejszono liczbę wykonywanych zabiegów. Wiele zmuszonych do drastycznego ograniczania wydatków placówek medycznych nagradza lekarzy premiami za niekierowanie pacjentów do szpitala lub rezygnowanie z pewnych sposobów leczenia.

- Tym, co określa sposób leczenia, powinny być jedynie potrzeby pacjenta - dodała Angela.

- Dokładnie tak - poparł żonę David.

- Cięcie! - zawołał dziennikarz.

Operatorzy kamer wyprostowali się, wyłączając sprzęt, zadowoleni, że skończyli pracę.

- To było wspaniale - entuzjasmował się Bradley. - Wybraliśmy doskonały moment, by skończyć rozmowę. Odwaliliście kawał dobrej roboty. Moja praca byłaby znacznie łatwiejsza, gdyby wszyscy, z którymi robię wywiady, równie dobrze jak wy wiedzieli, co chcą powiedzieć przed kamerą.

- Miło nam to słyszeć - uśmiechnęła się Angela.

- A tak między nami mówiąc, czy naprawdę uważacie, że cały zarząd szpitala był zamieszany w tę sprawę? - zapytał dziennikarz.

- Prawdopodobnie większość jego członków - odparł David. -

Wszystkim zależało, by koszty leczenia śmiertelnie chorych pacjentów nie obciążały szpitala i wszyscy mieli wiele do stracenia, gdyby ich placówka została zamknięta. Zaangażowanie zarządu w sprawy szpitala nie było tak bezinteresowne, jak mogłoby się to komuś wydawać, szczególnie jeśli chodzi o doktora Cantora, szefa personelu. Gdyby zlikwidowano szpital, jego Imaging Center straciłoby rację bytu.

- Do licha! - jęknął Bradley, zaglądając do swego notesu. -

Zapomniałem zapytać o Sama Flemminga i Toma Baringera. - Zirytowany zawołał do kamerzystów, że chce dokręcić jeszcze kawałek.

David i Angela popatrzyli na siebie ze zdziwieniem. Wymienione nazwiska nic im nie mówiły.

Gdy tylko operatorzy kamer dali znać, że są gotowi, Ed Bradley zwrócił się do Wilsonów z pytaniem o ludzi, o których wspomniał wcześniej. Zarówno David, jak i Angela zgodnie stwierdzili, że nic im na ich temat nie wiadomo.

- Ci dwaj mężczyźni zmarli w szpitalu Bartlet, mając przed śmiercią te same objawy co pana pacjenci - wyjaśnił dziennikarz. - Byli podopiecznymi doktora Portlanda.

- W takim razie nie mogliśmy o nich słyszeć - powiedział David. -

Doktor Portland popełnił samobójstwo na krótko przed naszym przybyciem do Bartlet, a jego chorzy umarli, zanim zaczęliśmy pracować

w tamtejszym szpitalu.

- Chciałbym was jednak zapytać - ciągnął wcale nie zrażony ich odpowiedzią Bradley - czy sądzicie, że zgony tych dwóch chorych także mogły nastąpić w wyniku napromieniowania kobaltem?

- Jeśli symptomy były identyczne i występowały z takim samym nasileniem, uznałbym, że tak - oświadczył David.

- To bardzo interesujące - stwierdził dziennikarz. - Żaden z tych ludzi nie cierpiał na nieuleczalną chorobę ani nie skarżył się na żadne schorzenie poza tym, z powodu którego został przyjęty do szpitala. Obaj jednak posiadali opiewające na wiele milionów dolarów polisy ubezpieczeniowe, które po ich śmierci przypadły w udziale szpitalowi.

- Nic dziwnego, że doktor Portland załamał się nerwowo - westchnęła Angela.

- Czy któreś z was mogłoby jakoś skomentować tę sprawę? - poprosił Bradley.

- Jeśli ci ludzie zostali napromieniowani, finansowy motyw tej zbrodni jest jeszcze bardziej oczywisty niż w innych wypadkach - stwierdził David. - Byłby to kolejny, przekonujący dowód na poparcie naszej teorii.

- Czy gdyby ekshumowano ciała tych zmarłych, można by bez cienia wątpliwości określić, że ich zgony nastąpił w wyniku choroby popromiennej? - zapytał Bradley.

- Nie sądzę - odrzekła Angela. - W najlepszym wypadku można by dowiedzieć się, czy zmarli byli wystawieni na działanie materiału

radioaktywnego, czy też nie.

- Ostatnie pytanie: czy jesteście teraz szczęśliwi?

- Chyba nie zastanawialiśmy się jak dotąd nad tą kwestią - odrzekł

David. - Z pewnością czujemy się szczęśliwsi niż kilka miesięcy temu i cieszymy się ogromnie, że znaleźliśmy pracę. Radością napawa nas też dobry stan zdrowia Nikki.

- Po tym, co przeżyliśmy, musi upłynąć nieco czasu, zanim uznamy, że mamy już to wszystko poza sobą - stwierdziła Angela.

- A ja uważam, że jesteśmy szczęśliwi - powiedziała Nikki, wtrącając się do rozmowy dorosłych. - Mam zamiar mieć brata. Moi rodzice będą mieli drugie dziecko.

- To prawda? - zapytał Bradley, unosząc brwi.

- Wszystko w ręku Boga - odrzekł David, Angela zaś tylko się uśmiechnęła.